

PRZEMIANY

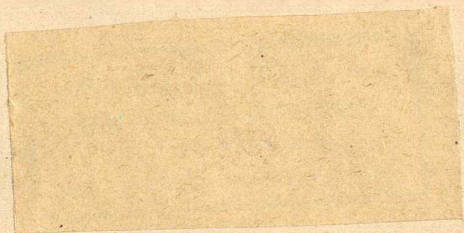
JAN WIKTOR

BŁOGOSŁAWIONY CHLEB
ZIEMI CZARNEJ



KSIAŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

OBWOLUTĘ PROJEKTOWAŁ KONSTANTY M. SOPOĆKO



LIK.
BŁD.

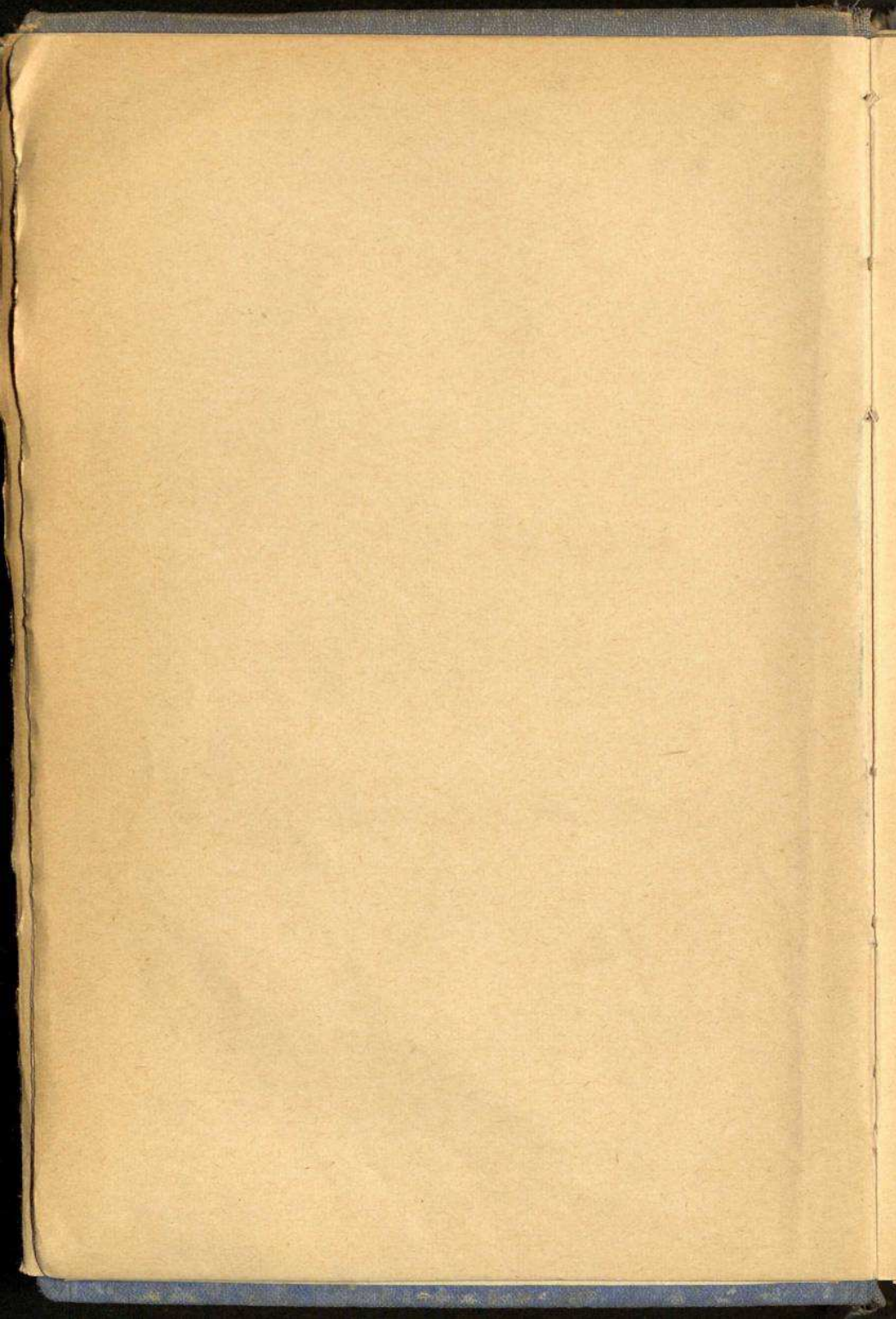
461

2976

ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC. KSIĄŻNICA-ATLAS WE LWOWIE
COPYRIGHT 1939 BY S. A. KSIĄŻNICA-ATLAS, LWÓW-WARSZAWA
PRINTED IN POLAND

A IX

CZĘŚĆ I
OBRZĘDY



W GRODZIE NASZYCH PRAOJCÓW

(O BISKUPINIE)

Corocznie, urządzone przez „Związek Ziemi Górskich“, widowiska w różnych stronach Polski dają przegląd kultury ludowej od źródeł Wisły po Czeremosz. Mieszkańcy zapomnianych wsi przynoszą obrzędy niezwyklej piękności, pełne ukrytej treści religijnej, okazują odrębności swoje, objawiające się w pieśni, w tańcu, muzyce, stroju, zabawie. Miłośnicy i entuzjaści wydobywają z zapomnienia i poniewierki, a nieraz wskrzeszają z martwych archaiczne zabytki, aby widzów oczarować, podziw i miłość wzbudzić. Każdy dzień kończy się korowodem niesłychanie żywym i barwnym, złożonym z różnych etnograficznych zespołów. Te widowiska są rozdziałami wciąż żywej epopei górskiego ludu, strzępami legendy przeszłości, w której streszcza się dusza przeminionych pokoleń, ich porywy, upodobania i wierzenia. Są one bardzo często odkryciem i objawieniem nie tylko dla tłumu, ale i dla znawców. Widzowie, zapatrzeni w obrazy, zapominają o terażniejszości, a mają wrażenie, że są przeniesieni w inny kraj, w zamierzchłe czasy. Odnajdują egzotykę i piękno zaginionego gdzie indziej prymitywu, mającego korzenie może na progach gontyn słowiańskich, pod świętymi drzewami czczonymi przez praojców. Szaleje taniec żywiołowy, dziki, to snuje się poważny, dostojny

jakby odrodzone misterium. Rozlegają się melodie podobne do poświstu wichrów przelatujących z polany na polanę, jakby to skaliste wierchy grały, to znów rozbrzmiewają nuty, „jakimi ojcowie modlili się do słońca i miesiąca“. W powietrzu wirują uskrzydłone ciała w burzy rozmiotanych kolorów, pieśni i muzyki. Oglądamy zachowane szczątki pradawnego mitu, czci ognia, słońca, księżycy, gwiazd, żywiołów niebieskich, przeciw którym człowiek miał modlitwę i zakęcie. Z przejęciem śledzimy wicie różdżki, zapalanie światła w obrzędzie przedweselnym, wieńczenie przy ślubie wieńcem zboża, który jest symbolem płodności. Tutaj każdy szczegół ma swoje wprost magiczne znaczenie. Starosta, najstarszy w gromadzie, spełnia czynności dawnego arcykapłana, który sakralnymi ruchami i słowami ma oddziaływać na kształtujące się życie. Płonie ognisko, z którego chłopcy porywają głównie i biegną ku polom, aby zanieść moc oczyszczającą i zabezpieczającą przed nieszczęściami. Kiedy indziej w noc Kupały dziewczyny rzucają ponad ogniem nakazane obrzędem wianki ku chłopcom, a potem z nimi przeskakują przez płomienie.

Nieraz zdaje nam się, że to prastowiańska zjawa przybrała kształt żyjących ludzi, aby przemówić symbolami, kryjącymi tajemniczą treść, dzisiaj dla nas niezrozumiałą, choć wzruszającą do głębi, aby okazać wieńce uplecione z kłosów zboża, kwiatów i ziół, mających czarodziejską moc, aby zadziwić starodawnym strojem, utkany nieraz w izbie kądzielnianej przy łuczywie. Wieje świętość z osędziałych obrzędów, dokonywanych przez starców, przodowników, pamiętających w ruchach rąk, w słowach, w brzmieniu głosu mowę prawieków, czarowników, wróżów, kapłanów.

Barwna, bujna, twórcza wieś rzuca na scenę cały rok zabaw, zwyczajów, przyniesionych z chat, z polan, zagrodów i szalasów. Widowiska zrodzone z miłości do ziemi, z podziwu dla pierwotnej kultury, przynoszą do skarbcza narodowego bezcenne pierwiastki swego piękna, bogactw i oryginalności. Przez te dni przesuwa się przed oczami jakby żywe muzeum. Patrząc na nie widz zadaje sobie pytanie, skąd pochodzą te zabytki, z jakiej gleby wyrosły, jakich wieków sięgają korzeniami, duszą przenosi się w zamierzchłe czasy, w osiedla prastłowiańskie, pod święte drzewa.

Mając oczy pełne barw, uszy pełne melodii, a serce pełne niezapomnianych wrażeń, jechałem stąd do Biskupina, chcąc spojrzeć na ocalałe zręby osady słowiańskiej.

Dr Rajewski, kierujący pracami wykopaliskowymi, oprowadzał nas, kreślił plany, rzucał obrazy, wyjaśniał, przeplatając naukowe wywody ciętymi zwrotami, dostosowanymi do dzisiejszych czasów. Mówił między innymi, że przypadek wytyczył drogę do tego miejsca. Długie czasy właściciel półwyspu kopał torf, wyrąbywał bale drzewne na opał, a znalezione zabytki usiłował sprzedać, myśląc, że są ze złota. I na pewno zginęłyby bez śladu osada rzucona w ogień. Jednakże nauczyciel miejscowej szkoły zwrócił uwagę prof. Kostrzewskiemu, który rozpoczął badania i doprowadził do dzisiejszych odkryć, znanych w całym świecie. Mieszkaniec tej osady budował falochrony przeciw szturmom powodzi i lodów, przeciw wrogim siłom, chcącym zniweczyć pracę rolników, dokonaną w spokoju i zgodzie. Z ziemi, jakby szerniały łodygi, wysterczają bierwiona. Bagno spełniło ważną rolę, niejako zabalsamowało drzewo. I dzisiaj

widzimy drogę okrężną, biegnącą wzdłuż „drewnianego muru“, ulice poprzeczne, wybrukowane deskami, oddzielające od siebie rzędy domów. Wyłaniają się wiązania zrębów, podwaliny, które pozwalają nam odtwarzać sposoby budowania chat. Wiemy, że miejsce święte, ognisko, mieściło się w świetnicy, po prawej stronie od wejścia. Poznajemy wewnętrzny rozkład domów, wejście od południa, przedsionek, gdzie przebywało bydło, a za nim izba, gdzie na podwyższeniu mieściło się legowisko, zasłane sitowiem lub słomą, nakrytą skórą zwierząt.

— Sztuka ciesielska stała wysoko. Nie używali piły, ale po mistrzowsku władali siekierą z kamienia, którą obciosywali sosnę, dębinę, najtwardsze drzewa. Ciesle mieli we krwi, w kościach, w palcach doświadczenie i kunszt ciesielski, dlatego też zdumiewają wszystkich obróbką bierwion i sposobem budowania chat, falochronu.

Ze wzruszeniem oglądamy wszystko, co przetrwało wieki i dochowało się do dni dzisiejszych; z niemniejszym wzruszeniem patrzymy na pracę robotników, którzy małutkimi łopatkami i paznokciami wygrzebują, wyskrobują spomiędzy szpar i załomów ziemię i w skupieniu każdą grudkę rozcierają, badając treść najdrobniejszej kruszyny. Opodal leżą olbrzymie sterty piachu, mułu, nie wagonami przeniesione, ale na ludzkich dłoniach. I nie chce się wierzyć, że palce wyczuły zagubione przed 2500 laty ziarenka maku, prosa, owsa, pszenicy. Toteż z okrzykiem zdumienia wszyscy biegną ku robotnikowi, który pokazuje okrucieństwo zboża, jakby cud, zaklęty skarb.

— Każde ziarno chowamy w szklanym naczyniu, aby uczony zbadał. Wśród robotników są specjaliści, którzy mają wyjątkowe szczęście. Boć taki drobiazg nie oczami

można zobaczyć, ale tylko palcami wyczuć. Nic dziwnego, że budzą szczerą podziw. Z głębin bagna wydobywają ozdoby z brązu, szpile, naramienniki, kabłączki na skronie, pierścienie, naszyjniki, paciorki bursztynowe i gliniane, to przedmioty codziennego użytku, jak: noże, sierpy, groty, oszczepy, motyki z jeleniego rogu, dłuta, siekierki, żarna, kamienne rozcieracze, radła drewniane, mąteвки, niecki, szczątki sitka glinianego, krążki pod chleb.

Co chwilę ktoś w zdumieniu stwierdza:

— Ależ przedmioty, podobnie wyrabiane z gliny, z drzewa, kości, były w naszym domu. Jenó — dodaje ze smutkiem — nie było tylu zabawek.

— Znajdujemy wielką ilość zabawek w każdej izbie, widocznie u Słowian panował kult dziecka.

Dzisiejsze chłopskie dziecko z zazdrością patrzyłoby na grzechotki, ptaszki z gliny, siekierki, garnuszki, kółka do zabawek, wózki, małe naczynka i przyrządy szczerze porozrzucane.

— Niemieccy uczeni twierdzili — mówił dr Rajewski — że Słowianie odziani w skóry uganiali za zwierzyną i nie byli zdolni do żadnej twórczej pracy, że mieszkali w ziemiankach. Dotychczasowe wykopaliska przeczą wszystkim oszczerstwom. Mieszkańcy byli rolnikami i hodowcami bydła, a dopiero na ostatku uprawiali myślistwo i rybołówstwo. Kwitło natomiast wiele rzemiosł, jak: kołodziejstwo, tkactwo, kowalstwo i stolarstwo. Stosunkowo wysoko stała pierwotna kultura naszych ojców. Zdun wytwarzał naczynia o wyszukanych kształtach, inkrustowane białą masą i barwione farbami ziemnymi. W paru domach mieszkali brązownicy, czego dowodem znalezione dmuchadła, gliniane formy odlew-

nicze, służące do wyrobu szpil, paciorków, naszyjników. W każdej izbie kobiety przędły, tkwały, o tym bowiem mówią warsztaty tkackie, przęśliki, czółenka, wrzeciona.

Zobaczyliśmy garncarza, lepiącego pracowicie z bryły gliny naczynie, zdobiącego je ornamentem, mającym ucieszyć oczy; poznajemy łańcuszki, krzyżyki, to zarysy jeźdźca na koniu, ścigającego jelenia. Ręce nieznane kreśliły znaki mówiące o upodobaniach tamtejszego ludu. Może wtedy tak samo jak dzisiaj w podpienińskich stonach zbierały się kobiety w kądzielnianych izbach, aby razem prząść, śpiewać dumy i snuć opowieści o przodkach, o ich pracy, o czynach poczętych z miłości dla braci. Odbiegły gospodynie od suszących się włókien lnu, od przędzywa, a zostawiły ciężarki od wrzecion, od krosien.

— Wszystkie przedmioty wytwarzano na miejscu. Głucha ziemia po wiekach przemówiła, wyjawiając tajemnice. Biskupin jest niesłychanie ważny dla nauki polskiej, zaprzecza wszystkim nieprawdom niemieckim i każdym zabytkiem woła i udowadnia, że tu zgromadziła się prasłowiańska kultura.

Słowa te zgłuszył kaszel robotnika ugrzązłego w błocie.

— Przed paru dniami zwiedzał osadę fenomenalny tancerz hinduski Ram-Gopal, który zdobył Polskę natchnionym obrzędowym tańcem. Długo patrzył na bagnisko i rzekł: ja słyszę, jak kaszlą tamci sprzed dwóch tysięcy lat. Wciąż w powietrzu brzmi straszliwy, rozdzierający płuca kaszel. Wy jesteście ich dziedzicami — po chwilowej przerwie dodał p. Rajewski. — Tak, tak, jesteśmy ich dziedzicami, pracując w tych samych warunkach co i oni.

Z tego powiedzenia, jak z drewna niecącego ognia,

padła iskra i rozpałała naszą pamięć. Z nicości, z mroków, wyłoniły się obrazy dawno zapomnianego życia, wspomnienia zagubione w izbach...

W ciemnościach letniej nocy rozżarzył się stos drewna zbieranego pracowicie. A dumą chłopięcą było, aby na hubkę padł wykrzesany płomyk. Porywaliśmy rozpalone smolne szczapy, biegliśmy miedzami w pole, okrążaliśmy ojcowskie zagony, aby je zabezpieczyć przed złymi mocami, aby je ochronić od gradu. Później wracaliśmy do ogniska, aby resztę nocy spędzić na obrzędowych śpiewach, tańcach, skokach. Wyczekiwaliśmy, kiedy zadnieje, kiedy zajaśnieje ranek. Gdy zaróżowił się świt, zastygaliśmy z oczami wzniesionymi ku wschodowi szepcząc zaklęcie:

— Słonecko, słonecko, rodzicu nas.

Pelni wewnętrzznego uniesienia, modlitewnych wzruszeń, wracaliśmy do domów po tej najkrótszej nocy, świętej, wybranej spośród wszystkich. Deptaliśmy trawy, strącaliśmy migotające krople rosy, jakby samo rozperłone słońce, zostawiając szare ślady bosych stóp.

Patrzac na zabytki prasłowiańskie miałem wrażenie, że widzę człowieka zgiętego nad kamieniem żarnowym i słyszę chrzęst tarła, rozcierającego ziarna na chleb, że widzę dzieci, dzierżące w palcach ptaszki i grzechotki wpatrzone wielkimi oczami w czynność ojca. Kiedyś, kiedyś to było... Zobaczyłem siebie, obejmującego dziecięcińskimi palcami twardą, niemiłosierną żarnówkę i syjącego z ducki garście ziarna, które zmieniały się w pot rześisty, spadający wielkimi kroplami.

— Ukiełtoj, ukiełtoj trochę żyta...

Słyszę te słowa z dalekiego dzieciństwa i słyszę zgryzt jakże ciężkiego ponad siły chłopięce kamienia żarnowego.

W tej chwili robotnikowi, spożywającemu obiad, z palców wymknął się kęs chleba. Nie odrzucił, podniósł z ziemi, ucałował, przeproszał za nieuwagę. Znow usłyszałem głos z zamierzchłych czasów.

— Pocałuj święty chlebuś, boby się gniewał.

Z tego też czasu pozostał zakaz, aby nie siadać na stole, nie kłaść na nim kapelusza, bo to święte miejsce, z tego też czasu został nakaz, aby ognia nie kalać śliną.

Skądś wyłoniła się utrudzona staruszka, sypiąca garsteczki na rozżarzone węgle, wymiecione z pieca, szep-tająca pacierz-zakłęcie. Śledziliśmy, jak rozczyniała w dzie-ży chleb, jak wyrabiała bochny, jak kładła na łopatę ruchami sakralnymi, jakby spełniała obrzęd religijny.

Zobaczyłem w dzień wigilijny gałąź choiny, zatkaną nad drzwiami i oknem. Może tak samo przed tysiącami lat zawieszali wieczystą zielen w mroźny wieczór. Co ona oznacza, to zostało tajemnicą praojców. Uleciała treść ważna, mająca spełniać magiczną rolę, a został jeno pusty kształt. Zobaczyłem powieź ziół, zbieranych po lasach, łąkach, polach, schnących na ścianie. Wiedziałem, że chowają czarodziejską moc przeciw klęskom, burzom, że chronią od uroku złych spojrzeń.

Tak ongiś bywało w domu ojców moich.

Bose matczyne stopy przebiegały pola, matczyne oczy wypatrywały święte zioła, mające nas chronić przed chorobami, nieszczęściami, przed zemstą ludzką. Może tak właśnie mieszkanki Biskupina podpatrywały życie przyrody, żyły z nią, wykradały jej prawdy i tajemnice, przekazywały z pokolenia na pokolenie i może one nauczyły tej wiedzy moją matkę i kazały jej wybierać takie, a nie inne zioła.

Skądś z daleka wynurzył się płacz pieśni żałobnych. Zatrzęsły się starcze ręce, kładące do trumny podarki, przedmioty miłe za życia nieboszczykowi.

— Żeby ci niebieski bidoku służyły, żeby cię radowały, żebyś nie szedł jak chudobny, boś gospodarz, żeby ci niczego nie chybiało na boskiej gospodarce.

I między fałdy ukradkiem staruszek kładła pisanek, aby nikt nie dojrzał: Wtedy nie wiedziałem, że jajko jest symbolem odradzania i niezniszczalności życia. W tych wykopaliskach też znaleziono pisanki z gliny, powleczone szklistą masą, wyrabiane pod Kijowem, które miały zastępować jajko.

Umarły, wedle ówczesnych wierzeń, wchodził w inne życie, które było dalszym ciągiem ziemskiego, toteż przed dwoma tysiącami lat dawali mu wszystko, co mu było potrzebne do wypełniania zajęć, co było jego osobistą własnością, a więc noże, szydła, osetki, siekiery, a kobietom prześliki, aby utrudzone palce i po śmierci dalej snuły nić na przyodziewę dla dzieci; nie zapominali też o pożywieniu, aby tam w niebiosach nie cierpiał głodu.

Na drugiej stronie jeziora widać orzącego. Powoli posuwa się za pługiem, odwalającym polśniewające, tłuste skiby. Może i on tak samo święci ziarno, wkładając węgielek, może i on z wiosną otacza zagony zakłęciami i wtyka w ziemię leszczynowe patyki w krzyż złożone, które by miały moc chroniącą od zniszczenia, w niwecz obracającą pioruny.

Przaśny miód lał się z pni sosnowych. Pierwotny człowiek żył w puszczy, zmieniając ją w urodzajne skrawki pól, wszystkie siły obracał na wydobywanie chleba, wszystkie myśli zmieniał na wyrobienie narzędzi, jak radła, jak brony z gałęzi, jak motyki z rogu jelenia. Napinał

łuk przeciw zwierzętom. Przeciw burzom szedł z modlitwą, zaklęciem rozdierał chmury, gasił błyskawice.

Wszystkie te tajemnice wyszeleściły nam trzciny, wypłuskały fale, opływające brzeg. Taka sama trzcina rosła wtedy przed dwoma tysiącami lat, takie same fale uderzały rytmicznie...

Przechodzimy z miejsca na miejsce, poznajemy prawdę budowl i słowiańskiej, poznajemy wysiłki dzisiejszego człowieka, chcącego wszystko odkryć i zbadać. Rysownik oddaje kształt każdego szczegółu, sterczące z ziemi bierwiona, wiązania belek, węgly. Jego plany oddają obraz wszystkich nawarstwień. Choćby zniknęła osada, to będziemy ją mieli najściślej odtworzoną.

Robotnicy znajdują skorupy garnków, przedmioty codziennego użytku, narzędzia pracy, których nikt nie miał czasu uprzątnąć. Gdzieś leżała osetka i nóż. Któż wie, może ojciec, a może matka chciała ukrajać chleba dla dziecka i zaczęła ostrzyć, ale przerwała pracę i odbiegła w przerażeniu. A może śmierć ją zastała i nóż wymknął się ze struchlałych palców. Zwłoki zabrali na żalnik, na stosie spalili, a popioły ukryli w popielnicy. Przedmioty porzucone zostały, aby służyły do poznania prawd żyjących przed wiekami. Każdy przedmiot posiada swój rodowód, kartę z rysunkiem, opisem miejsca znalezienia, bo każdy drobiazg jest niezwykłością i odkryciem.

Szukamy miejsca, gdzie składano ofiary, gdzie mógł stać ołtarz bogom poświęcony, gdzie rośło drzewo święte. Może gdzieś leżą obalone wyobrażenia bóstw słowiańskich, wyrzezaných w lipowym pniu. Zawiedzeni i zniecierpliwieni pytamy, czy znaleziono na obszarze wykopalisk miejsce kultu religijnego.

— Niestety dotychczas nie znaleziono — objaśnia p. Rajewski — ani śladów gontyny, ani drzew świętych, ani wyobrażeń bóstw, jednakże jesteśmy pewni, że nasze poszukiwania spełnią pragnienia wielu pytających o to samo. Był kult słońca, kult ognia, kult demonów, bóstw domowych, była wiara w życie pozagrobowe, wielka cześć i pamięć dla zmarłych. Znajdujemy amulety, znaki zaklęte w ornamentyce; w każdym domu znajdujemy kręgi z grzbietu niedźwiedzia. Nie wiemy, do czego służyły; przypuszczać można, że kryły w sobie magiczną moc. W głębiach tej ziemi może mieścić się wiele tajemnic nieodkrytych i niezbadanych. Podziwiamy zabytki kultury naszych przodków, podziwiamy zmysł twórczy, celowość budowli, wyzyskanie miejsca, mające na celu ochronę przed wrogiem i żywiołem, jednakże częstokroć odsłonięte zabytki są martwe i nie przemawiają do współczesnego człowieka. Archeolog, prehistoryk, zoolog, botanik widzi przedmioty, zewnętrzny ich kształt, ale nie może poznać wewnętrznej ich treści, cząstek duszy pokoleń, które tu żyły i działały. Nie ziemię trzeba przekopywać, aby odczytać tę prawdę...

Zapytujemy, czy napotkano narzędzia kary.

— Nie. Nie napotkaliśmy też zbroi, narzędzi mordu, gwałtu, przemocy, ujarzmiania, natomiast wszędzie odgrzebujemy narzędzia pracy.

— Germanin — ktoś dodaje — zawsze zaborczy, był koczownikiem żądnym krwi, a Słowianin był człowiekiem ziemi, rolnikiem, przywiązany do niej pracą. Miłował pokój, zasiewał chleb w mozolnym trudzie. Orka i siejba były jego przeznaczeniem — praca, a nie mord. Znojem zlewali zoraną glebę, a nie cudzą krewią. Orali radłem, bronowali gałęziami, kopali motykami z jeleniego

rogu, a za to ziemia chlebem ich obdarzała. Snopem zboża nie mogli się obronić przed napastnikiem, wojującym krzywdą, a żyjącym z grabieży i miecza. Praca ludu spokojnego nie była przymusem, ale radością, bo niosła dobro i dla siebie, i dla drugiego. Nie było krzywdy i przemocy. Znalezione przyrządy pracy, te insygnia władztwa są cenniejsze niż korony i berła królewskie.

— Czy był wódz, dyktator, dzierżący wszystkich w mocnej garści?

— Chwilowo nic nie wskazuje, aby taki istniał, no, ale mamy jeszcze taki obszar do odkopania — p. Rajewski zatoczył ręką szeroki krąg. — Kto wie, co znajdziemy...

— Wczoraj — przerywamy — przy wykopaliskach z X wieku obok katedry poznańskiej słyszeliśmy, że wszystko wskazuje na to, jakoby Biskupin był „komunistyczną osadą“, o tym ma mówić układ domów, ich wymiary i kształty.

— Ech, to dlatego, że ta osada była fortecą.

— A może wszyscy byli równouprawnieni i równo dzielili się plonami pracy i obowiązków.

— Wprawdzie nie napotkaliśmy dotychczas domu-dworzyszcza, różniącego się od pospólstwa wielkością i okazałością, ale jesteśmy przekonani, że był dyktator, narzucający swą wolę ogółowi, który musiał urzeczywistniać jego zamysły.

— Nie było dyktatora — sąsiad, obok stojący, odrzuca te twierdzenia — bo to nie leżało w duszy słowiańskiej, ale był przodownik, będący wyrazicielem twórczej woli wszystkich. W sercu i mózgu swoim jednoczył serca i mózgi wszystkich mieszkańców. Jego pragnienia, jego miłość i prawda były uczuciami innych. Wspólnie umacniali półwysep wałami, palisadą z dębu, z ziemi,

aby w razie niebezpieczeństwa ludzie spokojni, boży, polni, mogli schronić siebie i mienie wypracowane w trudzie przed wrogiem, który chciał rabować i pożywać chleb cudzym znojem i krwią obłany. Nie było przymusu pracy, ale było zrozumienie społecznego dobra. Idea pracy i idea wspólnego tworzenia. Był wolny człowiek, wprzęgnięty w dobro ogółu. I nie mogło być inaczej w słowiańskim związku braterstwa. Nie żyli przemocą, bo umiłowali zbożną, plony niosącą pracę, nie żyli gwałtem i wyzyskiem, a budowlę wznosili wspólnym wysiłkiem, aby nikomu nie brakło dachu nad głową. Szczątki zmysłu społecznego zachowały się długo u nas. Jeszcze do niedawna na wsi był zwyczaj, że wszyscy spieszyli z siekierą, aby wspólnie wznosić dom sąsiadowi, a każdy niósł gwoździe i gonty, aby pokryć. „Przyjąć możemy, że prawem panującym wewnątrz plemienia i gatunku jest pokój i pomoc wzajemna“. Nie wojna, nie ucisk jest podstawą twórczego życia. U ludów pierwotnych widzimy wysoki poziom uspołecznienia. Praca dla gromady była szczęściem każdego z nich. Każdy spełniał społeczny obowiązek dla wspólnego dobra. O tym mówią świadectwa, zabytki ustroju prasłowiańskiego, zachowane w ostatekach zwyczajów ludu, gdzie do niedawna nie znano słowa: kradzież, choćby w zakątkach Podhala: gdy mieszkańcy szli w pole, do lasu, to drzwi zostawiali otworem, a na stole bochen chleba i dzban wody dla głodnego wędrowca, gdzie prawda była tak zwyczajną jak pacierz, gdzie warg nie kalano kłamstwem.

— I tutaj tak samo najdrobniejszą pracę wykonywano niejako wspólnymi rękami, tę deskę kładziono, te podwaliny, aby mogły służyć po społu wszystkim...

Kiedy patrzymy na wykopaliska biskupińskie, cisną

się słowa wielkiego utopisty, chcącego przebudować duszę ludzkości w dobrem i w miłości: „Gdy przystępujemy do badań nad człowiekiem pierwotnym, jesteśmy przede wszystkim uderzeni wysokim, spotykanym tam poziomem uspołecznienia. Spólnota wiejska była związkiem nie tyle zapewniającym każdemu jego częśćkę ziemi wspólnej, lecz było to zrzeszenie wspólnej kultury i pomocy wzajemnej pod każdym względem. Spólnota chroniła swych członków od przemocy, przyczyniła się do rozwoju rzemiosł“. Ziemia wykarczowana, wydarta gromadnym wysiłkiem była własnością plemienia, ale plony jej, jak też i to wszystko, co mógł ogień zniszczyć, należało do tego, kto ziemię uprawiał.

— Niewolnik nie tworzy wielkich dzieł, może być tylko narzędziem posłusznym batowi, może tylko wykonywać...

— A tak, a tak. Społeczność, pracująca mięśniami, mózgiem i sercem wszystkich w zgodzie i pojednaniu, ożywiona jednym celem mogła zbudować Biskupin dla ogólnego dobra. Może i tutaj nie znali słów: „grabież“, „kradzież“, „przemoc“, „krzywda“, może tutaj praca dla drugiego była aktem religijnym; czynienie dobra, pomoc bliźniemu nie były przymusem, ofiarą ani nawet obowiązkiem, ale wypływały z wewnętrznej potrzeby jak uśmiech szczęścia, jak miłość ze wzruszonego serca, jak łza z oczu. „Człowiek zły i wiarołomny nie mógł żyć w tym związku braterstwa i pracy“. Uprawa roli i ognisko domowe ich cechą. A w ognisku domowym nie kuje się mieczy ani narzędzi krzywdy. W piersi ludzkiej jakże często mieszka kamienne serce, a w ziemi rolnika żyje ziarno, z którego chleb się rodzi dla dobra człowieka.

— Biskupin to cmentarz kryjący tajemnice.

— To nie cmentarz, ta ziemia krzyczy i siłą zmusza, żeby słuchać głosów z jej głębin wydzieranych. Trudno odejść. Grodzisko, dobywane z błota, przypomina nakazy, obowiązujące ludy pierwotne: „Nie mówić o człowieku nic takiego, czego nie można by mu powtórzyć w oczy. Nie odpędzać od swoich drzwi proszącego o jadło lub schronienie, choćby to nawet był nieprzyjaciel, krowę należy doić dla siebie samego i dla każdego, kto mleka zażąda, ciało dziecka czerwieni się od uderzeń, a twarz bijącego czerwieni się od wstydu, będziemy sobie pomagać po bratersku we wszystkim pożytecznym i uczciwym“. Prawa pomocy wzajemnej i życia po bratersku zniweczyła nowoczesność... A może praojcowie w lnianych szatach uprzedzonych w izbach, spracowani, szli na powitanie wroga niosąc kłosa zboża... a wróg chciwy cudzego plonu mieczem odrąbał ręce dzierzzące chleb... Zawsze taka mowa łupiestwa i grabieży...

Wzrok nasz pada na gałąź brzozy, bielejącej nienaruszoną korą. Gdzież są te ręce, które ją ścięły, aby służyła dla wspólnego dobra przed dwoma tysiącami lat? Robotnik znajduje skorupy garnka. Gdzież jest ten zdun, który go wytworzył, aby głodny brat mógł z niego pożywać?

Biskupin jest dzisiaj najpopularniejszą nazwą. Duma od niej bije, bo zawiera mozoł najszlachetniejszych, zespolonych wspólną pracą dla chwały narodu. Pracuje w najcięższych warunkach uczony, odczytując wskrzeszone dzieje, pracuje malarz rozmiłowany w przeszłości, rzucając wizje, wyrastające z podwalin naukowych, pracuje zoolog, odkrywający tajemnice przyrody, pracuje botanik, szacujący każde włókno, każde ziarno. Polski wysiłek nie szczędzi zapалу, trudu, chcąc dokonać gigan-

tycznego dzieła, aby te wykopaliska były objawieniem prawdy dawno przeminionej i zamarłej.

— To są największe roboty wykopaliskowe z tego okresu, jakie kiedykolwiek w Europie prowadzono. Gród szczerze rozrzucił przedmioty codziennego użytku i codziennej pracy. Nie znajdujemy jednak cennych zabytków, gdyż nie było tutaj katastrofy tak gwałtownej jak w Pompei. Mieszkańcy opuszczali grodziszcze powoli, zabierając wszystko, co można było wynieść. Zostało to, co wysunęło się z palców strudzonych, umierających, co było niepotrzebne.

Biskupin to jakby sarkofag. Gdzie indziej powódź niszczy wszelki owoc pracy człowieka, tutaj pogasiła święte ogniska, aby płomieniem nie dotknęły zrębu, i spełniła rolę grabarza, przykryła osiedle grubymi warstwami mułu i piachu, aby wspomnienia przeszłości nie zginęły, ale trwały w wodzie, błocie, jak w mogile, czekając na sposobną chwilę, która by pozwoliła wydobyć zabytki i zaświadczyć przed światem, kto był posiadaczem i kto jest prawym dziedzicem tych dziedzin. Przechodziły wieki, tysiąclecia nad bagnistym cmentarzem, aż w końcu przypadek pozwolił, że przyszedł uczony polski uzbrojony w wiedzę, zapal i z całunów błota wynosi tajemnice dziejów. Z martwych wskrzesza osadę, w której wszystkie szczątki, pogruchatane skorupy, wyroby z gliny, drzewa, rogu, kości, żelaza, brązu, zmurszałe i próchniejące kawały dębu, sosny, brzozy żyją, pulsują krwią, bo mają dusze tamtych sprzed wieków i opowiadają najwspanialszymi wyrazami, jak nasi praojcowie żyli, czym się zajmowali, żywili, jak gospodarzyli, czym się otaczali. Porzucili w czasie nieszczęść sprzęty przydatne przy robocie, i dzisiaj „widzimy całokształt kultury materialnej, gospodarczej i społecznej naszych przodków“.

— A jaki jest obraz duszy?

— W tym bagnistym grobowcu spoczęło wszystko, co ziemskie, co mogły wytworzyć pracowite ręce, ale nie zostało nic, co by mówiło o duszy. Obrzędy, świętości, skarb wierzeń pierwotny mieszkaniac grodu przeniósł w duszy w bezpieczne miejsce, w osiedla, w dalekie światy na nowy żywot i tam z pokolenia na pokolenie przechodziły z serca do serca, odradzały się w słowie, zaklęciu, geście, w różnych porach roku coraz to inny kształt przybierały, inne szaty wdziewały. Przyszli nowi ludzie i wydali wojnę słowiańskiej kulturze. Stare obrzędy ukryły się w lasach, a także wsiąknęły w nowe obrzędy; inne zwietrzały, straciły swoją pierwotną treść i stały się jeno skorupą pięknej ceramiki. Zapewne jeszcze dzisiaj w noc Kupały płonie ognisko zapalone głównie z Biskupina, może zioła zbierane po polach przez matki nasze są podawane przez ręce tamtych starek, może słowa w czasie obrzędów padają z tamtych warg, a nasze oczy napełniają ich łzami, nasze usta ich uśmiechami.

Ziemia była sarkofagiem dla zwłok kultury materialnej, serce urodzajnym zagonem, w którego głębiach ukryło się ziarno rozniesione po szerokich łanach polskich wieków. Trzeba przekopać serca, a odkryje się zabytki, które już na wielkiej polaci ziemi umarły, pochodzące sprzed wielu, wielu wieków. W wielu jeszcze polskich wsiach, w duszach starców, w tym niezniszczalnym mauzoleum mieści się Biskupin, rozprószony w milionach cząstek, abyśmy spod warstw mogli wydobywać wykopalska dawnych prawd i mądrości.

W sen popadł prasłowiański gród owity całunem błota, aby się obudzić, ożyć i prawdę nam powiedzieć, jak jest bliski nam wszystkim.

KIEDY GWIAZDA ZWIASTUJE NARODZENIE MIŁOŚCI

I

Młody Szczypa posadził w kącie izby koguta, aby go obudził. Chciał jechać jak najrychlej do lasu po buka. Wiedział bowiem, że jeżeli w wigilię zetnie drzewo, a leśny go nie schwyta, to będzie mu się szczęściło przez cały rok i nikt go nie przydybie na kradzieży. To samo dotyczy kłusownika. Jeżeli zabitego w wigilię rogacza zje z rodziną, to „się nie rozgłosi“, byleby poza dom nie wyniósł mięsa; jeżeli zaś sprzeda, „to się rozgłosi“, żadne polowanie mu się nie uda i zgnije w kryminale.

Zerwał się na pierwsze pianie, chlusnął na izbę, spojrzął przez okno na rozbłyśnięte niebo. Po gwiazdach poznał, że już daleko po północy. Z latarką wybiegł na obejście. Konia musiał oporządzić, nakarmić, napoić. Wkrótce wrócił, właśnie wtedy, kiedy żona, chcąc łatwiej rozniecić ogień, wepchnęła pod blachę kłęb słomy. Stary Szczypa, modlący się na klęczkach, na ten widok zerwał się i wy-szarpał jej z garści mierzwę.

— Nie wolno w wilię słomę palić, bo się zboże w polu zaśnieć! Drzewem trzeba.

Synowa posłusznie spełniła wolę ojca i narzuciła smolne drzazgi.

— A i to sobie widz — powoli, uroczyście nakazywał —

dzisiok nie wolno brać gotowanego do gęby; niech weźnie Józek placusia owsianego i parę gruli, to upiece w lesie.

Przy skąpym kaganku krzątali się ludzie, przenosząc ciężkie cienie z podłogi na ściany. Dzieci wychyliły głowy spod pierzyny, zamruczały, że kto dzisiaj rano wstanie, to przez cały rok będzie wstawał w czas, i znów zasnęły zapominając o całym świecie.

Z barłogu wyprysnął najstarszy Wojtek i stanął obok dziadka, zbierającego się na roraty i upominającego syna:

— Gałązki na połaźnicki ścinaj krzyzowate, żeby były wozne.

Młody Szczypa naciągnął baranią czapkę z zauszniakami, obwiązał się powrósem, przy pomocy ojca zaprzął konia do gnatków, wplótł siekierę w łańcuchy i wyjechał z obejścia. Sanki radośnie zazgrzytały mrozem. Kopyta budziły odgłosy w zamrożonej ziemi, jakby potraçały dzwony. Z wszystkich mijanych domów dobiegały odgłosy krętaniny.

— Kozdy chce tromik przywlyc, kozdy chce, żeby mu sie poszęściło.

Spod płozów, spod podków wypryskiwały okruchy lodu i śniegu, jak drzazgi spod siekiery, i kurzawą przysłoniły zaprzęg, pędzący po szczęście.

Z izb wylatywały słowa „Kiedy ranne wstają zorze“, jakby chałupy wszystkimi sprzętami, bierwionami wielbiły narodzony poranek.

Ulica stukała krokami gromad, śpieszących na roraty. Wieś ucichła, zgasła, natomiast kościół płonął wszystkimi ołtarzami, dźwięczał dzwonkami i śpiewał tylu głosami, ilu ludzi. Po skończeniu Mszy św. tłum rozsypał się po ścieżkach, biegnących w różne kierunki.

Stary Szczypa człapał za innymi, ale nie mógł nadążyć, bo mu zatykało w piersiach albo może ciążyło książycko, które dźwigał pod pachą.

— Co sie wam tak spieszy? Mało nóg nie połomiecie — dychała Giemzicka, idąca w tę samą stronę.

— Trza drew urąbać, trzeba koło zywiny porządek zrobić, trza przypilnować.

— Zrobią za was, dość ludzi w domu. Mnie już nie ciesy. Kwasi sie we mnie wsytko. Co zrobie, to sie wnącki ze mnie wyśmieją: wy, babko, wse-wse po staroświecku, a teroz inny świat, wsytko sie odmienio.

— Oj, odmienio sie, odmienio, nie na uciechę, ino na złość. Nawet w kościele było inacej. Piosnecki inkse śpiwali. Pogasone wsytko. Downiej inacej było we wiliją.

— Oj, inacej. Z wieczora niebozycka rodzicka zapowiedziała: wstoń na cas rano, zebyś nie zaspół, zebyś nie wstoł skwaśniały, ino ze śmichem, zebyś cały rok miał wesoły; a we wiliją mówili: bądźcie moje dzieci grzeczne, aby nie było nijakiej bitki ani złości; z Bogiem trza zacząć, to Bóg cały rok pobłogosławi. Rodzic strzegł obrządków.

— Teroz wsytko przepado.

— Jo robie tak, jak downiej bywało, jak ojcowie robili, bo im sie we wsytkim scęściło. Oni wiedzieli, jak trza.

Obejścia ożywiały się codziennymi sprawami. Mimo uganiaczki i krętaniny wszędzie panował spokój i cisza niejako obrzędowa. Tylko narzędzia pracy gadały po swojemu; gdzieś sieczkarnia cięła słomę, gdzieś siekiera łupała drzewo, gdzieś stępa tłukła ziarno na krupy, gdzieś żarnówka klekotała. Gospodynie sprzątały izby, myły graty, statki, aby nawet żdźbła nie zostało z wczorajszego

dnia, bo w czystości dom musi powitać święty wieczór. Muszą pamiętać o tym, że przed zachodem trzeba zamieść, bo w czasie świąt nie wolno wziąć miotły do ręki, boby pousychały drzewa w sadzie. Nawet na ulicach nie było wrzawy, choć puszysty śnieg aż prosił, aby po nim szaleć. Dzieciska czatowały za bramą na Abrama, handlarza, wędrującego z pękatym workiem na plecach. Ciągniono go w różne strony tak, że kupiec musiał się kijem opędzać. Zastanawiał się, gdzie iść; wiedział, że kupi wszystko dzisiaj za bezcen. Jeżeli w wigilię Żyd zostawi pieniądze w domu katolika, to będzie się wiodło przez cały rok. Najlepiej, żeby Cyganie przyszli, bo są wytrzymali na zdrowie. Jeżeli zaś sąsiadka chce pożyczyć chleba albo żaru na rozpalenie ognia, to trzeba ją miotłą wyścigać, bo to pomocnica czarownicy— chce szczęście zabrać do nieczystych spraw.

Mały dzień zrodził się różowym świtem i w złoto się zmienił, zasypując świat pokruszoną tęczą. Niebo okryło się przejrzystymi obłokami. Ptaki nie płoszone barwiły się wśród ośnieżonych drzew, jakby różnokolorowe ogniki, wpięte w biel. Gdzieś zastukał dzięcioł przywartym do smreka, gdzieś wiewiórka przeskakiwała, jakby płomyk przelatujący z drzewa na drzewo chciał zimę podpalić. Godziny przemijały, jaśniejąc słońcem. Ledwo ranek się zrodził, już południe na wieży zadzwoniło. Wieś przycichła, stłumiła kłótnie i przekleństwa. Wszyscy uważali, aby złością nie obrazić, frasunkiem nie zasmucić, łzami nie pokropić świętego dnia. Człowiek, dom, podwórze, zabudowania przywdziewały odświętne szaty, aby godnie powitać wieczór jedyny, wybrany spośród wszystkich 365, cały w jasności gwiazdy betlejemskiej, cały rozpłomieniony opowieścią o narodzeniu miłości.

W krętaninie i uganiacze nikt nie pamiętał o jedzeniu. Przez cały dzień nie wolno było jeść surowego grochu ani suszonych śliwek, aby krosty nie obsypały człowieka. Wolno było jeść albo ziemniaki pieczone, albo bób, prażony w garnku.

— A jodła warzonego — uchowaj Boże! — choćby małe dziecko się upierało, to nie dali tknąć pirwej, aze gwiozda wysła, ani też chleba nie dali skostować.

W wigilię obierali główki kapusty, warzyli na wieczrę, maścili pieprzem i grzybkami, a głąbie zostawiali do sadzenia na wiosnę i te nazywały się sadzenice.

Matki miały się po izbach, napominając dzieci, aby zimna nie wpuszczały, bo wyrabiają kołacze, bo chleb mają wsadzać do pieca. Ciskały garść mąki na rozżarzone węgle.

— Ogienek też trzeba pozywić, żeby się darzył chlib, żeby rósł i ładny był. Ogienek też głodny i łatwo się pogniwo na cłowika.

Potem gospodynie krajały upieczone podpłomyki i kazały dzieciom roznosić po sąsiadach i krewniakach, jakby wyrazy braterstwa i pojednania. Sąsiadki i krewne obdarowane pokosztowały, aby pochwalić.

— Udoł sie święty chlebuś, o, udoł...

Szczypta żwawo krzątał się po podwórzu; wszędzie był, wszędzie wypełniał gospodarskie obowiązki. Wnuczek pomagał dziadkowi i wciąż pytał: a to na co? a to po co? Stary tłumaczył cierpliwie, uczył słów, co należy czynić, a baczył, aby w niczym nie uchybić zwyczajom. Każda czynność posiadała obrzędowe znaczenie, każda była zaklęciem, mającym powitać nowo narodzony rok słoneczny, przywołać dobre moce do izby, na pole, w każdy kąt gospodarstwa. Te obrzędy, jako dar pamiętający

wieki, przekazywał najstarszy z rodu pierworodnemu synowi, aby ten znów powierzał dalej. Dziadek nie pozwolił wnukowi uprzątnąć szczypek, spadłych przy rąbaniu drzewa, bo wieczór miały posłużyć do wróżb. Później wybierał najdorodniejsze żdźbła na wigilijny snopek. Kończył wiązanie, kiedy zajechał syn na obejście, cały oszroniony.

— No, alem ładny tromik przywłókl.

— Nie chycił cie leśny?

— Mnie? — dumnie się wspiął — jesce sie taki nie urodził!

— Chwalać Panu Jezusowi, ze cie miol w opiece. Wozno rzec, bedzie ci sie wiedlo. Pon Jezus wi, cym grzysnego opatrzyć i podeprzeć.

— Tato, przywieźliście jedlicke na połaźnicki? — dzieciska pytały, biegnąc do sanek.

Dziadek ułamał piękną gałąź i wetknął w przygotowany snopek wigilijny i upomniął wnuka, aby z kiści jedliny ucinał konary, rozwidlone w kształcie krzyża. Następnie zaścielił boisko grubą warstwą zboża, bo: puste boisko przez święta, to próżne zapole po żniwach. Teraz uwijał się, aby skończyć wszelką pracę przed zachodem. Przenosił ze stodoły naręcza siana, napełniał konwie i cebrzyki wodą, bo jutro nie wolno ani kropli naczerpać ze studni.

— Teraz pootwiroj wrota i drzwi! — zawołał do wnuka. — Niech kozdy wejdzie, kto w potrzebie, kto w bidzie. Trafi się, ze dzisiok i Pon Jezus przychodzi w smatach chudobnych, zeby oboczyć, jakie są terazniejsze ludzie.

W oknach i w progach dzieci z utęsknieniem śledziły, kiedy zaświeci upragniona gwiazda. Ich spojrzenia mogły

tysiące gwiazd rozpaść, a nie mogły doczekać się tej jedynej, jaśniejszej nad betlejemską stajenką.

— Zeby się już roz zmirkło!

— Jak słońko spadnie z nieba, to rozbije się i będzie wiecór. Jak się rozłosce, albo jak będę wielki, to nie będę długo cekoł, ale pchnę słońko, żeby się ściemrzyło już w południe. Nie mogę dockać wiliji.

Niebo krwią się zalało, jakby ktoś uderzył je w serce. Słońce stoczyło się w przepaść. Wystrzeliła smuga, jakby płomieniste ramię błogosławiące ziemię. Ognisty wichur przeleciał po białej pustyni i zapalił śnieg. Postrzępione obłoki, nabiegłe czerwienią, podobne do rozżarzonych węgli, zaczęły gasnąć w błękitnym i seledynowym popiele, osypywać się, szarzeć i ciemnieć. Dziadek dźwignął oczy do góry, śledził przemiany zachodu i wyszeptał:

— Słonecko zasło.

— Kiedy będziemy przybijać połaźnicki? — pytał wnuczek.

— Zaroz. Zanieś nojpirw snopek do izby i postów w kacie.

Stary Szczypa obchodził gospodarstwo, zaglądał w kąty, nieznacznie wydobył zza pazuchy częśćkę czosnku i kreślił znak krzyża na czole krów, na wymionach.

— Od nówek, od głowy, od wymionek odganiom złe, żeby mlicka nie ukradło i nie zepsuło.

Czuł obecność złych sił w oborze, komorze, we wszystkich drzwiach, na wszystkich ścieżkach. W ten dzień jest ich najazd. Należy je odpędzić i unicestwić. Szczypa upominał wnuka.

— Zegnoj się, jak będę kryślił krzyz.

Zamknął drzwi stajni, przybił gałązkę jedliny spodnią stroną do lewej futryny, przeżegnał się i znów nakreślił czosnkiem krzyż.

— Panie Boze i ty święty krzyzicku, co cie kryśle na dźwirzach, pilnuj dobytku i odganiaj carowników, żeby chudoby nie pobabrali.

Stąd podążył do furtki, szczelnie ją zawarł i znów szeptał te same zaklęcia:

— Grodżę, żeby zło nie miało nijakiego dostępu.

Kiedy ubogi zawita w dzień, to go zapraszają, aby został „na Boży obiad“, i goszczą go przez całe święta. Jednakże po zachodzie nie wolno nikogo wpuszczać na obejście. Trafiło się bowiem, że diabeł przyszedł, siadł z wieczerzającymi do stołu, zjadł i dopiero wtedy objawił się, czym jest.

Szczypta wspiął się na kamienne stopnie, rzucone pod próg, przytwierdził dwie gałęzie jedliny po obu stronach drzwi wejściowych i pod nimi czosnkiem nakreślił krzyż, mający zabezpieczyć ludzi przed nieszczęściami.

— Dziadku, a cego przybijocie jedline? — pytał wnuk.

— Tak zawdy bywało, bo jedlicka święte drzywko. Ino w smreka strzylają pierony. Kiedy sie błysko, to pastyrz chowo sie pod jedlicke, bo go pieron nie porazi. Matka Bosko tez pod jedlicke sie kryła, a nie pod smreka. Liska tez święto. Powiem ci o niej kiedy indziej. Jedlicka to wesołość, bo sie wse zieleni.

— Dziadku, pożryjcie, o hań, pożryjcie! — z krzykiem wypadła wnuczka.

Na zachodzie leżała reszta zorzy wieczornej niby zakrzepła krew. W bezmiarach nieba, zakurzonego zmierzchem, zaczęła się rodzić wyczekiwana gwiazda; wyłaniając się coraz wyraźniej z mgielnych zasłon, rozpryskiwała swoje promienie.

— Pirso gwiazda.

Ucichły głosy. Zmartwiał świat.

Stary Szczypa zdjął czapę, przeżegnał się i pokłonił się pokornie samotnej gwieździe, od wieków zwiastującej na pustym niebie radosną nowinę. Z namaszczeniem przemówił, jakby słowa wydobył z osierdzia tej najjaśniejszej gwiazdy.

— Pon Jezus sie narodził.

II

Po przekroczeniu progu dziadek odłożył wszelkie narzędzie pracy, nawet myśl o niej. Ujął snopek wigilijny, leżący na stole, i postawił w kącie od wschodu pod obrazem a obok zieleni jedliny, związaną z kiściami jęczmienia, owsa i żyta. Synowa umyła dzieci w ługu, pilnując, aby każde było odświętnie ubrane.

— Juz sie zmirkło, trzeba świecić.

Najstarszy wnuczek wbił w ścianę nożyce, służące do strzyżenia owiec, w ich rozwarciu umieścił świeczkę, smolną szczypkę wetknął w żar pod piecem i wśród milczenia przeniósł płomyk na knotek. Zamajaczyły postacie świętych. Na ziemię napływał wieczór, można rzec: twardniały ciemnościami. Ledwo było znać kształty zabudowań, zarysy drzew. Okruchy gwiazd, rozsypane po sklepieniu, drgały niby ziarna bez celu rozsiane. Ludzie już nie patrzyli na niebo. Wszystkie okna jarzyły się światłem. Każdy dom stanowił swój odrębny świat, ogrodzony czterema ścianami, wśród których odradzał się zwyczaj i obrzęd, pamiętający życie sprzed wieków.

Niewiasta pod stołem na podłodze rozrzuciła naręcz siana, mającego spełnić rolę obrzędową w dzień nowego lata. W sieni dźwięknęły ogniwa. To młody Szczypa

niósł łańcuch, podał ojcu, który, klęcząc, opasywał cztery nogi stołu, niejako otaczał dom, gospodarstwo od węgła do węgła, aby człowiek ani jego uroki nie przekroczyły tego zagrodzenia i nie dotknęły ludzkiego dobra złym spojrzeniem ani babrami. W podłogę wbił siekiere i motykę.

— Pamiętajcie dzieci i słuchajcie, co mówię, róbcie zawdy tak, jak robiali ojcowie. Łańcuch po to, żeby carownik nie miał nijakiego dostępu do ludzi, do dobytku i do zywiny. Wierząc, trzymajcie nogi i na łańcuchu, i na motyce i rąbanicy, żebyście mieli zdrowie wytrzymałe jak zelazo. Siekira po to, żebyś był mowny i żeby cie nikt nie przemówił. Wse bedzies rąbał językiem jak siekirą, cy w sądzie, cy na jarmarku, a zawdy będzie twoja powda.

Dzisiejszy wieczór daje broń przeciw wszystkim złym mocom, czyhającym na ludzkie dobro przez 365 dni, toteż każde źdźbło, każde ziarno, każde słowo ma swoje znaczenie, swoją wymowę, której często nie rozumiemy, bo symboliczna treść zatraciła się wśród wieków.

Stary Szczypta czuł, że jest ostatnim, który wypełnia wolę przodków, toteż z nabożeństwem i przejęciem czynił wszystko, co czynił pradziad, dziedzic poprzednich pokoleń, aż do tego rodzica, który pierwszy ujął pług. Odświętnie ubrany, przepasany zgrzebną płachtą jak do siewu, wszedł do komory i z sąsięka nabrał po trzy garście owsa, jęczmienia, żyta, grochu „z wsytkiego ziorka, co ziemecka daje człowiekowi“. Wkraczał do domu nie zgarbiony, zgrzybiały starzec, ale odmieniony, uroczysty, jakby natchniony gospodarz, kapłan, wysłannik pól.

Gdy w czasie wojny zabrakło ojca, to wchodził chłopak, kilkoletni syn; wtedy i matka, i babka pozdrowiały

go przez „wy“, czcząc w nim przodownika rodu, wypełniającego ważne obrządki.

Przed wejściem do izby Szczypta położył dłoń na górnej belce odrzwi, dotknął czołem i zróst się, zjednoczył ze zrębem. W bierwiona wniknęło wyszeptane pozdrowienie, dane całemu domowi. W progu pokłonił się czterem kątom i wyrzekł:

— Niech będzie pochwolony Jezus Krystus!

— Na wieki wieków amen. Witojcie u nos — to ściany, belki, podłoga, powała, obrazy i sprzęty odpowiedziały ludzkim głosem.

— Bóg zapłać za powitonie. Niebo gwiozdą powiedziało, że sie Pon Jezus narodził na uradowanie ludzi.

— Witomy Pana Jezusa nowonarodzonego.

Pozdrawiali nie tylko oracza, żniwiarza, ale też dawcę plonów, przynoszącego najpiękniejszy dar słonecznego lata: chleb.

Szerokim ruchem siewcy, kroczącego bruzdą, cisnął garść zboża na izbę.

— Chryste Wsechmogący, dziękujemy ci za obfitość darów i prosimy cie, abyś nowe nagodził.

— Ej wiera, ej wiera, dej tyz Boze, dej!

Ziarna przeleciały srebrnym i złotym błyskiem i na podłodze zadźwiękły, zaszeleściły, zaśpiewały sypką, pełną mową.

Dziadek płachtę rozpostarł na stole, a resztę zboża przepasał wiankiem czosnku, spełniającego ważną rolę w wieczór św. Łucji. Srebrny pieniądz wsunął pod kopczyk.

— Zeby pinionski zawdy sie trzymały domu i telo ich było, co tych ziorek.

Z rąk synowej ujął trzy bochny i położył obok siebie

na zbożu, na wierzchu zaś wiązanę opłatków. Cofnął się na środek izby, pod belkę, gdzie cieśla wyrzezał gwiazdę i westchnienie nabożne, a pod którą umierającego kładą na barłogu. Klęknął na obu kolanach, z twarzą zwróconą ku wschodowi.

— Podziękujmy Bogu za szczęśliwy rok i poprośmy, żeby nam doł docekać drugiej wiliji w zdrowiu, w zgodzie, jedności i majętnościach.

Wszyscy padli na kolana. Rozległ się nabożny głos. Dziadek, syn, niewiasta, dzieci, czeladnik, domownicy z przejściem zmówili pięć razy „Zdrowaś Maryjo”; każdym słowem, rozpalonym żarliwością, dziękowali za wszystko doznane i przeżyte. Po modlitwie Szczypa krawędzią dłoni kreślił krzyż nad darami z powietrza, słońca i z ziemi. To nie zwyczajny, codzienny znak, ale niezmiernie ważny, bo w nim spłynęła moc Boska i dokonał się cud przeistoczenia. Wszyscy zjednoczyli się z prawieczną siłą. Już nie są sami. Kiedy najstarszy gazda błogosławił dom, zboże, wtedy zeszedł z wyżyn żywy Chrystus, zapełnił swoją obecnością izbę i zamieszkał w każdym z osobna, nie tylko w duszy, ale w słowach, ruchach, spojrzeniach, myślach i we wszystkim, co wyrosło z ziemi. Toteż każde źdźbło, ziarno, każda szpilka jedliny, główka czosnku, każde wióro, plewa, każdy szept i szmer zboża jest uświęcony, ma swoją ważność.

Dziadek wyjął opłatek z rutą, symbolem wieczystego życia, i położył do szaflika.

— Pirso zywiną. Pon Jezus nojpirw między zywine stąpił i ś nią sie radował.

W obie dłonie ujął chleb, jakby samo słońce, i chwilę zastygł. Wśród milczenia słyszeć było krechę krzyża, jaką bochen przezegnał. Pierwszą kromkę ucałował i odłożył

na bok, gdyż ją zachowa jako świętość, potrzebną do zażegnania, do siewu, do odpędzania zła. Potem krajał skiby, kładł na stole przed siedzącymi.

— Dzisiok dwa albo trzy kaski zjdz, żeby ci starcyło tego chlebusia przez całe godne święta i jeszcze zostało lo zywiny na nowe lato.

Oplatek nacierał czosnkiem i owocami dzikiej róży, zwanymi kogutkami.

— Cosnek od uroków, kogutek od wselenijakiej słabości, kto używo, żyje w zdrowiu i mo lica cyrwone ode krwi. Teroz biercie i łomcie — wedle starszeństwa łamał się z każdym po trzykroć.

Dawniej przestrzegano, aby wieczerza składała się z dziewięciu potraw, i tylko z takich, jakie ziemia urodziła; nic kupnego, wszystko domowe, w żarnach umielone, w stępie utłuczone. A baczyli, aby w wigilię były jabłka.

Teraz, po przełamaniu oplatkiem, gospodyni wносиła miski, a dziadek naczepywał mówiąc:

— Z obfitości dzisiejszego jodła po trzy łyżki lo zywiny, co dzisiok widzi Boże Narodzenie i mówi ludzkim głosem. Niewiasto moja — zwrócił się do synowej — przynos tak, jak przynosiła matka rodzicka. Kapusta z grzybami omascono olejem, bury groch z cosnkiem, krupy ze śliwkami, grule z jabłconką, korpiele z krupami, rzezanka z mąki żytniej, polono miodem albo posypano utartym makiem, groch ze śliwkami. Niech kozdy pojodo powoluśku, nie pazernie, ale godnie, po gospodarśku i przykęsuje chleba.

Pojadali w uroczystej ciszy, bez chciwości, a uważali, aby nikt od stołu nie wstawał, krom gospodyni, przynoszącej potrawy. Raz tylko dziadek rzekł z trwogą do najmłodszego wnuka, kiedy pies zaszczekał.

— Wyżryj przez okno, co tak wydziwio?

Chłopak przywarł oczami do szyby i oznajmił, że Burek hałasuje z uciechy i opowiada innym, co widzi przed betlejemską stajenką.

Gdyby ktoś wyniósł cokolwiek z obejścia w czasie „bożego obiadu“, to by zabrał szczęście i nie darzyłoby się przez cały rok.

W przerwie między jedną potrawą a drugą dziadek podniósł do góry bochen chleba, leżący na zbożu.

— Trza pożyć, co Pon Jezus nagodzi. Jak sie chyci duzo owsa, to sij owies, jak duzo ziorenek zytą, to sij zyto; bedzie sie darzyło. To nie zodne zabobony, to są przywilije od Boga!

Ucichli. Wzrokiem liczyli uczeplone ziarna. Ważna to wróżba.

Po wieczery znów modlitwa i podziękowania za szczęśliwą wigilię. Izba rozebrzmiała kołędami. Śpiewano w całości, a nie tylko zwrotkę lub dwie, „boby sie piosnecki obrażyły“. A w czasie śpiewania dzieci tarzały się po sianie, rozścielonym pod stołem, aby się zabezpieczyć przed chorobami. Wybiegały na podwórze, aby spojrzeć na las, bo wtedy będą rosły jak smreki i będą zdrowe, że ich nikt siekierą nie urąbie. Wracając zagarniały szczypki, leżące przy pniaku, i kładły przed dziadkiem, każde z osobna. Ile drzazg przyniosły, tyle lat żyć będą. Liczyły, liczyły, ani pamiętać.

Za oknem ukazała się różnokolorowa gwiazda; obracana, rozbłyскиwała obrazkami, wyciętymi w desce i wlepionymi bibułką. Ściany się zatrzęsły od kołedy.

— Dziadku, gwiazdy śpiwają — zawołał wnuczek. Obdarzeni kołędniczy zanucili:

Za kolędkę dziękujemy
 I Bogu wos zostawiomy
 Byście mieli, co potrzeba,
 A po śmierci hyc do nieba.

Kiedy kolędnicy odeszli, wtedy dziadek pouczał wnuczkę, że dawniej „dziopionka po Bozym obiedzie robiły różdkę z opłatków. Organista dawoł farbione na cyrwono, niebiesko, zielono za miareckę owsa, i z tego wycinały wielkie kółka i małe i uzdajały dwie gwiozdy. Ptoska, główkę i dzióbek robiły z ciasta, a skrzydełka i ogonek z papieru, pofarbionego pozłótką. Ptosek wyglądał jak Duch Święty, co furgo w kościele, abo na obrazkach. Taką różdkę wiesali na tragarzu“. Kiedy wnuczka zaczęła wycinać kółka, stary Szczypa poczłapał na obejście, wpatrywał się w zarysy lasu, ciemniejącego na stoku, na wieś, jaśniejącą oknami. Wszystkie domy śpiewały; zdawało się, że kolędy je uskrzydliły i uniosły w niebiosy, aby na wysokościach głosiły radosną nowinę każdym bierwionem, zmienionym w melodię. W różnych stronach rozlegały się wróżebne pohukiwania. Czasem mignął cień. To dziewczucha kładła chleb wigilijny na węgły, chcąc się dowiedzieć, czy tego roku wyjdzie za mąż. To znów pasterki zazierały przez okno do izb. Jeżeli nie zostaną dostrzeżone, to w lecie nikt ich nie złapie, krów nie zajmie, gdy będą wypasały cudze zboże albo łąkę. Nadśluchiwał ktoś, z której strony szczekanie psa się rozlega. Między drzewami snuły się cienie zgarbionych starców. Każdy z nich przykładł siekiere do pnia i groźnie wołał:

— A zetne cie, bez wiedziała, jak cie zetne...

A gaździna obok stojąca litowała się i zasłaniając zapaską pień, proszalnie mówiła:

— Nie ścinojcie mnie; bede rodziła, bedziecie w lecie widzieli.

I tak do trzech razy groźba i błaganie. Przechodzili od drzewa do drzewa i każdemu przebacjali.

— Jesce ten rok ci daruje, ale pamiętej, ostatni rok...

Synowa zadarła głowę ku górze. Dziadek na jej widok uradowany rzekł:

— Dobrze moja niewiasto robis, dobrze. Jak we wiliję duzo gwiozd na niebie, to twoje kurki duzo będą niesły jojek. I to se widz, ze jak w Boze Narodzenie z dachu ze sopli woda ciece, to krowy dobrze sie będą doić przez caluśki rok.

Szczypta błędząc po sadzie czynił to samo, co inni, a później uważnie przyglądał się gałęziom, obarczonym okiścią.

— Chwała Panu Jezusowi! Oprane drzewiny śniegiem, będzie uroda i mliczny rok. Śnig pochytoł sie gałęzi, jak pscoły, kiej sie wyroją z ula.

Wiedział, że drzewa mają drzewną duszę, kamienie kamienną, rzeki wodną, a ziemia ziemną; dzisiaj ożyły i ich głosy przelatują od drzewa do kamienia, od kamienia do fal, do ptaków, do bydłat, do wszelkiego stworzenia. Wiedział, że rozmawiają o miłości, jeno człowiek nie go-dzien usłyszeć. Nadśluchiwał, myśląc, że jego, gazdę, wypełniającego wolę ojców, łaska Boska nawiedzi i zrozumie mowę dzisiejszego wieczoru. Długo słuchał milczenia nocy i łoskotu swego serca. Smutek spoczął na duszy starca. Wrócił do izby powitany okrzykiem wnuczki, pokazującej różdżkę z ptaszkiem.

— Dziadku, downiej tak robili?

Wkrótce z pułapu rozkwitła różdżka, wirująca tęczą

kolorów. Widok ten na chwilę uradował dziadka. Syn, rozparty na ławie, głośno opowiadał:

— Widzi mi sie, ze to wcora było, a to juz więcej jak 20 roków. No, mieliśmy wiliję, bede ją pamiętoł do śmierci. Na niebie pełno było gwiozd, ino sie błyskało raz za razem od kanonów. Tamci podešli, chcieli przełomać front. Strzepaliśmy ich maszingwerami, ale nie nie pomogło — pchali się furt. Potem bajonety „auf“ i jeden w drugiego, w bebechy! Jezus Maryja! Taki krzyk, ze dzisiok cirpnę. Myśleliśmy, ze po wojnie człowiek z człowiekiem się pogodzi. Kaj ta. Większość, większość bida i uciemienienie. Nos gwiozdecki na niebie nie ciesą, oj nie! Ojciec chce, zeby my robili tak, jak downiej bywało. Inne my ludzie, całkiem inne. Wypoliło sie w nos wsytko. Jak śpiwać kolędy, kiedy w usach mom furt jęki, a w oczach mom pokrwawione, podarte, zabite. Samą krew widzę! Wsytko na świecie odmienione, ino tamto nie moze sie odmienić.

Stary Szczypa ujrzał przepaść, dzielącą go od syna, poczuł się opuszczony. Poczłapał zgarbiony na drugą stronę domu, gdzie dożywał ostatnie dni. Sięgnął po książkę za belkę, siadł na staroświeckiej skrzyni, barwnie malowanej. Chciał modlić się — nie mógł. Ktoś oczy piaskiem zasypał. Widział zgrzybiałymi oczami bujną, młodą przeszłość, później zobaczył swoją starość. Wszyscy odeszli; sam jeden został. Nie może się z nikim porozumieć. Przypomniał sobie dzisiejszy wieczór, ujrzał syna, synową, usłyszał ich głosy, powtarzane bez przejęcia i żarliwości. Wiedział, że po jego śmierci ustanie stary zwyczaj, nikt nie nakreśli znaku krzyża na drzwiach, nikt nie rzuci ziarna, nikt nie postawi snopa wigilijnego

z najdorodniejszych kłosów. Ściany, obrazy wydały mu się biedne i smutne.

— I wy bidoki. Przy dzisiejszych ludziach kozdemu źle. Downiej wszystko miało mowę i cucie, wszystko się cieszyło. Teraz nic nikogo nie cieszy — dźwignął rękę obrzędowym ruchem, chciał kogoś zakląć, ale poniechał zamiaru. — Wyśmieją się — „dziadu siedź pod piecem“! Teroz inne są ludzie. Inne ludzie? Dlatego ze starych nie słuchają, o downych zapominają.

Dzisiaj po raz ostatni dokładnie czynił wszystko, co ojcowie nakazywali. Czuł, że duch pomarłych pokoleń patrzy na niego i wszystko czyni, co on. On wykonywał obrzędy żyjącymi rękami, a tamci cieniem rąk; on żyjącym głosem, a dziadowie, pradiadowie widmem głosu wymawiali zaklęcia i błogosławieństwa. Był z nimi zespolony, toteż słyszał ich słowa, widział ich ręce. Bezwiednie wstał, zrobił krok, aby iść ku nim i jeszcze raz czegoś ważnego dokonać, i opadł na skrzynię.

— Juz wnetki za wami pódę. Duzo ludzi, a jo som na świecie. Skoda do nich słowa utracić. Niemowy! Nie dożyję do nowych Godów. Po co? Umrę jo, zamrze ojcowski obrządek w tej izbie.

Poczuł, że martwieje ręka, głuchnie głos, mroczą się oczy. Spojrzał na gwiazdę, zdziałaną na belce przez dziadka, i bezwiednie powtarzał zaklęcia, modlitwy, jakby na zawsze żegnał umierające słowa.

— Dziadku! Dziadku! — wpadł do izby wnuczek, jak wicher wiejący radością i — zamilkł. Zbliżył się na palcach, usiłując rozpleść starcze ręce.

— Cego płaciecie?

Szczypta przygarnął wnuczka, oparł ramię i tak

trwał, jakby zgrzybiały pień, z którego wyrósł konar nowego życia. Przejął go wstyd, że wigilijny wieczór żegna łzami. Otarł oczy i usiłował się uśmiechnąć do chłopca.

— E, nic, ino tak, ino tak... Wnęcku, wnęcku, pamiętoj, zebyś tak we wsytkim robił, jak rodzic nakazuje, jak jo... Ludzie od wsytkiego dobra uciekają...

Gdzieś śpiewali kolędy, pachnące jedliną, żywicznym lasem i radością miłości.

III

Gasły okna, cichły kolędy i wróżebne wołania. Wieś usnęła w mrokach nocy. Nie na długo. Godziny przebiegły szybko. Stary Szczypa, wychodząc na pasterkę, upomniął synową, aby przyniosła wody z prądu. Gromadki śpiesznie podążyły ku kościołowi, wzniesionemu na górze. Ostatnie kroki cichły. Myślałbyś, że domy opustoszały. Jednakże tak nie było. Kiedy północ obudziła się dzwonami, zaraz zaskrzypiały zawiasy, zatupotały chodaki. To stamtąd wybiegła kobieta i pędziła na oślep, nie zwyczajnie, ale tyłem, przez śnieg, przez grudy, przez kamienie, nie bojąc się, że upadnie, że nogi porani. Kto ją zobaczy, żegna się, jak przed złem. Ta zajmuje się babrami i teraz leci ku rzece, aby w miejscu, gdzie krzyżują się się prądy, wydobyć trzy kamienie, potrzebne na ognisko, na którym gotuje czarodziejskie zioła.

Ale dzisiaj z wszystkich drzwi wybiegły kobiety, jakby ktoś powiał czarnymi cieniami przez zaśnieżone ścieżki, wiodące ku potokowi, w przerębłach zanurzyły wiadra i w najbystrzejszym prądzie naczepały od dna

wody, jej świętej siły. Pędem wracały, aby konwie postawić przed drzwiami, aby napęlić kropielnice. Plusk zdradzał, że rzucały pieniądz z wigilijnego stołu, że wtykały źdźbła ze snopka, że ciskały okruczności opłatka.

Wracając z pasterki stary Szczypa ułamał gałązkę z połaźnicki, namoczył w konewce i, przekraczając próg, mówił kropiąc ludzi, obrazy i kąty:

— Niech będzie pochwalony Jezus Krystus! Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, aby Pon Jezus doł dockać drugiego Bożego Narodzenia we szczęściu, we zdrowiu, w mniejszych grzechach, w większych radościach, w Boskich miłościach, w urodach hojniejszych w oborze, komorze, jakieśmy ten rok przeżyli.

— Ej wiera, dej tyż Boże, dej! — wszyscy zgodnie odpowiedzieli.

Reszta nocy prędko przeminęła. Dzień świtem zajrzał do izb zamkniętych, aby obudzić nowe obrzędy, zespolone z Bożym Narodzeniem.

Domownicy myli się w wodzie, w której tkwiły źdźbła i srebrzył się pieniądz. Matka nad każdym powtarzała:

— Zebyś był cyrstwy i zdrowy jak ten piniondz, zeby cie ocy nie bolały, zeby z ciebie ta woda chorość obmyła!

Czas był iść do kościoła. Szczypa szedł na ranną mszę w kierpcach, w serdaku bogato wyszywanym i w gurmianie długiej, ostatniej we wsi, wyrobionej w domu z wełny i ozdobionej czerwonym szlakiem. Spod gurmany widać było nogawice, ubarwione ornamentem, noszącym staroświeckie nazwy. Pod pachą niósł grubą księgę, zdobną mosiężnym okuciem. Po mszy wracał pełen nabożnej radości. Gdzie popatrzał, wszędzie zieleniły się

kościu jedliny przybite do drzwi. Wracający z kościoła odłamywali gałązki, maczali w wodzie i kropili obecnych w izbie, wypowiadając życzenia świąteczne. Po dokonaniu tego zatykali gałązki za obraz. Szczypta to samo uczynił, zewlekl z siebie gurbanę i zaraz zakrzętał się koło gospodarki.

— Pódziemy pokropić zywinę i powinsować, żeby się nom darzyła!

Wyniósł z synem cebrazyk, stojący przy stole wigilijnym, do którego wczoraj wrzucono pokruszony opłatek, chleb, potrawy, do którego wiano wodę, jaką oplukano naczynia po wieczerzy, i trochę wody, przyniesionej z potoka o północy. Przed otwarciem drzwi stajni ułamał gałązkę jedliny i wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Krystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział syn imieniem statku.

Krowa odwróciła łeb i ryknęła, jakby powitała gospodarza kropiącego i wypowiadającego życzenia.

— Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, żeby się darzyło wszelkie stworzenie, w oborze, komorze, co dej Panie Boże, amen! A to amen mówię za was, bydłatka — targał opłatek z rutą i obdzielał krowy — pozywoj, żebyś chowała się w zdrowiu. Kielo bydlatek, to kozde musi skostować świętości, żeby ich zęby nie bolały, żeby cary się nie chyliły — mówił człapiąc do zagrody, aby wypuścić owce, które żwawo wyprysły przez próg i przepłynęły przez podwórze po śniegu, niby potok, zbrudzony białymi falami, do domu. Stłoczone w środku izby otoczyły gospodarza, kropiącego ich jedliną. Niektóre wspinały się, chcąc kuszącą zieleń chwycić pyszczkiem. Obdzielał opłatkiem.

— Ile na tej choinecce sysecek, tyle dej nom, Panie Boże, owiecek!

Po napojeniu z cebrzyka zawiódł kierdel do stajenki.

Dzwony wzywały wszystkimi głosami na sumę. W izbach wiele było bieżaniny w szumie spódnic, barwiących wnętrza. Kobiety wybierały, dobierały chustki, gorsety, żeby się kolory nie gryzły ze sobą.

Kiedy dom opustoszał, Szczypa zaczął rozniecać ogień na staroświecki sposób. Nikomu w tym nie dałby się wyręczyć. Bukowe drwa leżały na klepisku. Wnet czeluć pieca zahuczała, jakby to ogniste duchy, strzegące ogniska domowego, zaśpiewały płomieniami. Siadł na ławie przy oknie, rozłożył książkę do modlenia i nadśluchiwał, czy niebo błyskawicami nie przemówi.

— Jak si rozgnie w Boże Narodzenie, to będą ognie, a jak sie rozgnie w Trzech Króli, to musi być wojna, i to z tej strony, co sie błysło.

Ulica zabarwiła się gromadkami kobiet, zakwitła tyłu kwiatami, ile spódnic, chustek, kożuchów, ale zaraz opustoszała, a na bieli śniegu zostały słoneczne skrzenia i cienie przydrożnych drzew. Martwota zaległa. Ani jeden krok nie zatupał, ani jedne drzwi nie skrzypnęły. Szczypa wiedział, że nie tylko on jeden czuwa, ale i Majerczak i Matuszek i Madeja i Salamon i Adamczyk starczymi oczami patrzą w tę samą stronę, starczymi uszami nadśluchują, aby równocześnie wypełnić obrzęd, tak ważny dla każdego gospodarza.

Ponad dachami wsi górował kościół, wyrrywając się wieżą ku wysokościach z otaczających go drzew, błyskając oknami, zlanymi blaskiem i radością pogodnego dnia, spływającą ze słońca. Poprzez ściany i mury wiekowi starcy widzieli wszystkie szczegóły mszy, odprawianej

przy ołtarzu, słyszeli nie głosy organów, nie śpiewy, ale anielskie duchy, zlatujące z przestworzy. Przeżywali całe nabożeństwo. Zdawało się im, że zrab domu razem z ludźmi, razem z kościołem śpiewa kolędy.

Zbliżała się chwila, kiedy miała się ozwać sygnaturka, aby oznajmić, że biały krążek Hostii, wyjęty z sanktuarium, wznosi się w palcach księdza w ciszy tłumy, rzuconego na kolana.

Nad rzeką mignął człowiek.

— Baca ceko na Podniesienie, zeby odłupać trzy bryły lodu do swoich obrządków. Juz cas!

Szczypota wiedział, że ksiądz zakazuje tego robić, piekłem grozi, gdyż to gusła i zabobony, jednakże wewnętrzny nakaz był mocniejszy niż groźba pomsty Bożej, nie mogącej skruszyć wiary, skamieniałej w duszy. Zamknął książkę, pocałował wyblask krzyża i położył za belkę. W ciemnej izbie leżał nóż „stołowy“, którym się „chleb rzeze“ albo ciasto z dzieży wyskrobuje. „Ino hołoc, bez Boga w sercu, do krajania chleba używo tego samego noza, co do strugania drzewa“. Klęknął przed otwartymi drzwiczkami pieca, z głębokim westchnieniem uderzył się trzy razy w pierś i szeptał w buchający żar:

— Panie Jezu, przeboc i odpuść grzych, bo robię z pomocą Bożą! Panie Jezu, stąp ku mnie i kieruj moimi myślami, moimi rękami, zeby sie wszytko w prowadę obróciło i na pozytek ludziom.

Ostrzem noża, zaczerwienionego blaskiem, przeżegnał ognistą czelusć trzy razy i wtedy dopiero z rozprysków iskier wygrzebał okruch węgla i położył na krawędzi:

— To bedzie zytko. — Drugi wydobył: — To bedzie owiesek.

Pojedynczo „wykładał“ i nazywał mianem zbóż, pło-

dów rolnych — jarzec, grule, groch, piechota, korpiele — jeszcze raz powtórzył nazwy, aby nie zmylić, wpatrywał się uważnie, śledząc uczucia i przeżycia każdego węgla. Zaklinał, aby się jarzyły i osypywały popiołem jak kłos ziarnem.

— Który węgiel będzie corny, to nie trza sioć; który bioły, to dobrze. Schną, pięknie gasną — szeptał do wróżb wyjawiających mu tajemnice lata. Jedne chwilę kwitnęły żarem, popielaly owiane lotnym pierzem, inne — czerniały od razu.

— Na zytko spolił się węglík — trza sioć; na owies — spolił się węglík, ino piórka ostały, nagodzi Pon Jezus. — Zatroskał się nad czarnym — został jak umarty, wodą pokropiony — ziemniocki chybią; wolo Boza! Jarcu tez skoda sioć, zaśnieci sie; wolo Boza, nie nasa! Panie Jezu, odwróć złość i pocies ułomnego człowieka i obdaruj go chlebem!...

Wymawiał zaklęcia, pomieszane z modlitwą, sięgającą niebios. Już wiedział, że węgle, zmienione w popiół, przepowiadają urodzaj, choćby siał na kamieniu, a inne, pogasłe, wróżą liche plony. Zobaczył zagony, rozrzucone po zboczach, i teraz szeptał do nich, litując się nad ich niedolą, to znów radując się dorodnymi zbiorami:

— Pon Jezus doł taką mowę węgielkom; stare ludzie wiedzą o tym z dowien downa, ino młodzi nie chcą wiedzieć tej prowdy.

Na odgłos kroków cisnął węgle pod blachę, a popiół zgarnął ostrożnie, aby przechować do wiosny i razem ze zbożem wsiać.

Wracający z kościoła wchodzili z ułamaną gałązką, maczali w kropielnicy i niezmiennie wypowiadali te

same życzenia, co w wigilię, gałązki zaś wtykali za ramy, i stare, szerniałe świętości otaczali zielonym wieńcem. Obrazy zapachniały lasem, wiecznie żywą zielonością.

Po południu, kiedy rozległy się śpiewy na ulicy, gorzył się Szczypa.

— Inacej downiej bywoło. Nikt na drodze nawet nie tyrknał; jak na niebie gwiazda nie zaklnie, nie krzyknie, nikogo nie bije, tak samo było we wsi. W Boże Narodzenie nikt nie wziął do ręki mietły, nikt nie posed w gościnę, nawet brat do brata, az dopiero w Scepona. Wiecór zaświciłi kaganek i śpiwali pobożne piosnecki. Teroz sie naród rozpuścił i w grzychu zyje...

IV

W noc św. Szczepana niebo zaścielone było barłogiem chmurek, między którymi wyblyskiwały gwiazdy, niby ziarna rozprysnięte na roli.

W izbie Szczypa z pomocą wnuka kręcił powrósła ze słomy, leżącej pod wigilijnym stołem. Jeszcze daleko było do świtu, ale należało wszystko na czas uporządkować, aby słońce nie zobaczyło obrządków.

— Trza robić, pokił ptok nie obleci!

Pomiędzy owocowymi drzewami trzepotał płomień, oświetlający twarz starca i dziecka. W sąsiednim sadzie błdził taki sam płomień.

— Majercok tyz robi to samo.

Szczypa zdejmował zeszłoroczne powrósła, opasujące pnie, rzucał na stertę i podpalał, okadzając drzewa dymem.

— Zeby Pon Jezus odegnoł złą mgłę od kwiotków,

zeby chorosc nie zezarla liści, zeby okwiat nie obleciol, ale ostol i zawiązol owoce !

Śpiesznie Szczypa obwiązywał pnie nowymi powrósełkami, chcąc skończyć pracę przed wschodem słońca.

— Wtedy chroboc nie zji i drzewina rodzi.

Rozwiał się gwiazdy. Spłonął świt. Chmury, jawiące się, były podobne do podartych chorągwi, wyrzucanych na niebo z płomieni. W opustoszałych sadach złote obrączki przecinały szare pnie. Między gałęziami zakwitły sikorki, rozwieszając barwne proporczyki wśród okiści.

Szczypa, wracając z sumy, chodził od drzewa do drzewa i ciskał garsteczki święconego owsa.

— Zeby kozde z wos w zdrowiu i pomyślności urodziło jabka i gruski takie wielkie jak kamienie, jakimi ludzie ukamienowali św. Scepona !

Po południu odwiedzali się sąsiedzi, krewni, znajomi, przynosząc skiby kołacza, chleba, aby nie przychodzić z próżnymi rękami. Każdy ułamał gałązkę i „winsuje“:

— Na szczęście, na zdrowie, długie życie, letkie skonanie, a po śmierci dusne zbawienie !

Wieczorem turoń biegał od izby do izby, kłapał drewnianą paszczką z czerwonym podniebieniem, strasząc dzieci. Za oknem gwiazda, w wirze różnokolorowych ozdób, śpiewała ustami niewidzialnych kołédników o Narodzeniu Pana. Odchodzili w noc, dziękując za dary.

— Za kolędę dziękujemy, szczęście, zdrowie wiensujemy
Byście byli szczęśliwymi, a po śmierci zbawionymi,
zbawionymi.

Szopka pokazywała sceny, pamiętające czasy średnio-wiecznych klasztorów. Kołédnicy wydobywali stare, zapomniane melodie, przynosili z domu do domu wesołe,

zrywające nogi do tanecznego tupotu. Jasełkarze przypominali stare zwyczaje ku ucieście widzów.

Ale te widowiska, przynoszone przez obcych ludzi, nie należą do świątecznego życia rodzin, do obrzędów, wyrosłych na polskiej glebie.

Mijamy te izby, kryjące zachowane skarby i nie widzimy ich. A tak łatwo zobaczyć szacowne zabytki, podobne do bursztynów, kształtowanych przez tysiące lat, przemawiające prawdą wieków, mądrością ich doświadczeń, urokiem osędziałości.

V

W wigilię Nowego Roku znowu ruch i krętanina w izbach. W piecach radośnie trząsał ogień. Dzieciska stały w skupieniu, śledząc, co matka robi. Gospodynie piekły „kołocyki“, zwane „nowe latko“. A co chwilę słyszeć ich głos.

— Maryś, nadzirgoj mi kłosek! — ej, takóś nie-zgraba! — przerywała pracę i zniecierpliwiona biegła. — Docekałabym się — sama targała ze snopków wigilijnych i wtykała w środek ciasta.

— Downiej kołocyki — dychoł dziadek — były z jęczmiennej maki, jakże mogło być inaczej, kiedy paradnej nie było. Casem wystrojone były syrem albo bryndzą.

Jeszcze było ciemno, kiedy zapukały palce, zatupały „kierpcoski“ w sieni. Rano w Nowy Rok, zwany „nowym latem“, pierwsze wbiegały dzieci i już od progu dzwoniły:

— Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok, żebyśmy dockali drugiego Nowego Roku we szczęściu, we zdro-

wiu, w mniejszych grzychach, we większych radościach, w Boskich miłościach, jakoby my dożyli.

Co chwilę znowu inne wpadały, winszowały wszystkim, a nowe latko dawały i było uciechy ani wypowiedzieć.

A w przerwach za drzwiami rozlegał się gruby głos i tupanie na rozgrzewkę:

Nowy Rok przysed
taki maleńki, taki maleńki.
Śliczna różyczka — pikna stuzyczka
Śpiwoj — śpiwoj, kołędu dej.
Rozkwitła lilija,
A to jest Panna Maryja,
Zrodziła nom syna
Wesoło nam dzisiok nowina.

Kiedy rozebrzmiały pierwsze nuty, kiedy błysnęły śle-
pia za oknem, rozległ się krzyk — Cygany! — Już dziew-
czyna buchnęła pod pierzynę i w przerażeniu zaciągnęła
ją na głowę. Ale czy to mogła wytrzymać. Po chwili
ostrożnie jedno oko wychyliła:

— Wezną mnie do torby, cy nie?

Nie brali dzisiaj, bo była grzeczna. A dziadek do
synowej mówił, aby wyniosła im kołacza albo ze dwie
kwarty jarcu.

— Pon Jezus nagodził, to trzeba się podzielić. Pon
Jezus dzisiok wsytko widzi i stokrotnie nagrodi i we
wsytkim nagodzi.

Chrzęścił śnieg. Przebiegały dzieci. Drogą szedł
chłopak z bochnem chleba pod pachą.

— Oto celadnik od Madeja. Ugodził sie do Salo-
mona, bo mu obiecoł i kosule, i przyodziwę, i kierpce,
i zapłatę więkso. Tak na sie pomstowali przez calutki rok,
tak wydziwiali, a teraz niesie chlib.

— Jakżeś myślała, tak bywało i tak mo być po wszystkie casy. Ze służby zawdy kozdy musi odejść z chlebem a nie ze złością...

Stado drobiu wypuszczone z kurnika pognało przez podwórze z buńczucznym kogutem na czele. Synowa Szczypoty dzisiaj nie ciskała garściami zboża, stojąc w progu, ale rozsypała połownik, mieszaninę owsa, jarcu w kręgu obręczy, zdjętej z beczki.

— Ciu! ciu! ciu! — rozległo się wołanie, darzące zbożowymi darami.

Stado stanęło zdumione. Kogut łeb zadarł, trzepnął czerwonymi płatkami, zjeżył się gniewnie grzebieniem. Nie wiedział, co oznacza ta zaporą. Po namyśle przestąpił ją bohatersko. Za nim wepchnęły się wszystkie kury. Zakłębiło się. W wirze różnych upierzeń kogut był podobny do główki, mającej podpalić szary tłum, wydziobujący sypkie skarby. Wróble chwytaly pożywienie, wyprysnięte poza obręcz, a przeznaczone dla dawczyń i tworzycielek jaj. Kury godziły dziobami w bezczelne stado tak, że wróble rozlatywały się jak garść plew pod podmuchem wiatru, siadały na gałęzi i wrzaskliwie wyćwierkiwały przezwiska, które trudno by było przetłumaczyć nawet na najbardziej barwny język ludzki.

Dzisiaj początek nowego lata. Ziarno to nie zwyczajne, ze sąsiedka, ale wzięte ze stołu wigilijnego. Część zabrał dziadek do wiosennego siewu razem z popiołem wróźebnym. Karmienie w obręczy ma swoje obrzędowe znaczenie.

Mała Marysia, wtulona w fałdy spódnicy, wołała co chwile:

— Mamo, cego tak robicie?

— Śpik ci urósł, utrzyć nie umis, a pytos sie. —

Szczypcina otarła jej nos. — Wsytko chciałabyś wiedzieć.

— Wsytko. Cego dziadek Józkowi mówi?

— Wis na co? Zeby we swoim gniaździe niesły, a kaj niebądź nie traciły jojek, zeby sie domu trzymały, zeby były nieśliwe i zeby kozdo zniesła tyle jojek, ile ziorek rozsypałam. Któro by nie przesła przez obręc, to by ją zjod jastrząb. Ta obręc telo robi, ze zodno kura nie zmarnieje. Moze to nieprawda — dodała po namyśle — e, chyba prawda, bo tak od dowien downa ludzie robili.

Kury przekraczały obręcz, z rondelka nabierały kropel wody, podnosiły głowy do góry, jakby odprawiały w zachwyceniu obrzęd picia. Kogut grzebnął śnieg od niechcenia i ciężko trzepocąc frunął na słup. Królewski jego płaszcz rozblił wszystkimi blaskami. Zadarł dziób buńczucznie, skrzył go w jedną, w drugą stronę, jakby czegoś szukał na wysokościach. Zwrócony ku słońcu, nadął się dumnie, załopotał skrzydłami, jakby rozwiesił płomienny proporzec ponad światem, i wtedy dopiero z piersi wydarł hejnał czy sygnał bojowy. Po wszystkich podwórzach rozległy się jego wezwania. Z łbem, zuchwale podniesionym, kogut piał, może wyrzucal swój hymn ku słońcu, dźwigającemu się z głębi góry ponad dachy.

Dziadek uważał to za szczęście.

— Bedzie sie nom scęściło! Piekności kogutecek. Wozne, co on teraz mówi.

Kogut witał nowe lato, zrodzone w słońcu.

Gospodyni pobiegła do izby, aby zamieść siano i słomę, leżącą pod wigilijnym stołem. Potrzebne one na gniazdo, kiedy się posadzi pod kwokę jajka kurze albo kacze, bo wtedy od razu się wylęgną.

— Jednego dnia wsytkie kurcátka piknie wysta-

wiają dziobki, jak wyrąbki i ze skorupki od razu sie wytocą, a nie kapią po jednemu. I takie, z gniazda świętego siana, chowają się — co cud! Kieło się wysypie jojek, tello się kurczęta wylegnie i są barz nieśliwe. Trzeba pamiętać i o tym, żeby sadzić, kieć ludzie wychodzą z kościoła, bo wtedy kurczęta od razu się wysypują, jak ludzie z dzwirzy po sumie. Kieć ni ma tego siana, to chowają się niewydarzone, do nicego.

— Mamo, jo też tak będę sadziła — mądrzyła się mała — dalibyście mi, to bym też wysiedziła.

— Zgnietłabyś, a potem mama by cie kijem sprąła — zaśmiał się dziadek.

— A cego kura nie pogniecie? Jo mom taką samą sukienkę jak kura — ręką zamiotła spódnicy z barchanu.

— Aleś ty głupio! — Jasiek z namysłem rzekł, patrząc na nią długo — mo dziewucha rozum? E, jakby miała — machnął garścią, wyrażając lekceważenie, nie ulegające żadnej wątpliwości.

VI

Stary Szczypa w czasie wszystkich dni świąt nakazywał i upominał: od jodła nie odchodź, wody w casie obiadu nie pij, bo ci ptoski zboże wypiją z pola pięknie. Nie kładź copki na stół, gdzie chlib leży, bo ci krety całe pole zryją. Kto nie wierzy, niech spróbuje, a dowi się z płacem, że to prawda.

Pieniądz, położony w wigilię pod zboże, przechowywał do następnego roku i upominał syna: „nie wydaj go nikomu, choćby cie nie wiem jako bida biła, to się be-

dzie ciebie szczęście trzymało". Przez święta, aż do Trzech Króli, śledził przemiany na niebie i ziemi, bo one przemawiały do rolnika nowymi wróżbami. Strzegł wszystkiego, co było na stole wigilijnym, bo każde ziarno, żdźbło, okrucz miały moc zabezpieczającą żywinę i ludzi przed klęskami, miały moc łamania piorunów, odpędzania burz, to sprowadzenia deszczu na zagony. Kłęb siana i słomy daje się krowom w dzień Trzech Króli. Dziwnym się wydaje, dlaczego właśnie wtedy. Bo ludzie nie wiedzą, kiedy się prawdziwie „dziciontko Boze narodziło, cy w naskie cy ruskie święta". A może to jest wspomnienie, jak głosi legenda, że Szczawnica była ongiś osadą ruską? Resztę siana chowa się na „potrzeb domową" do okadzania. Jest ono „barz skuteczne" w słabościach ludzi i bydłat. Koń nie zasługuje na to, bo nie był w stajence betlejemskiej.

Chleb ma leżeć na stole też do Trzech Króli, aby wypowiedział wróżbę. Jeśli zakwitnie całą ośródką, to „wsendy będzie urodzój", gazda „i z bruzdy wyzyje". Jeżeli zakwitnie środkiem, to ino grzbietem zagony urodzą, a reszta wymoknie. Jeżeli krajem, to ino skrawkami urodzą się ziemniaki czy zboże i „będzie wymocysty rok".

Jeden bochen, upieczony w wigilię, przechowują, aby poświęcić w Wielką Sobotę. Mówił stary bacia: „pirso kromka do Tomka, pirsy okrajek chowo sie na potrzeb domową i lo ludzi. Bochenek mom na cały rok, do kossoru na holę niesę. Bydlęciu dać, kiej kto chce pobabrać, do soli owieckom pokruszyć, pod progiem domu zakopać. Ino trzeba go poświęcić na św. Agatę. Dobrze jest rzucić do studni w smatce ze solą święconą, wtedy nikt wody nie pobabrze, nie zepsuje ani nie odbierze, studnia nigdy nie wyschnie". Ruta jest pomocna bydłęciu. I jedlina

ma też swoje znaczenie. „Jak sysecki schną samym wirchem, to urodzą się ziemnioki ino po wirchach, jak środkiem — to będą po polach, a jak dołem — to można sadzić, gdzie się chce, wsendy Pon Jezus nagodzi“. Jeżeli szpilki, to jest „sysecki“, tylko niektóre poschną, a inne zostaną zielone, to śmierć zagości w domu tego roku. Przed burzą pali się gałązki jedliny, bo ten ogień rozpędza grzmoty, grady i wszystko, co jest złe w powietrzu. Okrzesane gałązki gotują i w odwarze moczą nogi — wtedy goją się wszystkie rany.

W wieczór wigilijny, kiedy najstarszy z rodu czynił krzyż, wszystko stawało się cudem, we wszystko wstępowały najświętsze siły. Rolnik błogosławił spracowaną ręką dary ziemi, która nie zna złości, zemsty, a służy człowiekowi chlebem, plonem ze słońca.

VII

W ciasnych izbach, nieraz przy łuczywie lub przy kaganku, wśród zwierzeń, prowadzonych tak często szepcemy, aby ktoś z młodych nie usłyszał; „bo wyśmieją“, zbierałem ostatki ginącej przeszłości. Przypadek zdarzył, że w wieczór wigilijny odwiedziłem dziewięćdziesięcioletniego samotnika Majerczaka, syna sławnego czarownika, o którym legendy krążą, wzbudzające do dzisiaj podziw dla jego niezwykłych czynów. Majerczak, zwany „student“, siedział obok skrzyni, ślicznie malowanej, przy stole, zasypianym ziarnem, obok snopa zboża z jedliną. Rozrzewniony wspomnieniami opowiadał o dawnych czasach. Ten starzec, stwarzający piękne mity, już odszedł.

Można rzec, że zabierałem wspomnienia z umierających warg pokolenia, stojącego nad grobem. Słuchając opowiadań zrozumiałem, że wieczór wigilijny — to nie czas radości, wyczekiwany przez miliony, wypatrujące gwiazdy, zwiastującej narodzenie miłości, ale to wieczór złych mocy, które trzeba zniweczyć gestem, słowem, znakiem, modlitwą.

Kiedy starzy mówili, jak dawniej bywało, oczy im jaśniej świeciły, serce mocniej biło.

— Jagef, zapamiętał, u mojego rodzica, niech z Bogiem odpoczywo, tak samo bywało i u krewniaków i u sąsiadów, wsensy jednako. Kaj indziej inacej, bo co wioska, to inno pioska, co chałupa, to inno nuta, a co kroy, to inny obycoj. Teroz sie pozmieniało, wykruszyło i mało wiele zostało. Ani poznać, na jakim jo świecie zyje. Downiej było pikniej i weselej. Teroz ludzie jak w grobie, w ściemrzeniu, a ino z pazdurami. Chowom stary obycoj, ale nie trza o tym mówić, niech nawet moje dzieci nie wiedzą. Po Bozym obiedzie idą spać, a wtedy w swojej izbinie robię tak jak ojcowie. Nieroz to i zapłacę, bo mi zol tego, co sie straciło, co juz sie nigdy nie obudzi, bo w sercu ludzkim umarło. Teraźniejse ludzie mówią, ze to gusła. To wsytke jest od Boga naucone i wsytke sprowadzone, od dowien downa trza tak robić, bo był taki święty układ. Teroz ludzie nie mądre, ino chytre, takie wicie, pomyslowe, podstępne. Przódzi były mądre. Teroz nauki są, ino serca ni ma i lotego wyśmiwają sie ze starych. Niech sie wyśmiwają, juz jo tego nie popusce, zawdy, do śmierci bede tak robił, jak ojcowie. My juz ostatnie. Potem bedzie pustka. Zmarnieje wsytke, zdzia dzieje, świat do nicego zejdzie.

Wiedziałem, że inna ich mowa, inne czucie, inne

upodobania, toteż razem ze starymi, których nie rozumiałem dzisiaj życie, współczułem, razem trapiłem się, razem żałowałem ginącej przeszłości. Patrzyłem, jak na klejnoty, na wierzenia, obrzędy, kryjące tajemnice, odwieczne prawdy, streszczające doświadczenia pokoleń, mówiące o bezsilności człowieka wobec przemożnej potęgi przyrody, o jego tęsknotach, wyrosłych z pierwotnej duszy, jak wyrasta zboże z urodzajnej ziemi.

Zgarniam ocalałe ostatki, jakby pojedyncze źdźbła, rozrzucone po zagonie, zbitym gradem, wiążę w snop i rękami pokolenia odchodzącego stawiam w kącie domostwa polskiego. Każdy kłos jest pełen ziarna, zrodzonego na kamienistej glebie górskiej. Niechże ów snop szumi głosem pól i budzi miłość do opowieści o tym, co było.

WYPRAWA PO WĘŻOWĄ GŁOWĘ, MAJĄCĄ CZARODZIEJSKĄ MOC

W wieczory zimowe, w kąpielnianej izbie, wśród opowiadań o tylu dziwach często przewija się słowo „wąż”. Posiada on czarodziejską moc, potrzebną bacom, babrokom, zamawiaczom, guślarzom.

— Dawniej wąż — mówią starzy górale — chodził prosto na ogonie, jak laska, i śpiewał bardzo pięknie nad podziw, ale później stracił urodę i urzekający śpiew.

— Dlaczego?

— Bo nie słuchał Stworzyciela i został przeklęty. Kiedy Pan Bóg krzyknął: będziesz się włościł na brzuchu i będziesz proch jadał, to wąż żalił się na tę sromotę i płakał rzewnymi łzami, że go będzie brzuch bolał od włóczenia po twardej, ciernistej ziemi. — A na to Pan Bóg mu powiedział, że tak będzie aż do końca świata, bo jest przeklęty za to, że pożyczył swojej skóry diabłowi, żeby Ewę skusił do grzechu. I za to wąż wziął taką wielką nieprzyjaźń do ludzi. Człowiek, choćby jadł chleb, a nie ma czym uderzyć, to ten chleb odejmie od ust i ciśnie jak kamieniem i za to nie ma grzechu. Wąż ino tyle wart.

Inni znów mówią o wężach z czcią i podziwem, ścisząc głos i uchylając kapelusza przy tym słowie, jakby przed zaklętym królem. Nie dziwota. To moc i potęga. Ojciec na własne oczy widział i opowiadał: Z koliby wra-

cał do domu lasem, a tu wyszedł z ziemi gad, długi chyba na 12 metrów, hruby jak tram drzewa; uszy miał wielkie jak koń, a głowę tyłą co ćwierć. Popatrzał na człowieka ślepiami, już się miał na niego cisnąć. Hej, mocny Boże, jakby ino tknął, to by chrupło i trzasło jak złamana zapalka. — Ojciec zawołał o pomoc do św. Tadeusza, bo św. Tadeusz jest patronem od gadziny. I co powiecie, gad już z miejsca nie ruszył się naprzód, tylko zawrócił i poszedł w las między skały. A potrącane po drodze smreki, takie grube, żebyś obu rękami nie objął, ruszały się jak patyki we wodzie. Taką miał w sobie siłę. Gad co dnia zjadł kozę albo owcę, co mu przyszło na myśl, ale nie bacom, tylko innym ludziom.

Bacowie nie boją się nawet największego węża, bo go zamówią swoimi zaklęciami. Co więcej, węże są dla nich nawet bardzo pomocne i w czarach potrzebne.

Jednemu bacy ktoś kradł ser i żętycę. Z tego powodu było dużo przekleństw, że to robią jego pachotkowie i nie-raz baca złożył ich kijem. Aż tu juhas zauważył, że z kępy wypełznął wąż, przeciągnął się przez trawę, obejrzał się raz, drugi i przez próg patrzy do koliby. Cicho. Nikogo nie ma. Wtedy wlaź do środka, zjadł kawał sera, strącił przykrywkę z dzieżki i popił żętycy. Juhas narobił krzyku: baco, wyście na nas zganiali, a tu wąż kradnie! — Bacy żał się zrobiło sera i żętycy, na drugi dzień zakreślił kredą Trzech Króli koło i dobrze zaczyjony czekał. Kiedy wąż wylazł, baca dziachnął go poświęcaną siekierką i na miejscu zabił. Od tego dnia wszystko odmieniło się na złe. Owce były smutne i mało się doily. Przez połowę było mleka mniej niż dawniej. Baca targał włosy, wszystko czynił, co można, żeby odegnąć nieszczęście. Nic nie poradził i nie odmienił. W swym sromotnym położeniu

wziął krążek sera i poszedł po poradę do czarownika, do tego samego, co mu z wiosną zakładał koszar na świętą Zofię. Ten wysłuchał opowiadania i powiedział, że nic nie poradzi, bo to już nie jest w jego mocy.

— Jo ci posłół gazdę, żeby ci pilnował i strzegł dobytku. Trza mu było dać do kępy gornuś mlika na kozdy podój, to by ci nie chodził ani do syra, ani do zetycy. Tyś go zabił; teraz już nikt ci nie wróci mlika, bo nie skrysisz gospodorza.

— No, i wicie, ten baca skapnął na nic.

Ciało węża jest bardzo skuteczne przy chorobach ludzkich, bydłowych i przy zakłęciach, jakich używają bacowie. Jednakże trzeba zdobywać je w wigilię św. Wojciecha. Niebezpieczna to wyprawa. Aby iść, czyniłem starania od dawna, wkradając się w łaski, usiłując bacę zjednać. Bacowie strzegą tajemnic, wierząc, że przez wyjawienie ich stracą moc, to znów nie chcąc narazić się na drwiny. Mogą powierzyć je jeno zaufanym. Miałem się wybrać z bacą nie byle jakim, hohoho, uważał on pasterstwo za świętość biblijną, za obrzęd. Jakby nie umiał babrów, to by nie bacował... Na bacę trzeba się uczyć jak na księdza. Ile to roków? Przez całe życie. Na księdza uczy się dla siebie, a na bacę dla innych ludzi, żeby im dobrze i źle robić.

Jeden z młodszych gazdów mówił w jego obecności tak:

— Łońskiego roku wiązali my owies; w te razy przysła noremnica tako od Pienin, że ludzi obalało, snopki z garzci wyrывało i niesło w powietrzu.

— A cóż to było? — pytam poważnie.

— To nie wicie? — baca spojrział na mnie z lekceważeniem. — Carnoksiężnik górą leciół i takim wiatrem duł za sobą.

— Aleście, chrzestny ojce, nie dali.

— A nie dołem — z dumą rzekł stary, jakby to on wstrzymał rozhukane żywioły w przestworzach. — Jo zacytoł! — dobitnie dodał. — Wozem, o tak, obróciło — skreślił rękami — ale go nie obaliło, bo przy mnie nie miało mocy.

— Nie dziwota. W torbie mieliście wszytko, co potrzeba.

— A miołem. Jo bez tej torbecki nikany nie chodzę — uderzył dłonią po skórzanej torbie.

Ta torba — to jego skarbiec. W niej ziola, kawałek stule, gruszka woskowa, święcona w wielką sobotę, ogarki świece, sznurek od dzwonów. Bez tej torby — wedle mniemania własnego i ogółu — nie miałby swej mocy i władzy.

— Jo wszytko robie z Bogiem, to mi sie wiedzie — bacia zamrugał chytrymi oczkami.

— Z Bogiem tu, a diabeł w torbie zaparty — ktoś zaśmiał się.

— Cego cas i cego potrzeba.

Musiałem wypełnić rozkaz, żeby „złe“ nie miało do mnie przystępu, a więc iść na czczo, jak do komunii, wdziac świeżo praną koszulę. Ważny to dzień. Uroczysty. Jeden w ciągu całego roku. Zaraz za progiem bacia kreślił święconą kredą nade mną znaki, koła, krzyżyki. Żegnał, zaklinał, dając grudki wosku ze świece, palącej się przed obrazem św. Trójcy. Teraz wiedziałem, że jestem uzbrojony przeciw wszelkim działaniom wrogich sił. Bacia wyraził lęk, aby w czasie naszej wędrówki nie zerwała się burza. Bywa bowiem tak, że w tę noc wichry z całego świata zlatują i zagrządzają drogę. Często też nie umiającemu zakląć złych mocy ścinają głowę i rzucają

w przepaść. Ludzie nieraz widują przeklętą marę, bładzącą bez głowy.

— Pilnuje, nie do dojść — szepnął tajemniczo.

Jego przepadywania nie spełniły się. Noc była cicha, kiedy po północy wyruszyliśmy na wyprawę. Przed nami ciemność, nad nami niebo rozmigotane gwiazdami, jakby zbożem, rozsianym niewidzialnymi rękami siewcy, który po zachodzie zeszedł z zagonów.

Trzeba się było pięć po stromym zboczach. Zatajone gałęzie chlastały po twarzy. Czasem kamień oderwał się, potraçał inne i w głąb ciemności sypał się grad łoskotów, głucho głośniejących gdzieś daleko. W poprzek drogi leżały obalone, spróchniałe pnie. Liny pełzających zielsk pętały nogi. Ledwo rozeznawałem bielejące pasemko ścieżki, wciąż przepadające w gęstwinie. Po krokach brzmiały głucho poznawałem, któredy idzie mój towarzysz. Baca nie błdził, żwawo podążał. Wiedziałem, co czyni. Czasem wykonywał ruch, jakby się rzucał w przepaść, to przystawał, pochylał się i ze świecącego pnia naczepał próchna, to znów wszechwidzącą garścią coś obmacał, nożem przekroił darń w krzyż i wyluskał, co mu było potrzeba. W tych miejscach, tak sobie świetnie znanych, corocznie gromadzi potrzebne zielska. Niektóre zbiera w nocy, bo słońce nie może widzieć i ptak ośpiewać, inne o świcie, żeby rosa nie obeschła. Teraz księżyc go pilnował i strzegł czynności, aby ręce nie zbłądziły. Świński korzeń na masło i na bryndzę zdrowy. Żółte ziele także jest skuteczne; jeżeli bydło je spożywa, to go nic nie zepsuje, choćby nawet wlało na czary. „Kopalnik jałowcowy okręgly, mo takie — wicie — na sobie pasecki, daje się bydłciu, żeby nie kulchało. Wojciesek mo po sobie kropki, wyrosto z prowadziwej ziemi św. Kunegundy.

Wyduje cyrwony kwiotek. Bacowie zbirają, zeby majątek sprowadzał, zeby mlika było duzo, zeby zywiną sie nie psuła. Trudno wsytko spamiętać i jesce trudniej wyjawic tajemnicę, boby cary straciły swoją moc. Ino tak po wirchu možno mówić“.

„Z dziewięciu krzaków po trzy patycki ułomać. A co krzak, co drzewina, to inso, smrecek, jedlicka, liska, osika, cirniok, modrzeń, jałowiec, kogutek, babiok. W Wielką Sobotę poświęcić, kiedy ksiądz święci ogień i wodę, przechować z kredą Trzech Króli i spalić. Te węgielki potrzebne są do wszelkiego kadzenia, cy jak kosor trza zakładać, cy jak kto zacaruje, cy jak bydlę mo iść na paświsko“.

Ciemniejsze niż noc pnie, strzelając w górę, podpierały gwiazdzisty strop. Kłębiły się korony, niby szumiące obłoki, zasłaniając niebo tak, że tylko w wyrwach drgały okruchy światła.

Chrzęściło zeschłe igliwie, chrupał nadeptany chrust. Ciężkie konary smreków zwisały, jakby włochate łapy potwora, zacząłonego w mroku. Czasem gwałtowny podmuch uniósł się, przeleciał, szarpnął wierzchołkami. Drzewa zahuczały. Zdawało się, że to cały las załomotał skrzydłami, chcąc się zerwać z gęstwiny. Uwięzione pnie skrzypiały, korony kołysały się, a las płynął w głąb nocy.

Nieprzeliczone stopy, biegnące po liściach, po trawach, po kamieniach. W ciemności trzepoty i szepty. Tupot i szelest, chichoty i jęki. Zatajone opowieści przemówiły tysiącem głosów. Zbudzony las powiał strachem. Powietrze napełnione grozą. Każdy chrzęst, szept, tupot, ma wstrząsającą wymowę. Wciąż nowe głosy, występujące w rozmaitych stronach. Tyle ich, a tak różne! To

nie zwyczajne głosy, to duchy, czekające na bacę, aby go przerazić, zwieść, odciągnąć, zepchnąć na manowce.

Ciężka to droga, zjeżona tyłu niebezpieczeństwami.

Baca idzie śmiało do swego celu, uzbrojony w czary, szeptaając zaklęcia, niweczące moc nieprzyjacznych żywiołów. Nie wolno cofnąć się, boby sprowadził nieszczęście na siebie. Jest przekonany głęboko, że to chmary wrogich postaci biegną, ścigają, otaczają go, aby rozłamać obręb zaklęć, zedrzyć z warg słowa, zniszczyć ruchy rąk. Nie mają sił. Odpędzone — jęczą przejmująco.

Groza dzisiejszej nocy mogła się wyzwolić tylko w burzy. I czekałem, kiedy niebo bluźnie błyskawicami, kiedy grom za gromem wstrząśnie wiosenną przyrodą.

Tutaj każda piędź ziemi jest uwieńczona legendami. Ta kotlina, to drzewo, ta młaka, ten kamień, to źródło. To nie opowiadania wyłaniają się, ale duchy wylatują z lasu, jęczą w podmuchach wiatru, z gwiazd spływają, drżą w liściach, szeleszczą w źdźbłach traw, kwitną w kwiatkach. Gadki, słyszane w izbach, teraz ożyły w całej przyrodzie; w jesieni znów wrócą do izb kądzielnianych, aby towarzyszyć rękom przędzącym, aby napępiać dusze strachem, od którego włosy się jeżą, ciało kostnieje.

Tajemniczość niesamowitej nocy podnieca i każe wierzyć w to, co wierzy lud.

Baca ominął kopiec wisieluchów na rozstaju. Należało przypuszczać, że kiedy indziej przyjdzie po piasek, tak bardzo potrzebny do jego obrzędów. Wyprawa ta jest bardzo niebezpieczna i grozi nieszczęściami. Teraz ów pagórek zadzwonił chórem świerszczy, ukrytych w gęstwinie traw. Tutaj zaszemrał potok, przesiewając fale przez kamienie. Wybłysły strugi ciekącego srebra. W kilku miejscach tryskały z ziemi. Księżyc przebył swoją

drogę i zniknął poza wierchem. Na czarnym pokrowcu zadrgały gwiazdy, świecąc ostatkiem światła, bo wnet stopniały w przedrannej szarości.

Ciemność szarzała, rozwidniana dniem, dopiero rodzącym się gdzieś poza górami. Z rozpraszaney czerni wyłaniały się pnie, kępy, kamienie, przybierając własny kształt i barwę. Z głębi lasu wypadło stado wron kraczących, jakby to drzewa z przekleństwem chciały ukamienować różowiejący świt. Ich czerń, nasiąkająca żarem poranku, podobna była do główni, wyrzucanych z pożaru. Długo krążyły nad lasem, potem wzbiły się w górę, chcąc chmarą zasłonić wschodzące słońce. Zwały czerwieni wypływały na niebo i powoli się toczyły. Ta czerwień zapełniła wszystkie strumienie, źródła, potoki, jakby przerabana ziemia broczyła krwią.

Słońce wysunęło się spoza krawędzi i wspinało się po spiętrzonych chmurach.

Baca stanął, zwrócony twarzą do rozognionej tarczy. Oczy jego zapłonęły. Chyba ze sobą po swojemu rozmawiali: gazda na ziemi i gazda na niebie. Tak do siebie przynależni. Spojrzałem na niego. Po wargach przemknęły słowa jak ogień.

Wtedy, na podziw patrzących, wyszła z lasu, z mroków dzisiejszej nocy, śliczna postać, zakłęty duch dziecięcy — brzoza. Jej biel wyłoniła się z zieleni smreków, z pokręconych konarów pokraccznego buku, jakby brutalnie uwięziona w żyłastych jego ramionach. Zadrżała w koszmarnych jego splotach i zawiała zamiecią liści. Kiedyśmy ją mijali, szmer trwał bez przerwy. Liście, co dopiero poczęte, musiały się wyszumieć. Z uśmiechem słuchałem jej tajemnic, coś do niej mówiłem.

Ostatnie mgły zawisły nad młakami, stwarzając

kszałty przedziwnych postaci. Te mgły, różowiejące w rannej zorzy, stały się treścią tyłu legend.

Krętymi strugami wily się potoczki, wypływające spod kamieni, pluskały srebrzyście, tworząc wśród zieleni kałuże, napełnione błękitem odbitego nieba. Na gałązkach, zwisających nad wodą, drżały liście, dźwięczały ptaki, otrząsając rosę i perlący się śpiew. Jednakże błyszcząły w słońcu krople rosy i dźwięczne krople melodii, uронione z serca rannych śpiewaków.

Baca wyszukiwał zakątki, zatajone w gęstwinie. Raz za razem migał jego nóż. Wiadomo jaki: zaczarowany. Ostrze dwoma cięciami, w kształcie krzyża, kreśliło ziemię. Palce, zagłębione w czarnej glebie, wydierały korzenie, to krótkie, mięsiste, to znów istne ich węzowiska. Wiele musiał nazbierać ziół, świętości na cały rok przeciw wszystkim nieszczęściom, złym siłom, czyhającym na jego dobytek w oczach drugiego, współzawodniczącego bacy, w każdym skinieniu jego ręki, w faldach chmur, w błyskach piorunów.

Wędrowaliśmy długo. Słońce ktoś rozebrał z przemiających obłoków i nagle położył na niebieskiej płachcie.

Tylekroć słyszałem opowiadanie, że baca w wigilię św. Wojciecha swoimi zaklęciami wywabi węża nawet z najtajniejszej kryjówki, aby mu uciąć potrzebną do czarów głowę. Dzisiaj, po paru godzinach wędrówki, traciłem nadzieję.

— To już chyba wrócimy do domu.

— Gego? — spojrzał zdziwiony.

— No, bo już nie wyjdzie.

— Wyjdzie — krótko wyrzekł.

— Ech — zwątpiwszy w skutek wyprawy, trwałem w uporze.

— Jescem nigda nie wracół z próżnymi rękami. Byłbym nic wort. Musimy pockać do południa. Jednego lata było tak. Zimno za zimnem, dysc za dyscem, ani się dockać wiosny. Wsytko pochowane; ledwo kwiotusek abo trowka wyźrała, zaroz śnig przyprał. Widziało się — koniec świata. Gniwało się niebo na ludzi i nijak nie chciało się wypogodzić. Myśle se: dzisiok nic nie przyniese. Ale ide. Jak nie iść w taki dzień? Kole południa wyźrało słońko, ino na trochę. Patrzę, a hań dwa węze zaświeciły jak ogniem. Jeden haw, a drugi hań, naprzeciw. Grzały się i słońko piły. One rade słońko pić — dodał dla wyjaśnienia. — Siekirkę miołem w garzci, te samą co teroz. Ino się migła. Ciach, ciach i juz było po nich. Niejeden sie cudował. No, było cego. Od jednego razu — dwa!

— No pewnie, nie do każdego wychodzą węze — pochwalilem go.

— Skądby — baca nadął się dumnie. — Ony wiedziały, ze jo tędy pódę, bo jo tak zrobilem swoją mocą, zeby wysły. Nie miały swojej mocy i nie mogły się sprzeciwić. Cekały na mnie. Trzeba umieć zacytać węza.

Baca po położeniu słońca poznał, która godzina. Cienie kurczyły się, malały, zamiecione poza pnie.

— Ostatni cas! Wnetki południe — przeżegnał się, trzymając kapelusz w garści.

Teraz szedł czujny, zaciskając juhaskę. Wszystko widział, co chwilę rzucał wzrokiem po zakamarkach, ilekroć coś zaszeleściło. Czasem stawał, przymykając oczy. Wargi dygotały od tajemniczych wyrazów, bijących z piersi, jak odwieczny źródł. W pewnej chwili nogi ugięły się, jakby pod ciężarem. Oparł się dłońmi o ziemię, w którą coś szeptał. Widziałem kształtujące się słowa,

nieme i głuche; ani razu nie przybrały dźwięku, choć były ważną mową. Baca wymawiał potrzebne zaklęcia, coś czynił rękami, widocznie sprawował obrzęd. Każdy jego ruch ważny, konieczny, nakazany przez tradycję, wyuczony przez zwyczaj, przekazany przez pokolenia. Bez szelestu przemknął, jakby ktoś cieniem powiał po równinie. Teraz dopiero zauważyłem splot węża, z głową wspartą na kamieniu, w którego wgłębieniu tailo się trochę wody, wspomnienie wczorajszego deszczu. Ani nie drgnął, może odurzony słońcem a może zaklęciami. Zanim sobie zdałem sprawę z całego zajścia, baca zerwał się. Zastygł. Chwilę tak trwał. Zbierał siły. Nieznacznie popłuł na siekierkę. Zobaczyłem rękę podniesioną do ciosu. Mignęło ostrze ponad głową. Srebrna błyskawica przecięła powietrze łukiem. Trzask. Tyle można było zobaczyć i usłyszeć.

Odprysła odcięta głowa w różowy i żółty ogień wiosennych kwiatów, wysypanych na zielen. Skręt gada zwinął się gwałtownie, podrzucony przedśmiertnym rozmachem trysnął w górę, jakby świetlisty strzał. Z wściekłością kogoś chciał atakować, uderzył w pustkę, migotając srebrnymi łuskami w powietrzu i legł w trawie drgając, kurcząc się, miotając ogonem.

— Głowa hań leży — wskazał ręką. — Umordowałem się.

Uklęknął na oba kolana, rozszczępionym patykiem ujął głowę, rozchylił paszczkę, odsłaniając ostre zęby. Bez jednego słowa owinał swoją zdobycz w szmatkę lnianą i schował do torby. Ciało węża przeżegnał siekierką, zagarnął w gęstwinę, zarzucił gałęziami smreczyny, przygniótł kamieniami.

Pytałem go o różne sprawy, nie odpowiadał, ale spieszenie zawrócił i niemal skokami zbiegał ku wsi.

Kiedy wchodziliśmy do zagrody, żona gazdy stanęła w progu i niemym wzrokiem śledziła wyraz jego twarzy. Rozumiała go. Baca minął ją i zginął w komorze, przylegającej do sieni. Wiedziałem, co czyni teraz. Już ma przygotowany garnek, napełniony piachem z krzyżowej drogi i z kopca wisielucha; głowę węża, rozdziawioną szeroko, swym obrzędowym ruchem zakopie głęboko i wsadzi cząstkę czosnku, a w czasie nowiu zagrzebie w ogródku, gdzie nie ma dostępu ludzkie oko. Po tylu a tylu dniach i nocach z paszczęki, szpetnie rozdziawionej i wyszczerzającej zęby, wystrzeli badył czosnku; kropiony rosą i święconą wodą, nabierze straszliwej mocy tego węża: jego jadu. Potem w kościele baca musi ukradkiem, aby nikt nie widział, dziewięć razy poświęcić jak kredę albo ziele. Przez cały rok będą przychodzili ludzie z dalekich wsi po czarodziejski skarb, wyproszony lub kupiony za drogie pieniądze ukryją w zanadrzu, aby w ciągu lata odpędzać zło i nieszczęście.

Po długiej chwili siadł na ławie przed chałupą, zdjął kapelusz, czoło spocone otarł rękawem i mówił z wiarą:

— Takie ziele skuteczne we wszystkim. I do statku tyz barz potrzebne. Trzeba zadawać krowie w kozdy nów. Jak sie roz nie zada na nowiu, to rycy, kopie, chce stajnię rozwalić i nie do sie podoić. Wicie cego? Ano tego, ze ją złe opętało i trza odegnąć. Tak, wicie, musi mieć zadawane w kozdy nów, to nijakie złe ni mo przystępu do krowiny, nikt mlika nie odbierze. Kozdy baca musi mieć. To jest nojwozniejse ziele. To wiem od dziada, pradiada.

— A dlaczego po zabiciu przykryliście węża gałęziami i kamieniami?

— Tak trzeba.

— No, ale jakie to ma znaczenie?

— Kiej mu sie głowę utnie, to wąż zyje jesce do zachodu słońka. Tak nim pierę, tak nim cisko, pokiel słońko nie zojdzie. Słońko mo nad nim włódcę. Nieroz i na metr do góry nim cisko. Trzeba zakryć skolmi, boby słonecko chorowało.

— Jak to?

— Bo i słonecko choruje. Kiej zachoruje, to sie ćmi, jak miesioncek, casem połową, casem więcej i nie moze świecić. Za to jest strasny grzych, nie odpuscony. Nie wolno smucić słońka. Zawdy musi być wesole, zeby ludzie były wesole. Słońko dlo wsytkich radość.

Tego dnia słońce świeciło jasno, przechodząc samotnie po niebieskich drogach.

Siedzieliśmy przed chatą, gwarząc o gusłach, dziwach, cudach, wymawianych z nabożnym wzruszeniem. Nad nami migały przeloty ptaków, zaprzątniętych wiosennymi sprawami. Szpak, tkwiąc na gałęzi, migotał różnymi odcieniami zieleni, dobierał tonów, aby wyśpiewać tajemnice, ukryte w piersiach. Gardło pulsowało od prze-różnych dźwięków na cześć życia i miłości do samicy, krzątającej się na obejściu.

Drzewa otrząsały głosy ptaków, głuszac naszą mowę.

Po niebie spłynął powiew różu, zwiastun zachodu. Chmury, wrośnięte w błękit, zaczęły broczyć szkarłatem. Gałęzie zakołysały się, wstrząśnięte krótkim podmuchem. Nagły plusk liści, jakby plusk fal, bijący z głębi źródła. Trawa, wylewana z ziemi, kipiała po zboczy, tworząc kaskady zieleni, z której wytryskiwały kwiaty, jakby żółte i białe ogniki.

Przez wyrwę między konarami chlusnął snop światła na bacę, który coś mówił, niejako dyszał słowami. Rozpościerał dłonie, skurczał je, zagarniał, chwycił, ścisnął i wypuszczał jasne smugi. Zwichrzone włosy wybuchały na kształt płomieni. Twarz gorzała uniesieniem.

Baca łączył się niemą modlitwą ze słońcem: sługa pokorny z przejasnym panem na niebie.

BABRY, BABROSIE i BABRULE

Życie dawnej, ale wciąż jeszcze żyjącej wsi, przychodzi do mojej izby i na stół, między zebrane szpargały, rzuca w wielkiej obfitości dokumenty zamierzchlej przeszłości, legendy, opowieści, prawdy, skamieniałe w sercach tylu — tylu pokoleń. I zgrzybiałe dziadygi z głębokim przekonaniem, i młodzi z zawstyżeniem, usprawiedliwiając się, „chyba to ino takie bajdy“ — mówią o wszystkim, czym pierwotny i dzisiejszy człowiek żyje, co czuje, co myśli.

Wchodzę do zapomnianych zakamarków, do mrocznych komór, do kolib, szałasów, na pastwiska, pola, gdzie leżą omszałe rupiecie wierzeń, spod pajęczyn podejmuję je i wynoszę na światło dzienne. Idę w las, w szum wiekowych drzew, a z ich głębi wypływa ludzki głos, który opowiada o dziwach. Wsłuchuję się w burzę, a błyskawice wyjawiają mi prawdę niebios. Staję nad źródłami, aby w ich toni zobaczyć zakłęta, cudotwórczą moc. Na rozstajach dróg zbieram popioły, rozsypane rękami czarownika, rzucającego je z zaklęciami na wszystkie strony świata. O północy rozgrzebuje kopce trzech wisielców, aby opowieść o duchach przeistoczyła się w rzeczywistość i grozą mnie nappełniła. Wszędzie tyle głosów, tyle legend, tyle wierzeń! Bo tu każdy kamień, każda bryła, każda fala żyje odwieczną prawdą, starą jak mądrość i mowa ludzka.

Zabobony, czary, tu nazwane „babrami“, leżą głęboko zaryte w najciemniejszych zakątkach duszy, jakby węgle, wciąż się żarzące, których żadna moc nie może zgasić. Człowiek ma przeciw złym siłom własną siłę. Jeden przeciw drugiemu chowa w zanadrzu zaklęcie, jak nóż, gotowy do wyjęcia każdej chwili. A tak często z modlitwą, z westchnieniem o pomoc Bożą wydobywa złość na złość, zemstę na zemstę.

I wiem, że kiedy mleko się psuje, to ktoś pobabrał. Najlepsza rada jest, niech baca wydoi krowę, potem skopcem chluśnie poza siebie w dół kloaczny i w tym miejscu niech wbije kołek.

— Żebyś się z tego miejsca nie ruszył, jak ten kołek, wbity z pomocą Bożą.

Musi zaraz uciec stąd, nie obzierając się poza siebie. Ten kołek przebije na wylot tego, który by jeszcze raz chciał krowę zepsuć.

I wiem, że w chwili, kiedy pannę młodą na weselu rozbierają, aby ją czepić, i zdejmują z głowy paniński wianuszek, to trzeba ukraść sznurek, którym związany ów wianek i dobrze schować. A kiedy krowy po zimie pierwszy raz idą na paszę, kawałek tego sznurka rzucić na rozżarzone węgle i okadzić. Wtedy żywina może iść na dno piekła, przez sto czarowników, i nikt jej nic złego nie zrobi, nikt mleka nie odbierze ani nie zepsuje.

I wiem, że jak baca drugiemu bacy na złość owce poczaruje i odlatują im „wymioncka“, to musi iść o północy na młaki, do dziewięciu moczydeł, i z każdego moczydła — gdzie kobiety po żniwach moczą len i konopie — zaczerpnąć po trzy razy wody. Jak tą wodą pokropi owce, wymioncka obmyje, to im poradzi i zło odegna. I nie tylko w wigilię św. Zofii należy to czynić, ale każ-

dego czasu, kiedy mu potrzeba. O tym jednak długa gwara...

Wiem i to, że jak człowiek zje wieczór obiad wigilijny i na drugi dzień rano pójdzie ze swoją potrzebą, weźmie to i w czasie sumy wsadzi w piec temu, do którego ma złość, ale tak, żeby nikt nie widział, to ten, czyj dom, tak samo uschnie, jak i to, co leży w piecu.

Wiem też, że baca musi mieć kości z cmentarza, aby je zakopać w przejściu do koszar. Jak owce przejdą przez nie, to im nic złego się nie stanie. Kości też używa baca w razie, gdyby owcom co brakowało. Na św. Michała, po powrocie z hali, musi odnieść, skąd je wziął, bo w przeciwnym razie nie wiedłoby mu się, a nawet mogłoby mu urwać głowę albo zadusić. Każdy baca ma zawsze dość na sumieniu i w nocy nie wyjdzie na obejście ani na ulicę bez dziecka, bo tylko ono go zawsze obroni.

Wiem też, że w wigilię św. Jana Chrzciela, zanim słońce wyjdzie, „jak sie obyjdzie naokoło chotoru (prze-strzeń pola) i powsadza sie wirchsycki liskowe i mówi sie zakłęcie z Bogiem, to na to pole nie mo prawa grad uderzyć, zeby zniszczyć“. Grad przenosi się dalej.

Wiem, że baca musi mieć chrzcielną wodę, tę, którą ksiądz chrzci. Jeżeli mu kościelny nie da, to sam ukradnie. Ta woda jest potrzebna w każdej sprawie, a szczególnie, gdy daje owcom na hali pierwszy raz sól, to musi ją pokropić.

A kiedy juhas chce ukraść owce, to musi tak zrobić: psa wcześniej zobaczyć niż pies człowieka, przeżegnać się lewą ręką i powiedzieć: „ślepoś sie rodził, ślepo na mnie patrz“. Ten pies, żeby był najbardziej zły, to nie szczeknie, nie brechnie, ino tak zaburczy, bo jest „zamu-miony“. I już można wszystkie ukraść.

Wiem też i to, bo to kobieta widziała żywymi oczami: tamten wyskubał strzępek z ubrania wisielucha, a w nocy mignął płomyk w polu. Choć ten płomyk powiał tylko, to mimo wszystko poznali twarz. To właśnie ten na krzyżowej drodze spalił ów strzępek z ubrania wisielca. A później widzieli go, jak na pyrci, którą miały owce przejść, rozsypał popiół i wyrzekł mściwie:

— Bedzie ta doił teroz... Bedą wymioncka suche jak ten popiół, co rozsypuję pod kozdy ich krocek.

No i przeklęty baca nie doił, bo na wymionckach przyszcze się porobiły.

Codzienne życie przynosi ustępy, wyrzucone z serc, przepalonych aż do głębin nienawiścią, okrucieństwem, zemstą, zatajoną w każdym żyjącym pulsie krwi. Zbieram te głosy, słowa do opowieści, która patrzy ludzkimi oczami, dyszy ludzkimi uczuciami, błyska ostrzem ich mowy.

Zaklęty gwóźdź

Grabarz nieco uniósł wrótnie szopy cmentarnej, chwilę zabawił, zabrał potrzebny sprzęt, łopatę, kilof, zarzucił na ramię i poczłapał ścieżką, wijącą się wśród mogił, w stronę sterty gliny, świeżo wyrzuconej. Musiał skończyć robotę, zaczęła rano. Nowy grób na jutro. Po drabinie spuścił się w głąb i za chwilę łoskotami żelaza rąbał zawadzające kamienie wyrzucając na wierzch szczątki dawno zakopanych zwłok, kości, kawałki deski, strzępy ubrania.

Wieża kościelna głosiła dzwonami południe. Pojedyncze uderzenia waliły w rozsloneczniony błękit. Za każdym razem zrywały się wrony, wypadały przez

okienka i krakały ponad wsią, niby wystanniczki ponurych wieści.

Ktoś, zacząjony poza drzewem, liczył:

— Jeden, dwa, trzy...

Kiedy ostatni cios grzmotnął, aż powietrze wstrząśnięte zadrżało, jakby echo wszystkich uderzeń w trzaski się rozprysło i nappełniło przestwór, człowiek pochylił się, czterema cięciami odkrajał kwadrat darni, palcem podważył, błyskiem noża przeżegnał i ten kawał ziemi, z wierzchu zieleniejący trawą, rozogniony kwiatkiem, a pod spodem czarny, położył na głowę pod kapelusz.

— Po co tak?

— Wozno rzec! Hohoho! Wicie czego? — zniżony, przejęty głos zdradzał tajemnicę. — W południe też strasy i zeby duchy nie miały przystępu. Jak pożrą na ten kawoluś darni, to myślą, że to nie żyjący człowiek, ale pod ziemią leżący i ziemią jest, słońca i nieba nie widzi, jak w grobie. Inacej nie do mu wynieść niczego z cmentorza. Kozdy grabarz tak samo robi.

Człowiek naciągnął kapelusz na twarz i chyłkiem przemykał pomiędzy nagrobkami, potracając wieńce, złożone przez żyjących, brutalnie rozdeptując zieleni i kwiaty, zalewające barwnym ogniem przejścia między mogiłami. Tak był przejęty, że nie słyszał szeptów i jęków, jakie wydawały źdźbła i kielichy, wyrosłe na ludzkich sercach, z ich westchnień i słów.

Z głębokiego dołu sypały się daleko, odrzucane łopatą, szczątki nieboszczyka. Człowiek przypadł do sterty, przypelzł podobny do cienia. Rozczapierzonymi paluchami rozgrzebywał i tłumiąc oddech szukał czegoś wśród zbutwiałych kości. Znalazł! Pociemniałe oczy rozbliły.

— O Jezusie! Tyle roków cie sukołem, tyłem sie nabiedowałem, aże cie mom!

W kawałku deski trumny tkwił zardzewiały gwoździć. Chwycił mocno w leżącą szmatę. I wtedy ręka znierruchomiała. Człowiek ugiął się od wysiłku, jakby miał dźwignąć ciężar ponad ludzkie siły. O mało nie upadł twarzą w spróchniałe szczątki.

— O Panie Jezu, wesprzyj mnie! Wsytcy święci, coście mnie tu przywiedli, deście stąd wyjść!

Czyjaś niewidzialna, a tak twarda ręka, grzmotnęła go i odepchnęła. Skoczył w przeciwnym kierunku niż przyszedł. Chlusnął w gęstwinę. Szarpnięte gałęzie gwałtownie zakolysały się i zaraz się zwały. Jedyne liście wciąż szeleściły, wskazując drogę, którą tajemnicza postać przebiegła. Wkrótce i one zacichły i zamarły.

Człowiek okrążał równinę, wiedział bowiem, że do domu trzeba dojść suchą nogą, aby potok nie przeciął drogi. Płynąca bowiem woda niszczy świętą moc gwoździa, wykruszonego ze spróchniałej trumny.

O północy przytajony skrzyp otwartych drzwi zdradził, że ktoś wychodzi. Między tym a tamtym domem nieprzemierzona przestrzeń. Cisza i mrok. Cień zgarbiony powoli, powoli sunął. Chyba nigdy nie dojdzie do oznaczonego celu. Nikt by go nie zawrócił stąd ani nie wstrzymał rąk gotowych do działania. Gdyby nawet i pioruny drogę zagrodziły, to musi wykonać to, co postanowił. Tylekroć zemstę poprzysięgał, więc nie mógł się cofnąć. Z zanadru wygrzebał skarb z cmentarza, wydobyl z płatka sukna, wyrzuconego z grobu. Kiedy ujmował gwoździć, poczuł piekący ból. Mocno trzymał. Nie wypuściłby, choćby miał ciało przepalone.

— Za moją krzywdę!

Zwarty w sobie, pochylony przebiegł, jakby przeskoczył czarną przepaść. Stanął. Drętwiejące palce zadrgały na węglach, usta wyszeptały struchlałe wyrazy:

— Jeden, dwa, trzy... siedem... osiem... — ostatni — ciął ciszę jak siekierą. Znalazł potrzebny. Na klęczkach pocałował to miejsce i wcisnął wargami w słoje drzewa wyrazy, nabożnie mściwe.

— On winien. Sprawiedliwość cynię wedle możliwości swoich sił.

Z trudem podniósł ramię na wysokość tego dziewiątego węgla. Strach obezwładnił rękę, ale zemsta przewyciężyła grozę. Człowiek nabrał sił do uderzenia. Obuch siekiery zastukał kilka razy.

— Ty gwoździu, co ciebie wbijom, wliź w niego, jak w to drzewo, co dej Panie Boze, amen!

Usłyszał głos. Ktoś jęknął. To tamten. Poznał.

— Juz ty nie bedzies więcej!...

Odrzucił siekierę. Nie żelazem, ale pazurami, pięścią wgniatał. Zębami rozrywałby drzewo, ścierwo tamtego. Głębiej, jeszcze głębiej. Tchu zabrakło. Był pewny, że gwoźdź przebije żyjące ciało i dosięgnie ostrzem pulsującego serca wroga. Przez pierś w serce. A z węgla tryśnie krew.

— A zeby z ciebie krewka pociekła!

Oczami rozgrzebywał mrok i szukał czerwonej strugi.

Nikt nie widział tych oczu, nikt nie słyszał słów, choć były ciosem i płomieniem. Przepadł w ciemności, podobny do rozmiotanej głowni. Siekiera wśród nocy rozbłysła, jakby na niej jedna gwiazda rozprysła swoje światło. Jeszcze kilka gwiazd z nieba rozsypało na ostrzu srebrny blask.

Nazajutrz i przez wszystkie następne dni ów człowiek,

mijając dom, ukradkiem patrzył na węgiel, na tajemniczy znak, którego nikt nie dostrzegł.

— Teroz pódzies na nic!

Mściwymi spojrzeniami jeszcze bardziej wbijał, uklepywał. Wciąż jednak czerwieniła się zardzewiała główka gwoźdźcia, jakby na przebitym ciele tamtego, żyjącego, kropla upragnionej krwi, która napęczniała, ale nie może się wysączyć i spłynąć.

Człowiek czekał na wieść o nieszczęściu.

PO UZDRAWIAJĄCĄ WODĘ

— Przecie wiem, bom w tym wypraktykowany i niejednemu już doradziłem. Woda tako skuteczno jest i dla żywiny i dla ludzi. Ino trzeba wiedzieć, jak nacyrpać.

Baca wychodzi z koliby o dwunastej godzinie, żeby go ptaszek nie obleciał, bo jak ptaszek obleci, to już wody nie nabierze. Już z niej nic. Nie może też ptak zaśpiewać. Czerpakiem nabiera wodę z najbystrzejszego prądu, gdzie zbiegają się trzy potoki. A jak nie stąd, to z tej studni, która piaskiem ze spodu rzuca. Goścowa woda się nazywa. Każdy baca musi mieć taką wodę, żeby wymionczka owcom obmyć i kropić w św. Zofię. „Nie będą czary bez gwary“. Można nabrać wody, a nie będzie skuteczna. Każda rzecz musi mieć to, co jej potrzeba. Mnie wierzcie, bo w tym robiłem i byłem po tę wodę. Jedna dziewczyna chorowała na oczy, przemyłem jej i zaraz przejrzała...

Było tak. Wyszli dwaj. Ojciec z synem. Samemu strach, bo to rozmaicie się może trafić. Wieś uśpiona. Wszędzie cisza. Nawet psy nie zaszczeknęły. Młodszy przechodząc spojrzął w okno i rzekł:

— U Węglarza już śpią.

— Narobi się kozdy przez dzień, to ino patrzy, żeby legnąć na pościeli.

Minęły ostatnie domy, czerniejące w pomroce. Potem

ciemna pustka im towarzyszyła. Po kształtach poznali pokurczoną gruszę, w rozgałęzieniu której tkwił fraso-bliwy Chrystusik z podpartą na dłoni głową, ukoronowaną cierniem. Chwilę stanęli. Ojciec przyciszonym głosem przypominał, co ma robić, aby woda miała swoją moc:

— Kłękni i zmów trzy razy „Zdrowaś”. Z kozdego mocydła nacyrp ręką po dziewięć razy. Później wracój nie tą drogą, coś przysed. Do nikogo nie mów, choćby ci kto zesed drogę i zywcem chcioł zacząć gwarę. Nie wolno — stary powtarzał z przejęciem — bo ci wyleje i nie doniesies.

— Co to bedzie? Cłowiek?

— Ni. Cłowiek sie zrobi, zeby cie strach wziął i lepiej cie podsed.

— Zywy cłowiek? A moze mara?

— Cicho! — surowo przerwał. — Nie wiem. Ino tyle wiem: zeby cie podejść, przebierze sie za znajomego somsiada, krewnego, kumotra. Zleć na dół. Tutaj pockom. Trzeba pilnować, zeby kto nie sed i nie zobocył, bo wsytke na nic. Pamiętaj, com ci mówił — zawołał za odchodzącym, niknącym w czerni.

Stary oparty o płot bacznie nadsluchiwał. Żdźbła, nabrzmiałe ziarnem, nisko pochylone, nie falowały ani nie szumiały. Uśpiony powiew budził się i wtedy pojedyncze krople odrywały się i szeleściły.

Syn schodził ostrożnie, krok za krokiem, ścieżką. Tarnina chlasnęła go w twarz i zwilżyła rosą. Potracone bryły zerwały się spod nóg, stuknęły parę razy po zboczu, spełzły po trawie, a po chwili wznieciły plusk, gdzie dziewięć moczydeł patrzyło w mrok kryjąc w głębi gwiazdy, jakby ciemne oczy zalane łzami, spływającymi z nieba.

Kiedy miał naczepać wody, klęknął i, patrząc w odbite gwiazdy, mówił z namaszczeniem „Zdrowaś Mario“, potem powtórzył zaklęcie, nakazane przez ojca:

„Zdrowaś Maryjo, Pani jedyno,
Co obmywos wsytkie korzenie,
Obmyj i mnie, nędzne stworzenie“.

Trzy chlupotania po dziewięć razy wskazywały, że naczepał z wszystkich moczydeł. Wiedział, że nie wolno mu wracać tą samą drogą, ale na opak, gdyż w żaden sposób nie mógłby przejść. Złe duchy chciałyby mu wodę wydrzeć z garści i wylać. Piął się powoli, zaciskając naczynie w obu rękach.

Nie wiedzieć, kiedy zjawił się sąsiad i szedł obok. Chyba z ziemi wyrósł. Poznał go, przecież go widuje codziennie. Taka sama postać, ubranie, ruchy. Nie było widać twarzy, bo spłwiała kapelusz o szerokich brzegach rzucał głęboki cień.

— Kaj chłopce idzies? Wracom z paświska, konie puszołem — rozpoczął rozmowę grzecznie, jak sąsiad ze sąsiadem.

Głos słyszany był odmieniony, sam ciężki, bez duszy dźwięk.

Jednakże w tej chwili chłopak nie zastanawiał się nad tym ani też nie pomyślał, że Węglarz nie mógł iść z dołu, gdyż tam rozciąga się błotna otchłań, której nikt nigdy nie przebrnął, ani też nie pamiętał, że, mijając jego dom, powiedział ojcu: „Węglarze juz śpią“. Był tylko trochę zdziwiony, że kroków nie słysząc, jakby nie żyjący człowiek, ale mara postępowała obok i nie dotykała ziemi.

Już miał coś odpowiedzieć, ale ocknął się, bo usłyszał

głos ojca, z góry dobiegający, i przypomniał sobie jego nakazy.

— Nie wolno mówić, choćby żywcem darli słowa z gardła!

Wtedy jakisić człowiek pędził z góry i rznął chłopca pięścią. Pewnie chciał wydrzeć garnek z garści i wylać wodę.

Chłopak zatoczył się, ale naczynia nie wypuścił. Krzyknął.

— Panie Jezu, chroń mnie!

I wtedy buchnęło zimnym podmuchem, jakby z kostnicy. Lodem zarzuciło.

— W imię Ojca i Syna — podniósł palce do czoła, wyrzekł zdętwiałymi wargami.

Obydwaj tamci gdzieś przepadli. Wśród ciemności szeleściły liście i gałęzie, potrząsane powiewem. Co to było? Mgła albo wiatery.

— Tato!

— Co ci?

— Już nic — syn wydyszał gorączkowo. — Cegoście tak krzyтели? Do bitkiście skakali? Z kimżeście się sarpali?

— Co ty mówisz? W imię Ojca — przeżegnał się ze zdumienia.

— Słyszałem.

— Cicho! — stary struchlałą dłonią wyszukał twarz syna i mocno ścisnął jego usta. Pociągnął go za rękę i pędem pognął z włosami zjeżonymi. Wicher zerwał mu kapelusz i poniósł w głąb nocy.

Dopiero stanęli pod gruszą, gdzie mieszka fraszobliwy Chrystusik. Ojciec, zmęczony biegiem, oparł się plecami o pień i sapnął.

— Tu nam nic nie zrobi. Mówiłeś co do niego?

— Nic.

Nazajutrz zaraz z rana zapytali Węglarza, niosącego konewkę wody ze studni:

— Wyście wcoraj w nocy byli na młakach?

— Kaj?

— No, na młakach.

— Miejsze przyjacielu rozum, chyba diabły by mnie tam pognały. Kiej się ściemrzyło, zrobiłem porządek kole żywiny i posedem spać. Gdziebym po nocach się tłukł? Bom to kawalir — zaśmiał się — już mi, bracie, wystarczy stara mietła pod pierzyną i taką samą miolbym z nią ucieche. A cego się pytos?

— E, tak, e, tak — zająknął się, bo nie chciał zdradzić tajemnicy.

Stąd prosto poszli obok Chrystusa frasobliwego ku młakom. Już rosa obeschła, tylko w cieniu wisiało parę kropel, zapomnianych przez słońce. Dziewięć moczydeł kisało w dole, każde otoczone płaskimi kamieniami. Powierzchnię ich zarastała rzęsa i trawy. Gdzeniegdzie tylko przeświecała woda, aby odbijać niebo i przelot jednej chmurki, samotnie wędrującej. Dopiero po żniwach gospodynie czyszczą te miejsca, aby moczyć snopki konopi, przytłoczone bryłami.

— Nie mógł stamtąd iść — pierwszy wyrzekł ojciec. — Na takiej topieli ledwo mocarna trawa rośnie.

Pochylili się nad kałużą. W błocie znać było wyciśnięty kierpiec, którego wgłębienie zalewała skąpo ściekająca struga.

— Ino mój widać. — Tędy, kole mnie sło.

— Zodnego śladu nie zostawiło.

— Jakże mogła mara zostawić?

- Bo i prawda.
- Kaj może być kapelus?
- Cheba zabrało. Cisło ze złością.
- O, hań leży!

Opodał, na krawędzi kapelusza, wciśniętego w trawę, stała wrona. Na widok ludzi kraknęła przeraźliwie i zalopotała skrzydłami.

- Widzisz, zły duch!

Chociaż był jasny dzień, to jednak strach ich ogarnął i obydwa przeżegnali się równocześnie. Wtedy prześrzeń od niebios do ziemi przecięła brunatna błyskawica. Jastrząb, widząc zagłębienie, zapewne zwiedziony jego kształtem, myśląc, że to gniazdo, z którego co dopiero ptak wyfrunął, runął z góry, grzmotnął całą siłą, chwycił w dziób i cisnął w głąb źródelka.

- Tato! To on mnie wodził.
- Cicho.

Spiesznie stąd odeszli, jednak przerażeni, wciąż wymawiali odpowiednie zaklęcia.

- Chcioł mnie zaciągnąć do młaki i zadusić.
- Pon Jezus cie wybawił od śmierci.

Przez wargi przeleciały struchlałe wyrazy.

Tak nad źródłem wśród dziewięciu moczydeł zrodziła się nowa legenda o wronie i jastrzębiu, który chciał zabrać ludzki kapelusz, pewnie do piekła.

- Wicie, wicie, to nie jastrząb, to pachołek diabła i teraz chcioł pokazać swojemu gaździe, że był i strasył mnie.

Koło południa włóczęga chciał napić się wody. Wyciągnął kapelusz, strzepnął nim o kolano, spojrzął uważnie.

- Ladacy, ale się przydo.

O CZAROWNIKU BACY

Nikommu tego nie zdradził, bo było wstyd. Ludzie śmialiby się z niego. Zła godzina go nawiedziła i srodze dręczyła. Jak żył tyle lat, tego jeszcze nie przeżył. Nie-szczęście za nieszczęściem. Wiedział, kto sprawcą, tylko nie mógł przejrzeć, co tamten porobił. Każdy z nich miał tysiące sposobów. Nie wiedział, co uczynić, aby przekłętą moc zniweczyć. Ktoś w oczach kradł owce, a nie można było upilnować. Chyba tamten oślepił bacę i juhasów i jakby przez ogień patrzyli. Owce zdychały. Mleko kłagało się przy dojeniu. Zamiast sera zostawały cuchnące pomyje w gielecie, to znów ser toczyły „chroboki“. Kadził, rzucając zioła, zebrane w wigilię św. Zofii, na rozżarzone węgle z dziewięciu różnych drzewin, kropił wodą i ze chrzcielnicy i z prądu, gdzie krzyżują się trzy potoki, kreślił święconą kredą koła, posypywał piachem z mogił trzech wisieluchów i nic nie pomagało. Jeszcze raz zakopał stulę w przejściu do koszar. Owce nie wchodziły wtedy zwyczajnie, ale hipkały, bo wiedziały, że pod darnią leży świętość. Nie chciały na-deptać raciami.

— Juz zły duch nie ma prawa do owiec...

Jeszcze nie dokończył tych słów, a tu najpiękniejsza, umiłowana owca żałośnie zabeczała i martwa padła.

Wszystkie zabiegi nie mogły odczynić przekleństwa.

Baca dawniej lubił patrzeć na pasące się stado, rozszczone w małe strumyki, wytryskające z ziemi; lubił patrzeć, kiedy zdążały z lasu do koszar; wtedy były podobne do białej kaskady, spiętrzonej na kamieniach, falującej runią i wpływającej do stregi. Teraz odwracał wzrok.

— Nimo dla bidoków nijakiego ratunku.

Podnosił oczy ku tamtemu wierchowi, gdzie po zielonej zboczach spływał biały potok i pięściami groził pasącym się owcom, wymawiał przekleństwa, mogące każdy krok porazić, każde serce przebić.

— Ino ze swoimi porządek zrobię, to wam pokoże!

W odpowiedniej chwili poświęcanym nożem krajał ser, wierząc, że kraje skórę wroga, który sprowadził na niego tyle nieszczęść. To znów śpiewał w dal pieśń, mającą sprowadzić tamten kierdel na krawędź zatury i zepchnąć go w przepaść. Jeden ratunek zostawał: iść do Grusia, znachora nad znachorami. Do niego zbiegali górale z całej okolicy z wszystkimi strapieniami. I ludziom i bydłciu pomógł. Poszedł baca, i choć miał niejedno na sumieniu, to jednak przeżegnał się, kiedy spojrział na drzewo, rosnące na obejściu Grusia, obleżone czarnymi wiechciami, które zakrakały na jego widok. Głupi tylko uwierzyli, że to wrony. Wiadomo każdemu, że to służebniki i pomocniki, posłuszne rozkazom czarownika. Po jego śmierci zakrakają, zabiorą duszę a także czarnoksięską książkę i znikną, przepadną w przeklętych przestworach.

Gruś siedział na progu. Opinały go twarde fałdy cuchy, bo choć było lato, trzęsła go zimnica. Spod kapelusza wypływały siwe włosy, na staroświecki sposób ucięte. Twarz wygolona, chuda, z nosem zakrzywionym, miała

wyraz pogodny. W spokoju dożywał ostatnie dni swej starości, radując się wszystkim, co widział. Teraz z uśmiechem patrzył na gromadę wnucząt, fikających koziołki, błyskających nagością spod koszul i potarganych sukienek. Najbardziej hałasował umiłowany chłopak, goniąc za kogutem, wymykającym się z małych garści jak kłęb płomienia.

— Dziadku, złapcie mi!

Baca stanął obok.

— Chrzestny ojcie!...

— Co powis, chłopce?

Stary nie wstał, tylko obrócił głowę ku przybyłemu i wskazał ręką:

— Wnęcki. Pociecha.

— Żle.

— Siadoj, boś umordowany i grzyj sie w słońceku. Wis, słońceko uciecha — Gruś utopił rozjaśnione oczy w niebie.

— Postoję. Jak siadać, kiej we mnie som ogień i sama żałość.

— Cóż cie przygnało?

— Ratujcie! Na nic schodzę. Juz mąt głowy sie chyto. Juzem dziod. Jarzyna mnie scarowoł. Skapię. Juz mi tak dojadło, jak nikomu na świecie.

— Jo sie tym juz nie zabowiom.

— Kaj pódę? Ino w wos ratunek — ogarnął go za nogi w synowskiej pokorze i pocałował rękę starczą, pomarszczoną.

— Są przecie inne, to ci pomogą — miększym głosem mówił Gruś.

— Takiego jak wy — nimo! Wy macie moc, wy ostatni.

Stary pokiwał głową nad jego mową, po namyśle dźwignął się i kiwnął palcem.

— Podź.

Pierwszy poczłapał w głąb domu, w ciszę, rozbijaną brzękiem much, wirujących w smudze światła. Podsunął gościowi ławę i zginął w komorze.

— Hań mo wsytkie rzeczy, potrzebne do carów.

Gruś długo bawił. Po powrocie, zaciskając coś w zana-drzu, siadł naprzeciw bacy i słuchał uważnie tego, co mówi, niejako przypatrywał się każdemu słowu o nieszczęściach. Czasem uśmiech przewionął i zaraz zaciśnięte wargi pustoszały. Wsparł głowę na ręce, zamknął oczy. Nie chciał na nikogo patrzeć, ale w głąb swej duszy, albo w tajemnicze przestrzenie świata, czy przeszłych dni, gdzie widział sprawców wszystkich nieszczęść, gotując przeciw nim ciosy, niweczące zło. Twarz znieruchomiała, przecinały zmarszczki, jakby piorunowe zygzaki skamieniałość. Powoli pęczniał jeden wyraz i skapywał jak kropla żywicy z wiekowego pnia.

— Podlote.

— Kto?

— Chcesz użyć?

— Chcę — wyrzekł twardo i mściwie.

— Weźniesz jego grzychy z całego zycio na swoje sumienie?

Rozpostarło się milczenie. Między dygotającymi wargami zabrakło słów.

— No? Mów — czarownik pytał powoli.

— Mom dosyć swoich — posypały się okruchy rozprysniętej skały, rozbitej ciosami szarpniętego serca. — Jescebył cudze broł.

— Widzis.

— Cym podlote?

— Tobie trza mówić?

Wykonał ruch ręką, jakby chlusnął wodą w powietrze.

— Wiem.

— To cego sie pytos? Młodziok jesteś?

Obydwaj wiedzieli, że gdy wodę, którą obmywa się twarz umarłego, rozlaną na drodze przejdzie bacia, albo jego bydlę, to wszystko niszczeje.

Wstrząsnęli się obydwaj, bo tyle kropel, ile tamten wylał, teraz na nich spadło.

— Culeś — tchnął szeptem.

— Kaj podlote?

— Pod progim, w nocy, kiedyś sed na kosor.

— Co robić, zeby sie wybronić?

— Zgarnij, zgarnij ziemię do ostatniego ziorka, gdzie kapła woda. Zanieś pod próg przed kościół o północy, nojlepiej przy nowiu — uchylił kapelusza i przeżegnał się przed świętym znakiem, darzącym go mocami. — Kiej ludzie wychodzą z kościoła, to się odmodlą wsytkie za jednego. To sie odwróci to nieszczęcie nazod. Rób, co potrza.

W nocy wedle nakazu Grusia zagarnął ziemię do lnia-nej szmatki, poświęcanej w Wielką Sobotę i węzeł schował w zanadrze pod cuchą, obok kromki chleba, którą zabrał w drogę. Spiesznie podążył przez wieś, bacząc pilnie, czy ktoś go nie ściga lub drogi nie zagradza. Pamiętał o tym, że mara tamtego śledzi go, każdej chwili wypadnie z zakamarków, aby mu wydrzeć ukryty skarb. Gdyby rozsypała z powrotem tę ziemię, to musiałby zbierać ziarnko po ziarnku. A na to nie starczyłoby życia ludzkiego. Szczęśliwie dotarł do kościoła, chociaż po wiele razy pod stopy padał łoskot, jakby kamienie, staczane

z wysokości. Oczami wygrzebał w ciemności szerokie drzwi i ostrożnie nacisnął klamkę. Ot tak z przyzwyczajenia, a nużby były otwarte, to by naczepał wody ze chrzcielnicy, tak potrzebnej do spraw bacowskich. Klęknał, wrósł kolanami i bez ruchu pozostał. Drgały wargi szeptaając pacierze i zaklęcia, podpowiadane odwiecznym przymusem. Wtedy ręce odpadły od czoła, od piersi i chwyciły głaz, leżący pod progiem. Następnie rozsypał przekłety piach, wciąż żegnając go, wciąż kreśląc znaki odczyniające.

Pierwszy krok wychodzących z kościoła jest święty. A tyle ludzi dzisiaj, w niedzielę, dotknie stopami tego miejsca, tyle modlitw rozsypie, wyniesionych spod ołtarzy. Te stopy i modlitwy zniweczą złą moc tamtego człowieka.

Wstał wyprostowany, jakby przed chwilą ze zgarbionych bark zrzucił ugniatające brzemiona.

— Teroz w rzyci mom twoje cary!

Wracał spieszenie na halę. Raz za razem potraçał odłamki skał. Za każdym przesywało go pragnienie, aby podjąć wszystkie i ciskać w tamtego. Zatluc. Łoskot kroków odłupywał się po ścieżkach, po których szedł aż do lasu, aż do łąki, rozścielającej mech i trawę.

Świtało, kiedy stanął na szczycie. Zobaczył, jak z koszarzu wysypały się owce; wybiegały ochoczo, strącając racicami drgające krople rosy z napotkanych ździebeł. Podążyły zboczem do góry, ku wychylającemu się słońcu, jakby ku źródłu, wytryskającemu z głębi ziemi.

Baca patrzył długo, licząc kierdel, uszczęśliwionym wzrokiem. Spojrzał w dolinę, jeszcze pogrążoną w cieniach. Z gęstwiny drzew, z różowiejących mgieł wystrzelał rozżarzony krzyż, jakby w płonące niebo wytryskał

z mroków znak, błyskawica ognia. Widział zarysy kościoła i rozbłyskujące wschodem okna. Nie zauważył jednej rzeczy: oto z otworów wyfrunęły wróble i, nasiąkając zorzą, okrążały wieżę, jakby owijały ją wieńcem, płonącym czerwienią, migającym w szybach. Zleciały naraż wszystkie na kamień z trzepotem i świergotem, jakby gwałtownie otrząśnięte kwiaty, gasnące coraz bardziej, aż na ziemi przybrały codzienną szarość.

Dziobały okruchy chleba, które baca przypadkowo uronił o północy pod progiem kościoła, kiedy szeptał zaklęcia, odczyniał złą moc i gotował zemstę.

POD OPIEKĄ GRUCHAJĄCYCH GOŁĘBI

Tłum, wychodzący po sumie, spiętrzył się w progu i sływał, mieniąc się kolorami. Ciężko było przepchać się przez ciżbę. Wkrótce pustoszało miejsce obok kościoła, tu i tam jeszcze ktoś przystanął, ale nie na długo. Trzeba przecież iść żywinę wydoić, dzieciom dać jeść. Drogi, biegnące w rozmaitych kierunkach, zakwitły niezdzelnymi ubraniami. Wspinały się po zboczach rozproszone krople ludzkie i ginęły wśród kęp.

Dwie babiny nijak nie mogły się rozstać. Doboszka i Lejawina. Jeszcze to, jeszcze tamto, aby wypłakać żale z całego tygodnia. Dość nazbierało się zmartwień. Ani spamiętać. Aż jedna zaniósła się skargą.

— Takie wicie nieszczęście, ani kapki mlicka ni ma! Zeschły mi dzieci na nic.

— Nie dziwota, bez kapki mlika, to nie będzie zdrowio.

— Ej, bida na mnie padła, ani unieść nie zdolę!...

— Zawdyście mieli dość. Tyle krów! Wsytcy mówią, jako to z was bogocka.

— Tako ze mnie bogocka — krajem chustki otarła oczy i wysiąkała nos, zwilgotniały z żalości. — Downiej było mliko na mliko, syr na syr. Zawdy! A teraz mlicka ani do fajki nie udoję. Nicego krowinom nie załuję, a nie worce siadać pod nimi ze skopkiem. Kapnie trochę biołej wody.

— Kara Bozo!

— Moze jakisi gad wypija?

— Gembalina mo jedną krowę, a nimo tyżnia, zeby nie sprzedała litra masła.

— Ehe! To tego — mrugnęła ślepiem. — Wicie, wicie, to ona!

— Co, kumo?

— Zabirowom.

— Ze tez mi to wcześniej nie przysło do głowy!?

Twarz przy twarzy i szept, od którego wargi ledwo drgały.

— Przecie wicie, boście nie dzisiajso. Rozmaite štuki znają. Choć misyje, choć kazania i spowiedzi, a i tak ludzie Boga w sercu nie mają. Ona odebrała mliko jednej kobiecie. Łyskało sie. Pieron za pieronem bił. A ona kucla pod mostem, zwyczajnie jak pod bydlęciem, skopek miała między kolanami i w łyskanu, w dyscu, ze słupa doła. Haw siedziała, a na hańten wirch spojierała i z hańtela z dyscem ściągała mliko do swojego gorka.

— To ona tako!?

— Tako, tako... Widzieli i poznali. Co się łysło, to jej gęba.

— Zebym wiedziała, co robić?

— Idźcie do jednej takiej, kozdemu poradzi. Trzeba iść... słuchajcie...

Pochylone ku sobie wymieniały ciche wzdychania i słowa, odejmujące strapienia, a rodzące nadzieję.

— Jakby mi Pon Jezus oddał mliko, to za taką poradę przyniese wom choć ćwiartkę jarcu.

— Nie chcę od was ani ziorka, bo z tego nie żyję, ino z dobrego serca radzę. Juz nie jednemu doradziłam; kiej mnie widzą na jarmarku, to na gorzolkę

ciągną i nachwalić się nie mogą. Ona jest skuteczna we wszystkim.

Łatwo się porozumiały. Jedna drugiej wierzy, jedna drugiej współczuje, bo — co mnie dzisiaj, to tobie jutro. O nieszczęście łatwiej, jak o chleb.

Lejawina wybrała się tam. Daleko. Aż na czwartą wieś, przez wierchy. Potrzeba ją gnała, to nie wiedziała, czy droga uciążliwa, czy nogi zbolące. Niczego nie żałowała, żeby ino pomoc znaleźć. Kryła zawiniątko pod chustką. Przecie z próżnymi rękami nie pójdzie po poradę. Wstyd i nie honor.

Po zamiecionym podwórzu łąził kogut, który na widok obcej kobiety zastygł z wyciągniętą szyją i zapiał donośnie, aż obudził gwar po wszystkich kątach. Gołębie gruchały na kalenicy, wymieniając miłosne wyznania. Pod okapem, wśród pęków ziół, wiszących od zeszłego lata jako zaklęcia przeciw urokom i złym spojrzniom, wróble wykruszały ostatnie ziarna, staczając bójki o sprawy im wiadome. W gęstwinie drzew czatowała zaczajona wrona, gotowa spaść na żółte stado kurcząt, łążących pod czujną opieką rozczapierzonej kwoki. Podstępna i zdradziecka sroka zalśniła paradnym upierzeniem na kołku i zaskrzeczała, kiedy kobieta przestępowała próg.

— Pochwolony!

— Na wieki, co tam powiecie?

— Przysłałam. Doboska mnie przysłała.

Baba śmignęła ślepiami po zawiniątku, obmacała wielkość, oceniła zawartość i zaraz odwróciła się, jakby ją to nic nie obchodziło, co tamta przyniosła. Lejawina zaczęła rozplątywać węzeł palcami, pomagając sobie zębami.

— Nie chce si, ścierwo, rozwiązać!

Opowiadali jej, że w kącie zawsze siedzi czarne pta-
szysko, co czarownicy doradza, pilnuje i daje baczenie
na wszystko. Niejeden go widział. Wiadomo, co się
kryje pod tą postacią. Zły duch — opiekun domu. Izba
niczym nie różniła się od innych! Pasyjka, pod obra-
zem lampka, dygotająca świełkiem, drążek na łąchy,
w oknach dużo kwiatów, na łózkach poduszki, spię-
trzone pod powałę. Aż zazdrość patrzeć.

— Tyle dobra od diabła — pomyślała Lejawina.

Gospodyni kiwnęła palcem: — Pódź!

Zawiodła przybyłą do ciemnej komory. Dość długo
krzątała się w mroku, coś mruczała po kątach i nagle
odsunęła deskę. Wszystko wyszło na jaw. Przez okienko,
przekreślone dwoma prętami, chlusnęło południowe
światło. Smuga przecięła wewnątrz od ściany do podłogi.
Na niej zamrowiły się cienie liści, gałęzi, opierającej się
na okienku. Przybyła ledwo chwyciła oczami pewne
szczegóły i już zapomniała.

— Co powiecie?

— Niesczęście! Z Bogiem zem przysła po pomoc
i poradę — nabrała tchu i głosu do opowiedzenia o wszy-
stkim.

— Nie mów więcej — rozkazała gospodyni z powagą
i ruchem nabożnym, obrzędowym, wyjęła po trzy wę-
gielki z dziewięciu wybranych, rzuciła do naczynia i wy-
biegła do sieni. Wróciła, kryjąc naczynie pod za-
paską postawiła na ławie. Popłuła trzy razy na krzyż.
Kiedy ślina zaskwierczała, baba uskubała wiechetek
przędzy i cisnęła na rozżarzone węgle. Uniósł się wiotki
dym i płomyk, jakby mgła babiego lata owiana różem.
Potem wyciągnęła miskę. Z wianuszków, święconych
w oktawę Bożego Ciała, wybierała zioła, po trzy żdzbla

z każdego. A było ich dziewięć. Za każdym rzuceniem kreśliła krzyże w krzyż, zaznaczając strony świata na krawędzi naczynia. Pochylona, zanurzyła wzrok w głąb i tkwiła bez ruchu, oddychając dymem. Powieki zamknięte ukryły źrenice, wargi zaciśnięte ogłuchły. Nie wymknęło się ani jedno słowo. Lejawina bez drgnienia patrzyła na twarz tej, która miała wyjawić tajemnicę jej nieszczęścia i zbawienną radę.

— O Boże, dopomóż!

A tamta rzuciła węgle na święconą wodę, rzuciła zioła na inne węgle w garnku; coś czytała z powiewów dymu, ze wstępu płomyków, z ich barwy i kształtu. Coś chciała powiedzieć. Wargi zadrżały. Szept przybierał zarysy słów, głosu i zadźwięczał wyraźnie.

— Odebrała ci! Mieska ani blisko, ani daleko, oczami przejrzyś, krokami dojdzies.

— Wiem. Krowę mo jedną, a mlika pełny skopek.

— Twoją krzywdą sie pasie.

— Krowę mo tłustą, a moje chude jak hoki.

— Sprzedaje syr i masło, a twoje dzieci pragną kąpi mlika.

— Oj, pragną! — załkała. — Jaki ratunek?

— Idź na jarmark, kup gliniok. Nie targować sie! Kielo zacyni, telo dać za niego. Na dno nie patrzeć. O północy nad rzekę iść, nazbierać patyków ze spławin, co powódź przyniesła i na krajach zostawiła na ludzką potrzeb. Z prądu, gdzie się zbiegają trzy potocki, nabrać wody. Ale nie zwyczajnie, żeby spłynęła, ale pod górę. Przed wychodem słonka, żeby ptoski świata nie ośpiwały. Lecieć, lecieć do chaupy. Nie obzierać sie poza siebie, choćby cie wołali na Pana Jezusa i wstykich świętych, ino mówić „Ojce nas i trzy Zdrowaś Maryjo“.

Podpalić tymi patykami. Gornek postawić na ogniu, kiedy świci miesiąc. Niech miesiąc zaglądo do gorka. Trzeba go cymś zwieść, co lubi. Jak zaświci światłem na wodzie, nich sie z wodą gotuje. Bedzie go piekło, to bedzie lepiej pomocny. Drugi roz nie bedzie chcioł cirpieć. Pamiętoj!!

— Miesioncek popiec i ugotować — powtarzała bezwolnie.

Coś w kącie zachrobotło. Kobieta rzuciła rozgorączkowanym wzrokiem w tamtą stronę. Myślała, że to w głębi twardych bierwion coś się klębi i już się wynurza kształt owego tajemniczego ptaka, o którym ludzie mówią. Ale ów ptak zmienił się w szmatę, wiszącą na kołku. Znów poza domem coś zastukało, jakby dziesiątki skrzydeł biło w zrab, chcąc rozbić ścianę i zatłoczyć wewnątrz złowieszczą czeredą. Bała się spojrzeć w okienko.

— Jak woda zawre — ciągnęła baba — połóż na wirch powózkę, no, smatkę, co sie mliko cedzi — zmienionym głosem dodała ku wyjaśnieniu. — Jak sie woda klębcy, bulgoce, chyć igłę, sydło, co mos pod ręką, i zygoj cedzidło i mów: Winnaś, winnaś, ukradłaś! Z siłą ludzką, a z pomocą Boską cie zygom — i Zdrowaś Maryjo. Przy kozdym słówku pocirza — kluj! Pamiętoj, zawdy z Bogiem wsytko trza robić, bo bez Boga nie dojdzies i do proga.

— Bedę tak.

— Bedzie wiedziała, od kogo. Popiece ją war, pokłuje igła, kaj kolnies.

Wiadomo, że każde ukłucie trafi tamtą i podziurawi ciało.

— Nie trza długo cekać — jednako mówiła zama-wiaczka. — Zeby nie wiem, gdzie była, to przyleci, na

kolana ciśnie się przed tobą z płacem: darujcie! Nie zygajcie już telo.

— Darować? — zionącym głosem zapytała.

— Powiedz jej: tyś darowała mojej zywinię? Tyś się nie zlitowała, kiedym płakała, kiedy moje dzieci jeść wołały. Przez nią bidujesz. I dalej zygoj za koździutką łzę, coś przez nią wylała. Musi mieć zapłatę. Niech mo, niech mo!...

— Nie daruję — zastukały zęby, kiedy ją przeszły krakanie, skądś dobiegające.

Parę razy o pręty coś trzasnęło, wydając tajemniczy szelest.

Lejawina była pewna, że teraz wleci ów kruk, opiekun zamawiaczki i zatłoczy otwór swoją czernią. Bała się ruszyć z miejsca. Czekala z przerażeniem. Przewiał czarny duch i zostawił zimny podmuch. Przeżegnała się szeptem, płynącym z duszy. Odegnęła marę. W pewnej chwili, wbrew woli, spojrzała w okienko. Na gałęzi, spoczywającej na ramie, wśród szeleszczących liści siadł gołąb i zagruchał. Dźwięczne paciorki rozsypały się po komorze. Za chwilę spłynął drugi.

Na jasnej smudze, przecinającej podłogę, odbiły się cienie: dwa gołębie, zespolone dziobami w miłosnym rozczuleniu.

Pod osłoną trzepotań kształtowały się słowa, podpowiedziane zemstą, a głuszone miłosnym gruchaniem.

Rozplotły się dzioby. Gołębie sfrunęły, spłoszone może szelestem liści, a może stukotem swoich zbyt wzruszonych serc. Dwa cienie spłynęły ze smugi słońca i odleciały w głąb błękitnego nieba.

Gałąź wstrząśnięta trzepotała liśćmi, uderzając raz za razem w pręty.

Kobieta wracała do domu z mściwym błyskiem w oczach, aby czynić swoją rzecz. Zobaczyła po drodze bystry prąd, powstały na skrzyżowaniu trzech strug, z którego miała zaczerpnąć zbawiennej wody.

— Kiej miesioncek zaświci, postawię garnuś, niech się gotuje. Niedocekanie twoje, zeby ci darowała!

Na jarmarku kupiła gliniak wedle wskazówek. W czasie nowiu nabrała srebrzystego plusku i biegła, biegła, choć tyle głosów ją ścigało, tyle przeszkód kładło się pod nogi. Noc stanęła przed nią skalną ścianą, która się rozprysła pod zaklęciem. Wśród szalejącej burzy pamiętała nakazy znachorki. Zaraz potem roznieciła ogień. Kładła patyki, przyniesione przez powódź.

Księżyc spłynął na wodę i zakipiał, zabułgotał.

Kobieta kłuła igłą lniane cedzidło.

Nadśluchiwała, kiedy kroki się rozlegną w sieni, kiedy drzwi się otworzą i tamta wpadnie z krzykiem:

— Zlitujcie się!!

Coraz mściwiej kłuła, szeptała powoli:

— Zygom nie płótno, ino ciebie, ino ciebie! Tylem się nabiedowała. Tyleś dzieci namorzyła. Tyleś bydląt namęczyła. Nie daruję, nie daruję! O Panie Jezu i wszystkich święci, dopomóżcie!

O tej nocnej godzinie nie przyleciały gołębie i nie zagruchały miłosnych wyznań, aby zgłuszyć i przytłumić ludzkie słowa.

Była cisza.

ZA PROGIEM NIEZWYKŁEJ PLEBANII

I

Wybraliśmy się gromadą na spiskie wsie. Główny cel: plebania w Kacwinie, a stąd wyskok do kościółka w Trypsiu.

Poza sobą zostawiliśmy wzgórze czorsztyńskie, ale w drodze nieraz jeszcze przystawaliśmy, aby spojrzeć na resztki murów warownego ongiś zamku, który zarył się głęboko podwalinami w odwieczne skały, skamieniały lew, mający bronić wstępu do Rzeczypospolitej, co spiętrzył się wieżami, basztami, aby patrzeć nieulękłymi oczami obrońców w stronę południową i grzmieć salwami. Przebrzmiała chwała tego grodu, zostało tylko rzucone w gruzy nazwisko tego, który, śląc w głuche wsie swoje wyzwolencze manifesty, śnił królewski sen, patrząc w złomy Tatr i odmęt Dunajca, błyskającego w dole, jak miecz, porzucony przez bezbronne ręce. Kostka Napierski marzył o wytrąceniu bata pańszczyźnianego, o uwolnieniu z więzów rąk chłopskich, a te ręce go zdradziły i z tego wzgórza przeniosły na drugie wzgórze: na pal na Krzemionkach. Ale zarazem te ręce go wydzwignęły wysoko, aby go wieki zobaczyły. Jego krew bluznęła na Polskę. Tutaj Napierski rozpostarł purpurę swego zbuntowanego imienia pod legendę, aby kiedyś stać się pokarmem dusz chłopskich, zarzewiem dla poezji.

Tam przeszłość, zapamiętana przez rumowisko, a tutaj nowe życie. Niedaleko warczy motor i łoskotami pisze swój manifest. Rąbie skałę, wierci świdrami i bada, czy skała dość twarda, bo człowiek nowoczesny chce przerzucić mur zaporowy, aby wspomóc Rożnów i wstrzymać oszalały żywioł powodzi, wściekłość, niszczycielską fantazję tej wspaniałej rzeki. Ktoś tłumaczy, że zostanie utworzone z całej doliny nowotarskiej jedyne w Polsce jezioro, raj dla sportów zimowych. Gdzie dzisiaj pola i lasy, tam roztoczy się przeźroczysta toń, wspomagana dopływami tatrzańskimi. Na brzegach zagnieżdżą się kolorowe stada pyżam. Ktoś oblicza zyski dla Podhala, ktoś inny troska się: co wtedy z Pieninami. Wody Dunajca, rozmiłowane w niebie, stapiają się z nim, żyją jego błękitem, stwarzając ów czar, niczym niewypowiedziany: Pieniny. Czy przez powstrzymanie wód ta romantyczna rzeka będzie stwarzała nadal najpiękniejszą poezję wśród podartych skał? Na to odpowiada motor, głosząc łoskotami i warkotem swój bezlitosny wyrok. Słyszeliśmy go długo, wspinając się na zbocze niedzickiego wzgórza.

Przecież należy zwiedzić szanowny zabytek z XIV w., nieźle zachowany, w pewnych częściach zamieszkały. Tutaj godne widzenia: sam zamek, w kaplicy resztki fresków z XV w., w olbrzymich piwnicach narzędzia tortur. Ale jak się dostać? Zaraz na początku tablica groźnie krzyczy po węgiersku i niemiecku, a po polsku z przymusu dodaje, że wstęp wzbroniony. Wystawiamy tablicom bezczelnie ozór i rżniemy dalej. Rozżarte psiska wyskoczyły z zasadzki i zaraz na nas z rozdziawioną paszczką, jakby nic innego na świecie nie istniało, tylko nasze rozdygotane łydki. Spieszczamy najśłodziej nazwy,

imiona: piesiu, piesiuniu, pieseczku, a nikomu na myśl nie przychodzi krzyknąć: ścierwo zatracone, kundlu, żeby ci ludzkie miłosierdzie kły pogruchotało! Ktoś patetycznym głosem zaczął poetyczną przemowę o szlachetnym pieseczku, o jego sercu, a chcąc przejednać tego przyjaciela ludzi, dodał, że pies nie jest człowiekiem, więc nie jest zwierzęciem. No, ale kto ma kły w paszczę, trudno, aby dbał o wzniosłość uczuć. Groźne błyski, gotujące ciosy, i warkot były dostateczną odpowiedzią i powodem, aby zaprzestać poetyckich westchnień, tym bardziej, że pieseczkom przysła pomoc, i to wydatna. Niedzickie wzgórze zagrzmiało, jakby ktoś spoza każdego pnia i kamienia wytoczył średniowieczne armaty i zaczął pracować salwami nie w gromadki bezbronnych biedaków, pragnących zwiedzić szacowny zabytek, ale w całą oblężniczą armię.

— Weg!!! Hinaus!

Uf, tu gorzej, powiedzieć można śmiało: całkiem źle. Szastając nogami w pokłonach, zdzierając kapelusze z łbów, słodząc oblicza uśmiechami, zebranymi wprost z wszystkich sklepów Piaseckiego czy nawet wyszukanego i poszukiwanego przez cały świat Wedla, i roniąc słówka, jakbyśmy rozrzucali najpiękniejsze kwiatuszki, tłumaczymy to i owo, że absolutnie nie myślimy bombardować murów i twierdzy, że wzrokiem jej nie zdruzgotamy, że baszt też do kieszeni w żaden sposób nie chcemy zabrać, ale jeno pragniemy spojrzeć, zachwycić się szacownym zabytkiem, podziękować ludziom i odejść.

Bracie, przemawiaj do rozsierzzonej baby! Wyrósł mur, zjeżony basztami, z jedną armatką, ale dostatecznie grzmiącą, aby wystarczyła za sto „grubych Bert“, znanych z wojny światowej. Widocznie w tym zamku

na polskiej ziemi nie pielęgnują polskiej zasady: gość w dom, Bóg w dom.

I tak nie tylko dzisiaj. Corocznie liczne wycieczki, spieszące w Pieniny, chcą zwiedzić niedzicki zamek. Ale zawsze jedno powitanie ich czeka: kułakiem w zęby, po niemiecku. Weg! Hinaus! — Ktoś czasem ośmiela się tłumaczyć, że tu Polska. — Na to słyhać odpowiedź, od której gromów zgrzybiałe, grube mury drżą aż od posad.

— Nas to nie obchodzi. Tu nigdy nie była polska ziemia, tylko węgierska, tu nikt obcy nie ma prawa chodzić i rządzić — a na dobitek manifest, mający rzucić na kolana — „Den Ungarn hat das Polen zu verdanken, dass es ein Land geworden ist“.

— Uf, do kaduka! — zawsze i wszędzie to samo ściga Polaka. Za dużo tej wdzięczności.

Wracaliśmy z Sycylii skonani, że — ani nóżką, ani rączką; jednym słowem: trupy — po kilku nieprzespanych nocach. Ledwośmy cudem zdobyli skrawek ławki w pociągu i wrośliśmy w nią obojętni, choćby się świat walił albo choćby trąba archanielska groźnie sygnowała sąd ostateczny. Zapewne na ten odzew, wskrzeszający wszystkich pomarłych grzeszników, zdumieni spojrzeliśmy jednym oczkiem na widowisko, godne ze wszech miar zobaczenia, aby go opisać w sensacyjnym raporcie, ale poza tym nic więcej.

Z martwoty obudziły nas podniesione głosy. Patrzymy zdziwieni, a tu Belgowie stłoczeni miotają oczami i mocno zgniewani wołają, że im należy miejsca ustąpić, bo gdyby nie oni, to by Polski nie było. Psiakrew! Jak takim nie pokazać zębów. Dopominanie się o tę wdzięczność wszędzie się wlecze i za poły chwyta, aż do obrzydzenia.

No, ale to drobiazg. Ważniejsza rzecz, to — Kacwin.

O księdzu Świstku i o jego zbiorach krążą legendy. Jakże więc nie odwiedzić go, nie poznać i nie poparzyć! A w mojej piersi zbieracza sztuki ludowej serce wyczyniało koziołki z ciekawości.

— Chcielibyśmy zobaczyć skarby — mówimy na powitanie po przekroczeniu progu.

— E, moje dziady — odpowiada ks. Świstek z pokorą, ale nie trzeba być znów zbyt spostrzegawczym, aby nie dojrzeć, że duma rozděła piersi pod rewerendą.

Nie dziwota. — Nam za chwilę ślepią powyłaziły na wierzch z podziwu i z zazdrości.

— Ech, żeby tak można było coś nieznacznie świsnąć na pamiątkę i na wspomnienie miłych chwil spędzonych... — ktoś westchnął żałośliwie.

— Wydrzesz komu serce z piersi? No, to wydzieraj. Wolna droga. — Ktoś drugi dodał.

Zbiór, istotnie bardzo piękny, daje obraz niemal całkowitego dorobku ludowego, przegląd jego rozwoju aż do dni dzisiejszych. Okazy rzadkie, ze znanstwem i z miłością gromadzone, mówiące o bogactwie twórczości góralskiej, o zdolnościach i upodobaniach.

Na ścianach stłoczone obrazy na szkłe. Co za kolorowość, świeżość, co za bogactwo! Jakby mistyczna łąka zakwitła, aby weselić oczy przez cały rok. Te kwiaty, te ornamenty nie przypominają rzeczywistych kwiatów, lecz są ich duszą barwną, ich wonią i kształtem. Postacie naiwne świętych, pełne wyrazu i tak wzruszające, jakby modlitwa, malowana przez pierwotnego, wędrownego artystę, który, chodząc od wsi do wsi, rozrzucał bezimiennie swe twórcze uniesienia. Na półkach garnki, miski, talerze i ciżba dzbanuszków, cacka ceramiczne, wytworność form, ulepionych paluchami chłopskimi. Niemal każdy

piękny, niemal każdy kształtem i ornamentem rwie oczy. Świątki dłubane kozikiem. W twarzach boleść lub świętość; prosty rzeźbiarz przelewał w nie swe najzarliwsze porywy, krew swego serca, światłość swych zachwyceń. A wszystkie tak odmienne, tak rozmaite, jak różnorodne są przejawy natchnień twórczych. Stare skrzynie, owe skarbce w góralskiej izbie. Pochylamy się nad malowaniami, śledzimy ornament, bo deski są jakby obite pasami słuckimi. Na ich tle kwitną kwiaty, wiją się, przybierają przedziwne kształty. Podnosimy wieko, aby zajrzeć do wnętrza, aby zobaczyć stare stroje, niby wzorzyste kilimy, koszule, gorsety, rańtuchy, chusty, czepce. Wydobywamy jedno za drugim, aby witać okrzykami szczerzego podziwu, bo to są arcycuda twórczości kobiecej. Wyszycia, które już dawno zaginęły, umarły razem z ich twórczyniami, a tutaj jeszcze żyją w ostatnim okazy. Wyszywania te — to fantastyczna opowieść igły, budząca zachwyt umiarem, kompozycją, bogactwem wzorów, których nikt nie uczył, bo hafciarka, wiejska dziewczyna, wysnuła je z własnej duszy.

Ks. Świstek z humorem opowiada, a każdy drobiazg ma własne dzieje; z dumą pokazuje, ujmuje w palce z uśmiechem, obraca z lubością.

— O, to ucho dzbanuszka, jak to ładnie psiakość ozdobił! Ceramika orawska, o, nawet z datą: 1790. A tu spiska, choć prosto a jako piękno! A to mi kowal dał, a to stara babina. A co, nie pyszna figura? Przypomina romańską. To mom od chłopca, który będzie miał z 80 lat, a on otrzymał od ojca. A do tego zlatują malarze — rozdziawiają gęby, wywalają gały i mówią: arcydzieło. Nie wiem dlaczego. Długa historia. O, tu stare gliniane talerze; tych już nigdzie nie spotyka się.

Dawniej zbierałem po drugiej stronie granicy, przywoziłem ze Śpiszu, zza Magury. Teraz nasi nie dadzą przewozić, bo to „luksus“, powiadają karlsbadzka ceramika, no i kazali płacić wielkie cło. Rewerendy, butów nie kupilem, każdy grosz na to obracałem, aby wzbogacać skarbiec kultury ludowej... Taki to u nas luksus...

Czytamy napis „Jezus Chrystus U krzyzowany“. Tu obok dzbanuszek stary i dwa rańtuchy z kartką: Przewielebnemu ks. J. Świstkowi w dniu imienin ofiarują do muzeum dzieci szkolne z Kacwina“.

— Bo to wiedzą — tłumaczy uradowany ksiądz — że mam takiego bzika i dały mi to. Ładne? prawda? W Jurgowie kobiety robiły każdy inny, ani jeden się nie powtarza. Co za bogactwo wzorów, co za bogactwo wyobraźni!

Wzrasta podziw na widok zbiorów, wysiłku, zabiegów, trudów. Trzeba mieć spryt, wytrzymałość, kierowaną wielką miłością, aby to wszystko z rupieci wygrzebać, zebrać, przenieść z górskich dziedzin, z zapadłych kątów i stworzyć takie muzeum. Gdy się słyszy, w jakiej poniewierce leżały, to znów trzeba z żalem, czy rozpaczą stwierdzić, że w Polsce nigdy nie mieliśmy i nie mamy szacunku dla zabytków, choćby nieraz najbardziej cennych.

Między okazami uratowanymi od zniszczenia znajduje się, już jako wspomnienie historyczne, puszka na komunikanty, z drzewa wytoczona, ofiarowana przez Józefa II w zamian za zrabowaną złotą monstrancję. Bawiły się nią dzieciska ruskiego popa na podwórzu.

Ozdobą zbiorów jest kurdybanowy ornat, bardzo ładnie zachowany, prześlicznym ornamentem barwnym ozdobiony.

Przypominam ks. Świstkowi, że na strychu dzwonnicy jednej spiskiej wsi, na stercie rupieci, znalazłem podobny, jakby ten sam, przed wielu laty w czasie plebiscytu; ówczesny proboszcz nie pozwolił tknąć, bo „co w kościele jest, to niech leży, choćby miało zgnić”. Chciałem, aby do muzeum krakowskiego ofiarował. Za żadne skarby — mówił. — Dawać na poniewierkę? Rozmaite bezbożne ludzie przychodzą, i im świętości pokazywać? Zbezczeszczą oczami?! Trudno go było przekonać. Teraz pytam, czy to nie ten sam.

— Ależ nie, skądby — ks. Świstek zaprzecza porywczo, z uniesieniem, aż nazbyt gorąco, abym wierzył. Jest zresztą przypowieść, wielce pouczająca i budująca, że gdy zbieracz łąga, przepraszam, poetyzuje, a nawet prawdę mówi — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, to Bóg Ojciec zamyka oczy, zatyka uszy i uśmiecha się figlarnie: niechże ta, niechże ta... bo to rozmaicie bywa... z tymi dziwotworami...

Nic dziwnego: sam posiada niezły zbiór osobliwości w ziemskim muzeum, toteż jest pobłażliwy i ma wyrozumiałość dla prawdy każdego zbieracza. Mówię to z czystym sumieniem, z własnego doświadczenia, że trzeba górę piasku przesypać, aby znaleźć ziarno złote, przypadkowo, i to przez pomyłkę, zawieruszone.

Ks. Świstek szerzy wśród ludu zamiłowanie do tradycji i sprawia, że tutaj strój i obyczaj nie zaginął, ale wciąż trwa w swych przejawach.

— Naganiam, aby się ubierali na starą modę. Obrzydzam im tandetę; co mogę, to robię. Gnietę. Trudno, jak nie będę gniótł, to go zagubią. Krawczynie i krawców też przyciskam, uczę i dotychczas jakoś jest. Gdy para przyjdzie do ślubu w starym stroju, to ja w kapie, uro-

czyście wychodzę; przychodzą w tandecie, to ja bez kapy. Lubią paradę, więc unikają tego. Czepców zabrakło, kiedy biskup przyjechał, to kobiety przyleciały do mnie, żebym im pożyczył, żeby się ino sprezentować w starym stroju. Chciałem przywrócić gorsety, które już wyszły „z mody“. No, ale znalazłem nieprzewidzianą przeszkodę; jeden dawca oświaty sprzeciwił się i buntował, że to nie-higieniczne, dziewczuchy się wyściskają i potem nie ma piersistych bab ku żalowi chłopów. Ano i — nic nie poradziłem.

Na ścianach plebanii wiszą szkice Matejki z własnoręczną dedykacją, ongiś ofiarowane prof. Sokołowskiemu; obok tego grafika współczesna, w szafach tkaniny a w bibliotece rzadkie druki, grube dzieła w skórę oprawne, bo żyłka historyczna powoduje, że ksiądz pleban kupuje je za ostatni grosz; często też wygrzebuje księżczyśka spod rumowisk na strychu, w komórkach, gdzie szczury hasały po nich, wcale nie w naukowych celach i zamiarach. Ks. Świstek w wolnych chwilach grzebiej się w pożółkłych papierzyskach i wydobywa ciekawe szczegóły, odnoszące się do przeszłości Podhala, Orawy i Spiszu. Jest skarbnicą wiadomości, żywą kroniką, które czerpie z pergaminów, nieraz zapomnianych i zagubionych.

Co by zmarniało, co by zginęło po komorach, strychach, to zostało ocalone, nieraz wyrwane spod siekiery i ognia, a dzięki ofiarności ks. Świstka wzbogaci muzeum etnograficzne na Wawelu. Tu, w zapadłej wsi spiskiej, jest jego oddział. Tylko — gdzie znajdzie pomieszczenie? Na Wawelu? W tej ciasnocie, wśród walących się murów?

II

O Sądzie Ostatecznym

O zakopiańskim proboszczu, ks. Stolarczyku, wciąż trwa legenda, która zapamiętała pewne szczegóły jego działalności i powtarza je tak, że ta postać, tak niezwykła, tak oryginalna jest wciąż nam bliska, wciąż żyje. Przypominając sobie znajomość duszy ludu u tego księdza, wchodziliśmy na plebanię w Kacwinie, przestępowaliśmy próg kościoła, aby posłuchać kazań, gwarzyliśmy też z parafianami.

— Pieknie prawią pon farorz, o, pięknie, jakby som Pon Jezus trzepoł kijem grzysną dusę. Prowdę rzeze w ocy kozdemu. Ino nom dziwne, ze to jeden cłowiek mo taką moc, co skrusy zakwardziałe serce nojwiększego grzyśnika, a drugi nie...

Jaka jest ta moc, co często skruszy „zakwardziałe” serce grzesznika, to czasem lepiej nie wiedzieć. Opatrzność Boska rozmaitych nauk używa w doczesnym życiu ku poprawie dusz występnych.

Ks. Świstek to gawędziarz niezrównany, znawca chłopa pierwszorzędnego, toteż w różnych kierunkach oddziaływał. Plebania jest szkołą i sądem, rozsądającym słowem, a czasem czymś innym... wszystkie spory i małżeńskie i o ziemię, i o honor. Kronika parafialna jest nieprzebraną skarbnicą procesów, wyroków, nieraz spisanych na ołtarzu. W nich odbija się obraz wsi, jej przeżyć i nastrojów. Kazania jego — to plastyka, obrazowość, nieraz rubaszość, waląca kłonicą po łbach i sercach. Trudno spamiętać wszystkie; chciałbym wspomnieć choć o dwóch. Niestety, nie można oddać jego gwary,

jego obrazowych porównań, kształtów rzeźbiących się, jego wyrażań uderzających w sedno.

Ks. Świstek dawniej był proboszczem na Orawie i o tych czasach wspomina ze szczerym wzruszeniem. „Orawiacy mają serce” — wyznaje.

— Piekłowałem na nich nieraz, ale ich wciąż lubię. Spiszacy, ech, to inny naród; ani porównać! To kupcy.

Cmentarz w Piekielniku był w zaniedbaniu. Płoty spróchniałe i obalone. Stada bydła pasły się na nim, racicami deptając groby, a na kamiennych płytach zostawiając paskudne ślady. Niejedna krowina czochrając się obalała krzyż, który padał jak człowiek z rozpostartymi ramionami. Ks. Świstek był zgorszony tym i w niedzielę przemówił z ambony do parafian, upominając, aby nie paśli żywiny, boć to jest bezczeszczanie miejsca wiecznego spoczynku ojców, dziadów, matek, siostr, braci, a przecież każdy jest namaszczoney olejami w godzinę śmierci, każdy jest chrzczony święconą wodą. Takie zhańbienie jest ciężkim grzechem. Widział skutki swej nauki i szeptał.

— Poprawią się, chwałać Panu Jezusowi.

Bogobojni parafianie słuchali, zgodnie przyświadczały, czasem ten i ów otrząsał się, jakby uprzykrzone muchy brzęczały zbyt natrętnie.

— Grzych, prawda, grzych, ale co robić...

— E dy, e dy, co tam skąpić bydlęciu tej odróbki trowy? Umrzykom niepotrzebno, a tu kapka mlicka dla żyjącego. Łatwo księdzu mówić.

Nazajutrz jegomość, pełen najlepszych myśli, podążył do kościoła, a tu znów widok pasących się krów przebódt jego oczy. Zakasał sutannę i żwawo popędził. Chłop z niego tęgi, grubawy, to się biedak napocił, zasapał —

i to setnie! Niewiele pomogło. Co jedno stado wygnał z tej strony, to drugie z tamtej strony najspokojniej wkraczało, przynęcone masną, cmentarną trawą. Kozy jak iskry wspinały się po nagrobkach, smykając wiszące kiście roślin; cielątka na widok księdza podskakiwały, uważając, że wszczyna z nimi igraszki. I tak codziennie, od poniedziałku do soboty.

W niedzielę ostrzej przemówił do rozumu, do sumienia i honoru. W miarę wzrastającego gniewu, na wspomnienie całotygodniowych gonitw, wołał, że oni hańbią pomarłych ojców, braci, synów. Tu i tam babina rzewnie zaszlochła, bo ją tak sparła żałość, że ani zdzierżyć. Cisnął gromkie słowo w tamtą stronę i zadowolony zeszedł z ambony.

— No, zmiękli ludzie. Teraz już skruszyłem ich. Kto jak kto, ale ksiądz znajdzie na wsi zawsze posłuch.

Nie wiedział, że groźby trzaskały i głuchły jak piorun, bijący w pustce.

Parafianie wysłuchali rzetelnie, przyznali, że prawdę mówił, bo to wstyd, żeby bydłęta, i to bogaczy... No, ale daleka droga od chłopskiego ucha do duszy! Ani zmierzyć. Rano spojrzął na cmentarz i — znowu to samo. Wściekł się burzliwy pleban. Uganiał za stadem, które rozprysło się na wszystkie strony i przez groby pognało. Mimo krzyków żwawy, tłusty byczek przeskakiwał, gdzie zobaczył bujniejszą trawę; można by powiedzieć, że to swawolny Dyzio wodzi proboszcza za nos. Czasem ryknął, jakby śmiechem parsknął, i zawinął ogonem. Co to oznaczało, to jedynie on wiedział. Mniejsza z tym. Rozpędem skoków obalał krzyże, rozdeptywał mogiły. Byczek najwidoczniej kpił w żywe oczy i nic sobie nie robił z pomstowań. Ludziska zaś stawali we drzwiach

i przypatrywali się igraszkom. Czasem zjadliwy uśmieszek śmignął po wargach.

— E, usiepie sie, usiepie pon farorz i nie bedzie trapił bydłatek.

Niejednen zaśmiał się, szczerze ubawiony, bo też ze wszech miar był pocieszny widok księdza z podkasaną rewerendą, uganiającego za byczkiem, hasającym po cmentarzu.

Ktoś przystanął i, przejęty współczuciem, radził gorąco, z serca, choć pod pozorami litości krył szyderstwo.

— Ze tez chce sie wom figlować, panie farorz? Strzęsiecie sie i jesce vos kolki zadźgają, przecie jest na vos mięsa dość. Ale wom mówię, śmigocie jak chłopok!

— Lepiej mi pomóż zegnać bydło. To twój bycek?

— A mój.

— A co na kazaniu mówiłem?

— E, po Michale to wolno paść i na powale.

— Powiem ci, racej byckowi Pon Bóg doł dusę, a nie tobie — uniósł się ksiądz gniewem i śmignął z kijem za stadem.

A byczek, ufny w opiekę, stał opodał, ubawiony przygodą i pewnie myślał nad tym, jaką „štukę“ wystroić, żeby ludzi wprawić w podziw.

— Zajmę krowy! — groził ksiądz...

— Jak zawrzecie, to bedziecie jegomościu musieli sami doić.

No, ładny rodzajowy obrazek: ksiądz ze skopkiem między kolanami, siedzący przy wymieniu. Psiakość! — Zabili mu ćwieka. Zdawało się, że nie będzie końca tej wojny. Nie wiedział, co czynić. Po każdej awanturze stado się powiększało.

— Wicie, kumie, wicie, krew mu sie zastała, to pofigluje z żywiną i na zdrowie mu wyjdzie, trochę omasty ze siebie wypoci.

Ksiądz wrócił na plebanie i położył się do łóżka. Chorował kilka dni. Ludzie stawali w drzwiach, wychylali głowy z okien. Krowiny najspokojniej się pasły, a nikt ich nie wypędzał.

— Krew sie w jegomościu zapaliła ze złości.

— A nie mówiłam, ze sie strzęsie. Zaroz wiedziałam, ze tak bedzie. A radziłam, z dobrego serca radziłam. No, ale kto ojca, matki nie słucha, to niech słucha psi skóry... e, ino mi sie tak, ucciwszy uszy, wysnęło.

Ksiądz chorował i ze zmęczenia, i z gniewu. Co tu dużo mówić, wydał wojnę, z której wyszedł sromotnie pogiębiony. W sobotę wstał zdrowszy.

Na widok księdza idącego obok, byczek zmiatający smakowitą trawę podniósł łeb, jakby ślepiami mrugnął urwiszowsko. Skoczył, aby uganiać między krzyżami i stanął mocno zdziwiony. Odwrócił się i ryknął. Nic. Coś niesłychanego. Nikt go nie pędził. To było zdumiewające i oburzające. Pierwszy raz bysiowi trawa nie smakowała, chwycił zębami tu i tam i osowiały polazł na prawdziwy ugór. Stracił humor na szczer.

Ludziska zwyczajęsko spoglądali.

— No, pokazaliśmy na swoim. Zeby bydlęciu z garła wydziarać kłębek trowy? Nie do pojęcia! Niech sie pasą, niech sie im trowka w mlicko zmienia.

W tę niedzielę szli ludziska do kościoła bez nijakiej ochoty. Nieprzeganiane krowiny pasły się, ot tak, aby zbyć. Nie miały żadnej uciechy.

Kiedy ksiądz ukazał się na ambonie, parafianie pobożnie podnieśli głowy.

— Co też ta jegomość dzisiok powiedzą, kiej krówkom nie doł rady. Chyba nas roztrzępie.

Proboszcz przeczytał ewangelię, wyłuskał zdanie na dzisiaj przeznaczone i cisnął w kościół dwa słowa, mogące rozedrzyć sklepienie.

— Sąd Ostateczny!

— Bedzie to, bedzie — ktoś nagle zaszlochał i zamilkł zdruzgotany.

— Tam bedzie płacz i zgrzytanie zębów! — zagrmiał ksiądz.

— O Jezu, ulituj się, o Jezu Miłosierny! Kozdego tam ceko porachunek za wsytko.

— Słusznieś, bracie, powiedział. Czeką nas wszystkich porachunek za winy nasze, za grzechy nasze. Dzisiejszej nocy śnił mi się taki sąd na Józefata Dolinie. A było tak... — opisywał szczegółowo, gdzie siedział Bóg Ojciec, Syn Boży, sędziowie groźni, wszystko widzący — Archanioł Gabriel z wysoczyzny wielkiej, jakby z hańtego najgłówniejszego wirchu Tater, zatrąbił, ile miał mocy, na północ, na południe, na wschód i zachód. Jego głos usłyszały cmentarze i groby tak, że kamienie się łamały, skały pękały, a odwalone nagrobki i krzyże padały z łoskotem. Z grobów dźwigali się, wśród straszliwego płaczu i jęków, ojcowie, matki w najdalsze pokolenia; wychodzili pomarli ze starych i z nowych cmentarzy, z wszystkich miejsc, gdzie kogo spotkała śmierć. Z czterech stron świata zdążali na Józefata Dolinę w biełuśkich szatach, jakby na najmilsze gody — przecież do Pana Jezusa i do Matki Przenajświętszej. Szli od Lipnicy Wielkiej i Małej, szli od Orawki, od Głodówki, od Jabłonki i zewsząd. Jaśniejące mieli oblicza, w szczęściu i światłości. Nad Piekielnikiem zaś była głuchota. Nikt nie wstawał. Archanioł pożrał w tę stronę i zacu-

dował się. Zleciał znad Tater, stanął nad samym kościołem. Zatrąbił raz — nic! Nabrał pary i zatrąbił drugi raz — pożrał na dół i — znowu nie widać nikogo.

Słuchacze zastygli, jakby chcieli usłyszeć głos, którego umarli nie usłyszeli na Józefata Dolinie.

— Złość anioła zebrała, bo nie wiedział, co to znaczy — a nie można się mu dziwić, bo i żyjące ludzie też nie słyszą Bożego głosu — nabrał znowu pary i trzeci raz zagrzmiał, ale tak ze wszystkich sił! Czekał długo. Ciężka była ziemia, spo-nie-wie-ra-na — powoli wymawiał to słowo, rozrywając głoski pojedyncze, litując się nimi nad każdą zhańbioną grudką. — Wtedy dopiero zaczęła się rozrywać murawa, pękała ziemia, powoli padały krzyże. Jezu! Oczy zawrżeć i nie patrzeć. Lepiej tego nie widzieć — przejęty grozą zawołał, wstrząsając sumieniem, kościołem i światem. — Wychodzili ludzie, wlekli się całkiem odmienieni. Strach mnie obleciał, bom nie wiedział, co się stało — a stałem na boku niedaleko Pana Jezusa. Wnetżem zmiarkował i tak usuwom się, usuwom, bo było mnie wstyd pożryć w ocy Panu Bogu. Pytają się — kto oni? Cy to piekielnicanie? Ktoś mnie tyrpie: panie fa-ror-z, cy to oni? Poznałem od razu. Alem nie głupi sie przyznawać, przecie po próżnicy nie bede sie hańbił w niebie; dość sie nahańbiłem na ziemi i nie mówię nic. Ino tyle wom powiem, zem sie ze wstydu chciał zapaść w ziemię. Wlozem w kąt i słuchom, co z tego wyjdzie. Wiedziołem, ze nic dobrego. Jednym okiem, dla niepoznaki pozirom hań i widze na kazdziuśkim saty zbabrane, gęby zmarasone. Wsytcy Święci patrzą po sobie, tyrkają sie łokciami: kiz to za diasi? Brat brata, siostra siostry, matka dziecka, dziecko matki nie moze poznać. Co tu mówić o ludziach, kiedy sam Bóg Ojciec, co kazdziuśkiego zna od małości, nie mógł nikogo poznać. Podeśli

blizej, choć jesce kawoł drogi było do nich. Idzie z hańtela płac. Ojcowie na synów, synowie na ojców wyrzekają, pomstują załośliwie, az sie rozligo po polach, jakby ktoś kijem proł te bidne, te zhańbione, niewinne dusycki. — Kajżeście sie tak ubabrali — pyto pirsego z brzega Pon Jezus. — To nie my, ino... — nie dokończył, bo gorzko zapłakał i chyto sie za gębę, zeby ją zasłonić, a tu na obu rękach to samo: zielone plamy.

Matka Boska chciała kogoś krajem sukienki obetrzeć, ale ją odepchnęło. Św. Piotr cisnął klucze i chycił sie za nos. Wsytycy Święci tez. Taki smród posed po całej Dolinie Józefata, ze ani wytrzymać. Az tu gruchło: E dy, e dy, to krowy ich... — Co pedzieli, nie powiem, ino to, ze kazdy miał zielony placek na gębie, a po sobie nie jeden, nie dwa, ale sporo. Krówki sie na nich pasły. I ty, chłopie, ślubnej baby nie poznos i ty, babo, chłopca ślubnego nie poznos, a jak bedzies chciała go przywitać, pocałować w tej godzinie — to jak? Kupę gnoja, co sie przez tyle roków nazbierało? Jo sie nie bede hańbił, chociem to wszystko na swoje ocy widzioł. Jak umrem, to nie bede u wos lezoł, bo nie chce, zeby wase bycki po mnie przeskakiwały. Paście dalej na cmentarzu. Amen!

— No i co? Pomogło?

— Tej samej niedzieli, zaraz po niesporach, zwolali radę gromadzką i coś jednogłośnie uchwalili. Co? Nie wiem. Zaraz w poniedziałek zaczęli robotę i w paru dniach wymajstrowali szykowny murek. Uwijali się zważo do dziesiątego potu. Aż mi było dziwno. Dzieciska stały z kijami i odganiały krowy.

— No bo to, wicie, poświęcane miejsce — starzy mówili — ale cy to głupie stworzenie wie, cy rozumie? Nijak! Nie dziwota. Przecie to zwirzę!

III

Kazanie do serca ludzkiego

Piekielniczanie — to honorne chłopcy. Drugich takich — szukać. Honoru swego umieją bronić, aż łby lecą w trzaski. Gdzie jarmark, to oni, gdzie wesele, to by ich nie było, a na odpustach też ich pełno, choć po paciorki tam nie chodzą.

Był odpust Przemienienia Pańskiego w Jabłonce. Nabralo się luda z całej Orawy. Kto starszy zaraz z kościoła leciał do domu, a młodszy gdzieś by poszli? Do karczmy. I tu odpust odpawali, aż echo tego dobiegało do Piekielnika.

Sześciu ich było, a wystarczyli za stu. Odpustowali godnie. Wszystkich z karczmy wytrzepali. Rozchlapali krwi dość. Czerwień na ławach, po ścianach. Jabłończenie, chłopcy setne, choć byle komu nie ustępują, powy-skakiwali przez okna jak spłoszone pchły. Zostali tylko niektórzy; tym trudno było uciekać. Leżeli, stękający w kałużach. Tamci grzmocili tego. Piekielniczanie po skończeniu roboty siedli na ławach; otarli czoło:

— Zeznailimy się.

Potem dźwignęli się, splekli się ramionami w jedno i zwartym szeregiem idąc, zaśpiewali umiłowaną nutę:

Poduhuj, wiaterku, po tyj siwyj skole,
Moze mi wyzynies z mego serca zole;
Tu moje serdecko na dwoje sie dzieli,
Jedna strónka płace, drugo sie weseli.

Nie patrzyli w rowy. Co im tam! Ino któryś rzekł.

— Nie daleko uciekł.

Nabrali otuchy i razem wydarli śpiew z huczących piersi:

Sumiała lescyna, kie jo bez nie jechoł,
Płakała dziwcyzna, kie jo je poniechoł.

Przetaczając się od drzewa do drzewa, szli, choć cała
wieś na nich warczała. Czego się mieli bać?

Coze temu padnie,
Co owiecki kradnie?
Coze by mu padło?
Łańcuski na gardło.

A potem znów:

Tu je tu, tu je tu, piknie umiecione,
Jest tu takie dziwce piknie uplecione,
Co by sie wołały góry i kamienie,
To jo nie przestany chodźć ku dziwcyynie.

Z tym śpiewem wkroczyli hucznie do swojej wsi,
nie wiedzącej nic o ich wyczynach. Niedługo trzeba
było czekać na wiadomości. Posypały się wkrótce i obiegly
od domu do domu. Ks. Świstek aż za głowę się chwycił.

— Co ja z nimi mam. W oczy ludziom nie mogę
spojrzeć.

Nazajutrz pojechał ksiądz do Jablonki w tej nadziei,
że to wszystko potwarz. Nie, to nie oszczerstwo, każde
słowo prawda. Komendant policji opisał całe zajście,
pokazując grubą łagę, krzyczał ze zgorszeniem.

— Do szlachtuza ich posłać! No, ładnych parafian
sobie wychował ksiądz proboszcz. Godnie odprawiali
odpust Przemienienia Pańskiego! Potrzaskali łby, po-
gruchotali kości, a zębów cudzych też nie żalowali. Wojo-
wali po Bożemu, no, aż na rekolekcje pójda do kryminału.

— Ja się hańbię — usprawiedliwiał się zawstydzony
proboszcz — ale niech mi pan powie, co mam zrobić,
w jaki sposób ich dusze odmienić? Czy jest taka moc?

Z ambony upominam, daję budujące przykłady, a tu nie pomaga. Chciałbym skruszyć zatwardziałe dusze, zmienić pod Boży siew. Jak? Podpal kamień świętym ogniem.

Na pożegnanie poprosił o pożyczanie tej lagi, sam nie wiedząc, w jakim celu. Jadąc zgnębiony, zaciskał ją w garści. Przez całą drogę urabiał słowa, twarde jak pięści i ciskał je w tłum. Od tylu lat w kazaniach prał naukami, grzmiał, zaklinał, a przecież nie przerył twardości ludzkiej duszy, nie rozniecił płomienia miłości. Zwątpił w swoją pracę, w daremną od wieków orkę na ugorze. Tylekroć zalewała go gorycz w nocie nieprzespane wśród dumań i zamyślań. Ta sama gorycz teraz spływała.

— Co robić? — Bezsilny, zadręczany troską pytał siebie, drzew mijanych, obłoków przelatujących po błękiecie. Odpowiedź jedna leżała w jego garściach: kłonica. W końcu orzekł, że Boży siew nie wyrośnie na ostrzu siekiery, bo w ich sercu leży obok siebie krzyż i siekiera, tak blisko, tak blisko!...

W niedzielę przyniósł do kościoła pałę. Nie krył jej. Deszcz padał i zlał ją rzęsystrugami, zmoczył płamy zaschłej czerwieni tak, że drewno zakrwawiło się żywymi ranami. Narzucił na siebie komżę i prosto z zakrystii wstąpił na ambonę. W kościele ścisk zwyczajny. Barwne fale strojów zaszemrały, zakołysały, podpływając blisko.

Ksiądz zamiast czytać ewangelię na ten dzień wyznaczoną, wyciągnął ramiona; zaciskając kłonicę, potężniał, wyolbrzymiał, dotykając obłoków rzeźbionych, z których wylatuje biała gołębicą. Zastygł w takiej postawie i w tej chwili zmienił się w legendarną postać biblijną, mającą przemawiać z niedościgłych szczytów, aby sztur-

mować samego Boga. Oczy miały spojżenia po zebranych, gruchotały każdego. Milczące usta kryły piorun.

Ludzie podnieśli głowy, w popłochu rzucili się do ucieczki i w połowie kościoła zamarli.

Ksiądz jakby skamieniał, grożąc niemą karą. Ręce jego zadrżały, a garść jedna jeszcze wyżej wyrastała; zdawało się, że chce zerwać grom ze skłębionych chmur, aby cisnąć w tłum milczący, ogłuszony i powoli — powoli cofający się w przerażeniu.

— Jezu! — jedno słowo jak łoskot skały, odłupanej gwałtownym ciosem.

Zawierucha przeleciała przez kościół, szarpnęła jak wiatr drzewami, wkorzenionymi głęboko i cisnęła na kolana. Tłum wrósł w posadzkę. Posypały się słowa z kazalnicy.

— Nie bójcie się mnie, bo ja nie jestem rodem z Piekielnika, zebym was bił albo zabijał. Zawdy wam głosiłem ewangeliją; tej niedzieli nie będę, bo to jest wasa ewangelijo, pie-kiel-nicko! — potrząsnął pałą, trzaskającą skostniałe oczy. — Tu jest krew! Juz tyle dni, a jesteście nie obeszliście od Przemienienia Pańskiego, bo ja! Pon Jezus kochał was pokazać. I teraz pokazuję i pytam: czyja ta krew? Bydlęco? Nie! Katolicko, orawsko, waszych sąsiadów i krewniaków. Kto ją rozlał? Zbójniki? Nie! Pogan? Nie — ino ręce chrześcijańskie waszych synów chrzczone święconymi wodami.

Coś od podwalin zatrzęsło kościołem; zdawało się, że ściany, sklepienie rozprysną się i zebranych zasypią cegłami, uwięzionymi przez wieki. Wargi wyschłe nie mogły utrzymać ciężkich słów i ogłuchły, a tylko kamienie posadzki zajękły.

Nie wołał, aby się poprawili, nie przemawiał do su-

mienia, a tylko ciskał po ich duszach, a tylko łomotał kłonicą po ich ślepiach.

— Jak zawdy, tak i teraz idźcie na ofiarę — urwał nagle, jakby siekierą przeciął, i schodził z kazalnicy wśród ciszy.

Słychać było skrzyp drewnianych stopni, a potem łoskot kroków na posadzce, wzdrygającej się po każdym nadeptaniu od ambony do ołtarza.

Tłum rozdzierany cofał się, rozstępował, tworząc ciasne przejście, jakby szczelinę wyżłobioną w skale. Dwa zwarte szeregi, mur bijący tyłu ciosami, ile serc mogących roztrzaskać skamieniałe piersi.

Ksiądz mijał ich krokiem mocnym, zdecydowanym, nie patrząc na nikogo, choć czuł palący, groźny wzrok każdego, mogący zdruzgotać czy podpalić. Nie wiedzieli, co chce uczynić, w jaki sposób chce dokończyć swego strasznego obrzędu. Jeszcze jedno westchnienie zduszone, pogrzebane chyba rumowiskiem zburzonego kościoła rozległo się, kiedy ksiądz wspiał się na stopnie ołtarza i na jego krawędzi położył drewno, czerwienią krwi spowite.

Na barki ludu zwałił się nieudźwigniony ciężar i przytłoczył, że czoła uderzyły o posadzkę, wargi zaszeptały.

— O Panie Jezu, cegoś tak nos pokoroł?!

Ksiądz odwrócił się i wskazując palcem na kłonicę krótko przemówił:

— Kładę na ołtarzu; niech ojcowie i matki patrzą, jak psio wychowali dzieci, parobcy niech pocują, jak to wyglądo, kiej ludzi rozbijają. A wom wsytkim na przestroge.

Zakołysał się kościół. Choćby teraz kamienie sypały się z nieba na głowy, na dusze, to by już ludzie nie poczuli.

Jest zwyczaj, że po kazaniu zebrani okrażają główny ołtarz barwnym wieńcem niedzielnych strojów, przyklękając na stopniach w szepcie modlitwy. Dzisiaj nikt się nie poruszył. Dopiero po długiej chwili ktoś powoli dźwignął głowę, odrywał jedno, potem drugie kolano, jakby oddzierał od skały, wstawał i zgarbiony przesunął się naprzód. Za tym starzec przyczołgał się na klęczkach; kiedy dobrnął do ołtarza, głowa jego bezsilnie opadła na kamienie. Zająknął.

— Panie Jezu odpuść!

Kobiety zalewały się łzami, kryjąc twarze w chusteczkach.

Na poduszce leżała pałka, zbroczone krwią, jakby w więzi czerwonych kwiatów porzucona jedyna prawda, mająca tak wstrząsającą wymowę.

Coraz nowi chłopcy podchodzili. Twardymi spojrzeniami mogliby ją połamać i rozkruszyć. Zębami zgrzytającymi pogryźliby, aby śladu nie zostało. Jedni z żalu, ze skruchy, a drudzy z bezsilnej wściekłości.

Widok tej pałki i kamienie sypiące się tej niedzieli z ambony, przełamały, przetrąciły zbiorową duszę. Coś wieś odmieniło. Choć było huczne wesele, to już nikt nie rozdzierał płotów, muzykanci nie wyskakiwali przez okna przed dragami, pobici i pokrwawieni nie leżeli na podłogach w posoce. Ucichły zabawy. Nikt nożem nie wojsował.

Ksiądz powiesił tę kłonicę na ścianie w swej kancelarii. Widok jej walił w ślepiea każdego przekraczającego próg, toteż ludzie prosili go nieraz.

- Juzbyście mogli ten patycek stracić, panie farorz.
- Cego?
- Ludzie się poprawili, po Bożemu żyją i po co ich źlić?

— Wis czego nie spółę? Bierem ją ze sobom. Jakby mnie kiedy ochota podleciała wrócić na Orawę, to ino pożrem na nią i bede miał dość.

Po przeniesieniu na Spisz szukał tej pamiątki, wywracał graty. Nie znalazł. Dowiedział się, że w dniu wyjazdu dziewczyny, pomagające przy pakowaniu, porąbały i wrzuciły w ogień.

— Tako koziorecka bedzie nasych parobków hańbić po świecie? Nie.

— Gorszą się niektórzy — usprawiedliwia się ksiądz pleban, że ich tak po rozumie tłukę, że ich za łeb biorę. Niech się gorszą. Prosiłem ich po ludzku, jak się patrzy, to mnie nie słuchali i nie chcieli rozumieć, a jak im powiedziałem do rozumu, to zaraz zrobili i odmienili się.

Mowa jego twarda, dosadna, ma kształt, barwę, rzeźbę, toteż bije pałką w łeb, w serce i w sumienie, przystosowana do potrzeb tego ludu i najwymowniej trafiająca do duszy.

Wieść o tych duszpasterskich naukach dotarła do Krakowa. Jednego razu na odpuszcie sąsiedniej parafii ks. Świstek miał wygłosić kazanie w obecności biskupa. Musiał godnie mówić, więc na krawędzi ambony przybił kartkę: „Biskup słucha! Nie mów głupstw“. Czasem już go chciało ponieść, już miał powiedzieć coś po swojemu, do słuchu, ale ino pożrał na ten napis, to jakby ktoś chlusnął na niego stągiew zimnej wody: za wędzidło mocno się dzierz!

Po skończeniu kazania biskup zbliżył się z uśmiechem:

— Doszły mnie wieści, że ksiądz różności na kazaniu wygaduje, a widzę, że wcale godnie, wcale godnie, nic rażącego...

— To nieprawda, co mówią. Ino głupi wierzyłyby w takie bajki.

— Ja też nie wierzę — biskup aż nazbyt pośpiesznie zaprzeczał.

Proboszcz wyparł się w żywe oczy. Co miał powiedzieć? Przecież nie mógł hańbić tych, co go kazań uczyli. A ks. Bystrzonowski jeszcze żyje i mógłby zaświadczyć.

Postać tego niezwykłego księdza o głębi wielkiego uczucia, o wiedzy wszechstronnej, kierowanego mądrością dobra, wyrąbana siekierą w jednej bryle, wejdzie kiedyś na karty książki, aby prawdę przeniesioną z życia zmieścić w legendę.

CZĘŚĆ II

KAMIENIE i ZIARNA
PADAJĄCE NA WIEŚ

MATKA WIODĄCA DO ŚWIATŁA

I

Wszyscy zgodnie stwierdzali: u Malinowskiej bida, przebida. Wdowa, troje dzieci i matka niedołączna. Inny choć zasieje ziarno na odróbce pola, wychowa krowinę albo choć marną kurę, a ona nic i nic, bo na czym? Jej się patrzy wspomoga jak nikomu we wsi.

Trzeba iść i zbadać.

Daleko na wierchu. Prawda, śliczna droga, przez pola, potoki, zboczem, ścieżkami zatraconymi w zaroślach, ale można było przeklinać każdy krok wspinając się po urwiskach, skacząc po kamieniach; jednakże najsiarczystsze przekleństwo zmieniało się w okrzyk podziwu, gdy na wyniosłości człek się odwrócił i zobaczył skalne dziwo poza sfalowanymi wzgórzami: Tatry.

Stąd już niedaleko. Domek pod lasem na urwisku, przerobiony ongiś przed laty z szopy na siano. Nikt się nie spodziewał, że przyjdziemy, zadziwiła nas czystość i porządek na obejściu. Pod ścianami równo poskładane gałęzie i połupane drwa. Dawniej ciągnął się skrawek ugoru, który Malinowska motyką skopała, ścinała ściernie, paliła i popiół rozsypywała, aby jałową ziemię użyźnić; ostatnia powódź urwała ów zagon, zepchnęła

w potok, dzisiaj została pustka. Izba ciasna i niska tak, że trudno stanąć, trzeba głowę pochylić. Na blasze garnek z wodą, pod ławką kobiałka z ziemniakami, niemal do pieca przylegało łóżko, obok zdeptane, roztrzaskane chodaki, na ścianie parę obrazków, czarny krzyż, w małym okienku spozierającym w świat dwa wazoniki kwitnące czerwono, jakby najradośniejszy uśmiech, nawiedzający wnętrze tego domu.

Malinowska skrobała ziemniaki.

— Na obiad?

— E, pośniadaliśmy późno, to przez południe nie trza jeść, dopiero na wieczrzą.

— Maściecie?

— Myśmy nie nauczone jeść maszczone. Zeby ino było mliczko, to najlepszo omasta. Ludzie u nas mało jedzą, kapuśniorkę, czyr, rosół...

— Wiem, wiem co to za rosół, co to jest cyr... — wskazałem stertę drzewa — kupiliście?

— Skądbym wzięła na kupienie — zaśmiała się — lasu nikt nie sieje, nie trza orać, obrabiać, Pon Bóg dla ludzi stworzył. Z najstarszym synem Michasiem na plecach przyniesłam, żeby młodszym było ciepło. Co bym dała, żeby się uczyły. Nie kazuję im nijakiej roboty tknąć, ino do książki zaganiam, nie chcę, żeby godzinę opuścili.

— To rzadkość, bo w innych domach inaczej.

— Z innych domów posyłają w zimie do szkoły, jak wiedzą, że dostaną jedzenie, a przez lato trzymają przy sobie, choć nie mają dla nich nijakiej roboty. Ja wiem czym szkoła, łatwiej się obrócić człowiekowi we dnie, bo widno, w nocy ciemno, to nie wie gdzie iść, a w szkole zrobią mu widno w oczach i w głowie.

— Prawda, Józek to wasz syn?

— Do trzeciej klasy chodzi. A czy co panie on Boże broń... — z lękiem zapytała — Do nauki to on dobry, ino huncwotowaty.

— Nic, nic — zaprzeczyłem pośpiesznie. Zobaczyłem chłopca siedzącego w czwartej ławce. Wysoki, szczupły, zawsze bosy, dopiero kiedy mrozy nastaną, przychodzi w chodakach zeszytych z łącha. W uśmiechu, bez dziecięcego wesela, zimnym, ostrym bieli się rząd zdrowych zębów. Często w oczach błysk jakby przerzuconego noża. W takich chwilach nie można z niego wykrzesać żadnego słowa, niczym go wzruszyć. Upór milczący, głuchy, dusza podobna do kamienia, od którego odpadają wszelkie ciosy. Gdy jeden drugiego uderzy w szkole, to zaraz przeprosza, podaje rękę — on nigdy, i żadna siła nie zmusiłaby go do tego.

Nauczycielka stara się wszelkimi sposobami osłodzić jego sieroctwo, nędzę, czuwa, śpieszy z pomocą. Chłopak przyjmuje wszystko zawsze jednakowo, bierze dary ze wzrokiem pełnym nienawiści, jakby każda doznana dobroć była upokorzeniem, i mści się za to. Były okresy, kiedy zmieniał się nie do poznania, kiedy indziej unikano go; wszystko, co było radością dla innych, złośliwie psuł, łamał: żebyś i ty nie miał. Raz plunął na bułkę dziewczynie: żebyś ścierwo nie żarła, bo ja też...

— Co on mnie namartwi — mówiła Malinowska — nie wiem, co robić z nim. Chcę, żeby się uczył, bo jakże bez nauki żyć. Z pustej miski jedzenia nie naczerpiesz, trzeba nalać. Tak i w szkole dadzą z książki jedzenie na całe życie. I jak nie posyłać. Czego innego mu nie dam, majątków nijakich nie mam, ciała z siebie nie utargam, ino chcę, żeby rozumu i mądrości nabrał. Ale

jak mu powiedzieć, żeby to pojął. Czasem coś strzeli mu do głowy, książki zakopie pod miedzą... i w las. Popluje. Trzeba go szukać, zaganiać. Ino do jednego zawsze go ciągnie, do rysowania. Nie jadłby, nie spałby, a rysuje co pod światem.

Istotnie na każdej godzinie nie uważa, nie słucha, ale wciąż coś smaruje, nauczycielka napomina, załamuje ręce, nic to nie pomaga, wciąż musi mu dawać nowy zeszyt. Z ochotą dałaby codziennie, gdyby był inny.

— Co on bicia zbierze i wszystko daremnie. Wicie... wicie... — chciała wyrzec coś, wyjawić tajemnicę, jednakże to słowo zawisło na wargach i zanim się ukształtowało, już rozprysło się, jakby pod ciosem matczynego serca.

— W szkole też z nim mają dość kłopotu — miałem to powiedzieć, ale zamilkłem nie chcąc jej bólu pomnażać. — Przyjdźcie kiedy, choćby jutro, do komitetu, dostaniecie dla dzieci, co będzie można dać.

Nie przyszła ani jutro, pojutrze, ani w ciągu najbliższych tygodni. Ktoś doniósł, że Malinowska otrzymała zajęcie przy budowie nowego gościńca.

Przechodząc tędy zobaczyłem ją przy pracy. Darła kilofem kamienie i łopatą żwir na taczki. Raz ona, raz syn pędem odwoził po deskach aż tam.

— Dlaczegoście nie przyszli? — zagadnąłem.

— Jakoś tak zeszło — dźwignęła głowę, otarła twarz chustką. — Powiem prawdę, jak człowiek zdoli pracować i jaki taki grosz zarobić, to po co wyciągać ręce po prośbie. Może są biedniejsze ludzie ode mnie, co nie zdolą zarobić. Pracuję wedle sił, a i tego mi zazdroszczą i nie dają spokoju.

— Jak to? Czego chcą?

— Ano tak, nic nie jestem im winna, chcieliby, żebym zdechła... o, tamci — wskazała na chłopca z zaprzęgiem — koniem zarabiają nie tyle, co ja rękami, a i to ich mierzi. Nigdy nie przejdzie, żeby nie ugryźć mnie, albo Michasia batem ćwieknie — psiakrew dziadom to najlepiej, nie upracuje się, łopatą pogluguje i chleb innym zabiera. Gospodarze tu mają mieć zarobek, bo oni płacą podatki.

— Ależ wystarczy wszystkim, dość roboty — przerwałem.

— Ja im tak samo mówię, ale czy to wyrozumia. Czego zazdrościć? Tej roboty? Pytom się: — Czegoście taki. — A on zaraz na mnie warknie: — Wszędzie cię pełno. Czemu nie siedzisz doma. Masz dość wszy, to bij. Żeby te dziady już raz wyzdychały ode głodu, to nie byłoby na świecie tak ciasno. — Czy wam będzie lżej, jak ja zdechnę ode głodu — mówię mu — wyście przyjechali furą zarabiać. — Mnie więcej potrza, bo mam gospodarkę. — Mnie więcej potrza, bom bidno i dzieci mam. — Weź dzieci i pozarzynaj. — Jak to? Żeby dzieci rzezać — wsparta o stylisko opowiadała bez uniesienia, bez wołań, choć każde słowo przepojone było żalem i drżało wyrzutem. — Takie są ludzie. Jak bidny nie ma roboty, to mówią: leń, nie chce mu się robić, ludzie słońka nie widzą od potu, a on legnął i leży. Jak bidny daje sobie radę, i to im wadzi, zaraz z pazurami na niego: dziadowi najlepiej, nie zdechnie, ino ludziom chleb odbiera. Zawdy im źle i markotno, że dziad nie umiera i sprzed oczu się nie sprzące z tego świata. Co im bidny winien? Taki, co ma chałupinę, krowinę, kawałuś pola, to już drugiego za nic nie ma.

— Dlaczegoż oni tacy?

— Taki, co przychowo cielę, wysieje miarkę zboża, to już głową wirchuje i kozdego dziadem wyzywa. Bogatszemu i to wadzi, że bidny rękami rucha, że po tej samej drodze chodzi, że bidny w to samo niebo patrzy, że to samo słońko go grzeje. Dla nich świat za mały. Myśleli, że po śmierci mojego żyć nie będę. Była taka bida, jagżem zjadła jednego dnia, to aż w trzecie rano jadłam, słabo mi było, trzęsło mnie od głodu, jakby mnie zła choroba tłukła, a nie poszłam ludziom ukraść albo z cudzego pola ugrzebać, anim nie wyciągnęła ręki, żeby mi kto dał co do garnka albo do miski. Nigdy nikt nie dał ani dziecku kawałeczka chleba. Twarde są ludzie na wsi, a wszystko z zazdrości i z zawiści.

Tylko tyle Malinowska odpoczęła, co w czasie rozmowy ze mną, zaraz znów łopatę, kilof chwyciła i pędem bez tchu na nasyp drogi, w chrzęście kości, w strumieniach potu. Inni mogli krzyż wyprostować, odpocząć, pogawędzić, jej jednej nie pozwolili.

— Psiakrew za darmo chce brać pieniądze, płacimy podatki, żeby takich dziadów utrzymywać.

— Nic o ludziach źle nie myślę — Malinowska zawsze jednaką miała odpowiedź — bo na tym świecie i kamień potrzebny, i skibka ziemi się przyda, i każda rzecz. Pan Jezus więcej cierpiał i przecierpiał, to i ja też. Pan Jezus jest dobry i miłosierny — całą duszę wrzucała w te słowa swej wiary, aby rozświeciły godziny jej ciężkiego życia i nigdy pomsty nie wołała, i nigdy nie zaciskała pięści. — Robota ciężka, ale z ochotą wożę, bo to na chleb, na życie...

Wieczór wracała z najstarszym synem do domu na wierch przez kamieniec, łóżysko rzeki, potokiem pod

górze, a przed świtem się zrywała, zamiotła, posprzątała, ugotowała i pędem ku drodze, aby się nie spóźnić. Pierwsza stawiała przy pracy. Odchodząc w progę wołała do matki:

— Niech Józek idzie do szkoły, pilnujcie niech się uczy.

Tyle miała wyręki ze zniedołężniałej staruszki. Jednego dnia matka pokuśtykała ku wsi. Umęczyła się drogą, poczuła pragnienie i zboczyła ku źródłu. Wsparała się dłońmi o ziemię, przywarła ustami do powierzchni wody, jakby chciała wypić odbity błękit i całe niebo. Nagle głowa poleciała w dół przygnieciona niewidzialnym ciężarem i zastygła z twarzą zanurzoną, jakby wpatrzona w przeloty obłoków. I tak została. Może zachłysnęła się nie wodą, ale błękitem.

Z sąsiedniego domu wybiegła kobieta z konewką, potrafiła raz, drugi w ramię.

— Usuńcie się, zawdy te dziady zawodzają, nie jestem czasowo... — nie dokończyła, odrzuciła naczynie i z wrzaskiem pognąła.

Zaraz nazlatywało się ludzi. Zakipiał zgiełk. Każdy pędził na dziwowisko, a co, a kto, a jak.

— Musiała się jej krew ściąć. Nie co innego.

— A ileż ona ma lat? Stare to...

Zdeptali to miejsce, nawzdychali się, pożałowali, bo byli pobożni, bo byli miłosierni. Co mieli w sercu, to wszystko dali i odbiegli do swoich spraw. Innym woda była potrzebna, bo krowiny napoić, jedzenie uwarzyć, więc musieli odsunąć biedne ciało. Opodał wznosił się pagórek porośnięty murawą. Za daleko dla nich. Położyli tuż obok na kamieńcu, aby wszystkie twarde krawędzie wbiły się w plecy zmarłej.

Dali znać córce. Porzuciła robotę i zastała matkę tak, jak ją zostawili. Nikt nie chciał przyjąć zwłok. Jakże wieść na daleki wierzch, jeszcze po śmierci tłuc ją. Dość się za życia nacierpiała. Prosiła Malinowska, żeby ktoś pozwolił wnieść do sieni albo do stodoły. Kogoś w końcu ubłagała obietnicą, że odrobi przy kądzieli albo przy skubaniu pierza. Położyli na boisko na rozścielonym snopie żyta. Pod wieczór córka przyniosła swoje „świętalne” ubranie, wydobyte z dna skrzyni. Ciężko się jej było rozstać, bo jedno miała, ale nie żałowała, przecież to matce na taką drogę. Oblekając zwłoki zlewała łzami każdy fałd.

— Idziecie do Pana Jezusa, to daję, co mam najlepszego. Czybym mogła inaczej. Ostatnią koszulę a dam... niech wam służy... Zapłakalibyście przed Panem Jezusem, że macie wyrodną córkę. A tak nie zapłaczecie... Choć i mnie by się zdało, bo w czym do kościoła pódę, ale nie żałuję... jeszcze przy pomocy Bożej sprawię sobie... Chciałabym świecę wam zapalić... ale skąd weznę... bidno zyliscie, bidno umarliście, ja tak samo...

Najpobożniejsza we wsi babina splatała rozczapierzone paluchy niebożce, wtykała krzyżyk, który wciąż się zesuwał, jakby odtrącany, niepotrzebny, i wzdychała ze zgorzleniem.

— Widzieliście ludzie, widzieliście! Bez Pana Boga umarła i tego tak jest. Odrzuca Jezusa miłosiernego. Już jesteś na Sądzie Boskim, a nie chcesz wziąć ze sobą. Ja ci i tak paciorków nie żałuję, choćem ci ta nieraz chleba pożalowała, ale ci chcę wynagrodzić po śmierci...

Na drugi dzień obok ludzkich modlitw, stękań, łążyły kury, klócąc się o każde ziarno i wciąż gderząc. Kogut łopotał skrzydłami i piał ogłaszając chwałę zbyt częstych

choć krótkotrwałych zwycięstw. Gospodyni usiłowała czereďę wypędzić.

— Na nic rozmiętą zgoniny, a siu, a siu stąd. Ojciec! Ojciec, trza sieczki krowinom urznąć! — wrzasła stąd na całe obejście.

Przez otwarte wrótnie wchodziło słońce jasne, pogodne. Stara godnie se leżała wśród wrzawy gospodarskiej, na snopku zboża, na jego złocie, na jego chrzęście, jakby na zamarłym szumie kłosów i ździebeł nasyconych znojem chłopskim. Cóż jej brakowało? Przez całe życie zazdrościła ludziom i pola, i łąki, a teraz patrzyła z boiska na pełne zapola zboża, na dary ziemi. Wyprostowała krzyże, choć po śmierci spokojna, wypoczywająca. Dość naobijała nóg po wszystkich kamiennistych drogach swego pracowitego życia, dość namordowała rąk na tyłu obcych najemnych zagonach zbierając cudzy plon. Nikt jej nie zamknął powiek i mogła patrzeć w przepaść miłosiernego nieba, nie bojąc się skwaru ani deszczu, mogła patrzeć na obłoki, które coraz to inne rodziły się po to, aby je oglądała oczami już nie zalewanymi potem. Jednakże odwróciła źrenice i tylko białka obnażyła. W ustach wpół rozchylonych tkwił zastygły niemy krzyk, słowo nie wypowiedziane, ważne, jedyne, ostatnie z całego życia, ciemne i ponure...

Na gwałt zbili trumnę z czterech nieheblowanych desek, tanim kosztem, nawet gwoździ nie potrzeba, kilka kołków wystarczy i trochę wiór pod głowę. Z pogrzebem nie było za dużo kłopotu. Wszyscy przy robocie, toteż nikt nie chciał przewieźć zwłok. Józek Hurkała uległ jej prośbom. Nie z litości nad biednym. Skądby? Na kamieniu nie wszędzie ziarno.

— Odwiezę. Ino pamiętaj masz mi odrobić trzy dni z Michałem.

— Pamiętam. Przecież wiem, że was koń kosztuje. Któż by za darmo biednemu...— Wiedziała też, że przez te dni wypruje z niej żyły od świtu do nocy bez jedzenia. — A niech tam.

— Ino prędko kładź.

Położyli trumnę w literki. Szybko ruszyli z miejsca.

— Poczkaście kumotrze — prosiła Malinowska, nie mogąc złapać tchu i nadażyć za wozem.

— Czego tam? — Hurkała obejrzał się i mruknął. — Od swojej roboty się oderwałem i tyle czasu zmitrzę, mnie lije teraz parzą. Wiesz, ilebym fur gnoja wywiózł.

— Wiem, wiem, żeście nie czasowy.

— Ano widzisz. Taka piękna pogoda, aż żal — zadart głowę ku niebu. — Kto by ci pojechał? Ino ja, bo mam miętkie sumienie i tego źle mi na świecie. Ale niech tam, trza pochować w poświęcanej ziemi, bo to Boskie stworzenie.

— Pan Jezus widzi, i zapłaci.

— Wio! Wio siwa! Przymarły ci nogi, że ruchać nie możesz, he? — ćwieknął szkapinę batem — Wio!

Malinowska chciała wołać, że matusia po śmierci się pokalicy, ale nie śmiała. Koła podskakiwały po kamieniach, po grudach i kałużach, aż trumna jęczała, jakby żywe objane ciało. Malinowska przygniatała wieko rękami i tak biegła przez całą wieś. Chciała krzyczeć, żeby jechał powoli, ale przecież wiedziała, że musi pośpieszać, bo czasu nie ma. Sama wie. Odetchnie dopiero, kiedy staną przed kościołem. Ledwo nadażyła.

Orszak skąpy, ona i troje dzieci. Michał pochylony trzymał w palcach gałązkę jedliny, Józek bez czapki,

bosy, popłakiwał, aż zgrzebna torba z książkami wzdrygała się, bo zaraz po pogrzebie do szkoły miał iść. Najmłodszy Wojtek nic nie mówił, a tylko łkał jednym słowem: babko, babko. Nikogo więcej ani z sąsiadów, ani z krewnych. Żeby bogacza chowali, żeby na wesele, to by się i we żniwa ludzie zlecieli. Byłoby do czego. A tak? Niechże ta będzie wola Boża.

Kiedy stanęli przed kościołem, nie miał kto dźwignąć trumny. Malinowska bezradnie spojrzała wokoło, spotkała przechodzącego parobka.

— Pomóżcie wnieść do kościoła.

— A to trza było sobie chłopów nazbierać. Zapłaćcie, to każdy trumnę poniesie. Ja nie wasz najemnik.

— Przy powszednim dniu każdy ma robotę, to nie ma kto nieść bidnego.

— Ja mam nieść? Dziadowską trumnę, inobym się na śmiech wystawił. A co, ja nie jestem dziadowskim pacholkiem — spojrzał pogardliwie na proszących i ruszył w swoją stronę.

— Józus, Michaś, Wojtuś pomóżcie, trzeba nam zanieść.

Co miała robić? Ciężko córce nieść trumnę matki, oj ciężko. Straszny to ból. Tak wspólnie dźwignęli po zboczy, po schodach, ku białemu kościołowi wznoszącemu się na wzgórzu.

W pustej nawie katafalk jarzył się wszystkimi świecami. Malinowska dziwiła się, że trumnę postavili wśród tyłu świąteł, wśród śpiewań płaczących tak przejmująco, tak żałośnie. Po skończonym nabożeństwie nikt nie pospieszył z pomocą, kiedy Malinowska usiłowała podnieść trumnę. Ksiądz ujął i dźwignął. Wtedy pierwsi wiekowi gospodarze skoczyli z ławek.

— Jegomościu, no dy my przecie...

I nieboszczkę taki honor spotkał, że trumnę bogacze ponieśli. Z tego powodu dużo było mowy we wsi.

Z cmentarza prosto do szkoły. Michał przyprowadził młodszego brata do samych drzwi i czekał, kiedy rozlegnie się skrzyyp w pustej sieni, wtedy dopiero wrócił do domu. Kiedy w klasie ukazał się Józek, nauczycielka przywitała go:

— Znowu ty, zawsze ty... dlaczego się spóźniłeś.

— Jak się nie miałem spóźnić? Babka mi umarła i byłem na pogrzebie — rzekł krótko, dobitnie i stąpając mocno bosymi stopami prosto zmierzał do ławki.

Jego słowa i kroki stały szmer wzniecony we wszystkich ławkach.

II

Przyszła. Słyszałem jej kroki. Długo stała pod drzwiami, zanim nacisnęła klamkę. Nie śmiała wejść. Jak ich zwyczaj nakazuje, od progu pozdrowiła „niech będzie pochwalony“... i stanęła pod ścianą, cicha, zawstydzona, nie chcąc zabierać miejsca. Podsunąłem stół.

— Siadajcie.

— Postoję, ja ino tak nawiedziłam. Nasiedzę się w domu dość.

— Za te same pieniądze czy stać, czy siedzieć.

Siadła. Głowę miała szczelnie związaną chustką tak, że widać było, jakby w ramie twarz wyrazistą, wyrzeźbioną subtelnymi rysami. Tylko czoło było brutalnie pokreślone podłużnymi grubymi krechami. W ruchach, w głosie, w oczach nie było prostactwa i krzykliwości, tak powszechnych na wsi. W całej postaci coś ściszonego

i przytłumionego. Kształt ręki u chłopki śliczny, palce delikatne, długie, spracowane robiły wrażenie czegoś niezwyczajnego i tak wiele wyrażały.

Tyle tu przychodziło przeróżnych typów, nieraz aż ciasno było w izbie od skarg, lamentów, opowiadań, zmierzających tylko do tego, aby wzbudzić współczucie i wyłgać choćby wytrychem to, co postanowili.

— Taki bogoc dośoł, a jo bidok, chudok, co ino mo drogę bez wieś, nic.

Chciałoby się nieraz te beczelne, skłamane prośby wymieść jak śmieci. Ale sami się wynosili.

— Ano ostańcie z Panem Jezusem, inom se tyle czasu zmitrężyła nadaremno, a roboty w chałupie ani nastarczyć — mówiła niejedna z wyrzutem, żem nie dał się okpić, i biegła do swoich spraw.

Malinowska od wszystkich odróżniała się zachowaniem i mową. Wyrzekła w sposób prosty, bez natręstwa.

— Odkazaliście, żebym przyszła, tom się zebrała.

— Już dawno prosiłem.

— Nie było czasu. Musiałam odrobić ludziom, bo nazbierało się dość. Już do drogi nie chodzę. Trochem uszparowała; myślałam, że dzieciom bucięta kupię. Gdzie tam! Tyle wykosztowałam się na pogrzeb, trumnę zapłacić, grabarzowi dziesiątkę trzeba było dać.

— Aż tak drogo!? — zawołałem oburzony zdzierstwem.

— Jakże inaczej? Grzech targować się przy grobie, bo to nie w sklepie. Jemu też nie letko, jeszcze bidniej-szy, ja mam budzinę, a on na komorze siedzi. Takie kopanie da się we znaki, tyle ziemiska nadźwigać, łopatą wyrzucić, trza i w skale kuć, bo to adamowa rola. Musi się narobić. Bidnam, to mam wyrozumienie. Już i Hur-

kale odrobiłam. Trzy dni przeleciało, choć u niego robota ciężka, nie da chwili zmarnować.

— Aż trzy dni.

— Z Michasiem do tego. Bidny czasu nie rachuje, ma dość. Hurkała od swojej roboty odjechał, mógł kaj indziej końmi zarobić, zmitrężył parę godzin. Żeby ino tego nie wypominał, ale ile razy mnie spotka, to zawsze:

— Nikt nie chciał trumny zawieźć, a ja ci zawiózem, bo mam Boga w sercu, a nie tak, jak inne ludzie. Ej, terażniesz ludzie niedobre... te pamiętaj, a przyleć ta kiedy, to mojej pomożesz.

— Nikomu się nie przelewa, to dlatego tak jest na świecie.

Nagle słowo jej jakby się rozpromieniło na wargach.

— Ksiądz kanonik zrobili ładny pogrzeb, tyle świec na katafalku, tyle śpiewań i anim jednego grosza nie zapłaciła. Biedny jednak z bogatym. Choć tyle uciechy mieli niebożycka mama. Dawniej to było inaczej. Bidnego nie wnosili do kościoła, ino wieźli prosto na cmentarz, i kiedy ksiądz chował bogatego, to i ten grób pokropił. Wicie, bo to za darmo, to jedno przy drugim.

— Jakże tam z Józkim?

— Zwyczajnie, jak dziecko — zająknęła się, nie śmiała mówić, ciężkim obrzmiałym milczeniem chciała zasłonić prawdę. — Mam z nim zmartwienie i nijak nie wiem, jak do niego trafić, i tak próbuję, i tak, i zawsze źle. I biję, i ładnie proszę, nie rób tego, czegoś taki. Chcę, żeby się nawrócił na dobre, żeby nie był zbójem albo złodziejem. Która matka chciałaby, żeby dziecko poszło na złą drogę? A on, aby ino ludziom dokuczyć, napastować, bić, nie dać nikomu ładnego słowa.

— Istotnie dzieci w szkole też się skarżą na niego.

— Widzi pan, taki on. Jak słyszę, to wołałabym, żeby kto nożem mnie krajał. Taki wstyd. Nikomu nie hańba, ino matce. Matka nie da skrzywdzić dziecka, ino dziecko nigdy nie widzi krzywdy matki. Duszę bym wygadała, bądź dobry dla drugich, to ludzie będą dla ciebie dobrzy, szanuj drugich, to cię będą szanowali. Ale on zawdy swoje. Obiecuje, na klęczkach prosi, po rękach całuje: mamó już się poprawię, będę was słuchał. A ino go puścić, zaraz to samo robi. Kiedy indziej ino zęby zaciśnie, myślę, za siekirę chyci, tyle ma w oczach złości. Powiem wam, już dawniej chciałam, ale jakże tak na swego — nie mogła wymówić, sił nie starczyło, a dopiero po chwili, jakby odrąbywała głos i wydobywała z dna ran słowa pobite, posiniaczone — ojcową ma w sobie złość. Jak był dobry, to chwalał Bogu, jak go chyciła złość, to by obłupił człowieka ze skóry. Jezu! — jęknęła — com bitki zebrała, to niech ręka Boska broni, i tu, i tu, na całym ciecie, ani takiej odrobinki skóry — pokazała paznokcie — nie mam na sobie, żeby nie bolało — skrzepł głos, a tylko splecione ręce każdym palcem wzdrygały się od wspomnień tamtych kopnięć. — Nie-razem na niego gorzko zapłakała.

Pamięć jej była wypełniona prawdą jak krwią, toteż opowiadanie o życiu spłynęło wszystkimi ranami. Zrazu pierwsze słowo pęczniało, wydobywało się z trudem, powoli się stoczyło, później jedno za drugim jak łzy wyciekające z oczu, ani zliczyć.

— Nigdy nie był dobry, zawdy za włosy, na podłogę i pod nogi, ale jak wrócił z wojny, to już nie do wytrzymania. Prawda i on się nacirpiał, to nie ma się czemu dziwić, że był taki. Wicie na taliańskim froncie dość przeszedł. Raz granat gruchnął niedaleko od niego i przy-

walił. Było ich wtedy pięćdziesięciu i wszyscy poginęli, ino trzech z połamanymi żebrami wyciągli spod ziemi i kamieni. Ledwo tchnęli. Tamci dwaj umarli, ino mojego odratowali i przywieźli do szpitala. Wyleżał się tam, że aż krzyże gniły. Wyszedł stamtąd, ale już nie miał nijakiego zdrowia, nie był też zdatny do nijakiej roboty, raz za razem buchała mu krew z gęby. Zły był na siebie i gniwny był na ludzi, o wszystko, o to, że robią, o to, że idą do lasu i może dlatego, że mierziło go takie życie. Nie wadził się nigdy, nie pomstował, ino oczami błysnął, ino zębami zgrzytnął, i co popadło w garść, to w człowieka. Dobrze mnie nieraz kulikiem wyczesał. Mierziło go, jak dziecko płakało albo wołało jeść. Raz w złości przydeptał butem nóżkę, chycił za rączkę i już miał rozedrzeć na pół, a mnie w te razy jakby ktoś siekirą rąbnął; nie wiem, co się ze mną stało, skoczyłam, wydarłam mu z pazdurów i w pole, w pole. Chory był, to nie gonił, ino kamieniami ciskał, a żeby cię to, a żeby cię tamto, przekleństwami ręce, nogi łamał, ciało krajał. Co on mnie ubił, to jużbym dawno mogła być w ziemi. Nieraz za włosy i na ziemię — krew mnie zalała, a on wciąż bił i kopał. W tej krwi leżałam, nie wiem, czy chwilę, czy godzinę, aż się sama opamiętałam. W takiej pastwie byłam, że ani bydlę, bo bydlę wezną na rzeź i od razu zabijają, a nie tak, żeby krew ś niego po trochu wypuszczali, żeby zaś potem na nowo krzysili i na nowo żyło — w skupieniu, z namysłem mówiła. Siedziała z pochyloną głową wpatrzona w nurt przepływających obrazów, wspomnień, udręk, nieraz palce zatrzęsły się, jakby chciały niektóre zbolące słowa podjąć, podnieść, aby skaleczone nie spadły na twardą podłogę. — Miałam ja życie miałam — po tym wyznaniu wargi obrzmiały milczeniem.

— Nikt nie bronił?

— Kto? No kto?

— Krewni? sąsiedzi?

— Poskarżyłaś się? To ludzie tak robią, tak robią, żeby płakać, i wtedy mają uciechę: dobrze jej tak. Ino się lubią śmiać z największego nieszczęścia. Bidny zachoruje, to się cieszą, niech dziad najprędzej umrze, żeby nie zawadzał tym lepszym. Takie są ludzie na wsi. Nie pożałują, nie obronią, oj nie.

Teraz wbrew swej woli wyznała, że w rozterce, w zwątpieniu i rozpaczycy chciała sobie życie odebrać, tylko ksiądz przy spowiedzi zagroził drogę do miłosiernej gałęzi, z zaciśniętej garści wyrwał sznur, i nie pozwolił zakończyć tej zwyczajnej opowieści chłopskiej, zrodzonej pod progiem izb, pozbieranej po wszystkich drogach.

— Ksiądz wtedy do mnie: pomyśl, jeżeli nie o Bogu, to o dzieciach. Zostaną same i co się z nimi stanie? Pójdą na poniewierkę do obcych ludzi albo ich ojciec wyzabija.

W twarde kraty konfesjonału wyłkała skrawionymi wargami, biorąc na świadectwo wszystkie sińce, że dłużej już nie może żyć.

Ale żyła.

— Żeby ksiądz widział, jaką miałam głowę, jakie plecy, to by sam zapłakał. Ale nie widział, ino mu było żal dzieci. I mnie też. Te rączki przytrzymały mnie i nie dały iść — nie zapłakała, choć ta opowieść wydzieła się z piersi, to jednak mówiła głosem cichym, a tak wstrząsającym, głębokim, samą wewnętrzną istotą.

Teraz przypominała sobie drobne, powszednie, nic nie znaczące dla nas, ale dla niej tak ważne zdarzenia,

godzina za godziną, dzień za dniem. Pod ich nasypem płynął podziemny strumień, ukryta prawda, coś, czego nie nazwała, a co tkwiło w każdej przeżytej chwili, w każdym pulsie serca, co sprawiało, że poświęcenie i ofiara były jej radością i szczęściem. Z otchłani codziennego życia wyławiała zagubione wspomnienia, mówiące o wielkości uczucia matki, niczym niezgłębionego, niczym nieprzemierzonego. Wciąż od roboty do roboty, aby wyżywić dzieci, męża; tu umyć podłogę, tam łachy wyprać, gnój wyrzucić, żąć we żniwa, kopać ziemniaki, grabić, w zimie prząść, skubać pierze, a też, czego nikomu nie wyjawiała, w piątek wieczór świeczki szabasowe zapalić. To uważała za największą hańbę. Zawsze, w każdej chwili duszą biegła do dzieci, żeby im kto krzywdy nie wyrządził. Harowała od świtu do nocy, a zawsze od męża słyszała to samo: od czegoś ty, zdrowaś jak byk, to rób, dość się naponiewierałem, dość się mojego zdrowia natargałaś, dość mojej krwi się nażarłaś.

— Już na śmiertelnej pościeli leżał, już nie zdołał się ruchać i trzeba go było przewracać i z każdej rzeczy sprzątać, bo był taki spuchnięty, a i wtedy, kiej ledwo dychał, jeszcze mówił: Jakbym ozdrowiał, to byś dziecięć razy więcej pamiętała, jak pamiętasz, ja bym ci dał — skrzepł głos. Malinowska oddychała ciężko. I znowu wargi zboczyły się słowami, które miały wyraz i ciężar bólesci. — Wiedzieli wszyscy, że umrze. Przywiedłam księdza. Mój się wypowiadał, Pana Jezusa przyjął. Myślę sobie, w tej godzinie się odmieni, kiedy się wybiera na taką drogę. Ksiądz odjechał, ludzie się porozchodzili, ino gromnica się paliła. Poszłam na oborę i zaraz wróciłam. Coś mówił, że woła i woła, a dowołać się nie może i nikogo przy nim nie ma. Nie rozumiałam, co

chce, ale myślę sobie, pewnie pić. Niesę mu wodę w garnuszku i daję mu. Kiedym się ku niemu pochyliła, on obu rękami za włosy mnie chycił i pociągnął. Jezu, skąd się w nim tyle siły nabrało. Anim słowa nie powiedziała, choć myślałam, że mi skórę żywcem od ciała oddziera.

— Trzeba się było bronić, że też pozwoliliście — rzuciłem z oburzeniem.

— Ja, ślubna żona, miałam bić męża na śmiertelnej pościeli? — zapytała, podnosząc na mnie stężale oczy. — Odchodził z tego świata i jak się sprzeciwiać, poszedłby z gniewem i przekleństwem. Wzięłabym taki grzech na swoje sumienie? E — poruszyła beznadziejnie ręką. — I tak poszedł z gniewem i przekleństwem.

— Wtedy?

— Wtedy. Bałam się podnieść głowę. Już drugi raz nie pociągnął. I tak mnie bolało, a o niczym nie myślałam, ino żeby wody nie wylać i wciąż trzymałam garnuszek... bo był spragniony... ślubny mąż... ojciec moich dzieci... I tak, wicie, umarł.

Jeszcze po śmierci trzymał ją mocno. Związana była z trupem. Ostrożnie wypłatała palce z włosów, nie mogła ich wyprostować, tak były skurczone. Ułożyła na piersiach. Tak leżały martwe garście, zaciskając wydarte jej włosy.

— Stąd, aż do krwi — pokazała te miejsca.

Słowa o krzywdzie, poniewierce, nędzy wypadały spod sińców, kopnięć, skaleczeń i zdawało się, że leżą na podłodze, ciężkie, bezwładne, a tak żywe, wzdrygające się. Tyle było wyrazów, ile ran, sińców, ciosów, że ta opowieść była jak jej ciało pobite, rzucone na ziemię pod jego obcasy. Dźwignęła na mnie oczy, jakby spod mężowskich najstraszliwszych uderzeń, i teraz wargi spłynęły głosem.

— Nic mi to, że we krwi leżała, nic mi to, że mnie za włosy włóczył, nic mi to, że tak mi zrobił w godzinę śmierci, ino to mnie najbardziej boli, że Józek w ojca się wrodził i że ja to dziecko najbardziej lubię. Chciałabym, żeby był inny. Kiedy widzę, że on robi to samo, co ojciec, to chcę mu te ręce odrąbać, jego oczy wydrapać. Takam zła.

— Nieboszczyk był taki dlatego, że do szkoły nie chodził; to był ciemny człowiek — chciałem pocieszyć.

— O widzicie, zawdy tak samo myślę — krzyknęła uszczęśliwiona. — Skąd mógł się nauczyć — i w tej chwili wszystko mu przebaczyła, każdy jego czyn spaliła w ogniu, którym spłonęła. — Szkoła, szkoła! — wymawiała po wielokroć i z tego wyrazu padała jasność w daleki ciemny świat. Oczy zagasły, rozmyte w swej czerni, błysnęły, ożyły. — W tym moja nadzieja. Pilnuję, żeby chodził, naganiam do książki i najstarszy Michaś też się uczy, siada w kącie i słucha, już zna litery, już się chyta do składania. Tyle mam pociechy.

— Ciężkie macie życie.

— Ej, może jeszcze gorzej u ludzi. Nie narzekam. Ino żeby mi dzieci dorosły, to mi będzie lepiej, żebym ich na ludzi wyprowadziła.

— Jak wy sobie dacie radę?

— Żeby ino było zdrowie — krótko odpowiedziała.

Wzięła, co było dla niej przeznaczone. Przerwałem podziękowanie.

— To od gminy VIII klasy żeńskiego gimnazjum w Przemyślu.

— Niech im Pan Jezus da zdrowie do nauki, żeby każde słówko w oczach, w duszy im zaświeciło do wszystkiego, co dobre na tym świecie.

Za parę dni wpadł Józek do mojej izby i już od progu przejęty ważną nowiną zaczął wzruszonym głosem:

— Mama są chorzy, kazali powiedzieć, żebyście pożyczyli.

— A ileż to?

— Na kukielfkę, bo nic innego nie mogą jeść, na kilka kawałków cukru, bo chcę im herbaty uwarzyć, bo wicie, jak u nas jest, aż litość bierze.

Było w jego prośbie tyle szczerości, tyle prawdy, że trudno było odmówić.

— Coś taki zbiedzony?

— Jakże mam być inny, kiej mama chorują?

— No prawda, trudno się dziwić.

Na drugi dzień spotkałem Malinowską dzwigającą tobół.

— Toście już zdrowa?

— Przecieżem nie chorowała. Co bym nie miała być zdrowa? Chwałać Panu Jezusowi jeszcze godziny nie chorowała w życiu.

— No bo... Józek... — zrozumiałem i w pół urwałem zdanie.

— Wicie... wicie... znowu mam z nim utrapienie... zbił dziopię od sąsiada za nic i uciekł z domu — chyba od piątku nie chodzi do szkoły. Mastalski jechał z lasa i mówi mi: idź, bo twój chodak wandruje. Poleciałam, ale czy ja mam takie nogi jak on. Dobrocią chciałam i nic nie pomogło. Zatlukę, zatlukę. Choć mi się serce kraje, to wołałabym go widzieć w trumnie, niżby go ludzie mieli przeklinać, niżby ludzie mieli na niego płakać, jak ja na swojego. I jemu będzie źle na świecie i każdemu przy nim.

Nazajutrz zimny deszcz zmieszany z śniegiem chło-

stał ulicę. Kałuże biczowane kroplami otaczała biel, która mętniała, żółkniała, pociła się wśród błota i zniknęła zmieniona w brudną wodę. Naprzeciw szkoły stał Michaś, drząc niby łach zawieszony na nagich gałęziach, pomiędzy którymi zaplącze się uwieczona szaruga. Wiatr ostry, nisko chodzący po ziemi ciął bosc stopy i chłopak za każdym podmuchem podrywał się i stawał na jednej nodze. W ręce trzymał kij, drugą chował za pazuchę. Ludzie pędzili ku swoim sprawom, mijali nie zwracając uwagi na chłopaka, który bez przerwy stał w tym samym miejscu bardziej zziębnięty, bardziej skurczony, zsińnięty, dygotający każdym włóknom drelichowej kapociny, każdym włosem.

— Cóż ty tu robisz? Pilnujesz, żeby się szkoła nie zawaliła? He? — przechodzień zażartował.

— Czekam na Józka.

— A gdzie on?

— O, w hańtej klasie — wskazał palcem na otwarte okna pierwszego piętra.

— Ależ, chłopie, idź do chałupy, po co masz ziębnać, jeszcze daleko do południa, sam trafi.

— Kiej mi mama przykazali pilnować.

— Czego do Boga Ojca? Jak to? Matka kazała stać na takim deszczu, na takim zimnie? Bez litości...

— Wicie dlaczego? Józek wandrował, no — wyjaśnił — polował. Spał kajś pod mostem, na kamieńcu, skądś słomy ukradł, do szkoły nie chodził, do domu też nie, bo się bał, żeby go mama nie sprali za Marysię. Taki on dokuczliwy. Dzisiaj rano z mamą złapaliśmy go i do szkoły przywiedli. Wydzierał się, krzyczał, aleśmy go nie puścili z pazdurów. Teraz trza go pilnować, żeby z pauzy się nie wymsknął. Bo u niego to nic.

W południe zabierę go do domu i jutro znowu przywiedę.

Uśmiechnął się do okien, z których gwar nauki wypadał.

— Wicie, wicie, ani zimna nie czuję, ani mi się nie przykrzy, bo słucham różności. Ja tak chcę książki czytać i o wszystkim wiedzieć, co we świecie. Ale widzicie panie, nie było pieniędzy, tata chorowali, a teraz tośmy się z mamą wspomogli i Józka, i Wojtka posyłamy. Co ja bym dał, żeby się uczyć. A on? Głupie to jeszcze. Żeby od nauki uciekać?... Nie do pojęcia...

Stał od rana z kijem w zziębniętej garści przez tyle godzin chłostany wiatrem, bity deszczem. Palce drętwiejące chował w zanadrze tak samo wystygłe.

Przy nim udręczony duch matki, drżący przy synowskich łachach, i jej słowa poczęte z boleści a mające jasność nadziei, płomień miłości.

— W szkole go nauczają, żeby był inny, żeby był dobry, żeby go ludzie nie przeklinali... i na niego nie płakali...

A Józek nie wychodził z ławki nawet w czasie pauzy. Wstydził się, bo był bosy.

ŻAR W ZACIŚNIĘTEJ DŁONI

I znów wędrowka od wsi do wsi z pytaniem tak piekącym, tak bolesnym, jak żyje chłop, co go porywa, co gnębi, jak się kształtują stosunki w czasie ogólnego kryzysu. Pragnąłem zbliżyć się do niego, przedrzeć skorupę nieufności, którą opancerza się przed obcym, dotrzeć do jego serca, zagłębić się w odmęt jego spraw, aby przemówił własną prawdą, własnym życiem, pragnąłem wynotować te ruchy, które wstrząsają jego duszą, te kierunki, które pchają go na nowe tory. Chciałem się dowiedzieć, co powie młoda wieś, co powie stare pokolenie dożywające ostatnich dni na krawędzi grobu. Spotykałem nie tego chłopca, którego codziennie widzę na ulicach miast, wędrowałem po wsiach rzuconych z dala od ludnych gościńców, gdzie jeszcze auta są sensacją, zjawiającą się raz na parę lat, witaną wrzawą gawiedzi, „bo to przy końcu świata będzie jeździł lucyfer takimi wozami“, bo tu wciąż, od wieków, kobyliny deptają sypki piasek wlokąc kołatający wóz pod batem. Tylekroć tędy jeździłem, łąziłem w dawnych latach jako sztubak, że znam każdą ścieżkę, każdy załom, każdą zagrodę i rodzinę.

Teraz przypominam sobie dwie wyprawy, stojące mi przed oczyma tak wyraźnie, jakby się to działo wczoraj.

raj. Przed wojną tam właśnie maszerowaliśmy w oddziałach strzeleckich rano, kiedy chłopci wybiegli z izb z przerażeniem i pędzili ku posterunkowi żandarmerii z krzykiem, że „buntowczyki” z Kongresówki przeszły przez granicę, aby wśród cesarskich dzieci robić powstanie. Potem jeździliśmy po tych samych wsiach, aby oddziały strzeleckie zawiązywać, pociski podkładać pod serca, buntem podpalać i nieść wieść o Polsce wyzwolonej. Marzyliśmy o wsi nowoczesnej, która będzie zrębem przyszłości.

A potem w 1918, kiedy zdawało się, że Polskę podpala na czterech rogach pożar obejmie, że słowem wolność jest oświecone każde okno, że jest rozłożone każde serce, znów w czasie wędrówek po tych samych ścieżkach buchaliśmy entuzjazmem pracy, entuzjazmem budowania wielkiej przyszłości, która nie zna granic, bo miłość rozbija granice i obejmuje świat. I wtedy nic nędza, nic brak chleba, gdy każdą chwilę, każdy czyn rozpala wiara w przyszłość. Patrzyliśmy na powstającą Polskę przez nakazy Żeromskiego, wierząc, że jego ewangelia stanie się rzeczywistością, że wolność będzie dynamitem, który rozsadzi krzywdę, nędzę, ciemnotę, nawet wspomnienie o nich, a ugory leżące odłogiem rozszumią się wielką nowiną. Na miejscu chat szklane domy wystrzelą, gdzie zamieszka prawda, miłość i sprawiedliwość.

Tyle lat upłynęło, tyle snów widzianych oczami Żeromskiego rozwiało się, została twarda rzeczywistość, rynsztok, po którym płynie życie bez złudzeń.

Mijam domy tak mi znajome jeszcze z czasów gimnazjalnych, kiedy odwiedzałem kolegów, kiedy patrzyłem na ówczesne życie. Zdaje mi się, że od tamtych dni nic się

nie zmienilo. Gdzieś indziej drapacze chmur, wynalazki, odkrycia, wiekopomne dzieła, szaleńcze przemiany, a tutaj chałupy tak samo kryte gontem lub strzechą, jeno zręby licowe ścian są bardziej zgrzybiałe, jeno tak często szyby wiechciem zatkane jak u najbiedniejszego komornika, jeno tak często dzieci siedzące w koszulinie, przylepiające bladą twarz do szyby, aby choć teraz spojrzeć w niebo, chwycić promienie słońca. Ten wiecheć, te dzieci tak wiele mówią, tak wiele tłumaczą.

— Buciętów nie ma, to nie dziwota, że na dwór nie wyłażą. Jakżeby? — niepytany, mrukliwy woźnica objaśnia.

Zaglądam na podwórza. Nie są tak obszerne jak dawniej, teraz pogrodzone płotami, bo podzielono gospodarki; tyle miedz wyrosło, a przy każdej stoi nowy właściciel. Nie widać dawniejszego dobrobytu. Nie poznaję ludzi, tutaj wyrósł nowy świat, nowe pokolenie, nowe stosunki.

— Ach to tutaj, w tej zagrodzie — zaśmiałem się do tego domu, do każdej szyby, do każdego kołka w płocie. — To nie fantazja, ale najcudowniejsza prawda. Długo, długo przed wojną poważny kmieć Jakubik, zachowujący piastowskie zwyczaje, który ledwo składał „durkowane“ w książce do modlenia, otarty jednak w świecie dawał „szóstkę“ córce za nauczanie się na pamięć jednej książki z „Pana Tadeusza“. Mając 15 lat dziewczyna umiała na pamięć wszystkie książki, później uczyła się „Marii“ Malczewskiego. Ojciec nie żałował szóstek, bo chciał wieczorem słuchać natchnionych słów poetów. Oprócz tego czytała Słowackiego, Krasińskiego, których intuicyjnie lepiej odczuwała niż jej brat uczęszczający do gimnazjum. A w długie wieczory zimowe gromadzili

się sąsiedzi i w skupieniu słuchali jakby najpiękniejszego kazania, kiedy im deklamowała księgę za księgą. Ta dziewczyna oświecała blaskiem poezji oczy ciemne i w głuchą duszę chłopstwa czującego na plecach blizny, chowającego wspomnienia pańszczyźnianego bata, rzucała najwspanialsze natchnienia. Tak przed laty słowa poety zabłądziły pod strzechy błyskawicą, która rozświeciła mroki chłopca. A potem, w 1905, ta sama — już jako zamężna — spełniała ważne czynności w czasie rewolucji, razem ze swym bratem przemycala broń za Wisłę. W ostatniej chwili przed rewizją ukrywała browningi w ulach, gniotąc roje pszczelne. Szukali dokładnie w piwnicy, pod strzechą, nikt nie śmiał zajrzeć do uli, gdzie w plastrach miodu, w brzęku roju spoczywało ciężkie żelazo. A w 1914 wysłała dwóch synów do legionów. Jeden z nich nie wrócił. Tę najpiękniejszą powieść o chłopce pisało życie rozdział za rozdziałem, wiążąc gorejące ogniwa, na chwałę tej zagrody, tej wsi, na chwałę dawnej Polski, która miała dla jej ojców bat pańszczyźniany, i na chwałę Polski wskrzeszonej, która miała i ma...

Przerzucam wzrokiem po domach wsi. To tutaj, to tam koledzy moi z ławy szkolnej; ten dyrektorem banku, tamten lekarzem, ów adwokatem, ten znów pułkownikiem, inny nauczycielem, księdzem, a tamten zginął na którymś z frontów i płaczą po nim ojcowie, bo „zgasła światłość naszej starości“. Wyszli z tych izb, nie wyjechali windą, ale ciężkim krokiem podążyli naprzód, bez niczyjej pomocy, własną pracą, własnym wysiłkiem poszli naprzód, pazurami wydrapywali się po kamieniach, aby zająć należne im stanowiska. Spełniali obowiązki, gdzie potrzeba, pracą służyli Rzeczypospolitej,

skrwawionymi rękami wywalczali jej byt. A czy dźwignęli swych braci? czy zostawili ślad prac w tych zagrodach?

Matki niosły toboły kaszy, chleba, ziemniaków, w zimie przez zadymki, w lecie przez skwary, raniąc na kamieniach bosc nogi, oblewając się potem, wlokąc się milami do miasta, gdzie syn wiedzę pobierał, chowając za pazuchą kilka szóstek uciulanych z tego, czego nie dojadły i ona, i dzieci. I widzę te zgarbione matki, jakby na swych barkach niosły skibę za skibą, zagon za zagonem, aby wyprowadzić syna z dotychczasowej nędzy i dać mu „leTKi chleb“. Wtedy oczami zalewanymi potem widziały świetlistą drogę, po której ich dziecko wstępuje na ołtarz. Ale nie wszystkie doczekały się tego. Niezmordowany wysiłek matek, potworny upór i ich wytrwanie, ich poświęcenie sprawiły, że tysiące młodzieży wyszły ze wsi, aby zająć naczelne stanowiska, aby być mózgiem i ramieniem na wielu polach, i aby niestety zapomnieć o wsi...

Do gimnazjum wstępowali najzdolniejsi, na których nauczyciel zwrócił uwagę, można rzec, właściwa wiejska arystokracja. Chłopiec w gimnazjum musiał celować w nauce, musiał wyróżniać się pracowitością, aby przechodzić z klasy do klasy. Uczył się w najcięższych warunkach, w ciasnych, wilgotnych „stancjach“, czekając, kiedy matka przyjdzie, przydźwiga bochny chleba, kaszy, kiedy wysupła z węzelka centy, jakby pot i łzy zmienione w dźwięk.

Już dzisiaj te matki nie pójda z tobołami na grzbietach po dalekich drogach, już nie będą raniły bosych stóp na kamieniach, już ci najzdolniejsi nie będą przypominać z głodu w ciasnych izbach. Zamknięto chłopskiemu

dziecku wstęp do gimnazjum. Kto ma służyć Rzeczypospolitej, mają rozstrzygać nie zdolności, ale pełna kieszeń.

Kiedym bawił na wiosnę w tych stronach, zobaczyłem młodego człowieka pasącego krowę, który w jednej ręce zaciskał postronek, a w drugiej książkę, nie zwracając uwagi na to, co się wokoło dzieje.

— Hohoho! Kultura idzie do wsi, pastuchy książki czytają — wykrzyknąłem, zdążając ku niemu przez łąkę. Poznałem go. Toć to syn małorolnego samouka, filozofa, dumacza, który posiadał zbiór książek zdobytych mozołem długich dni, który nigdy nie pił, nie palił, ale za grosze z trudem uciulane powiększał bibliotekę. Gdy sobie przypominam tytuły dzieł, nie mogę wyjść ze zdumienia, w jaki sposób zdobył takie skarby. Zginął w czasie wojny. Wdowa wysłała syna do gimnazjum, nie dojadła, dość namordowała się, aby mógł się uczyć. Świetnie zdał maturę, służył w wojsku, a dzisiaj siedzi na wsi i pasie krowę.

— Cóż to za książka? — pytam go po przywitaniu.

— Podręcznik prawniczy, trochę wkuwam, aby nie wyjść z sprawy.

— To się pan już zapisał na uniwersytet?

— Nie! Skądbym wziął na zapis? — odpowiada mi pytaniem. — Trzysta dziesięć złotych sam zapis, przecież to majątek. Ileż to trzeba by sprzedać krów czy zboża, albo świń, ile pola. Już nie mam sumienia matki okradać, dość się namęczyła, aby mnie posłać do gimnazjum — mówi twardym głosem, słowami, które trzewia szarpia. — Trzeba by sprzedać na zapisy te ostatnie kawałki gruntu, chałupę i wygnąć matkę z dziećmi z torbami. Inaczej było dawniej. Słuchacz prawa mógł koń-

czyć studia siedząc w domu, jego naukę można było opędzić kosztem kilku kur. Chłopskie dziecko miało otwartą drogę do wiedzy, mogło odejść z tej ciasnej izby w szeroki świat. Dzisiaj 310 zł to skała, o którą rozbijają się najtęższe umysły, największe zdolności. To siekiera, która odcina chłopskie ramiona i chłopskie głowy. Tak samo w gimnazjum. Chłop nie jest w stanie dziecka kształcić. Na wsi wszyscy uważają to za wielkie pokrzywdzenie. Nieraz słysząc: „ty chamie w gnoju się paprz, pracuj dalej na panów“. Zawdy aby na źle chłopu, masz być zawdy parobkiem pańskim. W miastach znów mówią: „Chłop jeszcze nie jest na tyle rozwinięty, aby mógł obejmować odpowiedzialne stanowiska“. Ludność wiejska to 75% narodu, to rezerwuar sił niemal niewyczerpany, jej młodzież przyczynia się do rozrostu Ojczyzny, do jej wzbogacenia i do obrony. Dopływ krwi świeżej obecnie został zatamowany.

— Nie stara się pan o posadę?

— Ależ wnoszę podania, ale odrzucają mi. Przecież takich jak ja w Polsce, z ukończonymi nawet studiami, są tysiące. Zresztą któż mnie poprze? Gangrena Polski — to protekcja. Gałgany, odpadki wyrzucone przez życie znajdują ją... Dla młodych nie ma pracy, my zostaniemy bez chleba, bez możliwości studiowania. A zresztą zwykły anonim albo donos, żem radykał, wystarczy, aby mnie wyrzucono za drzwi. Mam mocne ręce, mam w sobie upór, ale to niewiele pomaga.

— Jakże pan żyje?

— Zwyczajnie, jak wszyscy na wsi. Póki jeszcze matka żyje, póki jest gospodarka w całości, póty mam miejsce przy tej misce, mam snopek słomy na łóżko.

— A co jutro?

— Co jutro? — długo milczy nie mogąc znaleźć słowa oddającego właściwą treść. Po chwili powtarza ciężkim, jak z kamienia głosem. — Co jutro? Nie chcę się poddać, szukam sposobów ratunku i nie znajduję drogi wyjścia. Nieraz całymi nocami nad tym myślałem. Dzisiaj nie śmiem się zapytać, nie śmiem spojrzeć w przyszłość, bo wiem, co spotkam. Bez ratunku, bez nadziei. Wykolejeniec. Na to tyle lat ciężkiej pracy, na to tyle poniewierki, na to tyle matka się nagłodziła, namordowała, żebym krowę paś.

I tak, siedząc na miedzy w cieniu krowy szczypiącej postną trawę, gwarzyliśmy o młodzieży chłopskiej chcącej się kształcić.

— Ano trzeba jeszcze popaść — wstał z miejsca — bo matka znów zapłacze, że krasula straciła mleko. A na tę kapkę wszyscy w domu czekają. Gdybym był został na wsi, to bym łatwiej mógł zarobić parę groszy z kosą albo z sierpem. A tak, kto mnie weźmie? Każdy powie: za miętkie masz ręce do koszenia albo do młocki — pognał krowę, zaciskając w ręce wszechwiedzące, mądre dzieło prawnicze.

Kiedym patrzył na niego, pomyślałem, że Polska musi być bogatą, jeżeli może sobie pozwolić na takiego pastucha. Ci młodzi wyrwani z urodzajnej gleby nie mają dość silnych rąk do pługa, nie mają zagonu pod zasiew. Żyją w poniżeniu, „niezdadni do niczego“. Zostali wydziedziczni jako zarzewie nienawiści.

Obecnie znów zajrzałem do niego. Nic się w jego życiu nie zmieniło; dalej siedzi w matczynej izbie nad miską żuru i postnych ziemniaków i dalej studiuje niepotrzebne ani jemu, ani innym podręczniki. W czasie rozmowy rzekł:

— Chciałbym, żeby zginął w Polsce chłop, jako stan odrębny z całą jego przeszłością, ciemnotą.

— Jak to?

— Aby się narodził wolny człowiek. Wyjść z tej zagnojonej wsi, a zdobyć świat i ludzkość. Jakże to trudne. Wszyscy mnie przeklinają, że wicherzyciel, że we łbach przewracam, a ja tylko chciałbym, aby ci, co mnie przeklinają, dźwignęli głowy znad miski postnych ziemniaków i spojrzeli przez jasne okno. I teraz widzę, że tutaj potrzebny; może my będziemy zwiastunami nowiny o odrodzeniu wsi, może my będziemy podpalczami starej wsi — wtedy jakby zaciskał kamień przeciw komuś, jakby ujmował głownię w mocną garść. — Musimy wywalczyć prawo do chleba i prawo do pracy.

— W jaki sposób? — zapytałem i zobaczyłem błysk w oczach i palce jego, które się powoli zginały, kurczyły, wiązały w kulak.

— Zdaje się nam, że chłop opuścił ręce, że ogarnęła go zupełna apatia, że pozostaje bez obrony, że żyje bez buntu, bez protestu, bez nadziei. Tak nie jest. Ta apatia, przygnębienie, ta rozpacz — to skorupa wystygłej lawy, pod którą wre i kipi. Pewne wypadki są otoczone legendą. — Rodzi się poczucie krzywdy, a takie poczucie jest zawsze niebezpieczne. W społeczeństwie musi się zrodzić zainteresowanie wsią, musi się dla niej obmyśleć środki ratunku i dźwignięcia z obecnego stanu.

Słowa jego długo brzmiały we mnie. Dumiałem nad ich treścią, zdążając do ludzi i do chałup.

Ucieszyłem się, gdy mi powiedziano, że jeszcze żyje stary Paweł. Należało go tym bardziej odwiedzić, że w jego domu syn sprawiał chrzciny. Paweł wywianował dzieci i żył na łaskawym chlebie „na dożywociu”. W cia-

snej izdebce kaganek bez szkiełka oświetlał skąpo wnętrze na to, aby okazać nędzę i ostatek tego, co zostało z dawnych lat. Na stoliku wśród gratów leżał rocznik jakiegoś pisma i pociecha starości, Biblia, z której Paweł czerpał mądrość, na podstawie której przepowiadał przyszłość. Kiedyśmy weszli, siedział na łóżku, rzępolił, przytupywał, wygrywał przytąjoną melodię, nucił po swojemu, jakby przeszłość skądś z karczmy, ze ścierniska czy z pastwiska, rzuciła na wargi i na struny wspomnienie piosenki o czymś, co minęło. Odłożył skrzypce i po przywitaniu rzekł:

— Karol kupił na borg kwortę gorzołki i chrzciny sprawa.

— A wy im na uciechę przygrywacie.

— Ej, ej człowieku — pokiwał głową. — Gram, bobym inaczej zwariował. Wiecznie mnie trapi, jak on wyżyje. Ma wiązkę dzieci, dwie morgi pola i nijakiego zastanowienia. Mój dziadek był gospodarzem na morgach, u ojca było gorzej, mnie nieraz bida przyskwirzyła i ledwo zipałem; trza było potargać pole, każdemu po odróbce porozdawać i tak coraz niżej, coraz niżej upadaliśmy, a moje wnuki już na komorę pójda. Chłop tyle wart, ile ma ziemi... Chłop w nic na świecie nie wierzy, ino w zagony, bo z nich żyje. Co ja jestem bez morgów? Dziad. Syn ugrzebał trochę ziemniaków, sprzątnął trochę żyta i w głowie mu furczy. Nowe dziecko, nowa bida. Masz pięć ziemniaczków, dawałeś każdemu po jednemu, a teraz chcąc dać szóstemu musisz innym od gęby odjąć, musisz każde skrzywdzić. Weseli się. Boże! Boże! Pięcioro dzieci, dwoje umarło i jeszcze mu mało. Słyszycie? Podpili sobie i o strapieniach zapomnieli. Dziad kiej brzuch napcha, to mu się widzi, że

na całym świecie jest panem, nie pomyśli, że jutro trzeba torbę wziąć i dalej po proszonymu iść.

— Dlaczego się gniewacie? Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył — zażartowałem.

— Z tych przykazań, kochany bracie, koszuli nie uszyjesz, buta dla dzieciąt nie sprawisz, garka nie napełnisz, oj nie. Ma pięcioro w bidzie żyć i być utrapieniem kraju, to niech jedno żyje zdrowe i mocne, co się będzie do życia śmiało, co będzie miało siły do roboty i do karabinu.

Za ścianą śpiew huczał, każdą nutą wesoło, ochotnie przytupywał, jakby podkówkami w tańcu. Stary zwiesił łeb i stękał.

— Tyle dzieci, tyle dzieci... Jak się urodzi, to nie śpiwaj, ale płacz, że przyszło na tę bidę, a wtenczas dopiero jak umrze, to się wesel, to się ciesz, śpiwaj i gorzałkę pij, że Pan Jezus w łaskawości swojej dziecię zabrał do swojej chwały z tej poniewierki i już nie będzie bidowało. Ani roboty nie ma, ani zarobku znikąd, ani chleba, a on tak...

Kiedyśmy wracali, przy mijaniu czyjgoś domu usłyszeliśmy przez otwarte drzwi chłopski krzyk na całą wieś.

— Pozbyłem się Franciszka Józefa, a ciebie zło krew pozbyć się nie mogę.

— Jak ci ślipia wyparzę, jak ci zęby wytłukę, to będziesz ślubną żonę szanował. Ja ci dam... ja ważniejszą jak twój Franciszek Józef, ty cysarski synu...

— Kumedyje, a to ci kumedyje — zaśmiał się woznica i batem z uciechy machnął, aż kobyлина jakby ubawiona tym zdarzeniem spiesznej podyrdała, ale wkrótce łeb spuściła i laża po swojemu. Nie miała się

do czego spieszyć, droga nie zając, nie ucieknie; zawsze człowiek kiedyś dojedzie, dokąd ma dojechać.

— Może się upił i teraz browarie wyprawia — mówię z przekonaniem.

— Kajta? Skądby wziął na picie? — mruczał woźnica. — Dawniej misjonarze jeździli po parafiach, zakazywali picia, każdego pijoka gnali do piekła. Teraz przyszedł jeden misjonarz-kryzys, nie potrzebował zakazywać, i tak nikt nie pije.

A z tamtego domu dolatywały odgłosy małżeńskiej kłótni, jakby huraganowy ogień grzmiał salwami. Woźnica odwrócił się w tamtą stronę i nad każdym przekleństwem chłopą, mocno przygłuszonym, szeptał ze współczuciem.

— Baba to nie woda, żebyś ją wychlustał z konewki. Wróciłeś z wojny światowej na wieczystą wojnę domową. Ej, bracie, bracie! Baba mocniejsza i kwardsza, jak najjaśniejszy pon Franciszek Józef. Wojuje, wojuje i chyba dopiero na grobowej desce przestanie wojować. Wtedy dopiro powiesz amen, zmów paciorek za jej duszę, sprawiedliwie zmów, bo warto, jest za co. — Coś długo i gorzko mówił, aż ucichł, coś odebrało mu głos. Raz za razem się oglądał, czy ktoś go nie słucha, może duch jego żony srogi i nieustępliwy. — E, lepiej zawręć gębę. Co tam, nikomu nie pomogę, a siebie wtrzępię w bidę. Wio maluśkie! Wio! — Już nie śmigał batem,jechał w milczeniu, zgarbiony, jakby dźwigał na barkach nieszczęścia całego świata.

KRYZYSOWA NIEDOLA WSI POLSKIEJ

Czasem konie wybiegną z piaszczystej drogi na szosę, koła skaczą po wyrwach, zapadają w głębokie doły i liczą każdy napotkany kamień, czasem rzeka zagrodzi przejazd i trzeba krzyczeć przez szumiące fale w pustą dal. A z drugiego brzegu po długiej chwili rozlegnie się odpowiedź:

— Czekaj, czekaj. Coś taki w ogniu pieczony.

Nikomusię nie spieszy. Leniwie sunie prom przez plusk, przez głębie, a za chwilę wyłoni się przewoźnik: wydaje mi się, że taki sam, jak za czasów mojego dzieciństwa...

Z radością patrzymy na tyle młodych sadów. W szczerym polu złocą się słomiane chochoły chroniące pnie. Drzewka rzędami posadzone, wzorowo utrzymane. W jednej ze wsi posadzono w ostatnim roku 3 tysiące. Wydziały powiatowe idą każdemu ze skuteczną pomocą, dając szczepy na spłaty rozłożone nawet na 20 lat. Oprócz tego powstają chłopskie szkółki owocowe. W tym kierunku znać olbrzymi postęp, chłop okazuje rzutkość, wytrwałość, rozmach i przedsiębiorczość.

— Ładny sadek — mówię.

— Ludzie chwytają się sadzenia drzywek, bo myślą, że będą mieli dochód, bo wicie, że z gospodarki teraz nie ma nijakiego życia.

— O patrzcie hań — woźnica wskazał biczyskiem. — Śmiechu było a śmiechu. Ten gospodarz, co to jego sadek, uchował świnkę. — Trza zabić — mówi — bo jakże bez omasty żyć. — On możeby się obeszedł, bo to różnie nauczony, ale dzieci. Byłby zabił, ale wicie, na sól nie miał. Widzicie, takie czasy nastały. Gruby gospodarz, uchowa świnię, a na sól nie ma. Jak tu zabić? No i nie zabił. Wywiódł na jarmark i sprzedał. Nie przyniósł pieniędzy do domu, ale drzywek kupił i posadził. O, jak mu ładnie rosną. Potem na dzieci nie mógł pożyć, bo go sumienie gryzło, bo przecie postne musiały jeść i baba na niego warczała. Nabiedowali się dość, ale Pan Jezus się zlitował, ocieliła mu się krowina i już była kapka mlicka w chałupie — zadumał się woźnica i z przekonaniem dodał — mądry chłop. Co jadł wczoraj, to dziś nie pamięta, a że drzywka posadził, to na całe życie zostanie pamiątka i dla niego, i dla dzieci. Może nas choć to poratuje. Choć Bogiem a prawdą szkoda sadzić, ludzie z zazdrości ukradną drzywka albo połamią.

Siedzę na plebanii w cieple, wygodnie i przez okno patrzę na wieś, na strzechy, na sprawy małe, codzienne, a równocześnie zadaję pytania i słucham odpowiedzi. Ksiądz kończy swe wywody głosem mocnym, rzucającym grzeszników na kolana, jakby mówił z przejęciem niedzielne kazanie.

— Na wsi nastąpiły ogromne zmiany. Rola kapłana pożałowania godna. Odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi. Przed wojną pracowałem jako wikariusz i widzę olbrzymią różnicę. Nie ma głębokiej wiary, kruszącej bramy piekielne. Mówią pacierze war-gami, ale nie sercem. Płytką ta religijność i nietrwała, jakby zaspy piachu lotnego. I stosunek do duchowień-

stwa inny. Stawiasz kościół, a syn tego chłopiny, co wczoraj czytać i pisać nie umiał, mówi: oho, budują fabrykę dla księży. — Mądrale wiejskie wrą przeciw wszystkiemu i wszystkim, przeciw rządowi, duchowieństwu, dworom, panom, a najbardziej przeciw urzędnikom, bo myślą, że oni każdego obrabują. Mówiło się dawniej: pasterz i owieczki. Dzisiaj wśród tych owiec dużo rozżartych psów szczekających na Boga i na ludzi. Inne pokolenie, z którym tak trudno się porozumieć. Przepraszam — wstał ksiądz, gdy rozległo się pukanie.

Przez zamknięte drzwi dobiegają pojedyncze słowa. Wdowa przysłała ugodzić się w sprawie pogrzebu.

— Jegomościu, przecie nie wyprowadzę ostatniej krowiny, jakże zostawiać dzieci bez kapki mleka.

— To nie chowajcie z parady. Skromnie, cicho, jak Pan Jezus przykazał. Chcesz parady przed całą wsią, to musisz zapłacić.

— To proszę jegomościu, żeby pokropił. Na pokropienie mam.

— Mogę pokropić, ale co ludzie powiedzą? Zgorszą się. Nie dziwota. Gospodarzem był z dziada pradiada, a pogrzeb ma jak ostatni komornik. Parę groszy mu będziesz żałowała na ofiarę?

— Prawda, na taką hańbę puścić się. Co by Pan Jezus powiedział, żeby w takiej poniewierce chować? To już jegomościuniu tak zróbcie...

Za chwilę rozprawiamy o ważnych sprawach, o przemianach dokonanych.

Stąd idę do sklepiu. Na wrzask dzwonka przy otwieraniu drzwi wyszedł z sąsiedniej izby właściciel bez pejsów, w krótkiej kurtce. Coś zażądałem, targuję

się, wybieram, przeskakuję z tematu na temat, aż wywiązała się rozmowa o chłopie i o wsi.

— Co za życie teraz na wsi: jakby zamknęli w piwnicy bez okna. Bieda i nie widać nijakiego polepszenia.

— Przed paru laty w dobrych czasach — mówię — słyszałem zdanie poważnego człowieka: „w Polsce nie będzie dobrze, póki chłop nie będzie chodził bez butów”.

— Teraz już on chodzi bez butów, a czy jest dobrze?

— Jak chłop chodzi bez butów, to i cały kraj jest bez butów.

— Czy na jałowym piasku uchowa się pszenica? Na rędzinie? Prawda. A chłop powinien być rędziną. Jak jemu dobrze, to wszędzie ruch, to wszędzie życie, wszędzie ludzie jedzą chleb z pszenicy. Jak on drożej sprzeda ziarno, to zaraz kupi koszulę, łachy, buty dla siebie, dla żony, dla dzieci, kupi żelazo, kupi sieczkarnię, młynek, kupi cukru i napije się wódki, zakurzy papierosa. Nie sprzeda ziarna, to chodzi boso on, żona i dzieci. Jego złoty zapali piec w fabrykach, jego złoty da robotnikowi pracę. Chłop to krew. Jakże może żyć naród bez krwi. A co teraz? Tam, w magazynach pełno, bo nie ma kto kupić, a tu ludzie nago i boso chodzą.

— Jakże idzie handel?

— Co za handel może być, kiedy ludzie nie mają pieniędzy. Chcieli brać na bór. A za co zapłacić? Co ja tu dawniej miałem za ruch. Wszędzie miałem pełno towaru. A dzisiaj co? Mam w całym sklepie kilo cukru od wypadku i ten leży miesiącami. Czasem baba kupi parę deko, jak dziecko zachoruje na wielki kaszel. I pan myśli, że grosz zapłaci. Nie. Przyniesie za towar jajko, masło, garniec ziarna. Myśmy się cofnęli daleko w tył.

Zadzwieczał dzwonek. Weszła dziewczyna, kryjąc coś w fałdach spódnicy.

— Dajcie mi zapalek za... — przybyła spojrzała po sklepie i urwała na widok obcego. Wspięła się na palcach i szeptała do ucha kupca. Skrycie przełożyła coś z ręki do ręki. Sklepiarz odliczał zapalki pojedynczo z pudełka i rzekł po wyjściu dziewczyny:

— Córka gospodarska, to jej wstyd tak kupować. Zaraz by się z niej śmiali, choć każdy tak samo robi. Widzi pan, musi kupować parę patyczków za jajko.

— Może to biedak.

— Kajta bidok. Gospodarz, ma 6 morgów ziemi, dwie krowy. Zjeść ma co, ale grosza w domu nie ma na zapalki. Na wsi mówią, że co idzie z chłopskich pazdurów, to za darmo, a co do chłopskich pazdurów, tego nie można przepłacić. Do miasta wywieziesz na wozie, a z miasta w garści albo pod pachą. Jaka na wsi bida, jakie uciemiężenie, to ja najlepiej wiem. Jak się nie odmieni, to nie wiem, co będzie. Dawniej była ochota, ludzie się radowali życiem, a dzisiaj jak na pogrzebie. Dzieci wybiedzone, wymęczone. Ile na suchoty wymiera! Nie dziwota, ani nie ma się w co ubrać, ani w co obuć, ani to nie zje. Dawniej szedł do asenterunku chłop w chłopa. A dzisiaj? Chuchra, kaliki. Dopiero w wojsku się trochę podreperuje, sił i krwi nabierze. Teraz wyniszczony jest chłop. A powiem panu: wieś dźwiga wszystkich, cały naród a mimo to najwięcej ucierpiała przez ten kryzys.

— Istotnie — ktoś dopowiada — cały ciężar kryzysu spadł na chłopa. Nikt nie obliczał wartości jego czasu, mordęgi ani wartości wylanego potu, nikt też nie ograniczał godzin jego pracy. Co wytworzył, sprzedawał za bezcen, poniżej „kosztów produkcji“, a kupować

musiał po cenach wygórowanych, wyznaczonych przez wszechwładne kartele. Nie było żadnej równowagi między produkcją rolniczą a przemysłową, toteż chłop głodował, aby dawać chleb innym, chodził bosy i nagi, aby inni mogli kupować jedwabie.

Dzisiejszy dzień kończę odwiedzinami u chłopą, którego pamiętam z czasów, kiedy wrócił z wojny. W 1918 r. mógł zostać w domu. Z frontu obcego poszedł na front polski.

— Wojowaliśmy nago, głodno — zwierzał się — ale to nic, pocieszałem się, jesteśmy na dorobku, w biedzie trzeba budować nową gospodarkę. Nieraz staliśmy na warcie. Cholera wiatr aż do kości gryzie. Nogi jak lód. Bo to buty podarte, sznurkiem powiązane. Mówi kolega: trzasnąć karabinem i do chałupy iść, niech inny wojuje, co ja wywojuję w takiej służbie. A ja na niego z pyskiem. — Psiakrew pazurami chyć, zębami trzymaj karabin, jeżeli w garści nie możesz utrzymać, boś na swoim. Wszystko, co przyjdzie bez trudu i frasunku, to łatwo zmarnić, będziesz umiał szanować wolność, jak ją z łap swoich wykrwawisz. W tym trzeba iść wojować, co nam dali, a później Polska koszulę, buty sprawi, sprawiedliwość zaprowadzi i nie będziesz parobkiem na swoim. Zimno ci? To się ogrzej tym, że twoim dzieciom lepiej będzie w wolnej ojczyźnie.

Nieraz w tej dziedzinie słuchałem opowiadań o frontach, a tak często nawijało się to słowo „Ojczyzna“, które ogrzewało zziębnięte ciało, okrywało grzbiet, oświecało całą przyszłość. W tych bojach i pod Lwowem, i pod Kijowem, i pod Warszawą, z rowu w rów, z bagnem przeciw bagnom, dość krwi wylał, dość w marszach nóg zdarł, ale powrócił pełen wiary, choć długo jeszcze wszy wojenne bił. Ani o chwałę mu nie idzie,

ani o zasługach nie mówi, ani o trudach nie wspomina, ale opowiada tak, jakby o zwykłych zdarzeniach.

Kiedy słuchałem jego opowiadań, widziałem krwawą drogę, którą ten chłop przebył, aby w gromadzie razem z innymi mógł otworzyć zatrzęsnięte bramy Rzeczypospolitej.

Boli go, że nie ma należnego mu miejsca w wywalczonej ojczyźnie. Patrzy, że gdzieś świat się przebudowuje, a tu wciąż odwieczna gnojówka zalewa życie, wciąż to samo podwórko, wciąż ta sama troska o miskę ziemniaków, o koszulinę, o buty dla dziecka, wciąż coraz nowe wyrastają miedze, aby brat przeciw bratu z kłonicą skakał o skibę, dającą kromkę chleba.

Przez tyle miesięcy troska, zniechęcenie, rozpacz, przekleństwa, aby z wiosną wyjść z plugiem, orać, siać, zbierać, a potem wywieźć plon na wozie, sprzedać za bezcen i jakiś lach na zimę kupić.

„Bo to takie życie na wsi: słoma na gnój, gnój w pole, z pola słoma. Maciek zrobił, Maciek zjadł“. Chłop musi zamienić swoją pracę na pieniądze, a pieniądze na towar i tak żyje, a razem z nim inni.

Dzisiaj znów po latach gwarzyliśmy o wszystkim, co dręczy, co zaćmiewa życie. Zna stosunki, boć przecież wszystko przeżywa to, co i innych trapi. Rzuca zdania krótkie, jędrne, mocne. Przytacza zdarzenia powszednie, zwyczajne dokumenty, rozdziały tej epopei, którą życie pisze po to, aby kiedyś ktoś ją przeczytał i zadumał się nad tym, co wieś przeżywa. Czasem urywa się spowiedź chłopska. Co tu mówić? Narzekać? Kiedy tego nikt nie wysłucha. Zaciskać pięści? Kiedy tego nikt nie zobaczy. O wszystkim mówią oczy czasem pełne błyskawic, czasem ciemne i głuche.

Nieraz zdaje mi się, że nie słowami można by wszystko najdobitniej wypowiedzieć, trzeba by pisać nie piórem, ale pięściami, nie skargą, ale przekleństwem, nie krwią, ale ogniem.

— Jakie położenie chłopa? Nie trzeba długo o tym rozprawiać, a tylko przyjść na wieś i zaraz całą prawdę można widzieć w izbie, w sieni, w komorze, na podwórzu, w stodole, wszędzie. Zubożenie, obojętność, wegetacja z dnia na dzień. Ludzie nie mają nijakiej ochoty do życia. Jak ją mieć? Opowiem kilka zdarzeń.

— Wiem, że trzeba płacić podatki, płaciłem we wojnę nie pieniędzmi, nie oszczędzałem zdrowia i sił, ale teraz jak zapłacisz, kiedy nie masz. Przychodzi taki panek z torbą skórzaną, lata po obejściu i spisuje, a potem do pasieki. — Na licytacji sprzedam. Zawiozę do powiatu — woła, rozrzuca wszystko. Tłumaczę mu, że w lecie nie można ruszać uli, bo pszczoły wyginą, że nikt nie będzie miał korzyści. Mów takim. Zły mówię mu: panoczku, jeszcze gołębie możecie zasekwstrować. A on na mnie jak kapral na „gemajnego”: liczy się ze słowami, bo to obraza urzędnika. — Nie czekam na licytację, ale idę do powiatu i tutaj przekładam urzędnikowi, że po żniwach zapłacę. „Wy przecież uchylacie się od płacenia podatków” — ten na mnie. — Jak to? — pytam się...

— Ano patrzcie, egzekutor na karcie licytacyjnej zanotował: „Podatnik krnąbrnie odpowiada i wstrzymuje się od płacenia podatków”.

— Panie, przecież wiem, że muszę zapłacić, ale wtedy nie miałem, tylko tłumaczyłem mu, że sprzedanie uli to zniszczenie obywatela. — Na to kierownik urzędu przyłożył ręce zwinięte w trąbkę i głośno krzyknął:

„To jest, oby-wa-te-lu, e-gze-ku-cja, a nie we-se-le!!!“ — Co na to powiesz? Zabrałem się do domu i czekałem zmiłowania Pańskiego. Ci panowie z teczkami — a nazywamy ich torbiorzami — latają po wsi i zabierają pługi, młynki do zboża, sieczkarnie, co zobaczą. Kto sobie pozwoli wziąć sprzęt potrzebny przy gospodarce, ten już musi nie mieć grosza w chałupie na zapłacenie. Bo chłop w takim razie krew by sobie wyssał z tych rąk, koszulę by zdarł z siebie i z dziecka, ostatni ziemniak z miski by mu zabrał, żeby podatek zapłacić.

Czasem przychodzą egzekutorzy i chcą ludzi przestraszyć takim opowiadaniem:

„W tamtej wsi tośmy tak zrobili, przyjechaliśmy z rzeźnikami, a każdy z nich miał przyrządy. Sekwestrujemy bydło, zganiamy do kupy i zaraz licytujemy, a rzeźniki ostrzą noże. No i wtedy chłop, żeby spod bebeczów, to wyrwie ostatni grosz“. Chłop czasem chciał się poskarżyć, szedł milami do urzędu piechotę, bo nie miał na bilet. Myślał, że go wysłuchają. Gdzie tam. „Wynoś się, tyle się należy, masz płacić i koniec“.

Mojej sąsiadce mieli sprzedać jałówkę za podatki. Z węzła wyiskała 10 zł, a brakowało jej jeszcze 5 zł. Prosiła, że później doniesie. Nie pomogło. Boso w zimie biegła od domu do domu, na klęczkach błagała. Nikt nie pożyczył, dopiero w sąsiednim miasteczku aptekarz się zlitował.

— Przecież nie wolno zabierać ostatniej krowy — przerywam.

— Tak samo i ja mówiłem, ale tamten panoczek ze skórzaną torbą powiedział, że to nie krowa, ale jałówka, choć cielna, ale nie doi się. Widzicie, tacy panockowie chłopu wkładają w garść siekierę. Zabierają sprzęty,

łachy, poduszki, sieczkarnie, maszyny do szycia i składają do piwnicy. Raz mówię — przecież nikt z tego nie będzie miał pożytku, wszystko zmarnieje w wilgoci, albo rozkradną. Kto to bierze odpowiedzialność za to? — A on mi odpowiedział:

— Ha! Ha! Kto by miał brać odpowiedzialność? Płać, nie trzeba doprowadzać do egzekucji, to nie będziemy zabierać. — Ano skarż się takiemu.

— A czy ludność mogła kupować te rzeczy?

— Ludzie miejscowi nie chcieli kupować na licytacji, a więc tamci najęli furi i wywieźli do powiatowego miasta. Po drodze konie się spłoszyły i wywaliły w rów wszystko. Nawet nie pozbiali, bo co? Gruchoty. Co mogli sprzedać, to sprzedali za bezcen i nawet kosztów przewozu nie zapłacili. Resztę rzucili na sterty i jeszcze dzisiaj te maszyny rdzewieją na deszczu i idą na zmarnienie. A podatek nie umniejszył się, jak wisiał, tak wisi. Na wsi z roku na rok coraz gorzej. Chowasz świnie półtora roku i zapłacą ci 70 złotych i nie wiesz za co, czy za chowanie, czy za samo noszenie wody. Bo jakbyś się najał do noszenia dla niej wody, to byś więcej zarobił. Żył we wsi poważny gospodarz, który wójtował przez 12 lat. Wciąż mówił, że nie przeżyje takich czasów, żeby na 8 morgach gospodarzyć i nie móc sobie sprawić papierosa! Miał 600 zł długu i z tym nie mógł sobie dać rady. Tak się martwił, tak sobie przybrał do głowy, że się powiesił. Ludzie nie mają na sól, na zapalki, nic dziwnego, że kradzieże są na porządku dziennym, że tak szerzy się bandytyzm. Kto by dawniej zamykał ziemniaki? A teraz musisz pilnować, bo ci ukradną. Nic nie pomogą warty. Ludzie mówią „puść ucho w tę nędzę, to się wszystkiego dowiesz“. O du-

żo — dużo można się dowiedzieć. Żeby pan zajrzał do sklepu.

— Rozmawiałem ze sklepikarzem, też się skarżył. Mówił, że ma może kilo cukru.

— Tak, tak, chłopskie dziecko nie może skosztować cukru, choć wszyscy krzyczą: „cukier krzepi“. O widzi pan, w chałupie przybiłem sobie nawet dwie tabliczki, żeby mi było słodziej — pociągnął mnie do ściany i pokazał paluchem. — O jak to pięknie wymalowali głowę cukru, jak to pięknie wyliczyli: „1 złoty, wydany na cukier, daje tyle sił (kaloryj) organizmowi, ile da słonina za dwa zł, masło za 3 zł, mięso za cztery zł“. Widzi pan, ja tak robię: jem barszcz — słyszał pan o takim — trzy dni miał, pies nie chciał tknąć, a chłop zjadł — i patrzę na tę tabliczkę, zawsze trzeba słuchać mądrych ludzi... haha.

Przez cały czas hałasowały dzieci, aż ojciec co chwila musiał uciszać, grozić, że ich powyrzuca na dwór, na zimno. W końcu ucichły i stanęły obok, słuchając tego, o czym rozmawiamy. Kiedy padło słowo cukier, wszystkie bezwiednie poruszyły wargami, jakby smakowały czarodziejską słodycz. Nagle najstarszy syn, nie mógł się pohamować i zawołał:

— Tato, a czego nie można sadzić cukru?

— Jak to? — zdziwieni zapytaliśmy.

— Ano tak posadziłbym jak ziemniaki i miałbym o tyle — tyle. Żeby cukier rósł w polu, to bym nakopał, nakopał, kieszenie napchał i zawdy bym jadł, jażby mi brzuch urósł, o tyli — wydymał tę brzuchowinę, jak żaba, kiedy chce wołowi dorównać wielkością. Kiedy to mówił, cały jaśniał, potem machnął ręką. — Trzeba ziemniaki i kapustę jeść. Czego cukier nie rośnie? Zawdy

bym w gembie trzymał, żal by mi było połknąć, takie to dobre. Jakżem pił herbatę, tom chciał garnuszek zjeść.

— A to ci mądryjolek, co mu to do głowy wlało — zaśmiał się ojciec. — Ha! Ha! Polskę żeśmy wywojowali, ino dla tego dziecka kostki cukru nie mogliśmy wywojować — śmiał się długo, serdecznie, tym śmiechem dławiącym mnie, który mógł być przekleństwem, oskarżeniem, a może krzykiem wydartym z bebeczków. Potem mówił spokojnie:

— U nas we wsi jeden taką rzecz wymyślił: cukru nie ma, dziecko spragnione cukru, bo to jego zdrowie, trzeba znaleźć radę. I znalazł. Z cukrowych buraków robił powidła, uczył innych, pisał, tłumaczył, jak należy postępować. Dzieciska strasznie te powidła lubiły. Smarowały nimi chleb. Ale, ale — niedługo było uciechy. Fabrykantom to nie podobало się i poczynili zabiegi, aby zabronić. Musieliby obniżyć cenę cukru. Co im dziecko chłopskie. Może być kaliką. I tak dość rąk bez pracy. Ale państwo powinno dbać, żeby to dziecko było zdrowe, silne, aby mogło być, gdy dorośnie, żołnierzem broniącym ojczyzny i mądrym obywatelem służącym Polsce... A niedożywione czym będzie? Nie ma na świecie cierpliwszego narodu jak polski chłop. Dużo wytrzyma. Jakżeśmy wracali spod Kijowa, w dzień i w noc marsz — marsz, tośmy się postronkami przywiązywali do konia, żeby nie spaść, bośmy tak byli pomordowani i osłabieni z głodu i poniewierki. Przetrzynamy jeszcze niejedno. Chłop przyzwyczajony do biedy jak robak, co siedzi w chrzanie i nie chce się przemieścić do marchwi, bo myśli, że go prędzej by zjedli. Zresztą nigdzie nie pójdzie, żeby mu się polepszyło,

bo gdzie? Na plecy nie zabierze zagonów. Jest zły jak wściekły pies, przeklina rano i wieczór, i myśli, że jest tak źle, że mu nawet jutro słońce zgaśnie. Dzisiaj chłop jest jak siekiera wbita w pniak. Jak kto ją wyrwie...

Później zawiódł mnie do staruszki chorej, której przed paru tygodniami panocek z torbą wydarł spod głowy poduszkę, bo nie miała paru złotych na zapłacenie asekuracji.

— Tyle miałam, wnuczkowi chciałam zostawić. Com się naprosiła, com naskamlała, to jeden Pan Jezus widział. A on wciąż to samo: „Mam ściągnąć należność, trzeba płacić, a skąd weźmiecie, to mnie nic nie obchodzi”. — Już jego ręce pociechy w życiu nie znajdują, już jego ręce niczego dobrego nie zaznają. Przekłète one. Skąd wezmę na wykupienie? Żebym chodzić mogła, to bym po żebraniu poszła i uprosiła grosz do grosza. Tylem miała na starość, teraz wnuczek wiązkę słomy pod głowę podłożył. Dobre dziecko. Inny by kamień podłożył.

Patrzac na staruszkę leżącą na barłogu, pomyślałem, że te grosze za sprzedaną poduszkę ciężkim kamieniem na kogoś spadną, może na jakiś stół bankietowy, może gdzie indziej, a tyle tych miejsc...

Ten chłop odprowadził mnie za wieś i rzekł na pożegnanie:

— Młodzi klną na wielki gwałt. Jest analfabetyzm, jest ciemnota. Nie dziwota. Czy przed wojną stawiali tyle pałaców na urzędy? Tu pałace, a tu ludzie nie mają w czym mieszkać. Czy było tyle aut po urzędach? Za auto zagraniczne można wybudować piękną szkołę. Nieraz czytałem, że nasza ambasada ładniejsza niż ambasada amerykańska, bo my musimy pokazać się światu. Raz widziałem fotografię domku małego w Gdyni, w któ-

rym mieścił się konsulat francuski. Bracie! Bracie, co ci po aksamitach i jedwabkach, kiedy na spodku koszuli nie masz, bo cię nie stać na sprawienie nawet zgrzebnej. Ludzie nie patrzą na wierzchnie jedwabie, bo wiedzą, co jest pod spodkiem: golizna i brud.

Przypominając sobie szczegóły tej rozmowy, znajdowałem na drodze, po której szedłem, słowa W. Rzymowskiego, kiedy omawiał „Historię chłopów polskich“ A. Świętochowskiego. I te słowa wydają mi się tak bliskie, tak prawdziwe, tak wiele mówiące:

„Chłopi byli ofiarami nie wyrozumowanej chciwości, ale — jak się wyraził pewien cudzoziemiec — „dumnej nędzy“ — nie zimnych okrutników, ale złych gospodarzy, którzy sprawili, że w połowie wieku XVIII trzecia część gruntów ogromnego kraju leżała odłogiem, a dwie trzecie były uprawiane nieumiejętnie przez ludność nieliczną, niechętną, wyczerpaną“.

„Ma natomiast słuszność Świętochowski, gdy twierdzi, że chłop jest dzisiaj może najbardziej państwowym żywiołem w narodzie. Ma on istotnie silne poczucie prawa, zamiłowanie ładu i organizacji. Czego mu brak, to poczucia siły, jaką stanowi; poczucia wartości, jaką w sobie tai. Brak mu oświaty. Brak mu ciągle tych pięciu groszy, które zbiera przez wieki i przez wieki zebrać nie może“...

Z zadumy wyrwał mnie śpiew. Drogą szedł podochocony chłop twardym krokiem i śpiewał swoją pieśń przez puste, zaśnieżone pola:

Nie ma ci to nie ma, jako chłopu na wsi,
Psu ogona utnie, kapustę omaści.

Z POTU JEGO I MORDEGI — LOS NARODU

Wchodzę do domów i widzę obrazy, które uderzają ciosem w serce, wstrząsają sumieniem i każą ich grozę zapamiętać na zawsze. W czasie wędrówki po izbach biedoty, komorników, najemników nie śmiem spojrzeć na miskę otoczoną wieńcem półnagich dzieci, tłukących łyżkami w puste dno. Wiem, co zobaczę. Słyszę jeno karcący głos ojca dochodzący z kąta.

— Co, bestyjo, skrobiesz tę miskę, dziury ino wybijesz. To nie wymię, nie nadoisz.

Więc jedno i drugie oblizuje po wielekroć łyżkę z wszystkich stron.

— Głupie smarki, jakżeś się nie najadł, to już się nie naliżesz.

Nie mam odwagi spojrzeć w innej izbie na gromadkę zagrzebaną w barłóg, w łachy, na ich oczy, na ich twarze, aby nie wyczytać wyrazu, który nie płacze, nie przeklina, a niemym głosem do głębi wstrząsa i oskarża.

— Zimno, to nie puszczam na dwór. Jakże puścić, kiedy to bose i nagie? Nie ma gdzie zarobić nawet na bucięta dla nich. Żeby to doczkać ciepła. Kto zimę stworzył, to żeby z piekła nie wyszedł...

Z któregoś domu wybiegł chłopak. Wiadomo, za stołę. Zrobił sążnisty krok i stanął w środku podwórza.

Mróz piecze bosc stopy, więc raz jedną, raz drugą nogę podkula i urzeczony patrzy w słońce i nijak nie może się napatrzyć. Tyle mu wolno. Na polskiej ziemi stanąć bosymi stopami i bezkarnie z miłością spojrzeć w słońce.

Mijam karłowate gospodarstwa obsiadłe przez nędzarzy, którzy jutro znów swoją „majętność“ podrą jeszcze na węższe zagonki, wyrzucą swe dzieci na ulicę bez ziemi, bez rzemiosła, bez narzędzi pracy. Teraz nad nimi siedzącymi nad miską kwasu kapuścianego nikt nie zadrży ze zgrozy.

— Co jutro? Kto im da chleb?

Patrzac na to pytamy, gdzie nowoczesna wieś, którą widzieliśmy w zuchwałych snach w okresie wielkich nadziei, gdzie postęp, gdzie dobrobyt, gdzie oświata, gdzie książka i tej książki tematem chłop odrodzony, świadomy celów pracownik i bojownik wytrwały, wyrabujący wolą swoją — terażniejszość, która by była posiewem dla przyszłości. Boimy się, że chłop boso nie pójdzie przez ugorne pola, przez mróz do biblioteki po tę książkę niosącą mu lepszą przyszłość, bo nawet lampki nie ma, przy której jego oczy znalazłyby drukowane słowo. A może by poszedł i stanął w olśnieniu, jak ów chłopak wpatrzony w słońce, aby rozszerzyć swój umysł, wzbogacić gospodarkę, podnieść wieś, przysporzyć jej wartości.

Skoro byłem w tej wsi, trudno nie zajrzeć do serdecznego przyjaciela, starego chłopca, który tak barwnie opowiadał o dawnych czasach, ludziach i życiu. Poważny gospodarz, który pracą się dorobił ładnego majątku i wzorowo gospodarzył. A dumą jego było, że w pięknym swym sadzie ani jednego drzewka nie kupił. „Grosza nie dałem na drzewko. Gdziem sobie upatrzył dziczek, tom go wy-

kopał. Swoje gatunki mam, co mi wspaniałe jabłka ro-
dzą". Bojownik ludowy w najszlachetniejszym znaczeniu,
uważający niesienie kultury na wieś za posłannictwo
swojego życia. Przeciwnik szacherstw politycznych, zwo-
lennik zdrowej, budującej myśli. Zawsze przejrzał du-
sze krętaczy i przewodników stronnictw i trzeźwo ich
oceniał, nie dając się oszukać.

— Plewa złota i piękna, ziarno zawsze niepokazne,
ale kto by jadł plewy?

Do Polski szedł z nadzieją i wiarą:

— Chłop dźwignie Polskę, Polska dźwignie chłopa.

Do szkoły nie chodził. Uczył go w czasie zimy węd-
rowni nauczyciel, a przecież o nim wyraża się z naj-
większym szacunkiem i pochwałami, przytacza na pa-
mięć całe ustępy jego objaśnień. — Zawsze byłem głod-
ny nauki i myślałem, żebym mógł, to bym go okradł
z jego wiedzy. Jużem był duży, tożem sobie powtarzał,
co mnie uczył, bo mi szkoda było z głowy wypuścić".

Zastałem go w łóżku powalonego niemocą i starością.
Uradowany niespodziewanymi odwiedzinami, przepraszał,
że nie wstaje, bo myśli już o dalekiej podróży.

— Dni moje już policzone. Przecie mam 75 років.
Jak to prędko przeleciało. Nieraz myślę, że to wczoraj
było. Teraz w słońko patrzę, żeby się na ostatek nacie-
szyć. Od dzieckam wypracowany, wymartwiony, ale
cieszy mnie wciąż życie.

Gwarzymy o rozmaitych sprawach, rzucamy tyle
pytań i odpowiedzi, a on coraz częściej wraca do prze-
szłości, wspomina o swej nauce w czasie zimowych mie-
sięcy, o miłości do książki. „Jakżem zobaczył drukowane,
to nie można mnie było oderwać. Jakbym miał w oczach
zęby, to bym każdą literę zjadł. Raz trzy mile szedłem

w zimie po książkę, a potem przy kaganku całą noc czytałem”.

— A czy młodzież dzisiejsza łągnie do książki? — pytam.

— Młodzież dzisiejsza nie lubi czytać i nie można jej do książki nagnać. E, co tam — machnął ręką. — Nie ma ona do niczego nijakiej ochoty, ani do wesołości, ani do roboty. Jest jakby umarta czy zamorzona. Dla niej wszystko wiechciem: i ludzie, i kościół, i prawo, i ojcowie i rodzina. Ino się młodzi drą do rządów, starych wygnaliby z domów, z gospodarki. Co wy? Dziady. W głowie mają ciemno, ino umią wydziwiać, ale czy aby z rozumem, czy aby do rzeczy i do składu? Patrzaj, wicie gdzie? Ino o traktorach lubią rozprawiać. Myślą, że tam ludzie do góry brzuchem leżą. A tam też trzeba pracować. Chleba za darmo nikt nie da. Nie zorzesz, nie zasiejesz, to nie będziesz jadł. Dzisiejsza młodzież po ślachecku się ubiera, ale nie umie się do tego dostosować, jest całkiem zdziczała. Nie ma cywilizacji i porządku, nie stoi ani o siebie, ani o drugich, nie umie własności ani swojej, ani cudzej szanować. Dawniej ludzie na weselu bawili się godziwie, przyszło do bitki, ale zaraz się pojednali, teraz nożami i rewolwerami się bawią i w kryminałach gniją.

— Co sprawiło, żeście tak inni od reszty, żeście szli przodem przede wsią?

— Co? A książka i gazeta. To mi oświeciło w głowie, to dało rozum rękóm i mojej pracy, to mi chałupę postawiło, to mi gospodarkę polepszyło. Ojciec w ciasnocie i w ciemnocie mieszkał, siał na jałowiznie, choć złoto miał, to bidował bez chleba i bez mleka, choć było dość krów, mało z głodu nie umarł, choć pola miał dość. Dzieci

wychowałem, gruntu dokupiłem. Ciemnotę przegnałem z izby i zaraz jaśniej mi się zrobiło, tom zobaczył, jak trzeba gospodarzyć.

Powiem, żonę miałem dobrą, co mnie we wszystkim wspomogła, bystra i do książki chciwa. Jakżem chciał jechać na zjazd, albo na obchód do Krakowa w czasie zaboru austriackiego, a nie było grosza w domu, to poleciała pożyczyć od sąsiadów. — Krówka się wnet ocieli — mówiła — to sprzedamy cielę i oddamy. Jedź nabrać rozumu do głowy. — Przez całe życie zawdy się tego trzymałem: pieniądz ino tyle wart, żeby człowiek nie bidził. Ale kto sam pieniądz ma i miłość do niego, to za nim śmierć chodzi. Nie miałem ochoty do pieniędzy, ino tyle, abym podatki popłacił, soli, nafty kupił, na gazetkę posłał. Groszom nigdy nie zmarnił na zbytki i na pijaństwo. Do gospodarki to mnie zawdy darło. Wszystko na świecie zmarnieje, ale ziemia zawdy ziemią zostanie. Ciężki kawałek chleba, mozolny, ale pewny; jak pracuję nie potrzebuję ręki wyciągać po nic, jestem sobie pan, nikomu nie parobkuję. Teraz nie ma szlachetności, jest chciwość, jeden nad drugiego chce się wywyższyć, ale nie rozumem, ino pychą i szmatą, nie ma ochoty do czytania i tego wieś upada. Teraz bieda, przebieda.

— A przecież młodzi się ubierają.

— Prawda, córka kupi pończoszki takie, co w niedzielę nawdzieje, a w poniedziałek piąstka odpadnie, matka za to chodzi bez koszuli, a ojciec też. Paradnie się córusie ubierają, a żydowskie książki po sklepach puchną, bo to na kredyt wzięte, a potem ostatnią poduszkę trzeba sprzedać. Młody o niczym nie chce wiedzieć, zboża ukradnie i łach kupi. Nie patrz na urząd-

nika, bo on na każdego pierwszego ma żniwa. Żeby nie nastąpiła ustawa oddłużeniowa, to by połowę chłopów upadło, bo takie grube książki z długami były.

Dawniej było inaczej i gospodarz i sługa chodził w tym, co miał. Zasiał lnu i konopi, kobiety uprządy, do tkacza zaniósł i była koszula i okrywka. Zabił krowę, ściągnął skórę i miał mięso i buty, uciął ździebeł żyta i miał kapelusz, czasu nie marnotrawił, ale zimą narobił gratów do izby i do gospodarki. Wszystko miał ze swego pola i z chlewa; mógł cały rok wyżyć i grosza nie wydać, chyba ino na sól. Dzisiaj ma weksle, bo wszystko trza kupić, a skąd brać na to. Chłop sprzeda korzec ziarna, to dzieciom ujmie chleba, a czy dużo sprawi? Nie wie sam, którą dziurę załatać, bo i tu potrzeba, i tam potrzeba. Gospodarzowi ciężko wyżyć, pcha biedę i nijak mu nie wystarczy, a co dopiero mówić o takim, co ma morgę i ośmioro dzieci. Żeby była robota, to by i za 50 groszy poszedł robić. Ale gdzie pójść?

Idźcie przez wieś, zajrzyjcie do chałup, to zobaczycie, jak ludzie żyją. Serce się kraje. Niejednego to głupść chwyta się głowy z żalu. Znam takich, co od kilku lat do kościoła nie chodzą, bo nie mają w czym.

Najgorzej z dzieckiem. Byłem u sąsiada i słucham, co mówi: nie chodź do szkoły, bo się zaziębisz. — A dziecko — wiecie — co powiedziało? — Wezmę jeszcze jedną onuckę i będzie mi ciepło. — Nad tymi zziębniętymi nożynami nieraz matki gorzko zapłaczą, ale jak nie posłać do szkoły.

Przyszło parę butów do szkoły. I żadne dziecko nie wstało, każde mówiło: „ja nie chcę być bidne, jeszcze mnie będą przezywali dziad“. Dzieci chcą strasznie chodzić do szkoły, nie chcą w domu siedzieć. Na świecie

źle się porobiło. Jedni opływają w dostatkach, a drudzy we łzach i przekleństwach umierają. niesprawiedliwość i krzywda będą wołać o pomstę, aż od niej ziemia się zatrzęsie. Nie chciałbym dożyć tej godziny. Krzyczą: chłop, dla chłopca. Wszystko oszukaństwo. Nikt nie pomyśli rzetelnie, aby go podnieść z wiekowego uciemżenia. Każdy ino o tym myśli, żeby z chłopskiego stawu puścić wodę na swój młyn. Chłopa widzą ino wtedy, kiedy jest potrzebny. A co się na wsi porobiło? Strach pomyśleć. Jeden drugiemu nie wierzy, jeden drugiego się boi, jeden drugiemu na zdradzie stoi. Zepsuli naród. I powiem nie dźwignął się ze swego poniżenia, ale go jeszcze głębiej wypychają, żeby nie miał praw, żeby nie zaznał wolności. Wszystko porąbane i w ogień rzucone...

— Jaki nastrój panuje na wsi?

— Jaki? Pytacie się. Muszę, wiecie, prawdę rzec, żeby nikogo nie skrzywdzić — mówił powoli, z namysłem, z godnością i rozumą, jakby od serca odrąbywał tę prawdę głęboko wrytą i skamieniałą. — My na wsi to ze strachem bierzemy gazetę, bo wciąż i wciąż to samo: a w tym urzędzie jakiś drab tyle ukradł, a tam tyle, a tu to, a tam to, kaj indziej takie nadużycie popełnili. Skąd się narobiło tyle paskudztwa? Nieraz to się płakać chce nad tym stanem. Ludzie mówią: żeby były worki pełne pieniędzy, to się wyczerpią. A to grosz publiczny. Kraj nasz za biedny, żeby miał chować tylu złodziei i tylu rozrzutników.

Ludzie strasznie krzywo na to patrzą i mówią, że dawniej różne łotrzyki Polskę zaprzędali, że więc dobrze trzeba patrzeć na palce i surowo karać łotrzyków, którzy by chcieli ją rozkraść...

Inne rzeczy też boją... Zdarzyła się u nas taka sprawa.

Dzieci chłopskie bawiły się z synem komendanta policji. Dzieci jak dzieci, pobiły się. I ojciec wpadł do szkoły w czasie nauki, wyciągnął chłopaka z ławki, zbil go, stłukł, rzucił na ziemię. I myślicie, że go ukarali? Nie. Ludzie widzą to i znowu mówią: w dawnych czasach taka rzecz nie mogłaby się stać, bo było prawo. I wiecie, co nas najbardziej boli, czemu się serce krwawi? to że człowiek musi się tak często skarżyć na swoich, a jak się nie skarżyć, kiej swoi czasem więcej krzywdzą, więcej poniewierają, jak obcy. Chłop nie może znaleźć ani poszanowania, ani sprawiedliwości. Czy my już tak zawdy? — coś chciał jeszcze powiedzieć, ale wtedy gwałtownie otwarły się drzwi i wpadła zdyszana dziewczyna.

— Swoku, mama chorują, Pana Jezusa chcemy sprowadzić?

— Jegomością nie ma, czy co, że takie brewerie wyprawiasz?

— Jest, ino — ino — wicie, jakże tak, ciężko mówić — nagle wybuchnęła płaczem nie mogąc się utulić, aż wyłkała. — Na to ludziom przychodzi.

— Co ty wydziwiasz?

— Mama nie mają nijakiego odzienia, i przysłałam was prosić ... pożyczcie poszwy, żeby choć tę bidę i barłóg przykryć. Jakże przywozić Pana Jezusa do takiego stanu?

— Maryś! Maryś! — wołał na córkę w stronę kuchni. — Chodź! — zwracając się do mnie zawstydzony usprawiedliwiał się. — Nie miejcie mi za złe tego.

Ściągnęli poszwę z pierzyny, poszewkę z poduszki. Za chwilę znów w dalszym ciągu mówił chłop.

— Trza dać. Trudno. Chcą choć Pana Jezusa w czyści przyjąć. Mają ludzie do mnie zapęd, bo się nam lepiej powodzi, czasem też córka z Ameryki przyśle

dularka, a tę poszwę też... Na wsi jest dość pierza, bo trzeba chować gęsi; drą pierze i wysypują do beczki, bo nie mają za co kupić płótna na poszwę. Czekają lepszych czasów. A śpią pod tym, w czym chodzą w dzień. Bida! Jak to przyjdzie zdzierżyć? Tak się każdy męczy, tak się turbuje, bo myśli, że mu jutro słonka zabraknie. Trzeba coś zrobić, żeby chłopą dźwignąć z upadku...

W izbie, w której w oknach świeci Rzeczpospolita wolnością od lat, obok której rozbrzmiewa buńczuczny śpiew i szumią uroczyście chorągwie, te słowa wyrzekł na pożegnanie ów niezmordowany bojownik, ów budzi-ciel ludu, dysząc ostatkiem sił.

* * *

Kiedym wracał, dzień zimowy już się kończył. Przejrzyste, przemrożone powietrze napełniło się różem. Słońce zapadło, podobne do ciężkiego pocisku, chlustając na sklepienie czerwień aż piekącą. Skłębione chmury miały się jak płomienie szalejące po wysokościach. Z okien domów zapalonych zachodem buchała krew i żar. Jechaliśmy naprzód, jakby w środek pożogi, obejmującej niebo i ziemię. Gdym spojrzał w dal, zdawało mi się, że to nie gorejące, ciężkie chmury, ale ponad strzechami słomianymi wisi pożar.

Zniknęło słońce, zgasł przepych barw, a wciąż na zachodzie krwawił się jeden, ostatni rozżarzony obłok, purpurowa luna, jej wspomnienie, w czerni mroku pozostawione. Zmierzch zgęstniał. Ciemność przyległa do nieba i stworzyła gwiazdy. Mijamy zarysy domów. Gdzieniedzie widać oświecone różowo szyby, to ogień użycza swego blasku izbie, aby człowiek dokończył najpotrzebniejszych spraw gospodarskich. Wieś ogłuchła, czy

wymarła. Nikt nigdzie nie szedł, choćby na pogwarke sąsiedzką, nikt do nikogo nie miał sprawy. Nawet nie widać chłopaków bałamucących dziewczuchy przy płotach, nawet nie wzbije się pieśń parobczańska pełna ochoty, szaleństwa i młodości. Naszych szkap nikt nie popędział, jechały, jak chciały. Powoli, leniwie toczyły się koła, mijając wyboje, dzwoniąc twardo o kamień z rzadka porzucony.

Teraz dumam nad rozmaitymi sprawami. Ojcowie poniewierali się po frontach, walczyli o wolność, a ich synowie, co najzdolniejsi, zmarnieją w ciasnych izbach.

Wiesz przestanie być rezerwuarem sił w służbie dla państwa. W swoją przyszłość idą ludzie zatroskani, nędzni, niepewni, nieufni. Chłop nie ma sił, aby mógł wyrębać własne oblicze, aby budować zrab nowej rzeczywistości. Gdym patrzył na niego, miałem nieprzeparte wrażenie, że to człowiek, który żyje, pracuje, spełnia obowiązki, ale krew z niego wypływa z poprzecinanych żył. Apatia i nędza przytłacza duszę, jak olbrzymi głaz przytłacza ognisko pełne życiowych płomieni. Kto dźwigne ten kamień? Tutaj na prowincji, z dala od życia, gdziekolwiek stąpisz, gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie nadepczesz ranę, nadużycie, nieposzanowanie obywatela i jego bezsilność. I wtedy gorzka skarga przejęta wstydem: „inaczej dawniej bywało, były to czasy, były, urzędnika szanowali ludzie, bo on szanował prawo“... Chłop ma poczucie krzywdy i wieść o niej zarywa się głęboko w duszę. „Biednego za nic nie mają, o chłopca nikt nie dba“. I mijając ciemne domy uśpionej wsi, myślę sobie, że chorągiewką najbardziej purpurową nikt nie zakryje nędzy, piosenką najbardziej buńczuczną nikt nie zagłuszy głosów wstrząsających piersi chłopskie.

A potem myślę, że jeden złoty chłopą rzuciłby kawał węgla na zagasłe palenisko przędzalni łódzkiej, dałby dym kominowi huty śląskiej. Tamten nie ma co jeść spragniony pracy, a ten obarczony pracą nie ma w co się ubrać. I wśród tych sprzecznych a tak bliskich zagadnień miota się myśl i wysiłek polski, nie mogąc sprawić, aby komin zadymiał, aby krosna ruszyły i tkwały płótno dla nagich grzbietów. „Frontem do wsi“, jest głośno brzmiącym hasłem, które jeszcze nie zabrzmiało prawdą, aby stać się nakazem bijącym na alarm, chociaż to zagadnienie staje na drodze wszystkich spraw. Polska stanęła przed drzwiami wsi, nie śmie wejść, aby nie zaдрzeć na widok obrazu, który życie stworzyło. Ale egzekutor ma odwagę wejść, choćby po ostatnią poduszkę, choćby po ostatnią krowę.

Jedziemy powoli i końca nie ma ciemności. Gdzieś ktoś przekreślił mrok lampką od domu ku stajni.

— Wiadomo, cieli się krowina, to ze światłem idą, pilnują, żeby się bydłatko nie zmarnowało — po gospodarsku zatroskał się woźnica, który grzązł w bezruchu i milczeniu.

— Nie widać, żeby ludzie świecili.

— Jak mają świecić, kiej nie mają kanfyny. Ino tyle światła we wsi, kiedy do krowy idą. Bida — skulił głowę w kołnierz, nagle odwrócił się ku mnie i wyrzekł dobitnie: — Dobrze, że choć chłopu gwiazdy świecą. Gwiazd to nam nie pogaszą — jakby i w to powątpiewał, a chcąc się utwierdzić w przekonaniu powtórzył: — E, chyba nie pogaszą, chyba jeszcze na ziemi nie ma takiej mocy. Choć kto ta wie?

Widzę ręce ociężałe, załamane. Widzę w pięść zaciśniętą i wiem, że te ręce jutro się rozplotą, kiedy wio-

senne słońce zaświeci, i chwycą za czepigi pług, nogi dzisiaj bose lub owinięte szmatami wyjdą na zagony i ugrzęzną w zorany piachu czy rędzinie, a oczy zakopcone troską spojrzą na niebo.

— Żeby się dzień nigdy nie skończył, bo tyle roboty.

Przez lato w mozole krzepić go będzie nadzieja, że może się polepszy. Chłop o wczoraj nie myśli, ani też przebyte nieszczęścia nie odbierają mu sił. Tyle burz już przeżył, tyle spiekot wypaliło mu zasiewy. Zawsze przed nim jutro, nowa wiosna, dłuższy i jaśniejszy dzień. Żeby ino zboże zebrać. Jakoś to będzie z pomocą Bożą. Ino dzieciska tym „jakoś to będzie“ bosych nóg nie obują, grzbietu nie okryją. Nie. Mimo wszystko chłop z wściekłym uporem dalej będzie odwalał czekające go skiby, choćby najbardziej jałowego i zachwaszczonego ugoru, aby wzeszło zboże, które ktoś w żniwa będzie zbierał. Gdyby przyszło całe życie zmienić w pot, to zmieni, gdyby przyszło serce rozkruszyć w ziarno, to rozkruszy, aby wsiąć, bo to już jego takie przekłete przeznaczenie. Z potu i mordegi jego los narodu.

KTO ZDOŁA ODKOPAĆ WIELKIE TWÓRCZE ZDOLNOŚCI?

I

Roztrząsaliśmy różne sprawy, ścieraliśmy się, nie mogąc uzgodnić sądów, a niemal po każdej utarczce wyłaniało się pytanie:

— Co zrobić, aby podnieść wieś, aby dziecko miało codziennie kromkę chleba, koszulę, buty, a w przyszłości gazetę i książkę i aby odczuwało jej potrzebę. Przez podniesienie potrzeb chłopu podnieść poziom Polski.

— Cóż my dzisiaj możemy dać chłopu? Na zapomnienie o nędzy — kieliszek wódki, a na zapomnienie o życiu — westchnienie do Matki Boskiej.

— Nawet w dzisiejszych ciężkich czasach możemy wiele zdziałać, gdybyśmy byli ożywieni wielką ideą podźwignięcia chłopu z jego nieszczęsnego stanu. Dotychczas głosimy słowa. Ach, gdyby je można zmienić w zboże na chleb, w kamień na drogi, to by Polska była wzorem ładu i dobrobytu. Wiele czynimy gestem i pięknym hasłem. Niedawno rozmawiałem z działaczką; cóż to za wzniosła dusza z niej! Idealistka, jak to mówią, spalająca się w służbie dla drugih. Opowiadała mi o pracy na wsi z goryczą. Tak — mówiła — mamy przemy-

ślany, przepracowany i świetnie rozbudowany plan. — No dobrze — spytałem — ale jakie jego skutki? — No, niestety, pod tym względem spotkało nas „w terenie” rozczarowanie. Chłop jeszcze nie przygotowany do tych planów, które chcemy urzeczywistnić. — To znaczy — powiedziałem — budujemy pałace od święta, aby pustką stały, a chłop nie ma izby, w której by mieszkał codziennie. Kto winien? Chłop?

— Chłop, bo się otacza kamienną skorupą niewiary, nieufności, zamiast wchłaniać wszystko, co się czyni dla jego dobra. Wszystek posiew, mogący przynieść najbujniejszy plon, odpada od tego muru. Pewnie, że pod tą pokrywą jest urodzajna gleba, ale jak do niej sięgnąć? W ostatnich latach pisarze roztoczyli obrazy nędzy przed społeczeństwem, jakby głównie wyzerające oczy. „Jedynym, prawdziwym bogactwem polskiego plemienia jest jego nędza” — powiedział Żeromski. Pisał też o chłopie „Zjada ich brud izb mieszkalnych i wynikające zeń choroby. Trzyma ich w niewoli nieumiejętność gospodarowania i ciemnota, niezmierna ciemnota umysłowa, z której, niby z zatrutego źródła, wszystko złe płynie”.

— Niech pan jeszcze doda dziedzictwo niewoli, wspomnienia pańszczyzny, wojenne zniszczenie, klęski, a będziemy mieli całkowity paciorek, który powtarzamy za panią matką, za panią biernością, popłakując, to zgrzytając zębami, zamiast poczuć w sobie moc czynu i wiarę. Brak nam czegoś, co by wyrwało nas z tego stanu, brak młota, który by rozbił pokrywy narastające od wieków, a duszące utajoną energię, przełamać się do działania i marniejącą. Gdyby młodzież wcieliła w życie wzory wszczepiane w szkole z takim trudem i poświęceniem, z takim ogniem mogącym spalić owe wiekowe

mroki, to by wieś była wzorem oświaty, kultury, dobrobytu. Ze szkoły powstałej w Polsce niepodległej, działającej przez dwa dziesiątki lat, powinno wyjść pokolenie odrodzone, odmienione, budujące od podstaw swoje życie. Nie wzeszły ognie na ugorach. Łatwiej chować głównie za pazuchą, niż nauczyć zdobywania chleba, łatwiej cisnąć ową głównię pod strzechę, niż wskazać drogę do pługa orzącego twardy zagon. Rozpaczliwe położenie materialne, ale co tu dużo mówić, rozpaczliwe też położenie duchowe. Zapewne, że są wyjątki, ale to krzewy gorejące na nieprzejrzaney pustyni. Wyrazem tego stanu jest czytelnictwo. Spójrzmy na chłopą litewskiego, jakie olbrzymie przemiany dokonały się w nim po 1918 roku, spójrzmy na ogromny wysiłek wsi bułgarskiej, na poczynione tam postępy na polu oświaty, kultury, dobrobytu. Tam chłop wchłania słowo pisane, aby je wcielić w życie, w prace codzienne, wzbogaca umysł i szuka dźwigni podnoszącej go wyżej, wita spółdzielców, działaczy społecznych, pisarzy, poetów, bo ich uważa za przodowników, wskazujących lepsze jutro. A u nas? Znów, podkreślam, są szlachetne wyjątki zmierzające do odrodzenia, ale ogół? Ot, znów drobiazg. Przychodzi do mnie młoda matka, która sześć lat uczęszczała do szkoły, a więc powinna znać jej wartość, i gwałtem domaga się butów dla swojej córki: „jak nie dacie, to nie będę posyłała dziecka do szkoły“. Cóż dla niej znaczenie szkoły? Bogata gospodyni, „Amerykanka“, „światowa“, mądrze gadająca, sprąła córkę proszącą o kupienie podręcznika: „niech ci w szkole dadzą; za co im podotki płacę, jo ci nie kazuję chodzić do szkoły“. Ot, znów dzisiaj młoda matka rzuciła mi — gdym prosił, aby posyłała dziecko do szkoły, bo to jedyny jego ma-

jątek — „byłe dziecko doszło do spowiedzi i do komunii, byłe przeczytało rachunek sumienia, a potem zabierę je do domu. Co mu po nauce; nie będzie miało chleba z czytania. Jak będzie pasło krowy, więcej z tego będzie miało“. Tłumacz jej, ciskaj choćby rozplomienione żagwie na skałę. Ta baba nigdy nie zobaczy z progu swej chaty Polski, tylko sterty gnoju na swoim podwórzu. Chłop zwała winę na wszystkich za swój stan, a przecież powinien ją zwalić na siebie za bierność i nieufność. Chłop wciąż tkwi w miejscu obrośnięty wiekowym mrokiem, pacierzami, wiarą w moc Boską, „jak Bóg da, tak będzie“, zamiast chwycić łopatę. Czasem cholera mnie ciska, gdy patrzę na drogi, na dziedzińce, na izby, na wieś zaniedbaną, a pyskującą na wszystkich. Widłami chcesz gnój z Polski wyrzucić, a nie chcesz tego uczynić na swoim podwórku, świat chcesz reformować, a gnojówki nie chcesz ująć. Ile trzeba wysiłków, aby chłop zrozumiał, że otwarte okno jest zbawieniem dla zdrowia. Ilekroć wracam z zagranicy, zawsze przejeżdżam obok szkoły białej, murowanej, o wielkich oknach, pełnych słońca, otoczonej ogródkiem płonącym kwiatami, a na jej tle widzę chatę nędzną, walącą się, okna zatkanie wiechciem lub szmatami. Nie śmiem spojrzeć do wnętrza, ale wiem, jak ono wygląda. Widzę dzieci zbiedzone, bez koszul, w brudzie chowane, widzę krowy oblepione gnojem i gnojówką, co nigdy nie wysychającą strugą wycieka z podwórza, obok szkolnego płotu, do potoku. A przecież już tysiąc razy musiał słyszeć ten gospodarz, budzący litość swoją nędzą, że ta gnojówka, wypływająca z gospodarstwa, to marnujące się bogactwo. Od lat jeżdżę; zawsze myślę, może się przecież co zmieniło w czasie mojej nieobecności. Nie. Zawsze to samo. Muro-

wana szkoła w słońcu i kwiatach, a obok ta chata w cieniu kapliczki przydrożnej — to nasz symbol. Psiakrew! Daleka droga z tej szkoły do chaty, niezmierny ciężar, że dzieci nie mogą przenieść tyloletniej nauki ze szkoły do izby...

— Unosi się pan. Przez wieki narastało zaniedbanie, w którym chłop skamieniał. Czyż więc w ciągu paru miesięcy lub lat można je skruszyć i usunąć?

— Ot znowu, ot znowu paciorek ten sam. W chłopie są niezmiernie możliwości, nieprzebrane zasoby sił twórczych, zdolności, ale trzeba do nich umieć się dostać. Tak, przecież nie kto inny, ale my daliśmy w chłopie polskim olbrzymie siły Ameryce, przecież wysiłkiem chłopą odbudowała się Francja, ten nasz chłop rzucił swoją krew w bryły węgla, w ogień pieców hutniczych. A my nie umiemy naszych bogactw wyzyskać. Tysiącem młotów kuć, rozwalać te skamieniałości, aby w końcu eksplodowały ukryte skarby. Wierzę w chłopą tego, którego serce i umysł ogniskiem, a znam takich, pożeranych głodem wiedzy, miotających się, aby znaleźć drogę prowadzącą w przyszłość. Chłop obudzi się, czuję, że nabiera rozmachu. Czekam z niecierpliwością, kiedy zrobi krok do marszu w przyszłość. Ale nie należy gloryfikować jego błędów i przyjmować ich z pobłażaniem, okadzać dymem jego zacofania i rozgrzeszać: „ach, jakież nieszczęśliwy, to przeszłość winna“. Patrz w przeszłość i ślimacz się lub zaciskaj kułaki, bo to wyrabia próżność i samochwalstwo nawet w tym powiedzeniu: „męczennikiem przez pańszczyznę jestem“. Siebie trzeba odmienić, chcąc życie odmienić. Z dumą i radością patrzę na chłopą, który nie sklamrzy, ale wierzy w swój rozum, w samodzielność, w swoje garście i wali w przyszłość.

Na takiego patrzyłem niedawno i jestem pełen podziwu. W pewnej wsi mieszka chłop noszący nazwisko Mrzygłód.

— Jakie?

— No, mówię najwyraźniej: Mrzygłód.

— To nazwisko mogłoby być symbolem dzisiejszej wsi.

— Jest jednak symbolem pracowitości, zapobiegliwości, oszczędności, symbolem najpiękniejszego czynu, godnego, aby stał się ustępem czytanek szkolnych, aby dziecko uczyło się z jego życia najistotniejszych prawd. Jednego dnia przyszedł do mnie nieznajomy człowiek, ot, ciężkie, przygarbione chłopisko, jakby skały dźwigał od urodzenia. Buciska zbłocone, dłonie czarne, spękane, ramiona podobne do grubych konarów zwisających z dębu. Ubranie liche, w łatach. W całej postaci znać zmordowanie; nie dziwota, właśnie dzisiaj przywiózł pełny wóz jarzyn do zdrojowiska i przez całą noc siedł przy koniach, a daleka droga, 70 kilometrów. Spojrzałem na twarz. Ot tępak, co ani be, ani me, pewnie dwóch nie umiałby zliczyć. Mówił powoli, urabiał słowo za słowem, jakby wydierał z głębin ziemi odwieczne głązy. Przyszedł o pomoc i poradę w sprawie gruntu, położonego w obrębie nowobudującej się tamy nad Dunajcem. Rozeszły się po wsiach pogłoski, że mają wywłaszczać za bezcen pola przeznaczone pod zalew jeziora. Żalił się, jakby odrywał bryły żelaza, że za morgę płacił trzy tysiące, że każdy grosz wykrwawił z tych pazdurów... Gdym popatrzył na te palce, doznałem wrażenia, że krwią broczą, tak były pokaleczone, pocięte z pracy. Coś mu tam poradziłem, przyrzekłem pomoc, a w dalszej rozmowie występowałem w roli nauczyciela wobec sielsko-anielskiego kmiotka, chłopka z Anczycowskich czasów. A tu, cholera, zdębiałem, zapomniałem języka

w gębie, zamilkłem, wziąłem sam siebie na wędzidło. Chłop mało mówił, ale co powiedział, to było sensacją. Wrócił z wojny. Przez długie lata w rowach, marszach, atakach, dość posoki wychlapał. No, tak było trzeba. W nagrodę przyniósł zdarte buciary i mundur, świadka jego chwalebnych czynów. Siostra siedziała na odziedziczonej po ojcach gospodarce, zadomowiła się, wrosła w ciąg paru lat. Niewiele było, ale mogła wyżyć. Jakby potargali na dwoje, to by nikomu nie starczyło. Nic się jej nie trafiało, myślał, że jak ustąpi, to prędzej siostra wyjdzie za mąż. Ustąpił, dostał „spłotek“. Marki nastawały, i z tego „spłotka“ tyle zostało, że mógł kupić ledwo morgę ziemi. No, ale miał w co pazury wbić. Coś dodzierżawiał, chodził na zarobek, oszczędzał, zaciągnął dług i dokupił pola. Wysprzedał wszystko na te zagony, nawet wydarł poduszki spod głów dzieci. Zabiegał, mordował się i ledwo na postne jedzenie starczyło. Owies, ziemniaki, żyto, kapusta, jak wszyscy we wsi. Końca biedy nie widział, choć dużo widział różności na świecie, bo miał oczy i duszę otwartą, ale i tak był ślepy. Dumał nad rozmaitymi sprawami, a głównie jakby się wygrzebać ze swego położenia. Nie czekał na łaskę, na cud, ale sam zaczął przemyśliwać nad sposobami, co by zrobić, aby dolę odmienić. Zawsze miał pęd do czytania. Nigdy nie żałował na to kanfiny. Wiedział, że książka to instruktor ogrodniczy i rolniczy, to środki mające posłużyć mu w działaniu. Sam był najurodzajniejszą glebą gotową pod zasiew. Dojrzewał do działania, do nowych sposobów bytowania... Ale urywam w tym miejscu wynurzenia...

II

Miałem w pamięci całą opowieść Mrzygloda, toteż chciałem go zobaczyć na jego śmieciach, aby się przekonać, czy chłop umie tylko labidzić, czy też umie chwycić w garście łopatę, widły, aby siebie wykopać z zaniedbania, do którego go przeszłość wtrąciła — jak to my lubimy pisać lirycznie. Po drodze powiedziano mi: „No, można śmiało rzec, że jego gospodarstwo w powiecie należy do najbardziej wzorowych, ale on też chce wszelką naukę pożreć, wchłania dawaną mu prawdę oczami, uszami i duszą“. Mogliśmy się o tym przekonać zaraz po wkroczeniu na podwórze. Wszędzie ład, staranność, powiem dyscyplina. Gnój w betonowym dole z pompą. Budynki gospodarskie obszerne, dostatnie. Znać czuwającą rękę. Sprzęty pod dachem na swoim miejscu. Poza ogrodzeniem wzorowo urządzony sad, wśród drzew kilkanaście pszczelnych pni. Spotkaliśmy gospodarza wychodzącego ze stodoły. Znać było po rozbłysku w oczach, że uradowały go odwiedziny. Bez słowa powitał mocnym uściskiem, jakby chwycił na wiosnę czepigi pługa.

— Piękna gospodarka — pochwalilem.

— E, ładniejsze ludzie mają. Chcę, żeby jako tako gospodarzyć, dość się napracowałem.

— Tu praca nie wystarczałaby, trzeba głowę mieć nie od parady, rozum pomnażać.

— Jak tam mogę, to robię, ale łatwiej wsiąć ziarno w ziemię, jak nabrać mądrości do głowy, ale jak się do niej wsieje, to już chleb na całe życie jest. U mnie też dawniej, jak gdzie indziej był nieporządek, papranina, do niczego nie mogłem dojść. Umordowałem siebie, żonę, a wszyst-

kiego brakowało, nie było w co dzieci ubrać, obuć. Żal było do szkoły posyłać, lepiej niech bydlę pasą, w gospodarstwie pomogą, będzie mi lżej. Ale moja się sprzeciwiła, mało do zwady i obrazy Boskiej nie doszło. — Na dziadów, na ciemnych ludzi wykierujesz — wołała — szkoła to największy dla nich majątek. — Myślę smyrgnęłaby żeleźniakiem albo mietłą, lepiej ustąpić. No i posyłałem, ale mi wciąż było żal; ot, głupi ze mnie był człowiek. I pewnie paprałbym się w tej bidzie do końca świata, jak mój ojciec, dziad, jak wszyscy dookoła. Jednego razu przyjechał do wsi instruktor rolniczy. Szli inni, ja też poszedłem. Był czas, niedziela, to co ta szkodzi posłuchać i pośmiać się z głuptaka. Słucham, słucham, a mnie jakby ktoś oczy słońcem przemyczał. Nigdy nie pomyślałem, żem taki marnotrawca, że u mnie wszystko złe w polu, w stajni, w stodole, w izbie, wszędzie, gdzie spojrzę, co do rąk wezmę, żem niedbały, nieoświecony, żem największy wróg dla siebie, dla ziemi, dla wszelkiego stworzenia, w oborze, w komorze, że złoto wyrzucam z gospodarki w błoto. Jak to — myślę — bo w głowie nie chciało mi się pomieścić — tyle się napracuję, nie wiem, co świątek, co piątek, zawszem jak wół w zaprzęgu, a tu tak. Trzeba wszystko przewrócić do góry nogami, ale mądrze. Zrobiło się jaśniej. Ludzie wychodzili z tego pouczenia ze śmiechem: „Dam mu moje pole, niech się bogaci. Łatwo mu gospodarzyć z książki! Przyjdź, weź się do mojej gospodarki, to ci wszystkie mądrości ze łba wylecą jak plewy“. Nic im nie powiedziałem, ale swoje myślałem. Napisałem do tego instruktora list, że zgniję w bidzie, jeżeli nie znajdę ratunku. Czytałem wiele, ale to nic nie pomaga. Wszędzie szukam wybawienia, niechże pomoże jak tonącemu. Zaraz odpisał. I tak list za li-

stem o radę, o wskazówki, o pomoc. Jakby korcami pszenicę do głowy sypał. Nieraz, jak nie mogłem sobie dać rady ze samym sobą, tom palicę wziął w garść, skibę chleba i marsz na piechotę do niego, a było ze 30 kilometrów. Raz mi natrącił: „Wasza gleba nadaje się pod uprawę jarzyn, pod drzewka owocowe. Łatwo będzie o zbyt, tyle przecież letnisk i zdrojowisk dookoła: Krynica, Żegiestów, Szczawnica. Większy dochód będziecie mieli z pół morga, gdy zechcecie uprawiać jarzyny, niż z całej gospodarki, gdy będziecie siać żyto, owies i sadzić ziemniaki. Bałem się odmiany. Jakbym zaczął lazić na rękach. Wszystko poprzewracać i zacząć na nowo. Jakby się udało, to ludzie pozazdroszczą i nogę podstawią. Jak się nie uda, to wydrwią. U ludzi najłatwiej o śmiech w nieszczęściu. Alem się odważył. Utone, to będzie raz koniec. Ale jak się tu wziąć do tego? Jakbym był kaleką bez oczu, bez rąk, bez nóg.

— Nikt nie pomógł?

— Kto?

— No, krewni, sąsiedzi?

— Ech! Jezusie! Nie wiecie jak to na wsi? Gdy człowieka nieszczęście spotka, to trzeba się z tym kryć, bo zaraz mają uciechę i powiedzą: dobrze mu tak. Co kto szedł, to w śmiech: Jaśkowi w głowie się pomąciło. A niektórzy znów mówili: „Szyjesz torbę dziadowską i dla siebie, i dla dzieci. Jeszcze tego nie było, żeby kto tak ziemię marnował. Siej zboże, sadź kapustę, jak Pan Jezus przykazał, bo z tego od narodzenia świata chłop chlib ma. Przez te książkowe figle do dziadostwa dojdiesz“. — I znowu połamali we mnie ochotę. Już miałem wszystko cisnąć. Ale ja twardy, i zawzięty, postawię na swoim i pokażę wam. Do tego moja mnie bunto-

wała: nie słuchaj ludzi, nie bierz z nich przykładu. — Już robiłem wedle jej i swojej woli. Naharowałem się — to prawda — ale jarzyny nad podziw się udały. Co z tym robić? Przyszedł kupiec i sprzedawałem wszystko. Dał zadatek. Obliczyłem, że lepszy dochód jest niż z pszenicy. A kupiec mówi, czybym towaru nie zawiózł. Co bym nie zawiózł, od czego mam konie. Ucieszyłem się, że za furmankę znowu parę złotych kapnie. Pojechaliśmy do Krynicy. Koło wozu zabijaczka. W oczymgnienu wszystkie jarzyny rozkupili. Ej Boże, mało nie prał łbem o mur. A było za co. Co ja sprzedawałem za grosze, to on brał złote. Nic nie mówię, ale swoje myślę, ej głupiś chłopie, głupiś, puszczasz wszy za pazuchę i narzekasz, że cię gryzą. Moja ziemia, moja robota, mój wóz i koniska, anim nie dojadł, nie dospał, żona robiła, dzieci dopędzałem, a pośrednik kupił, nawet nie zapłacił z góry, tylko po sprzedaży towaru. Naładowałem wóz, zawiozłem mu na miejsce i spod nosa, z moich rąk bez nijakiego trudu sprzątnął tyle pieniędzy. Przepadło. Na drugi raz będę mądrzejszy. Przez to sprzedanie nauczyłem się dużo, ten kupiec pokazał mi drogę i otworzył oczy. Na drugi rok jadę z pełnym wozem. Daleka droga! Trzeba po południu wyjechać. przez całą noc, aż nad ranem w Szczawnicy. W parę godzin ani listka nie miałem. Wszystko ludzie rozchwyтали i jeszcze prosili: przywieźcie. Taniej jak inni oddałem, a i tak zarobiłem.

— Trudno handlować? — pytam.

— Kaj tam. Nie. Ino trzeba uczciwy towar mieć i sprawiedliwym człowiekiem być i każdego, choćby ino grosza dał zarobić, jednako szanować. Na ludzi nie narzekam. Ja z nimi grzecznie, dlaćgoby mnie nie szanowali. Nie mogłem wszystkim nastarczyć. Szukali mnie, żeby ino ode mnie kupić. Nie wiem dlaćgogo. Przeła-

mała się moja bida, zrobiło się mi lżej. Był grosz w domu, dzieci obute, odziane. Znowu dokupiłem jedną, drugą morgę, tak po grudce, po grudce. W zimie umyśliłem sobie co innego. W pensjonatach pytali się o pomidory. Trzeba spróbować. Znów idę do instruktora. Poradził, dał książkę. Czytałem, oczami chciałem z każdego słoweczka całą mądrość wycisnąć, żeby ino mi była w życiu pomocna. Kupiłem w sklepie nasienie, posiałem pod szkłem. Nie bardzo się udało. Trzeba skądinąd brać. Jest 25 odmian. Próbowałem na różne sposoby. Sprowadzałem nasienie z Krakowa, Warszawy, z Wiednia, Budapesztu, ale im moja gleba nie lubowała. Wyczytałem, że w Erfurcie są dobre gatunki. Nie wiem kaj to. Ale to nic. Po swojemu napisałem. Przysłali. Choć opłaciłem wielkie cło, to nie żałuję. Dobre były odmiany i wszystkie się udały, teraz ino te z Erfurtu uprawiam. Trzeba się napracować, naponiewierać, nieraz dwie noce być w drodze, a nie można oka zmrużyć, bo po drodze mogą napaść rabusie, więc zawsze pod ręką mam siekiere, ale nieraz i 150 zł się przywiezło. Nigdy grosza nie zmarnowałem. Sprawilem maszyny rolnicze i wszystko, co potrzebne do gospodarki, dokupiłem gruntu i już mam 9 morgów.

— To jeszcze dokupicie przy swoich zarobkach.

— Ej, już nie. Wystarczy dla mnie i dla dzieci, niech się one potem dorabiają, to będą szanowały grosza. Jakby im przyszły letko, to by letko się rozleciały. Jestem już strasznie wypracowany. Jak pojrzę na pole, to myślę, że każda bryłka to krew z tych rąk. Z niczego dojść do dziewięciu morgów, to štuka. Czasem to mi się wierzyć nie chce, że to moje. Nie chcę więcej kupować, ale myślę ulepszać gospodarkę.

— Jest wielka bieda na wsi?

— O, nigdy jej nie brakowało i nie brakuje! Co sta-

rzy ludzie opowiadają, jak bywało w dawniejszych czasach, to niech ręka Boska broni. Głód, morowe powietrze, ludzie padali jak muchy. Mało płakać na bidę, ale trzeba znaleźć sposób jak z niej się wygrzebać. Komu się robić nie chce, to narzeka na wszystkich. Czasem zajrzałem do sąsiadów. W izbie pełno, kurzą papi-rusy, a przeklinają, a nic im się nie podoba. Wołają: „Hohoho, chcą wziąć chłopą pod nogi, ale nie uda im się ta штука, już się skończyły pańskie rządy, jakbym jo chycił rządy w pazury, to bym pokazał. Każdy chłopą za nic ma, każdy chłop im śmierdzi“. Godzinami ujadają, a ja słucham i swoje myślę. Widzisz nieporządki na świecie, ino swoich nie widzisz pod nosem. Ej Boże, ej Boże, tak mówisz, a jakiś jest dla drugiego. Zachorowała kobieta, przyleciał mąż z krzykiem do sąsiada: Zaprzągnijcie konie, jedźcie po doktora — za nogi chwycił. A sąsiad kazał sobie naprzód zapłacić. Chora umarła bez pomocy. Chłop chłopą, żeby mógł, to by w łyżce wody utopił. Gospodarz, co ma krowinę taką, co by w płachcie na plecach wyniósł na wierch, to drugiego, co takiej krowiny nie ma, za nic uważa i zawdy warczy: dziadu. Mówić na wsi o równości? Ech! Już teraz nie chodzę po domach, wolę posłuchać radia. To jest cud Boski, z całego świata bierzesz nauki i pociechę. Aż dziwne mi, że człowiek mógł wymyśleć tę łaskę nad łaskami.

— Politykę zajmujecie się?

— E, wicie, całkiem nie mam czasu. Najpierw trzeba dobrze gospodarzyć na swoim, a potem bawić się w politykę i uczyć innych, jak żyć. Polityka to wielka i mądra rzecz, ona kazuje rządzić państwem. Jakże ja mam rządzić państwem, kiedy nie mogę sobie dać rady ze swoją gospodarką.

— Ludzie są zbuntowane?

— Oj są, oj są, i to dużo, ale czy się to można dziwić? Jakby mieli chleb, pracę, to by bunt i gniew nie miał do nich przystępu. Ino z biedy to wszystko. Chłop ma rozum i wie, że wywijać jęzorem łatwo, nosić za pazuchą ogień albo siekierę też nie trudno. Ale co wywołujesz ogniem i siekierą? Każda rzecz ma swoje przeznaczenie. Węgli na mąkę nie zmielesz, ale upieczesz chleb na węglach. Chłop jakby na wiosnę wyszedł w pole i zamiast orać zaczął pług przeklinać: „przez ciebie draniu moja bida, przez ciebie muszę się tyle namordować“, to by ludzie zlatywali się z całej wsi i wołaliby: „waryjot“. I prawdę by mówili. A są teraz tacy, co kazują przeklinać pług i pole, co im chleb daje.

— Toście sami doszli do tego, co mówicie? Rękami wypracowaliście gospodarke.

— Nie, panie. Nieuczony człowiek to jak wół zaprzęgnięty do pługa, orze, haruje, ale nic z tego. Czasem ziemię ma dobrą, a bida u niego, bo nic nie umie. Nie można patrzeć w niebo i czekać zmiłowania Pańskiego — mówił powoli, z namysłem. — Pracować, zabiegać i rozumnie postępować. Majątek nie z samych rąk, ale i z głowy. Są ludzie, co się nauganiają, namozolą, a nie umią sobie zaradzić i wszystko im przelatuje przez palce. We wszystkim pomocą była mi nauka, książka, no i dużo zawdzięczam radiu. Książką orałem, obsiewałem, zbierałem, podniosłem wydajność gospodarki, z książki więcej brałem snopów jak z zapola, i dlatego mi lepiej jak innym. Kiedy w 1920 wołali: wstępuj do wojska na ochotnika, bo Polska w niebezpieczeństwie, jeden chłop z naszej wsi tak powiedział: ej źle rządzą, chłopu ino na chrzciny i na wesele zapraszają, ale do wojska to go biorą. Jakby w czasie ognia ktoś latał i prosił: gaś ogień. To co? Niewielu się ruszy. Trzeba we wszystkim tak postępować

jak w wojsku: musisz befel wykonać. Jakby każdy robił tak, jakby chciał, to by wojsko było kupą zgonin, co byle wiatr rozrzuci. Ale i to trzeba powiedzieć, że człowiek pracuje najlepiej w słońcu, a nie w kryminale.

— Powiedźcie, czego potrzeba w Polsce, aby było dobrze?

— Czego potrzeba? Jakby to powiedzieć? Żebym wiedział! — zaciął się, milczał, potem zaczął mówić ciężko, jakby drgnęły żarnowe kamienie. — Chcę iść do Polski z mojego pola, z mojej gospodarki, to muszę ją najlepiej urządzić, żebym Polsce wstydu nie zrobił. Jak swój zagon zasieję, to Polskę zasieję. Jak będę dbał o chleb u siebie, to Polska będzie bogata i nikt głodu nie zazna, jak będę miał porządek na swoim obejściu, to w Polsce zrobię porządek. Każdy obywatel musi być rozumny i uczciwy, żeby Polska była mądra i uczciwa. Ej Boże, ej Boże! Rozum w głowie, to jak stodoła pełna pszenicy. A kiedy popatrzę na ludzi, co się między nimi wyrabia, to mi się serce kraje. Od góry na dół jednakowo. Jeden na drugiego szczuje. Zamiast dźwignąć z upadku, z biedy, to jeden drugiego chce wydusić.

Spojrzałem w oczy chłopą, zrozumiałem jego mowę.

— Wiem, skąd ten rozkaz szedł. Zamiast budować, rozpalać ideę, szuka się przeciwników, aby ich wydusić. A tyle pracy, taki ogrom zaniedbań...

— No, aleśmy odbiegli od treści początkowej rozmowy. Trzeba wrócić.

— Przesypywać słowa, słowa...

— Taki sam skutek z naszej rozmowy; choćby najdorodniejsze ziarno rzucić, jeżeli ziemi nie ma, na której należałoby posiać, to jakbyś plewy ciskał w słońce...

SŁEPIEC, KTÓRY POKAZUJE DROGĘ WIDZĄCYM

Od paru dni wędrowałem po zapomnianych drogach, po ziemi mego dzieciństwa. Przeływały wspomnienia jak obłoki po błękitnym niebie, wszystkie o minionych latach, o tym, co smuciło, co cieszyło, co było uśmiechem i płaczem. Ale nie mogłem uzmysłwić sobie treści i kształtu owych obrazów. Kiedy nad tym trudziłem się, spojrzałem w górę, zniknęły obłoki, a został niczym niezmacony błękit nieba.

Poznawałem jałowe piaski rodzące owies, żyto, kapustę, ziemniaki, aby ludzie z głodu nie umarli. Gdzieś wierzby nad kałużą, pokraczne wyobrażenia czegoś potwornego, zrodzonego z tej gleby, aby mogły się prześladać w zakisłej wodzie nie mającej żadnego odpływu. Gdzieś w polu dzikie grusze. Gromada chłopców waląca kamieniami, kijami, aby otrząsnąć małe, kwaśne owoce. Szukałem siebie wśród nich.

— Tak samo jak dawniej. Nic się nie zmieniło, choć już tyle lat minęło od mego dzieciństwa.

Jakiś czas towarzyszył mi rząd drzewek przydrożnych. Ze współczuciem liczyłem zacięcia, świeże skalczenia, bolejące rany śmiertelne i pomyślałem, że najniezwyklejszą, choć najlepszą istotą w Polsce jest

drzewo przydrożne. Każdy wóz zawadzi, każdy przechodzień kopnie lub siekierą utnie, bez potrzeby, ot tak „ze śpasów“.

Ale nie wszędzie taki krajobraz. Pewne wsie leżące nad Sanem miały pasmami ziemię pszenną, tłustą rędzinę. I tutaj bywał dostatek, stodoły pękające od snopów. Z ogródków wybuchały kwiaty jak ognie, strzelające na białe ściany pod strzechy. Kiedy chłopci dawniej jeździli na jarmarki, to aż dudniało. Konie jak smoki. Ledwo można było utrzymać w garści. Z wozów wychylały się karmne świnię, z trudem mogące unieść łeb jak ćwierć. A wieczorem, kiedy wracano, to półkoszki pełne były śmiechów, krzyków, śpiewań i ochoty. W późniejszych latach gospodarze musieli potargać pole na części. Kawałki, morgi, stajania zmienili na zagony, aby każdemu dziecku zatkać gębę. W domu, gdzie dawniej była jedna rodzina w dostatku żyjąca, teraz są trzy, w przekleństwach, bijatykach. Drzwi wewnątrz zamurowano, a nowe wejścia wybito. W jednej izbie rodzina syna, w drugiej córki, a w sieni przerobionej na izbę ojciec i reszta dzieci.

— Ej, i mo być zgoda? Od rana do nocy obraza Boska.

Dawniejszy gospodarz, co walił dwójką na jarmark, teraz się telepał na bidulce obdartej, zaprzężniętej w chudą szkapinę. Już nie wojował ze światem, już nie wykrzykiwał, że ino on, ino on. Wnet i na konia nie było go stać, więc z kijkiem wędrował na jarmark, ot, aby przypomnieć sobie dawne czasy, porównać z dzisiejszymi, żeby spotkać się z ludźmi, pogwarzyć i uradować się tym, że można wyprzeklinać to, co teraz wydziwia świat.

— Wojciechu, gdzie konie? — pytam.

— E, wicie, to jest tak, na stare lata to łatwiej się chodzi, bo już nie cięży grzych ani nijakie zbytki — zaśmiał się. — Dawniej to wszystko cieszyło, bo i ochota była tańsza, i kaj niebądź jąś znalazł, i gorzałka tania, i zapalki.

Bieda była coraz większa, ale „na prawo“ musiało być, choćby trzeba koszulę sprzedać. A więc „prawowali“ się o każde przekleństwo, o każde podniesienie spódnicy, o każdą skibę, o każdą miedzę. A gdy padło, to wojowali drągami, podkólkami, orczykami: „mnie o nic innego nie idzie, ino o sprawiedliwość“. No i w walce o tę sprawiedliwość tracili setki, wyprowadzali z chlewa krowiny. Nie było za co dzieciom buciąt, koszuliny sprawić, ale na „adukatów“ musiało być, „mówię wam, worto było zapłacić mu, bo się darł o moją krzywdę, widziało się, że słowami wszystkie ściany, wszystkie groty połomie“. I tak z terminu na termin, z widowiska na widowisko, drogo, nieraz majątkiem i życiem opłacane.

Teraz, gdym wędrował po tych okolicach, odżyły wspomnienia tylu zdarzeń i tragedii. Wózek toczył się leniwie, myślałbyś, koła stojąc w miejscu obsypują się piachem jak wodą. Co im tam. Koniska dreptały nie spiesząc się do niczego, tylko ogonami jak wiechą oganiały się przed wszystkimi nieszczęściami świata. Końca nie było widać drogi. Przepelzały obok mnie ubogie półka, miedzami osaczone, jakby kajdanami skute. Domki przygniecione strzechami, jakby mały chłopina zbyt wielką czapą przytłoczony. Czasem tylko błyskały szyby, uśmiechając się słońcem do przejezdnych. Nie oczami, ale myślą wbiegałem przez nie do izb. Widziałem wszystkie sprawy ludzkie, życie, prace. Wszystko wiem,

co w każdym kącie, co na stole, co w garnku, co na łóżku. Coś do dzieci mówię. Wzdrygnęły się, znieruchomiały i patrzyły przerażonymi oczami. A jeden berbeć wojowniczo stanął, przebódl mnie wzrokiem.

— Cholero, jak cię śmignę kamieniem. Co zaczynasz?

— Świetnie. Wyrosną z ciebie ludzie, pociecho, ino dać ci pług zamiast kłonicy, książkę i kromę chleba zamiast noża.

Nic się nie zmieniło od tylu lat, kiedym stąd odszedł boso, jako chłopak, z takim samym wyrazem ślepiów jak tamten wojowniczy berbeć. Może ten sam kamień zaciska, com wtedy zaciskał. Ludzie ci sami. Poznają ich. Tylko przygarbieni, postarzelisi, bardziej osiwalisi jak ich domy odrapane, zbiedzone, zapadające się. Ale opodal nowe domy rzucone za wieś, aby mogły pomieścić nadmiar ludności. Palila mnie słoma. Nie mogłem wysiedzieć na wozie.

— Wsiąde.

— Mierzi was droga? — chłopina dzierżący bat ocknął się z bierności, nie patrząc na mnie zatrzymał konie i zaraz potrząsnął lejcami.

— Fiu! Fiu! — gwizdnąłem z zadziwienia. — Cóż to za niezwykły pejzaż. Hohoho! Równina na wielkiej przestrzeni pokrajana rzędami drzew owocowych. Sady wzorowo urządzone. Co za cud! Co za cud! — Kogoś mijanego pytam. — Widzę odmianę, co to?

— O, już i we wsi dużo się odmieniło i nie wiedzieć od czego zacząć. Świat nie może stać w miejscu i chłop też dźwiga się i idzie.

— Ciesz się widok sadów. Nareszcie...

— Ludzie zrozumieli, że najlepsze pole, jak się go obsieje zbożem, nie da tyle dochodu, co sad, no i jeden

przez drugiego sadzi. Żeby ino było lżej, żeby ino podnieść się z bidy.

— A któż was pchnął do tego?

— A tak samo z siebie przyszło.

— Ech, żeby samo przez siebie — powątpiewałem. — Widzieliście, żeby koło ugrzażnięte w błocie samo się ruszyło. Musi ktoś popchnąć i pociągnąć.

— Ano był taki. O, widzicie tego — wskazał ręką na człowieka siedzącego w sadzie obok płotu. — Ślepy. W Ameryce pracował w hucie żelaza. Przy robocie ogień mu oczy wypalił. Płacili mu miesięcznie dużo. W dolarach. Nie dziwota, nie zdatny był do niczego. Powinien Bogu dziękować za kalictwo, bo żeby miał śtyry ręce i śtyry nogi, to by nie zarobił tyle pieniędzy tu u nas. Ludzie mu zazdrościli, bo miał ładne życie bez nijakiego starunku. Ej, zrobił na kalictwie interes. Szedł gruby piniondz z miesiąca na miesiąc. Ale jego kobita, jak kobita. Rozmaicie się jej roiło. Bała się, że chłop może umrzeć i zostanie we wdowieństwie bez zaopatrzenia, a ślipiami strzylała za innymi. Kręciło się koło niej dość, bo i dała popić i jajecznicę z kiełbasą usmażyła. Trzeba się zwijać. No i po swojemu wymyśliła. Zgódź się — mówiła do męża — żeby ci od razu wypłacili. Nie chciał. Ale ona w płacz i wciąż dniami i nocami tyrcy i tyrcy: trzeba być skamieniałego serca, żeby sie nie ulitować. Tobie nic, zabierzesz sie na tamten świat, a jo zostanie sama. Co ci żona, co ci dzieci, siroty, aby ino tobie było dobrze. — Tyle kręciła, tyle dokazywała, aż wywojowała i na swoim postawiła. Zrzekł się renty za jednorazowe wynagrodzenie. Dostał dużo dolarów. Mógł stracić, bo wszystko na nic szło. Nastawały wtedy marki. Ale nie czekał i za te pieniądze kupił z 10 morgów pola i od razu drzewkami obsadził.

— Ludziom to chyba się podobało?

— Myślałem, że powariują z uciechy. Jedni się śmiali, drudzy wołali głupek, inni pisali do gazyt, chcieli skarżyć do sądu za to, że ziemię marnuje. — Bo ileby to korcy pszenicy wysiał, a w tym miejscu ziemia była najurodzajniejsza. Inni łamali ręce, litowali się nad jego kobitą: że cię Pon Jezus pokarol takim mężem, sirotaś najbidniejszo. — Było gniewu, było złości, było przekleństw, ale chłop teraz się uparł i nie ustąpił. Chciał postawić na swoim.

Trudno było minąć sposobność, aby nie wejść do sadu i nie pogawędzić. Niewidomy ujął moją rękę, długo ją trzymał, jakby w tym uścisku wszystkimi swymi palcami chciał przejrzeć i wyczuć moją duszę. Wtedy uśmiechnął się przyjaźnie.

— Miło powitać.

— Piękny sad — rzekłem z uznaniem.

— Bez niego nie miałbym żadnej uciechy na świecie, żyję z każdym liściem.

— Co wam po takim życiu, kiej nic nie widzicie — wtrącił towarzyszący mi chłop.

— Jak to nic nie widzę — zachnął się ślepiec — lepiej widzę jak niejeden człowiek przez swoje zdrowe oczy i widzę to, czego inni nie widzą. Znam każdy sęczonek, przejdę z wami cały sad i powiem, jak które drzewo się nazywa, wiem, które zdrowe, które będzie rodziło, które trzeba ratować. Na wiosnę słyszę, jak soki zaczynają bić, jak listki zaczynają się zwiijać, pączki pękać, kiedy kwiaty wychodzą, kiedy opadają, jak się owoc rodzi. Stoję i słucham, a każde drzewo ze mną gawędzi wszystkimi liśćmi. I wy mówicie, że ja nie widzę. Drzewa o tym lepiej wiedzą niż ludzie, że mi oczy praca

zabrała, ale została widząca i czująca dusza. Żebyście znali te światy, co ja znam.

Opuściliśmy zagrodę i jeszcze długo gawędziłem z moim towarzyszem o wsi, o jej stanie obecnym, o owym niezwykłym niewidomym.

— Wicie, oczu nie ma i książek nie czyta, ale ma z siebie rozum, a i on pierwszy sprawił sobie radio, nie marnuje czasu, ale słucha i co usłyszy, to ludziom radzi tak trzeba robić, aby się z biedy wygrzebać, tak trzeba robić, żeby ziemia i dusza najlepiej obrodziła.

— Słuchają go ludzie?

— O dość ta, dość ta, bo przekonali się, że co poradzi, to nie na źle, ale na dobrze.

— Ładnie teraz popatrzeć na wieś. W waszej wsi jakoś odmieniło się, lepiej widać się ludziom powodzi.

— O poprawiło się, jak owoce obrodzą, to raj dla nas. Czegośmy nie mieli dawniej z całej gospodarki, to teraz mamy na wszystko z takiego sadku. Zrazu nie wiedzieliśmy, jak postępować, tośmy na wiosnę, ledwo kwiat opadł, za byle co sprzedawali kupcom, aby ino parę złotych złapać. Teraz założyliśmy spółdzielnię i znowu on nam doradził, bo mówi, tak samo jest gdzieś w Jugosławii i w Bułgarii. Tam chłop w gromadzie żyje, jeden drugiego wspiera. I ta spółdzielnia jest nam bardzo pomocna. Wicie, co o nim mówią — zaśmiał się mój rozmówca — że przyjechał ze świata ślepy, a nam wszystkim pokazał drogę do lepszego życia.

Minąłem sady, wieś budującą się, odrodzoną, patrzącą w świat wszystkimi oknami jaśniejącymi słońcem. Później powitał mnie smutek, beznadziejność, rezygnacja wiejąca z równiny. Znów dalej piaszczysta przestrzeń. Wierzby przy domach, sosenki skarłowaciałe, sękate, jakby znę-

dzniałe chłopiny, pazurami wrośnięte w ziemię. Krowiny oblepione strupami gnoju. Na obejściach papranina, niechlujstwo. Kury rozgrzebujące sterty gnoju — ot, pożywią się, nie trzeba sypać ziarna. Budynki wałące się, popodpierane. Gęsta gnojówka już sobie utorowała własną drogę i sączy się, i płynie spokojnie obok wszystkich spraw. Baby wrzeszczące o kury, o dzieci, o wszystko, co trapi. Co chwilę spódnice podlatywały do góry, okazując to, co było potrzebne w danej chwili.

— Tu mnie pocałuj, ino przez papirek, żebyś mi nie zabrała tego, co widzisz.

Nie było nikogo, kto by dźwigał tych ludzi, uczył, użyźniał ich umysły i grudy ziemi, co by wydzierał z tej beznadziejności, martwoty, bierności, kto by wydobywał siły, budził zdolności, kto by pomagał ludziom, którzy bląkają się po omacku, nie wiedząc, dokąd iść, co robić.

Staął przede mną ów niewidomy chłop, co ludzi nie widzi, ale widzi duszę drzewa.

— Ślepymi oczami można lepszy świat zobaczyć i do lepszego świata ludzi zaprowadzić.

Ach, gdyby w każdej wsi znalazł się taki ślepy, który by wskazał najwłaściwszą, tę jedyną drogę prowadzącą w przyszłość. Gdyby...

GDZIE PŁUG W POLSKICH GARŚCIACH, TAM POLSKA

I

Pisać o tych sprawach? Wzdrygam się. Naprawdę. Lęk mnie ogarnia. Ogiś jechałem na Śląsk Opolski mimo przestróg przerażonych przyjaciół w okresie najstraszniejszego terroru, we Francji szedłem do włości, pod mosty, w zaułki paryskie pełne krwi, gdzie tak często wybłykiwał majcher. A przecież bez obawy wędrowałem tam. Teraz zaś drzę. Zdaję sobie sprawę, że zaraz znajdą się tysiące kijów, którymi będą walić po ręce trzymającej pióro, zaraz znajdą tysiące kamieni (a w Polsce kamieni i błota tak wiele), aby obrzucić. Jednakże trzeba czasem nawet w cieniu spadających kijów i kamieni wypełnić ciężący obowiązek, wypowiedzieć to, co nęka i zadręcza. A może kaganiec nakładać na sumienie i iść na smyczy do pełnej miski?

Gdzieś powiedział mi urzędnik-społecznik słowa znamienne:

— Dzisiaj wszystkiego trzeba się lękać, jeżeli nie chcesz na smyczy chodzić. Nawet gdy pragniesz coś uczynić w obecnej Polsce dla człowieka, dla jego dobra, dla zbiorowości, z myślą o budowaniu lepszego jutra,

to musisz robić w tajemnicy, jak spiskowiec w zakonspirowaniu, bo okrzyczą cię burzycielem porządku społecznego, wrogiem Boga i Ojczyzny. Teraz nawet z uczciwością trzeba się kryć. Burzycielem jest nawet ten, kto marzy, aby z suteryn wydostać się na parter.

Może i ja teraz popełniam zbrodnię, chcąc zdać sprawę z podróży po osadach, zbudowanych w ostatnich czasach na równinach w Wielkopolsce i na Pomorzu, może też popełniam zbrodnię, żem spisywał żywcem wyznania ludzi przenoszonych z górskich jałowych stron, to z czworaków dworskich na własne gospodarstwa.

Tłukę się w pierś ze skruczą i przy każdym uderzeniu kulaka krzyczę: moja wina. Jechałem tam usposobiony jak najpotworniej. W pamięci tkwiły, jak kliny dębowe wbite w pień, strzepy artykułów, reportaży o osadnictwie, pisanych przez ludzi, którzy szaty rozdzielali z rozpacz, którzy piórem wstrzymywali zatracieńców znad krawędzi przepaści. Zdawało się, że krzyczą: „zagłada ci nieszcześliwy, oszukany, zagłada Ci Polsko, zagłada ci świecie, a sprawcą tego Poniatowski, który...”. Miałem oczy zabarwione na kolor najbardziej czarny, duszę nabitą zarzutami jak pocisk. W imię ogólnego dobra, w imię przyszłości dobrej sprawy — myślałem podlegany wywodami pewnych autorów — to bym każde słowo zmienił w siekiery, aby burzyć tamte gospodarstwa zbudowane za staraniem ministra rolnictwa, aby odrąbać ręce dzierżące pług, każde słowo zmieniłbym w ogień, aby rzucać pod zrąb owych urzęczywistnianych „źle przemyślanych” zamierzeń, aby z nich nawet popiołu nie zostało. Wciąż dźwięczały słowa ciężkie: „na nędzę skazani ludzie”, „doniczkowe gospodarstwa”, „niszczenie rolniczej kultury tak wysoko tam postawionej, wysiłkiem

— Dbają o dolę skrzywdzonych, sumienie obudzili w sobie.

Ten sąd maciły mi nieco nawiedzające mnie wątpliwości, pytania, co za przyczyna tego. Stąd z daleka, z mazowieckich równin, występują w obronie osadników na Pomorzu, w Wielkopolsce. Obojętnie patrzą na zgarbione domy w swojej wsi, na głodne dzieci, nie widzą własnych czworaków z ganku bliskiego dworu, nie widzą izb komorników pełnych przekleństw, płaczu, brudu, narosłych przez wieki. Nie widzieli ich w odwiecznej nędzy na jednej lub dwóch morgach, aż nagle ich zobaczyli na 20 morgach, w chacie czystej, wśród zabudowań, wśród drzewek owocowych. I wtedy dopiero tak rzewliwie zapłakali nad niedolą „bidaków”.

— No, ale jakoś tak się składa, że my najchętniej nosimy Polskę w kieszeni, a gdy ktoś w kieszeń uderzy i grosz dźwięknie, krzyczymy:

— W Polskę bijesz.

Gdym miał jechać do osadników, przypominałem sobie wędrówki po Śląsku Opolskim, gdzie wydarto z korzeniami chłopą polskiego osiadłego od wieków, aby na

tym miejscu osadzić kolonistów, sprowadzanych z głębi Niemiec, aby na ziemi polskiej budować twierdze, bastiony, otoczone najczulszą opieką. Osobne pociągi przewoziły dobytek, sprzęt gospodarski. Koloniści wchodzili do gospodarstw wzorowo urządzonych. Niczego nie brakowało, ani jednego gwoźdźcia, ani jednego kołka. Wodociągi i światło elektryczne doprowadzono do poszczególnych gospodarstw z odległości kilkunastu kilometrów. Tam dyscyplina trzymająca za mordę, twardość, toteż nikt niczego nie ukradnie, przedsiębiorca wszystko w terminie odda w największym porządku. Plan wypracowywany z dokładnością nieomal sekundy, zostaje wykonywany z bezwzględnością.

Widziałem tam też inne kolonie, tak zwane robotnicze, powstałe naokoło pogranicznych miast jak: Bytom, Gliwice, Raciborz etc. etc. Bawiłem późną jesienią i pustka się rozciągała na polach należących do chłopów polskiego. W następnym roku na wiosnę, po kilku miesiącach, zdumiał mnie widok dziesiątków czy setek domków planowo rozmieszczonych. Obok domku ogródek niewielki z drzewkami owocowymi, grządkami na jarzyny, kurnik z kilkoma kurami, chlewik z kozą, narzędzia potrzebne, obok szkoła, urząd pocztowy. Tam nie czekano na ustawy, ale chłopów polskich bez pytania wywłaszczono, aby na ich miejscu pobudować sadyby dla robotników szczerze niemieckich, którzy by po powrocie z fabryki czy kopalni mogli obcować z ziemią, mogli pracować na niej, wrastać w nią, aby być twierdzą nie do zdobycia. Osady te jakby łańcuchami coś skuwały i wiązały. Tam nie pozwolonoby bezrobotnemu mieszkać w dziurach wykopanych w hałdach, żyć z biedaszybów, aby przybyś z Polski nie zobaczył, nie sfotogra-

fował, nie opisał, bo to byłoby tematem do wrogiej propagandy. A te domki budowane dla niemieckich robotników obok miast i wspaniałych szos, nie z innego budulca są wznoszone, ale właśnie z drzewa, z sosny, i to nie skądinąd sprowadzonego, ale z Polski.

Gdym jechał na Pomorze, nabyłem w Warszawie „Rozdroże”. Wieczorami czytałem, w nocy dumałem nad poruszonymi zagadnieniami, w dzień zaś, w czasie wędrówek, słuchałem opowieści o czasach, o ludziach, o doli wyrobnika, komornika, o losie w czworakach, o nędzy chłopskiej, o nienawiści podpalającej polski zrąb, o gotującej się zemście, i wtedy miałem wrażenie, że tamte karty wydarte są z trzewi wielkiego serca. Pomyślałem, ileż M. Dąbrowska musiała w sobie przełamać, przeżyć, przecierpieć, aby odrzucić wszystko, co wyniosła z dworu, z czym zrosła się od dzieciństwa, aby odejść z ganku dworskiego, stanąć na progu chaty chłopskiej i zobaczyć rozognione zagadnienie wsi w imię Polski, w imię jej przyszłości. (Jakże często z progu Polski widzą tylko swój folwark!). I rzuciła to zagadnienie na wszystkie drogi nowej Polski. Czasem zdaje się, że to pokutnica oskarża siebie i kaja się, przestrzega i woła, czasem, że to głos ks. Skargi rozbrzmiewa i palcem wskazuje na dzieje wstydem palące, autorka chce wstrząsnąć sumieniem, przemawia do poczucia obywatelskiego. Wypowiada prawdy wyrosłe z jej czującej duszy, pragnącej zagasić płomień, który przeżera mściwe serca, a który pada pod zrąb Rzeczypospolitej. Chlebem tylko można zagasić groźący pożar. Kto może sięgnąć po chleb, nie chwyci za nóż. Jakże dzisiaj często przez nienawiść do dworu patrzą na Polskę... Właściwie nikt nie starał się stępić, czy skruszyć ostrza jej prawdy. Chwycono się najłatwiejszej broni:

kamieni i błota, nieraz ubranego w jedwabie i róże: przy pochwałach „znakomita pisarka” — pałką przez łeb. Zohydzono autorkę, odsądzono od czci, gdyż miała odwagę przemówić w imię swego przekonania. Nazwano tę książkę paszkwilem, zrodzonym z nienawiści do warstwy ziemiańskiej, nazwano owocem demagogii wiodącej ku komunizmowi.

Ktoś powiedział, że „Rozdroże” to czyn Reytana, leżącego u stóp dzisiejszej Polski, zagradzającego drogę ku przepaści żywą, pulsującą sercem piersią. W innych czasach i warunkach ta książka wstrząsnęłaby społeczeństwem, rozogniłaby sumienie i dusze, byłaby źródłem zażartych ścierań, walk, zarzewiem wielkich poczynąń. Dzisiejsze dni bierne, nie ożywione żadną ideą, wielką ambicją, przeszły cichcem lub też brutalnie podeptały przestrogi i nakazy i poszły w przyszłość z hasłem tak wygodnym: aby dziś, aby dziś, jakoś to będzie jutro. Podkóweczki dajcie ognia, huha, huha. Młoda odradzająca się wieś z entuzjazmem przyjęła książkę, nazwała ją wielkim czynem społecznym w walce o sprawiedliwość w nowej Polsce. Dla wielu była objawieniem. Tam gdzieś na równinach pomorskich usłyszałem twarde słowa.

— Dworskie zagadnienie dla nas nie istnieje. Ziemia musi się dostać, nie dzisiaj, to jutro, w ręce tych, którzy są pługiem i karabinem Polski. Pisał Żeromski „okaże szlachcic polski wielkość duszy”. Może okaże, jeżeli nie będzie szło o morgi.

II

Przerzucaliśmy się z posłem Hylą po Pomorzu i Wielkopolsce. (Niechże imię p. Strzeszewskiego, mądrego obywatela-urzędnika, zdającego sobie sprawę z zadania ciążącego na każdym, będzie po stokroć pochwalone). Przećcinaliśmy bezbrzeżne równiny wzdłuż i wszerz, wyszukując czerwieniejących dachów, jakby kopek żaru.

— Osada.

— Tutaj 20 gospodarstw, tam 30. W jednej miejscowości było 330 zgłoszeń, a osad było 22. Daje się załedwie jednostkom. Tysiące się cisną, błagają. Ludzie nieraz bardzo zasłużeni, dobrzy gospodarze, ale coś możemy uczynić. Żeby to można zaspokoić wszystkie potrzeby.

— A dwór w czyich rękach?

— No, w niemieckich... Tam, gdzie najżyźniejsza gleba, tam siedzą Niemcy.

— Te osady, to jakby mury, mające wstrzymywać napór.

— Tego nikt nie chce wiedzieć. Jakże mało ludzi docenia ważność tego czynu. Ach, gdyby były fundusze, gdyby nie było przeszkód! Małoduszni, krótkowzroczni konopnymi sznurkami pętają rozmach Polski twórczej, patrzącej w przyszłość i pragnącej zabezpieczyć się przed niebezpieczeństwem nieprzejednanego wroga... Ale pomimo wszystko pracujemy. W woj. poznańskim i pomorskim już 60 hektarami dachu pokryliśmy zabudowania osadników — słyszę czyjeś wyznanie.

Długi czas nie widać żadnej wioski, wszędzie, gdzie spojrzeć, nieprzejrzane obszary.

— Czyja własność?

— No czyja by? Niemiecka. Zaledwie małe okrajki są parcelowane i oddawane żywiolowi polskiemu.

— Co za przyczyna wrogiego nastawienia do osadnictwa? — pytam człowieka znającego z doświadczenia to zagadnienie.

— Ależ im nie chodzi o osadników; ci obrońcy chcą zdyskredytować samą ideę, sam czyn społeczny o wielkim znaczeniu dla Polski. Ta ich opieka nad osadnikami wypływa z niechęci do samej parcelacji. — Widzicie — mówią, ci, którzy hasłem „Polska“, „jej dobro“ zasłaniają własną kieszeń — oto wasze dzieło, które wszyscy przeklinają, bo my w ich usta te przekleństwa wkładamy. — Wobec tego nie trzeba przeprowadzać żadnej reformy, a zostawić tak, jak było, i Boga za te dary chwalić. — Zobaczymy wszystko na miejscu. Zapewne — musimy to przyznać — są błędy, niedociągnięcia, ale z roku na rok nabieramy doświadczenia, usuwamy te błędy, ulepszamy. Sami osadnicy mówią, że znać poprawę. Trzeba mieć na uwadze, że setki warsztatów pracy otwarto, setki rąk znajdują chleb. Czyż byłoby lepiej, gdyby te rodziny stały się bezrobotnymi, gdyby wyrzucone na bruk stały się ciężarem społeczeństwa lub głodowały na kamienistych skrawkach górskiej roli?

— Kto najlepiej gospodarzy?

— To zależy od człowieka. Myśleliśmy, że służba folwarczna, pracująca nieraz od dzieciństwa „w promieniach“ dworu, wniesie na osadę nowe wartości: kulturę rolną, postęp. Niestety, wszystkich spotkał zawód. Formal czy wolarz, czy rataj zajmował się tylko „swoją specjalnością“ i nie podpatrywał sposobów gospodarowania, nie jest przyzwyczajony do samodzielnej gospodarki, toteż najwięcej słychać narzekania wśród dawnej

służby folwarcznej. Osadnik z Małopolski umie żyć oszczędnie, na małym poprzestawać, bo wzrósł w biedzie, gospodarzył na niewielkiej roli, wnosi też bezcenne wartości: kapitał szaleńczej pracy, prężność, wytrzymałość, upór. Mimo tych pierwszorzędných zalet musi się tym osadnikom postawić zarzut, że przychodzą bez wyjątku biedacy, nie mający funduszków na zagospodarowanie, podłożenie podwalin pod dobrobyt. Tutaj potrzebny pieniądz na sprzęt, pługi, kierat, siewniki, na nawozy sztuczne. Cóż zrobi kowal bez młota, bez kleszczy, bez miecha, choćby miał kowadło i ognisko. Toteż miejscowi krzyczą, że przybywają dziady, którzy nie mają żadnych zasobów do życia. Napływ osadników budzi niechęć wśród ludności: „dla Pomorzan dawniej nie było posad, teraz nie ma osad“. Znów osadnik z Wielkopolski, przyzwyczajony do wyższej stopy życia, zaopatrzony jest w gotówkę tak bardzo potrzebną w początkach, toteż rusza od razu z miejsca z rozmachem. A wszędzie niemal zawsze kobieta jest najbardziej twórczym czynnikiem.

Wchodziliśmy do izb, na obejście, między gospodarские budynki, do chlewów, stajni, stodół, patrzyliśmy na dobytek, na narzędzia, na sposoby uprawy roli. Spotykaliśmy rodziny wygnane powodzią znad Wisły, Dunajca, to ze wsi górskich jałowych, to z równin poznańskich, z domów kmiecych i z czworaków dworskich. Wszyscy w odmiennych warunkach zaczęli nowe życie, borykając się z trudnościami. Różne typy, to twardzi, uparci, niezłomni, nie lękający się żadnych przeciwności, z zaciśniętymi kułakami i zębami pracujący i wrastający w głębę dębowymi korzeniami, to płoni jak plewy wiatrem niesione, to cwaniacy, kombinatorzy, którzy tylko patrzą, aby „załapać“ kilka tysięcy odstępnego,

cisnąć gospodarke do cholery i wynieść się gdzie indziej. Po zewnętrznym wyglądzie poznawaliśmy duszę gospodarzy, ich skrzętność, oszczędność, zapobiegliwość, upodobania. Nieraz zgadywaliśmy, z których stron pochodzą, czy to syn gospodarza, czy ktoś ze służby folwarcznej. A zgadnąć było łatwo, gdy się przypatrzyło sposobom gospodarowania. Mogliśmy się też przekonać, że osadnicy z Małopolski są lepszymi hodowcami bydła niż miejscowi, troskliwiej je pielęgnują. Stawaliśmy przed oraczami, którzy odkładali pług, aby pogawędzić, wszczynaliśmy rozmowę z chłopami, którzy kilofami, a nawet pazurami wydzielali olbrzymie głazy narzutowe, leżące chyba od poczęcia świata w osierdziu tej ziemi, i dopiero ci osadnicy, nie chcąc zmarnować jednej grudy, wydobywali je, aby pługom nie zawadzały.

— Innemu by się to nie opłaciło, za ciężka praca, ale robimy to dla siebie. Tu rośnie nasz skarb.

Wszędzie patrzyliśmy na spracowane ręce, na nadludzki wysiłek, na twarze nacechowane uporem. Z ust zbieraliśmy słowa nieraz bardzo twarde, oskarżające, nieraz znów mające żar ognia, to znów ostrość rąbiącej siekiery, widzieliśmy kułak i uścisk serdeczny, słyszeliśmy płacz, labidzenie, rzewne skargi i słowa tęsknoty.

— Ej, Boże, ej Boże, nikt za nami gór nie przyniesie. Co pożrę, to myślę, że zobocę choć jaki wiersycek, a tu nic, a tu równo i równo, i tego płacę i tego mam swoje ocy łzami zalote.

Staraliśmy się zajrzeć do głębin dusz, przepatrzyć je, aby wydobyć istotę prawdy. Wszędzie niemal powtarza się jedno.

— W naszych rękach gospodarka mlekiem i miodem spłynie, żeby nie te nieszcześcia i klęska za klęską. Oko-

lica wesola, ino bida wszelenijakiego rodzaju trapi, posucha, nieurodzaj, grad, tak żeśmy musieli zasiewy jesienne zaorać. Brak nam paszy, zboża, i wszystkiego na początek.

— Czy to wina osad, ziemi czy osadników?

— Wina nieba. Co zrobisz, kiej grad bije. To nie-szczęście każdego dotyka, i gospodarza na tysiącach morgów, i na dziesięcinie. Nam kolonistom źle zrazu, bośmy na dorobku, ale żeby Pan Jezus dał urodzaj, to będziemy mieli bogactwo, jakiegośmy nigdy nie widzieli. Najstarsi ludzie nie pamiętają takich czasów. Ale z pomocą Bożą polepszy się. Smutne nasze życie teraz; bida aże smierdzi, ale niech tylko pogospodarujemy parę lat, to i u nas będzie tak samo jak u dawniejszych osadników. Oni też narzekali na dorobku, też dość się nabidowali, a teraz u nich stodoły aż pękają od snopków, krowy w stajni, świnki w chlewie i na sprzedanie, i na zabicie na obchód domowy. My też będziemy jeździli bryką do kościoła.

Wchodziliśmy i do starszych osad, założonych przed paru laty. Na dziedzińcu ruch, krzątania, pod dachem narzędzia gospodarcze, w wozowni paradna bryczka na wyjazd do kościoła, to marzenie każdego osadnika, w sieni wirówka, w kuchni piec kaflowy, w izbach „miasstowe meble“ i życie na pewnym poziomie, bo i talerze, i parę książek, i pisma rolnicze, i dziennik, i radio. Tak, tak w dobrobycie łatwiej przebudować duszę niż w nędzy, a w nędzy łatwiej chwycić za siekierę niż za książkę.

Weszliśmy na dziedziniec emigranta z Francji, który dostał działkę w 1935 roku. Uciulał w kopalni parę tysięcy złotych. „Wykrwawiłem każdego franka z tych palców, ale nie żałuję, doszedłem do swojego“. Nigdy nie

miał własnej ziemi. Wpłacił za osadę 1750 złotych. Żali się, że zrazu było bardzo ciężko na każdym kroku. Człowiek twardy zwyciężał trudności i dzisiaj pracuje bez grosza długu, jeno Boga prosi, aby w nie nie wpadł.

— Już się powoli zagospodarowałem, już dokupiłem narzędzi. Z małego trzeba się dorabiać wszystkiego. Tego roku już 4 świnie sprzedałem, zabiłem jednego wieprza, tygodniowo sprzedaję 6 funtów masła, a mleka jest aż za dużo. Dzieciak — wskazuje na chłopaka zdrowego, rumianego — na śniadanie zjada śmietanę i na wieczerzę tak samo. Musowo. Nie żałuję. Mało dzieci mam, to mi lżej niż gdzie indziej. Jedzenia ani sobie, ani najemnikom nie żałuję. Do roku biję dwa wieprze, ale takie, co się do koryta nie chcą zmieścić. Jak tak dalej pójdzie, to za 4 lata nowe zabudowania sobie wymuruję, obszerne, jakie mi są potrzebne.

— Wróciłibyście do Francji?

— Jak pragnę Boga, nigdy bym nie jechał za granicę.

— Lepiej na swoim?

— Pracuję ciężko, ale dla siebie. Nie jestem podległy nikomu. Każdy jest rad, że się wyrwie spod cudzego bata. Czy osadnikom źle teraz? Powiem ino tyle, dużo zależy od ziemi, ale jeszcze więcej od człowieka. Człowiek mocny światem gospodarzy, człowiek słaby największy świat zmarni i sam zginie.

Gdzie indziej domek drewniany, już przerobiony nie do poznania w małą zaciszną willę. Wodociąg własną zapobiegliwością zbudowany, meble, w każdym kącie znać zamiłowanie porządku, staranność. Kwiaty wylewają się strugami z okien. Obok domku grządki jarzynowe. Gospodarzy młode małżeństwo, rodem z kmieci poznańskich.

— Wziąłem spłat od ojców i włożyłem w gospodarke. Wkładów dużo nie potrzeba, jeżeli się dba i pracuje — mówi właściciel — z dumą okazując swe plony.

Gdzieś indziej w Szamotulach kolonia dla bezrobotnych. Dotychczas powstawało 10 bliźniaczych domów. W każdym dla jednej rodziny pokój, kuchnia i w dachu pokoik, obok chlewek, stajenka, kurnik. Działki jedno-, dwu- i trzyhektarowe. Do każdej należy założony sadek, z 31 drzewkami i kępami agrestu i porzeczek. Grządki, zagony zasiane, zasadzone. Oprowadzają nas, pokazują, dotykają palcami każdej grzędy, każdej gałązki.

— To nasze.

— A gdzie dawniej mieszkaliście?

— Ach, panie, cośmy przeżyli, to ani spamiętać. Mieszkaliśmy w miejskich barakach, w jednej norze, po dwie i trzy rodziny. Co tam było przekleństw, obrazy Boskiej i zgorszenia, to ani nie chce się myśleć. Byliśmy ciężarem społeczeństwa, jego śmieciami i gnojem, żyliśmy w piekle, zasiłkami, nienawiścią Boga, ludzi, ojczyzny i wszystkiego, co na ziemi i w niebie. Teraz mamy raj, dach nad głową i swój zagon. Łatwiej znajdziemy pracę, bo już nie jesteśmy łachmaniarzami jak dawniej. A nawet gdybym nie miał pracy, to mi łatwiej wyżyć, bo sobie uchowam świnię, trzy kozy, mam swoje jarzyny, zboże, owoce. Teraz, jak wracam od roboty, to nie idę do knajpy, bo mi żal marnować każdego grosza i chwili. Panie, panie, czy kto pojmie moje szczęście, wracam do swego kawałka ziemi. Powinniśmy wystawić w każdej osadzie pomnik wdzięczności temu, kto nas tutaj osadził, kto stworzył tę kolonię, kto wyrwał nas z nor, obudził godność człowieka i pragnienie innego życia.

Ci ludzie wyrwani z dna nędzy, z najcięższych warunków rzucili się do ziemi z zaciekłością; to, co było gruzem, usunęli, co było ugięciem, użyźnili, i te plony, drzewka, to z ich potu, z mordegi, która była dla nich radością.

Tutaj jest jeszcze siedemdziesiąt działek wzorowo obsianych i obsadzonych, niestety brak funduszy na budowę domów. Są natomiast na zasiłki dla bezrobotnych, gnijących w barakach, w gnuśności i w nienawiści.

Patrząc na ten polski wysiłek ledwo zaczęty i nie dokończony przypomniałem sobie tysiące, tysiące osad, domków drewnianych zbudowanych wielkim wysiłkiem społeczeństwa w Niemczech pod nakazem:

— Najmocniejsi są ci, którzy wrośli w ziemię pracą i miłością.

III

Każda osada powstała w ostatnich czasach składa się z drewnianego domu, zabudowań gospodarskich wzniesionych z wielką oszczędnością, nieraz dlatego budzących skargi, i z gruntu zdrenowanego. Obok każdej osady sadek z 52 drzewkami, celowo dobranymi z szlachetnych gatunków, aby po zaspokojeniu potrzeb swoich móc wywozić wagonowo wspólnie z gromadą. Instruktorzy powiatowi otaczają opieką te sady, uczą pielęgnowania. Są inni przeznaczeni do nadzoru nad bydłem, inni nad uprawą roli. Nowy osadnik musi się względnie stosować do ich wskazówek.

Osadnicy nabyli ziemię z obsiewami. I tu początek ich tragedii. Dawni właściciele zupełnie nie uprawiali od szeregu lat, właśnie tych mórg, przeznaczonych na parcelację, zostawili też plony nad wyraz lichy i grunt

wyjałowiony. Nic też dziwnego, że osadnik został przez zimę niemal bez chleba; zdarzały się też wypadki, że musiał żebrac. I z tego znów ukuto zarzut przeciw osadom. Nie wskazano jednak właściwych winowajców... Wszyscy osadnicy zgodnie stwierdzają:

— Niektórzy wyciągają rękę po chleb.

A tamci wołają:

— Przyprowadziliście do nas żebraków.

— Kto się do tego przyczynił? Właściciel, bo oszukał kolonistę, wziął od niego ciężko zapracowane pieniądze za obsiane pole, a źle obsiał. Na płacz się zbierało, gdy się patrzyło na obsiewy i zbiórki. I dzisiaj oni występują też w naszej obronie, że za wielkie wkładki będziemy musieli wpłacać. Tak nad nami się użalają przy każdej sposobności. A przecież tak łatwo uniknąć źródła nieszczęść, niech się więc zgodzą na wykup bez odszkodowania.

— Wiemy, do czego się dąży w walce przeciw osadnictwu. Chcą zdyskredytować całą akcję. Osady to złoto, to jedyne wyjście dla małorolnych. Tyle biedy na wsi, taka ciasnota, że ludzie mało się nie wyzabijają na kupie, dom na domie, a tutaj tyle ziemi w cudzym władaniu. Jak to widzimy, to myślimy, że byłoby lepiej w Polsce, jakby chłopci dostali ją w swoje ręce, które by dla Polski pracowały i Polski by broniły. Parcelowanie powinno być dawno zaczęte.

Ilekróć weszliśmy do osadników, zawsze witało nas jedno i to samo.

— Bez gnoju, bez uprawy zostawili właściciele te okrawki ziemi. Wszystko trzeba nawozić, przerobić, bo ziemia wyjałowiona, wyżyta, chyba ją z 10 lat nie użyźniali, a tylko paprali z roku na rok. Przykro na swo-

jego narzekać, ale trzeba powiedzieć, że Niemieccy panowie zostawili lepsze obsiewy niż nasi. Nie dziwota, że niejeden z nas nie miał co do ust włożyć.

Osadnicy zamieszkali w domach nie otynkowanych (dopiero w tym roku zaczęto tynkować), cierpieli też zimno. Wielu z nich omszyło, pozatykało dziury gliną i przebyli zimę znośnie, i ci bardziej chwalą domy drewniane niż murowane, że są zdrowsze, że cieplej, że nie ma wilgoci. Słyszeliśmy dużo narzekań: a dziury, a że zeschnęły się ściany, a w powale szpary. Najwięcej utyskiwali osadnicy, pochodzący ze służby folwarcznej.

W jednym miejscu gospodarz wykrzykiwał do nas.

— Patrzcie panowie, czy to tak powinno być, żeby tak budować?

— Istotnie winien nieuczciwy przedsiębiorca. Zimno było? — mówimy.

— Niech ręka Boska broni.

— Patrzcie tutaj, przecież można było omszyć gazetami, a tu zabić kawałkiem deski, a tu gliną zalepić i byłoby ciepło.

— A można było, ale nie chciałem, bom sobie powiedział, że trzeba doczekać, aby Komisya przyjechała i zobaczyła, jakie tu porządki.

— I czyż dla tego warto było marznąć z dziećmi i tak cierpieć?

— Warto było — twardo rąbał — bom postawił na swoim.

Po odejściu stąd chłop z Małopolski rzekł nam.

— Ludzie z majątków pańskich narzykają najwięcej.

— Dlaczegoż tak? — pytam.

— Bo z nich nigdy nie będą gospodarze. Zawsze czekają na gotowe. Robili na kogo i jeszcze się nie nau-

czyli robić na swoim. Dawniej na pańskim o nic nie potrzebowali się troszczyć, mieli ordynarię, pensję, głowy nad niczym nie łamali. A teraz muszą inaczej. A największy grzych mają, bo nie umią koło bydła chodzić i w gnoju trzymają, aż litość bierze patrzeć. U mnie krowa w czystości jest, dwa razy ją szczotką i zgrzeblem czeszę, a nieraz i wodą myję, toteż pięknie wygląda i dużo daje mleka. Krówka za dobre obejście zawsze dużo zapłaci.

Poszliśmy więc do tych osadników ze służby folwarcznej. Urządzenie izb i porządek i gospodarowanie były różne. Często witał nas napis wyszyty na ścianie: „Własne ognisko, to najcenniejsze schronisko“. Któryś opowiada o życiu ciężkim na łanie pańskim, na którym pracował od najmłodszych lat i po latach wyniósł 450 zł oszczędności i te wpłacił na osadę.

— Ileście mieli na zagospodarowanie?

-- Bez grosza-żem wszedł. Zastałem ziemię, niebo, gołe ściany. Z tych dziesięciu palców trzeba było się dorabiać wszystkiego. A już mam krowę, konia, potrzebną maszynę. Oj napracowałem się, napracowałem. Inny by to sto razy cisnął i poszedłby, gdzie go oczy poniosą.

— Kiedy było wam lepiej?

— Trudno powiedzieć. Wszędzie trzeba pracować. Dawniej kości bolały, a głowa nie miała nijakiego kłopotu, bo ze dworu wszystko dali. Teraz kości mniej bołą, ale za to kłopotu więcej.

— A czybyście wrócili pod pana?

— Nigdy! — Porywczo zawołał. — Kto by poszedł dobrowolnie pod bat. Tu jestem człowiek wolny, na swoim, a tam byłem przez całe życie przywiązany do kija. Nie czekam na dzwonek.

Opodał staruszkowie kopią motykami. Kiedyśmy po-deszli, prostowali krzyże, ocierali zeznojone twarze. I spłynęła opowieść jak pot z ich oblicza. Też osadnik z dworu. Ma 71 lat. Wpłacił 200 złotych. Ma 3 i pół hektara ziemi. Chowa krowę, świnie.

— Dziękujemy Panu Bogu, żeśmy z tej niewoli wyszli. Jak sobie pomyślę, cośmy tam przeżyli, to serce z żalu chce pęknąć. Ręce i zęby ino zaciskaliśmy. Ciężka praca, a nie było dobrego słowa, a przecież od dziecka pracował. Panowie się zmieniali i ostatni mówił, że do niczego, że mnie wyrzuci. Co ja bym robił na stare lata? Pod kościół. Łamie mnie w kościach, bo w czworakach nogi nam poobmarzały. I takiego kalikę wygnaliby z torbami. Panoczek tamten zmarnił wszystko i gdzieś się poniewiera, a myśmy są gospodarzami. Nieraz to sobie mówimy z moją, kto by się z nas spodział, że będziemy mieli morgi. A mamy przy pomocy Bożej. Teraz nam życie inaczej smakuje, choć na starość nam słonko zaświeciło. Tak od razu wzięliśmy się do roboty i tak nam ładnie idzie, że aż na podziw, ino Pana Boga trzeba prosić, żeby nas nie opuścił, a we wszystkim pomógł. Co dzień rano i wieczór pacierz mówimy o zdrowie i szczęście dla tych panów, co nam dali tę działkę.

IV

Najczęściej są rozsiane osady małorolnych, pochodzących z Małopolski, i między nimi bawiliśmy najdłużej. Byli to przeważnie właściciele jedno- lub dwumorgowych gospodarstw, położonych na kamienistych, jałowych zboczach, gdzieś w żywieckich górach. Przed wojną

szukali chleba wszędzie, głównie zaś na Węgrzech. Później granica czesko-słowacka zagroziła im tam drogę, tak że byli skazani bez żadnych zarobków na powolną głodową śmierć. Ze swoich wsi przywieźli na Pomorze wszystko, co mieli. Nędzny to dobytek. Graty, ot pożał się Boże, poduszki i pierzyna, często bez obleczenia, garnki, żeleźniaki na dynarkach, łachy. Sami właściciele źle odziani, wychudzeni, dają bolesny obraz. Niemal w każdej sieni żarna. Ze ścian patrzą obrazy świętych na wszystkieienne sprawy. Czasem w izbie kobza. Jak się zbiorą w niedzielę, to sobie grają tamte z gór przyniesione nuty i wtedy im lżej, bo sobie myślą, że są w swojej wsi.

— Widzicie — ktoś wskazuje palcem — zygor też stamtąd, żeby mi dawniejsze czasy przypominał; jak mi godziny dzwoni, to mi się robi weselej.

Opowiadali o swej ciężkiej, beznadziejnej doli tam w górach, gdzie kapuśniarka i ziemniaki były jedynym pożywieniem. O chlebie nie można było ani myśleć, choćby go chcieli wydrzeć pazurami i zębami z jałowej gleby. Ci znędniali, zgłodzeni, a palący się ochotą i gorączką pracy wyrzucali z siebie skargi i żale jak kamienie spod pługa, aby na dalsze życie została sama rodna ziemia.

— Przyjechaliśmy od jednej granicy do drugiej, nie z rozkoszy, ale z biedy. Nikt nas nie wyganiał, aleśmy musieli sami wyjść. Jakbyśmy tam mogli wyżyć, to byśmy zostali. Tam chleba nie było dla nas. Tuśmy przyszli, aby się nam poprawiło. Sprzedaliśmy swoje grunty po 200 zł za morgę. I za takie pieniądze nikt nie chciał kupić, bo grunty do niczego, dopiero pan z Żywca kupił pod las. I na takich gospodarkach mu-

sieliśmy żyć z dziećmi... Przyjechaliśmy z bidy, rajów nie chcemy, ino aby wyżyć, ino aby dzieci głodu nie zaznały, aby do szkoły poszły i światła do oczu i głowy nabrały.

— Bez zasobów pieniężnych początki muszą być ciężkie — mówię.

— Takie majątki przywieźlimy — rozpostarł szerokie garście, napęczniałe gruzłami, twardymi naroślami. — Myślelimy, że one wystarczą. Widzimy teraz, że to za mało.

Istotnie przywieźli wielki kapitał: pracę. Choć się przekonali, że to nie wystarcza, to jednak nie upadają, mordują się, borykają z przeciwnościami i już w pierwszym roku odnieśliby zwycięstwo, gdyby nie żywiołowe klęski, nawiedzające tę ziemię. To w zimie mróz zniszczył oziminy, to na wiosnę grad wybił, to susza wypiekła resztę.

— Nam bida nie dziwna, to wszystko przetrzymamy. Kto lubi pracować, to wszędzie temu będzie dobrze.

— A przykrzy się wam?

— Rozmaicie można powiedzieć. Jedni już się przyzwyczaili, inni nie. To zależy od człowieka. Jeden miększy, drugi twardy, jeden z płaczu i żalu, a drugi z kamienia. Gór nam brakuje. Tego wiatru u nas nie było tyle, a tu furt i furt wieje, i to nas też mierzi. Niejeden zrazu myślał, że tu nie wysiedzi, że trudno mu będzie wyżyć, ale pomału, pomału przyrastają ludzie do miejsca. Chłop twardszy, to więcej wytrzyma, kobiety to ino zipią i jak się zejda, to po kątach buczą. W dzień to nie ma czasu, trzeba iść od roboty do roboty, ale w niedzielę to i najtwardszy się użali, wtedy rozkładamy mapę, patrzymy na powiat żywiecki.

— O, widzicie to kółko, to nasza wieś — drudzy dopowiedzieli wskazując paluchem.

— Wtedy lżej nam. Przypominamy sobie krewniaków, przyjaciół i jakoś czas przeleci. Ale i wtedy niejeden zapłacze: im tam nie rozkosz, oni jakby żywcem zagrzebani. Nas krzepi nadzieja, że wyjdziemy z tej biedy. Chcieliby my sprowadzić ludzi z naszych stron, żeby większe gniazdo założyć, to nam będzie raźniej i weselej w kupie. A i tego pragniemy, żeby im też się polepszyło. Tam ludzie się duszą, chałupa na chałupie, miedza przy miedzy, a tutaj tyle jeszcze ziemi.

— A czy lepiej, jak osady porozrzucane, czy jak są jedna przy drugiej.

— Sto razy lepiej, kiej są porozrzucane, jak jeden od drugiego z daleka gospodarzy, bo nie ma tyle kłopotu. Tam wyjdzie kura za płot, zaraz w szkodę sąsiada, i już swary, bójki, skargi i łażenie po sądach. Przy takim gospodarstwie życie się zmierzi i z torbami można pójść, bo się każdy grosz przeprocesuje. A i dla chłopów też lepiej, że tak jest jak teraz. Dawniej baby za kudły się chwytaly, to znowu po chałupach latały od kumosi do kumosi i szwargotały, kłapały gębami, że ani to uciszyć, jak wrony. Co im dzieci, krowy, gospodarka, kiedy ozorami mogły omieść całą wieś. Wracasz z pola głodny, spracowany, a tu izba nie zamieciona, krowy nie podojone, dzieciśka głodne, powiedziałeś co, to baby chciały cię wyzabijać, jedna z drugą po miotłę i na ciebie. Teraz gdzieby taki kawał drogi szła jedna do drugiej, to i gospodarki pilnują, i porządek jest w domu, i zgoda z chłopem. Dopiero w niedzielę się zejdą i każda chwilka im słodka, ugwarzają po dobroci, popłaczą, a hań było tak, a co hań z krewniakami, z sąsiadami? Tam wydu-

silibyśmy się w bidzie i w złości. Tam jest grunt porozganiany po wierchach, ani dowieźć gnoja, ani zwieźć zboża, a tutaj w jednym kawalku, aż radość patrzeć. Wyjdę z izby, stanę w progu, „wszystko widzę”. Tutaj wszystko robię koniem, a tam trzeba było siłą robić, na plecach znieść. Jakżeśmy tam nawozili, to deszcz splukał z uboczy, naremnica potargała, to kiedy indziej susza wszystko wypiekła. I co tam były za zbiórki! Owiesek, grule i jarcu trochę! A nie żał tu robić, bo można mieć chleb na chleb, u nas zaś kamień na kamień. Ino z drzewem było dobrze, tutaj ciężko. Inoś tam skoczył za próg, już się przywłókl jedliczkę.

— Czy tutaj lepiej żyć, czy tam?

— To nie ma nawet co równać. Tam nie było żadnego wyżycia. Trzeba było pożywiołu dokupować latem i zimą, nieraz widziało się, że dzieci będą ziemię jadły. Tutaj byłby raj, żeby ino nie nieszczęścia i żeby się już raz zagospodarzyć i do swojego chleba dojść. Tam przez cały rok był przednówek, a tutaj tylko u nas niedostatek, bośmy na dorobku albo jak pogorzeli. W naszej, dawnej wsi rzadko kto zabije prosię takie, co ma 80 kilo albo 100, i chce żeby mu starczyło na dwanaście miesięcy, a jak je, to mało palców nie pogryzie, bo mu szkoda więcej ukąsić, a tu jedną świnię zabije, ledwo zje, już drugą kładzie na koryto. Tutejsze ludzie na jedzeniu nie oszczędzają i dlatego są zdrowsze, ochotniejsze do życia. Tutaj suchego chleba nikt nie ukąsi, a u nas kto widzi chleb? Chyba owsiany placek albo z postnych ziemniaków. W stu procentach tutejsze ludzie lepiej żyją, niż u nas, lepiej chodzą ubrane i większy mają dobrobyt. I my też żyjemy nadzieją, że jak będziemy pracowali, starali się, to i nam będzie tak samo.

— A jak odnoszą się do was tutejsi?

— Nie można narzekać. Co mają na sumieniu, to nie wiemy, ale co do pogwarki, to ładnie mówią... Pomagamy im, a oni nam. Pożyczą pługa, żniwiarki, siewnika, a niejednemu z naszych, to Kaszubi ochotnie przyszli i swoimi końmi zaorali. Nie ma żadnej różnicy z tutejszymi. Kto czego potrzebuje, to pomogą, poradzą. Nikt nie ma nie zoranego pola, bo jeden drugiemu pomoże. Nie dziwota, przecieżeśmy jednej krwi, w jednej rodzinie, przecie im chleba z garści nie wydzieramy. W jedności żyjemy. A choćbyśmy się pokłócili, to się wnet pogodzimy. Jak znajdują się przy nas ludzie innej krwi, no, niemieckiej, to się krzywią. Nie dziwota. My im zawadzamy. No, ale my się im nie usuniemy ani się im nie damy wydrzeć, zapuścimy korzenie głęboko i żadna siła nie wykarczuje nas.

Gdzieś w izbie góralskiej na stole zeszyt.

— A to moja zapisuje o wszystkim, co się dzieje w gospodarstwie — objaśnia właściciel.

Przeglądam stronice wypełnione koślawymi literami. Gospodyni jest uczestniczką konkursu producentów drobiu, urządzonego przez towarzystwo rolnicze.

— Przyucza się dopiero — mąż usprawiedliwia żonę. — Wicie, że to nie do pojęcia, żebyśmy takie rzeczy robili. Gdzieby to kto u nas rachunki spisywał. Wyśmialiby takiego. Przez te miesiące człowiek nabrał tyle do głowy, że to nijak nie chce się zmieścić.

I tak od słowa do słowa... Wyrasta opowieść o wszystkim, co przeżyli, co przecierpieli przez te miesiące. Gospodyni co chwila zapaską oczy ocierała, co chwila popłakiwała, kiedy sobie przypominała, jak to po przesiedleniu na Pomorze w pierwszych miesiącach nie było czego

do gęby włożyć, nie było czym dosiać, jeden ucisk za drugim szedł, ledwoś odzipnął, zaraz co innego spa-
dało...

— Wiem, bieda — przerwałem sklamrzenie.

— Oj, panie, nabiedowaliśmy się, że ani spamiętać, naziębliśmy, bo nijak nie móc było dogrzać izby. Szpa-
rami gwizdało, śnieg leciał. Zimnica dzieciškami trzęsła. Mówiliśmy, że jak nam Pan Bóg nie dopomoże, to wygi-
niemy.

— Wiem, napłakaliście się dość, naprzeklinaliście też
bez miary...

— Oj prawda, prawda. Ile w piekle ognia, tyleśmy
na świat wyciśli. Com się napłakała, to ino jedna Matka
Boska wie. Jakby tak Pan Jezus pozbierał te łzy, com
wylała od czasu, jakem odeszła od swojej wsi, to bym
w nich siebie i dzieci potopila.

— Teraz chcę was zapytać o jedno, ale powiedzcie
prawdę.

— Powiem, jak pragnę Pana Jezusa przy skonaniu.

— Czybyście stąd odeszli? Czybyście wrócili do tam-
tej chaty, do tych dwu mórg górskiej ziemi?

— Ja? Stąd? Jezusie! Z niczego dojść do tylego
dobra i odchodzić?... Od tyla morgów, od takiego bo-
gactwa?... Tam byliśmy biedakami, a tu jesteśmy go-
spodarzami — zdziwiona powtarzała pytanie, oglą-
dając każde słowo z osobna. — Stąd odchodzić?
Gdziebyśmy stąd pošli? — i powoli, z namysłem, twardo
rzekła:

— Musieliby nas chyba stąd siekierami wyrąbywać.

V

Gdzieś widzieliśmy chłopą odzianego w worki, siejącego sztuczny nawóz.

— Ano, trudno, ziemi trzeba dać pożywienie. Sam nie zjem, swoim dzieciom poskąpię, ale ziemi dać muszę, jeżeli chcę, żeby mi za to zapłaciła chlebem.

Gdzieś stanąłem przy zatroskanych chłopach.

— Nad czym tak dumacie?

— Ano, trzeba by nam kupić kultywator, a tu nie ma na lik Boży za co. Ostatnie grosze daliśmy na zasiew. Walec tośmy zrobili sami. Ledwośmy się ino wspomogli na siewnik.

— Kto?

— No my, we trzech. Jeden nie dałby rady. A musiało się kupić, bo trzeba było siać buraki.

— Kiedyście przyjechali?

— No, po żniwach tamtego roku.

— Czyście dużo wiedzieli tam w górach o siewnikach, walcach, kultywatorach, żniwiarkach?

— Hahaha! — wybuchnęli serdecznym śmiechem. — Aniśmy ich nigdy na oczy nie widzieli. Jakiśmy wyszli pierwszy raz na pole ze siewnikiem, tośmy mówili: Te, Antek, co by tak powiedzieli we wsi, jakby nas zobaczyli przy takim lucyperze. Honor nas rozpierał, bo było z czego. Taki górolicek przy siewniku. Ojcowie chyba by się w grobie obrócili.

— Jednakże mimo wszystko nie dacie rady tutajszym ludziom.

— Dlaczego, panie?

— Tutaj wysoka kultura, wystarczy spojrzeć na pola wzorowo uprawione, aby się o tym przekonać.

— Prawda wszystko, myśmy nigdy w życiu nie widzieli takich narzędzi przy gospodarstwie, aniśmy nie wiedzieli, do czego są potrzebne. Nigdy też nie przyszłoby nam do głowy wydawać pieniędzy na sztuczne nawozy. Posiekało się cetyny albo się cisnęło pod krowę bukowych liści i taki gnój wywiezło się w pole, porozrzucało po zagonach i kiedy wysechł, wywietrzał — był już do niczego, jak nam tu powiedział instruktor — dopierośmy wtedy przyorali. Jakby tutaj chciał tak samo postępować, to by zaraz przyszedł do dziadostwa albo trzeba by umrzeć przy największym majątku. Musimy się starać, żeby było jak najlepiej. Mówicie, że tutaj wielka kultura. Nie we wszystkim. Dużo by można o tym powiedzieć... U nas zawdy mówili, że na Pomorzu czystota, że za wszystko, co nie w porządku, to zaraz kara. A teraz widzę, że ta kara przydałaby się i dla Pomorzan, bo tu jest brudno w stajniach, krowy w gnoju są sponiewierane. Jak tu doić? Dużo też krów zagruzliczonych. To też od człowieka zależy. Uprawiają ziemię dobrze. Kto miał nas w górach uczyć? Tutaj jest całkiem inaczej. Opiekują się nami z województwa, i to bardzo. Grzech byłoby narzekać. Instruktorzy rolniczy dojeżdżają, uczą wszystkiego, dają wskazówki, jak nawozić, jak orać, jak siał, jak koło bydła chodzić, dbają o czystość rasy, nie dadzą samemu sobie nosa utrzyć, zakładają sady. Są tacy osadnicy, co ani gałązki nie obetną z drzewka, ino czekają, aż instruktor przyjedzie. Ziemia dobra, ino jest skrzywdzona przez dawniejszego pana i wkładu wielkiego trzeba i z pracy, i z pieniędzy na narzędzia. Oczy mamy na to, aby się wszystkiemu przypatrywać, głowę na to, żeby do niej nabierać rozumu. Żeby nauka leżała zakopana głęboko w ziemi, to ją wygrzebiemy. Dostosuj-

jemy się we wszystkim do tego, co widzimy, bo inaczej zejdziemy na nic. Tu mogą zostać najmocniejsi i najpracowitsi. Drzemy się pazurami do góry, żeby się zrównać z tutejszymi ludźmi i jeszcze ich prześcignąć.

— Aż tak? Hohoho!

— A tak. Chcemy już raz wyjść ze swojej bidy po ojcach odebranej. Garniemy się do nauki. U nas w górach był różaniec i książka do modlenia, a o nauce nikt nie myślał. Kto by tam oczy psuł na czytanie. Jakżem tu przyjechał, widzę, jak jest. Zrazu pożyczałem gospodarskie pismo, a teraz sobie takie zaprenumerowałem a też i poradnik rolniczy kupiłem. Jakbym tam siedział, to bym zawdy był ciemny, teraz mam jaśniej w oczach i w głowie coś niecoś odmienione. Zresztą przy placku owsianym nie będzie wiele ani siły w rękach, ani rozumu w głowie. Teraz kiedy rzucę ziarko w rolę, to chciałbym, żeby się nie zmarniło. Miejscowi dziwują się, że dajemy sobie radę, i nieraz do nas przychodzą o poradę. Śmich mówi, do nas. Niejeden z nich dawniej mówił: „Was tu nie będzie do trzech miesięcy, nie wytrzymacie, to nie dla was, zabierajcie od razu graty i w dyrdy“. Myśleli, że przeczekamy i wyginiemy. Minęło już więcej jak trzy miesiące, a wciąż siedzimy. Prawda, nieraz przyszło zacisnąć zęby, bo była bida nad bidy. Oddaj się ino Bogu. Aleśmy też mówili: „Polska nie da nam zginąć“. Choćby na ten przykład ja, ani jednego ziarka nie wymłóciłem ze swojego. Musiałem sprzedać krowę. Bida mi ją wydarła z pazdurów. Kupiłem żyta i na żarnach zemlełem. Do młyna nie zawoziłem, bo drogo kosztuje. I tak każdy z nas robił. Żaden z nas przed nikim z tutejszych nie pożałił się, boby zaraz powiedzieli: „Bez portek żeś przyszedł, z głodu byś zdechł, żeby nie my“. Po co pokazywać,

że nam źle. A to byłby wstyd dla nas i dla Polski. A ja chcę otwarcie patrzeć w oczy ludziom. Przetrzymaliśmy najgorsze i przy Boskiej pomocy polepszy się nam. My dojdziemy do wszystkiego. Żeby się ino zdźwignąć, żeby się ino ruszyć w gospodarce. Jużemy kupili siewnik, pług dwuskbowy, jeszcze myślimy o kultywatorze.

— Kupimy pomałuśku, kupimy — drugi dorzucił.

— Ja wiem, że kupimy. Co by człowiek znaczył bez swojej mocy i bez swojej wiary? Staramy się, żeby nam było najlepiej, bo wtedy i Polska pójdzie do góry. Chcemy dźwignąć gospodarkę, żeby nikomu wstydu nie przynieść. Zawsze mówię do naszych: jestem tutaj gospodarzem i ode mnie wszystko będzie lepiej. Niejeden z zazdrości wydziwiał: a wyście tacy a tacy. A my mu mówili: widać jesteście lepsi, że nas Polska wybrała i tu przysłała na osadę, żebyśmy z piersi mur uczynili przeciw obcym.

Nie każdy godny jest tego. To ten honor trzeba szanować i bronić go. Przeprowadziliśmy się z daleka na to miejsce, aleśmy wszyscy w jednej ojczyźnie, wszyscyśmy synowie jednej matki. Teraz musimy trzymać tę ziemię i zmieniać ją w chleb. Każdy chce, żeby było lepiej, żeby się podnosić, a nie upadać. Jeszcze i to wam powiem, że ledwo rok jesteśmy, a już założyliśmy spółdzielnię rolniczą, aby zbiorowo kupować i sprzedawać bez pośredników, żebyśmy otrzymali lepsze ceny i żeby nikt nas nie oszukiwał. Należy nas dwudziestu osadników. Założyliśmy spółkę łowiecką, a potem chcemy założyć coś rozrywkowego, żeby w niedzielę się zejść, poczytać, zabawić się godziwie bez picia i kart, ale tak ino z własnej radości. Tutaj duch u nas inny ro-

śnie. Dzisiaj robimy ruch narodowy, urządzamy przedstawienia, obchody, zachowujemy nasze zwyczaje i wszędzie pokazujemy, żeśmy kwarde Poloki. Tam w górach, tośmy niewiele o tym mówili i wiedzieli, a tutaj otwarły się nam oczy i serce — buchnęły z niego słowa pełne uniesienia i czerwieni. — W naszej wiosce tośmy widzieli ino ojcowiznę, kawałek swego pola, a tuśmy zobaczyli Ojczyznę.

— A cóż mówią Niemcy o osadnikach?

— To samo, co my o nich. Ale my jesteśmy na swojej ziemi, to nam wolno mówić. „Musimy was wydrzeć stąd, i to jak najprędzej, boście już dość nagospodarzyli dobrze dla siebie, ale na złe Polsce“. Zrazu to patrzyli na nas, jak na zbójów, a teraz zaczynają nas szanować. Niejedni straszili nas, że będzie wojna i wszyscy będziemy wisieć na drzewach. A wtedy odpowiadaliśmy im: przyjechaliśmy z silną piersią, aby granicy bronić. A nasze ręce i piersi będą Polsce potrzebne. Żebym miał wydrzeć na podatki i spłaty ostatnią poduszkę spod głowy dziecka, to wydrę, a nie ustąpię i nie odejdę stąd. Tutaj pazdurami wrośniemy w tę ziemię, żeby i mnie, i dzieciom, i narodowi było lepiej. Pomyślenie mamy do wszystkiego, ino pieniędzy brak, mamy pazdury do roboty, sądziłiśmy, że to wystarczy. To za mało. Ale przyjdzie odmiana, musi przyjść. Jak za dwa lata przyjedziecie, to was inaczey przyjmiemy, żeby ino te najgorsze czasy przetrzymać, żeby Pan Jezus dał urodzaje. I wtedy was zawieziemy paradną bryką do kościoła.

Na pożegnanie uczułem mocny uścisk dłoni. Tak chłop w spracowanej garści zaciska czepigi pługą.

VI

Gromadą poprowadzili nas daleko przez pola, drogami, miedziami, łąkami.

— Wstyd byłoby, jakbyście nie zobaczyli. Żeby być w tych stronach i nie widzieć, nie do pojęcia...

Teraz idąc w ich towarzystwie myślałem o wielu sprawach, przebiegałem drogi przebyte, rozmowy słyszane.

Wysunęła się z dłoni przywieziona siekiera, którą chciałem rąbać te osady, dzieło ministra Poniatowskiego, zagaśł ogień, którym pragnąłem je podpalać. Szedłem pokrzepiony. Widziałem ciężkie warunki, nędzę, borykanie się, walkę, poznałem błędy, niedociągnięcia, ale głęboko wzruszony radowałem się, ilekroć zobaczyłem zabudowania pokryte czerwienią dachu. Są braki, ale przecież te się usuwa. Znać postęp, z miesiąca na miesiąc. Błędy i niedomagania nie mogą zasłonić i podciąć podwalin wielkiej idei. To akcja niosąca rozwiązanie zagadnienia olbrzymiej miary. Ogół polski, pogrążony w drzemce, nie rozumie i nie docenia ważności sprawy. Setki, tysiące osad, to likwidacja twierdz niemieckich, to budowanie murów i wałów z rąk i piersi polskich. Te osady to nowe warsztaty, gdzie bezrobotni i małorolni chleb zdobywają. Należałoby cały wysiłek narodu skierować w te strony i opieką otoczyć ową pracę dla przyszłości. A powinien przybywać pierwszorzędny materiał, spośród wybranych wybrani, świadomi obowiązków, ciężących na nich i zadań, jakie mają spełnić. Mocni ekonomicznie, wyrobieni, patriotycznie uświadomieni obywatele, których nie można ani zgιάć, ani złamać. Tacy przewyższający wartościami ogół skupią obok siebie życie. Mamy przykłady tego, czym nie-

złomny charakter, czym uświadomiony człowiek. Gdzie znajdują się jednostki twórcze, żywotne, tam inne życie wre. Są oni zarzewiem poczynañ na wielu polach, organizują, tworzą, skupiają, są przykładem w pracy społecznej. W dzisiejszych czasach nie wystarczają mięśnie, konieczny jest ogień w sercu, światło w oczach.

W czasie pogwarki dowiedzieliśmy się, że do osiedleńców polskich przybywają dziennikarze niemieccy, śledzą, pytają, fotografują, aby w pismach pomieścić i w kinach wyświetlać fragmenty życia górali gospodarujących na Pomorzu. A czyż dziennikarze polscy — ach, pewnie im to nawet do głowy nigdy nie przyjdzie — pojechaliby tam za granicę, aby zobaczyć osadnictwo niemieckie i później na łamach dzienników opisać, w kinach okazać? Tam kolonistów wyszukuje się z całego obszaru Niemiec, wybierając najlepszych, zaopatrzonych we wszystko, co potrzeba, aby nie marnowali sił na walkę z nędzą i z przeciwnościami. Tam społeczeństwo, rozumiejąc ogromną ważność zagadnienia, nie szczędzi funduszków, rzuca miliony, aby żywymi piersiami z żelaza niemieckiego obwarować wschodnie granice. Mają plan wypracowany na długie lata, który jest z zaciekłością urzeczywistniany.

W Polsce rzuca się kamieniami, wygrzebuje się z błota oszczerstwa na tego, kto miał odwagę wzmacniać granice pracowitymi mięśniami polskiego chłopą, kto miał odwagę niszczyć nędzę małorolnych i bezrobotnych.

Minęliśmy rybacką wioskę. Zagroził nam drogę las na wydmie. Grzęźliśmy w sypkim piachu. Przez skarłowaciałe konary czarnych sosen przesiewał się szum.

Za chwilę poleciał spojrzenia w błękitną dal i za-

pulsowały słowa na wargach jak dwa uderzenia nagle szarpniętego serca.

— Polskie morze.

Wzruszenia tej chwili nic nie zdoła wyrazić, chyba pieśń lub może modlitwa albo milczenie.

Błąkałem się tyle po świecie, widziałem morza włoskie, francuskie, bułgarskie, a dopiero teraz w towarzystwie chłopów, zegnanych z ciemnych wiosek, spojrziałem na polskie morze.

— Toście jeszcze nie widzieli polskiego morza? — zdziwieni pytali.

— Dzisiaj pierwszy raz jestem.

— O, ja byłem tutaj z wojskiem przed laty, kiedy Polska z morzem ślub brała. Kto by się był spodział, że tutaj znowu będę. Wtedy z karabinem, a teraz z pługiem. Jezusie!

Słońce powoli zanurzało się w pobrużdżoną topiel. Czerwony wicher przeleciał i zapalił powierzchnię. Fale kładły się jak rozognione skiiby. Z oddali wyłonił się obłok, płynął powoli, jakby to ptak rozpiął skrzydła z płomieni i zbliżał się ku nam po ognistej niwie.

— Doczekałem się szumu polskiego morza, doczekałem się tego szczęścia, że polskie morze do moich stóp podchodzi — mówię do chłopu. — Fale pięknie grają Polskę...

A chłop inną mowę słyszał i innymi słowami przemówił.

— Żeby tak można wodę odepchnąć kajś we światy i ze dna ziemię wydrzeć. Jezusie, ileby to było pola, ileby to puściło się pługów aż het do nieba. Gdzie pług w chłopskich garściach, tam Polska — słyszę słowa żarliwie szeptane jak pacierz do najświętszego imienia, do ziemi. —

Z tutejszymi ludźmi będziemy budować dalej, aby żadna moc nie skruszyła granic. My skib ziemi, a oni fal morza bronią i Polskę na okrętach po świecie wożą...

Zbiedzony, znędzniały w odświętnym ubraniu, kupionym gdzieś w kramie na targu w Żywcu czy Zabłociu, stał wpatrzony w dal w słońcu zachodzącym i cały płonął jak żagiew przyniesiona z dalekich stron.

Pomyślałem, że ten chłopina, który każdej biedzie w oczy zaglądał, rozrasta się w nowych pomyślnych warunkach i staje się świadomym gazdą na pomorskiej glebie i że tutaj rodzi się Polska, darząca chlebem tych bezrolnych, wydziedziczonych, wyrosłych z górskich kamieni, przynoszących niewyczerpane swe zasoby: entuzjazm pracy dla Polski sprawiedliwej.

Wokoło nas na piaszczystych płachtach sprzęt rybacki. Kotwiczki, sznury, wiosła porozrzucane, sieci rozwieszane, trzepotające barwnymi znakami.

Obok przechodził ciężkim krokiem chmurny, ponury, milczący rybak.

— Na morze?

— Na morze —.

Dwa słowa, dwa pozdrowienia.

Ten w najcięższych czasach wbijał granitowe słupy i kładł przyciesie z płonących serc pod wolność, którą witał jako zbawienie. Jak zbawienie wówczas...

My w gromadzie stojący, przychodzący z gór, rodem z dalekich stron, pokłoniliśmy się nisko, bośmy w jego oczach zobaczyli serce, gorejące Polską zwyciężającą.

CI, KTÓRYCH TRACIMY

W czasie zwiedzania muzeum ziemi sanockiej, w ciżbie ludności wsi okolicznych, zwracała uwagę gromada chłopów, wyróżniająca się od reszty wyglądem zewnętrznym, zachowaniem i czymś odrębnym. Pochylali się nad gablotkami, kryjącymi pergaminy, oglądali pieczęcie, powoli sylabizowali spłowiełe pismo i obwieszczali wielką nowinę.

— U nas są takie same.

— Ej starsze, bo jeszcze Władysław Jagiełło obdarzył naszych przodków za czyny „klejnotem szlacheckim“.

Chodziłem za nimi krok w krok, bacznie nadśluchiwałem, łowiąc urywki rozmów.

— Wyście skąd, panowie?

— My z Dobrej Szlacheckiej.

— Słyszałem, że u was są takie dokumenty.

— A są, bo my ród stary i sławny. Ruskie szlachy, ale przez polskich królów klejnotem obdarzeni.

— My są Polacy greckokatolickiego wyznania — wmieszał się do rozmowy żywy chłopak — ale teraz nie można się do tego przyznać, bo... no... — ręką wykonał wiele mówiący ruch, mający go usprawiedliwić. — Niech Państwo przyjadą do nas, pokażemy, poga-

wędzimy. W czasach wolnej Rzeczypospolitej myśmy odgrywali ważną rolę w bojach, krwawiliśmy się i to pamiętamy.

— Sercem zapraszamy w progi nasze — dodał obok stojący starszy gospodarz.

Jakże nie skorzystać z nadarzającej się sposobności i nie skoczyć do wsi, która kryje wspomnienia swej rycerskiej chwały, dumę wspomnień wydartych z pobojo-wisk, ze skrzepów krwi. Jakże nie spojrzeć na życie tego „stanu szlacheckiego” i nie posłuchać ich opowiadań. Właściwie wszyscy byliśmy pchani ciekawością; i dr Przeworska, historyczka sztuki, ta niezmordowana opie-kunka polskich muzeów, i dr Seweryn, znawca folkloru i sztuki i badacz ich wytrawny, i Pieniążek, artysta-malarz, wciąż zbierający materiał do swych tak bogatych, tak barwnych obrazów. Toteż z wdzięcznością przyjęliśmy pomoc dyr. Skwarczyńskiego, ułatwiającą nam wycieczkę w te okolice.

Jechaliśmy przez tzw. Szwajcarię Sanocką. Droga wspiwała się mozolnie pod górę, abyśmy z jej wierz-chołka mogli spojrzeć na równinę zalaną złotem ścier-nisk, na osiedla zamglone oddaleniem, na dachy kościo-łów i cerkwi, skupiających siedziby dwóch narodowości, zespolonych od wieków a tak wrogich. Wpadamy w cie-nisty wąwóz lasów, pędzimy gościńcem przypiętym do skalistego urwiska, u podnóża którego San ściele swoje wody, to burzy się, pieni, bijąc falami o zaporę i omija ją, rozsiewając szum i blask. Niejednokrotnie zdaje nam się, że wędrujemy wzdłuż Dunajca znanym przełomem obok Tylmanowy. Takie same wzgórza, przerąbane w okresie zmian geologicznych, ten sam ich kształt, taki sam las, te same wody, ten sam ich kolor. Wśród mija-

nych drzew, w zakątkach, jakby skamieniałe legendy, ukryły się kapliczki, krzyże przydrożne, pamiętające wypadki historyczne, czczące kogoś i chcące utrwalić wspomnienia ludzi, którzy tutaj żyli i przeminęli, zostawiając nazwisko, rok urodzenia i śmierci. Mijamy wsie nieznane. Rzucają się w oczy domy, codzienne sprawy. Słyszymy wołania, klótnie. Zdaje nam się, że to nie powszednie zdarzenia, ale że ktoś ciska za nami piaskiem.

San zagroził nam drogę. Trzeba było wołać na przewoźników, a potem przeskakiwać przez strugę, ostrożnie iść po oślizgłym bierwionie, aby dostać się na prom. Na drugiej stronie, tuż przed wsią, śliczna kapliczka, wyróżniająca się odrębnym kształtem zrębu, rysunkiem drzwi i podcieniem.

— To już Dobra Szlachecka, odwieczna siedziba Demkowiczów-Dobrzańskich herbu Leliwa.

Podwórza jakby we dworze, nie szanującym miejsca, nie skąpiącym ziemi pod zabudowania, a obok domki liche, poszyte strzechą. Wstąpiliśmy do izby obszernej, czystej, jasnej, patrzącej na południe wielkimi oknami. Sprzęty, obrazy, urządzenia niczym się nie różnią od miejskiej tandety, z wyjątkiem ciekawego stołka. Zniknął gospodarz, za chwilę przyniósł naręcz dokumentów, przywilejów, nadań królewskich, wyroków, aktów procesu ciągnącego się dziesiątki lat o tysiące mórg lasu, pastwiska. Skąd przyniósł? Po co daremnie pytać? Nie zdradzi tajemnicy. Ta świętość, mówiąca o chwale rodu, o różnych jego kolejach, ukryta jest w spichlerzu, na strychu czy w piwnicy, może w skrzyni mocno okutej.

— Aby zły człowiek nie ukradł, ogień nie spalił, to nasz skarb. Chcielibyśmy, aby ktoś z Dobrej książkę o nas napisał. Byłoby dużo do pisania, aż nadto.

Rozwijamy zniszczone a podklejane pergaminy, przywileje trzem braciom nadane, oglądamy pieczęcie wykrucone, z trudem rozeznajemy rysy i usiłujemy przeczytać pismo wyblakłe, jakby żarem ócz spalone, to znów jakby splukane łzami ludzkimi.

Rok 1402, 1591, 1564, aż do roku 1778. A późniejsze poświęcenia głoszą po polsku: „Przodkowie ich przez Najjaśniejszego Władysława Jagiełłę, króla polskiego, i królewską małżonkę, wiekopomnej pamięci Najjaśniejszą królową Jadwigę, w końcu wieku XIV na Generalnym Zgromadzeniu Panów za ważne Ojczyźnie czynione publiczne usługi“... A później strzeliście skryba stwierdza: „Znajduje się plemię szlacheckie stanu rycerskiego z jednej starożytnej, znakomitej, na dworze Najjaśniejszych Piastów niegdyś mieszczących, szczególną łaską tych królów zaszczyconej rodziny, licznie już rozrodzone, zbyt już teraz zdobniałe“.

Ledwo strzęp można przeczytać ze sterty szpargałów. Zebrani milczeli dumą wspomnień historycznych rozparci. Jeden spośród nich przemówił, jakby rzucił szkarłat i płomień:

— Takieśmy byli w dawniejszych czasach. Z królami chodziliśmy na kraj świata, z królami byliśmy równi w boju, jednako mężni. Teraz zbiednieliśmy. Królowie obdarowali naszych przodków lasami, polem. Wszystko należało do nas — zakreślił szeroki krąg ręką — wypracowali te majątności nasi przodkowie mieczem, nie oszczędzali krwi. Było trzech braci, a teraz jest 240 rodzin. Dawniej wszyscy Polacy, a potem dopiero poprzehodzili i pozmieniali dusze i mowę. Zawsze pisali się „Dobrzański“ od wiek wieków, dzisiaj ksiądz zmienia, przerabia na Dobriańskij. Mój syn przyniósł metrykę

z plebanii, patrzę: Dobriańskij. Zgniewałem się i mówię: idź, ciśnij mu, niech napisze tak, jak dawniej pisali. Z dziada pradziada tak bywało i tak dalej ma być, ja ojców nie zaprę się. Musiał paroch zmienić. Ale nie wszyscy tak postępują. Coraz częściej zmieniają nazwisko. Jak to, ja Dobriańskij? Kiedy przez wieki było Dobrzański? O, widzicie z roku 1792: „Szlachetnie urodzonym J. Wielmożnym Panom Dobrzańskim“ — wodził paluchem po kartach pordzewiałych, jakby splamionych krwią, i czytał karty wyblakłe, podarte, jakby zdruzgotane łoskotami serc. — A to nasz herb — o — pokazywał znak, jakby z krwi wydobyty i krwią zbroczony — pięć piór pawich, gwiazda pod półksiężycem — Leliwa.

Dawniej możni, dzisiaj rozdrobnieni, siedzący na zagonach, zbiednieli, a przecież mimo wszystko o honorze, klejnocie z dumą mówiący: My szlachta polska równa wojewodzie.

Na wieść o naszym przybyciu zbiegli się sąsiedzi. Przyczłapali starzy, wpadali młodzi, obsiedli ławy, stołki, stawali pod ścianą. Rozpoczęła się gawęda o wszystkim, a nie skamlali, a nie płakali, a nie mówili o krzywdach, ale słowa ich błyskały jak migot miecza w rękach wojownika walczącego w słońcu. Inni mówili o tym, jak bywało na Boże Narodzenie, na weselu, opisywali zwyczaje, obrzędy, które tak bardzo różniły się od chłopskich, i znów mieliśmy wrażenie, że ten obrzęd, ten zwyczaj przerzucony jest ze wsi podkrakowskiej czy z równin nadwiślańskich. Prof. Pieniążek wypełniał kartki opisem strojów szlachty, tak bardzo różniących się od ludowych. Szlachcice głowy okrywali czapką rogatą, rogatywką, odziewali się czamarką, szlachcianki nosiły zawoje, żupanije.

— Czyście chłopów prosili na wesele?

— My szlachta? — zapytano ze zdumieniem. To pytanie miało wytłumaczyć, jak olbrzymia, niczym nie zasypana przepaść dzieliła od wieków i dzieli te dwa stany. — Chłop przyszedł, trudno go było wygnać, ale nie zdarzyło się, aby szlachcianka chciała z nim zatańczyć. Byłby wstyd i hańba. Nikt nigdy chłopu nie prosił ani nie gościł.

Ktoś dorzucił:

— Ciasno nam teraz. Dawniej ojcowie szli w dalekie kraje, nie mogli usiedzieć w miejscu, tak i nami rzuca. I za to nas gnębią i do kryminalów zamykają. Żyłka szlachecka się odzywa i dlatego kłusownictwo uprawiamy. Nigdzie nie ma tak dobrych strzelców jak w naszej osadzie. Niektórzy idą w dalekie lasy aż nad granicę czesko-słowacką i tam tygodniami polują. A potem sądy, kryminały. Co my winni, że nam ciasno we wsi, że krew się w nas burzy.

Ktoś opowiada:

— Znaleźliśmy miecz w ziemi, zardzewiały, ale napis polski można było odczytać. Ojcowie walczyli, a my pługiem wyorali.

Opisywali ów miecz, który wysunął się ze spracowanych dłoni ojców i padł w głąb ziemi, pod skiby, aby być wspomnieniem przeszłości, aby być zabytkiem muzealnym, przechowywanym ze czcią.

Słuchamy opowieści przechodzących z pokolenia na pokolenie, legend, okrywających szkarłatem ich ród, czynny ich przodków.

— Myśmy szlachta polska wyznania greckokatolickiego, myśmy ramieniem i mieczem Rzeczypospolitej byli ongiś — a dzisiaj... — młody wykrzyknął

i umilkł, jakby zawstydzony czy zgaszony milczeniem innych.

Patrzę w jego oczy, szukam niedawnego wyrazu, chcę go podjąć, zapamiętać, ale już źrenice poszarzały, ale już wargi milczą.

Odprowadzali nas ku granicom wsi.

— Myśmy Dobrzańscy herbu Leliwa, ród starożytny a szlachetny.

Ich ojcowie wywalczyli klejnot, legendę, pamięć czynów, która przetrwała przez tyle wieków, aby dzisiaj była dumą, z dnia na dzień coraz bardziej się rozsypującą, kruszejącą, aby być garścią piachu grzebiącą dawne nazwisko. Inna ręka utrwala w latach wolnej Polski w dokumentach i w duszach:

— Dobriańskij.

II

Wracaliśmy z Sanoka po zjeździe górskiego ludu. Pociąg rozbrzmiewał tylu nutami, ile przedziałów, a wewnątrz każdego przedziału było podobne do skrzyni chłopskiej, kryjącej barwność stroju. Jedziemy z gromadą rozśpiewanych Łemków, z których dwie trzecie pierwszy raz podróżują koleją. toteż uczestnicy wszystkiemu się dziwią i ogrom wrażeń wiozą do jakiegoś zakątka zapomnianego w górach. Z zaciekawieniem patrzył malarz, badający strój, i etnograf, i muzyk, znajdujący ciekawe, nieznanne szczegóły. Ten lud tak odrębny, tak zdolny, tak bogaty i mową, i zwyczajem, i życiem, odróżnia się od innych mieszkańców Karpat.

— Co za bogactwo nut — z zachwytem stwierdzał

znawca śpiewu — co za pierwotność i ich szacowność. Można śmiało powiedzieć, że sięgają zamierzchłych czasów. Takich pieśni i takich melodii już nigdzie nie można spotkać.

— A zwróćcie uwagę na szczegóły stroju; ma się wrażenie, że Prasłowianie tak samo się ubierali.

Zaczęliśmy rozmowę z kierownikiem zespołu, pytając o stosunki w tamtych stronach, o nastroje panujące, o ludzi. Zrazu niechętnie odpowiadał, później rzucał zdania twarde i bezlitosne, jakby rąbnąc siekierą w polską pierś. Często milknął, popadał w zadumę, nie mogąc lekkomyślnie osądzać pewnych zdarzeń, z trudem zbierał słowa, mające odmalować obraz dni dzisiejszych, tak ważnych, tak różnorodnych, tak pięknych.

— Wielkie widać zaniedbanie, spowodowane przez tych, którzy mieli wypełnić obowiązek polski na powierzonych im stanowiskach. Dawniej panowały inne nastroje, a zmiana nastąpiła niestety w ostatnich latach. Trzeba by wielu oskarżać, ale nie pora o tym mówić, czas zabrać się do pracy twórczej, która by z powrotem zdobyła te osiedla podpalane wrogimi siłami — otworzyć drogę na Łemkowszczyznę i zdobywać ją dla Polski.

— Jak to dla Polski?

— Dziwicie się, panowie, moim słowom. Niestety, one określają prawdę. Propaganda zrobiła swoje, rzuciła ogień i siekierę w te izby. Dzisiaj należy tutaj wysyłać ludzi najbardziej ofiarnych, wartościowych, którzy by spełniali swój obowiązek, a w pracy oddawali duszę, którzy by pokochali lud, ziemię. A ten lud, nieraz może aż nazbyt pierwotny i dlatego cenny, ten lud tak ciekawy, tak odrębny, ma ogromne wartości, nieraz nie obudzone.

Kto tu pracuje, ten wie, jak olbrzymie zdolności drze-
mią w tym ludzie, żyjącym w prymitywnych warunkach.
Dzisiaj oczy wielu zwracają się na tę połąć i powiadam:
cieszę się, że Polska nareszcie odkryła Łemkowszczyznę,
ale życzę Jej, aby ją Pan Bóg uchronił od modnego
szczęścia.

— Nie rozumiem.

— Proszę spojrzeć na Podhale, co tzw. kultura uczy-
niła z wielkimi wartościami, jakie spustoszenie zosta-
wiła, jak zdegenerowała piękną połąć ziemi. Dzisiaj to
samo, niemniej skutecznie, czyni z Huculszczyzną. Wy-
koszlawia, niszczy wszystkie skarby duszy, odejdzie, a zo-
stawi zmanierowanego Hucuła, dumnego kniazia, zmienio-
nego w żebraka, przebranego w łachy międzynarodowe,
z rozbudzoną a nigdy nienasyconą chciwością. Potrzebna
praca od podstaw. Polska musi uważniej spojrzeć na tę
ziemię i podbijać ją dobrobytem, kulturą, wartościami
duchowymi. A ta broń unicestwi wszelkie wrogie dzia-
łanie. Dużo się pisze o zagadnieniach łemkowskich, ale
jakże mało jest takich, którzy by byli do tego powołani,
którzy by znali duszę tego ludu, wiedzieli, jakie jego po-
trzeby, dążenia, pragnienia. W pierwszym rzędzie dać tę-
gich nauczycieli, a nie tak, jak obecnie, przenoszonych
w te strony za karę, na pokutę, na rok, na dwa. Na-
uczyciel, jeżeli chce wypełnić należycie swoje obowiązki,
musi wkorzenieć się w glebę, aby był tym, czym zboże,
czym drzewo: chlebem i owocem. Łemko jest nieufny,
chytry, bardzo powoli nabiera zaufania, ale gdy nabie-
rze, to na śmierć i życie, nigdy go nie złamie, nigdy
przyjaciela nie zdradzi, a za każdy okrucieństwo
sercem płaci. Do tych wsi trzeba zaglądać nie tylko
w dzień święta, nie tylko na rozkaz, ale i w dzień ro-

boczy, trzeba lud zobaczyć nie tylko w paradnym stroju, ale i w zgnojonych od pracy łachmanach.

— A jakie potrzeby?

— Zaopiekować się Łemkowszczyzną, odkryć ją dla polskiego letnika, kuracjusza, szukającego zdrowia; a tutaj bogactwa źródeł mineralnych wprost nieprzebrane, do tego warunki klimatyczne, piękności pejzażu. Odgrzebać bogactwo kultury ludowej, wyzyskać zdolności, dzisiaj często zagłuszone przez wady i namiętności. Dolary przysyłane z Ameryki położyły Łemków na obie łopatki, zdemoralizowały i pogrążyły w nędzy.

— Dolary? Przecież powinny być źródłem dobrobytu.

— Niestety, nie były. Ruska Selańska Organizacja i gazeta „Łemko“ obliczyły, że w ciągu 25 lat emigracja przysłała tutaj pół miliarda dolarów. A gdzie się podziały? Wsiąkły w karczmy. Pasterstwo upadło. Bo to lud pasterski, nie przyzwyczajony do rolnictwa. Pisał Łemko do syna, do Ameryki, o pieniądze: u nas bieda, zlituj się. — Syn przysyłał, a ojciec przepijał. Doszło do tego, że żony przynosiły swym mężom obiad do karczmy, że karczmarz zabierał z poczty pieniądze i kieliszkami wódki oddawał. Chłop przepijał dom, rolę. Dzisiaj pod tym względem nastąpiła zmiana. Źródło amerykańskie wyschło, trzeba pracować i z tej niewdzięcznej ziemi wygrzebywać chleb. Lud dochodzi do przekonania, że Łemkowszczyzna nie ma przyrodniczych podstaw dla rolnictwa i musi prowadzić gospodarstwo hodowlane: pasterstwo, sadownictwo. Tutaj jabłoni i śliwa ma idealne warunki, tutaj owca ma jeszcze na halach warunki rozwoju.

— Czy dociera w te strony akcja ukraińska?

— Jest bardzo silna i świetnie zorganizowana. Agitator

wdziera się chyłkiem, korzysta z każdej sposobności, aby podrzucać nieufność, podpalać nienawiść do sąsiada mieszkającego obok od wieków, wkłada siekierę w garść i rozrąbuje ręce zespolone w przyjaznym uścisku. Ów agitator krzyczy, że właściciel dworu, znienawidzony przez pokolenia, jest Lach, więc każdego Lacha trzeba nienawidzić, a więc też tego polskiego chłopinę siedzącego na morgu, tego wyrobnika, w pocie czoła zdobywającego łyżkę strawy. Czasy pańszczyźniane, których pamięć przechodzi z pokolenia na pokolenie, i pan we dworze są symbolami Polski. Jaki dziedzic, taka Polska. Nienawiść, jaką żywi do dziedzica, przenosi na Polskę. Zresztą Łemkowszczyzna nie należy do wyjątków, chłop wszędzie patrzy tymi samymi oczami na dwór, na setki morgów; chciałby odrąbać, przygarnąć do swojego stajania, mającego wyżywić liczną rodzinę. Tego nikt nie ugasi, tego nikt nie zmieni. Te izby dymią groźną mową i błyskają groźbą. Jakże tutaj nieraz duszno, aż trudno oddychać. Pracuję jako nauczyciel wśród Łemków przeszło 30 lat, zdzieram płuca, czynię starania, aby nastąpiła odmiana. Jakże ciężko rzucać garście zboża w płonące strzechy, gdy chciałoby się je rzucać na żyzną glebę, potrzebującą zdrowego siewu. Ten lud tak inny, mający mowę tak różniącą się od ukraińskiej, mający własną kulturę urobioną przez wieki wśród różnych wpływów, dzisiaj ulega propagandzie ukraińskiej, wykopującej przepaść coraz głębszą, gromadzącej coraz więcej paliwa. Wśród tych działań wyrasta pokolenie, które już innymi oczami patrzy na swego sąsiada z tego samego osiedla, innymi oczami patrzy na państwo, na jego cele i zadania. Ważną rolę odgrywają względy ekonomiczne. Ukraińcy idą z hasłami ekonomicznymi, mającymi dźwignąć

wieś z ciężkiego położenia. Ich kooperatywy pod płaszczykiem gospodarczym prowadzą zacieklą akcję polityczną. Polskie spółdzielnie szwankują, nie ma w nich ducha, idei, rozmachu, ludzi oddanych. Jeżeli nie nastąpi poprawa, to rozmaite „silskie sojuzy“ zdobędą Łemkowszczyznę.

— A jak się odnosi ludność do poczynąń polskich.

— Wszystko, co byłoby najlepsze, najpożyteczniejsze dla ludności, jeżeli pochodzi od czynników polskich, to właśnie ukraiński agitator w imię hasła swej nienawiści z całą zaciekłością zwalcza. Nie zawsze jednakże znajduje posłuch. I ludność otrząsa się spod tego wpływu i kierowana instynktem łągnie do tego, co dobre. Ale to zależne jest od pracowników; np. wiele może zdziałać nauczyciel, on zyska uznanie i zaufanie, podbija i zwycięża dorobkiem swej ciężkiej pracy, wartościami duchowymi.

— Zapewne sprawa z osadami polskimi niczym nie różni się od zagadnień na kresach wschodnich.

— Wszędzie to samo, gdzie zaczął działać paroch. Wśród osad ruskich tak wiele nazwisk polskich, których właściciele zostali zruszczeni. Jeszcze ojcowie byli wyznania rzymskokatolickiego, a ich synowie już są grekokatolikami. To rozstrzyga o przynależności narodowej, a tacy są właśnie najzacieklejszymi wrogami. Znów tutaj nasza wina. Obojętnie mijaliśmy osiedla tej ludności, nie chcąc wejść do izb, aby upadających podnieść, usypiających obudzić, gasnące serca rozpalić. Największym błędem było to, że we wsiach o ludności mieszanej szlachta polska budowała cerkwie, nie kościoły, gdyż zawsze wygodniejszym był ksiądz grekokatolicki, dawniej stojący niżej i spełniający wolę dworu. Ogromne szkody poczyniły mieszane małżeństwa.

— A zagadnienie prawosławia?

— Można porównać je do płonącej żagwi, niesionej wichrem i rzucaanej na strzechy. Coraz to gdzie indziej pożar. Są wsie, których połowa przyjęła prawosławie, są wsie, których cała ludność porzuciła wyznanie greckokatolickie. Na to złożyło się wiele zasadniczych przyczyn. Trudno o tym mówić.

— A czy nastąpiła zmiana obrządku?

— Nic podobnego. Chłop przywiązany jest do obrzędu. Nastąpiła tylko zmiana osoby duchownej. Nie raz słyszę: „Ne chotiat świaszczynniki ukraińskie, prawyty naszej liturgii, tak jak już mamy z dida pradida, i wprowadzijut do cerkwy polityku, to my sobi wzięły prawosławnych odciw, ale z naszej wiry i odprawy i z naszych świat ne dame nycz zmynyty“. Prawosławie przeniesione do wsi łemkowskich jest całkiem inne niż na Wołyniu, Podolu i Polesiu. Jedno trzeba podkreślić z naciskiem, że to młode duchowieństwo prawosławne, wychowane i wykształcone w seminarium duchownym w Warszawie, stoi na gruncie państwowości polskiej i dlatego jest znienawidzone przez kler ruski.

Na jakiejś stacji zerwała się gromada łemkowska i wysypała się na tor, niby bukiet rozrzuconych kwiatów. Opustoszał wagon. Uczułem mocny uścisk dłoni:

— Proszę przyjąć pozdrowienie od starego karpackiego borsuka, co przeszło 30 lat pracuje wśród tego ludu, który duszę rzucił w tę glebę, a nie chciałby, aby plon całego jego życia strawił ogień, jaki dzisiejsze dni podkładają pod każde źdźbło, pod każdy kłos.

Jadąc dalej, przetrawiając wyznania owego nauczyciela, przypominałem sobie wędrówki po Łemkowszczyźnie, którą w wolnych chwilach deptałem, chcąc poznać

piękności kraju, lud, jego życie. I wtedy stanęło mi przed oczyma zdarzenie, które przed wielu laty wstrząsnęło moją duszą. Już było po żniwach. Czasem kobieta dźwigała na barkach snopy owsa. Jakiś chłopak laził po ściernisku, co chwila podejmował grudki ziemi, cisnął w stado ptaków, i nie odrywając wzroku od ziemi, szukał czegoś i spośród paździerzy wybierał kłosy. Na progu tkwiły bez ruchu dzieci. Opodał matki kijankami młóciły snopki, aby prędeż, aby wykruszyć zboże, wysuszyć i zemleć na chleb dla tych głodnych gromad. A każdy wróbel czatujący obok był wrogiem, bo chciał ukraść życiodajne ziarno...

Już z góry schodzili druciarze, aby w równinach wsie i miasta napelnić swym krzykiem: garnki drutować, a wrócić przed zimą z zarobionymi groszami i z chlebem dla rodziny.

Był słoneczny dzień, radujący mieszkańców pogodą, jasnością, błękitem i urokiem wszystkiego, co na ziemi i na niebie. Siedziałem, rozkoszując się widzianym pięknem. Usłyszałem czyjeś kroki. Nie zwróciłem uwagi, nie chcąc mącić wzruszeń i przeżyć. Ale obcy przechodzień wdarł się w moje oczy brutalnie jak złodziej, aby obrażać mnie z doznanych wrażeń. Kamienistą ścieżką zstępował chłop, niosąc podłużną skrzynkę pod pachą. Wzrok mój przylgnął do desek, odłupanych siekierą od pnia, do każdego sęka, do każdego rąbnięcia.

— Ach, trumienka — pomyślałem.

Chłop położył ostrożnie na ziemi swój ciężar, klęknął, nachylił się nad źródłem i przylgnął wargami do wody odbijającej słońce i niebo, jakby chciał wypić tę jasność i błękit. Potem otarł rękawem usta i czoło.

— Cóż to niesiecie? — zapytałem.

— Dziecko mi umarło i niesę z domu do wsi. Nie doczekało się nowego chleba, dość się nagłódowało, bo w górach płone, kamieniste pole. A kamień nie zlituje się. Lepiej, że odeszło, małe to, a już dość się namęczyło. A co by go czekało w życiu? Nie było go w co ubrać na tę daleką drogę. Bo w co? Matce mało serce nie pękło od żalości. Jakże tak chować? W zimie duszyczka zmarźnie i przyjdzie pod dom w śnieg i mróz z płaczem: mamó, jakżeście mnie pochowali? Była w domu chustka, do kościoła moja chodziła, no i tak odziała. Dziecko nie będzie pomstować na ojca, na matkę w wielki mróz — i chłop uśmiechnął się z radości, że nie usłyszy w zadymce zimowej głosu swego dziecka, jego płaczu,...

— Czyście Ukrainiec — pytam — czy Polak?

— My się nazywamy „Rusnoki“. Czy-m Polak, czy-m Ukrainiec? — Nie wiem. Jedni szarpią w tę stronę, inni w drugą, a ja wiem, że m biedny człowiek, co całe życie szuka roboty. Widzicie — rozchyłał kapotę i okazał nagie ciało. — Mówią: Polska cię zbawi, mówią: Ukraina cię zbawi. Słucham, ale sobie myślę, ani Ukrainą, ani Polską ja ciała nie odzieję, koszuli nie sprawię, ale muszę zarobić. Gdzie się obejrzę, czy na wschód, czy na zachód, to widzę moje bosc dzieci, to słyszę: tato jeść. Co robić? — pytał głosem wzdrygającym się, szlochcm wydartym z piersi.

Cóż można było odpowiedzieć na to bezsilne wołanie. Widząc tego chłopca, słysząc skargę rozpaczcy, pytałem jego głosem: co czynić, aby przed ojcowskimi oczami zasłonić ów obraz, aby zagłuszyć ten krzyk? O tego człowieka walka. I pomyślałem, że lepiej, aby w mowie łemkowskiej mówił z miłością o Polsce, niż aby w polskiej mowie, a głuchą mową serca, wypowiadał przekleństwa na Polskę.

— Ostańcie z Panem Bogiem.

— Idźcie... — chciałem wyrzec słowo błahe, a dla niego święte, odejmujące brzemię.

— Pochowam, a potem pójdę w doliny za robotą, tam łatwiej żyć — dźwignął z ziemi trumnę, umieścił pod pachą, jakby objął mocnym uściskiem i przytulił. Poszedł potykając się na kamieniach, korzeniach i zdawało się, że po każdym potknięciu, żywa istota w twardej deskach wzdryga się, łka i woła, i pyta krzykiem:

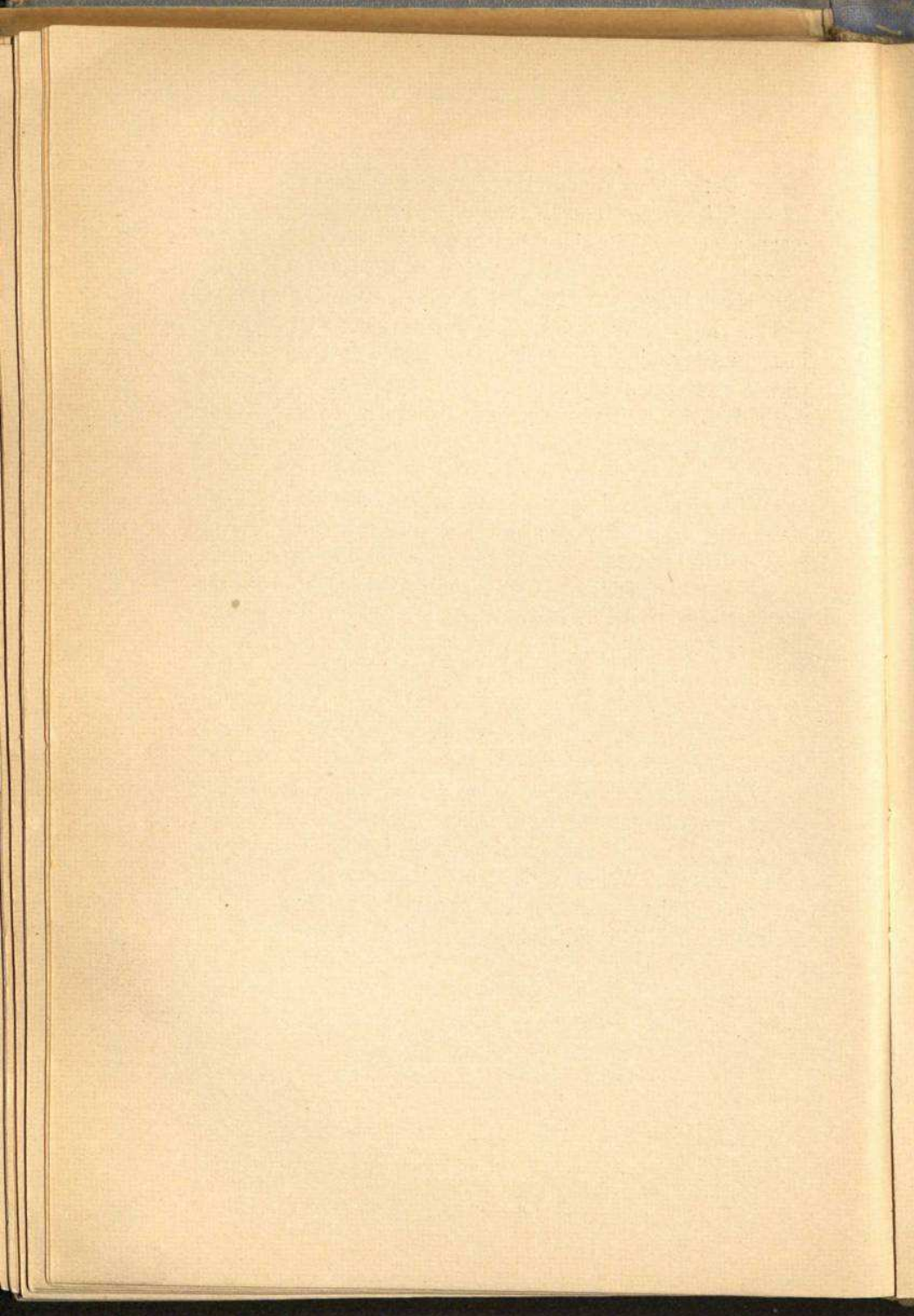
— Co zrobić? Co zrobić, aby płacz głodnego zagłuszyć, aby obraz nędzy zasłonić?

Wstąpiłem na jakąś ścieżkę, zaścieloną kamieniami, piąłem się po zboczu, wędrowałem pustkowiec, mijałem chaty, dzieci patrzące oczami tamtego, ale nie rozumiałem powitań, nie widziałem piękna ziemi. Gdzieś ktoś rzekł:

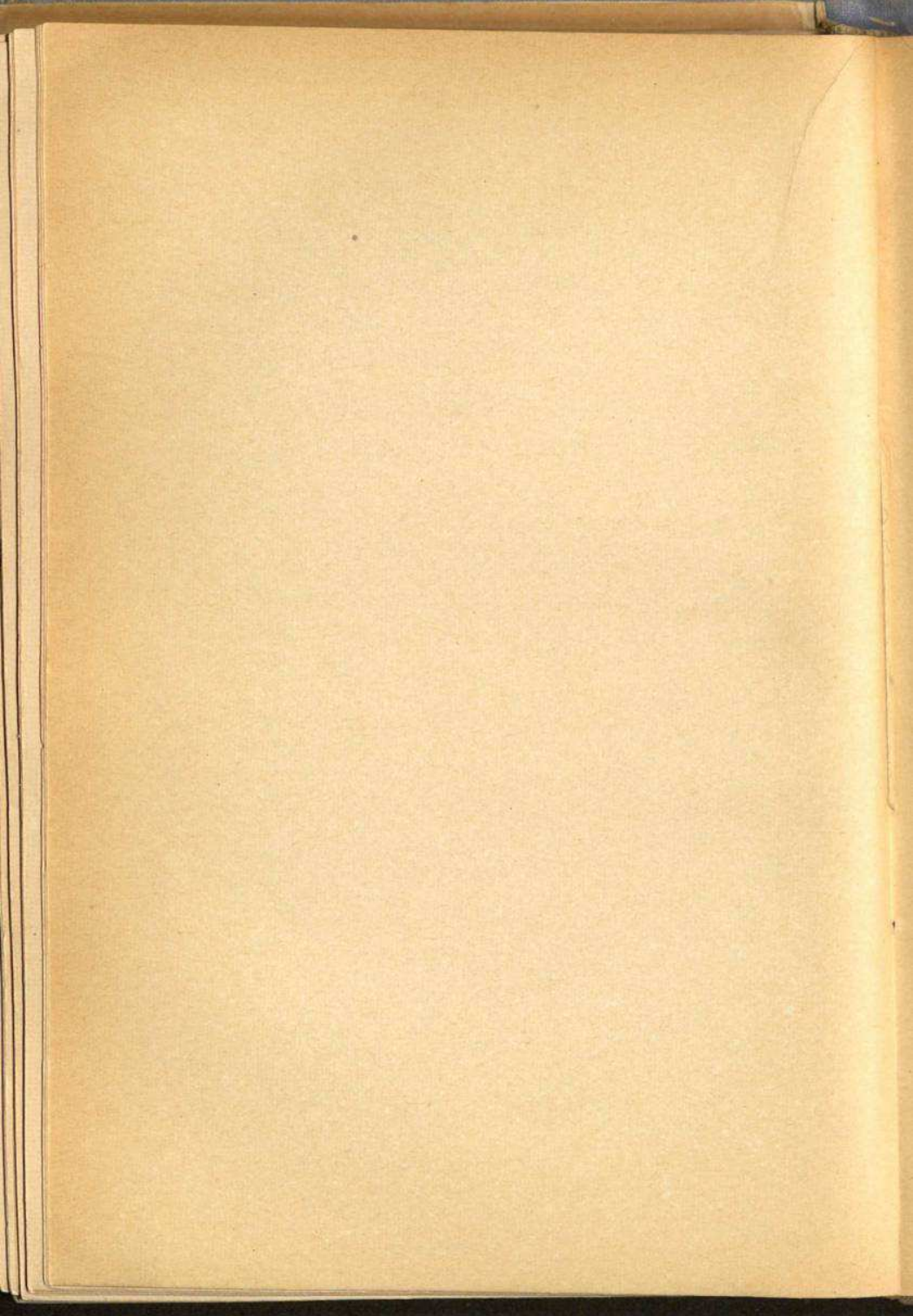
— Nasze posłannictwo? Warg po polsku nie pomalujemy, gdy serce gorzej nienawiścią. Polska silna, sprawiedliwa, wcielająca w życie idee prawdy, dobra, miłości, niweczająca krzywdę zwycięży i podbije wszystkich.

Nie wiem, czy to moje wargi wyrzekły, czy przemówiły drzewa, czy kamienie.

Wędrowałem długo, a wciąż widziałem chłopą niosącego w doliny małą trumienkę z desek siekierą odłupanych od pnia i zlanych żywicą, jakby zastygłymi łzami drzewa. Wciąż widziałem ojcowskie oczy, pełne głuchych spojrzeń. Pragnąłem popatrzeć w jego serce... Zadrzałem... Nie śmiałem wypowiedzieć prawdy...



CZĘŚĆ III
SIEJBA O ŚWITANIU



CHŁOP, KTÓRY IDZIE

Jestem w okolicach, znanych tak dobrze z książki Jerzego Michałowskiego „Wieś nie ma pracy“, wydanej z zasiłku „Funduszu Pracy“, gdzie leżą wielkie obszary ziemi dworskiej, urodzajnej, na którą z nienawiścią patrzą rzesze bezrolne, gdzie olbrzymie rozdrobnienie gruntów chłopskich, gdzie gospodarstwa jedno- lub dwumorgowe mają wyżywić rodziny kilkusobowe, gdzie gruźlica wśród dzieci wzrasta w miarę powstawania mleczarni, bo powszechnym pożywieniem staje się mleko odtłuszczone i postny ziemniak, okraszony kapuścianym kwasem, a chleb, spożywany powszechnie w jesieni, u przeważnej większości małorolnych od Nowego Roku do żniw jest rzadkością, gdzie — jak powiada J. Michałowski — „spotkać można w chałupach dzieci, które zawiązywane są na cały dzień po szyję we workach z sieczką, gdyż bez ubrania zamarzłyby w zimnej, nie opalonej izbie“.

Postanowiłem odwiedzić znanego działacza ludowego, stojącego na czele ruchu, aby pogwarzyć o nastrojach, o prądach nurtujących, o pragnieniach, dążeniach. Nazwisko jego ma coś ze światła, rzuconego we wieś, a przy tym nosi przydomek „apostoł“. Trudno go spotkać. Wciąż wzywany, maszeruje piechotą z krańca powiatu na kraniec, z zebrania na zebranie, z kursu na kurs.

Organizuje, łączy, pobudza, rozpala, uczy, wyrzywa z zastojów. Sam bez roli, znajduje się w ciężkim położeniu, więc chcąc go uwolnić choć w części od powszednich trosk, aby mógł poświęcić się pracy społecznej, chłopci zbierają zboże dla wyżywienia jego rodziny. Sam nie myśli o sobie, za nic ma trud, ponieważ, ogarniony szaleńczą myślą: chłopca oświecać! Twardy obowiązek zaprzął go do pług, aby orał zaniedbany ugor, w wielu miejscach zmieniony przez macherów politycznych w cuchnące trzęsawisko, i to tam, gdzie urodzajna gleba powinna rodzić pszenne plony.

Donieśli mu, że matka nagle zachorowała. Skończył kurs kulturalno-oświatowy i przez zasy przywędrował właśnie w tym dniu, gdy do niego szedł. Ta izba nie mogłaby być tłem dla Reymontowskiej epopei; dla jej rozmachu, dla żywiołowości, bo musiałyby być wybita pawimi piórami czy barwnymi spódnicami Borynowej. Przez stłuczone szyby, starannie zalepione papierem, smuga światła wpełza leniwie, rozjaśniając wnętrze i okazując wszystkie szczegóły. Mimo ubóstwa, wychylającego się z każdego kąta, izba nie czyni przygnębiającego wrażenia. Tylko Chrystus z krzyża, czarny, wystający ze ściany, patrząc na ludzkie sprawy przemawia taką głębią boleści, jakby był krzykiem ludzi złamanych, gnieźdzących się w ciasnocie. Farba obrazów szerniała lub spłowiała tak, że zupełnie zniknęła wspaniałość świętych postaci i słoneczność pejzażu.

Chłopak skoczył na stół i grzmocąc go bosymi stopami pędził w najwspanialszy kraj, w samo niebo, wywijając prętem wyłamanym z mioty. Dziewczyna w kawałku kory odłupanej z pnia, mającej wyobrazić kołyskę, umieściła kukłę ze szmatek i śpiewała naj-

śliczniejszą piosenkę, jakby chwytiała przeloty motyli, wyfruwających ze słonecznej smugi, leżącej na ziemi. Druga dziewczyna tkwiła zagrzebana w barłogu, w kącie łóżka, i wielkimi oczami, przepelnionymi zadumą, wrogością i cierpieniem, patrzyła na wchodzącego obcego człowieka z przerażeniem, z nienawiścią i rączynami zasłaniała, broniła.

— Babko, bo wom poduszkę znowu spod głowy wydrą...

Na łóżku leżała stara kobieta. Znać, że ledwo w niej życie się kołatało, bo chwytiała ostatki tchu. Ręce, rzucone bezwładnie na pierzynie, nareszcie wypoczywały. Dość się namozoliły na obcych zagonach; tyle snopów zeżąć, tyle korcy ziemniaków wykopać! Teraz w jej rękach zobaczyłem całe życie wyrobniczy, trud wszystkich dni, tak bardzo zharowanych, tak bardzo umęczonych, zawsze z myślą, aby wyżywić dzieci, aby zarobić na sól, na bochenek chleba, na bucięta, na koszulę. Nie mówiła o sobie, ale te ręce każdą żyłą, każdą zmarszczką opowiadały. Tyle wypracowała: tę izbę i radość, że dzieci na ludzi wyprowadziła... Mogą chodzić na pańskie...

— Nieduże zarobki, bo ciężkie czasy, 35 groszy za cały dzień do domu przyniesie, a jak się uwija, to i 50 gr albo cztery kilo zboża. Żeby ino była robota. Taka o nią zabijaczka, jeden drugiego zamordowałby, żeby ino dostać się na jego miejsce. Nie każdy znajdzie — dycha staruszka szczątkami słów, radujących się, że jej dziecko ma tę robotę.

Najstarszy jej syn, stojący na czele ruchu ludowego w tych okolicach, często na kursach i na zebraniach młodzieży opowiada o swoim życiu, dając przykład, czym jest wysiłek jednostki, chcącej wzbogacać umysł, wyra-

biać człowieczeństwo. Przytacza dzieje swej mordegi, mozołów, porywów, opowiada o ludziach, o czasach, zawsze w walce o wartości duchowe, zawsze w upartym wygrzebywaniu się z nizin.

A nigdy nie podpala zemstą, aby pożarem znaczyć drogę, ale rozżarza swoje serce, aby sobie rozjaśnić ścieżkę, wydartą straszliwą pracą w skalistej ścianie. Do poznania prawdy dochodził z największym wysiłkiem. Każde zdanie — to wspomnienie, to obraz, wyrąbany mocnymi ciosami, miesiące, dni życia, to rozdziały epopei o chłopaku wiejskim, synu wyrobnika, wydzierającym się z komorniczej izby w świat, pędzonym nieokiełznaną tęsknotą za książką, której we wsi nie było.

Ten działacz jakże gorzkie miał dzieciństwo, kiedy boso uganiał po ścierniskach za stadem gęsi, a potem za krowami, kiedy deszcz moczył lachy, kiedy słońce prażyło, a w zimie pot się lał, kiedy zaciskał żarnówkę, mieląc ziarno na chleb!

Ciasno mu było. Zbuntował się, uciekł, milami wędrował do dworu, bo raz usłyszał, że tam biblioteka. Został lokajem, aby móc w nocy czytać. I znowu ten pobyt kształtuje się w powieść. Sienkiewicz rękami wszystkich bohaterów z Trylogii pchnął go ku Polsce a potem w Legiony i kazał mu maszerować przez wszystkie fronty do niepodległości wyszarpanej ze skrzepów chłopskiej krwi, aby po powrocie mógł żebrać o wyrobniczą pracę na cudzym zagonie... A wieczorem czytanie przy kaganku.

Z tym kagankiem poszedł na wieś. I tak został działaczem. Płomieniami powiał po uśpionych osiedlach.

Daleką odbył drogę. Wyszedł z komorniczej izby, przebył olbrzymi kawał świata, aż zdarł nogi w uciążli-

wej wędrowce; wciąż zdobywał wartości nowego człowieka, nie tracąc wartości chłop polskiego. Bo chciał zostać chłopem, ale aby zespolic się z narodem, być we wsi, a czuć się częścią ludzkości. Dzisiaj w jego działaniu można by go porównać do pochodni, przerzucanej przez deszcze, kurniawy, gorejącej hasłami wychowywania chłopą, kształtowania nowej duszy. Po skończeniu pracy wraca do izby, do matki komornicy, umierającej w wolnej Polsce na takim samym barłogu, na jakim umierali ojcowie i dziadowie w czasach pańszczyźnianych... Ten wytrwały, niezłomny pracownik jest bezsilny wobec jej i swojej nędzy. Chłop, zwarty w sobie, jakby skondensowany w każdym ruchu, w każdym słowie. Rzuca krótkie zdania, wspomnienia zdarzeń i doświadczeń. Dziwię się, że w jego głosie nie ma przekleństw czy kułaków, ale — jest namysł, moc, odzew prawdy, idący z trzewi. Gwarzymy o przeszłości, o życiu, o błędach i zasobach sił chłopą, o politykierstwie. Kiedy o tym wspomniałem, wyrывa z siebie głos, jakby siekierą ciął:

— Przemiana we wsi dokonuje się nie w wiecowej mowie machera, ale w twórczej, wewnętrznej pracy. Już należy do przeszłości ów działacz, który wołał: nie trapie się chłopcy, my o was w sejmie myślimy. Chłop przestaje mówić o nędzy, o krzywdach, a zaczyna pracę nad podźwignięciem się, kształtując swoją duszę, swoje życie, swoją dolę. Cóż mu przyjdzie z tego, gdy litościwi będą płakać nad „bidnym chłopkiem“, nad jego barłogiem? Czy poprawi się jego los, gdy będzie narzekał, przeklinał, zgrzytał zębami? Cóż przyjdzie głodnemu, jeżeli każeś mu pięści zaciskać i krzyczeć: ustrój cię krzywdzi? Cóż przyjdzie bosemu, jeżeli podpalasz jego

stopy: ustrój ci winien, żeś bosi; czekaj bosi i głodny, my zaprowadzimy sprawiedliwość, to wtedy... Znienawidzi i ten zbawienny ustrój. Nienawiścią samą nikt nie wyżyje. Chłop na wiosnę nie przeklina zagonu, który mu rodzi zboże, pięściami nie grozi, ale w tę garść chwytając ziarna do siewu. Jest dużo współczucia, a tak mało ratunku, i chłop zdycha, tak wśród płaczących jak i przeklinających. Chłop dość się napłakał, napomstował, dość batów dostał, dość wylał łez w brudne łachy. Ręce są nie po to, aby nimi ocierać zapłakane ślepia. Nie wystarczy zębami zgrzytać na widok barłogów, pustych misek, bosych nóg, ale należy znaleźć w sobie siły potrzebne, aby wyrąbać się z bezwładu, bezsilności, wszystko uczynić, aby nędzę usunąć, wzmóc dobrobyt, zaspokoić potrzeby, wyjść z ciasnej, ciemnej izby na szeroki świat i zdobywać prawa człowieka. Odradzająca się wieś chce wymieść z duszy pesymizm, zwątpienie, bierność, jak śmieci, i już znajduje tę miotłę.

— Program?

— Wiara w lepszy świat, zbudowany w trudzie odrodzonego chłopca. Młodzież dzisiejsza nie mówi: „jak Bóg da“, nie czeka na cud, spadający z nieba, i to w pieśni wyraża: „Bóg łaski nie spuści nam z nieba... pracujemy wytrwale,... bo wszystko nam zrobić potrzeba“.

— A drogi wiodące?

— Ratować chłopca z najstraszliwszej nędzy duchowej, zdobywać wartości moralne, rozbudować duszę, bo kto kształtuje duszę, ten kształtuje też Polskę. Doskonalić siebie pod względem materialnym i kulturalnym. Spalić dach łatwo, ale gdzie potem mieszkać? Czy na zgłiszczach? Naszym dążeniem jest: nie rzucać wszystkich na dno nędzy i zrównać pod łachmanem, choć łach-

manów dość, ale dźwigać coraz wyżej. Chcemy obok starego domu budować nowy, lepszy, doskonalszy, aby się do niego przeprowadzić, gdy czas nadejdzie. Nie iść boso, nago, ku mirażom lepszej przyszłości, która może się okazać złudą. Wyjść z dotychczasowej bezradności, przekształcać się, aby wewnętrznymi wartościami zdobywać życie. Wychowywać człowieka, zmieniać go i wyzwać jego spętana wolę do czynu.

— Niedawno rozmawiałem z kobietą — przerywam rozmówcy — która uczestniczyła w kursach, i kiedy ją zapytałem, po co te kursy, odpowiedziała: „Żeby się wieś uświadamiała i dźwigała do góry. Musimy się inaczej brać do roboty. Żeby życie gromadne prowadzić, żeby każdy gromadzie służył. Dawniej ludzie głowami kiwali: oj, bida, oj bida, a teraz zaczynają robić, krzątać się i odmianę rękami swoimi sprowadzać. Śmieją się z nas, że chłopci misje urządzają“. — A jakież to misje — zapytałem kobiecie. — „A oświatowe, polityczne i różne pouczające, żeby już raz chłop wydarł z siebie duszę pańszczyźnianą. Ludzie chodzą, słuchają. Nieraz taki ścisk, że ani ręką nie można ruszyć“ — dokładnie powtarzam słyszane słowa.

— Powiedziała prawdę. Tak jest. A co najciekawsze, że inicjatywa do urządzania kursów pochodzi od chłopów i chłopci sami je prowadzą, wygłaszając odczyty o spółdzielczości, o opiece nad dzieckiem, o potrzebie czytelnictwa. Chłop teraz jest osamotniony...

— Mówiła ta kobieta — przerywam — że w jej wsi nauczycielka założyła koło młodzieży, bo chciała otrzymać lepszą posadę, i ta kobieta z oburzeniem powiedziała: „To nie może być, żeby przez nasze plecy ktoś drapał się do góry. Chłopa ino wtedy widzą, kiedy im

potrzebny. Inteligent nie rozumie spraw wsiowskich i chłopskiej bidy“.

— O tak, świadomość tego jest powszechna. Objawem usamodzielnienia chłopą, liczenia tylko na własne siły, jest budowa uniwersytetu im. Orkana, ogniska, rzucanego w zapadłą wieś Gać, nazywaną Giewontem chłopskim. Z myśli, z mozołu wsi się zrodził. Ale nie tylko to; tworzymy spółdzielcze ksiąźnice, rozwijające bardzo pożyteczną działalność kulturalną; założyliśmy lecznicę, zbudowaliśmy dom, urządziliśmy go i długo, oj bardzo długo szukaliśmy lekarza-społecznika, który by leczył nas, a był równocześnie wychowawcą; wreszcie znaleźliśmy syna chłopą wysoko uspołecznionego, który wyszedł ze wsi i oddaje wiedzę zdobytą i serce swoje wsi; powołujemy do życia sądy chłopskie, rozstrzygające spory, przy unikaniu niszczących procesów; młodzież skupuje jaja, masło i dostarcza mieszkańcom miast, aby dochód z tego handlu przeznaczyć na budowę świetlicy czy też na kupienie książek; zakładamy spółdzielnie mleczarskie — widać przy drodze bańki z mlekiem zostawione bez opieki, które nie giną; zakładamy spółdzielnie przemysłu chałupniczego. Chcemy, aby równolegle szła praca rozwoju kulturalnego i gospodarczego. Program nasz streszcza się w krótkich nakazach: niech każdy zamiecie swoją izbę, to Polskę zamiecie; niech dba o dziecko, to dba o przyszłość narodu; niech drzewko wsadzi, to Polskę wzbogaci; zbuduj dół na gnojówkę, a podnosisz w Polsce gospodarkę.

— Trzeba mieć zagon pod to drzewko...

— W Polsce dość marnującej się ziemi, która byłaby warsztatem pracy dla milionów. Chłop pazurami by chwycił. A gdy patrzymy na te obszary, to nie ma w nas

ani gniewu, ani zemsty, ani nienawiści, a tylko chęć pracy, bo my i tak zwycięzcami będziemy, musimy być. Nie siekiera rąbiąca jest wezwaniem odrodzonej wsi, ale sierp i kosa. Z narzędziami pracy chcemy iść na łąn. Hasłem naszym dzisiaj: gdziekolwiek jesteś, podnoś kulturę w swojej chałupie, a podnosisz ją w Polsce.

Spojrzelśmy po wnętrzu izby w milczeniu.

— Cóż robić? Jestem wyrobnikiem, a wyrobnik jest nędzarzem — zaśmiał się — buduję świąty, a domu dla siebie zbudować nie mogę.

Matka słuchała rozmowy przez cały czas, odrywała słowa z synowskich warg i połykała jak spragniony ożywcza wodę. Jej zdrętwiałe, umierające ręce mozoliły się, coś dźwigały, może przenosiły trud całego życia, a może tylko z łez wydobywała te wyrazy, które wyrzekała:

— Mój we dworze służył... umarł, spadł na widły, serce przebiły... zostawił mnie z pięciorgiem drobiazgu... Nie labidziłam, nie pomstowałam... ino zawdy od roboty do roboty... Jak mogłam, chowałam, żeby dzieci na ludzi wyprowadzić... po robocie wieczór na książce uczyłam... jakże tak bez nauki zostawić... ciężko żyć ślepemu... A Pietrkowi szła nauka do głowy, oj szła; ani czytania nastarczyć, aniby nie jadł, ani nie spał, ino czytał... Dość bicia od ludzi zebrał, bo to biedactwo po służbach się poniewierało... Nie miałam gruntu ani tyle... — pomarszczoną dłoń rozpościerała — a wyżywiłam dzieci i tę chałupinę postulałam przy pomocy Bożej; — w jej słowach ani skarg nie ma, płaczu, ani skamlań. Spokój.

Dziewczyzna, kreśląc coś patykiem na ławie, przybiegła do ojca.

— Tato, nie macie niepotrzebnego papieru?

— A co ci po papierze?

— Będę Zbyszka uczyła pisać.

— A ileż ona ma lat? — wmieszałem się do rozmowy.

— Ona siedem, a Zbyszek cztery.

— Widzicie, takie są dzisiejsze dzieci — uśmiechała się babka; nie mogła tchu złapać, a taka była uradowana.

— Mam na starość pociechę, oj mam... że mój syn bidny naród dźwigo... Niech dźwigo... może się kiedy na świecie odmieni... Już tego nie doczekam... ale mi lżej umierać,... kiej pomysłę, że ludzie będą mieli lepsze życie... Moje było ciężkie, oj ciężkie... Ani wypowiedzieć... Niechże wam Pan Jezus dopomoże...

A syn krótko rzekł:

— Nie tak człowiek cierpi, jak mu krzywdę robią, ale tak cierpi, jak rozumie i odczuwa tę krzywdę.

Nie słuchałem go, nie mogłem oderwać wzroku od warg matczynych, na których rodziły się, pęczniały nie słowa, ale znój, i skapywały powoli. Chciałbym je otrzeć, zebrać... Ale — czyż jest tak czysta chusta, czyż są tak święte ręce, godne to uczynić? — Bezwiednie wyszeptałem:

— Wiem, czym życie matki; wszędzie jednakie; gdy płacze, chciałyby blaskiem łez słońce zapalić dla dziecka... Wszystkie matki są takie same.

Wyszliśmy z tej izby. Mijając domy patrzyłem w okna, spotykając zawsze te same obrazy, i mówiłem do rozbitych szyb, zatkaných wiechciem, i do znędzniałych dzieci, do ich zzieleniałych twarzy, dłoni pleśnią porośłych:

— Bez dobrobytu chłopca nie będzie dobrobytu w Polsce. Gdy zbudujemy wzorową wieś, to zbudujemy Polskę. Najsilniejsze państwo jest to, w którym najwięcej obywateli zadowolonych.

Minęliśmy codzienne sprawy, kłopoty, przekleństwa, gospodarskie sprawy i stanęliśmy na rozstajach, gdzie pod zniszczonym daszkiem siedział frasobliwy Chrystusik z drzewa wyciosany, łachmanem przepasany, wspierając utrudzoną twarz na dłoni. Usta milczące miał złożone do boleściwego wyrazu, oczy wpatrzone w polską dal z przejmującą żalością i rozpaczą. Bezsilny i bezbronny, gdyby uniósł rękę, to by beznadziejnym ruchem wskazał kierunek Golgoty; gdyby przemówił, to by wyрекł: cierniowa korona, cierpienie i ofiara.

— Chłopie polski, złóż głowę na mojej męczeńskiej piersi i spij, a gdy się obudzisz, to się módl w spokoju, bo wszystko, co cię spotka, to dopust Boży — mówiła naga figura milczącymi wyrazami boleści do pól, do wsi, do każdego przechodzącego człowieka, tak samo zgarbionego, tak samo znędzniałego.

— Ludzie u nas ino biedą się przechwalają — zaczął mój towarzysz, nie wiem, czy do frasobliwego Chrystusa, czy do trapiących go myśli — ubrać siebie i kogoś w dziadowskie łachy — to honor. Ktoś powiedział: „Polacy nie dbają o dobrobyt, co więcej nawet, nie lubią dobrobytu“. Łachman — to najmiłszy nasz sztandar. Wiara w Opatrzność odbiera wszelkie siły działania, niweczy inicjatywę i przedsiębiorczość. Siedzi Chrystusik w tym samym miejscu, pod dziurawym dachem, biją Go wiatry, sieką deszcze, gryzie mróz, a On się smuci i boleje. Taki sam chłop polski: zbiedzony, bezwładny, bierny, dumający, biadoli, narzeka, pokazuje swoją nędzę, modli się w izbie obwieszanej obrazami i czeka zmiłowania Boskiego, a nie czyni nic, aby ruszyć stąd, wydobyć wartości, mogące zmienić jego położenie. Chłop bezwładny i bezradny, podeptany, to bryła, ciśnięta przez

los, wgnieciona w błoto własnych i cudzych grzechów i zaniedbań. Chciałoby się krzyknąć: cholero, idź z pięściami przeciw wyrokowi losu, urabiaj życie według swej woli, dźwignij raz łeb do góry.

A czyż tą deptającą stopą miałyby być modlitwa, w imię Chrystusa nakazująca poddanie, oczekiwanie na cud, na łaskę zesłaną? Chłop zależny od ziemi nie modli się do niej, nie czeka na jej zmiłowanie, ale chcąc jeść chleb chwyta za pług, orze, sieje w najstraszliwszym trudzie. W życiu zaś, gdy idzie o postęp, o rozwój, o wyrwanie się z nędzy, składa ręce i skazuje się na bierność.

Chłop sobie, swojej pracy oddany, zdobywający chleb w mozole, nie jest Łazarzem czekającym w grobie na wskreszenie, nie jest Hiobem jęczącym na gnoju; jest on, niestety, dzisiaj zmordowanym żniwiarzem, siedzącym na snopach zebranych dla drugich. Chłop w karczmie, na zagonie jest inny niż przy modlitwie; tam rozmach, siła, a tu spętanie. Wieś dość się nabiadoliła i nabiedowała, dość się nad nią nalitowano, teraz chce wierzyć w siebie, w poprawę swej doli i chce iść do niej, aby ją urabiać na swój sposób. Chrystus nie zawsze był złamany i zadumany; przecież tego smagał powrozem przekupniów. Dlaczego takiego nie postawili na tle krajobrazu polskiego? Chrystus zbity, sponiewierany, tkwiący na jednym miejscu, nie jest obrazem dzisiejszego, odradzającego się, budującego pokolenia.

Nie wolno czekać na cud lub też patrzeć na przeszłość, przypominać sobie krzywdy, podejmować siekiere czy widły z rąk Szeli i grozić ludziom, w grobach leżącym, przeklętym widmom.

Znamiennym przejawem dzisiejszych czasów jest wołanie o nową książkę, która by była obrazem dążeń i pra-

gnień młodego pokolenia, która by pokazała nowego bohatera, symbol nowego człowieka, zdążającego do Polski, walczącego o przyszłość, opartą na prawdzie i sprawiedliwości. Musi z niego być moc, optymizm, rozpalający siły twórcze, bohater tej książki musi działać, aby pobudzał do działania. Nie może to być marzyciel łzawy i boleściwy. Nowoczesny chłop może dostatecznie dostarczyć tworzywa do takiego dzieła, które by rozwijało wiarę w siebie i wiarę w zwycięstwo, przyczyniło się do ożywienia, do potęgowania i rozrostu duszy, wyrwało z bezwładu i kazało wydzierać nogi ze skamieniałości i zmuszało do ruszenia naprzód, które by pokazywało drogę: tędy macie iść, do słońca. Na taką książkę czekają, o taką się modlą. — Słowa mojego towarzysza zwarte i mocne były jak tętno uniesionego czy zbuntowanego serca, zrywającego się do działania.

— Jest rozpaczliwe szukanie tej najwłaściwszej drogi. Wre uparta walka chłopu o samego siebie. Dusza nasza przerąbana na dwoje. Jedni chcą, aby chłop stał na dachu swej chałupy, własnoręcznie ją podpalił i rzucił głownie na inne strzechy, aby cała wieś buchnęła pożarem. Drudzy chcą wydobywać siły twórcze, wzbogacać umysł, podnosić się gospodarczo i kulturalnie, wypracowywać swój światopogląd i urzeczywistniać go w każdym czynie, w każdej godzinie życia; własną pracą, własnymi wartościami zdobywać przyszłość.

Wielka odpowiedzialność ciąży na dzisiejszym pokoleniu: ukształtowanie narodu w przeddzień olbrzymich przeobrażeń świata. Twarde, spracowane ramie, dźwgnięte znad pługa, wskazuje cel i zadanie: W życie idź! Życiem się ciesz! Walka i praca, z radości poczęta radością ma być dla drugich. Miłość, objawiająca się w płaczu

i cierpieniu, jest mazgajstwem! Wcielać w codziennym życiu ideę powszechnego zbratania ludzi.

Młode pokolenie wybrało tę najwłaściwszą drogę. Idzie z ciemności w światło. Droga z ciasnej izby w świat prowadzi przez doskonalenie siebie, przez zdobywanie prawdy, sprawiedliwości i przez bunt przeciw krzywdzie, objawiony w twórczej pracy.

Wiem, że każde jego słowo jest prawdą; niczego w nim nie ma, czego by się zaparł.

— Podpalacz serc.

Szukam oczu tego chłopca, który wyszedł z komorniczey izby, z barłogów pokoleń, przebył tak daleką wędrówkę, aby w największym trudzie wypracować w sobie własną mądrość, własną prawdę i drogę do Polski, która jeszcze dzisiaj jest dla milionów zagonem wyrobniczym. Widzę w nim mocne mięśnie, napięte do wysiłku, do dźwigania z posad świata, a te mięśnie chwytają sierp, motykę na cudzym łąnie. Z jego oczu przebiega spojrzenie jak błysk. Łączymy dłonie w mocnym uścisku. Żegna mnie.

— Musi chłop dojrzeć, przemyśleć, uspołecznic się, wypracować w sobie duszę, aby być gotowym do nowego życia. W pracy są ręce zabrudzone, w działaniu zaś muszą być czyste. Takimi rękami chcemy budować.

Odwrociłem się, jeszcze raz spojrzałem na rozstaje. Zdawało mi się, że wydziedziczony najmita, niewolnik bóleści, wydarł się z tego miejsca, wyszedł z odwiecznej, dziurawey kapliczki, symbolizującej bezwład, bierność, i zmieniony w barczystego chłopca, który stracił z bark przeklętą bryłę, przytłaczającą go, wyprostował grzbiet i kark i krzepko maszeruje w życie. Słychać dudniące kroki przez zorane pola, przez zagony szumiące zbożem,

darzące chlebem wszystkich. Tak wielką przestrzeń ma przebyć, aby nadążyć za innymi! Krok jego taki sam, kiedy idzie bruzdą i z rozmachem rzuca na skiby garście siewu; w oczach taki sam wyraz, kiedy o świcie patrzy na wstające słońce.

— Już czas! Do roboty!

Pomyślałem, że ten chłop, który szedł do Polski sprawiedliwej, urabiał ręce, uchodził nogi w marszach i bojach po to, aby na pańskim łanie zarobić kilkadziesiąt groszy, dzisiaj wróci do swojej izby, gdzie dziecko go powita straszliwymi oczami —

— Tato! Babce wydarli poduszkę spod głowy!

A matka uśmiechnie się do niego szczęściem swej zmordowanej starości: nadzieją.

— Nie trap się, synu, o mnie! Dźwigaj ludzi! Dźwigaj, żebyś chłopski naród zawiódł, gdzie lepiej, żeby ludzie mieli ładniejsze życie, nie takie, jak moje...

Ten chłop podaje snop żniwny zwycięskiej sprawiedliwością Polsce, ani mojej, ani twojej — ale polskiej, pazurami wszystkich bronionej, znojem wszystkich wypracowanej i budowanej.

Chłop wierzy, że z niego musi wyrósć olbrzym, mający ukształtować przyszłość.

PRZEKSZTAŁCIMY SVOJE ŻYCIE — PRZEKSZTAŁCIMY ŚWIAT

I

Rozmawiam z działaczem, synem chłopskim, który po ukończeniu najwyższych studiów wrócił na wieś, aby pracować w najcięższych warunkach. Twardy i niezłomny w dążeniu, wypełniony pracą po brzegi, jakby apostołskim zachwyceniem, prawdę idei wciela w życie, zmienia w czyn społeczny dla dobra wsi.

Niedziela. Kilku sąsiadów odwiedziło go. Zimnica w izbie. Siedzimy w kozuchach. Na ścianach fotografie, pamiątki i wspomnienia wojowań o postęp wsi, o duszę chłopa, świadectwa przywiązania i wdzięczności ludzkiej. Zimno, ale za to jasno: słońce całym południem wlewa się na sterty książek, na kwiaty, kipiące zielenią i kiściami barw. Pies, wierny towarzysz wszystkich kolei, oparł głowę na kolanie gospodarza i tak rozumnie patrzy, jakby przeglądał treść, kształt każdego wyrazu.

— Trzeba stwierdzić otwarcie: nie znamy dzisiejszej wsi. Autorzy opisują nędzę; działacze na wiecach, w dziennikach krzyczą o tym, ale ogół nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje, co chłop tworzy, co przeżywa. A w ostatnich latach, nie, w ostatnich miesiącach doko-

nuje się żywiołowa przemiana, która wybucha nagle. Czyniono wszystko, aby chłop żył w bezwładzie, w niemocy, w zwątpieniu, bez wiary w siebie, był bezużytecznym nędzarzem, mającym tyle sił, aby pracować na chleb, którego nie jadł. I chłop pracował, ale nie żył. W nędzy się urodził, rósł w przekleństwie pańszczyźnianych wspomnień, karmiony opowiadaniem o batrach; rzeczywistość polska położyła na barki brzemia tak ciężkie, że pod nimi upadał. Z jednej strony krzyczy się, że „chłop potęgą jest i basta“, z drugiej strony widzi się w nim same błędy, że jest spróchniałym drzewem, które należałoby zrębać i w ogień cisnąć. Coraz częściej słychać głosy na wsi: Dość narzekań i biadoleń i tupań nogami w miejscu! Nie potrzeba nam płaczu, skamlań i współczucia nad nędzą, bo nie jesteśmy żebrakiem, rzuconym na gnój i obnażającym swoje wrzody; nie chcemy, aby każdy ocierał swoje łzy chłopskim łachmanem! Nam potrzebne są mocne, wyrobione mięśnie, skuteczne w wydobywaniu się z ciężkiego położenia, w którym skamienieliśmy. Ostatnie lata przyczyniły się do rozbudzenia świadomości, że chłop może liczyć tylko na własne siły; doszedł do tego, że obywatel jest bez inteligencji.

— Czy nie uznaje jej, czy czyni to z niechęci do niej?

— Uznaje wartość tej inteligencji, która zbliża się do wsi z pobudek ideowych, ale chłop widzi, że był dla niej jeno drabiną dla kariery. Chłop poniżony i sam siebie poniżający, uciemiężony, nie mający wiary w siebie, ogłupiany przez wieki, otrząsa z siebie niemoc, obce wpływy i poddanie się woli wyższej, zaczyna się usamodzielniać. Toteż inteligencja już nie będzie wsi przewodniczyła, ale może tylko z nią współpracować, chłop jako

gospodarz, spełniając wolę ogółu, idzie na kierownika spółdzielni, do służenia gromadzie, gdzie nie ma osobistego interesu, ale dobro idei. Dowodem tego, jak chłop daleko dojrzał w zrozumieniu, że on sam musi się dorabiać, a od nikogo nie może oczekiwać łaski, jest realizowanie uniwersytetu, tak pięknie budowanego w Gaci własnym wysiłkiem, jako dzieło rąk i serc gromady, i to nie dla celów politycznych, ale dla zdobywania wiedzy, dla urabiania charakteru, dla kształtowania wewnętrznego. To należy podkreślić, że chłop odczuł potrzebę takiego uniwersytetu. Dowodem dojrzenia i usamodzielnienia jest też wypracowanie programu zupełnie różniącego się od dawnych.

— Jakież jest?

— Spełnienie nadziei chłopci widzą w postępie, wcielenym w życie, w demokracji, spółdzielczości, nie w czekaniu na łaskę, ale w pracy i w wytrwałości. Chłop był jak olbrzym, strącony w ciemną czeluść, gdzie mu wrzucano ochłap, aby mógł się modlić, jęczeć i przeklinać; teraz dopiero usiłuje się wydobyć, bo wie, że musi być podmurowaniem, przyciesią nowej Polski. Koła młodzieży stwarzają program i wypełniają go na każdym odcinku gospodarczym, politycznym, kulturalnym. Obecnie w spółdzielniach mleczarskich sami chłopci; w kółkach rolniczych, kasach Stefczyka — sami chłopci i trzeba stwierdzić, że prowadzą wzorowo wszystkie sobie powierzone instytucje. Dawniej inteligent wygłosił odczyt, poklepał chłopka po ramieniu, zaświecił kagankiem w ślepiach i odszedł, nie troszcząc się więcej o niego. Dzisiaj chłopci wygłaszają odczyty, toczą dyskusje, rzucają myśli, zastanawiają się, zapoczątkowują samopomoc w dziedzinie kulturalnej. Wzbiera na wsi potężny ruch, ogarniający coraz szersze

koła. Ten burzliwy nurt żłobi sobie koryto i toczy się w kierunku, jaki dzisiejsze życie wytycza.

— Słyszałem, że po wsiach młodzi zakładają sądy chłopskie.

— A tak. Zakładają i sprężyscie je prowadzą. Chroni się w ten sposób lud od rujnujących procesów. Trzeba stwierdzić, że pieniactwo istnieje tam, gdzie panuje ciemnota. Ludność odnosi się z wielkim zaufaniem do chłopskich sądów, jako czynnika obywatelskiego, znającego tak skrzywdzonych jak i krzywdzących. Procesy w sądach publicznych są bardzo kosztowne, nieraz niszczą obie strony i nie doprowadzają do wyrównania stosunków. Nieraz się słyszy: „Sąd wydał wyrok na podstawie prawa, ale w sercu dalej jesteśmy wrogami i czekamy sposobności, aby się zemścić“ albo „zostałem zrujnowany materialnie, ale jeszcze gorzej moralnie; wygrałem proces, ale straciłem ojca, matkę, braci“. Natomiast w sądach chłopskich naczelną zasadą jest doprowadzenie pokłóconych stron do zgody drogą oddziaływania moralnego, podsuwania im sposobów pojednania, usuwania przyczyn waśni, a tylko w ostateczności „sędziowie“ rozstrzygają. Pod naporem opinii powaśnieni poddają się wyrokom. Sądy chłopskie załatwiają spory rodzinne, nieraz bardzo zawile, oszczerstwa, bójki, zaboranie miedz etc.

— Głośną jest bodaj pierwsza w Polsce „Spółdzielnia Zdrowia“ w Markowej.

— Chłopi, zachęceni pięknym przykładem wsi jugosłowiańskich, podobną spółdzielnię założyli. Niedawno pisali: „Chcemy, aby wieś, mająca być niewyczerpanym źródłem fizycznych i duchowych sił odrodzeńczych Polski, nie przestała nim być pod wpływem gniotącej ją

dziś nędzy. Chcemy sobie pomóc sami wzajemnie, aby brak środków na odżywianie, na zdrowe mieszkanie, a w nieszczęściu na lekarza i lekarstwa, nie wyniszczył nas doszczętnie". I ten chłop szuka uparcie lekarza, który by był doradcą, przyjacielem wsi, poznał warunki życia, nie tylko leczył, ale podjął inicjatywę usuwania przyczyn chorób, był propagatorem zdrowia. Niedawno ktoś rzucił tym chłopom: „Nie macie porządných wychodków, a doktora wam się zachciewa". Nie tylko zachciewa się chłopom, ale urzeczywistniają swoje postanowienie. Już założyciele spółdzielni myślą o otworzeniu izby dla położnych, o szpitaliku, o aptece, biblioteczce, o kursach, uczących o zdrowiu, o higienie, etc. Ostatnio zdarzył się wypadek, że chorej kobiety nie można było przewieźć do szpitala, a lekarz za dokonanie operacji na miejscu zażądał 200 zł. No, skąd wziąć dzisiaj taką sumę na wsi? Owe 200 zł zabiło matkę kilkorga dzieci. Tak, życie w Polsce jest bardzo tanie, czasem tańsze niż kura. To jest pocieszające, że chłop sam odczuwa potrzebę takich spółdzielni, sam je realizuje, szuka drogi do polepszenia swej doli. Chłop rozumie, że gdy walczy o kulturę rolną, o udoskonalenie swojej duszy i swojej gospodarki, to wtedy walczy o lepszą Polskę. Chłop nie jest zdolny do rewolucji. Doprowadzony do ostateczności zrywa się, ale wnet po wybuchu uspokaja się, przekonany, że drogą gwałtu nigdzie nie dojdzie, niczego nie dokona, chyba tylko planową drogą i organizacją.

— Trzeba najpierw zrobić rewolucję w głowach — dopowiada chłop — przemianę w duszach. Dotychczas karmiono nas pustą słomą, bez ziarna. Ducha zmienić, do głowy rozumu nabrać!

— I taka rewolucja następuje: dojrzewanie chłopów do wielkich społecznych celów. Przekreślić przeszłość pańszczyźnianą, mając oczy zwrócone w przyszłość; pobudzać drzemiące siły, wydobywać je w działaniu, rozwijać dla powszechnego dobra, dla budowania kultury, wyrabiać w sobie godność chłopów polskiego — to przebudowa porządku społecznego. Dzisiaj chłop zaprzecza każdemu słowu Al. Świętochowskiego, który pisał w „Genealogii teraźniejszości”: „Gdy chłop polski podniesie się wyżej ze swego nędznego padła, natychmiast stara się upodobnić do pana dworskiego. On swego stanu nie lubi, nie ceni i nie stara się go doskonalić w swoisty sposób. Nasz lud zatem musi się naprzód odszlachcić, przestać być małpą szlachecką, zanim zdoła nadać narodowi inną postać — demokratyczną. Na to przeobrażenie się musi Polska czekać bardzo długo i długo pasować się z fatalnym dziedzictwem przeszłości”. Sędziwy pisarz razem z ogółem widział wczorajszego chłopów, tkwiącego w ciemnej izbie, przygniecione go jarzmem; nie dojrzał jeszcze duszy młodego pokolenia, wyrabiającego w sobie poczucie siły i poczucie odpowiedzialności w tworzeniu własnych dziejów i oddziaływaniu na bieg zdarzeń ogólnonarodowych, wyrabiającego w sobie dumę chłopską.

II

Tuż przed wojną jeden z wybitnych wówczas przywódców ludowych zwołał do Krakowa wielki kongres przed mającymi się odbyć wyborami. Gromady, przybyłe z wszystkich wsi galicyjskich, pochodem udały się

na Wawel i tu wśród murów królewskich, wież katedry grzmiejącej dzwonem Zygmunta wygłoszono płomienne mowy, a później ów działacz, wyniesiony na barkach chłopskich, w sali wiecowej wyciągnął bat ekonomiczny, uderzył w stół z rozmachem i zakrzyczał —

— To wam zostało, to was czeka, jeżeli...

Rozszalały tłum, dyszący zemstą rzucił się, aby porwać, pogryźć to wspomnienie przeklętych czasów, ten symbol, znaleziony gdzieś na strychu dworku sprzedanego chłopom. Ów wrzeszczący działacz groźbą bata zapędzał chłopów do swojego stronnictwa, jak ongiś ekonom zapędzał ich ojców i dziadów na łąki pańszczyźniane.

Dzisiaj synowie tamtych chłopów zebrali się w świetlicy domu ludowego, wzniesionego wysiłkiem gromadzkim. Zwołano młodzież z okolicznych powiatów na sześciodniowy kurs oświatowo-kulturalny o programie: 1) spółdzielczość (zasady i możliwości rozwoju na wsi), 2) problemy społeczne w literaturze światowej i polskiej, 3) książka i gazeta a człowiek, 4) zdrowie na wsi, 5) kwestia kobiet na wsi, 6) wychowanie dzieci na wsi.

Dziewczeta i chłopcy przybiegli z daleka pędzeni pragnieniem wzbogacenia umysłu. Odbili uciążliwą drogę, ale to nic trudnego, ponieważ, kiedy rozgrzewa ich nadzieja, że czegoś się nauczą, czegoś się dowiedzą, że ktoś im odpowie na zadające pytanie: co zrobić, aby rozwijać się kulturalnie i moralnie, żeby lepsze jutro zdobyć. Dziewucha opowiadała z żywością, beztrudno, jakby głosiła najradośniejszą nowinę:

— 50 kilometrów żeśmy szli po zaspach, o, potąd w śniegu brodziliśmy. Antosia wpadła w przerębnię, ale nie wróciła do domu. Przyszliśmy posłuchać tego, co by naszą duszę dźwignęło do góry.

Są wyrobnicy, bezrolni, bezrobotni, są synowie mało-rolnych i zasobnych gospodarzy, wszyscy zjednoczeni jedną wolą, jednym dążeniem. Przynieśli bochenek chleba, flaszke mleka, a inni w plecaku ziemniaków, aby gdzieś upiec i tym żywić się przez cały czas. I tych sponiewieranych, udręczonych, głodnych, w progu powitało pismo zakazujące zarządowi Związku Młodzieży urządzenia w Kraczkowej kursu na tematy ogólnokształcące. To pismo każdym słowem, jak kułakami, prało przybyłych. Podobne kursy urządza się w całej Polsce i żadna władza nie zabrania. Młodzież nie chciała ustąpić. Trzeba wysłać depezę do Lwowa i do Warszawy. Zbierają składkę. Wytłuskują zaśnieżone groszaki, nikłówki ze szmatek, z węzełków, z torebek. Widzę spracowane palce mozolące się długo. Sypały się groszaki, jakby krople potu, zmienione w dźwięk. Może w domu trzeba na zapalki, na sól... Ale ochotnie dawali. Nie ustąpią stąd, aż odpowiedź z Warszawy nadejdzie. Siedzę na boku i patrzę na twarze. Zdawało mi się, że tu zawre, zakipi, że od łoskotu serc ściany się rozpadną; zdawało mi się, że ta młodzież pięściami odpowie na zakaz, że pod podartą kapotą, w piersiach bez koszuli słowa buntu gotują jak zabójcze ciosy i wystrzelą wyrazy, pełne ognia. Nikt nie usiłuje zabrać głosu, aby zaprotestować. Postacie ich pełne godności. To nie dawniejszy chłop, wygrażający widłami panom, chcącym pańszczyznę zaprowadzić. Nadśłuchuję. Śpiewają. Grzmotem pieśni wyrażają swój program, swój cel, swoje pragnienia:

Nikt dla nas niczego nie robi,
 Bóg łaski nie spuści nam z nieba,
 Pracujmy wytrwale i myślmy o sobie,
 Bo wszystko nam zrobić potrzeba.

Uczestnicy podchodzili do stołu władzy, kładli legitymacje bez lęku, nie przerywając pieśni narastających i stworzonych wysiłkiem gromady, aby stały się wyrazem zbiorowej duszy, jej hasłem i modlitwą.

Pozdrawiamy cię, ziemio rodzona,
W majestacie twoich sił,
Pługiem wędrem się do twego łona
Aż do wnętrza, do twych żył.
Błogosławiona dobroć człowieka
Niesie pokój ludziom w dom,
Wyciągnijmy dłonie ku dobroci
Niechaj dom nasz słońeczko ozłoci.

Czarnymi rękami od wideł, od cepów i kos błogosławili ziemię rodzącą chleb i niebo, darzące słońcem. Słowami pieśni modlili się do ziemi o chleb, do nieba o słońce. Ruchy ich stawały się rytmem pieśni, a pieśń prawdą ich życia. W takt melodii wyprężały się ciała, jakby słowa zmieniały się w bryły, które oni muszą dźwigać na budowanie, jakby całym napięciem mięśni wydzielali dla wszystkich chleb z twardej gleby. Widzę twarze żywe, rozgorzałe, widzę oczy pełne uniesienia i natchnienia i uzmysławiam sobie, że to nie ten dawny, skulony chłop, pokorny wobec kija, a tak często chwytający widły, to nie ten z okresu niewoli, rozszałały po powrocie z Wawelu na widok bata pańszczyźnianego. W nędzy żyją, ale jaki w nich zapał, rozmach, żywość! Ich mocna pieśń szła z tej izby przez wieś, przez pola, w przyszłość, waląc podartymi buciskami.

Sprawiedliwość hasłem naszym
Równaj, młodzi, równaj front!

Wyciągali suchy chleb i flaszki zimnego mleka. I tak trwali bez snu, popijając mleko, jedząc chleb i radując się pieśnią.

Nie mogę skupić uwagi; coś rozrywa myśl, nie mogę znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie. Wyrzucam z siebie nie słowa, ale kamienie.

Rozmawiam z referentem jakiegoś urzędu powiatowego i pytam: „Dlaczego nie pozwalają na odbycie kursu”? Słyszę: „Mogliby mówić o sprawach politycznych”. Mogliby!! Wzburzony mówię: „Niech przedstawiciel słucha, uczestnicząc w obradach i nie dopuści do głosu burzycieli”. — „Nie mamy czasu” — odpowiada Napoleon powiatowy.

— Gdyby — tłumaczę — ci uczestnicy wysłuchali referatów, to by wszyscy w spokoju odeszli do domów, a tak 160 rozgoryczonych pójdzie do swoich domów, aby mówić o krzywdzie i po wsiach zostanie 160 główni płonących. Lepiej się wygadać, niż odejść z zaciśniętymi zębami i pięściami.

— Mogą urządzić zaraz taki kurs w powiecie przeworskim — dodaje władczy głos.

— A czyż powiat łańcucki nie leży w Polsce? Czyż tutaj inne prawo obowiązuje?

Ale trudno się dogadać, rozmawiamy innym językiem, jakby z dwóch przeciwnych brzegów.

Zebrani zupełnie nie zwracali uwagi na naszą rozmowę, na zaczajone groźby. Izba oddychała pieśnią, żyła nią, śpiewając 160 głosami, jakby płomieniami wytarganymi z piersi.

Stojąc na boku gwarzę z przewodnikiem młodzieży, z takim działaczem, który wyszedł z największej nędzy. Słucham. Wypowiada rwane zdania, odłupywane gwałtownymi ciosami, jakby rozbijał stwardniałe grudy. Jego życie jest zwierciadłem dążeń, przemian bezrolnego wyrobnika, opętanego radością tworzenia, działania, wiara, entuzjazmem.

— Młode pokolenie tak bardzo różni się od dawnego ! Ojcowie nie poznają synów. Nic dziwnego, bo ich dusza, ich myślenie, ich działanie jest tak odmienne. Nas obowiązuje zasada: rozwijać ideę braterstwa i współdziałania. Trzeba wierzyć w człowieka, wejść na drogę właściwego wychowania. Zniszczyć przemoc i gwałt, a natomiast spory powstające między ludźmi rozstrzygać kulturą serca i umysłu. W duszy ludzkiej tkwi idea dobra i zła; chcemy stworzyć jak najsilniejsze podstawy do zwalczania zła. Nie gwałtem, nie rewolucją zmienić świat, ale przekształceniem swego życia. Sił nie można zmarnować na przekleństwa, biadanie, ale trzeba zużytkować na budowanie, wychowywanie i tworzenie człowieka.

W tym czasie bawił w powiecie b. poseł, więzień polityczny, bardzo zasłużony dla ruchu ludowego, i to spowodowało, że zadałem pytanie, jak młodzież ustosunkowuje się do polityki. Usłyszałem odpowiedź, którą dosłownie zapisuję:

— Dawni politycy — to inny świat, już młodemu ruchowi nie odpowiadają. Tam, gdzie wojowali politycy, tam została płycizna ideowa. W naszej wsi było dwóch posłów, wiecznie między sobą kłócących się, zaprzętniętych macherkami. Obydwaj pijacy, upijali gromady. Kufel i kieliszek ich hasłem. Zadaniem ich było: na wiecu jeden drugiego przegadać, wykpić, wyszydzić, ale żaden z nich nie pomyślał o podniesieniu wsi pod względem gospodarczym czy społecznym. Kazali czekać na cud: my za was pracujemy i myślimy w sejmie. Było tutaj największe zaniedbanie, najgorsze drogi, nie było żadnego życia kulturalnego ani biblioteki, ani świetlicy. Rozpolitykowani chłopci żarli się o ciśnięte ochłapy, o jakąś koncesyjkę czy dostawę. Wybory podpałały nienawiścią

całe wsie, rozrywały rodziny na wrogie obozy i kładły w garście kłonicę. Chłop był stadem, potrzebnym po to, aby wybeczał numer na tego lub owego zbawiacza. Lud był skorumpowany, zdemoralizowany, rozbity przez macherów, którzy umieścili ideę w kieszeni, a gdy kto bił w tę kieszeń, to wołali: sprawa ludowa zagrożona! Ojcowie nasi tkwią w polityce i mają jeden cel: wywalić sanację, bo przez nią wszystko złe. Ale jak ją zwalczyć, na to rady nie mają, tylko krzyczą i grożą. Niedawno zaprosiliśmy na nasz kurs zdolnego polityka; mówił o samorządach; dowcipny, zgryźliwy, walił w przeciwników cepami, deptał ich niemiłosiernie, ale — zrezygnowaliśmy z jego dalszej współpracy.

— Dlaczego?

— Zauważyliśmy, że nie nadaje się dla młodzieży. Mówi świetnie politycznie, ale nie oddziaływa wychowawczo. Wielu skarżyło się: „Myśmy przyszli dowiedzieć się, co robić, jakie drogi działania wybrać, a on naujadał, naujadał przeciw sanacji i odjechał, my zaś zostaliśmy dalej bezradni, bezsilni, dalej mając spętane ręce i ciemnotę w głowach“. Młodzi też nie uchylają się od polityki, ale takiej, która by się godziła z godnością człowieka, kierowała się szlachetnością w działaniu i we wszystkim, co podnosi. Młodzież nie lubi zjadliwych żartów, aby tylko błotem cisnąć, czy śliną plunąć. Chce pokonać przeciwnika narostem wartości moralnych, społecznych czy ludzkich. Zdobywamy wieś wartościami moralnymi. Dobra wola, zapal, ujęty w karby rozważgi — to nasza droga.

— A cel?

— Naprawiać, wyzwalać, wydobywać z błota dawnych grzechów w imię hasła: odrodzona wieś — to odrodzona

Polska. Musimy przetworzyć duszę, abyśmy byli najpożyteczniejszym kapitałem Polski. Różnimy się od starych tym, że w nas nie ma rozgoryczenia, zwątpienia, ale wiara, zapal i moc; widzimy przed sobą długie życie, nie czujemy się przemęczeni. Szukamy gruntu pod nogami nie po to, aby stać i czekać, ale tworzyć, wyrabiać w sobie człowieczeństwo. Ot, drobna rzecz — młodzież założyła spółdzielnię drzewek, kupiła kawał gruntu, wspólnie pielęgnuje, plewi, szczepi, po sprzedaniu szczepów dzieli się zyskiem, a część dochodu, a gdzie indziej nawet cały dochód, przeznaczają na księżnicę i na budowę świetlicy. Chcemy się podnieść i materialnie, i duchowo. Nawet w codziennym życiu chcemy ozdobić karty Polski własnymi czynami. Pomnażać bogactwo narodu, wydobywać twórcze siły. Wysiłkiem gromady zdobywać odrodzenie wewnętrzne, dążenie do rozwoju. Zawsze i wszędzie trapi nas pytanie, co czynić, aby dojść do lepszej przyszłości, do nowej Polski. Zakładamy spółdzielnie, wciągamy ludność całej wsi. Nie przewodnik pędzący batem, ale gromada ożywiona jednym celem, gromada służąca nie przewodnikowi, ale wspólnej idei, to nasze dążenie. Widzimy straszną rzeczywistość, ale ustosunkowujemy się do niej inaczej niż dawniej. Naszym celem nie jest grzebanie się w obrazach krzywd, aby się karmić zemstą. Chłop na wiosnę nie sieje przekleństw, jęków i skamlań, chłop ogniem nie buduje. Ciemną, krwawą przeszłość musimy odrzucić jak i wspomnienie ekonomskiego bata. Chłop szuka ratunku, błądzi, miota się rozpaczliwie, może ta, może tamta odmiana da mu chleb, jaśniejszą dolę — dlatego wszędzie dynamit leży obok pługa, pacierz obok ulotki komunistycznej. My nie chcemy używać dynamitu i gwałtu, stwarzamy własny

program, własne środki działania i wedle sił wcielamy je w życie. Wyrrywamy się ze starego łożyska i chcemy się usamodzielnić tak psychicznie jak i kulturalnie.

— Do czego dąży młodzież?

— Do Polski opartej na sprawiedliwości, bez krzywdy i wyzysku. Idąc w przyszłość chcemy błyskawicami tej idei rozświetlić naszą tak ciężką terażniejszość.

Dzisiejszy chłop odbył daleką drogę od tamtego pańszczyźnianego bata, którym macher polityczny potrząsał na Wawelu, aby dojść do tej błyskawicy. Trzeba spojrzeć na ruch młodowiejski, jako na ideę budowania Polski rękami i duszami chłopu odrodzonego.

A tamci śpiewali stu sześćdziesięciu głosami zespólnymi w jedność:

Sprawiedliwość niech chleb w rękach waży,
Sprawiedliwa dobra dłoń.
Niech się krzywda ni zdrada nie zdarzy,
Ziemio matko, skrzywdzonych broń.
Sprawiedliwie chleb dzielcie, ojcowie.

Tupot nóg walił w podłogę, rozrywał ściany, rozdzierał domy, pieśń łoskotem kroków szła przez wieś naprzód, zawsze naprzód. Ludzie i pieśń mieli tę samą moc, tę samą wiarę. Przez rozognione wyrazy widzieli przyszłość darzącą chlebem i słońcem.

O POWIEŚĆ DLA WSI

Siedzę w ciasnej izbie, mieszczącej niewielką bibliotekę gromadzką. Młody chłop, dawny wychowanek uniwersytetu wiejskiego, wypożycza książki. Co chwila otwierają się drzwi, co chwila wchodzą utrudzeni prosto z boiska, ze stajni, od koni, od cepów, od rąbania drew. Na twarzach, na ubraniach znać ślady całodziennej pracy, plewy młóconego zboża, zapach wyrzucanego nawozu. Sięgają nieraz po książkę przez kawał papieru, aby nie dotknąć i nie zbrudzić powalanymi rękami; tak kobiety sięgają przez zapaskę po opłatki.

— Nie było nawet czasu się umyć.

Spiesznie wracają do chałup, aby przy skąłym świetle czytać, nie oczami, ale sercem, ale pazurami, aby każde słowo wcielić w głowę, w duszę, w krew i w życie.

Ktoś śmiechem wybucha.

— Przy młócce przegadamy z bratem cały dzień i wygłaszamy w stodole referaty o tym, cośmy wczoraj przeczytali, aż nasze kobiety, kiedy przynoszą obiad, dziwują się: Co wy macie tyle do mówienia, kiedy skończycie to gadanie? Nawet nie wiemy, kiedy czas przeleci, kiedyśmy wymłócili.

W trzasku cepów, w sypkim ziarnie leżą ich słowa, jakby prawda nowa z serc wykruszona.

— Jeżeli chłop może założyć spółdzielnię jaj, dlaczego nie może założyć spółdzielni książek, które są tak samo potrzebne jak chleb.

Każda książka zaopatrzona pieczętą, wyobrażającą rozszczepioną gałązkę, w której tkwi napis: „Spółdzielcza Książnica Gacka“, Dawniej, gdy trzeba było zwołać gromadę na narady, to właśnie podawano od domu do domu taką gałązkę z wetkniętym papierkiem. Wici szły.

Bibliotekarz mówi, że ogół od dawna odczuwał potrzebę czytania, ale nie było biblioteki, a poszczególnych chłopów nie było stać na kupienie. Więc postanowiono to skutecznie gromadzkim wysiłkiem. Rzucono udziały po 5 zł. Za te pieniądze nabyto głównie literaturę o wsi, ale też i wybór najwybitniejszych dzieł świata. Z biegiem czasu wzrosła ilość członków. Obecnie kółko rolnicze, kasa Stefczyka, mleczarnia, przeznaczają na ten cel corocznie pewną kwotę z ogólnego dochodu, bo książnica, mająca cele wychowawcze, przyczynia się do zwiększenia świadomości, a każda organizacja i społeczna, i gospodarcza potrzebuje ludzi światłych. Czytam statut ułożony przez chłopów: „Celem S. K. G. jest organizowanie spółdzielczym sposobem jak największej i wszechstronnej książnicy, która byłaby zdolna zaspokoić wszystkie zainteresowania z zakresu czytelnictwa swoich członków. Członkiem może być każdy obywatel po skończeniu 16 lat bez różnicy wyznania i zapatrywań politycznych“.

— Długo zastanawiamy się, jaką książkę kupić — tłumaczy bibliotekarz — bo nasze składki to chłopska krwawica, nieraz chleb odjęty od ust, nieraz grosz zaoszczędzony na soli. Żal każdego grosza i sto razy wpierw go obejrzymy, zanim wydamy.

Przeglądałam spis i myślę sobie, jakże wyżej kulturalnie stoją ci gaccy chłopci niż ów książę pan żądający przywilejów, wołający że jest przodującą warstwą, który w swej „bogatej” bibliotece posiadał jedną książkę Maciejowskiego: „Półświątek”. Tutaj natomiast tacy autorzy, jak: Bojer, Boguszevska, Kossak-Szczucka, Gogol, Knickerbocker, Don Byrne, Ludwig, Czuchnowski, Roland, Hamsun... I nagle... jakaż radość dla pisarza pracującego w samotni. Trudno się pohamować, nie pochwalić się nowiną. Oczami przypadam i sercem: „Wierzbby nad Sekwaną”. Boję się zapytać, a ciekawość mnie pali, czy czytają? Bez tchu czekam na odpowiedź i niemal oddycham słyszanyimi słowami.

— „Ma ogromne u nas wzięcie, przechodzi z rąk do rąk. Może u nas to najbardziej poczytna książka. Wzięła nas wszystkich. A nawet zostaliśmy wielbicielemi”.

— Jakie wrażenie wywiera?

— Czytający mają łzy w oczach, a z drugiej strony czują wdzięczność za społeczne cele, za ujawnienie krzywd. Urządziliśmy wieczór dyskusyjny, na którym Franek Fołta wygłosił odczyt o „Wierzbach nad Sekwaną”. Między innymi powiedział: „W moim przekonaniu ta książka ma najwięcej wartości chłopskich, jest protestem przeciw krzywdzeniu chłopca, który wrócił z wojny do Polski przez siebie wywalczonej. Wszyscy przeżywaliliśmy tę samą tragedię. Zdarzenia opisane są jakby żywcem wzięte z naszej wsi. To najzupełniej prawdziwa powieść”. Są książki, które burzą, budzą zemstę i nienawiść i niszczą czucie czytającego. „Wierzbby nad Sekwaną” szarpia człowiekiem, ale też budzą szlachetne siły, zagrzewają, aby iść, działać, zmieniać, aby nie było więcej takiej krzywdy, nieprawości na świecie. Przy czytaniu tej książki czło-

wiek dochodzi do przekonania, że trzeba się stawiać lepszym i przyczyniać się do stworzenia życia na podstawach sprawiedliwości. Dlatego „Wierzyby“ nazywamy „twórczą księżką“. Niektórzy podnosili, że w Połańcu jest siła żywotna, zdrowość, rozmach, jakie się objawiają u chłopów. Tylko żal ogarnia, dlaczego Połaniec we Francji boryka się z przeciwnościami, zwalcza je, a przecież powinien zużytkować swe siły w rodzinnej wsi, aby z siebie wydobywać ratunek i ocalenie dla drugich i popychać siebie na wyższy stopień rozwoju, szukać idei, która by świeciła nie tylko jemu, ale nam wszystkim przez całe życie. Ten sam człowiek, który walczy w obcym kraju, tutaj wśród swoich opada bez sił, upodabnia się do otoczenia. Bierność go zużywa i niszczy. Dlaczego tak? My „Wierzyby nad Sekwanną“ przeżywalismy duszą i sercem; z nich bierzemy nakazy do przetwarzania życia i do działania“.

Nie mogłem przerwać tych wynurzeń, które miały dla mnie głębokie znaczenie. Przez te słowa patrzyłem na dzisiejszą wieś, spragnioną strawy, która grzeje i porywa. Po chwili ciągnął dalej.

— Nasza księżnica nie jest tylko wypożyczalnią, ale chce być ogniskiem pobudzającym twórcze siły. Urządzamy odczyty o pewnych dziełach, rozprawiamy o ich wartościach wychowawczych i artystycznych, czytamy głośno pewne ustępy. Przy wypożyczaniu pouczamy, na co należy zwrócić uwagę, jak należy rozumieć idee zawarte, aby spełniły swoje zadanie. I jedno nas zastanawia, że dzieła autorów sowieckich nie są u nas poczytne. W polskiej literaturze mało jest książek takich, które by chłopów ruszyły z miejsca i pobudziły go do pracy nad sobą i do rozwoju. A wieś szuka książki, która

by go wydobywała z upadku, dźwigała godność, honor i potęgę myśli.

— A „Chłopi“?

— Reymonta czytamy, ale nam nie odpowiada. Przedstawiony chłop nie jest twórczy, przyroda go kształtuje. „Chłopi“ to przeszłość, co już nie odrodzi się. Z tej książki dzisiejsze pokolenie nie nabierze sił, wiary w postęp, ta książka nie powoduje też rozwoju duchowego, nie obudzi pędu twórczego, chociaż ta epopeja jest żywiołem, chociaż są ustępy działające jak wichur czy burza. Ale wieś pragnie czegoś innego. Szukamy człowieka mającego w przyszłości zaważyć w kształtowaniu chłopów, mającego szeroki pogląd, rozum szczerze chłopski a postępowy i zgodny z duchem odrodzonej gromady. Chcemy zużywać nasze siły na celowe, umiejętne tworzenie życia. Dlatego lubimy czytać o spółdzielczości, o urządzeniach świata, o tworzeniu życia dla dobra ludzkości. Chłop dąży do wielkości Polski opartej na prawdzie, zbrataniu i sprawiedliwości. Sprawa „Chłopów“ to zagadnienie sporne zależne od odczucia i zrozumienia.

Przez pewien czas była modna nagonka na „Chłopów“; wołano, że to wieś pańszczyźniana, niewolna, ginąca. Jednakże ta niezrównana powieść daje wspaniałą przekrój wsi, niezapomniane typy żyjące własnym życiem. Reymont pierwszy wprowadził do literatury wieś w takim przepychu oraz o takim rozmachu chłopów i zmusił ogół do czytania. To jest jego epokowa zasługa. W okresie szlacheckich nikt nie myślał, że wieś może być treścią epopei. A zresztą wielu z młodzieży walczącej o lepsze jutro twierdzi, że „Chłopi“ swoją treścią porywają, rozgrzewają i pobudzają do budowania.

— A czy jest pęd do czytania, czy chłop odczuwa brak książki? — pytam.

— W starym pokoleniu nie ma tego pędu. Nieraz się słyszy: „Nic ci nie przyjdzie z czytania; czego rękami nie urobisz, to z tego nie będziesz żył“. Albo: „Nad książką najlepiej się śpi“. Tych do czytania nie nagoni. W zimie po robocie siedzą po chałupach, pod piecem kurzą machorę i plotą o wszystkim, jak to dawniej bywało. A dawniej, jak się zeszli, to mówili o strachach i bitkach, jak kradli, jak w kryminale siedzieli, jak się gościli, ile gorzałki wypili. Ci też żalą się, że dzisiejsze książki nic nie wartają, dawniejsze były o wiele lepsze. Nieraz słysząc: Jakżem dawniej książkę z jarmarku chytał, tom z pazurów nie popuścił. O wojnach, o królach, o zamkach, o złocie i diamentach. Dawniej to były godne książki, a teraz, ech, o gnoju, o bidzie. Przecie bidę znam, w gnoju przez dzień się napaprzę, nie dziwne mi, chciałbym o innych światach czytać, żeby mi się w oczach słonko rozjarzyło.

— Chcą literatury straganowej.

— Kupowali ją zeszytami i czytali tak, że ledwo strzępy zostały.

— A młodzież?

— Każdy plon zależny jest od gleby i od uprawy. Jedni gospodarzą pod karczną i z dziewczuchami chichotają do północy. Zgorszenie. Inni chcą inaczej żyć i szukają drogi wyjścia z dawnej, biednej, zaniedbanej wsi, pragną, aby ktoś obudził dusze. Szczególniej ci, którzy ukończyli siedmioklasową szkołę, czytają i domagają się pożytecznych książek, nie dlatego, aby zabić czas, ale zastanawiają się nad ich treścią, chcą ją dla siebie zużytkować. Ci też piszą nieraz wyczerpujące sprawozdania.

— Czy wszędzie?

— Niestety, nie wszędzie. W wielu miejscowościach, w czasie zjazdów, kursów, zebrań, słyszałem bardzo powszednie skargi, że szkoły nie spełniają swego zadania, że nie zaszczepiają w umysły nauk głoszonych, że dziecko wraca do izby ojców, nie wnosząc nowych wartości, ledwo umiejąc czytać i pisać. Czasem nas aż przeraża stan dusz, brak zamięlowania do książki, która powinna być potrzebą taką jak chleb. Nie do wiary, ale tak jest; po niewielu latach, po opuszczeniu szkoły, chłopak ledwo może przedukać w niedzielę, w kościele, książkę do modlenia.

— Co za przyczyna tego?

— Myślę, że brak gorącości serca u nauczycieli, którzy zapomnieli o szczytnym powołaniu, no i programy nie dostosowane do potrzeb wsi. Szkoła idzie innym korytem, a życie chłopca całkiem innym. Jednakże w ostatnich latach widać odmianę. Koła młodzieży, nieraz tępione przez pewne czynniki, starają się postawić czytelnictwo na właściwym poziomie przez konkursy, przez propagowanie książki, rozbudzanie potrzeby kształcenia. Młodzież garnie się do książki, stara się ją nabyć. Są domy coraz częściej spotykane, które chcą mieć własną biblioteczkę, nieraz oszczędzają grosz do grosza, skąpiąc sobie wszystkiego. Muszę się pochwalić, że i my tak samo postępujemy. Corocznie kupujemy kilkanaście książek, jesteśmy młodzi, ożywieni pragnieniem wzbogacenia umysłu, więc choćbyśmy nieco umartwili się, to nie wielka zasługa, postanowiliśmy nie palić, nie pić, i co mamy wydać na wódkę i papierosy, to obracamy na powiększenie biblioteki.

— A cóż na to ojciec? Zwyczajnie starzy ludzie są przeciwnikami takiego marnowania pieniędzy.

— Zrazu się sprzeciwiał. Nic dziwnego, łatwiej było wydać złotego na zabawę niż grosz na książkę; nie wojowaliśmy z jego przekonaniami, ale powoli usiłowaliśmy mu wytłumaczyć, no i dał się przekonać.

Słucham z uwagą, zachłystując się wieściami, spisując każde słowo, a pragnąłbym utrwalić nie tylko treść, ale brzmienie głosu i blask wyrazów jaśniejących w chłopskiej izbie.

— Chciałbym wspomnieć jeszcze o ważnej sprawie. Polska twórczość — to każdy może stwierdzić — ugrzęzła w biadaniu, skamleniu, widzi barłogi i nędzarza w łachmanach, a nie widzi wartości, objawiających się w młodym pokoleniu. Pisać powieści, dzieła sceniczne i poetyczne nie płacziwe, nie z łez, ale z dębiny, aby przy czytaniu dusza rosła. Przedstawić bohatera, radującego się życiem, pracą dla siebie i dla ogółu, a w tym twórczym działaniu, żeby zapomniał o zemście, o krzywdzie, o krzywdzicielach, żeby nie wywijał batem i nie groził pięściami tym, którzy w grobie dawno leżą, ale aby szedł w przyszłość, wyrabując siebie i drugih spod nawarstwień zła, błędów i nędzy. A w tym dążeniu niech nie upada daremnie, niech wciąż walczy z trudnościami, niech je przelamuje, boryka się z twardym losem, pokonuje i zwycięsko dociera do celu. Dzisiaj ulewa, grad siecze, ale idziemy uparcie, bo wiemy, że jutro słońko zaświeci. Niech z progu swej chaty zobaczy nie tylko swoje podwórze, ale sąsiada, człowieka, ludzkość, kraj i świat. Niech będzie symbolem wsi idącej, wojującej. Nie wolno w dzisiejszych czasach szerzyć zwątpienia i tragizmu. Wieś nowa domaga się wiecznego pędu do przekształcenia duszy, do budowania czegoś dobrego. Bohater nie może ginąć zwyciężony, jego działanie nie

może się skończyć rozpaczą. Nie iść z klęskami na dół, w niewolę nieszczęściom, ale z nieszczęść moc wydobywać. I w tej pracy ten powszedni człowiek musi wyrastać na miarę bohatera. Czytamy, że gdzieś w czasach rewolucji chłop niszczył dobra kultury i o tym z dumą piszą. My pragniemy, aby nasz bohater ratował dobra kultury, przemieniał dla pożytku ogółu i przynosił je dla najbardziej upośledzonych. Nie błysk kosi jest symbolem dzisiejszego chłopca.

— Czy wychwalać wieś? Okadzać ją?

— Nigdy — żachnął się. — Umrzyka się tylko okadza, umarłych się wychwala. Jestem przeciwny gloryfikowaniu wartości chłopskich. Nie zaprzeczam, chłop ma olbrzymie możliwości i bogactwa twórcze, ale są one nieopanowane, nieukształtowane, bierne, w uśpieniu.

— I to pan mówi?

— Czyż trzeba się dziwić moim słowom?

— Tak. Słowa wasze zawierają pewne prawdy, powiem, odwieczne, są echem prawd głoszonych przez wrogów ludu. Słusznie zauważył wybitny pisarz J. Niećko, że wstecznicstwo rozpanoszone w Polsce, drąc z chłopca nawet pozory praw, wołało, że lud jeszcze nie dorósł do praw. Gdy pisarze polityczni w trosce o los Ojczyzny domagali się praw dla uciemiężonego włościaństwa, odpowiadano, że lud jest niezdolny do rządzenia, niech wpierw dojrzeje, przy tym dodawano, że jego ideałem jest pieniąż, ziemia i wódka. I strącono chłopca wyzyskanego, poniżanego, deptanego jeszcze głębiej na dno nędzy, gdzie marniał, ginął, gdzie nie miał żadnych warunków rozwoju. I dzisiaj to samo się powtarza. W pewnych okresach można było obserwować odrodzenie haseł, które były wrogiem wsi. Odbierano nieraz prawa i spy-

chano na dno nędzy i uciemżenia, pozbawiano życia duszy i ciała. Jednakże dzisiejsze czasy są inne niż dawniej. Chłop nie może rezygnować z kierownictwa państwem.

— Ale trzeba go wpierw wychowywać, pobudzać, rozgrzewać, urabiać. Musi wpierw zrzucić obarczenia dziejowe będące jego przekleństwem.

— No i zrzuca. Wszędzie to widać! Chłop walcząc o słuszne prawa przygotowuje się do odegrania należnej mu roli w państwie. Każdy kurs, każda książka, każde koło młodzieży, każdy zjazd jest pomocą w walce o należne prawa i w przygotowaniach do nowego życia. Pod skorupą błędów, narosłych nie z jego winy, kryją się olbrzymie wartości, które ktoś z niego musi wydobyć. Dzisiaj jeszcze marnują się ku szkodzie narodu.

— To prawda. Chłop, gdy ma przeciwnika, to walczy zażarcie, gdy idzie za hasłem, to z całą potęgą. I te wartości trzeba zużytkować.

— Jest łatwowierny, choć był tylekroć oszukany i chociaż jest nieufny. Dawniej oszukiwał go dziedzic, karczmarz, a dzisiaj demagog-zbawiacz.

— Gdy chłop osiągnie swój cel, to nie umie go wciełać w życie. Gdy nie ma z kim walczyć, to walczy sam z sobą i zeżre się wewnątrznie brakiem zaufania do najpożyteczniejszych spraw, oszczerstwem, wybujałą ambicją.

— Bo to żywioł, którego sił nie zdołano ujarzmić.

— Brak w chłopie dyscypliny społecznej, która by wpływała nie z górnego nakazu, ale z poczucia swej wartości i godności osobistej, chociaż tak zawsze w zapalczywości woła, że mu o honor idzie. Chłop nie rozumie interesu ogółu w takiej mierze jak swego osobistego. A prze-

cież musimy zawsze zważać, aby interes ogółu był moim interesem.

— Powoli. Tragicznie się pan myli. Musimy rozdzielić te sprawy. Trzeba chłopu dać najpierw najeść się do syta, to wtedy zacznie inaczej czuć i myśleć. Mówi pan, że chłop nie rozumie interesu ogółu. Ależ udowadniał tak często, iż zdolny jest do największych ofiar, że w obronie państwa idzie walczyć, nie roszcząc sobie pretensji do żadnej zapłaty, odznaczeń, nigdy też nie kupczy przelaną krwią i nie domaga się przywilejów. Wystarcza mu świadomość, że spełnił obowiązek. Dawniej płacono mu batem, kiedy wrócił z bojów, dzisiaj nędzą i odebraniem praw. Gdy szło o walkę o prawa wolnego człowieka, rzucił swe ciała jak snopy, które chłopskie ręce podjęły i w szkarłat spowiły i kopce na wieczną pamięć usypały. Na chłopą patrzymy wciąż przez szkła okopciałe, nałożone przez wrogów. Gdybyśmy chcieli pisać oskarżenie, to musielibyśmy rzucić je nie na chłopą, ale na sprawców jego niedoli, którzy wtrącili go w dzisiejsze położenie.

— Cóż przyjdzie z oskarżenia tamtych? Trzeba mieć wciąż na uwadze, że te obarczania dziejowe nadal ciążą. Chłop jest tak dobry, że obieca ponad własne siły i możność, ale z tego nie wywiąże się. Chłop ma opór przeciw dobremu. Na to wpłynęło tyłowieczne wychowanie. Rozważania te zaprowadziłyby nas zbyt daleko — ten bibliotekarz wiejski mówi statecznie, urabia słowa powoli, aby każde miało własną treść, własną wymowę i pulsowało prawdą, wyrwaną z życia.

— Przeżywamy wielkie czasy, stoimy przed ogromnymi przemianami i w takich czasach musimy iść po linii rozwoju największych wartości duchowych i kultu-

ralnych, aby być przygotowanymi, aby być godnymi do wypełnienia zadań społecznych, które czekają na nas. A zawsze uważać, aby nie wpaść w trzęsawisko, jakim jest polityka.

— Znów błędnie użyte słowo. Nie polityka, ale demagogia polityczna. A ta jest szalenie różna od polityki, która jest sztuką rządzenia. Chłop dzisiaj wszystko czyni, aby się nauczyć tej wielkiej i pięknej umiejętności. Demagogia polityczna jest nieszczęściem.

— Sprowadziła zdziczenie i demoralizację.

— Tak jest. Ale też nauczyła wiele. Poseł, do niedawna uważany na wsi za zbawcę, zbankrutował. Wieś przestała mu wierzyć. Lud zrozumiał, że nie Opatrzność, ale my, gromada, musimy myśleć o sobie i własnymi rękami budować swoją dolę. Nieraz pyta się chłop: „Gdzie są ci posłowie, gdzie ci urzędowi zbawcy, pyskujący na wszystkich zgromadzeniach? Zniknęli, bo zniknął też pełny żłób“.

— Ta siła, która będzie ważyła o losach kształtującego się ustroju w Polsce, nie wyjdzie z politykierstwa, ale z wyższości moralnej odrodzonego chłopca. I dlatego wszystko powinno czynić młode pokolenie, aby jego dusza rozrastała się, jego wartości się potęgowały. Chłop, o jakim myślę, potrafi się podzielić z drugim nie tylko kromką chleba, ale też każdą chwilą życia. Czekamy na takiego bohatera, który by rozgrzewał i rozbudzał serce, myśl, rozpalał pragnieniem, aby jego idee urzeczywistniać. Wieś czeka na taką książkę, która by była pokarmem, krwią, ogniem, sercem mocno bijącym, a zarazem drogowskazem do nowej Polski.

Słowa te tłoczą się pod moim piórem, zbieram je, aby żadnego nie uronić, ale w pewnej chwili przerywam.—

— Gdzieście kończyli studia?

— No, w szkole gackiej, kurs w Szycach, w tych dawnych, pracowicie studiuję wciąż na boisku przy cepach, no i w długie zimowe noce przy tej lampce. Młody jestem, nie mam doświadczenia i moje sądy są rozwichrzone, ale mówię z głębokim przekonaniem. Zawsze jestem surowy, szczególnie dla siebie. Nie schlebiam też słabościom ludzi i może dlatego idę sam. Ale to dobrze, bo wtedy moim towarzyszem jest książka. Nie zdradzi mnie, nie opuści i da wszystko, co w niej najlepsze: duszę twórczą.

Tak bardzo pragnę wcielić w słyszane słowa jego zapal, jego uniesienie czy natchnienie, z jakim mówił, bo one wyjawiały prawdę o duszy odrodzonego chłopca, nie, człowieka.

Szukam jego oczu, znajduję w nich spojrzenie, jakby blask ognistego miecza. W takich ciasnych, nędznych izbach pochodnie płoną.

II

Rozmowa z chłopskim bibliotekarzem zrodziła pytanie, które rzuciłem w świetlicy Uniwersytetu im. Orkana: jaka ma być powieść dla wsi?

Każdy z uczestników zebrania swobodnie wypowiadał swoje zdania, a to nie były młodzieńcze okrzyki o tyle głośne, o ile puste, ale przemyślane, przeżyte przy cepach, przy pługu, wyrosłe z zadumy. Każdy tworzył własny świat urobiony w różnych warunkach. Byli wśród nich synowie małorolnych, bezrolnych, komorników, bandosów, jak też i synowie zamożnych kmieci.

Młodzież ta pochodziła niemal z wszystkich zakątków Polski, toteż można powiedzieć, że w pewnej mierze dali zupełny obraz pragmiej i tęsknot ogółu czytającego. Ich upodobania są odbiciem upodobań zbiorowości chłopskiej.

— Książka to ucieczka z twardego życia, z ciasnej, mrocznej izby, z barłogu w inny, lepszy świat fantazji stwarzanej przez pisarza. Dawniejszy chłop uciekał w krainę powieści Rodziewiczówny i Sienkiewicza, bo okazywały mu przygody ludzi romantycznych, w atmosferze idealizmu, poświęcenia. Jednakże obecnie następuje zmiana. Pewnie, że wymienieni autorzy są najbardziej poczytni, ale młode pokolenie po przetrwaniu i przemyśleniu ich książek idzie dalej i żąda innej treści, innych postaci, które by wcielały w życie nowe idee, mówiące o przeobrażeniu człowieka i świata. Dzieła Sienkiewicza i Rodziewiczówny wyrosły w czasach niewoli w dworach szlacheckich, toteż głoszą przebrzmiałe prawdy, nakazy, nieraz zbankrutowane, ludzi odchodzących do grobu. — Gałąź ta usycha, marnieje, czyż więc owoce z niej zrodzone są zdrowe, czy mogą karmić chłopca? — zadawali pytanie. — Książka dawna nie będzie pożywnym razowcem dla żywej wsi, potrzebującej krzepkich sił.

Dotychczas jedni z autorów widzieli same ujemne strony i umieszczali wieś w gnojowisku, inni znów znajdowali pawie piórka, widzieli samą kolorowość, a nie chcieli zobaczyć, czym chce chłop żyć, co czuje, czego pragnie. Żeby to zobaczył autor, musi tkwić korzeniami we wsi, w jej troskach, bólach, radościach i porywach. Miasto wypacza rozum chłopski i poczucie ziemi. Mieszczuch widzi wieś z wierzchu, drzewa mu szumią, pastuszki fujarki kręcą, a nad chłopkiem idącym poczu-

ciwie za pługiem skowronki śpiewają. Te wieszczę fujarkowate uśmiech budzą na wsi. Inni widzą bosc nogi i obdarte łachy i wołają o litość, żeby ktoś ochłap cisnął. Taka literatura nie odpowiada potrzebom wsi. Dużo się mówi o niedoli, o tym, że chłop niezdolny do czynu. Nie sztuka rzucać oszczerstwa lub oskarżać, jeżeli się nie zna przyczyn tego przekłętego stanu. Właśnie zadaniem książki jest wyrywać z tej bierności, napęlić pragnieniem czynu. Niech piszą dla młodych, bo starzy czytają tylko kalendarze, broszurki brukowe i odpustowe. Okazać nieporozumienie między starym a młodym pokoleniem, jego życie dążące do prawdy i rozwoju. Starzy nas posądzają, że my walczymy z religią, a my przeciwnie chcemy czerpać z religii twórcze siły dla dobra społecznego. Starzy nie chodzą na nasze kursy, zebrania, bo księdza się boją. Dzisiejszy odrodzony chłop odróżnia Boga od księdza, religię i prawdę ewangelii od kleru. Trudno starych wydrzeć spod pieca. My chcemy lepsze życie zobaczyć, a oni już tylko o niebie myślą, oni różaniec zaciskają w palcach, a my chleb chcemy zdobyć, aby Boga zobaczyć w radości i szczęśliwości. Starzy mają martwe serca. My chcemy chłopskiemu narodowi pokazać wielki cel, chcemy wzywać do energii, pobudzać do ofiary, do mocy i potęgi. Naród twórczy nie może patrzeć w przeszłość, aby karmić się nią, bo przeszłość może być próchnem, złotem lub purpurą, ale nie jest chlebem. Legendami nawet najpiękniejszymi nie można żyć. Wszystkich musi ożywiać wiara w siebie i wiara w potęgę narodu. Żywotność można mierzyć wielkością czynów. Naród, który tkwi w miejscu, gnije, naród, który stracił wiarę, to kaleka — godny tylko kopnięcia.

Niemal wszyscy o tym samym mówili, o czym już niejednokrotnie słyszałem na zebraniach i w pogwarkach z działaczami: Powieść nie może być studnią, z której czerpie się łyżę; dość ślamazarnej miłości, dość cierpienia i biadania na nędzę, niedolę chłopą, dość budzenia współczucia, które jest plewą, dość gadania o ciemieniu, dość wleczenia na cmentarze, aby rozpamiętywać wspomnienia batów i krzywd, dość liczenia ran. Już raz przestać wyszukiwania w łąchmanach wszy gryzących brudne ciało, aby pokazywać z płaczem: widzisz jakiś upośledzony. Polska nie jest ani relikwią okrytą szkarłatami, ani trupem spowitym w całun, ani nędzarzem w łąchmanach. Polska jest potęgą żyjącą twórczymi czynami jej synów, jej potęgę mierzy się wielkością serc, miłością pracy i poświęcenia. Odetchnąć od gnęby i zgryzu, oderwać się od wszystkiego, co zatrzuwa niemocą, zwątpieniem, goryczą, nienawiścią, natomiast odkopywać zasypane źródła, które by trysnęły ożywczą mocą, wlewały radość, dawały krzepkość, zachętę, wytrwałość. Miłość powinna się objawiać nie w łożach, ale w twórczych czynach dokonanych dla człowieka, dla narodu, dla ludzkości.

Niektórzy z młodych podawali ogólne zarysy, jaką powinna być ta książka. Chcą widzieć bohatera zrodzonego na wsi, leżącej z dala od miasta, pogrążonej w ciemności, żyjącej w ciężkich warunkach, a bojącej się krokiem naprzód ruszyć. Ten syn ciemnej wsi, pod wpływem przypadkiem znalezionej książki, budzi się, narasta w nim świadomość, że nie wystarcza tylko nad sobą pracować, musi dzielić się z gromadą, aby razem zdobywać lepsze jutro. Zaczyna uświadamiać młodzież, zakłada koła oświatowe. W tej książce należy pokazać

krzywdy doznane, warunki, w jakich wieś żyje, nie na to, aby płakać, ale aby twórczy pęd budzić. Wieś przeżywa tragedię, ma bowiem cel, ale nie zna drogi wiodącej do niego, i ów działacz powinien ją wyszukiwać i pokazywać. Powinien wtargnąć w sam środek życia wiejskiego, walczyć z przeciwnościami, tylko żeby się im nie dał pokonać, czy złamać. Zakłada wzorowe gospodarstwo, spółdzielnię pięknie rozwijającą się, towarzystwa służące do oświecenia. I mimo trudności dźwiga wieś gospodarczo i kulturalnie. Ów bohater umie poświęcić siebie i swoje cele dla ogólnego dobra i świeci przykładem innym, usposobionym egoistycznie. Stworzyć należy nowy typ charakteru godnego do naśladowania: bohatera budującego i zwyciężającego, a chłopą z krwi i kości. Żeby po przeczytaniu zdeptany chłop zaczął myśleć, aby wyrastał, zerwał się z zastoju, z mroków, brudu, nędzy i wszystkimi pragnieniami szedł do idealnej wsi i tu, u siebie na podwórku ją urzezywistniał.

Można było zauważyć rzecz znamionną. Przecież zebrała się kupa ludu złożona z różnych charakterów i przekonań, a przecież nigdy nikt nie wskazywał na widmo Szeli jako nakaz, nie kazał chwytać widel, cepów, ale wciąż mówili o budowaniu życia mozołem, w braterstwie, miłości, w poświęceniu dla drugich, które było by obowiązkiem. Jeden wspomniał: „Szela nie może być wzorem dla dzisiejszego chłopą, bo to chłop pańszczyźniany, ciemny, mający w sobie tylko nienawiść. Czy moglibyśmy złączyć się w braterskim uścisku z rękami zbroczonymi krwią?”

Z różnorodnych głosów znać było wielki głód książki, ale odmiennej od dotychczasowych. Stawiali wielkie

wymagania. Kazali poruszać najboleśniej, najbardziej piękące zagadnienia, kazali wydrzeć polską prawdę z izb, z barlogów, spod łąchów, z pustych misek, ukazać wszystkie porywy i pragnienia kształtującego się pokolenia, ale tylko po to, aby zmienić, aby budzić chęć przebudowy, zniweczenia krzywdy, rozpalania wiary w pracę, w prawdę i w człowieka. Mocy! Mocy! Na podobój jutra! To nie książka papierowa, ale książka czynu, zawierająca wskazania i rozwiązania zadręczających pytań: co czynić, aby dźwignąć wieś z upadku? jaką drogę wybrać od człowieka do człowieka? jak wieś postawić na mocnych nogach? jak młodzież wychowywać, aby miała wiarę w siebie?

Tę tęsknotę do nowej książki można by nazwać porwyem religijnym. Młodzi chcieliby usłyszeć ewangelię współczesną, wszystkich obowiązującą i przez wszystkich umiłowaną. Tę ewangelię ma głosić Judym w nowym wcieleniu, wyrosły z serc współczesności, nie ten dawny, bierny, bezwolny mazgaj, marzyciel boleściwy, darzący ludzi współczuciem, litością, słowem ociekającym łzami pod rozdartą sosną, ale taki, który by miał w sobie twardość dębu, krył w sobie płomień, mocny, zdobywczy, pełny siły, łamiący przeszkody, działacz twórczy, „podnoszący duszę chłopą pod powałę Polski“, darzący prawdą, mającą czarność chleba i jasność słońca, ciepło sprawiedliwości a promiennność miłowania.

Kto zna chłopą, ten wie, że wołanie o taką książkę to nie próżne słowa. Czytelnik wiejski nie omiata wzrokiem zdań, on żyje, oddycha treścią, on łączy się z każdym wyrazem, wiąże się nie tylko oczami, ale pazurami i każdym pulsem. Piotr Świetlik, wybitny działacz, wyrosły z czworaków, z nędzy wsi, znający duszę ludu,

powiada, że chłop czytając przeżywa głęboko każdy wielki i prawdziwie piękny utwór literacki bez względu na to, z jakiego narodu czy środowiska pochodzi jego autor. Wieś szuka w książce idei człowieczeństwa, ludzi prawdziwie wolnych, śmiałej myśli, prawdy niczym nie sfalszowanej, aby ją wcielać w życie, szuka mocnych bohaterów, którzy walczą i zdobywają. Ci bohaterzy są przykładami i przewodnikami.

Niektórzy z młodych słuchaczy tego uniwersytetu ujmowali swoje wynurzenia naiwnie, nieraz jednak padały słowa, jakby odrąbane siekierą szczapy od bukowego pnia, twarde, zwarte, świeże.

W pragnieniach młodego pokolenia słychać było łoskot bijącej krwi i łoskot zbliżających się kroków odrodzonego, chłopskiego Judyma — zdobywcy życia.

UNIwersytet wiejski im. Orkana

I

Od szeregu lat postanawiałem poznać prace Uniwersytetu Chłopskiego im. Orkana. Zawsze napotykałem przeszkody unicestwiające zamiar. Dopiero udało mi się to w ostatnich tygodniach. Jechałem w ciężkiej chwili, po przejściach, zdruzgotany wewnętrznie. I wtedy rzuciłem myśli wyświechtane, ale z głębi duszy wyrosłe: gdy biegnę do ludzi z wiarą, zawsze wracam zdeptany, pobity, ze wstrętem do tłumu. Zawsze wtedy myślę, aby być najdalej od jarmarcznego zgiełku i w samotności kształtować własne życie przez ciągłe doskonalenie się.

Wiedziałem, czym jest ów uniwersytet, jakie jego zadanie i działanie. Chciałem tutaj odżyć, rozprostować się duchowo. Przez ciąg podróży zastanawiałem się, co to za środowisko, czy nie spotka mnie rozczarowanie, czy nie odejdę pobity. Spędziłem szereg dni, patrząc na przejawy, które były niespodziankami, odkryciem, nasunęły tyle spostrzeżeń, podpaliły tyle porywów, że wyjeżdżałem z żalem, jakbym żegnał najpiękniejsze przeżycia krzepiące i budzące wiarę w przyszłość, kształtującą się w tak ciężkich warunkach. Tu skrawek innego świata,

tu załazek innego życia, to wspinała samotnia chłopskiej budowli, wzniesionej wysiłkiem i mazołem gromady, aby kształtowała się dusza nowej wsi! Nie — ludowej Polski.

Mieszkają kursieci w chłopskich chałupach, ciasnych, nieraz bez podłogi, wykłady odbywają się w świetlicy domu ludowego, gdzie skąpo drzewa, gdzie skąpo nafty, toteż lampa z trudem rozprasza mrok. Ale nikt ze słuchaczy na to nie zważa, wszystkich wzrok skierowany ku wykładowcy, który dla nich płonie pożarem objawień, dających blask na całe życie.

Nasza chałupina strzechą pokryta. W kuchence ciasnej tkwi na pryczy piszący te słowa. Powąta tak niska, że wyprostować się nie można, bo zaraz uderza się łbem o belkę. W nocy pieją kogutki to gromadnie, zgodnie, to pojedynczo, na wyrwyki, jedne krótko z wściekłością, jakby stara kwoka przypiekała ich serce płomykami, inne przeciągle, rzewnie, jakby rozdzierane serce zawiedzionego najpiękniejsza kokoszka łzami zalewała. Każdy z nich z lubością wsłuchuje się w echo własnych piał i znów powtarza je z zapalem.

— A żeby ci piórko za piórkiem wyskubywali za to, że dziób tak rozdzierasz — klnę i modłę się do kury nad kurami, twórcy nadobnych piejaków. — Że też nie ma takiego tasaka, który by ci łeb uciął. A żeby cię przypiekali na wszystkich moich przekleństwach, po twojej nagłej, niespodziewanej, a jak najrychlejszej śmierci.

Człowiek się modli, srodze utrapiony, a jurne koguty pieją po swojemu niezmordowanie. Gospodarz za nic na świecie nie chce wygnać swawolnego stada z sieni, boby mu się kogutki „pozaziabiały“.

• W sąsiedztwie mieszka „Chrzestny“ — tak powszech-

nie nazywany przez chłopów i przez wychowanków — Ignacy Solarz.

Na czale skromnego uniwersytetu, zagubionego w zapadłej wsi, stoi wychowawca, myśliciel, poeta, który nakazami, poczętymi z głębokich zadumań nad losem ludzkim, stwarza typ pracownika, dążącego do przeobrażenia siebie, człowieka ludu, narodu, ludzkości. „Co dzień dokonywać zbliżenia człowieka do człowieka, rezygnując z egoizmu, z dobra swojego dla dobra ogółu“. „Słowo i czyn zbratane w codziennej orce. W słowie — prawda, a słowo pulsem społecznego serca“. „Ideowość górną wiązać z życiem, aby stawała się rzeczywistością. Ażeby dźwigał się człowiek a drugi mu pomógł i cieszył się tym“. „Wyrabiać w sobie wartości moralne, a te są w życiu ważniejsze niż materialne. Odrodzoną w dobru i miłości duszą, ukształtowaną w pracy społecznej charakterem, witać każdy nowy dzień, który będzie radością dla ciebie i dla innych“. I ten kierownik szarpie, targa, zżera siły na starania o skibę chleba, o łyżkę krup, o naręcz drzewa do pieca, na walkę z przeciwnościami, aby odpowiedzieć na bezpodstawne ataki tłuszczy milczeniem człowieka zahartowanego, wierzącego, czystego w idei, której służy, dla której bojuje, wzniesłego i mądrego w swych pracach. Solarz jest duszą, ramieniem i płomieniem tej placówki, opierając wychowanie na głębokiej miłości, na rozdawaniu swego życia w codziennej harówce.

Obok niego „wykładowcy“ entuzjaści, których podkładem prac jest głęboka wiara w człowieka, w jego dobroć, w postęp ludzkości. Wyrabiają tężyznę, ufność we własne siły, szerzą pogodę ducha, umacniają wolę w spełnianiu obowiązków, prowadzą gromadę do wy-

znaczzonego celu, do innej rzeczywistości, piękniejszej, twórczej. W ich wspólnej pracy jest hart, wiara, moc, jest romantyczne natchnienie. Wszyscy oddani wspólnej idei, streszczonej w nakazie: buduj duszę, a zbudujesz ludzkość.

Uczniami młodzież z różnych wsi, synowie małopolskich, bezrolnych, najemników obok synów kmiecy. Jedni przywędrowali piechotą, inni koleją z dalekich krańców Polski, za grosz wypracowany przy murarce, przy łamaniu kamieni, przy koście, żniwie. Wielu z nich oszczędzało grosz do grosza, jedząc bez soli, nie kupując najpotrzebniejszych przedmiotów, bo gnało ich niepohamowane pragnienie, aby pogłębić wiedzę, aby jaśniej popatrzeć na sprawę ludową i podnieść wyżej ducha chłopskiego. „Chcę zdobyć jak najwięcej oświaty, ponieważ bardzo potrzeba, aby ktoś świecił przykładem dla młodszego i starszego pokolenia. Tę oświatę zdobytą na uniwersytecie, chcę oddać swoim braciom na wsi”. „Chcę wstąpić na kurs dla zdobycia wiedzy, dla odrodzenia się, dla rozkwitnięcia, ażeby później wydać owoc dla społeczeństwa. Trudno żyć, gdy się nie ma wiedzy, szerszego poglądu na świat, taki człowiek, co nie ma wiedzy, to jakby w piwnicy się zamykał”. „Pragnę jechać po to, aby rozbudzić w duszy to, co jest, a drzemie”. „Wybieram się na ten kurs, proszę Boga, abym mógł wszystko dobrze zapamiętać i pojąć, i wrócić szczęśliwie do swoich i pracować dalej, i w ten sposób dźwigać siebie i braci z poniewierki i ciemnoty do nowej Polski”.

W tych wyznaniach obudzona dusza młodego pokolenia woła każdym wyrazem: uczyć się, uczyć się!

Ci, którzy pokończyli uniwersytet, jeszcze nieraz po

latach milami idą tutaj, aby posłuchać wykładów, aby czegoś się dowiedzieć, i zawsze dla nich jest miejsce w świetlicy, a przy wspólnym stole czeka łyżka. Dzielą się zmartwieniami i radościami, donoszą o pracach, zamierzeniach, proszą o radę w osobistych i publicznych kłopotach, piszą, czym dla nich Gać, jaki wpływ wywarła, jak ich przekształciła, dając im to, czego nie znajdują w książkach: rozbudzone serce.

„To jest cud, że ten uniwersytet daje tyle dobrej wiary, tak zapala do pracy. Tutaj zastanawialiśmy się, po co żyjemy, dokąd idziemy, poznawaliśmy to, co człowiek rozwija i udoskonala. To, co nam dał uniwersytet, musimy okazać nie w pięknym przemówieniu, ale w czynie, w domu i gromadzie“. „Nikt nie ma pojęcia, jak dawniej w swojej wsi roślam wewnętrznie — pisze dziewczyna — w jakiej nędzy i przeszkodach, a w Gaci dźwignęłam się. — Gać dała mi te siły, że przy swoim wielkim niedostatku potrafię czuć się szczęśliwą i mieć wiarę w lepszą przyszłość. Wyniosłam pragnienie służenia wsi“. „Czy zmieniłem się tutaj? W czasie pobytu w uniwersytecie poznałem swoje błędy, odczułem potrzebę niesienia oświaty tym, którzy są mniej uświadomieni. Poznałem, co to jest ziemia polska, co to jest naród polski, jakie mam wobec niego obowiązki, nauczyłem się cenić wytrwałość na każdej placówce i nie zrażać się przeszkodami, z jakimi spotykam się w pracy społecznej“. „Stałem się wytrwałym, nieugiętym człowiekiem, stałem się też szlachetniejszym, a to dzięki literaturze i dzięki życiu rodzinnemu, które tutaj spędziłem“.

Wyrwam ze sterty listów urywki, jakby błyski wdzięczności tych wszystkich, jakby odbłaski błyskawic.

Siedzę w świetlicy w czasie wykładu. Na ścianie kilim: orzeł z rozpostartymi skrzydłami, jakby zrywający się do lotu i szponami chwytający słyszane słowa, aby wynieść je w świat. Wśród rozpostartych skrzydeł orla patrzy w zadumie ten, który przeżył wieś, przecierpiał ją — Władysław Orkan. A obok wśród zwałów ciężkich chmur idzie chłop za pługiem. To Ruszczyca „Orka”. Każdy z tych obrazów ma swoją wymowę, jest symbolem.

Słucham wykładów, które należałoby spisać, utrwalić nie tylko słowa, ale też brzmienie głosu, jego podniosłość, aby jeden dźwięk nie zginął, ale w swym najszlachetniejszym kształcie szedł od domu do domu, świecił i głosił ewangelię nowoczesnego chłopą. Są to poematy uczonego, tak bardzo kochającego chłopą, będącego częścią ludzkości.

Patrzę na twarze mocne, wyrąbane gwałtownymi ciosami z drzewa, a jakby natchnione. Patrzę w oczy uczniów. Słuchacze nie oczami, ale duszą pożerają wiadomości, aby jednego wyrazu nie zmarnować. Patrzę na ubrania, mówiące nieraz więcej o życiu, o warunkach, o mozolach, o człowieku niż długa opowieść. Czyści biedacy, którzy od ciężkiej pracy odeszli. Są tak różni, tak odmienni, a przecież zespoleni jedną myślą, szaleńczym pragnieniem: „aby rozwijać się wewnętrznie, zdobywać nową duszę, wzbogacać umysł i pić wiedzę, pić”. Obliczają, ile to godzin przeznaczą się na gimnastykę, na wycieczki i każą znieść je, bo szkoda czasu, a pragną każdą chwilę zmienić w wykłady. „Żeby to ludzie wiedzieli, czym dla uświadomionego chłopaka wiejskiego książka. Nauka — to wielka rzecz”.

Kto stawia oszczercze zarzuty uczniom tej uczelni,

ten powinien wpierv tutaj przybyć — a dla każdego drzwi i serca stoją otworem — posłuchać wykładów, rozmów, wejść do izb, zbratać się z gromadą, usłyszeć puls ich serc, myśli i poznać to twarde życie, gdzie ziemniak i kapusta jest głównym pożywieniem, gdzie tak często nie ma czym w piecu napalić, gdzie Chrzestny, Solarz, siada z uczniami na tej samej ławie, przy tym samym stole, do tego samego posiłku, zespolony z nimi jednym dążeniem, jednym pragnieniem. Po każdym posiłku łączą się ich ręce w łańcuch braterstwa. Ten łańcuch mocno splecionych dłoni jest symbolem i wychowawców i wychowanków, mający przetrwać całe życie. Tak jest istotnie. Dawniejsi Szycaki i obecni Gacaki tworzą rodzinę, która „bezgraniczną miłość i przywiązanie okazuje Chrzestnemu, jakby ojcu, wychowawcy“.

Gdy braknie groszy, a tak często brakuje, to słuchacze uchwalają nie jadać śniadań czy obiadów, szczególnie zaś w niedzielę, bo to dzień odpoczynku, bez nauki, a więc dzień zmarnowany.

Uniwersytet im. Orkana to ognisko kultury chłopskiej, gdzie przygotowuje się młode pokolenie do pracy społecznej, do orki na ugorze, tak bardzo zachwaszczonym i zaniedbanym, gdzie uczą, aby z progu izby jasnymi oczami zobaczyli Polskę, świat i ludzkość.

Patrzę na nich w czasie wykładów, zabaw, odpoczynku, słucham ich rozmów, klótni nieraz zażartych — wszędzie i zawsze rozbrzmiewa powtarzające się pytanie, jakby skrwawionymi palcami szarpali strunę: jaką drogą iść, aby wydobyć się z obecnego położenia nędzy i ciemnoty, jaka Polska ma być, aby praca dla niej była służbą, a nie przekleństwem. — Tyle zagadnień poruszają, bołączek, utrapień, aby wyjść z izby chłopskiej do zagad-

nień polskich i ogólnoludzkich. I tam usłyszałem: „Chrześtny bardzo mnie wzmocnił na duchu swoimi wykładami, postępowaniem i całym swoim życiem. Zrozumiałem, że uniwersytet gacki zmierza do przebudowy naszej duszy, a przez nas do przebudowy wsi i społeczeństwa. Życie powinno się doskonalić. Stałem się lepszym człowiekiem“.

Tak, tutaj powinno się przychodzić, aby się odrodzić, nabrać radości, czynu i wiary w człowieka.

Młodzież uczy się w ciasnych izbach, w ciężkich warunkach, nie dla posady, nie dla świadectwa, bo tych nie otrzyma. Tutaj wychowani przewodnicy ruchu wiejskiego, jakże są inni od dawniejszych polityków, wlokących chłopą od kałuży do kałuży, aby ubabranymi rękami mógł z błota wyciągać korzyści dla prowodyrów.

II

Pytam dyrektora Solarza o zasadnicze myśli, którymi się kieruje.

— Zastanowiło mnie to — mówię — że przed każdym wykładem i po wykładzie wszyscy śpiewają.

— Czynimy to dla wprowadzenia w nastrój i skupienie, dobierając takie pieśni, które by treściowo wiązały się z wykładem i były niejako programem. Wykład kończymy też pieśnią, jakbyśmy żniwny snop wiązali i kładli do duszy. Chcemy, aby się wszyscy rozśpiewali, bo to daje chwile radości, zamyślenia i uniesienia.

— Jakie wytyczne ma uniwersytet?

— Budzić wartości duchowe chłopą. Przyjmujemy tylko młodzież. Wiek jest ważny. Każdy młody pali się zapałem i będąc na przełomie odczuwa głód wiedzy, kształtowania się.

— Jakie przedmioty?

— Ach, w ścisłym tego słowa znaczeniu nie mamy przedmiotów. Historia, literatura, przyroda, nie szczególnie, ale w wielkich zarysach. Jesteśmy zdania, że człowiek nie jest magazynem wiadomości, ale że nauka jest siewem, który plon wydaje. Naszym zadaniem rzucić bogactwo obrazów, przykładów i czynić wszystko, aby rozrastała się dusza. Historia dostarcza tylu zdarzeń budzących odrazę w młodym i tyle zdarzeń godnych naśladowania, budzących porywy i zachwyty. Wykładowca musi żyć dziejami ludzi i czasów, swoim zapalem oddziaływać na słuchaczy i jakby po szczeblach prowadzić ich coraz wyżej, coraz dalej, sięgać w głąb i obudzać, wydobywać drżące wartości twórcze. Wykłady nasze są specjalnego rodzaju. Nigdy czytanie, ale zawsze żywe słowo, bezpośrednie przenoszenie swojej duszy w słowie do duszy drugiego człowieka. Literatura i przyroda mają ogromne znaczenie wychowawcze, pogłębiają, rozszerzają umysł, dają przeżycia uczuciowe, etyczne, estetyczne. My bowiem nie chcemy dostarczać wiadomości, ale pragniemy zachęcać, wskazywać drogę i dawać przeżycia. Nasze wykłady zmierzają do tego, aby masy bierne stawały się aktywne w każdej dziedzinie życia, aby człowiek z nizin tworzył historię i wypełniał ją treścią, nie tylko dźwigał ciężar obowiązków, ale też stwarzał idee i dążył do ich urzeczywistnienia. Mamy wywoływać przeżycia etyczne, aby one przekształcały wewnętrznie, budziły stan zapалу, porywy ideowego, wstrętu, buntu, protestu przeciw stanom czy zdarzeniom. Słuchacz ma aktywnie się ustosunkować do pewnych przejawów, aby go bolały, oburzały, aby dokąś szedł duchowo, a nie tylko wiedział.

Wierzmy, że chłop stanowiący trzon narodu odrodzi Polskę. I ta ambicja udzielana młodym stanowi jedną z sił wychowawczych. Dotychczas postępowano inaczej, chłopu wciąż się mówiło o jego błędach, wadach, o ciemnocie, odbierało się siły, przetrącało krzyż, że zwątpił w siebie i tylko czekał na cud, mogący go zbawić. Jakże ten chłop ukamienowany, wzgardzony, zdeptany może być twórczy? Aby ktoś był twórczy, musi wierzyć w siebie, w swoje siły i wartości. Czynimy wszystko, aby uwierzył w siebie, aby się ruszył z bierności i bezwładu. Pobudzamy godność i dumę, wskazujemy wspaniałe wypadki w przeszłości, zwracamy uwagę na piękno życia wiejskiego, na dorobek kultury ludowej, będącej częścią kultury ogólnopolskiej, na wartości psychiczne istniejące w chłopie, na jego znaczenie jako grupy zwartej, odrębnej, chcemy, aby wyprostował się, śmiało patrzył w przyszłość jako gospodarz, aby wyrabiał w sobie poczucie, że jest uprawniony do działania w społeczności i do tworzenia kultury chłopskiej bez duszy pańszczyźnianej. Okazujemy, co piękne, co dobre, co dąży do postępu, co uskrzydla i uszlachetnia w pracy dla ogółu polskiego i ogólnoludzkiego. Wychowywać wieś, podrywać do czynu, do pracy społecznej. Przez odrodzonego chłopą do nowej Polski.

— Słuchałem dyskusji słuchaczy. Czy dyskusje też należą do programu?

— A tak. Wykład to jednostronne działanie. Słuchacz jest bierny. W dyskusji zaś każdy może wypowiedzieć swoje zdanie i wspólnym wysiłkiem rozwijać czy rozwiązywać dręczące zagadnienia. Dyskusje takie pobudzają do myślenia, zmuszają do wygłaszania i ośmielają wstydliwych i nieruchliwych, powiem, wyrabiają

mówców. Na każdym kroku budzimy świadomość, że tworzymy jedną społeczność, jedną rodzinę. Jemy razem, warunki życia jednego niczym nie różnią się od drugiego, te same strapienia nas biją, razem się smucimy, razem radujemy. Słuchacze pomagają w gospodarstwie, kolejno porządki robią, do stołu podają, usługują, Panuje swoboda. I to jest cenne, bo wtedy łatwo poznajemy, czym kto jest. Błędów nie karcimy, ale zwracamy uwagę, perswadujemy, że byłoby ładniej, gdyby inaczej postępował, oddziaływamy, aby się w duszy zmienił i postępował szlachetnie. I w ten sposób uzyskujemy bardzo piękne skutki.

— Byłem na próbie i na przedstawieniu tzw. teatru z głowy. Jestem zachwycony. Ci młodzi dali obraz pełen werwy, rozmachu, siły. Z podziwem patrzyłem.

— To nasza дума owe widowiska i na teatr samorodny kładziemy wielki nacisk. Życie całoroczne na wsi dostarcza tyle tworzywa, przecież z każdego dnia można widowisko uczynić. Ci chłopcy, którzy nigdy nie byli na scenie, nigdy teatru nie widzieli, sami obierają temat. Na jednym lub dwóch posiedzeniach postanawiają, co mają mówić, a na przedstawieniu wychodzi im zgoła co innego. Przypadek, mgnienie, zdanie stwarza nową scenę, nowe powikłania. W ten sposób wyrabiają w sobie samodzielność twórczą. Grają i tworzą. Z niczego powstaje widowisko, które targa, wzrusza, smaga błędy, każe zastanowić się, porywa do czynu, do rozwoju, okazuje cel wzniosły, wyraża pragnienia, uczucia wsi.

— Budowa uniwersytetu — to wielki czyn chłopski.

Poszliśmy na „górkę gacką“, daleko za wsią wśród pól, skąd rozpościera się widok na całą okolicę. Młodzież tutaj posadziła lipę, symbol rozrostu. Tu każdy kamień,

każda cegła ma własne dzieje nieraz bolesne, ale częściej radosne, krzepiące, porywające. Myśl założenia uniwersytetu powstała w Gaci, wśród młodego pokolenia chłopskiego: „niech to będzie ognisko kultury wiejskiej“, „mamy prawo do zdobywania i kształtowania myśli“. Starzy wysuwali tysiące przeszkód, trudności: a czy damy radę, a skąd brać pieniędzy w tak ciężkich czasach, to ponad nasze siły, a co powiedzą ci, a co tamci. Młodzi odpowiedzieli, nie wolno nam rachować, musimy wierzyć. Wszczepiali tę wiarę w ogół: naszym celem jest budowanie samodzielnej, odrębnej placówki. Na gromadzkim zebraniu szeregu wsi zapadło postanowienie: „uchwalimy: trzeba wierzyć, że musi powstać uniwersytet“. Rozeszły się wici: budujemy. Rosła myśl, dojrzewała, chociaż pewne czynniki czyniły wszystko, aby ją zniweczyć. Inni kpili: „chłop niczego nie dokona, nie ma w sobie instynktu społecznego, umie brać, ale niczego nie da“. Wbrew wszelkim oczekiwaniom chłopci przyrzekli pomoc materialną i moralną. Koła młodzieży deklamowały z miejsca 2 tysiące zł, zakrzętnięto się żwawo, zaczęto zbiórkę drzewa. Stworzono widowisko, propagujące ideę uniwersytetu i konieczność budowy. Zapanała powszechna radość, że spełniają wielki czyn. Kupiono kawał pola na górcie, która stała się symbolem, chłopską świątynią. Chłopi oddali izby swoje bezpłatnie na pomieszczenie dla słuchaczy, byleby tylko mogli sami korzystać z wykładów, oddali zagony pod jarzyny, dostarczali furmanek i rozmaitych świadczeń. Gdzieś chłopska krew się lała dla zdobycia praw, a tutaj w Gaci przystąpiono do urzeczywistnienia nowego życia. Budowano uniwersytet mający być kuźnią odrodzenia. Gromady ze wsi bardzo odległych szły ze śpiewem, z gra-

niem, niosąc łopaty i kawał suchego chleba, jako pokarm na dni ciężkiej, bezinteresownej pracy. „Chcę wmurować choć cegielkę w ścianę chłopskiego dzieła“. To było święto pracy, podjętej z radością i z zapalem. „Dla siebie budujemy“. To wielki wysiłek gromady, poryw jej duszy. Każda bryła wyznajona z rąk chłopskich. Na „gackim wzgórku“ wznosi się zrąb z kamienia i cegły, na motywach ludowych oparty, ofiarnym trudem urzeczywistniony. Giewont chłopski. W nim dzisiaj przekuwa się dusza chłopca pańszczyźnianego na duszę człowieka pełnowartościowego.

Gdyśmy patrzyli na tę budowlę, przyczłapał stary chłopina, który okrążał, dyszał, zażawionymi oczami oglądał, palcami dotykał.

— Wy skąd?

— Z daleka, panocku, z daleka. Wnuckowie wozili cegłę i kamienie, nie mogłem wozić, bom chorował. Skrzepilem się i przylazłem, żeby choć przed śmiercią popatrzeć. Jezu! To same chłopcy wybudowały? Patrzę i dziwuję się. „Wicie, dzisiaj jo pierwszy raz zyję“.

Koła młodzieży przybywały wyrażając gotowość skończenia izb. Chłop małorolny dał pracę, dał grosze wydarte głodnym dzieciom. Pisał niedawno Jalu Kurek, że w Polsce pobudowano wspaniałe pałace dla sportu i pytał: „A gdzież wzniesiono szare pałace kultury duchowej“. Takie szare pałace zaczyna budować chłop z wiarą w przemianę swej duszy, z wiarą we własne siły.

Tutaj skrawek innego życia, innego świata, tutaj praca nad człowiekiem, nad jego odrodzeniem. Solarz i inni bez jutra, bez żadnego zabezpieczenia swego losu targają siły, aż je wyczerpią. Nie! Nie wyczerpią. Są źródłem zawsze bez dna, są pożarem

wiecznie jednak gorzącym, aby każdy płomień oddawać innym, aż zgasną. Nie zgasną, bo zostawią ogień rozniesiony po całej Polsce w tylu sercach, ilu wychowanków tutaj było. Pracują zawsze z tym nakazem, że potrzebny ogromny wysiłek, aby wyrąbać chłopą z zastoju, z martwoty i pchnąć go w wielki marsz ku nowej Polsce. Uniwersytet im. Orkana w Gaci spełnia to zadanie, mając wyciosane w kamieniu hasło: „Własnymi rękami budujemy przybytek odrodzenia ducha wsi, pracownię myśli chłopskiej, ognisko społecznego czucia na odrodzenie braterskiej ludowej Polski“.

ŚLADEM JUDYMOWYCH POCZYNAŃ: WIEJSKIE OŚRODKI ZDROWIA

I

— Wieś pozbawiona jest opieki lekarskiej. Warunki życia i stan zdrowia na wsi są rozpaczliwe. My lekarze na podstawie tego, co widzimy, mamy wrażenie, że pod względem higieny, oczywiście z wyjątkami, nic się nie zmieniło od wieków. Choroba jest wciąż jeszcze dopustem Bożym. Ciemnota, nędza, zabobony, brud, nieufność nawet do najszlachetniejszych poczyznań, wiara w znachorów, to przyczyny obecnego, katastrofalnego położenia — słowa jak ciosy rzucał wybitny lekarz-społecznik dr M. — Powiem, że źródłem największych nieszczęść bywa nieznajomość higieny, nieumiejętność zapobiegania chorobom. Dzisiaj bijemy na alarm, bo zdajemy sobie sprawę, że na zdrowiu wsi rośnie dobrobyt, bogactwo, potęga narodu. Jeżeli chcemy, aby naród rozwijał się, budował przyszłość, walczył, musi być zdrowy i silny każdy obywatel. Najboleśniej myśli rodzą się, gdy zajrzemy do szkół... Tu w Krakowie postanowiliśmy dokonać pewnego doświadczenia. Nie chory ma szukać lekarza, ale lekarz ma jechać do chorego, do najbardziej głuchych i zaniedbanych wsi, po-

zbawionych wszelkiej opieki, aby walczyć z chorobą, uzbrając człowieka przeciw najzacieklejszym wrogom. Zorganizowaliśmy „wiejskie lotne ośrodki zdrowia“. W pewne dni stale wyjeżdża, podkreślam to z naciskiem, lekarz-społecznik z podręczną apteczką, z pewną ilością tranu do zbiorowej gminy, stanowiącej centralny punkt, i tutaj w szkole wygłasza pogadanki do uczniów, poddaje badaniu, organizuje konkursy czystości, opiekę nad matką i dzieckiem, uczy najprostszych zasad higieny, spieszy z pomocą do chorych. Chłop jeszcze w dużej mierze nie odczuwa potrzeby lekarza, wystarcza mu znachor lub brudna babka... Trzeba chłopą wychowywać, unicestwiać jego uprzedzenia i wszczepiać zaufanie do lekarzy.

— No, tak ostro bym nie stawiał sprawy — wtrąciłem. — Chłop nie wzywa lekarza, gdyż go nie stać na to. Jakże często musi sprzedać pół krowy, aby móc sprowadzić lekarza do oddalonej wsi, jakże często wpierw przed wyjazdem do chorego musi wystawić weksel.

— Tak, nie zaprzeczam temu... Lekarz z wiejskiego ośrodka zdrowia dociera wszędzie, nie omija nikogo, wstępuje i do chaty nędzarza, i do bogatego gospodarza, bo jednakowoż woła go nieszczęście. Dziesiątki matek spieszy na pogadanki, słucha z przejęciem, aby każde słowo wcielić w życie. Przed domem, gdzie „urzęduje lekarz“, czekają wozy, aby zawieźć do oddalonych wsi, czekają ubodzy z zastarzalymi chorobami, czekają matki z niemowlętami, wszyscy, którzy by nigdy nie wezwali pomocy. Widzimy zmianę i postęp w domach otoczonych naszą opieką. Możemy z dumą powiedzieć, że pomysł tych ośrodków zdrowia zrodził się na bruku krakowskim, i, mimo rozlicznych trudności, a nawet na przekór im,

został urzeczywistniony i zdał świetnie egzamin. W dzisiejszych tak ciężkich warunkach to jedyna droga prowadząca do uzdrowienia wsi, tak bardzo nieszczęśliwej i opuszczonej.

Postanowiłem jechać z lekarzami, aby spojrzeć na ich walkę z zabobonem, z brudem, aby uradować duszę widokiem prac zrodzonych ze współczucia i miłości do skrzywdzonego, nieszczęśliwego człowieka. Był zimowy poranek, smagający deszczem i śniegiem. Gdyśmy mijali wsie, przypominałem sobie ośrodki zdrowia w Jugosławii. Pamiętam domy wzorowo urządzone, zbudowane zbiorowym wysiłkiem, pamiętam chłopca, który z dumą wskazywał:

— To nasze!

— Chętnie pracowaliście? Nikt nie uchylał się?

— To dla naszych dzieci, a nasze dzieci — to Jugosławia. Jeżeli dzieci nasze będą zdrowe, to i Jugosławia będzie mocna. Budując takie domy naszymi rękami, budujemy przyszłość Ojczyzny.

Wszyscy z miłością i wdzięcznością mówili o lekarzach, jakby o dawcach łask, o uzdrowicielach biblijnych. Przypominam sobie rozmowę z serbskim lekarzem, który wyrzekł ku najwyższemu mojemu zdumieniu:

— Wypełniamy nakazy doktora Judyma.

— Czyje? — zapytałem, nie mogąc zrozumieć niespodziewanego wyznania na obcej ziemi.

— No, doktora Judyma z „Ludzi bezdomnych“. W czasie nieszczęść, kiedy czyha śmierć, spieszymy z pomocą. Dr Judym nie chciał być lekarzem bogatych. „My lekarze! My sól ziemi, my rozum, my ręka kojąca wszelką boleść...“ — powtarzam za Żeromskim — jesteśmy na wsi jugosłowiańskiej lekarzami ludzi ubogich,

k którzy pozostawali bez lekarza i ginęli bez jego pomocy. Najszczytniejszy zawód każe nam powtarzać: „Życie nasze całe składa się z pasma poświęceń. Praca nasza jest to walka ze śmiercią. Co może się porównać z pracą lekarza?” Tak, tak, testament Judyma jest dla nas świętością, ten testament polskiego idealisty staramy się urzeczywistnić w miarę możliwości. Gdyby ożył, to by się uradował owocami pracy, poczętej jakby z jego nakazów, z jego łez wylanych nad nędzą tego świata... My, cośmy wyszli z ludu, wracamy do wsi, ale już inni, odmienieni, ze wzbogaconym umysłem, z wiedzą, z uzbrojoną duszą, aby duszę, wiedzę, siły oddać braciom nieszczęśliwym. Oddajemy jeno dług. „Medycyna będzie wykreślała drogi życia masom ludzkim, podniesie świat i odrodzi”. Usiłujemy być tu na wsi służebnikami i współpracownikami takiej medycyny... Czy u was tak samo? Czy liczne są ośrodki zdrowia na wsi? Myśmy narodem małym... Polska jest mocarstwem, więc stan sanitarny wsi jest wysoki, dziecko wasze jest otoczone opieką społeczną od pierwszej chwili życia...

Milczeniem pominąłem te słowa, bom zobaczył rzeczywistość i wołałem, aby mnie raczej wysmagał batem, niżbym miał odpowiadać na te pytania, wyjawiając istotną prawdę.

Drogę do jugosłowiańskich ośrodków zdrowia wskazał mi Kazimierz Wyszomirski, głoszący tę ideę od szeregu lat z zapałem i wytrwałością, na jaką w pełnej mierze zasługuje. Twórcą ośrodków zdrowia w Jugosławii jest dr Stampara, wielki przyjaciel Polski. Po wsiach zbudowano w ciągu kilku lat około 200 domów zdrowia, a każdy z nich odgrywa niezmiernie ważną rolę. Tutaj bowiem ogniskuje się wszelka praca nad podniesieniem

zdrowotnym, gospodarczym i oświatowym. Sala przyjęć dla lekarza, łaźnia, biblioteka, sala zebrań, sala teatralna, mieszkanie dla lekarza, dla higienistek, pokoje dla spółdzielni. Tutaj uczy lekarz higieny, walki z chorobami, wychowania dzieci, tutaj też toczy walkę z alkoholizmem. Lekarze udzielają bezpłatnej porady, na każde wezwanie spieszą z pomocą. Higienistki badają warunki życia, otaczają opieką dzieci, pouczają matki, roztańczają nadzór nad niemowlętami, które są ważone i mierzone co miesiąc. Tak samo dzieci szkolne są ważone i mierzone, a dwa razy w roku są badane. Dzieci mają bezpłatną kąpiel co tygodnia, starsi zaś za minimalną opłatą. Lekarze to nie wyrobnicy, „którym idzie o zapłatę za pomoc, ale entuzjaści i misjonarze spełniający ważną rolę społeczną, toteż są uwielbiani i kochani przez lud, jakby zbawcy“. I jeszcze jedno: „lekarze spółdzielni obchodzą domy mieszkańców swego okręgu, badają warunki życia i mieszkania i starają się usunąć wady, wpływające ujemnie na zdrowie“.

Wspominając jugosłowiańskie ośrodki zdrowia patrzyłem na domy niskie, zgarbione pod ciężarem strzechy, na gnojówki przepływające przez podwórze popod drzwiami i oknami, patrzyłem na dzieci człapiące w chodakach ojcowskich, na dzieci bose, widziałem ich twarze bez krwi i pomyślałem:

— Kiedy to dziecko powita uśmiechem życie? Kiedy zniknie brud, ciasnota, nędza i barłogi?

Jechełem na wieś, aby być świadkiem bolesnych zdarzeń, rozpaczliwych zmagañ z chorobą, która przeciw ciosom najbardziej zabójczym ma pancerz, ma twierdzę nie do zdobycia: nędzę. — Nic mi nie zrobisz — urągliwie odpowiada. — Gdy głodnemu dasz jeść — ustą-

pię, gdy bosemu sprawisz buty — odejdę, gdy mu zbudujesz ciepły kąt, nie spotkasz mnie. Ale nie jest w twojej mocy, abyś to spełnił, więc drwię z twoich wysiłków, bezsilny lekarzu.

II

— Co za radość, co za radość! — krzyknęła lekarka dr E. wchodząc do izby — jest miednica, ręcznik. Nareszcie będę mogła umyć ręce.

— A dotychczas? — pytam.

— Ano lali mi z kwarty wodę na dłonie na podwórzu, i to w czasie nawet największych mrozów. Trzeba wszystko wywalczyć i wyprosić.

„Gabinet przyjąć“ mieści się w domu ludowym, w którym wieczorami zbiera się młodzież wsi. Izba skromna, parę stołków i prosta ława, służąca za kanapę do badania, piecyk żelazny przytulony do kamiennego pieca. Na ścianach ilustracje wycięte z pism, służące ku ozdobie, a więc biały orzeł zastygły w czerwieni, Kościuszko w sukmanie, ściskający rękojeść szabli, głosi prawdę o chłopie, Mickiewicz zadumany, że choć w ten sposób zbłądził pod strzechy. W kącie radio łąwi muzykę, podczas której chłopcy dziarsko przytupują. Zimno. Trzeba napalić. Szkoda czasu marnować, więc lekarka spieszy do szkoły, bo tam zapowiedziana pogadanka o czystości. Gromady dzieciaków w ławkach wpatrzone i zasluchane, aby nie stracić słów uczących jak to należy myć twarz, ciało, jak mieszkać, zdrowie pielęgnować, okna otwierać, izbę zamykać, ciepło się ubierać, szczególnie obuwac stopy, bo to źródło chorób...

— A Janek z końca wsi bosy dzisiaj do szkoły przyszedł — któryś wyrwał się.

— Dzisiaj, w takie zimno? Przecież to luty...

Wezwany chłopak wyszedł na środek klasy, aby pokazać nogi gołe po kolana, czerwone, porcięta połatane, kapocinę spiętą pod szyją.

— Jak mogłeś tak przyjść?

— Kiedy mi ciepło — zaśmiał się beztrosko, jakby oczami i wargami obwieszczał najradośniejszą nowinę.

— Dlaczego bosy chodzisz?

— A bo Marysia też chciała iść do szkoły. Teraz tak u nas, raz ona, a raz ja, bo mamy jedno buty na czworo, ale tamci jeszcze nie chodzą do szkoły. Nie wiem, co będzie, jak pójdą. Dzisiaj Marysi dałem buty; niech chodzi codziennie w butach, bo chorowita. Mnie tam nic, ja zdrowy, mogę chodzić bosy.

Nastąpiło badanie dzieci. Wstrząsający obraz, zatrważające myśli na widok tej przyszłości narodu. „Chłop jest wzorem zdrowia i tężyzny“. Słyszę słowa: „tata mówi, że choćby dziecko zjadło raz dnia, to nie umrze“. Te dzieci są potwierdzeniem tego. Sterczące łopatki, zapadnięte piersi, wydęte brzuchy, napchane kapustą i ziemniakami.

Oдноśna liczba uczniów została zbadana, pouczona. I tak co tydzień, klasa za klasą. Ileż chorób, ileż nieszczęść można by uniknąć, gdyby lekarz-społecznik częściej przestąpił progi szkół. Dziecko wiejskie jest jeszcze nadal wyrzucone poza nawias opieki społecznej. W domach grasuje świerzb, wszawica, jaglica; czyż więc dziwić się można, że dziecko się zaraża? A do tego dziecko nie odżywione należycie, kiepsko odziane. Trzeba mieć dużo odwagi, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Prawda jest zbyt okrutna.

Spiesznie podążamy w stronę świetlicy. Po drodze lekarka rzuca porywczo:

— Głosimy wzniosłe hasła, uczymy jak żyć, jak pielęgnować zdrowie. Cóż znaczą nasze nauki, choćbyśmy płuca wykrzyczeli, coż mówić o czystości, kiedy szkoła nie ma studni. Rozpacz ogarnia. W całej wsi są zaledwie trzy studnie: przy plebanii, we dworze i przy drodze. Jedna z wodą zaskórną zakażona gnojówką, nieczystościami, jakie w czasie ulewy strumieniami wpływają przez dziury cembrowiny, druga zamknięta dla ludności, jedynie tylko studnia dworska dostępna dla wszystkich. Wiadra nie ma, bo gdy się sprawi, to ktoś zaraz ukradnie, każdy czerpie swoim naczyniem, które stoi w izbie, stajni, w śmieciach, w gnoju. Tutaj też przejezdni w całej okolicy poją konie, tędy wiedzie droga do miejsca odpustowego, toteż latem setki pielgrzymek przeciągają. W czasie skwaru dzieją się dantejskie sceny. Wody brak, ale karczmy z wódką otworem stoją. Gorzałka tańsza niż woda. Ciemnota, brud, nędza, brak wody, to główne przyczyny tego stanu, w jakim się wieś znalazła. Wzorrowe studnie — to paląca sprawa. Gdzie panował tyfus od lat, wygaśł natychmiast po zaprowadzeniu wodociągów. Woda... woda... — to podstawa zdrowia. Roztoczyliśmy opiekę nad szkołą, po raz pierwszy zbadałiśmy dzieci i warunki ich życia. Powiem otwarcie, rozpaczliwie się przedstawia stan zdrowia. Nie ma słów dość czarnych, które by zdołały odmalować ten stan!

Krótką wędrówką po domach, aby zbadać, czy nalezycie wypełniane są polecenia co do czystości, wychowania niemowląt, zostających pod stałą opieką lekarki. Nieraz trzeba zajrzeć do garnka, do konewki, wiadra, w kąty, na barłogi. Jakże często można spotkać to, co

jest zaprzeczeniem wszelkich zasad higieny, jakże często przychodzi na pamięć powiedzenie, że tak wiele można by dokonać miotłą. Chciałoby się krzyknąć: chwyćcie miotły, łopaty, motyki, aby wygrzebać się z brudu i zaniedbania, chwyćcie wiadra wody, wapna, wyszorujcie okna, obielcie ściany, rozwalcie drzwi, aby wdarł się prąd świeżego powietrza do kątów, gdzie konserwuje się zaduch pamiętający czasy piastowskie.

Lekarka cierpliwie poucza, co należy czynić tanim kosztem, a co przyniesie ogromne korzyści. A tak często słychać odpowiedź: Żeby to było co jeść, to by się dużo zrobiło.

Matki odwijają poduszki, z dumą pokazują niemowlęta.

— Widzi pani, jak mi się ładnie chowa. Pierwsze tak. Inne umierały, a to różne krosty, a to różne choroby. Żadne nie było zdrowe.

— Wypełnia pani polecenia? Osypuje pudrem, który zostawiłam?

— Niechbym nie wypełniała, to bym miała za swoje. Mąż zaraz przyskakuje z zegarkiem: kąp, karm, pudrem osyp, bo już mija godzina, a pierz, a gotuj pieluszki. Jest bezrobotny, to ma czas mnie trapić — żartuje kobieta. — Teraz wiem, co to znaczy chować dziecko w czystości.

— No pewnie — wtrąca mąż — widzę, że to wszystko na dobrze dla dziecka. Ludzie najbardziej się lubią przechwalać chorobami i dziadostwem. Co dam dziecku? Majątku nie mam, to chcę dać choć zdrowie, aby na ojców nie płakało i ojców nie przeklinało.

Matki. odznaczające się troskliwością wobec niemowląt, otrzymują czepek, koszulki.

— Dawniej to nikt o tym nie pomyślał. Jakże się za to wywdzięczyć? Dobrzy ludzie, choć o dzieciach pamiętają.

III

Patrzyłem na pracę lekarzy, starałem się zapamiętać zdarzenia, opisać kilka obrazków wydobytych z kątów, z barłogów, spod łachmanów, a barw do tego zaczerpywałem z życia. Lekarz poszedł ku chatom, ciemne, zaniedbane izby rozświetlał swoją ofiarną pracą, zobaczył wstrząsające sceny, bezmiar niedoli, z którą musi się borykać, walczyć, aby w końcu zwyciężyć. Ci wysłannicy wiedzy lekarskiej spełniają najszczytniejsze zadanie. Jakże często przybywającego lekarza wita uśmiech, jakim chory nędzarz wypowiada radość i wdzięczność, ale jakże często w czasie wędrówki słyszeliśmy: „choroba to dopust Boży. Jak ma kto być zdrowy, to będzie zdrowy, jak ma umrzeć, to żadne lekarstwo i starunek nie pomoże. Wola Boża, a woli Bożej nie trzeba się sprzeciwiać“.

W początkach istnienia lotnych ośrodków zdrowia zgłaszały się babki ze swoimi chorobami i utrapieniami, a więc te, które nie miały niczego do stracenia, później dzieci, kobiety, w końcu Żydzi. To był znak, że lekarze lotnego ośrodka zdobyli ogólne zaufanie i zawojowali wieś ofiarną pracą. Istnieje tutaj zasada, której złamać nie wolno: każdemu, kto zapuka, każdemu potrzebującemu lekarz musi udzielić pomocy. — Wszelkie porady są bezpłatne. Jednakże „pacjenci“ powinni składać choćby najdrobniejszy datek wedle swej możliwości, bo te fundusze idą na lekarstwa dla biednych.

Przed „gabinetem“ czekają wozy z chorymi, kiedy indziej posłańcy, z którymi trzeba iść czy jechać do odległych wsi, to znów matki pytające, jak żywić, jak karmić, jak kąpać, aby niemowlę było zdrowe i dobrze się rozwijało. W „izbie przyjęć“ ciepło, bo w żelaznym piecyku aż huczy ogień, ale nie widać ani jednego drewnienka, ani bryłki węgla, aby później dołożyć. A tu trzeba spędzić cały dzień... W „poczekalni“ — jest to sala teatralna — zupełnie zimno. Patrząc na tę izbę, gdzie prosta ława jedyną pomocą, pomyślałem, jakże daleka droga od tych nor do tamtych domów we wsiach jugosłowiańskich. Ani jej przemierzyć...

Przesuwają się obrazy, rodzą się pytania, odpowiedzi, mogące odzwierciedlić tragedię wsi.

Matka zdjęła chusteczkę z twarzy niemowlęcia. Na głowie pokrywa ślimacząca się, żółto-czarna od ropy i brudu. Między wargami strup, jakby wbity gwóźdź.

— Niechże go pani odwinie, muszę zbadać — mówi lekarka.

Kobieta rozplątuje węzły paznokciem, zębami, odkrywa poduszkę, odwija pieluchy, wydobywa dziecko czerwone, kalecze, pokraczne, mające na plecach, na piersiach strup na strupie. Wrzody obierają i pękają. To dziecko podobne do żaby leżącej na grzbiecie, taki sam wzdęty brzuch, tak samo nędzne, patykowate nogi. Wargi pękały. Wydierał się pisk. Już sił nie miało, żeby zapłakać. Zdawało się, że coś rozszarpuje wewnętrzności. Niemowlę drgało, jakby usiłowało całym ciałem coś z siebie otrząsnąć i zrzucić.

— Trupówka nim trzęsie — objaśnia matka.

— Co?

— Ano takie zimno.

Wtedy rączka małego drgnęła, zachwiała się, podniosła i posuwała się powoli, powoli, ledwo widocznie. Myślałem, że nigdy nie dotrze do swego niewiadomego kresu. Zastygła na piersiach, ugrzęzła w ranie. Ale wyszarpało ją i znów powoli posuwało. Rączka dźwignęła się, wsparła na brodzie i dalej postępowała. Nagle znieruchomiała. Drobne, różowe palce wpiły się w kąt między wargami, ujęły coś i długo mozoliły się, usiłowały wyrwać jakiś najstraszliwszy ból. W końcu uporały się. Rączka opadła jak złamana wskazówka. Na policzku został znak czerwony: krew i ropa.

— Jak mogliście dopuścić do tego? Co za matka, co za matka — oburza się lekarka.

— Nic mu nie będzie. To wychodzi z wnętrza chorość i wysypuje się na wierzch, wszystko z niego wylezie i będzie bieluskie i ładne. Każde dziecko na wsi tak samo.

— To wasze niedbalstwo, brud. Trzeba było kąpać, w czystości chować. Wy matka nie czujecie, jak ono cierpi? Zamęczycie dziecko.

— Jak będzie do życia, to będzie żyło, a jak ma umrzeć, to umrze. Nikt nie pomoże, nikt nie zratuje, ino Pan Jezus.

— Aleście przyszli.

— Bo ludzie na mnie warczeli: idź, idź. We wsi wszyscy mówią, że pani pomocna jest. Dziecko mojej siostry takie same chrościska miało, a pani kazała kąpać, co trzy godziny dawać jeść, sok z marchwi wyciskać, i pomogło. Teraz dziecko takie bieluskie, aż radość patrzeć. Chrościska znikły. Matka zła, jak dziecko chore, a pomocy nie ma, to by go rozdarła i mówi wtedy: „po co ma żyć, po co ma się poniewierać na tym świecie?”

Cóż lekarka miała odpowiedzieć? Dobrze, że ta kobieta ma zaufanie i przysłała. Wydobyła więc lekarstwo z podręcznej apteczki. Pouczyła, jak należy kąpać, ile do wody dolać tego płynu z flaszki, jak należy karmić. Jabłek nie ma, więc utrzyć marchew, wycisnąć przez czystą szmatę sok i dawać po łyżce. Już nie karmiła, ale tłumaczyła, objaśniała, przemawiając do macierzyńskiego serca. Kobieta wchłaniała słowa, już nie tylko uszami, ale oczami, rękami, całym ciałem.

— Każdy może przyjść, każdy może zapukać, ale wy wolicie pukać do św. Piotra. Jeżeli nie będziecie wypełniali ściśle tego, co mówię, to dziecko zostanie kaleką. Przez was.

— Cóż ja winnam? Krwi bym z boku utoczyła. Chciałabym dobrze wychować. Czy wiem, co robić. Nie dziwujcie się, pani. Żeby matka wiedziała, co robić z dzieckiem, to by robiła. Czy myślicie, że tylko moje dziecko takie? Wszystkie we wsi. Ciężkie życie dziecka od małości.

— Chodziliście do szkoły, to was uczyli higieny.

— Ej Boże, ej Boże, w zimie coś liznęłam nauki, a w lecie trzeba było paść, za krowami latać.

— Powinien ktoś matki pouczyć.

— Kto miał pouczać? Dopiero pani pierwszy raz. Tak robiła matka, tak i ja będę robiła — mówi córka. I tyle dzieci marnuje się. Czy my widzimy kiedy doktora? Kto nie ma na lekarstwo, to musi umierać. Teraz dopiero pani przyjeżdża i idzie do każdego. Żeby to dawniej tak bywało, żeby kto pouczył. Ludzie we wsi ciemne i ślepe. Nikt światła nie przyniósł.

I znów korowód dzieci. Znów karcący głos, jak mogliście tak zaniedbać, czyż serce wam nie pęka?

— Wyboli, wyboli i będzie zdrowe, albo umrze. Zawdy tak na wsi.

Znów pouczenie, słowo za słowem, jakby ktoś kliny wbijał w dębową ścianę, przez tyle godzin, aż w końcu wypada głos zdarty, ochrypły.

Na widok obrazów pełnych grozy wydiera się czasem skowyt, czasem przekleństwo, nieraz chciałoby się z pięściami skoczyć i krzyżeć.

— Zbrodniarze! Tak... Gdyby nie byli tak bez winy. A oni...

Po ich wyjściu lekarka mówi:

— Wszawica, wszawica na porządku dziennym. Wagon mydła na wieś. Jest wszawica, a oni mówią, że się główka rozlała, więc nie należy z tym walczyć. Nie myją główki dziecku przez całą zimę. Wiadomo, co z tego wytwarza się. Kołtun. Każde niemal dziecko ma krzywicę, lub też jest w przededniu jej. Głowa miękka jak pergamin. Skorupy z głowy nie wolno zmyć, zdjąć, boby choroba weszła „na wnątrze“. Tak wyglądają niemowlęta w 90 wypadkach na sto.

Za drzwiami ścisk. Każdy się spieszył, był najważniejszy, jego choroba największym nieszczęściem. Czekał lata, miesiące, tygodnie, ale teraz nie miał chwili czasu. Drzwiami i oknami wdzierała się nędza i ciemnota chłopka z wszystkich okolicznych wsi, krzyczała o sobie, o życiu, okazywała choróbska zestarzałe, odwieczne, jakże często zrodzone w niechlujstwie, w brudzie, a żerujące w zabobonie. Ta nędza czasem nie skarżyła się, nie wołała, tylko niemym, beznadziejnie smutnym wzrokiem opowiadała.

Wszystkich trzeba zbadać, dać lekarstwo, czy zapisać receptę, pouczyć, aby była czystość w izbie, żeby

przewietrzać, żeby ład panował, żeby mydła używać i wody. Już tyle godzin pracy. Nie wolno spocząć, nie wolno spojrzeć w okno, czy słońce świeci, czy już mrok. Trzeba cierpliwie wysłuchać skarg, biadoleń. A czasem krótkie pytania i odpowiedzi, jakby ciosy noża w rany buchające krwią.

— Ile ludzi w domu? — Dziewięcioro! — Ile dzieci? — Siedmioro! Ile umarło? — Sześcioro! — Ile najmłodsze ma? — Sześć miesięcy. — Ile macie lat? — 45. — Dlaczegoście nie przywieźli dzieci? Należy wszystkie zbadać, bo jesteście chora. — Jak przywieźć? Daleko. — Najać wóz? — Skąd wziąć? Teraz na wsi jeden dla drugiego kat. Żeby sąsiad, żeby krewny, to by nożem ciało do kości okrajał, skórę obdarł. — Ile macie ziemi? — Mórg i ćwierć. — Co mąż robi? — No nic. Do piekła by poszedł na robotę, ale nigdzie nie ma. I tak się kwasi. Bardzo nędzne nasze życie. — Jak można wyżyć w takich warunkach? — Musi się. Żeby ino dzieci zaspokoić. Co tam my, byle czym się obejdzimy. — Jak z obuwiem i ubraniem? — Jezusie! Jedna para butów w domu. Dzieci chodzą boso. Najgorzej ze szkołą. Póki można, owijałam dzieciom nożyny szmatami, com popatrzała, tom płakała, ale nie dawałam poznać po sobie, ino prosiłam: idź do szkoły, bo to twój majątek na świecie, nauka do serca, światło w oczy. Może się kiedyś wspomogę. — Jak z chlebem? — Ze swojego jest wyżycie tylko do grudnia. Jakby pani teraz do mnie zaszła, to by zobaczyła, w piwnicy będzie z worek ziemniaków, w beczce może dwa albo trzy wiaderka kapusty, a mąki nie ma ani tyle, co by do jednej garści wziął. Od grudnia bierę na burg. Kupiec ma dobre serce i lituje się. U innych jeszcze gorzej... — Jak za-

placie? — Żyje człowiek nadzieją: może w tym roku będzie lepiej, może droga w świat się otworzy. Jak się roboty nie otworzą, to nie będzie wyjścia. Ino nadzieja trzyma przy życiu i cieszy człowieka, że się odmieni...

I znów zmieniły się obrazy, znów strzępy rozmów, a wciąż jednaka opowieść o życiu.

Stała kobieta. Powieki bez rzęs, oczy czerwone jak dwie rany po wylupieniu.

— Rosły mi psie włosy, wydzielali, nie pomogło. W życiu tyle się napłakałam. Nie dziwota. Tyle utrapień. Dzieci chorowały. Z tego moja choroba. Z płaczu przy dzieciach.

— Jakże leczyliście się?

— Różnie... no... tak jak na wsi... to już powiem — po długim wahaniu wyznawała — sąsiadka utłukła cukru i wdmuchiwała mi go pod powieki... nie pomogło, to drugi raz pogryzła i ze śliną plunęła w chore oczy... ale i to nie pomogło...

Jedno spojrzenie lekarki wystarczyło.

— Jaglica! Dzieci wasze chore na oczy?

— Też narzekają, też im psie włosy rosną. Dziwuję się czego, bo przecie nie mają strapień, jeszcze w życiu tyle nie napłakały się, co ja.

— Czym po myciu się wycierają?

— A co dopadną. Tym samym, co ja. Płachtą z łóżka, ale najczęściej moją zapaską.

— Nawet o tym nie wiecie, że wy własne dzieci zarazacie.

— Ja? E, co by znowu. Co też pani mówią — uśmiechnęła się jakby ubawiona głupotą lekarki.

— Przyprawdźcie dzieci, zbadam, trzeba może odeśłać do szpitala.

— Do szpitala? O Jezu Miłosierny, o Przenajświętsza

Panienko! Nie dom na zamordowanie. Dać do szpitala, to żywcem rzucić do grobu...

Już dawno wygasł żelazny piecyk. Przejmujące zimno w izbie. Końca pracy nie widać. Wciąż słychać okrzyki: jo pirszy! jo pirszy. Kościuszko, zaciskając rękojeść szabli, spoziera na te zastępy, mające być przyszłością narodu. Mickiewicz, marzący o zbłądzeniu ksiąg pod strzechy, słucha spowiedzi podpór narodu, patrzy w zadumie na obrazy dzisiejszej rzeczywistości. Tylko Poniatowski uśmiecha się pod dziarsko nadzianą czapą.

Wracamy późnym wieczorem. Mijamy domki uśpione, ledwo w mrokach majaczące, nie rozjaśnione jednym oknem, mijamy to, co jest ozdobą i życiem krajobrazu, wierzyby koślawe, kalekie, jakby żebraki poustawiane przy drodze, wyciągające garście ku niebu, sypiącemu gwiazdy.

— Gwiazdzista jałmużna — myślę — S. O. S. krzyczeń należy na wszystkie strony. — Po chwili głośno dodaje: — Trzeba mieć wiele sił, samozaparcia, aby podjąć się tej pracy. Żywy ogień musi buchać z tych piersi.

— Jaka szkoda, że pan już zużytkował tytuł „orka na ugorze”. Nasza praca jest tą orką. Tak mało pracowników, a ugor tak bardzo zaniedbany. W tej pracy pionierskiej lekarz musi mieć dynamit w krwi, wielkie ładunki dynamitu, aby rozsadzać skały, wyrosłe z wiekowego zaniedbania, ciemnoty, zabobonu i nędzy.

W oddali wyłoniły się wieże kościoła Mariackiego, w wyżynach czarnych, jakby w aureoli wypromienionej z mroków. Oczy spoczęły na wyraźnie narysowanej koronie, na jej świetlnej zjawie. Zdawało się, że ktoś ją podjął z czarnej ziemi, aby oddać niebu, ale już sił nie stało, rąk zabrakło, aby ją unieść wyżej. I tak zawisła w mrokach, wśród gwiazd, samotna korona, niebu podawana z wieży mariackiej.

CHŁOPSKI DOM ZDROWIA

I

Nie wymieniam nazw miejscowości, bo nie o to idzie, ale o to, com zobaczył, w jaki obraz ukształtowały się wrażenia i przeżycia. Dość powiedzieć, że niektóre miejscowości leżą obok „autostrady“, po której asfaltowanej powierzchni pomykają pyszne auta z całego świata, dość powiedzieć, że w odległości sześciu czy siedmiu kilometrów od ogniska kultury wiekowej, od najwspanialszych zabytków, będących dumą narodową, znajdują się do dzisiaj ostatnie chaty kurne i kołtun...

Po kilku dniach znów wyjazd w inne okolice powiatu z młodym lekarzem dr Ch., który, przed rozpoczęciem pracy w wiejskich lotnych ośrodkach zdrowia, razem z żoną wieczorami czytał „Ludzi bezdomnych“, aby w swych poczynaniach mieć przykład Judyma, jego społecznych nakazów. Już kilka miesięcy pracuje, a każdy wyjazd do odległych i zapomnianych miejscowości, to zwycięska bitwa o człowieka, to usiłowane wysadzenie w powietrze dawnej wsi, pełnej zaniedbania, przesądów, zabobonów, aby na jej miejsce budować nową, ożywioną tęsknotą do słońca, do zdrowia. Dr Ch. opowiadał o początkach swej pionierskiej pracy, o wysił-

kach, rozbijających się o zupełne niezrozumienie i obojętność ogółu. Nie udzielono mu żadnej pomocy, nie ułatwiono w niczym zadania, odmówiono nawet najskromniejszej izby, gdzieby mógł przyjmować chorych. Nieraz spotykał wrogie nastawienie, bo we wszystkich, nawet najszlachetniejszych poczynaniach dopatrywano się mactw politycznych. I ta nieufność kazała pokazywać pazury:

— Znowu chcą wyssać chłopską krew. Ehe! Coś w tym jest, zedrą z ciebie skórę za skórą, ani się spostrzeżesz. Uważać!!! Chłop jest tysiąc razy oparzony, to teraz się boi wszystkiego. Oho, pańskie rządy się kończą, to teraz doktorków wysyłają, zastawiają żelazne paści, żeby chłop dał się złapać, a potem go pod but. Hohoho! Nie uda się obłaskawić chłopca.

Chłop boi się wszystkiego, nawet pracy dla jego dobra, boi się, aby ktoś nie kazał mu uporządkować podwórza, ująć gnojówki, zgarnąć błota, rzucić kilka kamieni w kałużę, w której łamie osi, brnie po kolana.

Z biegiem czasu nabrali zaufania. Higienistka chodzi po domach, bada warunki życia, udziela rad, lekarz troszczy się o każdego, nawet o najbardziej ubogiego, służy wszystkim, nie pytając o przekonania polityczne, o stan majątkowy, bo idzie mu tylko o niesienie pomocy w myśl zasady, że zdrowie jest dobrem wszystkich, że podniesienie zdrowia na wsi jest narodowym obowiązkiem. Teraz we wsi, gdzie nie można było dostać izby, kobiety same ofiarują ją bezpłatnie, teraz chłopci sami mówią: „trzeba uporządkować, wybielić, bo wstyd, żeby doktor w takiej badał, trzeba i kaflowy piec postawić”. Już matki wychowują dzieci wedle lekarskich pouczeń. Mur, jaki wyrósł w ciągu długich pokoleń,

lekarz-społecznik powoli kruszy ofiarnością, bezinteresownością i pracą ponad siły.

— Kiedy patrzemy na owoce dotychczasowych naszych zabiegów, to rośnie zapał — mówił lekarz. — Znać dźwiganie się, ale kiedy ono obejmie ogół? Wielkie zaniedbanie. Ktoś stojący z boku nie zdaje sobie sprawy z ogromu tego. Tysiące rąk trzeba, aby naprawić błędy wiekowego zaniedbania. Każdy wysilek, zmierzający do tego, sprawia wielką radość. Na nas wszystkich spada odpowiedzialność. Wie pan, w niedzielę chłopci zwołują zebranie, celem naradzenia się nad budową „domu zdrowia”. Pomyśleć, że to pierwszy w Polsce dom zdrowia, wzniesiony rękami chłopskimi, ognisko promieniejące na całą okolicę. Któż zmierzy tę radość? Któż oceni znaczenie niezwyklego zdarzenia? W Markowej jest „Spółdzielnia Zdrowia”, chłopskim wysiłkiem założona, spełniająca niezwykle pożyteczną misję, ale nie ma własnego domu, dostosowanego do potrzeb. A tu będzie...

— Czy wybudują? — rzekłem z powątpiewaniem.

— Tak, istotnie, często to samo zadają pytanie i ogarnia mnie też zwątpienie. Mówią, że będzie opozycja. No, ale widzą moją rzetelną pracę i skutki. Ten dom byłby najpiękniejszą nagrodą za nasze bardzo mozolne borykanie się z nieszczęściami wsi.

— A jak się przedstawia sprawa wynagrodzenia lekarza?

— Porady w zasadzie są bezpłatne. Przedstawiciele gminy inkasują po 1 zł lub 50 gr zależnie od możliwości, i te pieniądze idą na potrzeby miejscowego ośrodka zdrowia, a częściowo na lekarstwa dla biedoty.

— Niedawno czytałem zdanie pewnego recenzenta teatralnego — lekarza, który z powodu sztuki młodego

autora, bardzo zdolnego, pisał „o chłopie podkrakowskim, stojącym na wysokim poziomie kulturalnym i cywilizacyjnym“. Czy w tych wsiach jest tak wysoki poziom?

— No cóż, nie dziwię się, owemu lekarzowi, patrzącemu na wieś zza kulis teatralnych, takiego chłopą poznał na obrazach Tetmajera, Wodzinowskiego i innych. Sukmana, rozmach, barwność w słońcu, w sadzie kwitnącym lub pod kościołem. „Podkóveczki dajcie ognia!“ Huha! Huha! No, ale nie każda chłopka była żoną Tetmajera czy Rydla, i taka nie może barwną spódnicą zasłonić rzeczywistego stanu. Szkoda, że ów recenzent jako lekarz nie zajrzał do chałup w zimie, nie zajrzał do garnka, pod kapotę, nie wstąpił do szkoły, nie popatrzył w oczy dzieci. Tam poznałby, w jakich warunkach żyje ów chłop, stojący na tak wysokim poziomie kulturalnym i cywilizacyjnym. Grozą przejmuję... Gdzie ta tężyźna? Cherlactwo, gruźlica, jaglica, krzywica, niedożywianie, brak odzieży, i na takich podwalinach opiera się przyszość i zdrowie narodu. Jednakże młode pokolenie, to najbardziej wyklinane i odsądzane od czci, zdaje sobie sprawę z tragicznego położenia i czyni rozpaczliwe starania, aby zaradzić złu. Widać budzenie się. Jakże jest ono ciężkie! Są jednakże siły, które kamieniami zarzucają, aby chłop się nie ocknął, nie zerwał się do pracy nad uzdrowieniem wsi na każdym polu. I to odczuwamy w swych zamierzeniach, poczętych dla zdrowia. Jedno chcę podkreślić z całym naciskiem: wszystkie nasze wysiłki znajdują poparcie wśród młodego, uświadomionego pokolenia chłopskiego, także wszędzie jest nam bardzo oddane nauczycielstwo, ono usuwa trudności, toruje drogę, każde poczynanie wspiera i stwarza warunki pomyślne; pomocy nie szczędzi też i duchowieństwo.

II

Pogadanka w szkole do matek, bo lekarz organizuje konkurs czystości, który zrazu wzbudził powszechną wesołość, później zastanowienie, ciekawość, aż w końcu gromady kobiet zbierają się chętnie i tłumnie.

— My chcemy dużo się dowiedzieć i dlatego nawet z dalekich stron idziemy, zawsze nas jedno ściga, aby posłuchać, aby nauczyć się innego życia.

Lekarz wyłuszcza w najprostszych słowach zasady higieny, poucza, aby przebić przesady, trafić do rozumu. Żyć w czystości, tęsknić do słońca, oddychać świeżym powietrzem, bo to przynosi zdrowie, radość, szczęście. Dbać o dzieci od chwili poczęcia, bo dziecko to skarb. Ciasnota, zaduch, nędza, brak powietrza, słońca i brud — to najwięksi wrogowie. Więc wieśniaczki odpowiadają, a jakby mimochodem wspominają o chorobach, warunkach pracy, o strasliwym życiu matki, żony, a potem pytają: jak utrzymać porządek w izbie, kiedy teściowa nie pozwala myć podłogi, bo się robi wilgoć, mężowie nie szanują pracy żony i zgnojonymi butami wszystko zbabrzają, jak przewietrzać izbę w mróz, zimno wpuszczać, kiedy drzewa brak, jak wychować dziecko, kiedy czasu nie ma i matka nie wie, w co najpierw ręce wetknąć. Wstać o 4 rano i zaraz uganianiczka po domu, po podwórzu, po zabudowaniach, rozpalić ogień, świni ugotować, do bydląt lecieć, nakarmić, napoić, wydoić. Gadzina, bydlęta pierwsze, bo rozumu nie mają i nie można im wytłumaczyć, tyle wszędzie roboty, to gdzieby koło dzieci był czas. Matka ani się nie umyje, weźmie trochę wody do ust i gębę osmaruje.

— Miednica powinna być w każdym domu — dopowiada obok siedząca kobieta.

— Powinna być, ale nie wszędzie jest. Matki nie dbają. Ale i to prawda, że w wielu domach chcieliby kupić miednicę, ale jak kupić, kiedy na chleb nie ma.

— Brud, zaduch, brak świeżego powietrza są zabójcze dla dzieci — wtrąca lekarz — dzisiaj dziecko chłopskie żyje w strasznych warunkach, toteż nic dziwnego, że połowa dzieci idzie do ziemi.

— A to i lepiej — przerywa któraś — nie będzie tej biedy cirpić, co my. Co człowiek ma za życie? Ani czym pożywić się, ani się w co ubrać, ani gdzie mieszkać. Niech umierają. Dzieci więcej się rodzi niż potrzeba.

— Ino kat może tak mówić — wybucha druga kobieta. — Matka chciałaby dla dziecka jak najlepiej, ale niczego nie umie. Dzieci umierają, bo matki nie umią chodzić kole nich. Matka chce, żeby dzieci zdrowe się chowały, żeby dzieci były szczęśliwe. Ino jak to zrobić? Ile utrapień ma matka, kiedy dziecko jest chore, albo gdy kaleką zostanie. Całe życie zmarnowane. Teraz nas pan uczy, jak dbać o dziecko, jak chować, jak karmić. Dawniej tego nikt nie wiedział. Dziecko płacze, a to trzeba dać ssać, aby było cicho. No jakżeby było inaczej. Przecięby się serce pokrajało z boleści. Ile razy się drze w nocy i w dzień, to matka karmi, bo myśli, że tak trzeba.

— A jeżeli dziecko płacze dalej? — pytam.

— No, trzeba zbić.

— Czyż to pomaga? Może chore? Trzeba zawezwać lekarza.

— E, kto by wołał doktora, i to jeszcze do dziecka. Powiadają na wsi: jeżeli ochrzczone, to niech Pan Jezus

zabierze, bo Panu Jezusowi nie zaszkodzi, a nam będzie lżej.

Po skończeniu krótkiej pogawędki przypada kobieta.

— Niech Matka Przenajświętsza wynagrodzi panu za te starania. Te dzieci, co są pod waszą opieką, już się inaczej chowają, w zdrowiu i radości. Matka nie umęczy się tyle i w dzień i w nocy. Kiedy pomyślę, jak myśmy się chowali w domu, to na płacz mi się zbiera, to serce pęka z żalości. Jezusie! Teraz pan chce, żeby słońce za dziećmi chodziło, żeby się ino dzieci weseliły.

Kiedyśmy szli w stronę „domu przyjąć” — lekarz objaśnia.

— Na wsi — z nielicznymi wyjątkami — nie można spotkać zdrowego dziecka. Świerzb, jaglica, gruźlica, szkrofuły są na porządku dziennym.

— Przed paru dniami jeździłem z lekarką dr E., patrzyłem na dzieci szkolne, wszędzie to samo widziałem.

— Wszędzie rozpaczliwy stan zdrowia wśród dzieci.

Zwalili się gromady chorych. Wszyscy wzywają o pomoc. Trzeba zbadać, dać lekarstwo, pouczyć. Ze szmat, z łachów wydobyte ciała, choroby, brzydota, strupy, wrzody, wszystkie strapienia, nieszczęścia, dolegliwości. Lekarz pracuje bez wytchnienia, aż do zupełnego wyczerpania. Ciężkie, jakby łzami i znojem napełnione godziny, powoli przemijają wśród opowieści wstrząsających. W pewnej chwili przez ciżbę „w poczekalni” przedziera się kobieta, rękami obejmuje lekarza i ze szlochem, z jękiem, woła, prosi, sklamrze.

— Panie doktorze od Pana Jezusa zesłany. Ratujcie! Córnka choruje. Pan Jezus chce ją zabrać. Co my bez niej. Torbę na plecy, kij, i po zebraniu iść na stare lata —

babina zapaską ociera twarz, z zanadru wydobywa węzelek, rozwiązuje dygocącymi palcami, wygrzebuje grosze, stula, każdy do oczu podnosi, wtyka w garść.

— Sama na sól nie mam, pożyczyłam, żeby ratować.

— Mnie nie wolno brać żadnej zapłaty.

— Jakże to tak? Przecie na świecie za wszystko trzeba płacić. Za darmo nic.

— Nagły wypadek. Muszę iść — zwraca się lekarz do zebranych „w poczekalni”.

Człapanie po kałużach, przez błoto, ścieżkami polnymi ku chacie, stojącej na uboczu, strzeżonej przez koślawe wierzby. Ciemno w izbie. W małym żelaznym piecyku dwa polanka drzewa kopcą się. Coś się pitrasi w garnku.

— Zaświećcie.

— Zaraz, panie, zaraz — zakrzętała się staruszka, wspięła się na ławkę i zza obrazu wydobyła gromnicę, a z barłogu wyrwała wiechetek słomy. Długo się mazała przy piecyku, aż w końcu żdźbła się rozżarzyły i przeniosła płomyk. W drżących dłoniach podniosła zapaloną gromnicę. Światło żółte padło skąpo, ale wystarczyło, aby zobaczyć całą nędzę i beznadziejność. Żadnych sprzętów nie było poza ławeczką. Łóżko na środek izby odsunięte. Wilgoć się lała, jakby wszystkie ściany zapłakały nad człowiekiem i nie mogły się utulić.

— Co robicie? Po cóście zapalili gromnicę? Przecież córka nie jest umierająca — skarcił lekarz. — Trzeba ratować...

— Nie gniewajcie się, panie. Gdzieby matka chciała palić gromnicę przy swoim dziecku. Nie ma w domu ani zapalki, ani kanfyny i dlatego gromnicę zapaliłam, żeby poświcić.

Na łóżku chora pod stertą szmat. Bóg wie, gdzie pozbieranych. Worki, chustki, stare spódnice, a pod głowę worek napelniony sianem. Nie można się zbliżyć bez obrzydzenia. Trzeba tę stertę rozgrzebać, wydobyć szkielet wychudzony ze smrodliwych czeluści. Buchnął zaduch, zaszlochał głos matki.

— Wszystko, co jest na świecie, to dam, żeby ino pan doktor ją wykurował. Dzień i noc za pana będę się modliła, żeby pan nie miał w życiu nijakich strapień, żeby Przenajświętsza Panienka strzegła pana na każdym kroku, żeby pan miał radość z żony i z dzieci.

Nawet krótkie badanie wystarczyło, aby stwierdzić śmiertelną chorobę. Wpierw trzeba poszukać suchego kąta, zanim można myśleć o leczeniu. A staruszka śledzi każdy ruch rąk, patrzy w oczy z wiarą, ufnością, błaga, modli się do nich i wierzy, że ów cudotwórca uleczy.

Lekarz unikał wzroku. W końcu nabrał sił i mocnym głosem wyrzekł:

— Zrobię, co w ludzkiej mocy... — przerwał jednak, wybiegł do sąsiadów.

Prośby, zabiegi. Zrazu nikt nie chciał słuchać, nikt nie chciał przyjmować dziadostwa do siebie, aż słowa, przemawiające do sumienia, odniosły skutek, skruszyły kamienie serc. Dwaj chłopci przenieśli łóżko z chorą do cieplej izby. A wtedy dziewczyna westchnęła:

— O Jezusie! O Jezusie, już mi lżej.

A lekarz pouczył, coś nieznacznie zostawił i nie czekając na podziękowanie już podążał do innego domu, szeptał z radością.

— Przecież ludzie są dobrzy, tylko trzeba do nich przemówić.

Znów gdzie indziej matka ciężko chora leży w jednym kącie, a w drugim syn. Lekarz zbadał matkę, zapisał receptę i zwrócił się do drugiego barłogu.

— Co mu jest? Jak dawno leży?

— On już tak choruje od 9 lat, nic mu nie pomaga.

— Był lekarz?

— W tej chałupie dopiero pierwszy doktor jest pan. Skąd było brać na doktorów. Narzekał, że go tu, że go tam boli, no, przykładaliśmy różności, ale nic nie pomogło. I tak leży jak drewno. Ani do roboty, ani do życia. Co on robi, jak ja umrę? Opiekowałam się nim, a co teraz będzie? Żebym niała siły, to bym się zwlekła z łóżka i chyciłabym siekire. Lepsza dla niego śmierć. Jużby się więcej nie męczył. Mnie by też lżej było umierać..

Po nie leczonym zapaleniu stawów nastąpiło zeszywnienie rąk i nóg.

— Czy wy wiecie, że gdybyście wezwali lekarza, leczyli chłopaka, to by dzisiaj był zdrowy i mocny. A teraz to najnieszcześniejszy kaleka przez nieświadomość rodziców. Z waszej winy. Macie go na swoim sumieniu.

— Kiedyśmy go kurowali, ile było mocy, wszystko, co ludzie poradzili, nawet kupowaliśmy wszelejakie lekarstwa — usprawiedliwiała się matka, biorąc Boga na świadka.

— Czy w aptecę?

— Nie. Po żniwach, kiedy jest jaki taki grosz w chałupie, chodzą wędrownicy po wsi i sprzedają lekarstwa okrutnie skuteczne na wszystkie choroby. Takie liki muszą wystarczyć aż do żniw, kiedy znów tamci przyjdą.

— Dlaczegoście nie wezwali lekarza?

— To już czarna godzina przychodzi na człowieka,

jak trzeba wołać doktora. Gdy ktoś z bogatszych zawoła, to trzeba nieraz krowę ze stajni wyprowadzić, doktor nie pojedzie, jak pieniędzy pirwej nie położysz na stół, albo trzeba weksel wystawić, a nie wypłacisz, to ci zagony sprzedadzą. My byśmy też nie wołali nigdy, bo skąd brać. Sami widzicie. Nie wiedzieliśmy, co to dochtór. Chłopu nikt nie pomoże, nikt nie poratuje za darmo. To pan pirszy przyszedł. Jak się wywdzięczyć? Pan chyba nie człowiek, ino anioł dla biednych i potrzebujących ratunku.

Kiedy indziej został wezwany lekarz do domu nie biedoty, ale gospodarza. Pod pierzyną chora, obok niemowlę. Nie trzeba badać. Od pierwszego wejrzenia można osądzić, że to gruźlica. Matka chciała się podźwignąć, podnieść dziecko, podać lekarzowi.

— Wciąż płacze, daję piersi, czuję rozpalone — za brakło jej siły, padła na wznak, a tylko drgnieniem warg wyrzekła, a tylko rozpaczą zabłagała. — Ratujcie dziecko. Tylem się przy nim namęczyła. Mnie przejdzie, nic mi nie dolega, ino żebyśmy sił набраła, bo na nogach nie mogę ustać, ino żeby ten kaszel tyle mnie nie męczył. Nie mogę uleżeć, ten barłóg mnie parzy, bo tyle roboty. Ani kto ugotować, ani uprać, dzieci głodne, nie oprane, brudne. Jezusie, czegoś mnie tak pokarał.

— Lekarz siadł na boku, aby receptę napisać.

— Likarstwo kupię — mówi gospodarz szeptem, słyszonym we wszystkich kątach — nie żałuję, ino żeby pomogło. Jakby nie pomogło, to po co daremnie wyrzucać piniondze przez okno. Już się dość na nią utracilem. Przecie krowiny nie wywiedę ze stajni. Kapka mlika dla innych potrzebna. Zagonów nie sprzedam, bo innym dzieciom trzeba chleba dać...

— Panie doktorze, ratujcie — z łóżka dobiega cicha prośba — deście lekarstwo, żebym nabrała sił, żebym mogła wstać. Dzieci tyle. Jakby zabrakło matki, to wszystko pójdzie na poniewierkę, na zmarnienie. Ciężkie życie sirót. Lepszy kij matki, jak dobre słowo macochy — niemowlę zaczęło się rzucać, płakać. Kobieta wtyka piersi w usta dziecka. Po chwili maleństwo rozchyła powieki i patrzy, jakby w niebo, błękitnymi źrenicami w matkę, która zaniosła się kaszlem. I te drobne, śliczne wargi połykają odpryski gnijących płuc, niosące śmierć.

Lekarz chciał krzyknąć: Cóż wam pomogę? To dziecko nie powinno się urodzić, ono zabiło matkę, a teraz matka każdą godziną swego życia zabija dziecko. Któż uwolni z tego piekielnego koła człowieka? — Coś kreślił, stawiał z trudem znaki. Czy to litery, czy czarne lzy, czy krople potu z czoła spływają na biel? W oczach ogień i lzy. Wyszedł zgarbiony, bez sił. Włókł się przez wieś, dźwigając zwątpienie, które oblepiało duszę jak sterty błota, obarczające buty. Tracił wiarę w siebie, w swoje powołanie i w tę „wiedzę”.

— Jakie lekarstwo dać? Staję bezradny wobec nie-szczęścia. Jak pomóc tym ludziom, oddającym z wiarą to, co najdroższe: życie. Gdyby spojrzeli w moją duszę? Wiem, czego im brak, co ich uleczy: odżywić dobrze, dać czyste mieszkanie, wysłać do sanatorium, stworzyć warunki lepszego bytowania. Ale wpierrw trzeba nauczyć, zniweczyć ciemnotę, najwytrwalszego strażnika ich życia. Czyż to nie tragiczne zadanie: walczyć z upartymi o to, aby słońce mogło wejść między nich, aby zaduch wyrzucić z izb. Chleba nie ma. Prawda. Dlaczego jednak ci ludzie prowadzą walkę z największym

ich dobrodziejstwem na ziemi, ze słońcem i świeżym powietrzem?

Kiedyśmy wracali nocą, przypominałem sobie rozmowę z b. marszałkiem sejmu, z czołową postacią w ruchu ludowym, Maciejem Ratajem. W czasie rozmowy o instytucie kultury ludowej ten wybitny znawca wsi powiedział: „Dzisiaj w Polsce są konieczne dwie rzeczy, a to: aby na wsi mogli używać mydła i aby mogli zmieniać koszulę choć co dwa tygodnie. Jakże często bowiem jednej nie mają. To minimum, na czym można by budować kulturę. A jeszcze i to, aby dziecko miało możliwość nauczania się czytać i pisać. Niech nie chodzi z brzuchem wypchanym ziemniakami. Jestem w wymaganiach dla wsi bardzo skromny“.

Abym dziecko miało koszulę, buty, aby mogło się umyć, aby miało łyżkę strawy, aby mogło iść do szkoły. Istotnie rozpaczliwie skromny program, a tak tragicznie beznadziejny, gdy się widzi stan wsi...

— „Tak, tak, potrzeby ogromne... — ciągnął dalej. — A wszystkim powinno zależeć na tym, aby coś zrobić, aby zaspokoić najpilniejsze potrzeby, krzyczące wielkim głosem. Niestety, nasi lekarze społeczni wydają piękne przepisy, których nie można wprowadzić w życie, gdyż są ustalane w oderwaniu od życia“.

Gdyby wybitny działacz spojrzął na pracę lekarzy z lotnych wiejskich ośrodków zdrowia, to by się szczerze uradował, bo ich zamiary i mozoły wyrastają z potrzeb codziennych i liczą się z życiem.

— Przez zdrową wieś do potęgi Polski!

Zagadnienie wsi w ostatnich latach spoczęło na wszystkich drogach naszej rzeczywistości, na wszystkich drogach wiodących w przyszłość, aby nękać, zadrećcać,

prześladować. Na tym zagadnieniu, na tym kamieniu żarnowym, porzuconym przez Żeromskiego rękami bandosa, potyka się Polska, każdym krokiem, każdym pulsem swego serca.

Do izb chłopskich weszli pisarze, działacze, pracownicy i zadrżeli na widok prawdy i zapłakali, aby potem lży przelewać na papier i rzucili obrazy wstrząsające, pisane krzykiem i płomieniami. Dzisiaj idzie tam lekarz społecznik, aby zakażające barłogi cisnąć w ogień, aby dziecko z mroków dźwigać w słońce, aby smutnym oczom dać jasność, aby wargi obdarzyć uśmiechem zdrowia. A ci chorzy, upośledzeni, błogosławią każde ich słowo, każdy ruch rąk, niosących z cudotwórczych źródeł napój uzdrawiający.

III

W niedzielę, w związkowym domu, zebrali się mieszkańcy okolicznych gromad, starzy i młodzi, gospodarze i komornicy, aby naradzić się nad tak ważną sprawą:

Budowa domu zdrowia!

Młody lekarz wyłuszczał cel zebrania, olbrzymie znaczenie takiego domu dla wszystkich, powołał się na wieś jugosłowiańską, która rzuciła wezwanie: „Sami chłopci muszą wziąć sprawy zdrowia swego w swoje ręce“, dał za przykład wieś Markową, która znalazła drogę najwłaściwszą przez utworzenie „spółdzielni zdrowia“. Jest ogromne niebezpieczeństwo. Jak przed wiekami urządzano wyprawy krzyżowe, tak dzisiaj trzeba urządzać wyprawy lekarzy do walki z największymi wrogami

człowieka, jakimi są choroby. I tu w gminie musimy zbudować taki dom, który by spełniał ważną rolę, ważną służbę. W nim będzie się odbywała walka o zdrowie gromady, walka z chorobami, tu skupi się opieka nad matką i niemowlęciem, tu będzie się szerzyło propagandę higieny, wychowania fizycznego, tutaj będą się odbywać zebrania, odczyty, pokazy pielęgnowania dziecka i chorych, tutaj będzie się mieściła łaźnia. Tu znajdzie też pomieszczenie „Spółdzielnia Zdrowia“. Ten dom będzie służył wsi, chłop będzie jego gospodarzem.

„Zdrowie — to majątek nad wszystkie majątki“.

„Zdrowie ciała — to pogoda i zdrowie ducha, i radość życia“.

„Zdrowie — to szczęście rodziny“.

Długo trwały narady. Każdy wypowiadał swoje zdanie. Ludzie szli na udry, borykali się słowami, chcąc jeden drugiego zmóc. Jedni mówili, że to dobre, ale kto na to będziełożył, inni, że to podrywka na chłopą, inni, że to nieszczęście, trzeba się strzec, bo osiedzie doktor i będzie trapił, żeby gnojówki uporządkować. Uchwalicie budowę, to was kamieniami wyścigają ze wsi, a kamieni dość.

Młodzi zerwali się i jeli prac jak cepami: ino głupi się boi, żeby nie kazali gnojówek uporządkować. Idź w świat, to zobaczysz, że to dla gospodarstwa złoto. Mówicie kamieni dość na tych, co uchwałą. Kamieni dość, ino rozumu mało.

Wybuchło wzburzenie, mało do bitki nie przyszło, ale wkrótce ucichły głosy, jakby ktoś obcasem zdeptał.

— Już było dużo takich panów, co chcieli nas zbawić, a wtrzepali w większe nieszczęście; obiecywali nas z bidy wyciągnąć, a wyciągnęli nas z portek i te portki zabrali.

— Brawo! Brawo!

— Przyjeżdżają na wieś niewiniątka, a to wilki po jagnięta. Każdy, aby ino krew z chłopą wydusić. Ludzie mówią: bedziesz miał zdrowie, ino chleba nie bedziesz miał, bo ci na ten dom ostatnią krowinę wyciągną. Chłop nikomu nie wierzy, chłop jest znękany i boi się każdego kołnierzyka z Krakowa, bo każdy chce z chłopą koszulę zedrzeć.

— Brawo! Brawo!

I kiedy stanął lekarz, aby po raz drugi przemówić, dziesiątki szyderczych spojrzeń go przeszyło.

— Grosza od was nie wywozłem i nie chcę wywieźć. Przez wszystkie miesiące patrzyliście na moją pracę i sami osądzajcie, jaka jest. Nie przyjechałem jako wysłannik tej lub owej partii, ale wszystkim wedle swoich sił i wiedzy służę, bo zdrowie jest dobrem narodu i państwa. Pragnę, abyście zbudowali dom dlatego, aby praca lekarza w odpowiednich warunkach przynosiła największe korzyści wam. Pytacie, kto będzie budował? Wy. Kto może, wpłaci pewną kwotę, kogo nie stać, będzie odrabiał. Mówicie, że boicie się każdego kołnierzyka z Krakowa, bo każdy wam szkodzi. Powiem wam tyle: Moja matka wyrobnica nie mogła mnie kształcić. Po zdaniu matury, lekcjami we dworze zarobiłem na podróż i kiedy przyjechałem z dalekich kresów do Krakowa, to miał 30 zł w kieszeni. Zgłosiłem się z prośbą o mieszkanie w domu akademickim. — Dobrze — powiedzieli — ale musisz przepracować 48 godzin przy budowie nowego domu. — Nikt nie zapytał, czy mam na chleb. Głodny siedłem do roboty, kopałem ziemię, nosiłem cegły. A takich było wielu. Wszyscy chłopscy synowie budowali tak samo o głodzie, aby jutro

wasze dziecko mogło mieszkać za parę złotych w tym domu.

Ucichło. Łomot serc wstrząsał. W żrenicach zda się skamieniałych łzy zabłysły. Twarde pięści tarły oczy.

— Ej Boże, ej Boże, drogo, bardzo drogo chłopskie dziecko musi zapłacić za ten kołnierzyk, aby mu potem na wsi urągali, aby go potem własni bracia poniewierali.

— O głodzie budował dla innych, a my dla siebie nie chcemy.

Zerwał się młody, płonął ślepiami, wydierał słowa i ciskał jak gównie.

— Chłop czeka zbawienia, łaski Boskiej i wszystkich przeklina i labidzi. Kto największym wrogiem wsi? Chłop ciemny. I teraz ten chłop krzyczy: nie budować, bo to podrywka pańska. Mamy dość czekania i labidowania; sami musimy chwycić się do roboty. My młodzi dźwigamy się do nowego życia, szukamy dróg do lepszej przyszłości, żeby wyjść z tego poniżenia. Nasi dziadowie chwyтали siekiery i rąbali kogo dopadli, my musimy chwytać też siekiery, ale inne, aby wyrąbać siebie z nędzy i ciemnoty. A nędzy na wsi ogromnie dużo, a ciemnoty też nie mało. Popatrzmy naokoło siebie, wszędzie na świecie widać wielkie odmiany. Ino u nas na wsi zawsze jednakowo. Chcemy rządzić państwem, ale nie umiemy rządzić własną wsią, chcemy świecić innym, a w naszych głowach ciemno. Powinniśmy chwytać każde światło, co nas oświeci, każde postąpienie, co nas podniesie. Chłop musi decydować o swoim losie i o swoim zdrowiu. Zdrowie jest jedną z dróg do lepszej przyszłości. Wszystkie gromady muszą uchwalić budowę tego domu, bo jest konieczny dla nas. Starzy mówią: to dobre. Jeżeli dla starych ten dom dobry, to dla mło-

dych sto razy lepszy, bo my go będziemy potrzebowali. Kłócimy się, a każdy wie, że nasze dziecko jest głodne, brudne, schorowane, zagrzuźliczone, a ten dom będzie dla naszych dzieci. W tym domu będziemy się uczyli, jak zdrowie trzeba pielęgnować.

— Kto będzie płacił? — Z paru stron zerwały się dokuczliwe pytania.

— Ja, ty i każdy mądry, co chce zdobyć oddech do nowego życia. Cała ludność będzie pracowała i wspólnym wysiłkiem zbudujemy dla dobra ogółu. Pan doktor mówi 1 złoty na rok. Cóż znaczy złoty dla zdrowia? Kto nie ma złotego, da jajko miesięcznie, kto nie ma jajka, to zobowiąże się pracować przy budowie.

— Kto mi da jeść? Kto ci będzie o głodzie robił?

— Nie umrzesz przez jeden dzień.

— Wedle majątku płacić. Bogacze oszukują. Co z bidnego brać? Wszy wytrzesziesz.

— Dziecko bogatego i biednego jednak choruje.

— Czekaj, czekaj, jeszcze głupi chłopie zapłaczesz krwawymi łzami, jeszcze wam ludzie zapłacą kamieniami za to dobrodziejstwo. Ludzie, co robicie? Ludzie! — rozkrzyżował ktoś ramiona jakby chciał wstrzymać napór nieszczęścia.

Ale te ostatnie okrzyki tłum zagłuszył.

— Trzeba mieć wiarę w chłopską moc, to wszystkiego dokonamy.

Wśród oklasków odczytano wniosek: „Gromady zbiorowej gminy X Y na zebraniu w dzisiejszym dniu uchwalają: Postanawiamy wybudować ośrodek zdrowia i na ten cel zobowiązujemy się dobrowolnie opodatkować 1 zł rocznie od numeru i wzywamy, aby wszyscy przyczynili się wedle sił i możliwości do budowy“.

— Kto jest za tym?

Setki rąk się podniosło. Nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Młody lekarz coś mówił, dziękował, radując się zgodą i dziełem, które stanie dla dobra wsi. Ściskając wyciągnięte ręce dyszał rozentuzjasmowany.

— Chłopa zawsze zdobyć można, ale trzeba do niego iść z prawdziwą ideą.

IV

Dzisiaj jeszcze raz przebiegam myślą te godziny spędzone, przypominam sobie obraz chorych, izb, barłogów, treść rozmów i widzę, jak bardzo są potrzebne „spółdzielnie zdrowia“, które mogą spełnić wielkie zadanie w uzdrowieniu wsi. Zapyta każdy, czy obrazy wyżej opisane były zebrane na ziemi poleskiej, najbardziej nędznej i zaniedbanej? Ależ nie. Gdy stanę w drzwiach domu niżej opisanych wsi, to w oddali widzę kształt Wawelu, wieże kościołów, strzelające w niebo, złoty wyblask korony wśród obłoków. A gdy tak patrzę, to mam wrażenie, że te arcydzieła, ta wspaniałość przeszłości odbija się w kałużach błota i gnojówki płynącej niemal pod progiem. Te wsie urody, sukman i rozmachu wyrosły w cieniu szacownych murów najbardziej uroczego miasta, będącego relikwiarzem dumy, piękna i legend.

Widzę pracę garści młodych lekarzy, entuzjastów i społeczników, i uzmysławiam sobie szlachetność ich zamysłów, wielkość ich wysiłków, zmierzających do budowania odrodzonej wsi, dla dobra Polski, która zniweczy krzywdę, która chce być miłością i sprawiedliwością. Rękami, zapalem, wiedzą swoją chcą wyrzeć wieś z zaniedbania, spełniając rolę nauczyciela, wychowawcy, żoł-

nierza, walczącego z nieprzejednanym wrogiem, ukrytym poza murem nędzy, zabobonu i ciemnoty. Piękno w ich pracy i wzniosłość. Trzeba mieć serce płomieniejące wielką ideą, aby czerpać moc, wytrwanie. A trzeba też mieć ogrom zaparcia, wytrwałości, aby nie zwątpić, nie upaść, nie cofnąć się. Ci lekarze muszą się borykać z chorobą, muszą zwalczać nieufność i brak wiary. Walczą o uśmiech dla dziecka, o słońce dla niego, o zdrowie dla przyszłego obrońcy, pomnożyciela potęgi narodu. Nie ustają w pracy, idą wytrwale... Choćby w ciebie błotem ciskali, choćby kamienie miotali, to musisz iść ku tym kamieniom ze słowami, z uśmiechem: dla ciebie człowieku.

Dr Hessek, wielce zasłużony pracownik społeczny, naczelnik wydziału zdrowia, patrząc na pracę tych lekarzy, spieszących ku barłogom, walczących z chorobą w izbach chłopskich, powiedział, że spełniają misję apostołską, posłannictwo pionierów, budujących dzieło z gorzących serc dla brata nieszczęśliwego.

Codziennie wymyka się auto, mknie po bruku obok arcydzieł budownictwa i pędzi ku wsio m nędznym, zaniedbanym, krzyczącym o pomoc i ratunek. Nikt o tym nie wie, nikt ich nie wita, ani nie żegna. Bezimienni następcy doktora Judyma jadą, aby siać słońce na ugorze polskim, z hasłem: więcej powietrza, światła, wody, mydła, chleba.

Słyszę głos młodego lekarza.

— Nie ma jeszcze najwłaściwszej drogi do chłopa. Trzeba rozedrzeć skorupy, aby dokopać się do ożywczych źródeł. Szukają wszyscy laski Mojżeszowej, mającej skałę rozkruszyć. A ta laska leży w gorejącej piersi, a jest nią puls czującego serca ludzkiego. W nas wiara w ideę, którą urzeczywistnimy, w nas moc czynu zrodzonego z prawdy Judymowych nakazów.

PRAWEM NASZYM BRATERSKA SPÓLNOTA

Przejeżdżając przez wsie tak często widziałem nowe wywieszki, nieraz koślawymi literami zapisane: „Spółdzielnia Spożyców“, „Zgoda“, „Jedność“, „Gwiazda“, „Jutrzenka“, „Słońce“. Z drzwi wybiegały chłopaki z flaszka kanfiny, wytaczały się gospodynie z zawiniątkami. Pod ścianą stali gospodarze, o czymś żywo gwarząc. Czasem wyrывała się pieśń nieznana dawnej wsi.

Sprawiedliwość niech chleb w rękach waży,
Sprawiedliwa, dobra dłoń,
Niech się krzywda ni zdrada nie zdarzy;
Ziemio matko, krzywdy broń.

Czasem powiały nad strzechami melodie, w których słysząc było łoskot kroków, maszerujących w lepszą przyszłość, i łoskot pulsów, bijących nowym życiem.

Oto wstaje nas wolna gromada
Budowniczych, tworzących swój świat,
Z dłonią w dłoni jak żywe ogniwa
Świat opleciem łańcuchem swych rąk;
Krzywdę miłość zagładzi prawdziwa,
W radość pracy zamieni znój mąk.

— Powożący młody chłop wyświstuje spadające na wargi nuty, cicho powtarza słowa. — Oto wstaje nas wolna gromada...

— Co to za pieśń? — pytam.

— To hymn spółdzielców — wskazuje biczyskiem wywieszki. — Chłopskie placówki. Aż radość patrzeć. Wschodzą jak zboże.

— Przed paru laty, przejeżdżając tędy, nie widziałem ich.

— A bo powstały niedawno i tak się rozwijają, że natarczyć nie można. Chłopi się garną do wszystkiego, co ma sprowadzić odmianę. Łatwo wywijać ozorem jak cepem, ale cep młóci ziarno, a ozór gadanie nikomu niepotrzebne. Myślę nieraz tak: oświecaj siebie, a światło wprowadzisz do wsi i do Polski. Młodzież oświecona chce wziąć odpowiedzialność za przyszłość odradzającej się wsi. — Znów z dumą wskazał na budynek, który mijaliśmy. — Mleczarnia związkowa. Wyrabiają wyborowe masło i sery. Do miast posyłają. Trudno zaspokoić zamówienia, tyle ich przychodzi z różnych stron.

— Kto kieruje spółdzielniami?

— Któż by? Chłopi wychowani spółdzielczo.

— Bez niczyjego przodownictwa?

— Przecież nie jesteśmy bydlętami, którym potrzebny jest bat, wędzidła i lejce. Chłop wyrobiony społecznie obywa się bez inteligencji. Inteligent zostaje na boku, zostawił się sam, bo nie umiał iść razem z gromadą. Ludzie powoli wyganiają z siebie ducha pańszczyźnianego i uczą się samodzielności. Nauczyciele też odgradzili się od wsi. I to lepiej. Czy zawsze trzeba chłopą prowadzić za rączkę, aby nie zbłądził? Czy zawsze trzeba usuwać gałązki, aby nóg nie pokaleczył? Zawsze za niego inni myśleli i przez to chłop gnuśniał, stawał się bierny, zrezygowany, nie wierzący w swoje siły. Dawniej wołał: no wola Boża, później wołał: wola sejmu.

Teraz chłop usamodzielnia się i sam dąży do podniesienia życia, poziomu kultury rolniczej i duchowej. Szczególniej młodzież pyta się, jak należy żyć, aby spełnić przypadającą jej rolę. Nie trzeba nam opiekunów, nie trzeba nam nakazów, chcemy rozwijać swoje wartości. Chłop szanuje to, co sam wypracowuje i z trudem wywalcza. Przeszkody usuwa i zdobywa życie krok za krokiem. Ważną rolę w odrodzeniu wsi odgrywa spółdzielczość, i dlatego bardzo się rozwija. W Siedleczce, ubogiej, zapomnianej wiosce, chłopci bez niczyjego nakazu, ale sami z siebie i z potrzeby życiowej założyli w 1936 spółdzielnię spożywców, a niedługo potem trzeba było otwierać filię. Dzisiaj są już 4 sklepy. Ostatnio z tego dochodu założyli gromadzką cegielnię, już narobili kilkadziesiąt tysięcy cegieł, bo będą budować dom ludowy, a w nim łaźnię, a myślą też o założeniu związkowej piekarni i pralni. Chcą swoją wieś zrobić wzorową.

— A kto pomaga?

— Jak to kto? Nikt. Pomoc najlepsza to wspólny wysiłek dla dobra ogólnego. We wszystkim przoduje młodzież, buntuje się przeciw bierności, wyczekiwaniu na cud i na każdym kroku woła: w rękach odrodzonego chłopca spoczywa przyszłość Polski. W naszej wiosce też mamy spółdzielnię. Zrazu z założeniem było trudno, bo dzisiaj jeden drugiemu nie wierzy i ludzie się już dość poparzyli: „Ehe” — niejeden mówił — „chcą sobie ręce omączyć, a potem głupi płąć za nich”. Z trudem zwołaliśmy zebranie i jakoś utrafiliśmy, bo z miejsca zapisało się sporo luda, potem coraz więcej, a kiedy było 50 członków na 140 domów, tośmy zaczęli robotę. Mówią: chłop myśli o sobie i o swojej kieszeni. Nieprawda. Musi mieć przekonanie, że go nie oszukają, że co robi, to pójdzie na

pożytek gromady, wtedy nie żałuje sił ani zachodu, Nikt u nas nie uchyla się od pracy, przecie każdy wie, że to nie dla mnie ani dla ciebie, ale dla ogółu. Wszyscy zwozimy bezpłatnie towar z miasta czy z kolei. Zarząd a nawet kierownik sklepu z początku nie otrzymywali żadnej zapłaty przez cały rok. Po trzech kwartałach było 700 zł nadwyżki. To nas pokrzepiło i postanowiliśmy ten dochód przeznaczyć na budowę domu ludowego, gdzie skupiłoby się życie gromadzkie. Teraz łatwiej wieś pociągnąć, bo wszyscy widzą, że nie ma nijakiego cygaństwa w naszych poczynaniach. Spółdzielczość rozwijałaby się bardzo, żeby różni nie rzucali przeskód i żeby dali chłopu coś niecoś wolności. Jak się chłop chce dźwignąć, to zaraz z wszystkich stron biją w niego. Młoda wieś musi walczyć ze starym pokoleniem, z ciemnym fanatyzmem rozpalonym przez wsteczne żywioły, z bezduszną administracją, która nie widzi człowieka, jego potrzeb, ale martwy przepis i paragraf.

— Rusza się wieś?

— O, rusza.

— A co na to wpłynęło?

— Chłop ugrzązł od dawna, labidził, narzekał, płakał, zgrzytał zębami, zaciskał pięści i groził całemu światu, ale to nie zmieniło w niczym jego położenia. Jak spadły na jego plecy baty, to się szarpnął. Dobrze się stało, że chłopą bieda przyskrzyniła, bo się zakrzętnął sam koło swoich spraw, a nie oglądał się na niczyją pomoc. Ojcowie nasi mówią, że w ostatnich latach duża odmiana nastąpiła w duszach i zapatrywaniach. Przyznają, że dawniej, jak się zeszli, przechwalali się pijaństwem, awanturami, a teraz, jak się zbiorą w izbie, to zaraz mowa, jak świat odnowić, odbudować, jak życie urządzić,

aby wszystkim było dobrze, jak lud przygotować do pracy społecznej, jak kształcić, jak wychowywać, aby pozbył się wad, sobkowstwa, a oddał siły dla dobra wspólnego. Widać ruch. Trzeba wszystko od nowa zaczynać. Rosną biblioteki, odpowiadające potrzebom wsi. Garną się ludzie do czytania, zapisują się na oświatowe kursy, zakładają spółdzielnie, powstają coraz to nowe uniwersytety, mające zaspokoić potrzeby młodzieży. Wieś przejmuję się miłością do kultury ludowej, chce ją pielęgnować, wzbogacać.

— A czy współdziała uniwersytet?

— Dzięki uniwersytetowi rozwija się całokształt zagadnień kulturalnych i gospodarczych. Z niego idzie cała strona ideowa. Hasła tam głoszone chłop wciela w życie.

— Mówią, że uświadomiony chłop jest komunistą.

— O każdym, kto ma trochę śmiałości w sobie, a w głowie światła, szanuje swój honor i nie pozwala go poniewierać, to się mówi — komunista. Jestem ze wsi, znam duszę chłopą i wiem, że chłop jest przywiązany do ziemi i do wolności i dlatego nigdy komunistą nie będzie. A gdy domaga się praw dla siebie, chleba dla głodnego, skrawka ziemi i koszuli dla dziecka, czy to jest komunizm?

— Jak zachowuje się młodzież?

— Z młodzieżą to nieraz źle. Nie ma przed sobą żadnego jutra. Tyle nagromadziło się rozgoryczenia, że każde hasło, które obiecuje poprawę i odmianę, znajduje posłuch. Nieraz mówimy, że z wszystkich stron świata padają głównie pod strzechy i pod przyciesie. W każdej chacie tyle dymu i tyle paliwa. Zły duch szlachetczyzny, pokutujący od wieków, najwięcej szkody Polsce wyrządza. W ciemnocie i nędzy rodzi się nienawiść. Jak ją zni-

szczyć? Chłop poniewierany, krzywdzony nie może się poskarżyć, uzalić, gnębi go samowola, bezkarność i przez to narasta zemsta, która zapada coraz głębiej. Dawniej na zgromadzeniu mógł wykrzyczeć wszystko to, co go trapi, mógł pięściami pogrozić, mógł się wyzalić i lżej mu było, bo myślał, że jak go inni usłyszą, to będzie skutek i nastąpi polepszenie. Dzisiaj brak wolnego tchu do życia.. Brat przeciw bratu gotuje zdradę za podszeptem tych, którzy powinni dbać o dobro obywateli, o szlachetność w działaniu. Starsi przypominają sobie, jak to było za czasów zaborców, i porównują z dzisiejszymi stosunkami. „Naród nie zadowolony i dlatego wszystkie prądy znajdują podatny grunt“. „Wściekłość narodem chłopskim miota, bo oddano go na łup spekulantów i wyzyskiwaczy“.

„Chociaż nędza doszła do ostatecznych granic, to urząda się bankiety, uczty, zaprowadzono zabawy, uroczystości, aby muzyką i śpiewem zagłuszyć bezrobotnych, którzy wołają o pracę, o kawałek chleba. Z drugiej strony chcą wykazać przed światem, że w Polsce jest radość życia“. Wejść na wieś, zobaczyć izby, to można się przekonać, jak wygląda ta radość. Coraz to nowe otwarcie, poświęcenie, przycinanie wstąg. Auta mkną przez wieś, przez którą się toczy zgnojony wóz. Przyjeżdżają dygnitarze, na nich patrzą nędzne, nagie dzieci przez małe potłuczone okienka. Chłopu każą się weselić wolnością i wznosić okrzyki na cześć i chwałę.

Ludzie, gdy czytają w gazetach, to mówią: o, tam to dbają, budują, dają chleb, a o nas to zapominają. I wzrasta gorycz. A tam, gdzie się odbywają uroczystości, to ludzie drwią i wyśmiewają się: tyle parad z powodu zbudowania małego mostku! Czy to nie szkoda

pieniędzy i języka? Nagadają się dygnitarze, popiją, pojedzą, a ty chłopie patrz i raduj się, że zjesz postnego ziemniaka, a oni z twojej krwawicy wino popijają. Zatkasz takim gębę? Takie to wicie ludzie terazniejsze. Zadowolone są działacze; różni zbawiacze popiją, pojedzą, odfotografują się, napiszą do gazet, jak to Polskę budują, i jeszcze order za to dostaną.

Nikt z nich nie zajrzy do chłopą, nie popatrzy, jak żyje, nie popatrzy w oczy dziecka... Mają „ludzi zaufanych“, którzy za pieniądze podsłuchują, śledzą, podpatrują. Mają tysiące oczu i uszu, ale nie widzą i nie słyszą, co się na wsi dzieje. Ci w Warszawie, nawet na najwyższym szczeblu, powinni usłyszeć głos idący z dołu, nieraz groźny, nieraz pełny bóleści, aby mogli naprawić, co złe, usunąć, co krzywdzi i podpala, powinni popatrzeć na chłopą nie przez rozporządzenie starosty, nie przez sprawozdanie pisane przez donosiciela, upodłonego człowieka, ale tak, aby zobaczyli prawdę, życie tego, który jest zrębem ojczyzny i jej najwierniejszym obrońcą.

— Czy wieś widzi tylko swoją niedolę?

— Ludzie na wsi narzekają, wymyślają: a tak jest, a tak powinno być, a dawniej tak było, bo szanowali chłopą, bo było poszanowanie prawa, bo była sprawiedliwość dla wszystkich. Jednakże zaraz o krzywdach swoich chłopci zapominają, kiedy nad Polską gromadzą się chmury i wszyscy myślą o ojczyźnie. „Troska o Polskę zaćmiewa nasze spojrzenie, bo Polsce chcemy służyć tym, czym możemy: życiem. A nigdy za to nie żądamy żadnej nagrody. Polska — to świętość i wielkość“.

— Czy dla wszystkich?

— Czy dla wszystkich? — pytacie. — Jak to odpowiedzieć? Sercem można związać chłopą z Polską jak

dziecko z dobrą matką. A czy wiązą tak? Przepaść między wsią a Polską wykopały różne zdarzenia. Chłopi pierwsi wystąpili, aby przepaść zasypać. W Nowosielcach mogło nastąpić pojednanie, tam rzucono miliony serc rozplamienionych miłością i uwielbieniem, tam miliony serc czekały na ważne słowo.

Niestety, nie usłyszano tego słowa. Nikt nie pomógł w zasypywaniu tej niezgłębionej przepaści. Trzeba umieć wyzyskać przywiązanie chłopą do Polski. Nie wolno żerować na miłości chłopą. Po stokroć ochotniej będzie bronił dobrej i sprawiedliwej ojczyzny, która niesie miłość, a nie bat.

W czasie rozmowy z chłopem przypominałem sobie zdarzenia, pogwarki, prowadzone z różnymi ludźmi. Pomyślałem, że jakże często nawet najzamożniejsi i najświatlejsi patrzą na sprawy Polski, na jej teraźniejszość i przyszłość, przez dziurkę na łokciu. Żywo stanął mi w pamięci spór urzędnika z właścicielem dworu na kresach, któremu państwo zwróciło olbrzymie obszary ziemi i lasów, skonfiskowane po 1863 r. Każdy z nich był pokrzywdzony, jeden drugiemu zazdrościł. — Nie ma to jak urzędnikowi. — twierdził dziedzic — niczym się nie martwi, na pierwszego pensję dostanie. A tu użera się z każdym chamem. Wolę z bydlęciem. — Nie ma to jak właścicielowi — wykrzykiwał urzędnik — żyje sobie po królewsku. Opiływa w dostatkach. — Przypominałem sobie też skargi profesora uniwersytetu, który pokazywał małą dziurkę na płaszczu. Nikt by tego nie zauważył, więc musiał sam pokazywać, aby się przechwalać nędzą: — Tak w wolnej Polsce chodzą profesorowie uniwersytetu.

— Ależ, drogi panie — rzekłem mu — igła za grosz,

nitka za pól i już nie będzie dziury, tego herbu nędzy i dумы.

Nieraz uczestniczyłem w zebraniach chłopskich w małej izbie, w kursach, w świętach i manifestacjach. Nigdy nie wywlekano tam spraw osobistych, zapomniano o utrapieniach, o biedzie, o głodzie, o bosych dzieciach, bo serce ludu paliło się wiarą w posłannictwo i potęgę Polski, bo wszyscy byli ożywieni entuzjazmem pracy, entuzjazmem budowania przyszłości, nie mającej granic, rozbijającej granice narodu a obejmującej świat i ludzkość. Tam naczelnym hasłem było: „Odrodzenie wsi i odrodzenie narodu i państwa przez wieś“. Tam uczono prawdy dotychczas na wsi nieznaney: „budowa sprawiedliwego ustroju społecznego musi się odbywać nie tylko w formach zewnętrznych, ale równocześnie w duszach ludzkich. Narastająca w masie wiejskiej świadoma myśl społeczna i polityczna będzie wtedy pogłębiać i ulepszać formę swego bytowania, a w razie potrzeby zdolna będzie bronić i obronić to, co własną mocą zdobyła“, „na naczelnym miejscu wszystkich prac swoich stawiamy sprawę kształtowania i podnoszenia wewnętrznych wartości człowieka oraz podniesienia poczucia godności i wiary we własne siły. Kształtowanie uczuć wypływających z głębokiego przywiązania chłopu do ziemi i przyrody, z którymi współpracuje w tworzeniu chleba, uważamy za najważniejszy czynnik w rozbudzeniu źródeł rodzimej kultury ludowej, będącej istotną i trwałą wartością cementującą całość państwową i narodową“. „W swej pracy wychowawczej urzeczywistniać będziemy ideał miłości bliźniego między ludźmi i narodami“.

Chłop umiał oderwać się od codziennych, osobistych spraw, trosk, gdy Polskę zobaczył. Nie wszyscy tak czynią. Jakże częściej pod gronostajem Rzeczypospolitej szachraje

i przekupnie użerają się o grosze, o ochłapy, przy budowaniu stoją łachmaniarze ideowi, którzy sprawę Ojczyzny noszą w kieszeniach, przy budowaniu stają ślepcy, nie widzący przyszłości. A tyle zagadnień do załatwienia. Myśl twórcza, poczucie odpowiedzialności winno kierować wszystkimi poczynaniami. Czasy ważne, wielkie rzeczy się kształtują o znaczeniu historycznym i one wymagają skupienia wszystkich sił i serc.

Sprawa wsi jest niezmiernie doniosła i domaga się rozwiązywania milionami głosów. Genialna myśl i genialna ręka może to uczynić. Nie widać jednak ani takiej ręki, ani takiej myśli. Łatwiej rzucać bagnety niż ziarna chlebowe. Na plon ziarna trzeba czekać miesiące, ale skutek pewny. Chłop wie, że sianie rozżarzonych węgla po bagnisku chleba nikomu nie da.

Z zadumy obudziły mnie słowa chłopu, który wskazywał w dal biczyskiem jakby pastorałem.

— O, stąd widać uniwersytet. Na górze stoi, żeby wszyscy widzieli.

— Jakby ognisko zakładane wysoko.

Lśniły okna w słońcu jak błyskawice, ciskane ku wsi leżącej w dole, wśród drzew. Widniał dom zbudowany z czerwieni cegły, bieli kamieni, z wysiłku ludzkiego i z pierwiastków ludowych.

— Nasz uniwersytet — powtórzył chłop, a słowo „nasz“ dźwięknęło dumą.

— Jak to wasz?

— Bo w nim nasz chłopski duch.

Wnet wysypała się gromada chłopaków, zebranych ze wszystkich stron Polski. Twarze jasne, roześmiane, oczy śmiało patrzące. Słowa powitań braterskich, zamknięte w uścisku twardej dłoni.

— Cieszymy się i witamy sercem.

Przebiegałem izby, korytarze, świetlicę, ciesząc się wszystkim, co widzę. Jakże wielka różnica i odmiana! Przed paru laty uczniowie gnieździli się w ciasnych izbach, a obecnie mają jasne, pełne słońca pokoje. Jednakże i teraz słyszę słowa ciężkie.

— Mimo wszystko nie możemy się pomieścić. Należałoby dalsze części budować, ale skąd wziąć fundusze. To, cośmy stworzyli, to ponad miarę naszych zamiarów. W każdej cegle, w każdym rąbnięciu siekiery wysiłek chłopca, który budował świątynię dla swego, niezależnego ducha, pracownię, gdzie się urabia charakter, gdzie kształtuje się przyciesie kultury ludowej, przeniesione z przeszłości pod zrąb. Chcemy, „aby życie wiejskie było przepełnione duchem współdziałania i współtworzenia wartości społecznych“. Tu uczymy też, aby nasz wychowanek umiał rozróżniać ideę od człowieka, wszczepiamy też kult idei i sprawy, a nie kult ludzi. Są państwa sąsiadujące z Polską, w których stwarzają chwalcy i przekupnie legendę jednego człowieka, aby zdeptać i sponiewierać duszę całego narodu. Dokopać się chcemy do pokładów wielkiej dynamiki, jaka drzemie w duszy chłopca. I dokopujemy się.

Stałem przy oknie. Tuż niedaleko lipa zakołysała konarami, jakby wyciągnęła ramiona do przybysza. Wówczas, kiedy tu bawiłem, wielkie drzewo sadzili, wierząc, że przyjmie się.

— Przyjęła się?

— Musiała spełnić naszą wolę. Lipa, święte drzewo słowiańskie, jest naszym symbolem.

MŁODZI PISZA...

I

Wieczorem czytałem przywiezione ze sobą wyznania młodzieży wiejskiej, przysłane z różnych stron Polski na wezwanie redakcji „Przysposobienia Rolniczego” i „Instytutu Kultury Wsi”. Były pisane na skrawkach papieru, w zeszytach, przy kaganku, przy księżycu, nawet przy gromnicy wśród przekleństw, awantur matek, żalujących i tego światła. Te spowiedzi dawały całkowity obraz życia duchowego budzącej się wsi, której hasłem naczelnym jest: trzeba przebudować dusze, chcąc odrodzić życie. W każdym niemal zdaniu brzmiała, jak dźwięk młota, wiara w lud, w jego moc i posłannictwo. Tyle tu rozsypanych sądów o najżywotniejszych zagadnieniach, o państwie, o narodzie. Autorzy wyznań mówią o pracach dokonanych, o przeżyciach, o dążeniach. Wskazują, że na wsi dokonują się z dnia na dzień wielkie przemiany w pokoleniu, które nieraz ma kneblowane usta, spętaną duszę, ale mimo to gotowe jest do rozumnych działań, aby odrobić wielkie, wiekowe zaległości i zaniedbania. Rzucają myśli „przeze mnie przedumane w dni wiosenne przy chodzeniu po polu za broną czy pługiem”. Nieraz wymknie się skarga na wspomnienie tego, co przeżyli,

co przecierpieli na ciężkiej drodze, na której zdobywali wiedzę, pogląd na świat. Wyznania te krzepią, budzą podziw dla niezmordowanych, z uporem urabiających dusze, dla ich przywiązania do książki, dla pragnienia wiedzy. „Czuję głód wiedzy, chcę czytać, uczyć się, lecz brak pieniędzy na książki staje mi na przeszkodzie. Każdy zdobyty grosz obracam na ich kupienie, chociaż ludzie we wsi ze mnie się śmieją. Robię to w tajemnicy, aby nie narażać się na drwiny. Żebyście wiedzieli, ile utrapień, ile umartwień kosztuje mnie zdobycie jednej książki. Każda dla mnie jest skarbem. Nie jadłbym, nie kupiłbym butów, aby móc się kształcić“. „W młodości wiejskiej budzi się duch buntu o prawo do wiedzy“. „Bo jeżeli się człowiekowi da oświatę, to ten dopiero będzie tworzył kulturę wsi“. „Jak słońce, jak powietrze, gwiazdy, woda, ziemia, chleb jest dla każdego, tak i oświata dla każdego, a przede wszystkim dla tych, co jej pragną. Ale czy mogą ją uzyskać tak łatwo?“ „Straszną ja ci miałem chęć chodzić do szkoły, ale matka miała ducha pańszczyźnianego, bo sama była analfabetką i gadała zawsze: skąd ja wezmę tyle pieniędzy na zakup książek? Ej, żeby to przekleństwem i kijem można kupować książki, to bym miał piękną bibliotekę. A matka nie żałowała ani kija, ani przekleństw, gdym się dorwał do czytania“.

„Na końcu muszę nadmienić, że byłbym się jeszcze obszerniej rozpiął, ale rodzice mi trąbią, że naftę wyświecam i czas marnuję“.

„Po śmierci ojca była straszna bieda, bo matka się wytraciła, a nawet trochę zadłużyła na długą chorobę ojcowską. A po śmierci jego jeszcze gorzej było; do nędzy doprowadził nas jegomość ks. Franciszek, gdyż

matka na klęczkach obłapiała księdzu mięciutkie kolana i skomlała, że nie ma nawet grosza na pochówek ojca, i prosiła o prolongowanie. Lecz o tym nawet zbawiacz chłopskich dusz słyszeć nie chciał, gdyż krzyczał do matki, że ojciec sobie nie zasłużył na pogrzeb, jeżeli nie ma czym zapłacić. Matka wyprowadziła ostatnią krowinę, sprzedała Żydowi i wtenczas zasłużył już sobie dobrze; dusza mego ojca już prosto szła do nieba, gdyż ksiądz ją zbawili". Jakże mógł myśleć o zdobyciu książki, kiedy brak było chleba i mleka. Jednakże pierwsza książka była dla niego przełomowym zwrotem w życiu, sprowadziła go z drogi zła, wyciągnęła z karczmy. „Gdy zacząłem czytać, to stawałem się coraz poważniejszy i odlatywały mnie od głowy różne głupie i niemoralne rzeczy“.

Inny pisze: „Szkoła moja się skończyła; obiecywano mi, że będę się kształcił na pana. Tym razem trza było się zaprzęgać do jarzma, aż oczy pot zalewał: I jakże się uczyć w tym ciężkim położeniu?“. „Lubiłem czytać książki historyczne, bo mi się podobała sława rycerska, później zacząłem czytać romanse. Organizacja dała mi to, że przestałem czytać romanse, bo uważałem chwile poświęcone na czytanie romansów ze stracone. Uczułem mniej uznania dla książek historycznych, gdzie poza sławą jednych kryje się krzywda drugim ludzi, i jeżeli czytałem je czasem, to dlatego, aby mieć świadomość o przeszłości narodu polskiego. Trzymam się tej zasady, że książka każda jest pożyteczna, lecz aby wszystkie przeczytać, za krótko żyjemy na świecie. Dlatego powinno się czytać mniej książek, ale same pożyteczne, zwłaszcza my chłopie, co mamy mało czasu na oświatę“.

Nieraz surowo krytykują szkołę: „Szkoła straciła swoje wielkie kiedyś znaczenie. Obniżyła się stopa nauki

tak, że dziś dziecko chodzące do IV klasy mniej ma umysł rozwinięty, niż w latach mego uczęszczania do II klasy“. „Chcemy myśli granitowych a w szkole za dużo plew bez wartości, a mało ziarna“. „Wyszliśmy z tej szkoły bez żadnego przygotowania do życia na wsi. Choć była szkolna biblioteka, z której braliśmy książki do czytania, lecz nie było w niej książek dobrych, mających na celu przygotowanie młodych do życia. Brak nam też było przywiązania do tej matki ziemi, z której żyliśmy“.

Wielu z nich kreśli, jaka powinna być szkoła, aby odpowiadała wsi i spełniała zadanie, aby uczyniła go obywatelem świadomym celów.

Wielu woła o przeprowadzenie reformy programu. Niektórzy chcą wyrzucić naukę algebry, a na jej miejsce wstawić godzinę nauki rolniczej i pracy społecznej, aby młodzież „po opuszczeniu szkoły miała chęć do pracy społecznej, aby mogła wstępować do organizacji młodzieżowej na wsi, która dążyłaby do podniesienia kulturalnego i oświatowego naszej wsi, oraz do przebudowy życia społecznego Polski naszej kochanej“. „Nauczycielstwo przez niecną politykę oraz złe odnoszenie się do wsi poderwało sobie zaufanie w środowisku wiejskim“.

Niektórzy z nich wynieśli ze szkoły najboleśniejże wspomnienia, obarczające pamięć na całe życie; nieraz kiej użyty niecelowo przetrącił duszę, spaczył charakter i wykoleił sumienie. I wtedy łza lśni lub błyska przekleństwo, kiedy to nauczyciel „strugał mnie prętem przez plecy, a byłem tylko w koszuli“.

Z drugiej strony z uwielbieniem mówią o nauczycielach, którzy umieli trafić do serca. Z tych wyznań poznamy, czym jest nauczyciel, jaka ważna rola jego. Przez

lata nauki przesypuje ziarno jak do spichlerza, z którego czerpie człowiek na chleb, żywiący go przez długie lata.

Zagadnienie młodzieży wiejskiej jest piękne, niezmiernie ważne i każdy z nas zadaje pytanie, co młodzież myśli, co stwarza, aby polepszyć swój byt, aby wzbogacić umysł, aby rozróżić się duchowo. Z niecierpliwością przerzucałem karty, zagłębiałem się w koślawe litery, wyciosywane piórem, niosące wieści nieraz naiwne, ale dźwięczące prawdą, wydartą z duszy, wypracowane w mozole, w ciasnych izbach, na wyrkach, na barłogu, wydumane w wieczory zimowe, wypłakane w nędzy, wydreptane bosymi stopami na ciernistych ścieżkach. Nieraz wybiły zdania ostre jak cięcie kosą, nieraz ciche jak puls wzruszonego i miłującego serca, nieraz bezwzględne jak uderzenie siekierą, nieraz pożywne jak skiba razowego chleba. Głęboko wstrząsały mnie te spowiedzi młodych obudzonych, gotujących się do działania i wchodzących w życie. A gdy mówią o pewnych zdarzeniach, to znać, że krew rozlana nie rozplynęła się bez śladu, nie zbladła, bo nikt jej nie ścierał ani nie zmywał, ale wsiąkła głęboko w pamięć wszystkich chłopów, aby ich rozognić i zemstą napełnić. A znów tak często troska zaćmiewa myśl: „jak wydzwignąć wieś z upadku, bo jaką będziemy mieli wieś, takie będziemy mieli państwo“. „Wieś kocham całym sercem, boleję nad tym, że jest jeszcze bardzo ciemna, głupia i naiwna. Prowadzą ją u nas bardzo złymi drogami różni prowodyrzy nie dla jej dobra, pracują nie dla wsi, lecz pod tym płaszczykiem dla swego koryta“.

I już obudziła się w młodym pokoleniu świadomość, że chłopu trzeba wyrwać z dotychczasowego bezruchu, budzić siły, pokazać wielki cel, „naszą wieś podnieść oświatowo, kulturalnie, przebudować życie ludzi społecznie,

w duchu prawdziwej miłości braterskiej, odrodzenia prawdziwego chrześcijaństwa, aby każdy chłop był świadomy swego celu, by mógł w całości odpowiadać za losy całego kraju“.

Jeszcze żywo w pamięci stoją czasy roznamiętnienia politycznego, kiedy wybory rozdzierały wieś na rodziny, na gromady, walczące przekleństwem, nienawiścią, nożem i kłonicą. Wtedy to poseł odjeżdżał do miasta, a zostawał chłop pokłócony, żyjący zemstą i wiarą w cud. Dzisiaj te czasy należą do przeszłości; chłop odwraca się od tamtych zbawiaczy, cudotwórców, obiecujących dobrobyt, i rzuca słowa, które są oskarżeniem:

„Bo kto włożył chłopu do ręki nóż, broń mętów ulicznych, jeżeli nie przynależność do tej czy owej partii politycznej. Najważniejsze problemy naszego polskiego życia załatwiać trzeba nie przez wkładanie mu do ręki noża, lecz drogą uświadamienia i dojrzałości społecznej“.

„Trzeba stworzyć atmosferę, aby każdy mógł swobodnie oddychać, aby każdy czuł się obywatelem a nie wrogiem państwa“.

Przywykliśmy w pismach i literaturze do sukmany, pawich piórek, do kmiotka wiedzionego za rękę przez przodowników, którzy musieli za chłopą myśleć. Dzisiaj ten chłop wyzwolony z opieki zdobywa się na własne hasła i własne czyny. A przy tym rzuca myśli dotychczas przez niego nieznane: „Mało jest być tylko społecznikiem, lecz trzeba być i samemu społecznym, aby móc pracować społecznie, aby praca ta wydała owoce. Trzeba prowadzić przykładnie swoje gospodarstwo, trzeba mieć ciepło w ognisku domowym, trzeba być zawsze zgodnym w czynie i słowie“.

„Stosunek ludu do państwa jest nienormalny i potrzeba

dużo w nim naprawić. Aby naprawić stosunek wsi do państwa, trzeba w pierw zmienić stosunek państwa do wsi“.

„Trzeba dużo wypłenić, aby chłop poczuł się obywatelem Państwa Polskiego, aby poczuł się związany z państwem, jak związany jest z ziemią i rodziną; trzeba wyrównać góry, doły, dać mu prawa a z prawem uświadomienie, aby nie był towarem używanym do reklamy. Kiedy wyrównamy doły i góry, to utworzymy równinę Państwa Polskiego, gdzie ujrzymy się jako jedna rodzina, mająca jeden cel: podniesienie państwa wzwyż, i wtedy możemy mówić o pracy dla dobra państwa i posiać na równinie ziarno jedności i siły“.

„Polski chłop, nikt tego nie zaprzeczy, dopiero teraz zaczyna pracować mózgiem; pierwej nie miał kiedy. Był ciemny, był zahukany, był pod przemocą klasy szlacheckiej, pod wpływem przemożnym duchowieństwa, pod groźbą piekła; był łupem geszefciarstwa żydowskiego“.

„Poiono go trucizną alkoholu, morzono siedmiodniowym w tygodniu postem i głodem“. „Czyli, cała przyszłość jest przed chłopem. Klasa chłopska jest zdrowa moralnie, duchowo i fizycznie; niewypracowana myślowo, rozwija się bardzo szybko, czerpiąc bogactwo myśli i uczuć z przyrody, z którą jest zżyta, i z matki ziemi“.

Autorzy na każdym kroku podkreślają, że jeżeli chłop chce być gospodarzem na polskim łanie, musi się do tego zadania przygotować, wyrabiając umysł, kształcąc niezależność, szanując godność. A ktoś dodał, że ks. Ściegienny mówił: „Dopokąd chłop we drzwiach łeb schylał będzie, dopóty każdemu w pas kłaniał się będzie“.

„Trzeba chłopu spolić i do bojowania o swoją wolność sposobić“.

„Krzyczy się: mocna, potężna Polska. To tak, jakby

ktoś wołał: „chcę widzieć piękny las“, a równocześnie łamał gałęzie w tym lesie, ranił potężne pnie siekierami. Tak połamany, zniszczony, choć silny las — przedstawiają dzisiaj chłopy. Nie trza ino wyrąbywać i ze skóry obdzierać“.

I na naczelnym miejscu stawiają ci młodzi pracę nad wewnętrzną przebudową i nad gromadzeniem wartości ducha. „My musimy się do tego uświadamiać, wychowywać przez organizowanie się oraz przez branie udziału we wszystkich przejawach życia państwowego. Widzę w tym zło, iż nie jesteśmy do tego przygotowani“. „Za dobre uważam to, że wieś krzepnie na duchu i sile, że coraz śmielej i głośniej upomina się o równouprawnienie, wychodząc ze swych chałup na ulicę“.

„Praca na wsi wymaga dużego zasobu sił materialnych jak i duchowych, gdyż praca społeczna obecnie na wsi, to już nie orka na ugorze, ale praca w dobrze zachwaszczonym polu, gdzie obok zasianego zboża rośnie dużo chwastów, które trudno wytępić, gdyż trzeba je wyrwać z korzeniami lub młodym ukręcać łby, by nie wydały nasienia“. „Bo tylko krzykacze polityczni nie zdzierają sił ani duszy, robiąc tylko gębą, chociaż nic nie wnoszą do wsi, a często szkodzą pracy społecznej. Jednak wieś nieuświadomiona ich przyjmuje. Natomiast gorzej są przyjmowani pracownicy, którzy naprawdę chcą przebudować wieś“.

„Przyjeżdża do wsi działacz, wygłasza płomienne przemówienie, ludzi niby porywa, lecz po jego odjeździe pozostaje wszystko to samo. A więc stąd wniosek: my młodzi do duszy nie przyjmujemy wszystkiego zbyt łatwo. My musimy to nowe coś najpierw pokochać, by się to stało nasze z duszy“.

Gdzieś pisze syn wyrobnika, umarłego na Saksach, sam wyzyskany, poniżany, krzywdzony, nie mający zagona, który jest częścią Rzeczypospolitej a na którym mógłby zasiać zboże karmiące ciało i miłość żywiącą duszę: „Chcę być świadomym swoich praw obywatelem, wiernym i lojalnym dla Państwa Polskiego, a sprawiedliwym, sumiennym, uczciwym dla siebie, pracowitym, wytrwałym i rozumnym“. „Moim dążeniem jest nie walka na śmierć i życie, jaka się toczy obecnie w Hiszpanii, rasowa, religijna, klasowa, która zawsze prowadzi naród do zguby, lecz zgodna i sprawiedliwa współpraca całego narodu“.

Na wszystko patrzą, wszystko widzą, niczego nie można przed nimi ukryć ani ich oszukać. Są surowi dla swojej klasy, ale też widzą, kto jest sprawcą ich położenia i mają dla tego słowa bezwzględne potępienia.

„Nie możemy patrzeć na niedobitków szlacheckich“.

„O klasie arystokratycznej nie mówi się dziś na wsi inaczej, jak chyba tylko ze wstydem; oni Polskę przepili, oni chłopą w otchłań ciemnoty wtrącili i nie ma przed nimi przyszłości — jest koniec. W Polsce nastąpiło odrodzenie szlacheckie, to nie ulega wątpliwości. Jest to na pewno przesilenie, agonía szlacheckizny. Pozorna poprawa i pozorny powrót do zdrowia. Jak zwykle przed śmiercią“.

Występują ci młodzi przeciw przywilejom, przeciw zapłatom za zasługi, natomiast wołają: „Powinno się tworzyć arystokrację, ale nie tę urodzoną, ale arystokrację pracy z ludzi poświęcenia, wykształcenia, z wynalazców, z dobroczyńców ludzkości o złotym sercu“.

„Więc potrzebuje ogromnych zmian po prostu radykalnych. Przede wszystkim naprzód, żeby mogła żyć,

to musi jeść, a dzisiaj na wsi bardzo dużo ludzi nie ma nawet samych kartofli, a samymi kartoflami człowiek nie żyje“.

„Ziemie trzeba dać chłopom, gdyż oni pragną jej, mają do niej przywiązanie i zamięłowanie, bo może nadejść chwila, iż zechcą sami wyciągnąć ręce po nią jako po swoją własność, która przez zły zbieg okoliczności dostała się w inne posiadanie, a wtedy jak Polska długa i szeroka zabrzmi potężny kilkunastomilionowy krzyk: oddajcie, co nasze. A chwila ta zbliża się szybko i wraz z nią nieunikniona katastrofa. Jeszcze póki czas, należy załatwić pokojowo“.

Zgodnie też stwierdzają, że duchowieństwo stanowi potęgę, mogącą wiele zdziałać, jeżeli postępuje według przykazań Chrystusowych.

„Chociaż już księża nie mają wpływu na młode pokolenie, to jednakże trzymają dobrze starsze, które im służy ślepo, co dużo wpływa na pracę społeczną“.

„Według mnie księża nie powinni utożsamiać siebie z religią. Powinni zejść z ambon do ludzi, z nimi żyć i pracować“.

„Kler bardzo obłudnie i niesprawiedliwie postępuje, bo odstąpił zupełnie od zasad Chrystusa, na których się zawsze opiera, ale tylko w słowach“.

„O duchowieństwie mówimy, niech pilnują ołtarzy, niech głoszą prawdziwą naukę Chrystusową: miłuj bliźniego jak siebie samego“.

„Kto wie, czy księża przez zwrot ku wsi, ale ku wsi prawdziwej, idącej śmiało w swoje jutro, nie odbudowaliby swojego autorytetu“.

„Wyrosłe jednostki ze wsi, jeżeli wsi się nie zaparły, są bardzo lubiane, jeżeli o wsi zapomniały, są nie żałowane i pogardzane“.

„Zresztą wieś przestała się oglądać na zbawców wsi i już śmiało kroczy wytkniętym szlakiem krusząc przeszko-
dy. Wieś idzie w rytmie zbratanych serc i dusz, mając na celu dobro i sprawiedliwość społeczną. Wieś posiada swoje programy, które wciela w życie“.

W wypowiedziach tak często rozbrzmiewa wiara w spółdzielczość, gdyż „na wsi jest ona prawdziwą szkołą samodzielnego gospodarzenia, samorządu gospodarczego, w której ludzie uczą się, jak sobie wzajemnie pomagać, jak współżyć i pracować społem, by ogół z tego korzystał. Spółdzielczość potrzebuje ludzi w najbliższej przyszłości w Polsce“.

Wrzawa świąteczna ucichła. Tupot kroków przebrzmiał. Został w całym domu spokój. Wiem, wszyscy poszli na przedstawienie. Wielu nie miało groszy na wstęp, więc przy obiedzie przez głosowanie uchwalono, aby nabyć bilety z gromadzkich oszczędności.

Wciąż trudziłem się nad odczytaniem wyznań, skarg, zamierzeń, wskazań, uczuć, przeżyć, sądów młodzieży. Śledziłem ciężką drogę, jaką przebyli ci, którzy często nie mieli na kupienie arkusza papieru, a kreślili spowiedź na strzępach przypadkowo znalezionych, bo „jestem bardzo biednym człowiekiem, mój dochód roczny ściśle obliczony nie przekracza 100 zł“. „Szliśmy do szkoły kilka kilometrów z kawałkiem suchego chleba, byli tacy, co go nie mieli, jeno placki z ziemniaków pieczone, ale nikt nie narzekał, ale ochotnie szedł, bo każdy chciał się uczyć. Ino nie było za co kupić książki. Bez butów i bez koszuli łatwiej można się obejść“. Rozległo się pukanie. Wszedł chłopak z zapiętą kapotą pod szyją, niosąc pęk zeszytów.

— Toście nie poszli do Markowej? — pytam.

— A nie. Tak mi wypadło...

— Wszyscy ochotnie się wybierali. Przedstawienie, zabawa.

— Czytam sobie, przeglądam różności, no i piszę. A gdy jestem sam, to rozmawiam w ciszy z Bogiem, ze światem i wtedy ze mnie wyrastają myśli jak zboże z gleby.

— No, ale moglibyście się tam zabawić, rozerwać.

— Szkoda mi było nawet paru groszy, zresztą... zresztą... — zawstydzony jękał się — jakże iść w takim ubraniu? Ludzie są małostkowi, śmieliby się ze mnie. Ciesielką trochę zarobiłem groszy, aby tu przyjechać, ale już nie starczyło na ubranie, a zresztą — ze śmiechem pogodnie dodał — ważniejsza dusza niż łachy na grzbiecie. Łach można kupić, zedrzeć i odrzucić, a co mam w duszy, to będę nosił całe życie, co zgromadzę tutaj w duszy, tym będę się karmił aż do grobu. Toteż nie może być poślad, zgoniny, ale pszenne ziarno. A tak mało mamy czasu, aby zbierać te majątkości. Gdyby nie zabieganie o chleb! Ile to sił ludzie biedni muszą zmarnować, aby mieć co zjeść na śniadanie? — urwał i położył na stole pęk zeszytów. — Przyniosłem wam nasze pismo. „Na gackiej górcie“, może was zajmą nasze wynurzenia.

— A cóż to za pismo?

— Po pracy, w nocy piszemy piórem w kilku egzemplarzach, jest to nasz pamiętnik, w którym chcemy zostawić naszą duszę, zostawić ślad naszych dążeń i przeżyć.

Na pierwszej stronie tego pisemka rysunek domu z kamienia, cegły, drzewa, stojącego wśród zoranych pól, na tle wschodzącego słońca. Napis, wezwanie pod znakiem krzywuli: „Trzeba z żywymi naprzód iść, po

życie sięgać nowe". Artykuły, wiersze, obrazki, myśli były dalszym ciągiem tamtych wyznań, o treści może bardziej bojowej.

„Dla ojczyzny, dla Polski jesteśmy gotowi oddać swoje życie, bo miłość i gotowość obrony stawiamy na pierwszym miejscu, ale dla ludzi, którzy rzucają nam przeszkody pod nogi w rozwoju naszym, stajemy się nieubłaganymi, kroczymy mimo wszystko naprzód pod własnymi sztandarami". „Nam nie trzeba i nie żądamy władzy, przywilejów ani „koryta", ale żądamy tego, abyśmy mieli wolność w organizowaniu się, abyśmy mieli wolność w kształtowaniu dusz i serc naszych, abyśmy stali się światlejsi, byśmy uświadomili sobie, czym my jesteśmy wobec państwa, a czym jest państwo wobec nas". „Siłę, jaką dzisiaj posiadamy, stworzyliśmy sami. Nie mieliśmy pomocy nikąd. Nie zawdzięczamy tego nikomu. Jest to twórczość nas samych, nie pozwolimy dorobkiem naszym szafować. Kroczymy po wytyczonej drodze i zboczyć z niej nie pozwolimy".

„I nie krzykiem, ale mrówczą pracą od dołu, przez spółdzielczość, usuniemy tę masę wyzyskiwaczy gnębiących chłopów. Chcemy powiązać duchowo masy chłopskie ze spółdzielczością, chcemy, aby chłop uwierzył w swoje wartości, że właściwa droga do dobrobytu — to dobrze pojęta i zorganizowana spółdzielczość. I nie z krzyku wyjdzie odrodzenie Polski, ale z tego, co się dziś na wsi dokonuje przez świadome i gromadne działanie zorganizowanych chłopów".

Młodzi zbiegli się tutaj, jakby do ogniska, aby porwać stąd głównie i zanieść do rodzinnej wsi. W drodze do urzeczywistnienia swego zamiaru napotkali na przeszkody, które bohatercko druzgotali, walcząc nieraz zażarcie

z otoczeniem, rodziną, warunkami, uprzedzeniami. Wstępowali do tego uniwersytetu, bo to było tak konieczne do życia ich jak potrzebna jest gruda ziemi dla zboża. Kiedy zaczęli pracę społeczną, widzieli na wsi ugór, który trzeba przeorać, zbudzić szlachetne i mądre uczucia, a chcąc to uczynić, musieli być przygotowani do żmudnej i odpowiedzialnej pracy, aby nie być pacholkiem czyimś, ale aby być sługą i bratem ludu spełniającym jego wolę. I to pismo mówi o tym, dlaczego młodzież garnie się do wiedzy: „Muszę wzbogacić siebie, aby rozsiewać bogactwo. Dlatego wciąż pogłębiam duszę“. „Szkoła nie mogła się porozumieć ze wsią, dlatego musiałem szukać innych dróg“. „Na wsi dużo wad, chcąc z nimi walczyć trzeba wpięrsz swoje wypłenić“. „Matce wytłumaczyłem, po co jadę. A matka powiedziała: tam żadnej posady nie dostaniesz“. „Nie po posadę tu przyjechałem, ale po nową duszę, aby ją potem oddać ogółowi chłopskiemu i Polsce, bom cegłą w budowie ojczyzny“. „Chciałem odnaleźć drogowskaz, zrozumieć chłopskość, zrozumieć, czego trzeba wsi i później dla niej pracować. Na wsi bijatyka, pijaństwo, bo brak wzniosłego celu. Ten cel trzeba pokazać, rozpalić ideą i sercem. A tę ideę trzeba wypracować, a to serce rozognić, aby przykładem gorzało. Oddałem się więc duchem i ciałem nauce“. „Droga nasza ciężka, a mimo to z niej nie schodzimy ani nie myślimy o tym. W tym marszu nasza idea będzie wyrazem wielkiej siły i rozpędu do czynu“.

Są wyznania, które czytamy z głębokim wzruszeniem, wstrząśnięci ich wymową. Oto między innymi znalazłem drobną wiadomość. Jeden ze słuchaczy miał odejść z uniwersytetu z powodu braku funduszy, więc wszyscy uczestnicy kursu postanowili przez jeden dzień w miesiącu

głodówkę, a te pieniądze przeznaczyć dla kolegi. Znów gdzie indziej: „W związku z pogłoskami o wrogich zamierzeniach przeciwko spółdzielni zdrowia w Markowej Chrzestny był we Lwowie, zaś Wiejski Uniw. Orkanowy przejmując się tym do głębi serc zaprotestował energicznie i solidarnie jednodniową głodówką w dniu 29/IX, a zaoszczędzone przez głodówkę 35 zł złożył na podróż Chrzestnego”.

Naczelnym hasłem jest imię Orkana, pod którego wezwaniem kształtują się serca i mózgi. Obowiązuje zasada: „jesteśmy tymi, których winna bezwzględnie cechować prawda”.

Czasem wiersz się rodzi, w słowach nieudolnych zawarta treść, prawda duszy:

Czas już obetrzeć oblicza łzawe
 — płakania i jęki odrzucić,
 Dość niedoli i udręki,
 Dość potu skrwawionego,
 Widać przebłyśki — oblicza Dnia Nowego.
 Młodzi

Robota czeka.

Wysiłku trza nam zgodnego!
 Braterskość podać chłopskiemu światu,
 Uczucie oddać bratu,
 Zrzucić jarzmo!
 Zrzucić ducha niewolę,
 Wyjść, ruszyć gromadą w pole,
 orać ugory jałowe!

Do siejby!
 Zasiać ziarna ludowe,
 Ponad wsią rozhuścić wolności dzwon
 i iść razem,
 gromadą zbierać nowego życia plon.

podnieść poczucie godności chłopskiej z poniewierki, aby obudzić wiarę w żywotne moce i dotrzeć do źródeł rodzi-
mej kultury ludowej, by ją rozwijać i wzbogacać. Kładli
nacisk na rozwój myślenia i solidarnego działania dla
wspólnego dobra. Z przemówień i wynurzeń znać było,
że burzą się, wrą, kipią dusze podpalone pragnieniem
i tęsknotą do czegoś twórczego, że z tego wrzenia musi
się ukształtować, musi wyrosnąć i dojrzeć nowe pokole-
nie, nowe wartości, którymi będą: samodzielność myślenia,
działania i tworzenia. A naczelną zasadą dzisiaj musi
być: wychowanie chłopu świadomego celów, a godnego
wziąć odpowiedzialność za przyszłe losy państwa, rodzi-
mej kultury i ducha narodowego. Książka, jeżeli chce
spełnić zadanie, musi być źródłem entuzjazmu, optymiz-
mu, radości, pracy i życia. Łamali i odtrącali kij jako
środek wychowawczy. Niektórzy mówili, że kij, bat, gwałt
— to przeżytek pańszczyźniany. Chłopa bił karbowy, eko-
nom, a ten powróciwszy z łanu pańskiego do kurnej chaty
wywierał zemstę na słabszej istocie i bił żonę i dzieci.
Kij demoralizuje człowieka, zabija w nim ambicję, honor,
samodzielność.

Przez te dni spędzone na kursie toczyłem rozmowy
z różnymi ludźmi, chwytałem urywki na gorąco, jakby
płomienie wyrzucane z ogniska.

— Ciężki okres przeżywał ruch młodych.

— Bardzo ciężki. Wszystkie wrogie siły przypuściły
atak — trybuna sejmowa, łamy pism — zbierały kamienie,
zgarniały błoto. Jednakże te obelgi nie przeraziły nas,
ani nie zepchnęły z obranej drogi, bo wszelkimi siłami
wiernie służymy naczelnej naszej zasadzie: piękny cel
nigdy nie wyrasta ze szpetnych sposobów. Pracę naszą
opieramy na entuzjazmie i na wartościach odrodzonej

duszy, miłującej prawdę i sprawiedliwość. Grzmia ambony przeciw nam jako antychrystom, wrogom kościoła i państwa, przeciw uniwersytetowi gackiemu; nazywają go bóżnicą, kuźnią diabelską. Z niczego nie robimy tajemnicy, niczego nie ukrywamy, wszystkie drzwi naszych zebrań, kursów, obchodów otwarte. Nie wołamy Bóg, Boga, Bogu, nie wzywamy tego Imienia, nie szargamy świętości, wywlekając na targowisko, ale pracujemy nad tym, aby zasady ewangelii i prawdziwy chrystianizm przepoily dusze nasze, myśli, życie, aby przejawily się nie tylko w obrzędzie, w słowie, ale w każdym czynie wobec człowieka, zwierzęcia, ptaka, a nawet drzewa. Łatwo jest lakierować wargi ewangelią, a w życiu każdym czynem zapierać się jej, poniewierać. Nigdy nie głosimy walki z religią, występujemy tylko przeciw złym pastarzom, grabarzom wielkiej idei, burzycielom niszczącym Boże dzieło. Staramy się uczyć, aby chłop odróżniał ideę od człowieka, aby miał cześć dla idei, a nie kult dla ludzi. Staramy się odkrywać zdeptane pierwiastki słowiańskie, drzemiące jeszcze w duszy ludzi, w pieśni, w obrzędzie, ożywiamy je, aby były krwią naszych porwów w walce o jutro.

— Są różne kierunki na wsi; czy w zasadzie, w głębi, są różnice w dążeniu?

— Ech, nie ma żadnych. Radykalizm jest w duszy młodego pokolenia, gnębionego nędzą i ciemnotą, w duszy młodego pokolenia, które przejrzało. Kropidłem nie można zasłonić owego przebudzenia ani też pieśnią stłumić grzmotów nadciągającej burzy. Wszyscy domagają się reform, wszyscy walczą o sprawiedliwość społeczną. A hasłem jest: wcielanie w życie zasad Chrystusowych. Krzyżem można zniweczyć zło, wyrównać przepaści.

Gdyby kler poszedł z pokrzywdzonymi i walczył o sprawiedliwość dla nich, to by nie było mowy o bolszewizmie, nie Marks, ale ewangelia byłaby zwyciężcą, bo by Chrystus znalazł niewzruszoną opokę, a to: serca milionów.

— Jaki program młodej wsi?

— Trudno skreślić go. Program ten wyrobiło samo życie w ciągu długich lat. Chcąc go poznać, trzeba czytać pisma, ulotki, trzeba słuchać sporów, rozważań, być świadkiem przemian dokonywanych, uczestniczyć w obchodach, zebraniach, być wszędzie, gdzie się przekuwa serce i umysł. Gdy mowa o tym, trudno nie wymienić nazwiska jednego, który był fanatycznym kierownikiem, wypracowywał wytyczne zasady, nadawał kierunek i z żelaznym uporem wcielał w życie nakazy, wciąż kładąc nacisk na wychowywanie młodej wsi, na gromadzenie skarbów ducha.

— I zapewne za to był najbardziej wyklinany, potępiany?

— A tak. Jest nim J. Niećko, ten mistyk, człowiek religijny w najpiękniejszym znaczeniu, wybitny pisarz, może jedna z najciekawszych postaci budzącej się wsi. Ten niepowszedni samouk, samorodny talent, wszystko, co zdobył, zawdzięcza sobie, swemu szaleńczemu trudowi. Jego życie to rozdziały wspaniałej historii dziecka chłopskiego krzywdzonego, poniewieranego, upokarzanego, żyjącego w nędzy, zdobywającego chleb w największym trudzie, kiedy pracował jako miotlarz, jako tracz, jako wyrobnik dzienny. Jego życie to też karty powieści o wsi polskiej, o chłopie, który własnym wysiłkiem wydarł się z nędzy i ciemnoty, przekroczył próg pańszczyźnianej chaty, a nie znalazł równin, po których mógł iść, ale

skały, które musiał rozrąbywać, przepalać, aby słońce i niebo zobaczyć oczami przemitymi łzami i znojem. Nikt go nie wsparł, nie pomógł w pochodzie, nikt nie goił zapieczonych ran, a mimo to zaszedł daleko, na najwyższe szczyble pisarstwa, gdzie zabłysnął jako stylistą nieposzedniej miary. Wyrósł z gleby wsi, z urodzajnych jej pokładów, aby być świadectwem niespożytych sił i wielkich wartości utajonych w rędzinie chłopskiej, aby być krzepiącym przykładem dźwignia się z nizin społecznych. Trzeba wczytać się w jego pisma, aby się przekonać o tym, jak jest zaciekłym wrogiem pustych haseł, oszukiwania ludu kłamliwymi programami, politykierstwa, żerującego na łatwowierności. Niećko to prosty, uczciwy chłop, chcący swego brata, chłopą, wychować, wewnątrznie go przebudować, wydobyć z niego siły społeczne, wzbudzić rozrost samodzielności, a rozerwać zapory hamujące odrodzenie wsi. Píše on: „Zmierzamy świadomie do pogłębienia społecznej, politycznej myśli ludowej i kultury politycznego działania“, ruch nasz „pracę swą wychowawczą opiera na zasadach moralności chrześcijańskiej, przy czym moralność ta ma się wyrażać przede wszystkim w bratnim stosunku człowieka do człowieka i w dążeniu do urzeczywistnienia idei braterstwa w społecznym życiu ludzkich gromad“. A w swej książce, będącej wskazaniem wydumanym w zespoleniu z gromadą, „Na wiciowych drogach“, písze: „Do tych tysięcy gromad wiciowych nie przychodzi monter z gotowym planem działania — natomiast wszyscy po społu stawiają sobie wspólny cel i społecznie do celu tego zdążają. Na tej drodze gruntuje się i rozszerza w duszach, sercach i rozumach młodzieży idea współżycia i współdziałania człowieka i obywatela, kształtuje się ideał wsi odrodzonej.

Na tych drogach wiciowe gromady rozniecają i gruntują w życiu wsi własną inicjatywę i twórczy rozmach w przyszłość, w myśl hasła: odrodzenie życia wsi — siłami samej wsi. W ten sposób wieś przestaje być przedmiotem, którym można tylko tak lub owak operować i kierować nim według różnorodnych instrukcyj, układanych daleko od wsi i dalekich od potrzeb życia wsi — natomiast wieś przechodzi do stanu czynnego, staje się organizmem żywym i działającym według własnej i świadomej woli społecznej“.

„Poprzez społeczne wcielanie w życie wymienionych rodzaj prac kształtuje się społeczne uczucie, sumienie, rozum i społeczna wola chłopska. Dlatego też powiadamy, że wiciowy ruch — jest nurtem społeczno-wychowawczym, zmierzającym do strząśnięcia z życia wsi wszystkich namulów, osiadłych na duchowości chłopskiej w czasach długich wieków niewoli, do wyzwolenia z siebie na światłoienne zawiązków duszy człowieczej, godnej i Boskiej, by rozrastała się ku słońcu przyszłości na ideałach słowianizmu, które były i są zgodne z duchem nauki i moralności głoszonej przez Chrystusa“.

— Program a życie to wręcz przeciwne rzeczy — przerywam.

— Jednakże program nasz staramy się urzeczywistnić, a to: budzimy utajone a marnujące się zasoby duchowe, urabiamy nowego człowieka, bo chłop musi być twórcą życia, musi rozwijać pierwiastki, przejawiające się w pieśni, architekturze, literaturze, sztuce, aby na ich podwalinach budować zrąb polskiej kultury. Pragniemy go ukształtować do tej roli, dać mu ręce i duszę sposobną. Wiele sił musimy marnować na walkę z przeciwnościami, jednakże z dumą możemy stwierdzić, że owoce naszej

pracy są piękne; są wsie, którym młodzież nadała wyrazne oblicze, odróżniające je wybitnie od ogółu.

— Mimo wszystkie wysiłki ogarnia nas pesymizm, gdy patrzymy na rzeczywistość. Chłop tkwi wszystkimi korzeniami w starych błędach. Ani kościół, ani szkoła, ani wysiłki najszlachetniejszych nie mogą ich unicestwić. Piekielny opór napotyka się w tej pracy uzdrowienia i odrodzenia.

— Pesymizm? Co wieki zniszczyły, to trudno w ciągu paru lat odbudować. Przemian nie można dokonać wysiłkiem jednego pokolenia. Zresztą, według zdania ogółu, dotychczas były błędne drogi podchodzenia do wsi. Uważało się chłopą za bezradne, kalekie, ślepe dziecko, które trzeba wziąć za rączkę i prowadzić ostrożnie: kmiotku, tędy idź. Lub uważano chłopą za materiał, który wszystkim powinien służyć. Wszyscy go też urabiali na swoje podobieństwo. Urabia go ksiądz, polityk, oświatowiec, kulturnik dla własnych celów. Chłop chce iść sam, wyzwala się z ciężącego na nim niewolnictwa. Opiekuństwo, patronowanie zabijało samodzielność i inicjatywę. Chłop ma samopoczucie własnej wartości, wiarę w moc twórczą i dorasta do żywiołu samodzielnego jako „świadoma swych celów powszechność ludowa”.

— Tę odmianę spowodowały ostatnie lata? Zdawać by się mogło, że nędza, ciężkie warunki, prześladowanie mogą złamać lub pogrążyć w zniechęceniu.

— Nic podobnego. Kryzys był zbawienny i wielce się przyczynił do wzmocnienia wewnętrznej siły i do samodzielnego działania. Pozostawiony bez niczyjej pomocy, bez środków materialnych, gnębiony, prześladowany na każdym kroku musiał chłop wydobyć z siebie tę moc, mającą go wyrwać z beznadziejnego stanu, a przy

tym nauczył się cenić ideę, wartość charakterów. Okazuje wielką prężność duchową, dynamikę. Gdyby nie kopano mu dołków, gdyby nie hamowano rozwoju, to by dzisiaj znalazł własne drogi, którymi by maszerował w lepszą przyszłość. A młodych wciąż zaprzęta troska: jak ma wyglądać Polska pod względem kulturalnym i obyczajowym. Młodzi wymagają określenia programu na podstawie wartości moralnych.

— To nowy etap rozwoju ludu. Czytając wynurzenia młodzieży zwróciłem uwagę, że ten ruch jest kierowany przez samych chłopów.

— A tak. To olbrzymia zdobycz. Znać żywiołowy odwrót od inteligencji, która chłopu dla swej kariery oszukała, zdradziła. Ci, którzy wyszli ze wsi, zaparli się wsi, zerwali z nią i stali się sługusami, pacholkami różnych ludzi i kierunków. Nauczycielstwo jest też poza nawiasem wsi. Tam, gdzie nauczyciel rozumie ducha czasu, nie chce być przewodnikiem, narzucającym swoją wolę, nie mówi o swej roli, pracy, nie żąda przywilejów, ale jest jedną cegłą w budowaniu, jest jednym z twórczych członków gromady, ucieleśniającym ideę dobra i miłości w czynie, tam ogół z szacunkiem go przyjmuje do grona. Często słyszeć: nie chcemy, aby inne warstwy panowały nad wsią, dość patronowania, chcemy decydować o losach wsi, bo zdobyliśmy prawo do tego i w życiu i na frontach. Zbankrutował nauczyciel, schodzący w lud, zbankrutował ksiądz, polityk, uważający chłopu za nawóz, zbankrutował oświatowiec, niosący kaganek wiedzy, zbankrutował instruktor, nie wychowujący, ale działający nakazem. Oni wszyscy budowali wieś wedle swoich wzorów, dla siebie. Dzisiaj chłop wypracowuje swój kierunek, okazując energię, przedsiębiorczość, bojowość w twórczym działaniu, aby

budować własną wieś dla siebie. Nie tylko młodzi dochodzą do głosu. Niejednokrotnie starzy, zatruci niewiarą, biernością, rzucają pytanie jak ciosy topora, wrębijącego się w pień duszy: jak wydrapać się z obecnego położenia własną pracą, aby była radością w gromadzkim wysiłku. Współczesność w swej mądrości musi dostarczyć tworzywa. Trzeba stwierdzić, że w męce rodzi się nowa wieś, która potrafi ruszyć zdecydowanie do ataku przeciw wszelkiemu złu. W walce o tę wieś widzimy wspaniałe dowody ofiarności, poświęcenia i entuzjazmu. Zdajemy sobie z tego sprawę, kto niszczy pracę, kto zasiewa nienawiść. Przez wsie ostatnio przewiał podmuch, który pozapalał serca. Trzeba te ognie gasić miłością Ojczyzny. Bo tamci nie są ojczyzną, bo oni są jeno batem, są przelotną, choć groźną chmurą.

— Po wielekroć pytałem różnych ludzi i teraz powtórzę pytanie: jak młode pokolenie ustosunkowuje się do polityki?

— Tylko uświadomiony chłop będzie samodzielnym czynnikiem w polityce. Młodzi nie czekają na odegranie ważnej roli, ale przygotowują się do niej. Młodzi nie są ślepi w sprawach politycznych, ale odróżniają plewy od ziarna, nie dają się oszukiwać i wnoszą do polityki dużo nowych myśli i obyczajów. Te przygotowania nie osłabiają parcia chłopą do brania rządów, ale je zbliżają. Młodzi zdobywają placówki we wsi, w gminie, powiecie, aby być czynnikiem kierującym w państwie w imię nakazu: wolna i samodzielna Polska, jeżeli w niej wolny i samodzielny obywatel.

— Oby to odrodzenie wsi stało się żywiołowe!

— Tak, najwyższy czas. Że to nie stało się dotychczas, czy to wina chłopą? Spójrzmy na dzieje 20 lat, na wszelkie

krzywizny, wzloty i upadki, na brak myśli przewodniej, na szamotanie się szaleńca, który otrzymał wielkie dziedzictwo. Innym narodom, bardziej zacofanym i bardziej pierwotnym, okres dwudziestoletniej niepodległości wystarczył na przeprowadzenie ważnych reform, na podłożenie podwalin pod nowe życie i budowanie mocnych zrębów. U nas wciąż się woła: jesteśmy na dorobku, wróciliśmy na pogorzelisko, wojna zrujnowała. Boimy się spojrzeć trzeźwo, aby prawdę zobaczyć. Brak idei, brak ambicji, brak zgodnego działania staramy się usprawiedliwić nieszczęściami. Jeszcze nie było nikogo, kto by umiał rozbić skorupy narosłe przez wieki, nikt nie umiał wyładować nagromadzonych sił twórczych, nikt nie umiał skupić narodu. Częściej nędzne siły umieją rozdzierać i rozgrabiać Polskę. Dla wielu Polska jest wtedy dobrą matką, godną przywiązania i miłości, gdy ją można rozkradać, gdy jest wiechciem do zatykania dziur. Chłop tym się różni od innych klas społeczeństwa, że niczego nie żąda za najcięższą nawet służbę. Nikt mu też nie płaci pensjami ani dostojenstwami za rany, za krew przelaną. Chce mieć prawa, chce być wolnym obywatelem. Chłop wie, że praca wedle sił i zdolności daje prawa, a nie urodzenie, tytuł, tradycja czy herb nieraz wyszachrowany, wyżebrany, kupiony, aby był osłoną kryjącą łajdactwo i protekcję. Próchnem dawnych czynów nie można żywić narodu żywego, ale trzeba wydobywać zdrowy chleb z gleby żywej.

— Przejeżdżając przez wieś widziałem tęczowe znaki na wywieszkach.

— To są znaki spółdzielcze, to herby chłopskiej siły i odradzającej się wsi.

— Spółdzielczość zbankrutowała w Polsce.

— Bo była prowadzona przez ludzi „nie mających po-

czucia dobra wspólnego i zdolności współdziałania i współtworzenia wartości wspólnych", bo prowadzona była przez ludzi nie związanych ze wsią, mających na oku tylko swoje korzyści. Dzisiaj spółdzielczość opiera się na charakterach wyrobionych społecznie, wychowanych w gromadzie.

— A jak się rozwija?

— Spółdzielczość rozrasta się i potężnieje, gdyż wnosi niepowszednie wartości, stwarza wielkie rzeczy i rozprzestrzenia duszę, przygotowuje społeczników uświadomionych, pracujących dla wspólnego dobra. Młodzi tworzą nowe formy spółdzielcze, nie przenoszone z obcych krajów, nie naśladowane, ale przez siebie wytworzone, niejako wyrosłe z potrzeb polskiej wsi. Każda placówka krzepi i budzi wiarę. Czasem nie chce się wierzyć, jak chłop szybko dojrzewa i samodzielnie pracuje. Ot, pierwszy z brzegu przykład: wieś ciemna i głucha, mieszkańcy jej to biedaki, podleśni ludzie, zacofani, będący w pogardzie u wszystkich. Z wiosną wędrowali z miotłami brzozywymi i buczyną do sadzenia. Dwaj wychowankowie uniwersytetu w Gaci wrócili do domu i wśród jałowizny zaczęli działać; w ciemną, nieufną ludność rzucili myśl założenia spółdzielni spożywców. Kiełkowała myśl długo, aż w końcu wyrosła bujnie. Stał się cud. W ciągu roku powstały dalsze trzy sklepy, rozrzucone po osiedlach, kierowane i prowadzone przez chłopów. Wieś drgnęła i rozruszała się. Z dochodów, a przy pomocy gromady, postawiono dom, aby w nim mogło się ogniskować życie. Już planuje się wybudowanie, jako rzeczy najkonieczniejszej, łaźni. Ten ładny murowany dom, widziany przez wszystkich, owoc wspólnego trudu, jest dumą, przemawia do każdego: nie było nic na tym kawałku ziemi, a teraz

jest miejsce znoej pracy, oświaty, godziwej rozrywki. Nikt nas nie pędził, nikt nas nie przymuszał i nie nakładał ciężarów, ale piękne dzieło wyrosło ze współdziałania, z dobrej woli, ze zrozumienia wartości dobra wspólnego. Ci miotlarze, będący do niedawna w pogardzie, dzisiaj stawiani są za wzór, jeżdżą po okolicy, uczą, jak należy dźwigać się, kreśląc dzieje własnych wysiłków i czynów. Te spółdzielnie są najpiękniejszą propagandą wartości twórczych człowieka. One budzą wiarę i skupiają coraz szersze kręgi do pracy społecznej.

Prawem naszym braterska Spólnota,
Wszelki wyzysk wyniszczym jak trąd.

W spółdzielniach, w świetlicach rozbrzmiewa hasło
tak obce dzisiejszym, rozszalałym czasem:

Błogosławiona dobroć człowieka
Niesie pokój ludziom w dom.

To już nie orka na ugorze, ale nadszedł czas na siejbę. Gdy chłop otrzyma zagon wedle prawa mu przynależny, to go uprawi wzorowo, aby tym zagonem Polskę wzbogacić. Droga do potęgi Polski przez chłopskie gospodarstwo, do jej wielkości przez odrodzone dusze. Niszczenie wsi — to przyłożenie siekiery do korzeni narodu. Kto tę siekierę odtrąci? Kto prawdę, kto miłość i sprawiedliwość rozniesie po wsi jak chleb pożywny i rozda wyciągniętym rękoma? Jakże częściej odrąbuje się te ręce mające budować, tworzyć. Znów się odradza stara pieśń, niosąca wspomnienie bata:

Coz to za Ojczyzna?
Śtyry dni pańszczyzna,

W piecu ogień zalij,
Na pańszczyńę dali.

Kto zetrze z pamięci słowa przeklętej pieśni jak znój
ze spracowanego oblicza? Czy jest taka sprawiedliwa ręka
w wolnej ojczyźnie, wywalczonej i obronionej przez naj-
lepszych jej synów?

SYN, KTÓRY WSI NIE ZDRADZI

Na naszej drodze stała wioska łemkowska w zapadłym kącie, o której wszędzie mówiono, że zakrzepła w nędzy, zacofaniu, ciemnocie. Domki, porozrzucane po wzgórzach i zboczach, patrzyły na świat małymi oknami, zabitymi drewnianymi kołkami, aby nigdy nie wpłynęło świeże, górskie powietrze. Wstępowaliśmy do izb tak podobnych do wnętrza izb chłopą polskiego. Niemal te same graty, często brak komina, dym rozwleczone zasłaniał ściany, z których ledwo majaczyły obrazy świętych, stróżowie wszystkich spraw dziennych, powiernicy i pomocnicy w ciężkim życiu. Rzadko można było spotkać łóżko zaścielone, spiętrzone poduszkami, częściej prycze zbitą z desek, a na niej stertę łachów, kożuchów, lub ławę, obiegającą wzdłuż ścian, służącą za legowisko. Słysząc płacz niemowląt. Kołyski nie widać. Dziewczyna stojąca porusza zgrzebną płachtą, uwiązaną u belki, i śpiewa po swojemu piosenkę, która ciszy maleństwo. Na klepisku pod tą kołyską kałuża, powiększana pluskającymi kroplami.

Czasem wyłonił się stary chłop wychudły, istny szkielet. Siedział przy oknie czarny, rozdzierany kaszlem.

— Jakże wam teraz?

Zamiast odpowiedzi machnięcie ręką.

— Siedzicie sobie spokojnie i odpoczywacie na starość.

— Ej panie, żebym tymi pazdurami ziemię mógł podrzeć, to bym wydrapał sobie grób.

Przed jakimś domem dwie dziewczynki siedziały nad lalką i śpiewały śliczną kołysankę, jakby nuty spadały z nieba spomiędzy gwiazd. Stanęliśmy, aby posłuchać i popatrzeć na kukłę ze szmat i patyków, owiazaną barwnymi krajkami.

— Dajcie mi tę lalkę.

Przerwały śpiewanie. Podniosły głowy, wpatrując się bacznie w przybyszów.

— A na co wam?

— Dam dziecku.

— A my? — drgnęło smutne słowo, a źrenice załśniły łzami.

— Dajcie, dajcie — od progu zawołała matka.

Uniosły w rękach swój skarb, podawały zmartwiałymi rękami, jakby dźwignęły ku nam trumienkę. Nie śmialiśmy tknąć. Odeszliśmy, a za nami biegła piosenka, ale już nie była taka radosna, nie była przejaśniona szczęściem jak przed chwilą.

Gdziekolwiek spojrzeliśmy, wszędzie widzieliśmy te same sprawy codziennego życia w izbach, na podwórzach, w zagrodach, na polach.

Stanęliśmy przed domkiem, nie różniącym się niczym od innych. Napis w języku miejscowym głosił, że to spółdzielnia chłopska. Z bocznej izdebki wyszedł ku nam młody człowiek, sprawiający wśród tych ścian niezwykle wrażenie zewnętrznym wyglądem. Bosy, w parcianych portkach, w zgrzebnej koszuli. Strój taki sam, jaki noszą jego sąsiedzi. „Do połowy chłop, a głowa inteligenta“. Twarz rozumna. Spoza okularów amerykań-

skich patrzyły oczy bystre. O coś go pytaliśmy. Gospodarz zrazu ostrożny, skąpy w słowach, objaśnił ostro, że jest kierownikiem tej chłopskiej kooperatywy, że sprzedaje drobiazgi potrzebne mieszkańcom wsi i prowadzi mleczarnię. Rozmowa raz za razem się rwała, powstawały przerwy jakby zdradzieckie doły, w czasie których spojżenia spoza błysków szkieł osaczały przybysza, badały, przewiercały na wylot „Lacha”. Z trudem powiązały się zdania, coś w końcu przełamało nieufność i żwawiej potoczyła się pogwarka o wielu sprawach. Mówił o tej wsi, o jej wiekowym zaniedbaniu, o ciemnocie, o życiu w najpierwotniejszych warunkach, z których trzeba całą mocą wydzierać, aby pchnąć z miejsca na szlak postępu. Wspomniał o początkach swej pracy, o mozołach bezgranicznym, aby naprawić, uporządkować, mówił też o zamiarach podjętych. Dowiedzieliśmy się, że jest absolwentem uniwersytetu w Pradze, doktorem jednego z wydziałów; otwierała się przed nim kariera naukowa, którą porzucił, aby wrócić na wieś, wołającą o rzetelnych pracowników. Domyśliliśmy się, że on jest twórczym duchem wszystkich poczynąń w tej wsi, gdzie nigdy nie słyszano o ukrainizmie, że on jest synem tej wsi, związanym z nią wszystkimi węzłami, żyjącym jej życiem, bolejącym jej bólem, ale teraz niczym nie różniącym się od braci i nie odgraniczonym od nich herbem, urodzeniem ani uprzedzeniami kastowymi. Byliśmy pełni podziwu a zarazem współczucia, że młody człowiek zakopał się w tej dziurze, w najpierwotniejszych warunkach, pozbawiony wszelkich wygod i rozrywek. Daliśmy temu wyraz.

— Przecież szalenie musi się na panu odbić brak strawy duchowej, brak teatru, kina, towarzystwa. To wygnanie. Trzeba mieć ogrom miłości ludu i niewy-

czerpane pokłady idealizmu, aby podjąć się pionierskiej pracy.

— Przesada. Rozrywki? Strawa duchowa? Ależ wyrośliśmy z epoki dylizansów. Nie ma dzisiaj bariery między wsią a miastem. Zniweczyło ją radio, książka, auto. Samotność okazuje nowe światy, ich głębię i bezbrzeżność. Zresztą obcowanie z ludem, poznawanie jego duszy przynosi bardzo wiele niespodzianek.

— Ale te nudy. Wściec się można.

— Czyż to cel życia gnuśnieć w kawiarniach przy małej czarnej? A ileż godzin tam gnije przeciętny człowiek, marnujący czas na gadaninę i przesypywanie sieczki, jaką są plotki i sensacje dziennikarskie. Nie znam słowa „nuda“. Gdzież mogę myśleć o tym wobec podjętego zadania? Wyrwać z posad zakopaną wieś i pchnąć ją na wyżyny, to trud nie lada. Jakaż to radość, gdy się widzi urzeczywistnianie poczyną. Jestem niedługo; w pierwszych dniach ogarniała mnie ochota ucieczki, ale powoli zaprzągnąłem się do pługa i drę z ochotą rolę, leżącą odłogiem. Tutaj mogę rozwijać inicjatywę, przedsiębiorczość, nikt nie krępuje mojej woli, zamierzeń. Tysiące prac czeka na mnie i gdzieżbym myślał o dancingu. Wolę być przewodnikiem na wsi, niż parobkiem w mieście, załatwiającym kawałki i wypełniającym rozkazy często bezduszne, wolę być współtwórcą dokonywanych zmian na wsi, niż gnić w zaduchu kawiarnianym.

— Młodzież polska po skończeniu uniwersytetu ucieka ze wsi.

— Zapewne dlatego, że kocha życie wygodne, miękkie legowisko, chce uniknąć walki z przeciwnościami.

— Placówki polskie na wsi — mówię — nie mogą znaleźć kierowników z wykształceniem, spółdzielnie zdro-

wia daremnie szukają lekarza, chcącego poświęcić się pięknej pracy dla nieszczęśliwego brata. To ma i dobre strony; odoobniony i pozbawiony pomocy chłop sam garnie się do pracy w spółdzielniach, do pracy oświatowej i z wielkim pożytkiem zastępuje wykształconego, który zaparł się brata.

— Przed młodzieżą polską stoi otworem kariera urzędnicza, dostojenstwa, godności, a młodzieży ukraińskiej został szary trud, spółdzielnie na wsi, placówki ekonomiczne, z których czyni ogniska życia.

— Pozostała praca mozolna, kajdaniarska.

— Pan nas obraża. Jeżeliby była mozolna, byłaby przekleństwem, a jest ona dla nas radością i szczęściem. Nikt z nas jej nie przeklina, ale z największą ochotą wypełnia. Gdybyśmy przeklinali, to byśmy byli niewolnikami, chcącymi rozerwać nałożone więzy, a myśmy są szczęśliwymi żołnierzami sprawy narodowej, wybranymi przez los. Ten sklepik na wsi jest moją pracownią, mającą rozliczne zadania...

— Czy jest tylko placówką ekonomiczną...?

— Jest tym, co życie każe. Tutaj czytelnia, biblioteka, biuro porad prawnych. Dotychczas nie było nikogo, kto by pomógł, poradził, wsparł. Chłop ciemny, analfabeta, był wydany na łup wyzysku, był ofiarą bezprawia byle łajdaka, byle gryzipiórka, pachciarza czy karczmarza. Chłop mimo swego przysłowiowego sprytu jest bezradny, nie umie się bronić, milczy, choć ma poczucie krzywdy i nosi je w sobie jak głęboko zakopany nabój, gotowy wybuchnąć przy łada sposobności. Każdy z nas ma tytuł naukowy, zdobyty ciężką pracą, w warunkach nieraz najmozolniejszych, ale ten tytuł nie może być tarczą lenistwa. Mamy przed sobą ważne zadanie: przebudowę

życia. Dźwigamy wieś gospodarczo, niszczymy handel wyzyskujący naszych ojców i braci.

— No i jesteście pionierami nowego życia... W zapadłych, głuchych, ciemnych wioskach toczy się walka, w której zwyciężają młodzi swoim entuzjazmem, wytrwałością, miłością idei. Ofiarność dzisiejszej młodzieży ukraińskiej staje się przysłowiową, stawianą tak często za przykład do naśladowania.

— Ależ my nie krzyczymy — przerwał porywczo — że jesteśmy „pochodniami“, „ofiarnikami“, że poświęcamy się idei. To polskie wyrazy z przebrzmiałego okresu, wytarte, zdarte i zbanalizowane. Jesteśmy tylko zwykłymi pracownikami przy warsztacie, przy jakim nas los postawił. Robimy to, co do nas należy, jak chłop, jak robotnik, jak rzemieślnik, spełniamy obowiązek wedle swoich sił i uzdolnień. Z równą słuszością należałoby podnosić zasługi tego rolnika, idącego za pługiem, szewca przy pociągłym, stolarza przy heblu. Nie czynimy nic wyjątkowego poza wypełnianiem obowiązków. Wszelka ofiara to męczeństwo, a nasza praca jest radością. Nie, nie, nie jesteśmy ofiarnikami, męczennikami, ani też nie chcemy wdziawać ich świętych szat na zgrzebne koszule, uprzedzone w tamtych izbach przez nasze matki i siostry.

Patrząc na tego młodego kierownika, budziela, pomyślałem, ileż to młodzieży chłopskiej kształciło się przez dziesiątki lat w szkołach polskich. Rodzina biedowała, skąpiła jedzenia, oszczędzała grosz do grosza, aby dziecku w szkole nie brakowało niczego; matki dźwigały toboły chleba lub kaszy na barkach, boso wędrowały milami, a często nie mogły przestąpić progu izby, aby wstydu nie przynieść synusiowi, który daleko poza miastem odbierał

razowy chleb, oselki masła a w węzélku znój i lzy zmienione w centy i korony. Bardzo liczny zastęp wyszedł, jak się sentymentalnie mówi, spod słomianej strzechy. Ci synowie chłopscy zajęli bardzo poważne stanowiska i powinni byli nadać nowe oblicze społeczeństwu; ich udział w budowaniu polskiej rzeczywistości powinien uzewnętrzniać się wybitnie na każdym polu, oni też wspólnymi siłami powinni dźwignąć wieś. A czy znać wpływ w rodzinie, której kosztem pobierali nauki, wysysali krew? Czy biorą udział w życiu gromady? Czy rzucają swe rady, myśli? Ich siły, które miały być zdrową, odżywczą i odradzającą krwią, gdzieś się zatraciły. Jakże często synowie chłopscy zaparli się tej matki, zgiętej pod tobołem, zaparli się nazwiska, aby się „uszlachcić”. Najpiękniejszym wyjątkiem jest plemię góralskie, czujące dumę rodową w słowach: „jestem Podhalańiec”. A czy Podhalanie przekształcili wieś górską? Brak przynależności do wsi i odpowiedzialności za los najbliższych, ucieczka od słowa „chłop”, bo ten jest w pogardzie, choćby był najgodniejszy szacunku. Z trudem powoli rodzi się „duma chłopska”, honorność. W myślach chciałem usprawiedliwić młodzież chłopską tym, że skończyła studia nieraz w najstraszniejszych warunkach, w gimnazjum i w uniwersytecie stargała zdrowie, wyczerpała siły, jest zmęczona przebytą drogą tak, że już nie jest zdolna do podjęcia pracy na wsi, że częstokroć chłopskie pochodzenie jest przeszkodą w otrzymaniu posady.

I tam w małej izbie łemkowskiej spółdzielni głośno wypowiedziałem nurtujące mnie myśli:

— Ucieczkę synów chłopskich od pracy na wsi należy usprawiedliwić ciężkim życiem, w jakim odbywali swoje studia.

Spojrzał na mnie uważnie i odparł ze złośliwym uśmieszkiem.

— Wyczerpani walką z życiem... Złudzeniem chciecie zasłonić istotę rzeczy, aby siebie okłamywać. To jest ucieczka od chłopca, od swego pochodzenia, od pracy na wsi. U was każdy chce być szlachcicem i małpuje go, u was każdy chce „wyjść na pana“. Nie ma dumy rodowej, kmiecej, chłopskiej, bo lękacie się wzgardy byle szlachetki, patrzącego na chłopca oczami z XVII wieku, pijanicy, marnotrawcy, łachmaniarza duchowego, który wszystko przeszedł, a został mu herb nieraz na szynkwasie. U nas nikt z młodzieży chłopskiej nie chce być „panem — szlachcicem“, bo ci są symbolem ucisku, wyzysku. Naszych sił nędza nie wyczerpała, ale zahartowała do pracy, bo ożywia nas idea, miłość do ludu i świadomość, że na naszych barkach wielka odpowiedzialność za to wszystko, co się dzieje. Tworzymy rodzinę chłopską, związani jesteśmy ze wsią wszystkimi żyłami. Bracia moi skąpili sobie chleba, aby mnie wykształcić, matka w zimie, w czasie zadynek, w lecie, w dni skwarne, obłana potem niosła chleb dla mnie; najbliżsi składali we mnie swoje oszczędności i jestem kapitałem, który ma dawać odsetki ogółowi. Tymi odsetkami jest moja praca. Wiedzę, wykarmioną znojem matek, oddaję braciom moim. Czyż więc mógłbym zawieść ich zaufanie i oszukać? Czyż więc mógłbym zaprzeczyć się tej matki? Czyż mógłbym okradać braci? Nasza młodzież, wracająca na wieś, nie jest zmarnowanym geniuszem nienawidzącym otoczenia. nie jest zgorzkniałym wykojeńcem, zatrutowanym pesymizmem, wstydzającym się pluga, kosy, wstydzającym się stanąć z ojcem do pracy, wstydzającym się iść razem z chłopem do budowania nowej rzeczy-

wistości. Patrząc na młodzież polską, która musiała z różnych względów przerwać studia — jej los pożałowania godny. Ot, mieć łańch, byle pański. Wy nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak daleko szlachecka zdraża polskie życie, znieprawia charakter.

— Powoływać się na zasługi czyjeś, błyskać herbem, zamiast zdobywać ten herb własną pracą.

— Lubujecie się w przeżytkach, w odpadkach odrzuconych na śmietnik. Sentyment do herbów, rodowych klejnotów hamuje rozwój i postęp. Wołacie: dwór jest ogniskiem kultury i oświaty. Gdyby to było prawdą, to wieś polska powinna być wzorem dobrobytu i postępu. Gdyby chcieć wierzyć nekrologom, to każdy umierający był wzorem cnót obywatelskich, który siły, zdrowie wyszarpał w pracy dla drugich, który rozdał życie. A czy tak jest? Rzeczywistość temu zaprzecza. Gdzież większa nędza, wyzysk, ciemnota, gdzież większy brak Chrystusowych zasad w życiu? W państwach demokratycznych chłopskie ręce dźwigają wieś, urabiają kulturę. W Polsce, gdy idzie o prawa dla chłopów, to słysząc: cham do gnoju. Gdy idzie o obowiązki, to chłop musi wszystkie wypełnić. Na polu bitwy nikt nie pyta, czy krew przelana jest robotniczą, chłopską, błękitną, ale czy bohaterską. Jakże często porównują Polskę z Czechosłowacją, wieś polską ze wsią czeską. Szalona różnica! I pytam, dlaczego tutaj takie zaniedbanie, tak niski poziom na wielu polach? W Czechosłowacji ludzie zdolni zajmują kierownicze stanowiska, bo tam praca jest herbem, urodzenie nie jest przywilejem. Spójrzcie po urzędach, instytucjach, jaki procent urzędników pochodzi ze wsi. Czy ktoś przeprowadził statystykę? A przecież zawsze mówicie, że wieś jest rezerwuarem sił żywotnych narodu. Należałoby wątpić

w ten rezerwuar. Brak wiary w chłopą, niechęć i pogarda do niego, wyniesiona z okresu pańszczyźnianego, trwa do dzisiaj. Przepaść głęboka, bez dna, jest między Polską a wsią. Kto ją wykopał? Z czyją szkodą? Poglądy na chłopą dzisiaj, w Polsce demokratycznej, republikańskiej, niczym nie różnią się od czasów najciemniejszej szlachetczyzny z okresu saskiego.

— Niechęć przemawia przez pana, więc wyraża pan sądy krzywdzące.

— Pracy, uzdolnień, wypełniania obowiązków nie można zastąpić herbem, wyprasowanymi portkami i wyrobieniem towarzyskim.

— Polska ma wielki kapitał, który marnuje; jest nim wiara Słowiańszczyzny. Rosja mogła odegrać rolę przodowniczką narodów słowiańskich. Zbankrutowała. Dzisiaj może i powinna odegrać tę rolę Polska. Na nią skierowane oczy wszystkich. Słowiańszczyzna pokłócona, rozproszkowana. nienawidząca się wzajemnie, jest ślepym narzędziem swych nieprzejednanych wrogów, którzy ją chcą podeptać i zniszczyć. Nie ma nikogo, kto by nienawiść ugasił, walczących pojednał i zbratał wszystkich w imię wspólnego dobra, w obliczu niebezpieczeństwa. Tę siłę zbratania, ten ogień stapiający mogłaby mieć Polska, gdyby patrzała w daleką przyszłość i gdyby wypracowała w sobie wielką ideę. Niestety, dzisiejsza Polska niweczy wielkie posłannictwo, oburącz zasypuje ognie tych idei, zabija płomienną serca. Mickiewicz rodzi się na stulecia. W nim mogłyby się stopić narody i utworzyć jedność. Powinniśmy się modlić o narodzenie nowego Mickiewicza. Polska, Polska... zapomina o dziedzictwie płomiennych duchów, o ich testamentie z błyskawic... Powinna być przodowniczką...

Jakże może to uczynić, jeżeliście sami sobie nie umieli okazać w ciągu 20-letniej niepodległości wielkiej idei, jeżeliście nie umieli zniweczyć krzywdy i jedności zaprowadzić. W misce soczewicy nie można umieścić porywów Słowiańszczyzny. Ech, przerywam... Mówmy o wsi i nie wychodźmy poza jej opłatki. Powtarzam, dobra maniera — to nie wartość człowieka.

— Patrzy pan przez okno chaty oczami, dla których dwór jest symbolem ucisku i widzi pan tylko dwór, a nie Polskę, na przestrzeniach której dokonują się wielkie i zasadnicze zmiany. Patrzymy na nie codziennie i dlatego nie widzimy przewrotów. Dźwigamy wieś, wyrwamy z wiekowego zaniedbania i przebudowujemy ją.

— Ale powoli. Zwykle po jednej stronie są urzędnicy załatwiający kawałki urzędowe, a po naszej — świadomi celów i idei pracownicy, nie oszczędzający sił, choć ich nie czeka nagroda, pensja, odznaczenie, awans. Nagrodą dla każdego jest plon naszych poczyną. Jakże często „praca dla społeczeństwa“, „ofiarnictwo“, „służba dla narodu i ojczyzny“ są zwyczajnym oszustwem, pustym hasłem, bo nie pomazanym gorejącą krwią, nie wypełnionym znojem. Często stroicie się w piękne nakazy idei, gdzie powinno być tylko zwyczajne spełnianie obowiązków. My wypełniamy ten obowiązek, a wy jesteście ofiarnikami, zresztą dobrze płatnymi. Gdzie są gęby pełne hasel, tam nie ma czasu na pracę. Z drugiej strony my, którzy wyszliśmy ze wsi, wracamy do niej. Jesteśmy nieodrodnymi synami wsi mimo naszych dyplomów. Zresztą dyplom nas nie wyróżnia od ogółu, nie daje przywilejów, ten dyplom nie rozdziela nas od ojca, matki, braci, a tylko kładzie tym większe obowiązki. Znamy wszystkie potrzeby, warunki życia i nasza wie-

dza służy nam jako narzędzie. Chcemy być korzeniami życia wsi, ukrytymi pod ziemią i zasilającymi twórczymi siłami.

— Chcecie być przewodnikami...

— Nigdy — zachnął się oburzony. — Chłop dość ma opieki, nie chce być niewolnikiem karmionym łaską i poniżającymi go dobrodziejstwami. Przewodzenie jest też niewolą. A my uważamy, że wolny obywatel jest najtrwalszą podwaliną wolności swego narodu. Przewodzenie jest upakarzaniem, deptaniem przyrodzonych, ukrytych sił. My zaś staramy się tylko obudzić te zasoby, leżące w uśpieniu, nieraz bardzo wielkie i twórcze. Dlaczego mamy iść przed narodem i przewodniczyć? Dlaczego mamy być pasterzem nad stadem zapędzanym batem, choćby jakiejś najwznioślejszej idei? Często wielkie hasła są haselkami komuś potrzebnymi, a owe pochodnie są okopciałymi kagankami, które życie gasi. Człowiek zdrowy nie czuje w sobie obecności serca, mózgu, a one przecież kierują życiem. Tak i my nie narzucamy swej woli i swej obecności, nie przewodzimy, ale spełniamy pewną nakazaną nam funkcję, do której inni nie są zdolni czy powołani. A może wypełniamy tylko to, czego inni nie mogą się podjąć. Jeden dzierży pług, inny pióro, ale praca każdego jest ważna i pożyteczna.

— Jesteście sercem, mózgiem i duszą wsi tworzącej się, nowej, kształtujecie ją swoim trudem, talentem, wartością, jaką jest entuzjazm.

— Naszym zadaniem nie kierować, ale służyć, nie nad ludem, ale z ludem iść. Jesteśmy doradcami, nie narzucamy swoich myśli, nie przewodzimy, ale współpracujemy wedle sił i zdolności. W dążeniu do odrodzenia przez pracę, trud, szukanie, błędzenie, dajemy krzep-

kość ramionom, aby chłop nimi zdobywał przyszłość, dajemy światło oczom, aby cel swego przeznaczenia zobaczył, wskazujemy drogę, którą ma dojść do lepszej przyszłości.

— I torujecie.

— Nie torujemy, bo torowanie wyrabia lenistwo, czekanie na łaskę. Nie schodzimy do wsi, ale idziemy ze wsią w jednym, zgodnym szeregu ku lepszej przyszłości, nie zniżamy się do nędznego chłopa, ale dźwigamy go do góry.

— Kładziecie serca swoje jako podwaliny pod budowę tej przyszłości.

— Ech, po co nadużywać wielkich słów, gdy idzie o rzeczy powszednie, codzienne. Ochotnie bierzemy na barki nakazane zadanie jak snop pełen pożywnych kłosów. Zdajemy sobie sprawę z trudności zadania i z małości naszych poczynań, ale to nas nie łamie, nie zniechęca; krok za krokiem zdążamy do celu, aby przeschęcić postęp i jego zdobycze, wzmacniać wieś gospodarczo, głodnemu dać chleb, ciemnemu światło. Celem naszym jest też pielęgnowanie i rozwijanie pierwiastków starej, narodowej kultury, jej odrębności. Nie niweczyć bogactw tej kultury, nie zastępować obcą, może doskonalszą, ale rozwijać, wiązać i budować na przyciesiach pozostawionych przez minione wieki. W tym wszystkim jesteśmy tylko wyrobnikami portowymi, przenosimy zdobytą wiedzę z bogatych statków do chłopskich izb, aby się nią podzielić z braćmi. Ale to nie upoważnia nas do nagród, do uprzywilejowanych stanowisk. Wystarcza nam to, że w walce o wieś zwycięża chłopska młodzież.

— Ofiarnością, bezwzględnym wyrzeczeniem się, oddaniem swego życia idei.

— Nie — doktor brutalnie przerywa — miłością nieszczęśliwego narodu. Rzucamy swoje życie jak smolne polana na ognisko. Im więcej paliwa, tym większy ogień, tym jaśniejsze płomienie. Trzeba o swoim szczęściu zapomnieć, aby budować szczęście innym. Mylnie się wyraziłem. Szczęście brata jest moim szczęściem, a do tego dochodzę pracą i codziennym wypełnianiem obowiązków. To nie jest kapłaństwo, ofiarnictwo czy męczeństwo, to cel, który się w nas obudził i chce żyć dla drugih. Wszystkie siły oddajemy gospodarzowi tej ziemi, skrzywdzonemu, sponiewieranemu chłopu, aby nam rzekł: jesteś dobrym bratem, jesteś dumą swego narodu.

— To wasz klejnot i honor.

— Tak! Taki herb chcemy zdobyć i zdobywamy nawet w tej zapomnianej wioszczynie, gdzie każde dziecko wita mnie uśmiechem, dzierżąc w palcach kromkę chleba, której jeszcze wczoraj nie miało.

„BŁOGOSŁAWIONY CHLEB ZIEMI CZARNEJ“

I

Potężne grzmoty dynamitowych ładunków, rozsadzające skały, wstrząsały powietrzem. Po każdym huku przebiegał dreszcz po rozszarpywanej ziemi. W dole, w wykopach, w wyrwach znać drobne kształty ludzi, mocujące się z odwieczną twardzielizną. Migają wybliski kilofów, srebrne ciosy, chwytające blask. Na ścianach żalazobetonowych bloków, na przyczepionych linach wiszą pracujący jakby taternicy w szczelinach nad przepaścią. Na szarym tle cementu drży złota pajęczyna ruszto-
wań. Sieć lin rozpiętych w powietrzu niby struny, wśród których biegna wagoniki, przepychają się posłusznie rozkazom ludzi, przemawiających z mostku, pomiędzy gruzów, belek, znakami chorągiewek. Warsztaty stolarskie, ciesielskie, kuźnie, betoniarnia i elektrownia dają znać o sobie.

Wzrok przelatuje z miejsca na miejsce, wikła się, błądzi w chaosie, aby wnet przywyknąć i poznać sens wszystkich wysiłków, zmierzających do jednego wielkiego celu:

— Budowa zapory w Rożnowie!

Każdy najdrobniejszy ruch człowieka, zgrzyt, łoskot

kół, nawet gwizd, jest rytmem mocno bijącym w poemacie, zmieniającym wysiłek ludzi i maszyn w dzieło żelazobetonowe w pętli dunajeckiego przełomu. To najwspanialszy, wiecznotrwały poemat.

Z kamiennego dna oszalałego Dunajca wyrasta stromy mur, budowany przez zuchwałą myśl ludzką. Tętni tyśnięciem głosów praca dniem i nocą, bo nie ma czasu, bo nie można godziny zmarnować na odpoczynek. Szpryce pod naciskiem zgęszczonego powietrza wyrzucają rurami płynny cement. Do jego wytworzenia nie potrzeba gromady ludzi, która dawniej przesiewała, mieszała łopatami, zlewała konwiami wody. Dzisiaj młyn do mielenia piachu, sita, piaskownice, bębny do sortowania żwiru, przewożonego kolejką skądś znad brzegu, wyręczają człowieka i nie pozwalają, aby zatruwał swoje płuca tumanami zabójczego pyłu.

Dunajec niósł dotychczas zagładę, zostawiał płacz i rozpacz na polach zawalonych kamieniami. Temu kładzie się kres. Zwały cementu i żelaza zmieniają się w ścianę oporową, urągającą jego niepokonowanym dotychczas wodom. Szaleniec romantyczny, niosący nieszczęścia, teraz zaprzągnięty do kieratu, będzie pracował dla dobra wspólnego, dla wszystkich. Błyskawice elektryczności polecą w głąb gnuśnej, osępiełej, biernej, zaspanej, narzekającej i przeklinającej Polski, aby stwarzać warunki rozwoju, podwaliny pod nowe życie. Energia Dunajca obudzi fabryki, wyszarpie z głębi ludzkich piersi inicjatywę, przedsiębiorczość, dostarczy siły motorom, światła lampom, którym brak było zapalki i kropli kanfiny. Dawna rzeka buntownicza, nieobliczalna, kryjąca wielkie możliwości i marnująca je, wyrzuci z siebie twórczą energię, przepłynie drutami przez głuche wsi, przez drogi pełne wyboi i kałuż, aby wzmocnić ramię rzemieślnika,

aby cisnąć snopy światła w mroczne izby, aby rozniecać miliony słońc, aby tę ziemię, darzącą przekleństwami, zmienić w ziemię obiecaną, rodzącą chleb i zapalającą miłość.

— İzbyłł pracowiał dla cię do ostatniego tchu, iżbyłł cię bronił wypracowanymi rękami, którym dawałaś chleb. O ziemiō, o ziemiō, serce moje jest bryłą twoją, a bryła twoja jest częścią moją.

Czy ktoś pomyśli, że każde uderzenie młota, każde podniesienie kiloła, każdy rzut łopaty, każda garść piachu, każdy cios myśli, każda kropla potu jest twórczą pracą dla pokoleń, które idą ku nam, abyśmy im podali bochen z tej ojczyzny odwiecznej nędzy, olbrzymich bogactw martwych i marnujących się. Czy pojmujemy znaczenie tej budowli?

Budujemy przyszłość, choćby o suchym kawałku chleba.

Wsluchujemy się w gwar, w stukot, łoskot, w gwizd mijających nas wagoników, w sygnały obwieszczające coś, czego nie znamy, i radość nas ogarnia, niczym niewypowiedziana.

— Niech się mnożą w całej Polsce te gwizdy, stukoty, sygnały, znamionujące twórcze wysiłki, rozrzućmy je jak ziarno po wszystkich obszarach, aby wschodziły po ugorach, urodzajnych nieużytkach, leżących odłogiem od wieków.

Ta zaporā, pierwsza w Polsce — to wielki czyn. Ci wszyscy, spełniający jakąkolwiek rolę przy niej, swoje siły i znoj przelewają w żelazobetonową budowlę, a ona będzie pulsowała w swym ogromie krwią ludzką, zaklętą w energię twórczą. Ale na pewno nikt z tych robotników, mozołających się nad kilofem, taczka, młotem, nie pomyśli, że wznosi twierdzę broniącą i jego, i sąsiada przed powodzią,

że buduje motor, stwarzający energię dobrobytu. Dla niego każda godzina przepracowana to tylko kromka chleba, której brak w izbie, gdzie w drzwiach czeka gromadka dzieci, wpatrzona w ścieżkę, którą ojciec wraca.

— Tato, jeść.

Dla nich każda przepracowana godzina to koszula na grzbiet, to bucięta dla dziecka, które codziennie zdąży boso przez kałuże, szarugi do szkoły. A także dla nich Polska, to istota okrutna, która zdziera zgrzebną koszulę z grzbietu jednych, aby grzbiet innych jedwabiem okryć. Tak, tak, bezrobotni, spędzeni głodem, zaprzężnięci do łopat, taczek, do kilofów, po to, aby zarobić tyle a tyle złotych.

Wszystkim nam brak wiary w wielki czyn, powstający dla narodu, brak nam radości tworzenia, brak idei, każącej miłować trud. Jeszcze idea pracy nie weszła w naszą krew, krwią jeno sztandary umiemy malować.

Tutaj ciśnie się jedno słowo, będące dla milionów przykazaniem wydobytym z osierdzia pustyni, wymodlonym, wypracowanym:

— Palestyna.

Tam mistyczny zapal skazuje młodość na nędzę, choroby, na ponadludzkie trudy, na mękę pracy i na śmierć przy niej w imię idei: odbudować państwo, odrodzić naród, zmienić go w twórczą moc.

„Dla Ojczyzny i dla brata“ znoszą kamienie na podwaliny nowego życia. Podziw budzą ofiarnością, która jest radością, wysiłkiem i ich wewnętrzną potrzebą. Synowie kramarzy, karczmarzy zatruwających alkoholem chłopa, znieprawdzonych lichwiarzy i przeklętych przekupniów stwarzają nową Biblię, bardziej budującą niż dawna, zrodzona z zemsty, nienawiści, każąca wyrywać ząb za ząb, ucinać rękę za rękę. Przebudo-

wali dusze tak, jak zmienili jałowe, bezpłodne, kamieniste pustynie w kraj miodem płynący. Tam potrzebna była praca i woda, aby ziemia ożyła. Więc pot zmienili w obfite źródła. Rozlali krew i znój, aby na nich wyrosło nowe życie. Ci, którzy byli symbolem pasożytnictwa na cudzym ciele, stanęli na najwyższym poziomie społecznienia. Chciałoby się wzywać do naśladownictwa, chciałoby się z ich spracowanych garści zaczerpnąć mocy, z ich piersi zaczerpnąć ognia, aby podpalić nasze serca, tak samo twórcze, tak samo zdolne do wielkich prac, kryjących niewyżyskane możliwości, czekające na górniką, który dogrzebie się do nich. Palestyna jest przykładem, czym jest zapał, służba dla narodu i do jakich wyżyn może wznieść się człowiek realizujący ideę.

Teraz stoimy wśród spiętrzających się bloków zapory rożnowskiej, chcemy zapamiętać obraz dzisiejszej budowli, wspominamy o początkach, kiedy dopiero budowano drogę, kiedy wznoszono baraki, a na ścianach przybijano plany, jakby majaczenia chorych, nie mające się nigdy urzeczywistnić. Wypowiadamy sądy o wszystkim. I nagle w trzask i łoskot padają słowa twarde, czasem gorzkie, czasem chłoszczące. Nie zdajemy sobie sprawy, że nasze słowa mają w tej chwili mniejszą wartość niż piasek przenoszony znad Dunajca, dostarczający spoistości cementowi.

— Za dużo zebrało się w nas żółci i łez. Żółć z nas się wylewa przy każdej sposobności, aż wszystko gorzknije i brzydnije. Pluje się tak łatwo. Wiemy, jest na co pluć, aż za wiele tych przedmiotów; choćby na pełne żłoby, na koryciarzy, którzy łeb wrazili w mierzwę, w żarcie, zasklepili ślepia i nic nie widzą. Jednakże nie jest celem twórczego człowieka plucie, choćby nawet krwią z ran najboleśniejszych. Każdy z nas na swoim stanowisku,

przy swoim warsztacie, przy wypełnianiu obowiązków powinien być pulsem zdrowej, mocnej krwi w obiegu Polski. A jakiż to puls, jeżeli będzie jadem uderzał? Nie odnaleźliśmy prawdy wielkiej na obszarach wolnej ojczyzny. Żar, płonący w naszych sercach w niewoli, życie dzisiejsze zasypało popiołem. Kto popiół rozmiecie? Kto żar rozpali?

— Nie chcemy zobaczyć przemian dokonanych w ostatnich latach, sięgających głęboko i obejmujących coraz większe obszary. A wieś? Czy przestępujemy jej progi? Czy widzimy przeobrażenia, jakim uległo młode pokolenie, patrzące na życie innymi oczami? Tam budzi się i wyrasta nowy człowiek, organizujący nowe sposoby życia. To pokolenie inaczej chce żyć, inaczej myśli. To pokolenie wie, że za długo lud wrastał w barłogi, błoto, za długo karmił się płaczem. Budować, budować nowe dusze, nowe siedziby, budować człowieka miłującego wolność i trud podjęty dla niej i dla dobra brata. Słusznie powiedzieliście; za dużo nagromadziło się żółci i łez w duszy narodu. Płacz łzami się objawia, żółć przekleństwem. Co czynić?

— Dać warunki rozwoju, raz dać się najeść do syta wsi głodującej od wieków, a człowiek o łzach zapomni, żółć zwietrzeje, a może w ogniu idei przemieni się w tworzywo i w budulec. Gdy dzisiaj patrzę na budowanie tamy, to myślę, że najpiękniejszy wyraz w codziennym pacierzu, który Polak powinien co rano wymawiać, aby budzić w sobie wiarę i moc — to Rożnów.

Wracaliśmy znad Dunajca starą drogą, a wszędzie towarzyszyły nam rozkopy, zarysy mostów, wiaduktów, wiążących odległe zbocza. To nowo budowany gościniec potężnym szlakiem się znaczył, wbijał się w las, przetrzucał przez rzeki, przewiercał góry i leciał daleko.

Starą drogą podążali ostatnim wysiłkiem oberwańcy, bosi, strudzeni.

— Do raju rożnowskiego, gdzie ludzie pracują...

Nie wszystkim sił starczyło. Wielu padło pod drzewami, pod kapliczkami jak łachmany zrzucone z grzbietu nędzarzy. Leżeli bez ruchu. Jedni przywierali wargami do kałuż, do źródeł bijących spod kapliczek i gasili pragnienie. Drudzy w milczeniu patrzyli na przechodniów wzrokiem zastygłym w nienawiści. Inni wyciągali dłonie, nic nie mówiąc, jeno żebrząc niemym wyrazem oczu.

— Chleba.

Czy są na świecie takie dłonie, które ich obdziela pracą, czy są tak wielkie chleby, które ich obdarzą kromkami?

Stwarzając wizje przyszłości, mijaliśmy chaty niskie, patrzące w słońce małymi oknami. Gdzieś tam ziarno schło na płachcie rozpostartej, pilnowane przez dzieci, dzierżące gałęzie przeciw czatującym wróblom. Tuż niedaleko gnojówka wypływała strugą, jak życiodajna krew z rany niczym nie tamowanej. Wyrastały w różnych miejscach kapliczki, krzyże, modlitwa i krzyk ziemi, która nie umie walczyć, borykać się. I mówiłem do owych krzyży zastygłych w boleści:

— Marzymy o tym, kiedy ziemię zmienimy w niebo. Żyjemy poezją, która często jest złudą, blichтром, karmimy się wizjami przebudowy, a brak nam codziennej troski, aby izbę sprzątnąć, podwórze zamieść, dziecko umyć, kaganek zmienić w lampę. Śpimy w poezji, upici jej czarem. Zapatrzeni w gwiazdy chcielibyśmy gwiazdami zamiatać zaśmieconą podłogę, a tu wystarczy brzoza miotła. Zapatrzeni w wielkie wizje nie widzimy pod nogami śmieci i błota, bo to marność nad marnościami. Znów kiedy indziej nadymamy się dumą, „mocarnością“, stroimy się w złoty szych, w pawie pióra, często papuzie,

zamiast odziać się w lniany szmat płótna, wypracowanego własnym trudem. Umiemy zaskklić ambasadą, myśląc, że jej przepychem można zasłonić bezgraniczną nędzę, oczy dzieci zatrutych wiekuistym smutkiem. Wszystkich można zwieść, ale prawdy nikt oszukać nie zdoła. Każdy chce, choćby z grobowców, wydobyć zmurszałe splendory ojców, aby siebie ustroić. Łatwiej głowy wieńczyć cudzymi koronami, niż własne korony wykuwać, łatwiej przeżywać cudzą przeszłość, niż stwarzać w trudzie chlubną rzeczywistość. Próchniejące mity zgarniamy garściami i nimi chcemy siebie karmić. Brak nam zuchwałości czynu, pazurów lwich w życiu powszednim. Gdybyśmy je mieli, to byśmy je łzami rozrzewnienia zlewali, to byśmy stwarzali legendę o nich. Karmimy się poezją, nienawiścią, wiarą w cud, toteż najczęściej mieszkaniem tej ziemi je chleb z pacierza.

Patrzac na mijane wsie dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, czym jest czyn Mrzygłoda i teraz dopiero zgłębiłem wielkość jego bohaterstwa. Kupienie paru morgów, toć to bezgraniczny wysiłek, toć to wzniesienie gigantycznej budowli z niczego, z tych dziesięciu palców. Trzeba się wmyśleć każdym nerwem w godziny jego pracy, głodu, wtedy dopiero można by pojąć ogrom mozołu. Jakże mało Mrzygłodów, noszących cud w twarzych dwóch garściach. Brak nam pragnienia wygrzebywania się z biedy, która naród przywala jak ziemia trumnę.

Stąd, z Rożnowa, jechałem na święto żniwne, urządzane przez młodzież. A był to skok w Polskę nową, tworzącą się, w różne miejscowości rozrzucone na wielkich połaciach, w różne środowiska kipiące jak roztopione żelazo, oczekujące na formę nadającą kształt. Przemierzałem żniwne łąny, wsie, wpadałem do izb, do

suteryn, na poddasza, aby zobaczyć ręce wyciągnięte po chleb, a chwytające kamienie, aby zobaczyć wargi, chcące się modlić, a krzyczące nienawiścią. Patrzyłem na łany, gdzie w każdym kłosie drgało: „szczęść Boże“, patrzyłem na sterty zboża, jakby ze złotego słońca, a obok widziałem gnijące barłogi; widziałem olbrzymie zwały ziarna, pod które padały straszliwe spojrzenia głodnych.

II

W pociągu zatłoczonym wrzawą, zaduchem, tobołami, koszami i zgrabnymi walizami, okutymi połyskliwym niklem, spotkałem rodziny wracające z Polski do Francji po miesięcznym urlopie. Dzieci dobrze odżywione, w czystych fartuszkach przeplatały mowę obcymi wyrazami. Często ojcowie zakłopotani karcili.

— Wstyd. Jak mówisz? Polok jesteś, nie Francuz. — Po chwili usprawiedliwiali się. — Uważamy z żoną, żeby sobie mowy nie popsuły, ale czy to można dać radę? Ty jeden chwast wyrwiesz, a jutro widzisz cały zagon zarośnięty. Teraz się dużo poduczyły. Po piętnastu latach dopirom teraz przyjechał do Polski. Chciałem też dzieciom kraj pokazać. Widziały pierwszy raz. Choć przez miesiąc człowiek pożywił głodne serce ojczyzną — powtarzał to słowo wargami rozpromienionymi — ojczyzną. — Na długo, oj na długo musi starczyć, bo Bóg wie, kiedy znowu przyjadę, ale przyjadę, muszę... Trzeba zarobić, bo się trochę uszparowało, ale to za mało. Jużem oglądał gospodarkę w naszych stronach, ładna, ino franków brakuje. Kupię, kupię. Na obczyźnie przed oczami będę miał tamte morgi i grudka po grudce będę zbierał tymi rękami, żeby zagony przynieść — rozpo-

starł dłonie, jakby na nich niósł błogosławiony ciężar tych zagonów.

— Czy widzicie, że w Polsce zmieniło się na lepsze?

— Zauważyłem wielką zmianę nie tylko w swojej wiosce, ale i w sąsiednich, gdzie ino zajrzał. Na ten przykład nasza wioska zawsze była biedna, ale się dźwiga, jak może. Nie można się dziwić, że pomału, nie można wymagać, żeby wszystko przyszło naraz. Jak się buduje dom, to trzeba się postarać o drzewo, a na przyciesie inne, a na drzwi inne, a na krokwie inne. Przecie państwo nasze wciąż na dorobku. Ten, co siedzi na miejscu, to zmiany nie widzi. Jak człowiek wyjedzie z kraju, to za granicą jakoś dalej patrzy i więcej widzi. Teraz w Polsce lepsze życie i ludzie idą do lepszego. Wieś ładniej wygląda. Teraz łatwiej o dachówkę niż dawniej o strzechę. Ludzie garną się do oświaty. Jakby dzisiejszy człowiek chciał tak postępować jak dawniej, to by zgnił. Ludzie tutejsze zakładają spółdzielnie, sklepy, schodzą się do świetlicy, aby pogawędzić, poczytać, aż miło z nimi rozmawiać. Kiedym wyjeżdżał, to w naszej wiosce miał jeden chłopak rower, co go sobie zrobił z drzewa. Kiedy jechał, to ludzie patrzyli jak na dziwowisko, bo to klekotało, skrzypiało, a teraz narachowałem 45 ładnych, fabrycznych rowerów. Sądów coraz więcej. Dziecko już nie łaknie owocu, nie kradnie nocą, nie łamie gałęzi, bo ma koło swego domu. Postęp jest. Powoli idzie, ale wszystko naprzód poszło i to daleko. Mocno, o, mocno wiara się cywilizuje. Dużo, bardzo dużo rąk na wsi, trzeba umieć dać robotę tym głodnym rękom, a wszystko jeszcze bardziej się odmieni, urosnie dobrobyt, bogactwo i mądrość, a zniknie bieda i nagie, chude dzieciśka. I one też się zaczną śmiać.

— Cieszy was ta odmiana na lepsze?

— Jakżeby było inaczej? Przecie we mnie krew polska. Wyszedłem z Polski przed 15 laty z gołymi rękami, bosi, myślałem, niech to wszystko diabli roztrzępią, a nie będę żałował. To tak się mówi. Rozżalony człowiek zrazu cierniami zakrywa drogę do Ojczyzny, a potem to chciałby każdy cierń połamać, poobtłukiwać i iść, iść na klęczkach. Mnie wszystko cieszy, co się na lepiej zrobiło.

— Ja myślę — wtrąca sąsiadka, wracająca też po urlopie do Francji na fermę — że każdy jeden Polak jest tego samego usposobienia; żeby miał w sobie same przekleństwa, kamienie, żeby nie wiem jak napłakał się na Polskę, to przed obcym kamienia nie pokaże, marnego słowa nie powie.

— Są tacy, co mówią: tam Ojczyzna, gdzie chleb, ale tacy nijakiego czucia nie mają, chyba zamiast serca noszą samo błoto. Gdybym w kraju siedział, to bym też nic innego nie widział ino bidę i co innego bym nie robił, ino kłął. Za granicą dusza jakoś prędzej rośnie, rozumu więcej nabiera, oczy sobie człowiek przemywa jasnością. Powiem wam, że trzeba się też nauczyć pracować, uczciwie i mądrze. Siła nic nie znaczy, jeżeli nie ma rozumu, kij też nic nie pomoże, jeżeli nie ma w sobie uczciwości. Żebyśmy w Polsce tak umieli pracować, jak we Francji albo w Ameryce, to by złoto rodziło się nam na kamieniach.

— Jakże teraz Polakom we Francji?

— Teraz większa opieka, lepsze zarobki, a nawet i w kopalniach dużo się pozmieniało. Nie wszędzie tak. Na fermie nie chwałę roboty. Znam dobrze, bom najpierw tam pojechał na kontrakt. Jak pijawki, co chcą wyssać krew, takie są patrony. Od świtu do nocy, od roboty do roboty. A najgorsze to, że nie można się do-

gadać. W pierwszą niedzielę w kościele, to nikt z naszych nie słuchał mszy św., ino jeden płacz się rozlegał. Potem było mi lżej. Jakoś wydarłem się z fermy i dostałem się na północ do kopalni. Tutaj inakwsze życie. Tum się dużo dowiedział, odmieniło się we mnie wszystko. Tum się też nauczył Polskę kochać. Przed laty pisał o Polactwie we Francji jeden pisarz. Prawdę pisał, może za mało. Jakżem czytał, tom myślał, że to o mnie, że słowa wydziera stąd, o stąd — kułakiem tłukł się w piersi. — Ale nie wszędzie tak źle. Szkoda, że on niepojechał na północ, tam jest inaczej, ludzie lepiej się mają, twardo przy swoim stoją i swoją Polskę na obcej ziemi budują; tu organizacje działają, a każdy jeden Polak musi należeć do organizacji. Tamta książka dużo nam pomogła.

— Jakaż to?

— Nie wiecie? No „Wierzby nad Sekwaną“. Może znacie tego, co pisał?

— Nie znam — odrzekłem krótko i twardo.

— Teraz się tam dużo odmieniło i do konsulatów też przyszły jakiesieć wyrozumialsze ludzie, co w sobie mają czucie polskie. Teraz i konsul przejeżdża po wsiach i pyta o wszystko. Dawniej ani nie przystąpić do urzędników, nikogo nie szanowali, każdy im był wróg. Niejeden przyszedł do nich, bo spragniony był Polski, a jak go za drzwi wytrzepali, to płakał albo kłął. Jeszcze trzeba by dużo naprawić. Rozpuściły się czeladniki i nie myślą, że chłop i robotnik to ich gospodarz. Co byś tam chudoku robił, jakby nas nie było. No, ale wszystko jakoś się ułoży. Nieraz to sobie łamię głowę nad tym, kiedy wszyscy w zgodzie i pojednaniu zaczną budować ojczyznę, kiedy już nikt między obcych nie pojedzie, bo tutaj będzie miał robotę i chleb. Czy się doczekam tego dnia? Ej Jezu, ej Jezu.

W czasie rozmowy wiązę tego chłopą, który za zarobkiem wywędrował z Polski, z gromadami wlokącymi się za pracą po gościńcu rożnowskim i myślę, że nigdzie pewnie nie ma takiego marnotrawstwa sił i zdolności, co u nas. A chyba bogaczami w tym względzie nie jesteśmy. Jeszcze długo zadრęczały mnie te myśli, towarzyszyły mi wszędzie, gdy wędrowałem po wsiach, gdy przebywałem wśród młodych, którzy szukają dróg wyjścia, szamocą się, chcą zedrzeć z oczu mroczne skorupy, których nakaz wybucha w słowach:

— Przebudować siebie.

Przy ich płonących sercach zapomniałem o drobnych udrękach, o gościńcach, którymi wlekli się bezrobotni, i o pociągach wywożących za granicę wagonami najlepsze siły, najzdrowsze mózgi i najtwardsze mięśnie, aby przywieść wagony obłąkanych.

Długie godziny spędzaliśmy na pogwarkach o wielu sprawach, słyszałem zdania, które krzepią i porywają, które popiół z duszy wymiatają, a w żyły pełne żółci wlewają zdrową, czerwienią pulsującą krew.

— Nowy dom budować, wcielić w niego pierwiastki kultury chłopskiej, narodowej, ogólnoludzkiej, aby miał okna i drzwi zwrócone ku postępowi, ku całemu światu. Wyrwać chłopą z otchłani niedoli, z mroków, do których go los i on sam się przykuł, i rzucić go na drogę wiodącą ku Polsce, której niejednokrotnie nie mógł zobaczyć oczami zalanymi potem. Polska to nie bat pańszczyźniany, Polska to nie zagon pańszczyźniany, znienawidzony i przeklęty. Wspomniana pańszczyzna to zmora przeszłości, którą Polska sprawiedliwa niszczy,

— Chłop, przeklęty przez Boga, ludzi i życie, jest zagłodzony od pokoleń, więc jakże mógł się rozwinąć duchowo, jak mógł dorównać ludom wyrosłym w dobro-

bycie. Czy my wiemy, w jakich warunkach dziecko się chowa, ile sił musi zmarnować, aby mogło istnieć, bytować, rozwijać swój umysł. A któż miał nam przewodzić?

— Inteligencja chłopska? — pytam z przekonaniem.

— Wieś wyrzucała od siebie do szkół najlepszych, najzdolniejszych, którzy by mogli być mózgiem zbiorowym, sama przecinała tętnice, aby krwią broczyć. Niestety ci synowie zagubili drogę do rodzinnej chaty, zaparli się ojców, zatracili honor i dumę swych rodów. Rozpłynęli się bez śladu i dzisiaj nie odgrywają żadnej roli jako czynnik samodzielny ani w państwie, ani w życiu wsi. Jednakże i tutaj widzimy powolną zmianę. Zaczynają wracać marnotrawni synowie, Jednakże wieś nie chce, aby Polska oddała im takich wyrodków. A w młodym pokoleniu rodzi się poczucie dumy, nie chce być oderwane od wsi, tkwi wrośnięte korzeniami w glebie, która je karmiła. Ta młodzież zespolona jest ze wsią. „Widzisz — mówi często — urodziłem się na barłogu, pazurami wydrapałem się w górę; wszystko, com zdobył, to moja zasługa, nikomu niczego nie zawdzięczam“.

Młodzi rzucali zdania zrodzone z troski o wieś i naród. Nie chcieli pamiętać o krzywdach, a przecież czasem bezwiednie wymknęła się skarga, gdy mówili, że pałką gumową można zasłonić Polskę, jak dawniej ją zasłaniał bat pańszczyźniany, że pałką taką można przetrącić miłość w piersiach. Ale wkrótce o tym zapomnieli, bo uwagę zaprzętnęły inne ważniejsze zagadnienia.

— Naród zagubił swoją drogę i błąka się, a czasem szamoce się, przerzuca z miejsca na miejsce, to pędzi na manowce, to grzęźnie w błocie, to ciska się ku pożarom. My znosimy cegły, budulec zdrowy, twardy, a budowniczowie chcą wznosić wspaniałą budowlę na zmurszałych i spróchniałych podwalinach wśród prze-

kleństw tych, którzy są mocą, obroną i chlebem narodu. Wygrzebuje się trupa szlachetczyzny i na gwałt dorabia się głowę, myśląc, że on będzie za nas działać, przewodzić. Czy trup, któremu dałoby się nawet najgenialszą głowę, ożyje i czy będzie stwarzał budujące wartości? Woła się: frontem do wsi. Hasło od święta prędko przebrzmiewa i głuchnie. Ci, którzy mają być twórczą myślą, nie słyszą i nie widzą prawdy, która jest nieszczęściem Polski. Nikt nie myśli o jutrze. My młodzi siejemy nasienie, aby rosło na wieczność dla Polski, a są tacy, niejednokrotnie odpowiedzialni za losy przyszłości, którzy świadomie tak uprawiają ziemię, aby ten siew zmarniał. My chcemy robić, budować, przetwarzać, ale nam kłody walą pod nogi, ale nam ręce ucinają. Chłop idzie do wszystkiego, co ma go dźwignąć i skrzepić. Nauka, praca, ziemia, plony — do się! do się! — Chłop chce zagarnąć ku sobie jak najwięcej. Jest on budzącą się mocą, pewną, bogatą, na której śmiało można budować. A o tym możemy się przekonać na kresach, gdzie polskiemu chłopu dano ziemię i warsztat pracy. Tam widzimy, jak w nim rozrosła się polskość w najpiękniejszych przejawach, mądra dzielność i rozumna wytrwałość. On tutaj tworzy spółdzielnie, organizuje, skupia siły i coraz bardziej wkorzenia się pazurami w ziemię. Gdyby kto chciał mu tę ziemię odebrać, to musiałby odrąbywać ramiona głęboko wrośnięte, a kto wie, czyby wtedy nie obronił jej kikutami. Na kresach chce współżyć z sąsiadem, unika i nie chce wojny, ale czyni wszystko, aby wzmocnić ilościowo i jakościowo element polski, bo jego zadaniem i obowiązkiem jest zdobywanie moralnej i materialnej siły dla państwa. Chłop rzuca swe serce pod jedność i zespolenie narodu i błaga o nie. Niestety, jakże mało ludzi chce zobaczyć tę prawdę.

— Marnują się wielkie poczynania.

— O tak, o tak, bo hetmani, którzy powinni wytyczać Polsce drogi, zajęci są drobiazgami. Jeżeli oni są zajęci zatykaniem dziur wśród wałących się chałup, wśród barłogów, wśród jałowych pól, to któż wytyczać będzie drogi, którymi Polska ma iść w przyszłość...

Na to nikt nie dał odpowiedzi.

Wśród trosk, wśród rozrząsań zagadnień wielkich i małych padły też słowa o kulturze, o bibliotekach — tych stodołach pełnych snopów pożywnych.

I tam też ktoś powiedział:

— Młoda wieś musi pomyśleć o stworzeniu muzeum chłopskiej kultury. Takie Skansen, które by gromadziło zabytki wszystkich czasów, choćby na tle Biskupina, prażródła i praojca naszego. Wtedy poznamy bogactwo i przekonamy się, że kultura chłopska nie jest odbiciem kultury dworskiej czy mieszczańskiej, ale korzeniami tkwi w ziemi, i to od prawieków. Przez wydobywanie i okazywanie jej nastąpi wzmocnienie dumy: to nasze. A na strzesze czy nad dźwierzami, wiodącymi do tego muzeum, będzie widniał nakaz: Sobie musimy wierzyć! Naszą wolą jest świadoma praca dla dobra ludzkości! Z polskiej wsi wiedzie droga do słońca i do brata, do uścisku i do słów: niosę ci miłość w bochnie chleba.

III

Odradzająca się wieś corocznie urządza święto żniwne, wskrzesza dawne ginące zwyczaje i wciela w nie nową treść. Jest to święto młodych, i ci składają wieńce zboża, symbole plonów, nie przed panem, ale przed ojcami, współtwórcami chleba. To nie czeladź, nie chłop

z pańszczyźnianego ładu, ale wolny obywatel, niosący owoc ciężkiej pracy uznojonym ojcom, wyciągającym po nie ciężkie, stwardniałe dłonie.

— Abyśmy spożywali w zgodzie, w pojednaniu i miłości święty chlebuś.

Los zdarzył, że jednej niedzieli uczestniczył w święcie żniwnym w wielkim mieście, gromadzącym olbrzymie rzesze robotników, którzy mieszkają na bruku, ale wyszli ze wsi i mimo lat i oddalenia oddychają jej zapachem, żyją jej wspomnieniami. Młodzież zbiegła z dalekich wsi, aby zjednoczyć się w tym dniu z miastowym bratem i przeżywać chwile, zostawiające głębokie ślady w pamięci zebranych. Wszystkim zdawało się, że są rodziną zespoloną sercami i jednakimi pragnieniami.

Wchodzących witał snop przewiązany napisem:

„Przez książkę do kultury“.

Później spomiędzy zgromadzonych tłumów padły zdania tak rzadko dzisiaj słyszane:

— Pisarze spełniają wielką rolę. W nadludzkim wysiłku rzucają się na słońce, aby znieść je na ziemię dla nieszczęśliwego człowieka. Książka to młot, którym można wykuć wszystko, którym można stworzyć lepsze warunki bytu, nowe życie. Nieodzowną bronią jest książka w walce o duszę człowieka, idącego w przyszłość. Wołamy do budujących pisarzy, aby nam rozpalali ideały prawd, aby nam okazywali postacie walczące o miłość i sprawiedliwość.

Patrzyłem na zebrany tłum. Przyszli z suteryn i z poddaszy, z hal fabrycznych, z zaduchu, wynędzniali, wpatrując się oczami, które bezmiar bólu przeżyły. Zapomnieli o wszystkich udrękach, odmienieni, zaszuchani w pieśni pachnące polem, szeleszczące dojrzałymi kłosami. Robotnice przyniosły dzieci, które chłoneły prze-

wijające się obrazy, składały ręce jak do modlitwy w czasie uroczystego nabożeństwa. A nie śpiewano tutaj ani o czerwieni sztandarów płynących ponad trony, ani o krwi lejącej się i ani o zemście, ale „o wymłóceniu z serc ziarna, żeby tego chleba dla wszystkich starczyło“.

I ku wszystkim w pieśni przyszły bochny, jakby rodna ziemia niosła na rękach ludzi chleb — owoc trudu.

Dzieci ojcom chciały w przyśpiewkach wiele powiedzieć. A śpiew nie był pustym dźwiękiem, ale prawdą przeżytą i odczutą. Znać było, że te chwile budzą szacunek dla pracy, dla chleba, dla człowieka.

I widzę tysiące rąk chłopów i robotników, nie mających nic z groźby i nienawiści, wyciągniętych do chleba, jakby zastępych w modlitwie.

— Błogosławionyś...

Dłonie chłopów i dłonie robotników w ciżbie pomieszczone miały jednaki wyraz, jakby w wigilijny wieczór przy łamaniu opłatkiem...

Stary obrzęd żniwny zniekształcił się w ciągu wieków, stał się pańszczyźnianym hołdem, składanym przez tłum żniwiarzy na dworskim ganku. Później ginął razem z dworami. Chłop nędzny, wzgardzony, śpiewał piosenki upokarzające, zrodzone z ciemnoty, uciemiężenia, nieraz jakby wychłostane batem, aby ucieszyć uszy pańskie, aby łaska pańska cisnęła parę rubli na gorzałę. Śpiewał nieraz w tym samym miejscu, gdzie wczoraj ekonom go rozłożył i wrzepił dwadzieścia pięć oblewanych. Składał wieniec uwity nie z kłosów chlebných, ale z kłosów pełnych krwawego potu wylanego na cudzym łanie. W pamięci ojców zostały wspomnienia tamtych czasów i śpiewek.

Jednakże w duszy żyjących i w duszy rodnej ziemi leżały też ostatki dawnego obrzędu i obecnie, jakby

z ziarn ukrytych głęboko wystrzelily, nabrały krzepkości, nowej treści, można by powiedzieć świętości. Wiejscy poeci i poetki przynoszą wieńcowe śpiewki, wyrażając nimi uczucia wsi.

Taki obrzęd z zapachów ziemi, z kłosów i żaru serc ujrzelismy w powiecie garwolińskim, miejscowości ubogiej, położonej „na wyplonkach“, której mieszkańcy w najcięższych warunkach pracują na skrawkach, aby z jałowych piasków wygrzebać chleb. Mimo ubóstwa panuje wysoko rozwinięty duch społeczny: „Jak już nijak nie można się z biedy wygrzebać, to trza choć duszę wzbogacić, żeby lepiej plonowała, niż dawniej. U nas biedne ludzie, ale mają szczyre serca“.

Zabudowania porozrzucane, wrosnięte w las tak, że strzechy kryją się pod dębami, a sosny jak najmiłsze kumoszki stoją na obejściach i gawędzą po swojemu, a wrzos kwitnie za węglami, jakby fioletowe płomyki wyrzucone z domowego ogniska. Wiewiórki zbiegają na podwórze, aby kurom wykraść pożywienie.

Do tego leśnego osiedla nie ma gościńca, wiedzie tylko droga polna, zasypana szczerym piachem tak, że noży-ska lgną głęboko. Ale to nic. Ta droga zaludniła się ludzką ciżbą w jedno popołudnie niedzielne. Młodzież i starsi tłumnie dążyli z całej okolicy.

— Powiatowe święto żniwne.

Szli piechotą, jechali na rowerach, a na wozach wieźli wieńce uplecione ze zboża, zniesionego przez wszystkich członków po garstce, aby okazać, że wiła je gromada po społu sercem i rękami.

Na polance, tuż za stodołą, miała się odbyć uroczystość. I znów ludność wspólnymi siłami wzniosła podwyższenie z desek, bierwion, przykryła strzechą. Zdawało się, że to podcienia na słupach przed chatą, pod którymi

mają spocząć utrudzeni po pracy, aby pogwarzyć i uradować duszę. Tutaj miejsca dla ojców. Ławy, stołki, kilimy zebrane z całej wsi dla ozdobienia. A na deskach, belkach rozrzucone snopy, wieńce ze zboża, z wrzосу i kwiatów, jakby strugi złote, fioletowe, wijące się skrętami i od czasu do czasu wybuchające kiściami czerwonych dali.

— Widzicie, „Odą do młodości“ nas witają — mówi Stach Młodożeniec, poeta, który wyrósł z rędziny sandomierskiej i bogaty swój talent oddał odradzającej się wsi.

Wśród snopów żyta — Szczęść Boże — kosy na krzyż, symbole czynu racławickiego i sztandar rozpostarty, z którego bucha napis: „Ty nad poziomy wylatuj“.

Gwarzymy z młodzieżą o wszystkim, słyszymy zdania i sądy, mogące budzić podziw. Patrzymy w oczy jasne, twarze rozumne, pełne godności i porównujemy z dawnym chłopem o pańszczyźnianej duszy. Inżynier wyrosły ze wsi i związany z nią miłością, pracą i życiem, rzucił słowa surowe, ale prawdziwe.

— To młody, dynamiczny element, który idzie na przód świadomy swoich celów. Ta młodzież już nie marzy o przebudowie swego życia, ale przebudowuje je w trudzie bez niczyjej pomocy: My sami sobie! My sami wieś dźwigamy gospodarczo i umysłowo. Chłop codziennym trudem od rana do wieczora na swoim podwórku, na swoim zagonie buduje byt państwowy, jego moc, dobrobyt, potęgę, obronę. Niejednokrotnie stwarza je nieświadomie. Trzeba sprawić, aby sobie to uświadomił, że myśli państwowo, że jego gospodarka jest częścią państwa, jego ramię jest ramieniem państwa. A jakież to będzie ramię Polski, jeżeli będzie ono ramieniem głodnych i nędznych? Jakaż to będzie obrona? Krew

chłopa żywi Polskę. Jeżeli ta krew będzie chora, to jakąż będzie Polska? Jeżeli ta krew zamienia się w ogień, to czy Polska nie stanie się pożarem? Nie poddani, wyzwyskiwani, ale współgospodarze, współtwórcy zespoleni z sobą są najlepszymi synami ojczyzny. Czy naród wielki, tworzący potęgę i mocarstwowość ducha, może się składać z poniżonych, upośledzonych, krzywdzonych i wzgardzonych? Wywyższyć chłopą, wywyższyć warstwy poniżone — to wywyższyć moc i potęgę Polski. Symbolem Polski budującej nie może być chłop dawny, zaciskający zawszoną czapę, wystający przed gankiem dworskim i liżący łapy pańskie. Taki chłop nie może stać przed progiem Rzeczypospolitej. W wolnej Polsce nie ma miejsca dla niewolników i żebraków, mających przywilej ciemnoty i nędzy. Wolny zagon chłopą jest częścią wolnej ojczyzny. Wielkość ojczyzny może nosić jej syn szanujący własne wartości, świadomy swej roli żywiciel i pomnożyciel jej potęgi, twórciel jej kultury. W progi Rzeczypospolitej ma wejść chłop świadomy swej roli, szanujący swą godność, będącą częścią honoru narodu. I taki chłop staje u drzwi Ojczyzny, aby oddać serce, krew, siły. Kiedyż go zobaczymy? Kiedy i kto przed nim otworzy bramy?...

Obok nas siedziała zgrzybiała staruszka, pochylona pod brzemieniem krzyżyków i lat. Ale nie mogła usiedzieć, zakrzętała się, wszędzie była, aby pomóc, wesprzeć, poradzić.

— Koleżanko, trzeba tak...

Znów spoczęła na ławie.

— Jakby mi kto zdjął z pleców z pięćdziesiąt lat, takam młoda i takam wesoła. W naszej wiosce dzisiaj takie święto i radość, i to na moim osiedlu. Czym się kiedy spodziewała, że doczekam tej chwili.

Opowiadała, z jaką ochotą wszyscy budowali to wzniesienie. Nikt nie żałował sił. Każdy spieszył z drzewem, z pomocą. A materiału było potrzeba dość: na dach, na wiązania, na strzechę. Wkopywali słupy, wiązali belki w krokwie, poszywali, kładli deski na podłogę i stroili łańcuchami z gałązek i kwiatów. Dziewczęta wili wieniec, piekły chleb.

— Inaczej bywało dawniej. Ciemno, twardo, boleśnie. Przodownica wila wianek, bo myślała, że dostanie rubla. Stała przed gankiem albo przed kuchnią, a musiała się dość nauganiać przed psami, zanim tu doszła. Jeżeli pan był zły, to wysłał lokaja: bierz rubla i wynoś się. Jeżeli był dobry, to postawił parę garncy gorzały, kazał muzykantom grać. Uchlały się ludziska jak nieboskie stworzenia i leżały po rowach, aż wstyd było patrzeć. Nieraz wyśpiewywali żniwiarze piosenki przed ekonomem, który wczoraj batem bił, ponieważ rał; pili gorzałę i śpiewali, ale nieraz sobie myśleli: ej, żebym cię mógł chwycić w pazury, to byś żywy nie wylazł. Teraz jest całkiem inaczej. Dawniej za okowitę plon nieśli i śpiewali o tym, a dzisiaj o chlebie, o tym, żeby go nikomu nie brakowało, o pracy, o rodzicach, o Polsce. Ludzie inaczej na wszystko patrzą. Jak się ino dowiem, gdzie święto żniwne, to idę zawsze piechotą, jakbym na odpust szła, i z taką samą pobożnością, z takim samym duchem Bożym. Ani wam nie wypowiem, jak mi jest, kiedy patrzę i słucham. Coś się we mnie wyrabia i płakać mi się chce, i śmiać, i każdemu bym mówiła: bracie, czy wiesz, jakie to szczęście. Zbiera się w człowieku dobroć i tyle jej, że nie może się pomieścić. Chciałabym ją wynieść stąd w świat i z każdym się podzielić, jak chlebem, i wołać: ludzie, czego się tak nienawidzicie, czego jeden drugiego krzywdzi i źle robi, ludzie, miłujmy

się, bośmy bracia, bośmy synami Boga. Dlaczego tej dobroci na długo nie starczy? Powiedzcie! Ale i tak jestem szczęśliwa.

— Aleście łońskiego roku płakali?

— Płakałam i nie wstydę się takich łez. Ze szczęścia, że patrzę, i z żalu, że ojcowie moi nie doczekali i nie mogli ujrzeć. Tak, tak, oczy płakały, ale serce radowało się, że nasze dzieci są inne niż my w młodości, że już obcy nie rządzi, nahażą nie wywija, że narodziły się w wolności. Choć niejeden narzeka, bo nie jest tak, jak powinno być, ale cieszy każdego, że wolna ojczyzna przyniesie odmianę.

— Jestem twardy — z gwaru wyłoniły się słowa — a jak patrzałem na żniwne święto, to mnie szarpnęło. Łzy się nie pokazały, ale poleciały w głąb duszy. Jak się ludzie ogromadzą, to wszystkim zdaje się, że są bliscy, krewni, zespoleni, silni sercem.

Ktoś obok siedzący dodał:

— Każde święto wzmacnia szacunek dla chleba i dla pracy. Każde święto zespala ręce i serca.

IV

Na ojców żniwnych, jak zawsze tak i teraz, nie zaproszono polityków, działaczy, prowodyrów, ale ludzi znanych z dobrego serca, uczynności, uczciwości, rozumiejących dążenia młodych, gospodarzy pracowitych, z których wielu dorobiło się majątku własnym wysiłkiem i zapobiegliwością, wykrwawiło z dziesięciu palców te zagony.

Po zajęciu miejsca na ławach na dany znak wyłonił się korowód żniwny spomiędzy gospodarskich zabudowań przy wtórze marsza weselnego, pamiętającego naj-

starsze nuty tej wsi. Na czele szło dwanaście dziewczyn ze zbożowymi wianuszkami na głowach, a za nimi kosiarze z kosami, żniwiarki z sierpami, grabiami i przedstawiciele młodej wsi całego powiatu, niosący wieńce, uwite z kłosów zebranych z wszystkich pól. Szli nie pod ganek dworski, bo to nie wyrobnicy, bandosi poniżeni i skrzywdzeni wyciągający ręce po rubla czy garniec wódki, ale zdążali przed ojców synowie ich tak samo spracowani, tak samo ziemię miłujący wolni gospodarze, współtwórcy tych plonów.

Kiedy ucichła muzyka, zerwał się śpiew żniwny, dawny, który niósł melodie zebrane z pól, jakby kłosy:

Otwórzcie nam tu szeroko wrota,
Bo tutaj idzie nasza robota.
Plon niesiemy, plon,
W ojców naszych dom!

A potem zmieniła się nuta i zabrzmiała jakby modlitwa śpiewana przed dobrym człowiekiem i przed polem pełnym darów i błogosławieństw:

Żeby dobrze plonowało,
Po pięć korcy z fury dało — Wam,
Żeby poszedł głód
Precz od naszych wrót.
Żeby czarny chleb razowy
Miał rok cały biedny, wsiowy — lud...

Zespoły obrzędowe stanęły, tworząc z wieńców łańcuch, którego ogniwami były symboliczne kształty z kłosów pszennych i żytnich. Poniosła się w niebo i poszła daleko po ziemi pieśń — wyznanie, pieśń — przysięga, mająca dusze bratać:

Pod sztandarem naszym
Kwitnie wiara chłopska.

Cała ziemia za nim ruszy,
 Pójdzie żywa Polska,
 Aby od przyciesi
 Dalej ją budować,
 Polskę pięknić i uładzać
 Do niebieskich pował.

Kiedy zamilkł śpiew, przemówił powiatowy przewodnik młodzieży; w prostych słowach witał ojców i matki i wyjaśnił, czym to święto, kiedy synowie składają owoc wykonany ze znoju wszystkich. „Aby to święto, wspólnie przeżyty dzień, wzmocnił tym większą miłość do ojców, wzmógł tym większą chęć do tworzenia chleba dla drugich i do tworzenia lepszego życia na wsi”. — Mówił młodszy gospodarz do starszego, bardziej wypracowanego i utrudzonego, z czcią dla jego mozołu, dla doświadczenia zebranego w ciężkim życiu.

Każde koło zupełnie samodzielnie, według własnych pomysłów, przygotowało swój wkład do ogólnego obrzędu, każde niosło piosenki, natchnienia miejscowych swoich poetów i nimi wyrażało pragnienia i tęsknoty. Nieśli plon z pól, z serc, kłosy i dary swej duszy. Słowa mi pieśni wpatrywali się w przyszłe dni, marząc o budowaniu prawdy i sprawiedliwości, modlili się i przysięgali gotowi do najcięższych trudów w imię dobra ogólnego. A niemal zawsze jedna nuta rozbrzmiewała w każdej pieśni, a to, aby nikt nie zaznał głodu we wsi i w mieście, aby chleba wszystkim starczyło, aby podział chleba był sprawiedliwy:

Żniwne święto uczcić nam potrzeba,
 By chleb się darzył z pieczywa każdego,
 Jasny jak słońce z wysokiego nieba,
 By nie zabrakło do żniwa przyszłego.
 Niech każda matka pożywi swe dziecko,
 Bo ziemia rodzi dla wszystkich na świecie.

Odbýwały się nie wiejskie, nie pańszczyźniane do-
żynki, ale dożynki wolnego obywatela, chcącego gospodarzyć
sprawiedliwie. Nie nieśli wieńców pod ganek
dworski, ale z chat ku progom Rzeczypospolitej, z za-
gonów miedzami zagrodzonych — na niwy wolnej Pol-
ski. Płomieniały słowa, wzywały i porywały do pracy
dla ojczyzny. Wychodzili z ciasnych izb ojców na sze-
rokie drogi, wiodące w przyszłość, widzieli Polskę,
a pragnęli, aby każdy najędźniejszy z miłością ją przy-
garnął i z nią się zespolił w pracy i w chlebie. Czasem
jak dzwon zahuczał nowy dźwięk „przebudujem z nowa
naszą Polskę całą“, „dźwignąć świat za słońca ślad“,
to znów:

Na śmierć zbratany z ziemią chłop
Nie skąpi potu jej ni krwi,
Gnieciony krzywdą zrzuci zło,
To nasza wiara

— wiara wsi.

Młodzież składała wieńce w pokłonie serdecznym
ojcom, jako współtwórcom chleba. Ojcowie odbierali
ze wzruszeniem, dziękowali zrywającym się głosem:
abyście i wy plonu nie zmarnili, abyście dobrze chlebem
gospodarzyli, gdy nas nie stanie, aby i wam słońeczko
błogosławiło, aby nieszczęścia omijały was, abyście chleb
spożywali w lepszym jutrze, stworzonym przez miłość
i zgodę.

Wieś, tworząca chleb dla lepszej przyszłości, nie za-
pomniała też o pisarzach, czerpiących treść do swych
utworów z gleby chłopskiej. Obdarzyli ich wieńcem
w kształcie serca uwitego z kłosów pszennych i żytnich,
a w środku mieszczącym pęk cierni z nabitymi głogami,
jako symbol doli chłopskiej, zroszonej krwawym potem:
„W tym wieńcu z kłosów całego powiatu wpleliśmy

serca wszystkich, którzy pragną, aby serca pisarzy były złomem słońca, darzącym światłem, wiedzą, mocą, aby serca pisarzy były zawsze z ludem w pracy i radości. Pulsami swej miłości musi pisarz odłamywać ciernie. Sercem cierniami poranionym pisarz musi zagrzewać i do zwycięstwa porywać“.

Zdawało się wszystkim w czasie składania wieńców, że to przedziwne nabożeństwo, które zespala, prostuje drogi do serc, że tajemna moc wiąże ręce w nowy braterski łańcuch.

Po złożeniu wieńców nastąpiła główna część dożynek, a to obrzęd chleba. Znów się otwarły wierzeje stodoły, a z boiska, spomiędzy zapola pełnego snopów wyłoniła się gromada w roboczej przyodziewie, jakby szła z zagonów po skończonej pracy. Dwunastu żniwiarzy z kosami, którymi kosili latoś, dwanaście pomocnic z sierpami.

Zamarli wszyscy. Z ciszy powoli rodził się szmer, przeistaczał się w głos, wyrastał jakby z ziemi, nabierał mocy, dźwięku, słów i przerodził się w modlitwę:

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie...”

Żniwiarze i żniwiarki odłożyli kosy i sierpy, stanęli przed ojcami, ustawieni w długie szeregi po obu stronach, jakby klasyczny chór, mający wypowiadać ruchami rąk i głosem prawdę zawartą w pacierzu.

Powszedni, codzienny, byle jak, dorywczo nieraz mówiony pacierz zmieniał się w dostoyny hymn. Wyrazy, wypowiadane z przejęciem, brzmiały jak gorejące zaklęcia. Zdawało się, że to nie ludzkie wargi, ale grudy gleby rodzinnej, ochronionej przed nieszczęściami, modlą się o przyjsie Królestwa Bożego. Ludzie wyciągali ramiona wysoko, jakby z nieba chcieli zdjąć słońce i znieść ludziom czekającym. I tak zastygli z rękami wyciągniętymi, błagając głosem i całą postacią:

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

W tej chwili ze stodoły pełnej darów żniwnych wyłoniło się dwanaście dziewczyn w bieli. Na głowach złożyły się wianuszki uwite z kłosów. Na dłoniach, na rozpostartych lnianych chustach niosły bochny, wczoraj upieczone z mąki zebranej po garści z wszystkich sąsiedków wsi. Dwanaście chlebów, dwanaście słońc spadłych z przestworzy.

Szereg zbliżał się powoli w skupieniu. Chleb powszedni, bezkrwawy, błogosławiony wyrastał ze słów pacierza, unosił się i podchodził do wyciągniętych dłoni.

A ustawieni kosiarze i kosiarki zanucili:

Błogosławiony chleb ziemi czarnej

Sprawiedliwość niech chleb w rękach waży,

Sprawiedliwa dobra dłoń.

Niech się krzywda ni zdrada nie zdarzy —

Ziemio, matko, krzywdy broń.

Twarde, żylaste, spracowane garście ojców podejmowały przyniesione chleby. Najstarsza matka ujęła jeden, trzymała w palcach drżących, uniosła ku wargom i całowała pożywną świętość. Zapłakała. Łzy się rzuciły z ocz i jakby rozjaśniły słowa, które wypowiadała.

— Błogosław, Panie, ten chlebuś święty i wszystkich, którzy będą go spożywali — znów dźwignęła go w górę, jak kapłan unoszący hostię, milcząc wpatrywała się w niebo, ku dawcy życia, ku Bogu promieniejącemu na wyżynach, zamieszkałemu w słońcu. Cała rozjaśniona wyrzekła: — Sprawileś, że w radości spożywać będziemy twoje dary, spraw, abyśmy w przyszłe lato w weselu zbierali snopy. Chroń siewy nasze od nieszczęścia, opiekuj się plonem. Słonko, słoneczko wszechmogące, pobłogosław znój ludzki, chlebuś święty...

Wszyscy odczuli, że w Jego mocy było, aby ziarno rzucone w glebę weszło i dojrzało, i wszyscy zgodnie, kierując wzrok znad chleba ku niebu, bezwiednie szeptali:

— Słoneczko, słonko, pobłogosław.

Staruszka ujęła nóż i z namaszczeniem nakreśliła znak krzyża na spodzie chleba: W imię Ojca i Syna... Ojcowie i matki, krajmy chleb dla wszystkich, żeby nikomu nie zbrakło, ale też żeby najmniejsza okruszyna nie zmarniła się. Święty chlebuś złości i grzychu nie rodzi, święty chlebuś przekleństwem nie karmi...

Kiedy zaczęły matki i ojcowie krajać, wzniósł się powoli z gromad śpiew:

Tak mało na świecie dobroci...

Dziewczynki nadstawiały lniane chusty pod skiby, kromki i odnosiły ku zebrany gromadom.

— Pożywajcie z Bogiem. Sprawiedliwie dzielcie chleb.

Każdy brał, łamał się z sąsiadem, ojciec z dzieckiem, matka z córką, brat z bratem, obcy z obcym, a wszyscy byli zbratani i spożywali chleb przy wtórze pieśni:

Błogosławiona dobroć człowieka
Niesie miłość ludziom w dom.

I nieraz pięści zemstą zaciśnięte rozplatały się i łączyły w uścisku.

— Zapomnijmy przewin. W zgodzie i pojednaniu spożywajmy Boży chleb.

Dzielili się jak opłatkiem. Wigilia — to święto rodziny w czterech ścianach odgrodzonych od świata, od społeczności, uroczystość żniwna — to święto całej wsi zbratanej pracą.

Gdzie indziej staruszki zawijały w chusty skibkę.

— Trzeba ojcu zanieść. Chciał iść, ale jak? Z łóżkiem? Chory. Trzeba go ucieszyć.

My, obcy widzowie, patrzyliśmy na to wszystko, jakby na zjawę sprzed wieków. Nie mogliśmy słowa wypowiedzieć, bo wzruszenie trzeba by łzami wyrazić. A te, choćby najszczerze, byłyby teatralne.

Ktoś rzekł:

— Ten obrzęd pachnie zbożem i świętością. Mam wrażenie, że w naszych oczach odrodziło się stare misterium greckiej Demetery. Chyba tam była taka świętość, dostojność i prostota, chyba z takim samym przejęciem rolnicy, synowie ziemi, nieśli dary na ofiarę ołtarzom, kapłanom czy przodownikom. Może tak samo uroczyste śpiewano pieśni wielbiące bóstwo słoneczne, dawcę wszystkich plonów i darów chlebnych.

Patrzyliśmy na ręce, łamiące chleb tak samo, jak ręce kapłańskie, sprawujące ofiarę na stopniach ołtarza, patrzyliśmy na twarze tak głęboko wzruszone. Znać było, że wszyscy zebrani czują ważność chwili, która jest przeżyciem. Obrzęd miał swoją poezję, urodę, treść, toteż wzruszał wszystkich, podnosił na duszy i rodził dobroć, o której mówiła staruszka. Niestety tej dobroci nie można było wynieść ze świętego miejsca w życie...

A może duchy praojców, zmęczonych żniwiarzy, zeszyły też na jałowy, piaszczysty padół z niebieskich ścierisk i przyniosły cienie wieńców uwitych ze słonecznych kłosów i składały je w darze wszystkim żyjącym. Nie zniknęły, nie rozwały się, ale zespoliły z obecnymi, aby uczestniczyć w żniwnej uroczystości. I ręce żyjących czuły ręce tamtych, ich duszę upracowaną i wieńce te miały duszę tamtych chlebną, błogosławioną.

Słońce powoli posuwało się po niebie, przed nim płynął obłok zmieniony w świetlisty wian, jakby słońce niosło go w darze komuś dalekiemu. Kiedy ten obłok się rozwał, nadbiegł inny, jakby chusta lniana w nie-

widzialnych dłoniach, chcąc obetrzeć pot z utrudzonego oblicza.

Słońce zapadało poza miedzami dnia, w zmierzchu.

Po rozdzieleniu chleba ukazała się przodownica ze snopem zboża i każdemu wręczała kłos.

— Na nowy siew, na nowy siew, aby dobrze plonowało na przyszły rok.

W ciżbie przelatywały słowa z warg na wargi.

— Na nowy siew.

Starcy, dzieci, kobiety ujmowali w palce żdźbła i podążali ku swoim sprawom i godzinom. Zdawało się, że to zagony wykłoszonego zboża wracają miedzami ku polom na bogatszy siew. Ludzkie łany...

Gwiazdy wyblęły, jakby ktoś rozsypał wykruszone ziarna z kłosów, a ich świetliste dusze przyjął Pan na zagony niebieskie.

Cisza letniego wieczoru szumiała od słów:

— Na nowy siew!

Wracaliśmy z gromadą, dumając nad wszystkim, cośmy widzieli. Dzieliliśmy się niezapomnianymi wrażeniami. Ktoś powiedział, patrząc na znikające rzesze.

— Przeżyliśmy żywy Biskupin. Może w taki dzień praojcowie nasi tak samo święcili chleb, może dzieci niosły ojcom ten owoc rodnej ziemi, aby dzielili sprawiedliwie. Może obrzędy tamtych czasów znów ożyły, może kłosy, przeniesione z tamtych pól, zmieniły się w kłosy w wieńcach, aby się odrodzić na chleb dla żniwiarza.

I tak co roku wychodzi ziarno z ziemi i na rękach uznojonych ludzi wraca do ziemi, aby zwiastować dzień pełen plonów, a z serc ludzi miłość wyrasta, zmięmiąc się w uścisk:

— Bracie!

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ I

(Obrzędy)

W grodzie naszych praojców (o Biskupinie)	7
Kiedy gwiazda zwiastuje narodzenie miłości	24
Wyprawa po węzową głowę mającą czarodziejską moc	59
Babry, babrosie i babrule	73
Po uzdrawiającą wodę	81
O czarowniku bacy	87
Pod opieką gruchających gołębi	94
Za progiem niezwyklej plebanii	102

CZĘŚĆ II

(Kamienie i ziarna spadające na wieś)

Matka wiodąca do światła	129
Żar w zaciśniętej dłoni	152
Kryzysowa niedola wsi polskiej	164
Z potu jego i mordegi — los narodu	178
Kto zdoła odkopać wielkie twórcze zdolności	190
Ślepiec, który pokazuje drogę widzącym	205
Gdzie pług w polskich garściach, tam Polska	213
Ci, których tracimy	246

CZĘŚĆ III

(Siejba o świtanii)

Chłop, który idzie	265
Przekształćmy swoje życie — przekształćmy świat	280
O powieść dla wsi	294
Uniwersytet Wiejski im. Orkana	313
Śladem Judymowych poczynani: Wiejskie Ośrodki Zdrowia	327
Chłopski dom zdrowia	344
Prawem naszym — braterska wspólnota	364
Młodzi piszą	375
Syn, który wsi nie zdradzi	403
Blogosławiony chleb ziemi czarnej	417
